



Jean-Christophe,  
**GRANGÉ**  
Przysięga otchłani

JAK DALEKO MOŻNA ZAJŚĆ, KIEDY ŚCIGA SIĘ DIABŁA?



JEAN-CHRISTOPHE GRANGÉ

Jean-Christophe Grangé należy do grona najpopularniejszych pisarzy francuskich. W gatunku thrillera zajmuje niekwestionowane pierwsze miejsce. Międzynarodową sławę przyniosła mu druga książka *Purpurowe rzeki*, przyrównywana do głośnego *Milczenia owiec* Thomasa Harris. W dwóch adaptacjach filmowych jego powieści – *Purpurowych rzekach* (trzy miliony widzów we Francji) i *Imperium Wilków* – główną rolę zagrał Jean Reno. *Przysięga otchłani*, mrozący krew w żyłach thriller „francuskiego Hartana Cobena”, jak nazywają Grangé krytycy, utrzymywał się w czołówce list bestsellerów we Francji przez prawie rok.

Paryski policjant Mathieu Durey dowiaduje się, że jego przyjaciel i kolega Luc Soubeyras, również z wydziału zabójstw, próbował popełnić samobójstwo. Otarł się o śmierć kliniczną i w stanie śpiączki leży w szpitalu. Dlaczego posiadający szczęśliwą rodzinę mężczyzna, żarliwy katolik, targnął się na swoje życie? Stres? Nerozwiedziona sprawa? Mathieu postanawia pójść tropem ostatniego dochodzenia Luca. Musi sięgnąć w odległą przeszłość. Czternaście lat temu nieznaną sprawca utopił w studni małą dziewczynkę. Niedawno bestialsko zabito jej matkę. Przypadek? Ciało kobiety rozłożyło się tylko w połowie, druga połowa pozostała nietknięta. Rytualny mord? Luc odkrywa, że podobną metodą zamordowano także inne osoby. Sprawcy tych zbrodni twierdzili, że popełnili je z podszeptu diabła. A może prawda jest jeszcze bardziej przerażająca i za wszystkimi zabójstwami stoi Szatan w ludzkiej postaci?

ISBN 978-83-7359-707-5



9 788373 597075

JEAN-CHRISTOPHE GRANGE to najpopularniejszy francuski autor thrillerów. Urodził się w 1961 w Paryżu. Swoją działalność zawodową rozpoczął jako dziennikarz, publikując cykl reportaży naukowych w czasopiśmie „Le Figaro”. W 1994 zadebiutował powieścią LOT BOCIANÓW, ale międzynarodową sławę przyniosła mu druga książka PURPUROWE RZEKI (1998). Spośród 2 milionów sprzedanych egzemplarzy ponad pół miliona rozeszło się we Francji. Powstał też głośny film w reżyserii Mathieu Kassovitz z Jeanem Reno w roli głównej. Kolejne powieści - KAMIENNY KRAĞ (2000), IMPERIUM WILKÓW (2003), CZARNA LINIA (2004) i PRZYSIĘGA OTCHŁANI (2007) - potwierdziły ogromną popularność pisarza, którego porównuje się z Thomasem Harrisem i Harlanem Cobenem. Jego książki ukazują się obecnie w 30 językach. Grange pisuje też oryginalne scenariusze filmowe - spod jego pióra wyszedł m.in. scenariusz do wyświetlanego w Polsce filmu *Vidocq*. Za prawa do sfilmowania *Imperium Wilków* otrzymał 1.1 mln euro. Na jesieni 2008 ukaże się powieść *Miserere* - najnowszy thriller.

*Tego autora*

PURPUROWE RZEKI

KAMIENNY KRĄG

IMPERIUM WILKÓW

CZARNA LINIA

LOT BOCIANÓW

PRZYSIĘGA OTCHŁANI

*Oficjalna strona internetowa Jean-Christophe'a Grange*

[www.jc-grange.com](http://www.jc-grange.com)

Jean-Christophe  
**GRANGE**

**Przysięga otchłani**

Z francuskiego przełożyła  
WIKTORIA MELECH



WARSZAWA 2008

Tytuł oryginału: LE  
SERMENT DES LIMBES

Copyright © Editions Albin Michel S.A. 2007 All  
rights reserved

This edition published by arrangement with Agence de l'Est

Copyright © for the Polish edition by  
Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2008

Copyright © for the Polish translation by Wiktoria Melech 2008

Redakcja: Hanna Machlejd-Mościcka

Ilustracja na okładce: Jacek Kopalski

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7359-707-5

*Dystrybucja*

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk  
Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.  
t.f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009  
[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)



*Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe*

[www.merlin.pl](http://www.merlin.pl)  
[www.empik.com](http://www.empik.com)  
[www.ksiazki.wp.pl](http://www.ksiazki.wp.pl)

WYDAWNICTWO ALBATROS  
ANDRZEJ KURYŁOWICZ  
Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

Wydanie I  
Skład: Laguna  
Druk: OpolGraf S.A., Opole

*Dla Laurence i naszych dzieci*

**MATHIEU**



# 1

— Ani życie, ani śmierć.

Erie Svendsen lubił takie zwroty i strasznie mnie to w nim irytowało. Zwłaszcza dziś. Według mnie lekarz sądowy powinien wyrażać się jasno, precyzyjnie. Ale ten Szwed nie potrafił się powstrzymać i zawsze wygłaszał różne frazesy, dobierając niepospolite sformułowania.

— Luc obudzi się lada moment — mówił dalej — albo nigdy. Jego ciało funkcjonuje, ale umysł jest martwy. Zawieszony między dwoma światami.

Siedziałem w sali przylegającej do oddziału intensywnej terapii. Widziałem Svendsena w smudze światła.

— Gdzie dokładnie to się stało? — zapytałem.

— W jego letnim domku, niedaleko Chartres.

— Dlaczego przewieziono go tutaj?

— W Chartres nie mieli aparatury potrzebnej do utrzymania go przy życiu.

— Ale dlaczego tutaj, do szpitala Hôpital-Dieu?

— Uznali, że tak będzie najlepiej. Zresztą Hôpital-Dieu to szpital dla policjantów.

Poprawiłem się w krześle. Doskonały pływak, który postanowił się utopić. Zapach środków antyseptycznych dochodzący zza podwójnych zamkniętych drzwi, zmieszany z gorącym powietrzem, przyprawiał mnie o mdłości. W mojej głowie kłębiły się pytania.

— Kto go znalazł?

— Ogrodnik. Zauważył ciało w rzece w pobliżu domu. Wyłowił

je w ostatniej chwili. O ósmej rano. Na szczęście SAMU\* było niedaleko. Przyjechali w samą porę.

Wyobraziłem sobie tę scenę. Dom w Vernay, trawnik z widokiem na pola, rzeka płynąca wśród traw, las wyznaczający granice posiadłości. Spędziłem tam tyle weekendów...

- Kto uznał to za samobójstwo?
- Sanitariusze SAMU. To oni sporządzili raport.
- Dlaczego wykluczają wypadek?
- Ciało zostało obciążone.

Podniosłem wzrok. Svendsen rozłożył ręce w geście wyrażającym konsternację. Wyglądał jak figura wycięta z czarnego papieru. Bardzo chudy, z kędzierzawą czupryną przypominającą kulę jemioli.

— Do bioder Luca były przymocowane stalową linką kamienie. Coś w rodzaju pasa do nurkowania.

- A nie mogło to być morderstwo?
- Nie gadaj głupstw, Mat. Musiałby mieć trzy kule w brzuchu. Nie znaleziono żadnych śladów przemocy. Skoczył do wody sam i trzeba się z tym pogodzić.

Przypomniałem sobie Virginię Woolf, która napełniła kieszenie kamieniami, zanim dała się ponieść wodom rzeki Sussex w Anglii. Svendsen miał rację. Już samo miejsce tragedii było wystarczającym dowodem. Każdy policjant z brygady wpakowałby sobie kulę w skroń, używając do tego służbowej broni. Jednak Luc lubił ceremoniał, święte miejsca. Vernay, farma, którą, wypruwając sobie żyły, kupił, odrestaurował i urządził, nadawała się do tego doskonale.

Lekarz sądowy oparł rękę na moim ramieniu.

— To nie pierwszy glina, który targnął się na swoje życie. Wy wszyscy stoicie na skraju przepaści i...

Znowu te jego frazesy. Przestałem go słuchać. Pomyślałem o statystykach. W ubiegłym roku we Francji zastrzeliło się prawie stu policjantów. W dzisiejszych czasach samobójstwo stało się jednym ze sposobów kończenia kariery.

Odniosłem wrażenie, że w korytarzu robi się coraz ciemniej. Zapach eteru, dławiący upał. Od jak dawna nie rozmawiałem z Lukiem? Ile miesięcy minęło od naszego ostatniego spotkania? Spojrzałem na Svendsena.

\* SAMU (Service d'Aide Medicale d'Urgence) — pogotowie ratunkowe.

— A właściwie co ty tu robisz?  
Wzruszył ramionami.

— W kostnicy medycyny sądowej pracowałem przy trupie bandziora zmarłego na serce podczas napadu. Sanitariusze, którzy go przywieźli, wracali z Hôtel-Dieu. Powiedzieli mi o Lucu. Zostawiłem wszystko i przyjechałem tutaj. Moi klienci mogą przecież poczekać.

Niczym echo jego słów usłyszałem głos Foucaulta, najlepszego w mojej ekipie, który zatelefonował do mnie godzinę temu: „Luc nieźle się załatwił!”. Poczulem narastającą migrenę.

Spojrzałem uważniej na Svendsena. Bez białego kitla wydawał się obcy. Jednak był to na pewno on: mały, haczykowaty nos, okulary w cienkiej oprawie przypominające binokle. Lekarz zmarłych u wezgłowia... Przyniesie Lucowi pecha.

Otworzyły się podwójne drzwi. Pojawił się w nich krepkiej budowy lekarz w zielonej bluzie. Od razu go poznałem: Christophe Bourgeois, anestezjolog, reanimator. Dwa lata temu usiłował uratować sutenera schizofrenika, który został postrzelony podczas obławy na ulicy Custine w Osiemnastej Dzielnicy. Zdążył zabić dwóch funkcjonariuszy, zanim trafiła go w kręgosłup kula z czterdziestkapiątki. To ja oddałem ten strzał.

Wstałem z krzesła i ruszyłem mu naprzeciw. Zmarszczył brwi.

— Czy my się znamy?

— Mathieu Durey, brygada kryminalna. Sprawa Benzaniego z marca dwutysięcznego roku. Przestępca, trafiony kulą, zmarł tutaj. Spotkaliśmy się w sądzie w Creteil w zeszłym roku na procesie zaocznym.

Facet zrobił minę, jakby chciał powiedzieć: „Tyle ich było...”. Miał gęste, białe włosy, które jednakże nie były oznaką starości, lecz dodawały mu uroku. Rzucił spojrzeniem w kierunku sali reanimacyjnej.

— Jest pan tu z powodu tego policjanta w śpiączce?

— Luc Soubeyras to mój najlepszy przyjaciel.

Skrzywił się, jakby spodziewając się kolejnego kłopotu.

— Czy wyjdzie z tego?

Lekarz rozwiązał na plecach tasiemki swojego kitla.

— To i tak cud, że jego serce znowu zaczęło działać — westchnął. — Kiedy go wyciągnięto z wody, był martwy.

— Chce pan powiedzieć...

— Śmierć kliniczna. Gdyby woda nie była tak zimna, nic by się

nie dało zrobić. Ale organizm objął stan hipotermii, co spowodowało spowolnienie nawadniania ciała. Sanitariusze z Chartres wykazali się nieprawdopodobną przytomnością umysłu. Próbowali zrobić coś niemożliwego, ogrzewając jego krew. I niemożliwe stało się faktem. Prawdziwe zmartwychwstanie.

— Jakim sposobem?

Svensden podszedł bliżej i powiedział:

— Wyjaśnię ci to.

Zgromiłem go wzrokiem. Bourgeois spojrzał na zegarek.

— Naprawdę nie mam czasu.

Nie zdołałem zapanować nad gniewem.

— Mój przyjaciel leży tu w stanie agonalnym, a pan nie chce udzielić mi żadnych wyjaśnień?

— Proszę wybaczyć — anestezjolog uśmiechnął się. — Na razie diagnoza nie jest kompletna. Wykonywane są testy potrzebne do oceny, jak głęboka jest jego śpiączka.

— A jak on się ma pod względem fizycznym?

— Czynności fizjologiczne wróciły, ale nie możemy go obudzić... A jeśli nawet się obudzi, nie wiadomo, w jakim będzie stanie. Wszystko zależy od uszkodzeń mózgu. Pański przyjaciel przeżył śmierć, rozumie pan? Jego mózg był jakiś czas pozbawiony dopływu tlenu, co z pewnością miało konsekwencje.

— Czy są różne rodzaje śpiączki?

— Tak, jest ich kilka. Stan wegetatywny, kiedy pacjent reaguje na pewne bodźce, i stan prawdziwej śpiączki, całkowitej izolacji. U pańskiego przyjaciela zaobserwowaliśmy coś pośredniego między tymi dwoma stanami. Powinien pan porozmawiać z neurologiem Erikiem Thuillierem. To on przeprowadza te testy. Niech się pan umówi na jutro. — Jeszcze raz sprawdził godzinę i dodał cichszym głosem: — Nie śmiałem zapytać o to jego żonę. Czy brał narkotyki?

— Skądże znowu. Dlaczego pan pyta?

— Zauważyliśmy ślady po igle w zgięciu łokcia.

— Może się na coś leczył?

— Jego żona stanowczo temu zaprzecza. — Anestezjolog zdjął kitel i wyciągnął do mnie rękę. — Naprawdę muszę już iść. Czekają na mnie gdzie indziej.

Uścisnąłem mu dłoń na pożegnanie. Zobaczyłem, że drzwi ponownie się otworzyły. Laure. Żona Luca też miała na sobie jednorazowy kitel oraz taką samą czapkę na głowie. Szła, staniając

się na nogach. Pośpieszyłem ku niej. Cofnęła się, jakby przestraszyły ją mój głos i moja obecność. Miała chłodny, nieprzenikniony wyraz twarzy.

— Laure, gdybyś czegoś potrzebowała, ja...

Pokiwała głową na znak, że niczego ode mnie nie potrzebuje. Nigdy nie była ładna, ale teraz wyglądała okropnie.

— Wczoraj wieczorem powiedział, żebyśmy wracali bez niego. Chciał zostać w Vernay. Nie wiem, co się stało. Nie wiem... — szepnęła ledwie słyszalnie.

Powinienem być ją objąć, ale nie potrafiłem zdobyć się na taką poufałość. Ani w tym momencie, ani nigdy.

— Wyjdzie z tego, jestem pewien — odrzekłem.

Rzuciła mi lodowate spojrzenie. W jej źrenicach błysnęła wrogość.

— To przez tę waszą pracę. Przez waszą przeklętą robotę.

— Nie mów tak. To...

Nie dokończyłem zdania. Laure zalała się łzami. Znowu chciałem wyrazić jakimś gestem współczucie, ale nie zdobyłem się na to, żeby ją dotknąć. Opuściłem oczy i zauważyłem, że płaszcz pod kitem włożyła na lewą stronę. Widząc to, omal sam nie wybuchnąłem szlochem. Laure otarła oczy chusteczką i cicho powiedziała:

— Muszę iść... Dziewczynki na mnie czekają.

— Gdzie są teraz?

— W szkole.

Nasze głosy natrętnie brzęczały mi w uszach.

— Czy chcesz, żebym cię odwiózł?

— Przyjechałam samochodem.

Patrzyłem na nią, kiedy chusteczką wycierała łzy. Królicze ząbki w wąskiej twarzy okolonej siwymi lokami, które przypominały czapę rabina. Mimo woli przypominałem sobie jedno z cynicznych zdań Luca: „Z kobietami trzeba załatwiać sprawy jak najszybciej, żeby łatwiej było zapomnieć”. Tak właśnie postąpił: porwał tę młodą kobietę z jej rodzinnych stron w Pirenejach i zrobił jej od razu dwoje dzieci, jedno po drugim. Nie wymyśliwszy nic lepszego, powiedziałem:

— Zadzwoń do ciebie wieczorem.

Skinęła głową potakująco i poszła do szatni. Odwróciłem się i stwierdziłem, że anestezjolog już zniknął. Został tylko niezawodny Svendsen. Chwyciłem kitel, który lekarz zostawił na krześle.

— Pójdę zobaczyć Luca.

— Daj spokój — Svendsen zatrzymał mnie stanowczym ruchem ręki.  
— Anestezjolog powiedział przecież, że poddają go różnym testom.

Wyrwałem mu się ze złością.

— Wróć tutaj jutro, Mat. Tak będzie lepiej dla wszystkich —  
powiedział spokojnym tonem.

Fala gniewu ustąpiła. Svendsen miał rację. Trzeba pozwolić lekarzom,  
żeby zrobili, co do nich należy. Co zyskam, kiedy zobaczę mojego  
przyjaciela z podłączonymi do niego sondami i kroplówkami?

Machnąłem ręką Svendsonowi na pożegnanie i zszedłem po schodach.  
Głowa przestała mnie boleć. Bezwiednie skierowałem się na oddział  
szpitala więziennego, gdzie umieszczano rannych aresztantów i  
narkomanów chorych z braku narkotyków. Po chwili zatrzymałem się w  
obawie, że spotkam któregoś ze znajomych policjantów. Nie chciałem  
wysłuchiwać łzawych kondolencji i wyrazów współczucia.

Ruszyłem do głównego wyjścia. Na progu wyjąłem z pudełka camela  
bez filtra i zapaliłem zapalniczką. Głęboko zaciągnąłem się dymem.

Mój wzrok spoczął na ostrzeżeniu napisanym na opakowaniu: „Palenie  
może spowodować powolną i bolesną śmierć”. Oparłszy się o bramę,  
sztachnąłem się kilka razy i ruszyłem na lewo, do miejsca, w którym  
toczyło się całe moje życie — na Quai des Orfevres 36.

Zmieniłem jednak zdanie i zawróciłem na prawo, do innego równie  
ważnego dla mnie miejsca.

Do katedry Notre Dame.

## 2

W kruchcie widniały ostrzeżenia: „Uwaga na złodziei kieszonkowych.  
Ze względów bezpieczeństwa zakaz wnoszenia bagaży, prosimy o  
zachowanie ciszy”. Kiedy wchodziłem do katedry Notre Dame, zawsze,  
mimo tłumu i braku intymności, odczuwałem to samo wzruszenie.

Pomagając sobie łokciami, z trudem dotarłem do marmurowej  
kropielnicy. Zanurzyłem palce w wodzie i przeżegnałem się,

zwracając się twarzą do Dziewicy Maryi. Czulem objającą się o biodro kolbę mojego USP 9 mm Para. Przez długi czas miałem kłopot ze służbową bronią. Czy można z nią wchodzić do kościoła? Początkowo chowałem pistolet pod siedzeniem w samochodzie, potem za każdym razem nadkładałem drogi, zostawiając samochód na parkingu na Quai des Orfèvres 36. Myślałem o tym, żeby znaleźć jakiś schowek na broń w załomach płaskorzeźb katedry, ale stwierdziłem, że ten pomysł jest zbyt niebezpieczny. W końcu zdecydowałem się na profanację świętego miejsca. Czy krzyżowcy zostawiali swoje miecze, gdy wchodzili do

Poszedłem prawą nawą, mijając konfesjonały z umieszczonymi nad nimi małymi chorągiewkami informującymi, w jakim języku spowiadają księża. Z każdym krokiem ogarniał mnie coraz większy spokój. Kojąco działało na mnie tonące w półmroku wnętrze katedry, jego potężna, kamienna konstrukcja, dymy kadzideł, zapach wosku, chłód marmurów.

Przeszedłem obok zamkniętych dla publiczności kaplic Świętego Franciszka Ksawerego i Świętej Genowefy, których ściany zdobiły wielkie ciemne obrazy, minąłem posągi Joanny d'Arc i świętej Teresy, tłum czekający w kolejce do Skarbca i dotarłem do „mojej” kaplicy w głębi prezbiterium — miejsca skupienia i modlitwy, gdzie co wieczór przychodziłem pomodlić się.

Matka Boska Bolesciwa. Kilka słabo oświetlonych ławek, ołtarz ze sztucznymi świecami i liturgicznymi przedmiotami. Stałem po prawej stronie między kłęcznikami, ukryty przed spojrzzeniami. Zamknąłem oczy i wówczas usłyszałem ten głos:

— Zobacz, oni drzemią.

Obok mnie stał Luc — czternastoletni, chudy, rudy Luc. Już nie byłem w Notre Dame, ale w kaplicy gimnazjum Saint-Michel-de-Seze, w otoczeniu uczniów z trzeciej klasy. — Kiedy zostanę księdzem, wszyscy wierni będą musieli stać. — Odezwał się ponownie Luc tym swoim ostrym tonem. — Jak na koncercie rockowym!

Zuchwałość tego chłopaka zaskoczyła mnie. W tamtym okresie traktowałem swoją wiarę jako ukrywaną ułomność, ponieważ inni chłopcy lekceważyli lekcje religii. A ten chłopak głośno zapowiadał, że zostanie księdzem — księdzem rock and rolla!

— Nazywam się Luc. Luc Soubeyras. Mówią, że chowasz Biblię pod poduszką i że nigdy dotąd nie widziano tu takiego głupka. No więc chciałem ci powiedzieć, że drugim takim głupkiem

jestem ja. — Złożył ręce jak do modlitwy. „Błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości, albowiem do nich należy królestwo niebieskie”\*.

Wskazał wzrokiem na sufit prezbiterium, czekając, żebym przybił ręką na zgodę.

Kłaśnięcie naszych rąk sprowadziło mnie na powrót do rzeczywistości. Zamrugalem powiekami, znowu znalazłem się w moim schronieniu w Notre Dame. Wiklinowe klęczniki, drewniane ławki, modlitwa... Po chwili zanurzyłem się w przeszłości.

Tamtego dnia poznałem najbardziej oryginalną postać gimnazjum Saint-Michel-de-Seze. Zalewający potokiem słów, arogancki, złośliwy, ale pełen żarliwej wiary. Były to pierwsze miesiące roku szkolnego 1981/1982. Luc, uczeń klasy 3b, spędził już dwa lata w gimnazjum. Wysoki, chudy jak ja, miał nerwowe ruchy. Poza wzrostem i wiarą łączyło nas i to, że obaj mieliśmy imiona apostołów. On nosił imię po ewangelista Łukaszu, którego Dante nazwał „skrybą”, ponieważ jego ewangelia była najlepiej napisana. Ja, Mathieu, miałem imię po Mateuszu, celniku, stróżu prawa, który towarzyszył Chrystusowi i zapisywał każde jego słowo.

I na tym kończyły się nasze wspólne cechy. Ja urodziłem się w Paryżu w eleganckiej Szesnastej Dzielnicy. Luc Soubeyras pochodził z Aras, miasteczka w Pirenejach Wysokich. Mój ojciec zrobił majątek w latach siedemdziesiątych na reklamie. Luc był synem Nicolasa Soubeyrasa, nauczyciela, komunisty, speleologa amatora, znanego w swoim regionie z tego, że wiele miesięcy spędził w głębokich jaskiniach i trzy lata wcześniej zginął w jednej z nich. Ja byłem jedynakiem, wychowałem się w rodzinie, gdzie cynizmowi i wszelkiego rodzaju namiętnościom nadawano rangę wartości absolutnych. Luc, kiedy nie był w internacie, przebywał z matką pracującą dorywczo, katoliczką, alkoholicką, która wpadła w nałóg po śmierci męża.

Ja znalazłem się w gimnazjum Saint-Michel-de-Seze, ponieważ była to szkoła katolicka, jedna z najbardziej renomowanych we Francji, jedna z najdroższych, a przede wszystkim dlatego, że położona była daleko od Paryża. Nie istniało żadne ryzyko, że będę wpadać do rodziców na weekendy z moimi ponurymi myślami i mistycznymi kryzysami. Luc odbywał tu swoją edukację szkolną,

\* Biblia Tysiąclecia, Ewangelia według świętego Mateusza, 5, 10, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań—Warszawa 1990.



ponieważ jako sierota korzystał za darmo z internatu prowadzonego przez jezuitów.

Ostatecznie połączyła nas samotność. Nie mieliśmy swojego miejsca na świecie, żadnych zobowiązań, byliśmy gotowi spędzać w opustoszałym gimnazjum wszystkie wolne dni. Mieliśmy dużo czasu na dyskusje o naszym powołaniu.

Lubiliśmy opowiadać sobie o naszych religijnych objawieniach, biorąc za wzór Claudela, poruszonego urokiem Notre Dame, lub świętego Augustyna oczarowanego światłem ogrodu w Mediolanie. W moim wypadku stało się to w Wigilię Bożego Narodzenia, gdy miałem sześć lat. Podziwiając zabawki, które znalazłem pod choinką, przeniosłem się duchem w jakąś kosmiczną pustkę. Gdy obracałem w palcach czerwoną ciężarówkę, nagle doznałem wrażenia, że obejmuję niewidzialną, nieogarnioną rzeczywistość, obecną w każdym przedmiocie, każdym szczególe. Była to szpara w kurtynie, za którą skrywała się tajemnica i wezwanie. Odgadłem, że w tej tajemnicy kryje się prawda. Może właśnie dlatego, że nie znałem jeszcze odpowiedzi. Byłem na początku drogi, a moje pytania zawierały odpowiedzi. Dużo później przeczytałem u świętego Augustyna: „Wiara szuka, rozum znajduje...”.

W porównaniu z moim dyskretnym, intymnym objawieniem objawienie Luca było gwałtowne, spektakularne. Twierdził, że kiedy towarzyszył ojcu w jednej z górskich wypraw do jaskini, ujrzał na własne oczy potęgę Boga. Było to w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku, miał wówczas jedenaście lat. W połyskującym zboczu ukazała mu się twarz Boga. Pojął wtedy, że świat ma holistyczną naturę. Że Pan jest wszędzie, w każdym kamyku, w każdym źdźble trawy, każdym powiewie wiatru. Że każda cząstka, nawet najdrobniejsza, zawiera Całość. Luc nigdy nie zmienił tego przeświadczenia.

Nasza żarliwość religijna — jego w większym stopniu, moja w mniejszym — znalazła warunki do rozkwitu w gimnazjum Saint-Michel-de-Seze. I nie dlatego, że szkoła była katolicka — przeciwnie, gardziliśmy naszymi profesorami, bigotami z ich przesłodzoną, jezuicką wiarą — ale dlatego że budynki internatu postawiono wokół opactwa cystersów w najwyższej części kampusu.

Mieliśmy tam miejsca naszych spotkań. Jedno u stóp dzwonnicy, skąd roztaczał się rozległy widok na dolinę. Drugie nasze ulubione, znajdowało się pod sklepieniem dzwonnicy, gdzie stały posągi

apostołów. W cieniu skorodowanych twarzy świętego Jakuba Starszego z pielgrzymim kijem i świętego Mateusza z toporkiem przebudowywaliśmy świat. Świat liturgiczny!

Usadowiwszy się między kolumnami, rozgniatając niedopałki papierosów w blaszanej puszcze, przywoływaliśmy naszych bohaterów — pierwszych męczenników, którzy wyruszyli w drogę, aby głosić słowo Chrystusa, i ginęli na arenach, ale także świętego Augustyna, świętego Tomasza, świętego Jana od Krzyża... Wyobrażaliśmy sobie, że sami jesteśmy takimi bojownikami o wiarę, teologami, nowoczesnymi krzyżowcami, dokonującymi przewrotu w prawie kanonicznym, burzącymi spokój stetryczących kardynałów Watykanu, znajdującymi nowe rozwiązania w celu nawrócenia na nowo chrześcijan na całym

Kiedy pozostali mieszkańcy internatu urządzali wypadki do sypialni dziewcząt lub słuchali w swoich walkmanach zespołu Clash, my bez końca rozprawialiśmy o tajemnicy Eucharystii, konfrontowaliśmy teksty Arystotelesa i świętego Tomasza z Akwinu, krytykowaliśmy Sobór Watykański II, który naszym zdaniem nie był dostatecznie radykalny. Jeszcze teraz czułem zapach ściętej trawy w patio, tytoniu w zmiętych paczkach gauloise'ów i słyszałem nasze, zmienione mutacją głosy, cienkie i przenikliwe, gdy wybuchaliśmy śmiechem. Nasze tajne narady kończyły się nieodmiennie przypomnieniem ostatnich słów z *Pamiętnika wiejskiego proboszcza* Bernanosa: „Co to znaczy? Wszystko jest łaską”. Kiedy to zostało powiedziane, wszystko zostało powiedziane.

Dźwięk organów Notre Dame przywołał mnie do porządku. Spojrzałem na zegarek: siedemnasta czterdzieści pięć. Zaczynały się poniedziałkowe nieszpory. Otrząsnąłem się z odrętwienia i podniosłem z klęczek. I wtedy przeszył mnie nagły ból. Przypomniałem sobie całą sytuację: Luc w zawieszaniu między życiem i śmiercią; samobójstwo, akt beznadziejnej rozpacz.

Ruszyłem do wyjścia chwiejnym krokiem, z ręką na lewym biodrze. Miałem wrażenie, że płynę w moim szarym prochowcu. Jedynym punktem oparcia był dotyk pistoletu USP Heckler & Koch, który już od dawna nosiłem u pasa zamiast regulaminowego manhurina. Przede mną przesuwiał się mój cień, który niczym zjawa wił się wśród prześwitów między białymi długimi zasłonami zakrywającymi rusztowanie na ścianach odnawianego prezbiterium.

Na zewnątrz doznałem nowego szoku wywołanego nie przez światło dzienne, ale przez inne wspomnienie, które przeszło mnie

niczym grot strzały. Błada twarz wybuchającego śmiechem Luca. Rude włosy, zakrzywiony nos, cienkie wargi, duże, szare oczy, błyszczące niczym kałuże w deszczu.

W tym momencie doznałem olśnienia.

Przez cały miniony dzień nie przyszedł mi do głowy ten jakże istotny element. Luc Soubeyras nie mógł popełnić samobójstwa. Było to oczywiste. Taki żarliwy katolik jak on nie odbiera sobie życia. Życie jest darem od Boga i nie my nim dysponujemy.

### 3

Brygada kryminalna, Quai des Orfevres 36. Korytarze, ciemnoszara podłoga, kable elektryczne pod sufitem, mansardowe biura. To miejsce nie miało w sobie nic szczególnego. Wyciszone, neutralne, żadnego zapachu, choćby tytoniu czy potu, który mógłby zwrócić moją uwagę.

Mimo to nie opuszczało mnie przedziwne wrażenie wstrętnej wilgoci, jakbym znajdował się w jakimś żywym organizmie w stanie rozkładu. Była to oczywiście zwykła halucynacja mająca związek z moją afrykańską przeszłością. Wyniosłem stamtąd nienaturalną manierę patrzenia na trwałe przedmioty jak na istoty organiczne ociekające

Przez uchylone drzwi dostrzegałem niedwuznaczne spojrzenia — wszyscy już wiedzieli, co się stało. Przyśpieszyłem kroku, żeby nie musieć przekazywać nowych informacji o Lucu lub wymieniać banalnych uwag o beznadziei naszego zawodu. Wyjąłem korespondencję, która nagromadziła się w mojej przegródce, i zamknąłem za sobą drzwi do mojego pokoju.

Te spojrzenia dawały mi przedsmak dalszego ciągu wydarzeń. Wszyscy będą zastanawiać się nad czynem Luca. Zostanie wdrożone dochodzenie. Pod uwagę będzie brana przede wszystkim hipoteza o depresji, ale Byki, chłopaki z kontroli wewnętrznej policji, zaczną szperać w życiu Luca. Sprawdzać, czy nie uprawiał hazardu, czy nie był zadłużony, czy układając się ze swymi informatorami, nie dał się wciągnąć w jakieś nielegalne interesy. Rutynowe dochodzenie, które nic nie da i tylko wszystko zbruka.

Miałem mdłości, chciało mi się spać. Zdjąłem płaszcz, ale mimo ciepła panującego w pokoju zostałem w marynarce. Lubilem

dotyk jej jedwabnej podszewki. Jakby druga skóra. Usiadłem w fotelu i rozejrzałem się po pokoju. Pięć metrów kwadratowych bez okna, teczki z aktami na wszystkich ścianach.

Rzuciłem okiem na plik papierów, który wyjąłem z przegródki. Protokoły z przesłuchań, interpelacji, szczegółowe faktury telefoniczne, wyciągi bankowe podejrzanych, na które sędziowie wydali mi w końcu zgodę. A także biuletyn dostarczany nam co rano i wieczór z gabinetu ministra spraw wewnętrznych, jak również telegramy o najważniejszych wydarzeniach w departamencie Ile-de-France. Codzienne śmieci. Na wszystkim poprzyklejane żółte karteczki — moi porucznicy sygnalizowali w ten sposób rezultaty prowadzonych przez nich działań w danym dniu.

Mdłości nasiliły się. Nie chciało mi się nawet sprawdzić wiadomości z mojego laptopa i z sekretarki telefonicznej. Zadzwoiłem natomiast na posterunek żandarmerii w Nogent-le-Rotrou, miejsce położonym najbliższej Vernay, i poprosiłem o połączenie z kapitanem nadzorującym akcję ratunkową Luca. Potwierdził on informacje Svendsena. Obciążone ciało, szybki transport, przywrócenie do życia.

Odłożyłem słuchawkę, pomacałem się po kieszeniach. Znalazłem paczkę papierosów bez filtra, wyjąłem jednego, a potem zapalniczkę i z namysłem delektowałem się każdym szczegółem tego rytuału. Szelest bibułki, wschodnia woń tytoniu zmieszana z zapachem benzyny z zapalniczki, a potem głębokie zaciągnięcie się ciepłym dymem.

Godzina osiemnasta. Zabrałem się w końcu do odczytania dokumentów. Najpierw żółte karteczki z napisami wyrażającymi solidarność: „Jestem z tobą, Frank”. „Jeszcze nic straconego, Gilles”. „Nie trać odwagi! Philippe”. Odkleiłem je i odłożyłem na bok.

Dopiero po tym zająłem się właściwą pracą, licząc sukcesy i porażki minionego dnia. Foucault informował, że DPJ\* z Louis-Blanc nie zgodził się przekazać nam dokumentacji na temat pociętych zwłok znalezionych w pobliżu bulwaru Stalingradu. To morderstwo mogło mieć związek z porachunkami między dealerami, w których sprawie prowadziliśmy od miesiąca dochodzenie w Villette. Ta odmowa nie zdziwiła mnie. Istniała stała rywalizacja

\* DPJ (Departement de Police Judiciaire) — policja sądowa.

między DPJ a brygadą kryminalną. Każdy pilnuje dobrze swoich trupów.

Wiadomość następna, bardziej pozytywna. Dwa tygodnie wcześniej kolega z mojego roku studiów, pracujący w DPJ w Cergy-Pontoise, prosił mnie o radę w sprawie pewnego zabójstwa: na parkingu zamordowano kobietę w wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat, z zawodu kosmetyczkę. Żadnych świadków. Szesnaście cięć brzytwą. Brak śladów rabunku czy gwałtu. Dochodzeniowcy najpierw przyjęli tezę zabójstwa w afekcie, potem aktu perwersji, aż w końcu znaleźli się w impasie.

Oglądając zdjęcie zwłok, zauważyłem kilka szczegółów. Kąt, pod jakim zadane zostały cięcia brzytwą, wskazywał, że zabójca był tego samego, niewysokiego wzrostu co ofiara. Narzędzie zbrodni było niecodzienne; nóż do szatkowania kapusty, jaki można kupić na targu ze starzyzną. Takiego narzędzia używają prostytutki, załatwiając między sobą porachunki, chcąc oszczędzić przeciwniczkę. Mężczyźni wolą wbijać w brzuch zwykły nóż.

Uwagę zwracały jednak rany na twarzy, piersi i podbrzuszu. Zabójca pastwił się na tych częściach ciała, które podkreślały płęć ofiary. Skupił się przede wszystkim na twarzy, tnąc nos, wargi, oczy. Morderca, szpecąc swoją ofiarę, być może w myślach atakował lustro, w którym widział odbicie własnej twarzy. Zwróciłem także uwagę i na to, że nic nie świadczyło o tym, żeby napadnięta kobieta broniła się, próbowała walczyć, osłaniać się. Znała napastnika. Zapytałem kolegę z Cergy, czy zmarła miała córkę lub siostrę. Obiecał, że jeszcze raz to sprawdzi. Na karteczce napisał tylko: „Córka przyznała się!”.

Odłożyłem na bok faktury telefoniczne, wyciągi z banków. W tym momencie nie byłem w stanie zajmować się nimi. Przeszedłem do następnego, świeżo wydrukowanego pliku. Był to raport opisujący scenę zbrodni, której osobiście nie oglądałem. Trzeci człowiek w mojej grupie, Meyer, pełnił funkcję pisarza. Mając dyplom z nauk humanistycznych, barwnie opisywał miejsca zbrodni.

Od razu przypomniałem sobie całą historię. Le Perreux, południe, przedwczoraj. W porze obiadowej kilku napastników wtargnęło do sklepu jubilerskiego. Kierowniczką nie zdążyła nawet włączyć alarmu. Zabrali pieniądze i biżuterię. Kobietę odnaleziono następnego dnia w lesie nad Marną, zamordowaną. I właśnie to miejsce opisywał Meyer: ciało do połowy pogrzebane, sucha ziemia,

zwiędłe liście. I pantofle ofiary ustawione prostopadle do grobu. Co to miało oznaczać?

Powróciło do mnie pewne wspomnienie. W okresie mojej humanitarnej działalności, przed wyprawą do Afryki, jeździłem po północnej części miasta autobusem rozwożącym żywność, odzież i środki higieny dla rodzin koczujących pod mostami na przedmieściach. Przy tej okazji poznałem kulturę Romów. Odkryłem, że ludzie ci, cieszący się opinią brudasów i wykolejeńców, tworzą zwartą strukturę społeczną przestrzegającą ścisłych reguł dotyczących zwłaszcza miłości i śmierci. Na jednym z pogrzebów zauważyłem, że Cyganie przed pochowaniem zdjęli zmarłemu obuwie i ustawili je obok grobu. Dlaczego? Nie pamiętałem, ale to podobieństwo zasługiwało na zbadanie.

Podniosłem słuchawkę telefonu i zadzwoniłem do Malaspeya. Najbardziej opanowanego i najmniej gadatliwego w mojej grupie. Wolał nie mówić ze mną o Lucu. Bez wstępnych wyjaśnień poleciłem mu, żeby znalazł znawcę Romów i spytał się o ich zwyczaje pogrzebowe. Jeśli moje podejrzenie potwierdziłoby się, należałoby poszperać w cygańskich wspólnotach zamieszkujących przedmieścia. Malaspey, jak przewidywałem, przyjął zlecenie bez komentarza.

Wróciłem do papierzyk. Na próżno. Nie byłem w stanie się skoncentrować. Zostawiłem raporty z przesłuchań i rozejrzałem się po mojej gradami ze ścianami zastawionymi półkami zawalonymi aktami niewyjaśnionych spraw. Nie chciało mi się ich uporządkować. Byłem jedynym w wydziale, który przechowywał takie stare dokumenty. Jedynym również, który przedłużał termin ich przedawnienia — dziesięć lat dla morderstw — wznawiając co jakiś czas dochodzenie i znajdując

Z daleka spoglądałem na przypięte pineską nad teczką na półce zdjęcie małej dziewczynki. Cecilia Bloch, której spalone zwłoki znaleziono w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku kilka kilometrów od siedziby szkoły Saint-Michel-de-Seze. Winnego nigdy nie znaleziono, jedyną wskazówką był rozpylacz w aerozolu, który użyto do podpalenia ciała. Mieszkałem wówczas w internacie w Seze i myślałem o tej sprawie wręcz obsesyjnie. Dręczyło mnie zwłaszcza jedno pytanie: czy morderca zabił najpierw dziewczynkę, czy też spalił ją żywcem? Kiedy zostałem policjantem, odszukałem akta tej sprawy. Wróciłem na miejsce

zdarzenia. Wypytywałem żandarmów, mieszkańców, sąsiadów — bez rezultatu.

Na ścianie widniało zdjęcie jeszcze innej dziewczynki. Ingrid Coralin. Sierota, która musi mieć teraz dwanaście lat i wychowuje się zapewne w różnych rodzinach. Dziewczynka, której rodziców pośrednio zabiłem w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku, a której teraz posyłałem anonimowo pieniądze na życie.

Cecilia Bloch, Ingrid Coralin.

Moje zjawy, moja jedyna rodzina...

Wziąłem się w garść, spojrzałem na zegarek. Była już prawie dwudziesta — czas na działanie. Poszedłem piętro wyżej. Wystukałem kod dostępu do wydziału do walki z narkotykami. Przeszedłem przez salę, gdzie pracowała grupa dochodzeniowa kierowana przez Luca. Pusto. Pewnie wszyscy udali się jak zazwyczaj w takich wypadkach do piwiarni. Ludzie Luca byli najtwardszymi facetami na Quai des Orfevres. Nie puszcza pary z ust przesłuchiwani przez chłopaków z kontroli

Minąłem drzwi do pokoju Luca i zająrzałem do sąsiednich pomieszczeń. Nigdzie nie było nikogo. Wróciłem, nacisnąłem klamkę i przekonałem się, że drzwi są zamknięte. Wyjąłem z kieszeni pęk wytrychów i w sekundę poradziłem sobie z zamkiem. Bezszelestnie wśliznąłem się do pokoju Luca.

Panował tu idealny porządek. Na biurku ani jednego papierka. Na ścianie żadnej kartki z uwagami dotyczącymi prowadzonych spraw. Na podłodze nie wałał się ani jeden zapomniany papierek. Luc rzeczywiście postanowił odejść i dobrze się do tego przygotował. Nie chciał zdradzać swoich sekretów.

Stałem kilka sekund bez ruchu, poddając się atmosferze tego pokoju. Kanciapa Luca nie była większa od mojej, ale miała okno. Obszedłem biurko — mebel z lat trzydziestych, który Luc kupił na pchlim targu. Na ścianie, za fotelem, wisiała korkowa tablica. Pozostało na niej kilka przypiętych zdjęć. Nie wykonał ich zawodowiec. Były to portrety ośmioletniej Camille i sześcioletniej Amandine. W półmroku ich uśmiechnięte buzie falowały na błyszczącym papierze niczym na powierzchni jeziora. Wisiały tu również dziecinne rysunki — wróżki, domy, rodzice z dziećmi, »tatus" uzbrojony w duży pistolet ścigający „handlarzy narkotyków". Dotknąłem tych zdjęć i szepnąłem: „Coś ty zrobił? Idioto, coś ty zrobił?..."

Zajrzałem do wszystkich szuflad. W pierwszej przeróżne drobiazgi, kajdanki, Biblia. W drugiej i trzeciej teczki ostatnich zakończonych spraw. Bezbłędnie sporządzone raporty, starannie zredagowane notatki służbowe. Luc nigdy nie dbał o taki porządek. Po prostu wszystko to teraz zainscenizował.

Zatrzymałem się przy komputerze. Bardzo wątpliwe, żeby zachował w nim coś na temat swojego ostatniego dochodzenia, ale musiałem się upewnić. Machinalnie nacisnąłem klawisz spacji. Ekran rozświetlił się. Chwyciłem mysz i kliknąłem na jedną z ikonek. Komputer zapytał o hasło. Napisałem datę urodzin Luca, ot tak, na chybił trafił. Imiona Camille i Amandine. Dwie odmowy, raz po raz. Zamierzałem spróbować po raz czwarty, kiedy w pokoju zabłyśło światło.

— Co ty tu robisz?

Na progu stał Patrick Doucet, zwany „Doudou”, numer dwa w grupie Luca. Wszedł do środka i powtórzył pytanie:

— Co ty tu robisz?

Zaskoczony nie odpowiedziałem od razu. Doudou był najniebezpieczniejszy w ich grupie. Gwałtowny w reakcjach, często na amfetaminie, służbę wojskową odbył w BRI\* i żył od akcji do akcji. Miał około trzydziestki, twarz niewinnego anioła, bary kulturysty opięte starą, skórzaną kurtką. Włosy nosił obcięte krótko po bokach, długie na szyi. Znak szczególny: na prawej skroni wystrzyżone trzy pazury.

Doudou wskazał na włączony komputer.

— Jak zawsze grzebiesz w gównie, co?

— Dlaczego w gównie?

Nie odpowiedział. Dygotał ze złości. Spod rozpiętej kurtki wystawała kolba glocka 21, kaliber 45 — regulaminowe wyposażenie tej grupy.

— Śmierdzisz alkoholem — zauważyłem.

— A co, nie było powodu do wypicia?

Słusznie się domyśliłem. Ludzie Luca poszli się uchlać. Jeśli wrócą, to zostaną zlinczowani przez kolegów z rywalizującej z nami grupy.

— Czego tu szukasz? — zasyczał mi prosto w twarz.

— Chcę się dowiedzieć, dlaczego Luc to zrobił.

— Przyjrzyj się własnemu życiu. Będziesz miał odpowiedź.

\* BRI (Brigade d'Intervention) — brygada interwencyjna.



— Luc nigdy nie odebrałby sobie życia. Jakikolwiek ono by było. Jest darem Boga i...

— Nie wyjeżdżaj mi tu ze swoimi kazaniami.

Doudou nie spuszczał ze mnie wzroku. Dzieliło nas tylko biurko. Stwierdziłem, że z lekka się chwiał na nogach. Był pijany. Uznałem, że lepiej będzie zapytać wprost:

— Jak się zachowywał w ostatnich tygodniach?

— A co tobie do tego?

— Nad czym pracował?

Doudou przeciągnął dłonią po twarzy. Przycisnąłem się do ściany, kierując się do wyjścia.

— Musiało się coś wydarzyć... — kontynuowałem, nie spuszczać z niego wzroku. — Może załamało go jakieś dochodzenie...

Doudou roześmiał się.

— Czego szukasz? Sprawy, która zabija?

W pijackim zamroczeniu nieświadomie znalazł właściwe słowo. Jeśli Luc faktycznie popełnił samobójstwo, być może uczynił to pod wpływem jakiejś sprawy, która podważyła zasady jego katolickiej wiary.

— Mów, do cholery, nad czym pracowaliście? — naciskałem.

Doudou patrzył na mnie spod oka. Zamiast odpowiedzi straszliwie czknął.

— Na nic się nie zdadzą twoje sztuczki — uśmiechnąłem się. — Jutro te same pytania zadadzą ci Byki z kontroli wewnętrznej.

— Mam ich gdzieś.

Uderzył w komputer pięścią. Błysnęła bransoletka na jego przegubie.

— Luc jest w porządku, kapujesz? I my też nie mamy sobie nic do wyrzucenia! Skurwysynu! — ryknął.

Wróciłem do komputera i wyłączyłem go.

— Jeśli tak — mruknąłem — to w twoim interesie jest zmienić zachowanie.

— Teraz gadasz jak adwokat.

Stałem naprzeciw niego. Miałem dość tej jego taniej pogardy.

— Posłuchaj mnie, kretynie. Luc jest moim najlepszym kumplem, kapujesz? Przestań więc patrzeć na mnie jak na zdrajcę. Dojdę do tego, dlaczego to zrobił. Nie przeszkodzisz mi w tym.

Mówiąc to, skierowałem się do drzwi. Gdy byłem już na progu, Doudou krzyknął:

— Nikt nie piśnie ani słówka, Durey. Jeśli zamieszasz w gównie, to wszyscy będą nim opryskani.  
— A gdybyś powiedział mi tak coś więcej? — rzuciłem przez ramię. Zamiast odpowiedzi szpetnie zaklął.

## 4

Schody zewnętrzne pod gołym niebem. Kiedy pierwszy raz przyszedłem obejrzeć to mieszkanie, od razu wiedziałem, że je wynajmę ze względu na ten szczegół. Wykładane kamiennymi płytkami schody, wiszące nad dziedzińcem z osiemnastego wieku, z żelazną balustradą obrośniętą bluszczem. Wyobraziłem sobie, jak wracam z pracy i wspinam się po stopniach, jak ogarnia mnie spokój.

I nie pomyliłem się. Cały mój dobytek rozlokowałem w trzech pokojach tego mieszkania w dzielnicy Marais i od czterech lat codziennie przeżywałem magiczny urok tych schodów. Po wszystkich okropieństwach, z jakimi miałem do czynienia w pracy, żelazne spirale i liście wpływały na mnie oczyszczająco. Już na progu zaczynałem się rozbierać, wrzucałem pomięte rzeczy do worka na pranie i wchodziłem pod prysznic, kończąc proces oczyszczania.

Tego wieczoru wydawało się jednak, że schody straciły swoją moc. Na trzecim piętrze zatrzymałem się. Ktoś na mnie czekał, siedząc na stopniach. W półmroku dostrzegłem płaszcz z zamszu, śliwkowego koloru kostium. Była to moja matka — ostatnia osoba, którą miałem ochotę teraz oglądać.

Gdy pokonałem ostatnie stopnie, usłyszałem jej chrypliwy głos.

— Dzwoniłam do ciebie, zostawiłam wiadomość na sekretarce — powiedziała z wymówką. — Nie odezwałeś się.

— Miałem bardzo zły dzień.

Nie było sensu wyjaśniać jej sytuacji. Matka widziała Luca może ze dwa razy, gdy byliśmy chłopcami. Nie powiedziała wówczas nic, ale wyraz jej twarzy mówił sam za siebie. Taki sam grymas pojawiał się u niej, gdy zastawała głośno rozmawiającą rodzinę w salonie lub odkrywała plamę na jednej ze swoich kanap — rzeczy trudne do zniesienia dla światowej damy.

Nie ruszyła się ze stopnia, usiadłem więc obok niej, nawet nie zapalając światła w korytarzu. Byliśmy osłonięci od wiatru i deszczu. Jak na dwudziesty pierwszy października było dość ciepło.

— Co cię sprowadza? Czy to coś pilnego?

— Chyba mogę cię odwiedzić bez konkretnego powodu. Założyła zgrabnie nogę na nogę i zobaczyłem jej spódnicę — tweed z wełny boucle. Fendi albo Chanel. Mój wzrok powędrował do jej pantofli. Czerń i złoto. Manolo Blahnik. Ten gest, te detale... Oczyma wyobraźni zobaczyłem, jak przyjmuje gości podczas niedających się uniknąć obiadów. Nałożyły się na to inne obrazy. Ojciec nazywający mnie czule „małym świętoszkiem”, sadzający mnie na końcu stołu; matka zawsze odsuwająca się ode mnie w strachu, żebym nie pogniół jej sukienki. I moja niema duma w obliczu ich dystansu i przyziemnego materializmu.

— Od tygodni nie jedliśmy razem obiadu.

Mając o coś pretensję, zawsze mówiła ze słodką modulacją głosu. Podkreślała, jak bardzo jest zraniona, ale sama w to nie wierzyła. Moja matka, która nosiła tylko ubrania markowe i wyrażała się w sposób wyszukany, jeśli chodzi o uczucia, żyła w coraz bardziej nierealnym św — Wybacz, ale nie zauważam nawet upływu czasu.

— Nie kochasz mnie.

Miała dar wygłaszania tragicznych sentencji, zmieniając niespodziewanie charakter banalnej rozmowy. Tym razem przybrała ton rozpieszczonej dziewczynki. Wdychałem intensywny zapach wilgotnego bluszczu i świeżo malowanych ścian.

— Prawdę mówiąc, nie kochasz nikogo.

— Przeciwnie, kocham wszystkich.

— No właśnie. Twoje uczucie jest ogólne, abstrakcyjne. Teoretyczne... Nie przedstawiłeś mi nigdy żadnej dziewczyny.

Obserwowałem kawałek czarnego nieba widocznego ponad żelazną poręczą.

— Mówiliśmy już o tym tysiące razy. Mam inne zobowiązania. Staram się kochać wszystkich.

— Nawet zbrodniarzy?

— Zwłaszcza zbrodniarzy.

Poprawiła płaszcz na kolanach. Przyglądałem się jej profilowi okolonemu miedzianymi lokami.

— Zachowujesz się jak chory psychicznie — stwierdziła. — Twoja uwaga skierowana jest na wszystkich, a w rzeczywistości

na nikogo. Miłość, mój synu, polega na tym, że ryzykuje się dla kogoś życie.

Nie wydawało mi się, żeby była odpowiednią osobą do wygłaszania takich poglądów. Mimo to odpowiedziałem, przeczuwając, że ta przemowa ma jakiś ukryty cel.

— Znalazłszy Boga, znalazłem źródło życia. Źródło miłości, które nigdy nie wysycha i które powinno rodzić takie same uczucia u innych.

— Znowu te twoje kazania. Żyjesz w innym czasie, Mathieu.

— Dzień, w którym pojdziesz, że te słowa nie mają związku z modą, z epoką...

— Nie mów do mnie tak napuszenie.

Nagle uderzył mnie wyraz jej twarzy. Była jak zawsze opalona, zadbane, ale pojawiły się na jej twarzy oznaki zmęczenia, znużenia.

— Wiesz, ile mam lat? — zapytała niespodziewanie. — To znaczy, jaki jest prawdziwy mój wiek?

Była to jedna z najlepiej strzeżonych tajemnic w Paryżu. Gdy tylko uzyskałem dostęp do jej dokumentów, natychmiast to sprawdziłem. Żeby sprawić jej przyjemność, odpowiedziałem:

— Pięćdziesiąt pięć, pięćdziesiąt sześć...

— Sześćdziesiąt pięć.

Ja miałem trzydzieści pięć. Kiedy w wieku trzydziestu lat wyszła za mąż po raz drugi, za swojego ojca, ją samą zaskoczył macierzyński instynkt. Uzgodnili oboje ten zamiar, jak uzgadniali zakup nowego jachtu lub obrazu Pierre'a Soulages'a. Moje narodziny na początku zapewne ich bawiły, ale szybko się mną znużyli. Zwłaszcza matka, którą zawsze męczyły własne kaprysy. Całą jej energię absorbowały egoizm, bezczynność, obojętność.

— Potrzebuję księdza.

Zaniepokoiłem się. Pomyślałem od razu o jakiejś śmiertelnej chorobie, o wstrząsie, pod którego wpływem następuje przemiana duchowa.

— Nie jesteś chyba...

— Chora? — Uśmiechnęła się lekceważąco. — Ależ skąd. Nie jestem chora. Chcę się wypowiedzieć, to wszystko. Uporządkować swoje sprawy. Odnaleźć jakby... dziewictwo.

— Coś takiego jak lifting.

— Nie żartuj.

— Sądziłem, że wyznajesz jakąś wschodnią religię — mruknąłem. — A może New Age?

Pokiwała z wolną głową, spoglądając na mnie ukradkiem. Jej jasne oczy w twarzy o matowej cerze miały nadal niezwykły urok.

— Bawi cię to?

— Nie.

— Mówisz szyderczym tonem.

— Nic podobnego.

— Nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy. Zawsze ten dystans, ta wyższość...

— Do czego ci spowiedź? Czy chcesz porozmawiać o tym ze mną?

— Na pewno nie z tobą. Czy masz uprawnienia, żeby mi doradzać? Potrzebny mi ktoś, komu mogłabym się zwierzyć. Ktoś, kto umiałby odpowiedzieć...

Moja matka w jakimś mistycznym kryzysie. Zdecydowanie nie był to zwykły dzień. Deszcz znowu zaczął padać.

— To chyba z powodu wieku — szepnęła. — Nie wiem. Chciałabym odnaleźć... wyższą moralność.

Wyjąłem pióro i wyrwałem kartkę z notesu. Bez zastanawiania się napisałem nazwisko i adres pewnego zakonnika, którego często odwiedzałem. Księża nie są jak psychiatrzy, można nimi dzielić się w rodzinie. Podałem jej kartkę.

— Dziękuję.

Podniosła się, rozsiewając wokoło zapach perfum.

— Chcesz wejść?

— Jestem już spóźniona. Zadzwoń do ciebie.

Znikła na schodach. Jej sylwetka w zamszowym płaszczu doskonale wtapiała się w połyskujące wilgotne liście, biel ścian. Ta sama świeżość, ta sama czystość. Nagle to ja poczułem się staro. Odwróciłem się w stronę korytarza, gdzie lśniły jaskrawą zielenią drzwi do mego mieszkania.

## 5

Mimo iż minęły cztery lata, nie byłem jeszcze do końca urządzony. Pudła z książkami i CD wypełniały przedpokój. Położyłem na nich pistolet, zrzuciłem nieprzemakalny płaszcz i ściągnąłem z nóg buty, odwieczne mokasyny Sebago, ten sam model od czasów mojej młodości.

Zapaliłem światło w łazience, napotykając własne odbicie w lustrze. Znajoma sylwetka: ciemny, dobrej marki garnitur, mocno podniszczony, jasna koszula i ciemnoszary krawat, równie zniszczony. Wyglądałem raczej jak adwokat niż policjant z terenu. Zdany na łaskę losu adwokat, który za długo miał do czynienia z przestępcami.

Nachyliłem się. Moja twarz przywodziła na myśl podwiędłe wrzosowisko, las przeczesany wiatrem — pejzaż w stylu Turnera. Twarz fanatyka, z jasnymi, głęboko osadzonymi oczyma, z ciemnymi włosami opadającymi na czoło. Podstawiłem twarz pod zimną wodę, wciąż rozmyślając o dziwnym zbiegu okoliczności dzisiejszego wieczoru. Śpiączka Luca i wizyta matki.

W kuchni nalałem sobie zielonej herbaty zaparzonej rano w termosie. Potem wstawiłem do mikrofalówki miskę ryżu, który ugotowałem w weekend na cały tydzień. Mój ascetyzm wynikał z filozofii zen. Nie znosiłem zapachów organicznych — mięsa, owoców, pieczenia. Całe moje mieszkanie przesiąknięte było dymem kadzidła, które stale paliłem. Jadałem ryż, bo mogłem posługiwać się drewnianymi pałeczkami. Nie cierpiałem brzęku ani dotyku metalowych sztućców. Z tego też powodu nie chodziłem do restauracji, nie umawiałem się na kolację w mieście.

Tego wieczoru nie byłem w stanie niczego przełknąć. Po dwóch kęsach wyrzuciłem zawartość miski do kubła ze śmieciami i nalałem sobie kawy z drugiego termosu.

Moje mieszkanie składało się z salonu, sypialni, gabinetu. Klasyczne trzypokojowe mieszkanie paryskiego kawalera. Białe ściany, ciemny parkiet, sufit w salonie z belek w tym samym kolorze. Pogrążony w myślach poszedłem od razu do sypialni.

Oczywiście myślałem o Lucu.

Nie rozmyślałem jednak o stanie jego zdrowia ani o tym, co zrobił — choć też nie było to jasne do końca. Wspominałem jedną z najdziwniejszych cech mojego przyjaciela.

Jego zafascynowanie diabłem.

#### *Październik 1989 rok*

Miałem wówczas dwadzieścia dwa lata.

Po czterech latach studiów na Sorbonie właśnie napisałem pracę dyplomową — „Manicheizm u świętego Augustyna”, i postanowiłem podjąć dalsze badania w tym kierunku. Zamierzałem zapisać

się do Instytutu Katolickiego. Moim celem był doktorat z prawa kanonicznego na wydziale teologii. Temat pracy, „Kształtowanie się chrześcijaństwa na podstawie dzieł pierwszych łacińskich pisarzy chrześcijańskich”, dawał mi możliwość przebywania przez wiele lat z ulubionymi autorami, takimi jak: Tertulian, Minucjusz Feliks, Cyprian...

W tamtym okresie przestrzegałem trzech ślubów zakonnych — posłuszeństwa, ubóstwa, czystości. Dzięki temu nie narażałem rodziców na duże wydatki. Ojciec nie pochwalał mojej postawy. „Religią człowieka współczesnego jest konsumpcja” — głosił, cytując bez wątpienia Jacques'a Seguela. Jednak potrafił docenić to, że wytrwale trzymałem się swoich zasad. Matka natomiast przez snobizm udawała, że rozumie moje powołanie. W latach osiemdziesiątych o wiele bardziej oryginalnie było słuchaniu psychodelicznej muzyki rodem z restauracji Bains-Douches lub zażywa kokainę.

Mylili się. Nie umartwiałem się. Moja wiara oparta była na radości. Żyłem w świecie światła, w ogromnej świątyni, w której nieustannie paliły się tysiące świec.

Pasjonowałem się autorami łacińskimi. Byli odbiciem wielkich zmian w świecie zachodnim. Pragnąłem opisać ten przewrót, niezwykle wstrząs wywołany myślą chrześcijańską, która przeciwstawiła się wszystkiemu, co wcześniej powiedziano i napisano. Przybycie Chrystusa na ziemię było duchowym cudem, lecz także rewolucją filozoficzną. Fizycznym przeobrażeniem — wcieleniem Boga w człowieka — i przeobrażeniem Słowa. Odtąd słowa, myśli ludzkie już nie miały być nigdy takie same...

Wyobrażałem sobie zaskoczenie Hebrajczyków, gdy zetknęli się z nauką Chrystusa. Lud wybrany, który czekał na potężnego, groźnego mesjasza, przybywającego na rydwanie ognistym, ujrzał istotę przepelnioną współczuciem, której jedyną siłą była miłość, która twierdziła, że każda klęska jest zwycięstwem i że wszyscy ludzie są wybrani. Myślałem także o Grekach, o Rzymianach, którzy stworzyli bogów na swój obraz, z ich własnymi sprzecznościami, i którzy zobaczyli niespodzianie Boga przybierającego postać człowieka. Boga, który nie gnębił, lecz przeciwnie, zszedł do ludzi, żeby podnieść ich na duchu.

To był ten wielki zwrot, który pragnąłem opisać. Ten błogosławiony czas, kiedy chrześcijaństwo było gliną w trakcie for-

mowania, kontynentem w ruchu, a pierwsi pisarze chrześcijańscy stanowili jego siłą żywotną, gwarancją sukcesu. Po ewangelistach, po listach i pismach apostołów świeccy autorzy zajęli się ocenianiem, rozwijaniem, komentowaniem ogromnego materiału, który im

Szedłem przez dziedziniec Instytutu, gdy ktoś uderzył mnie po ramieniu. Odwróciłem się. Przede mną stał Luc Soubeyras. Błada twarz pod rudą czupryną, szczupły, otulony wełnianym płaszczem z kapturem, z szalikiem na szyi.

— Co ty tu robisz? — zapytałem, nie kryjąc zaskoczenia. Opuścił oczy na trzymane w ręku dokumenty.

— Sądzę, że to samo co ty.

— Pisziesz pracę doktorską? — zapytałem z niedowierzaniem. Nie odpowiedział, tylko poprawił okulary na nosie.

— Gdzie byłeś przez ten cały czas? — pytałem dalej. — Od jak dawna nie widzieliśmy się, od matury?

— Wróciłeś do swoich burżuazyjnych źródeł.

— Co ty gadasz? Ciągle ciebie wspominałem. Co porabiałeś?

— Studiowałem tutaj, w Instytucie Katolickim.

— Teologię?

Stuknął obcasami i stanął na baczność.

— *Yes, sir!* A dodatkowo mam dyplom z filologii klasycznej.

— No to poszliśmy tą samą drogą.

— Wątpiłeś w to?

Nie odpowiedziałem. W ostatnim okresie w Saint-Michel-de-Seze Luc zmienił się. Stał się jeszcze bardziej szydery, zaczął nawet drwić z własnej wiary. Nie wierzyłem już w jego powołanie. Poczęstował mnie *gauloise'em* i sam też zapalił.

— Jaki jest temat twojej pracy doktorskiej?

— Narodziny literatury chrześcijańskiej. Tertulian, Cyprian...

Gwizdnął z podziwu.

— A twojej?

— Jeszcze nie wiem. Może będę pisał o diable.

— Diable?

— Jako triumfującej sile tego wieku.

— Co ty opowiadasz?

Luc ominął grupę studentów i skierował się w głąb dziedzińca, do ogrodu.

— Od pewnego czasu interesuję się siłami negatywnymi.

— Jakimi siłami negatywnymi?



— A twoim zdaniem dlaczego Chrystus przybył na ziemię?  
Nie odpowiedziałem. Pytanie było zbyt banalne.

— Przybył, żeby nas zbawić — mówił dalej Luc. — Odkupić nasze grzechy.

— No i co?

— Zło już tu było. Na długo przed Chrystusem. Było tu zawsze. Zawsze wyprzedzało Boga.

Machnąłem lekceważąco ręką. Nie po to studiowałem cztery lata teologię, żeby wracać do takiego prymitywnego rozumowania.

— Co w tym nowego? Księga Rodzaju zaczyna się od węża i...

— Ja nie mówię o kuszeniu. Mówię o istniejącej w nas sile, która odpowiada na kuszenie, która je usprawiedliwia.

Trawniki usiane były zwiędłymi liśćmi. Małe ciemne, brunatno-żółte, czerwone punkciki jesieni.

— Od czasu świętego Augustyna wiadomo, że zło nie ma ontologicznego uzasadnienia — powiedziałem, ucinając jego wywód.

— Augustyn wymienia słowo „diabeł” dwa tysiące trzysta razy. I to nie licząc synonimów...

— Jako przenośnię, symbol, metaforę... Należy wziąć pod uwagę, jaka to była epoka. Ale według Augustyna Bóg nie mógł stworzyć zła. Zło jest jedynie zniekształceniem dobra. Słabością. Człowiek został stworzony dla światła. On sam jest światłem, bo jest emanacją Boga. Potrzebuje jedynie przewodnika, musi być czasami przywołany do porządku. Wszystkie istoty są dobre, bo tak zostały stworzone.

Luc westchnął teatralnie.

— Jeśli Bóg jest tak wielki, to jak wytłumaczyć, że zawsze ponosi klęskę ze zwykłymi słabościami? Jak wytłumaczyć, że zło jest wszędzie i że za każdym razem triumfuje? Opiewać chwałę Boga to opiewać wielkość zła.

— Błędzisz.

Zatrzymał się w pół kroku i odwrócił do mnie.

— Historia ludzkości jest historią okrucieństwa, gwałtu, destrukcji. Nikt nie może temu zaprzeczyć. Jak to wyjaśnisz?

Nie lubiłem jego spojrzenia zza okularów. Oczy błyszczały mu gorączkowo. Nie chciałem odpowiadać, żeby nie musieć rozstrzygać starej jak świat zagadki brutalnej, złej, beznadziejnej strony ludzkości.

— No to ja ci powiem — podjął Luc, kładąc rękę na moim

ramieniu. — Ponieważ zło jest realną siłą. Równą dobru. We wszechświecie te dwie przeciwstawne siły wciąż walczą ze sobą. I bitwa ta wciąż nie jest rozstrzygnięta.

— To powrót do manicheizmu.

— A dlaczego nie? We wszystkich religiach monoteistycznych kryje się dualizm. Historia świata to historia pojedynku. Bez polubownego rozjemcy.

Pod naszymi stopami szeleściły liście. Mój początkowy entuzjazm rozwiął się. Lepiej byłoby, gdyby nie doszło do tego spotkania. Przyśpieszyłem kroku, zmierzając w kierunku biura, gdzie odbywały się

— Nie wiem, co studiowałeś przez minione lata, ale musiało to mieć coś wspólnego z okultyzmem.

— Nic podobnego — odrzekł, przytrzymując mnie — zajmowałem się naukami nowożytnymi! Zło jest obecne wszędzie. Zarówno jako siła fizyczna, jak i w sferze duchowej. Prawo równowagi — to bardzo proste.

— Wyważasz otwarte drzwi.

— Za często zapomina się o tych drzwiach pod pozorem złożoności, głębi. W hierarchii kosmicznej moc negatywna zajmuje pierwsze miejsce. Pomyśl o wybuchach gwiazd. Prowadzą one do powstawania czarnych dziur, złowrogich otchłani, które wszystko w siebie wysysają...

Pojąłem, że Luc pisał już swoją pracę doktorską. Ogarnięty jakimś obłędem zajmował się odwrotną stroną świata, tworzył coś w rodzaju antologii uniwersalnego zła.

— Weźmy na przykład psychoanalizę — mówił dalej, wydmuchując dym z papierosa. — Czym się ona zajmuje? Naszą czarną odwrotną stroną, naszymi niewypowiedzianymi pragnieniami, naszą potrzebą destrukcji. Albo komunizm. Piękna idea w założeniu. I do czego doszło? Do największego w tym wieku ludobójstwa. Cokolwiek robimy, cokolwiek myślimy, zawsze wracamy do naszej złej strony. Wiek dwudziesty jest tego najdoskonalszym świadectwem.

— Tak można przedstawić każde działanie człowieka. To zbyt wielkie uproszczenie.

Luc zapalił następnego papierosa od niedopałka poprzedniego.

— Dzieje świata streszczają się w zmaganiu tych dwóch sił. Przez jakiś dziwny błąd w rozumowaniu chrześcijaństwo, które nadało imię złu, chce, abyśmy wierzyli, że chodzi o dodatkowe zjawisko. Niczego się nie wygra, jeśli nie docenia się wroga!

Znaleźliśmy się przed budynkiem administracji. Wszedłem na pierwszy stopień ganku i zapytałem z irytacją:

— Co chcesz udowodnić?

— Po uzyskaniu doktoratu wstąpisz do seminarium?

— Zrobię to już w trakcie pisania. W przyszłym roku zamierzam jechać do Rzymu.

Twarz wykrzywił mu grymas.

— Widzę, jak wygłaszasz kazanie w pustawym kościele do garstki starców. Niewiele ryzykujesz, wybierając tę drogę życia. Przywodzisz mi na myśl lekarza, który szuka pracy w szpitalu dla zdrowych.

— O co ci chodzi? — zawołałem. — Żebym został misjonarzem? Mam pojechać nawracać animistów w tropikach?

— Służyć Panu to walczyć ze złem. Nie ma innej drogi — odparł ze spokojem Luc.

— A co ty zamierzasz robić?

— Udać się między ludzi. Spojrzeć diabłu w oczy.

— Nie wstąpisz do seminarium?

Luc podarł trzymane w ręku dokumenty.

— Jasne, że nie. I nie będę kończył pracy doktorskiej. Nabrałem cię. Nie mam zamiaru tracić tu jeszcze jednego roku. Przyszedłem jedynie po zaświadczenie. Ci idioci dali mi te papiery, bo wzięli mnie za barana. Tak jak ciebie.

— Zaświadczenie? Do czego ci potrzebne?

Luc rozłożył ręce. Kawałki papierów spadły na zwiędłe liście.

— Jadę do Sudanu. Jako świecki misjonarz. Chcę przeciwstawić się wojnie, gwałtom, nędzy. Koniec z dyskusjami! Pora na działanie!

## 6

Do Vernay mógłbym jechać z zamkniętymi oczami. Najpierw droga A6, wyjazd przez Chatillon, kierunek na Nantes-Bordeaux, A10 na Orleans, potem Ali, według drogowskazów do Chartres.

Samochody mknęły w deszczu. Zalewane wodą reflektory dawały cienkie smugi światła przypominające rozżarzone druciki żarówki. Była już siódma rano, ale dzień jeszcze nie wstał.

Zastanawiałem się nad informacjami, które odebrałem o świcie.

Po niespokojnym śnie obudziłem się na dobre o czwartej nad ranem. W wyszukiwarce Google wystukałem cztery złowrogie litery: COMA. Pojawiło się mnóstwo haseł. Szukałem wiadomości dających nadzieję. Potem dodałem jeszcze słowo: „przebudzenie”.

Przez dwie godziny czytałem świadectwa o nagłych przebudzeniach, o powrotach do świadomości, a także o zjawiskach związanych z nagłą śmiercią. Byłem zaskoczony liczbą tego typu zdarzeń. Co piąta ofiara zawału wpadała w krótkotrwałą śpiączkę, przynajmniej jedna doświadczała „czasowej śmierci” charakteryzującej się uczuciem oderwania się od ciała, wizją długiego tunelu z białym światłem na końcu, w którym wielu widziało samego Chrystusa. Czy Luc przeżył też takie ośnienie? Czy odzyska przytomność i opowie nam o tym?

Minałem katedrę w Chartres z jej dwiema asymetrycznymi wieżami. Przede mną jak okiem sięgnąć otwierała się równina Beauce. Czułem drętwienie w rękach. Zbliżałem się do domu w Vernay. Przejechałem jeszcze pięćdziesiąt kilometrów, skręciłem w stronę Nogent-le-Rotrou i byłem już na drodze lokalnej. W prawdziwym wiejskim pejzażu znalazłem się w tym samym momencie, gdy pokazało się słońce.

Pojawiły się pagórki, doliny, czarne pola pokryte szronem, połyskujące w jasnym świetle poranka. Opuściłem szybę i wdychałem woń liści, smród nawozu, zapach świeżego powietrza po nocy, która nie chciała odejść.

Jeszcze trzydzieści kilometrów. Ominąłem Nogent-le-Rotrou i wjechałem na drogę okręgową, na granicy Orne i L'Eure-et-Loir. Po dziesięciu kilometrach pojawił się drogowskaz: PETIT-VERNAY. Skręciłem w wąską dróżkę. Po trzystu metrach, za pierwszym zakrętem, ujrzałem bramę z jasnego drewna. Spojrzałem na zegarek. Była za piętnaście minut ósma. Zamierzałem odtworzyć bieg wydarzeń.

Zaparkowałem samochód i dalej poszedłem pieszo. Petit-Vernay to dawny młyn wodny składający się z kilku budynków rozsianych wzdłuż rzeki. Główny budynek był w ruinie, a pozostałe przebudowano na letnie rezydencje. Trzecia na prawo należała do Luca.

Działka o powierzchni dwustu metrów kwadratowych znajdowała się sto trzydzieści kilometrów od Paryża. Ile mógł kosztować Luca ten domek sześć lat temu? Milion starych franków?

A może więcej? Ceny w regionie Perche stale rosły. Gdzie Luc znalazł taką forszę? Przypomniałem sobie film Fritza Langa *The Big Heat*, który zaczynał się od samobójstwa policjanta. Później okazało się, że ten człowiek był skorumpowany. Zdradziła go letnia rezydencja, za droga, za piękna. Usłyszałem głos Doudou: „Jeśli zamieszasz w gównie, wszyscy będą nim opryskani”. Luc jako przekupny glina? Niemożliwe.

Minąłem dom z trzema oknami na poddaszu i skierowałem się do rzeki. Wokoło pachniała wilgotna trawa. Wiatr smagał mnie po twarzy. Zapiąłem szczelnie nieprzemakalny płaszcz. Rzekę zasłaniał szpaler grabów. Dochodził do mnie jedynie lekki szmer wody przywodzący na myśl śmiech dziecka.

— Co pan tu robi?

Zza drzew wyłonił się mężczyzna. Metr osiemdziesiąt wzrostu, włosy ostrzyżone na jeża, czarne ubranie z grubego płótna. Źle ogolony, nastrożone brwi — wyglądał bardziej na kloszarda niż na wieśniaka.

— Kim pan jest? — zapytał stanowczym tonem, podchodząc bliżej.

Pod marynarką miał dziurawy sweter.

Pomachałem moją legitymacją.

— Przyjechałem z Paryża. Jestem przyjacielem Luca Soubeyrasa.

Mężczyzna uspokoił się. Wpatrywał się we mnie małymi szarozielonymi oczkami.

— Wziąłem pana za notariusza. Albo adwokata. Jednego z tych drani, którzy robią pieniądze na trupach.

— Luc nie umarł.

— Dzięki mnie — podrapał się w kark. — Nazywam się Philippe, jestem ogrodnikiem. To ja go uratowałem.

Uścisnąłem mu rękę. Palce miał poplamione nikotyną i trawą. Czuć było od niego glinę i zimnym popiołem. Wyczułem również zapach alkoholu. Nie wina, raczej calvadosu lub innego mocnego trunku.

— Nie ma pan czegoś do picia? — zapytałem tonem kompana od kieliszka.

Zesztywniał. Za bardzo się pośpieszyłem. Wyciągnąłem do niego paczkę cameli. Pokręcił przecząco głową, przyglądając mi się kątem oka. W końcu zapalił swojego gitana.

— Na picie chyba jeszcze za wcześnie, co?

— Nie dla mnie — odparłem.

Zaśmiał się kpiąco i wyciągnął z kieszeni zardzewiałą metalową flaszkę. Kiedy mi ją podał, wypilem bez zastanowienia duży łyk. Poczułem, jak trunek pali mi wnętrzności. Facet chciał wypróbować moją wytrzymałość. Wydawał się zadowolony z mojej reakcji i sam pociągnął spory łyk. Mlascząc językiem, schował z powrotem flaszkę z gorzałą.

— Co pan chce wiedzieć?

— Chciałbym poznać szczegóły.

Philippe westchnął i usiadł na pniu blisko wody. W mroźnym powietrzu słychać było śpiew ptaków.

— Lubiłem pana Soubeyrasa. Nie rozumiem, jak mogło mu się tak poprzestawiać w głowie.

Oparłem się o pień najbliższego drzewa.

— Pracował pan tu codziennie?

— Tylko w poniedziałki i wtorki. Dziś przyszedłem tak jak zazwyczaj.

— Niech pan opowie, jak było.

Sięgnął ręką do kieszeni, podał mi flaszkę. Tym razem odmówiłem. Napił się sam.

— Jak tylko przyszedłem nad rzekę, od razu go zauważyłem. Wszedłem do wody i go wyłowiłem. Rzeka nie jest tu głęboka.

— Gdzie dokładnie to było?

— Tutaj, w tym miejscu. Kilka metrów od śluzy. Powiadomiłem żandarmerię. Byli tu w dziesięć minut. Gdybym zjawił się minutę później, porwałby go prąd.

Spojrzałem na idealnie nieruchomą powierzchnię rzeki.

— Prąd?

— Dziś go nie ma, bo śluza jest zamknięta.

— A wtedy była otwarta?

— Pan Soubeyras ją otworzył. Wszystko przewidział. Chciał zostać porwany...

— Mówiono mi, że obciążył się kamieniami.

— Dlatego też nieźle się musiałem napocić, żeby go wyciągnąć z wody. Ważył z tonę. Obwinał się w pasie tymi ciężarkami.

— Jak to zrobił?

Philippe podniósł się.

— Niech pan pójdzie ze mną.

Przelazł przez ogrodzenie. W głębi ogrodu między krzakami i szpalerem grabów stała budka z poczerniałych desek. Pod

ścianami ułożone były polana przykryte plastikową folią. Ogrodnik otworzył drzwi pchnięciem ramienia. Odsunął się w bok, przepuszczając mnie do środka.

— W poprzedni weekend pan Soubeyras poprosił mnie, żebym tu przytargał stare kamienie, które walały się od lat na drugim brzegu rzeki. Poprosił też, żebym je rozbił na mniejsze kawałki. Nie bardzo rozumiałem po co. Teraz już wiem, chciał się nimi obciążyć. Wyczytał, jaki ciężar jest mu potrzebny, żeby utonąć.

Rozejrzałem się po wnętrzu. Musiałem pogodzić się z samobójstwem Luca. Przygnębiony wycofałem się stamtąd.

— W jaki sposób przymocował te kamienie?

— Stalową linką, którą zwinął potrójnie, żeby była mocniejsza. Zrobił w ten sposób coś w rodzaju ołowianego pasa nurków.

Wciągnąłem w płuca głęboki haust zimnego powietrza. W żołądku czułem ostre ukłucia. Głód, gorzałka, niepokój. Co się stało? Co takiego Luc odkrył, że postanowił skończyć ze sobą? Zapomnieć o rodzinie, o swojej chrześcijańskiej wierze?

Ogrodnik zamknął drzwi i zapytał:

— To był pana kumpel, tak?

— Mój najlepszy przyjaciel — odpowiedziałem.

— Nie zauważył pan, że coś go gryzie?

— Nie.

Nie śmiałem przyznać się temu nieznanemu, że nie rozmawiałem z Lukiem od wielu miesięcy, choć dzieliło nas tylko jedno piętro. Na koniec zapytałem na wszelki wypadek:

— Nie dostrzegł pan oprócz tego nic niezwykłego?

Philippe zmrużył swe małe zielone oczka. Znowu stał się nieufny.

— Nic panu nie powiedziano o medalionie?

— Nie.

Ogrodnik podszedł bliżej i mruknął mi prosto do ucha:

— W prawej ręce trzymał medalion. Tak mi się przynajmniej wydawało. Widziałem tylko łańcuszek, bo palce miał mocno zaciśnięte.

Luc wszedł do wody z jakimś talizmanem? Nie. Luc nie był przesądny. Philippe z bezzębnym uśmiechem podał mi znowu flaszkę.

— Jak na dobrych kumpli, to niezłe mieliście przed sobą tajemnice, no nie?

Główny, dobrze znany szpital w Chartres, Hôtel-Dieu, stał w głębi dziedzińca oznaczonego czarnymi kałużami i obrośniętego drzewami o ściętych koronach. Budynek, w kolorach kremowym i brązowym, przypominał z daleka przybrany czekoladą tort firmy Brossard. Nie skorzystałem z podwójnych schodów zewnętrznych, prowadzących na pierwsze piętro, i wszedłem na parter.

Znalazłem się w ogromnym holu. Kamienna czarno-biała posadzka, kamienne sklepienia i kolumny. W drugim końcu zalane słońcem wyjście na ogród. Zapytałem przechodzącą pielęgniarkę, czy mógłbym rozmawiać z lekarzem, który reanimował Luca Soubeyrasa.

— Przykro mi, ale właśnie je obiad.

— O jedenastej godzinie?

— Potem zaraz operuje.

— Poczekam tutaj. — Pokazałem legitymację. — Proszę mi powiedzieć, żeby wziął ze sobą deser.

Dziewczyna odeszła. Nie lubiłem w ten sposób wykorzystywać swego stanowiska, ale na samą myśl, że miałbym pójść do stołówki z jej szczękiem sztućców i zapachem jedzenia, już czułem mdłości. W holu rozległy się kroki.

— Czego pan sobie życzy?

Wysoki mężczyzna w białym kitlu szedł w moim kierunku wyraźnie niezadowolony.

— Mathieu Durey. Brygada kryminalna, wydział zabójstw, z Paryża. Prowadzę dochodzenie w sprawie samobójstwa Luca Soubeyrasa. Pan go wczoraj przyjął na swoim dyżurze.

— Przekazałem żandarmerii raport wczoraj wieczorem.

— Nie dotarł jeszcze do nas — zablokowałem. — Dlaczego kazał go pan przewieźć do szpitala Hôtel-Dieu w Paryżu.

— Nie mamy odpowiedniego sprzętu medycznego. Luc Soubeyras jest policjantem, więc uznaliśmy, że paryski Hôtel-Dieu...

— Powiedziano mi, że to, co pan zrobił, reanimując go, zakrawa na cud.

Lekarz nie zdołał powstrzymać uśmiechu dumy.

— Luc Soubeyras powrócił z daleka, to prawda. Kiedy go tu przywieziono, jego serce nie pracowało. Udało się go reanimować dzięki wyjątkowemu zbiegowi okoliczności.



Wyjąłem notes i pióro.

— Proszę to wyjaśnić.

Lekarz włożył ręce do kieszeni i ruszył w kierunku ogrodu, zgarbiony prawie od kątem trzydziestu stopni. Poszedłem za nim.

— Pierwszą pomyślną okolicznością było to, że Luc, uniesiony prądem, uderzył głową o kamień. Stracił przytomność.

— I co w tym dobrego?

— Kiedy człowiek zanurza się w wodzie, wstrzymuje oddech, nawet wtedy, kiedy chce popełnić samobójstwo. A potem, gdy tlen rozrzedzi się we krwi, mimowolnie otwiera usta — to nieuchronny odruch. Śmierć następuje w ciągu kilku sekund. Luc stracił przytomność tuż przed krytycznym momentem. Nie zdążył otworzyć ust. W jego płucach nie było wody.

— Ale przecież się udusił?

— Nie. Bo nie oddychał. A w takim stanie krew wolniej krąży w organizmie człowieka, gromadzi się w najważniejszych organach: w sercu, płucach, mózgu.

— Jak podczas hibernacji?

— Tak. To zjawisko zostało jeszcze wzmocnione zimną temperaturą wody. Luc doznał hipotermii. Kiedy ratownicy z pogotowia zmierzili mu temperaturę, miał poniżej trzydziestu czterech stopni. Przy takim zimnie jego ciało zatrzymało resztki tlenu, jakie w nim zostały.

Cały czas notowałem.

— Ile czasu pana zdaniem przebywał pod wodą?

— Trudno powiedzieć. Według ratowników serce dopiero co przestało bić.

— Czy zrobili mu masaż serca?

— Na szczęście nie. To by się dla niego źle skończyło. Postanowili przywieźć go tutaj. Wiedzieli, że mogę zastosować specjalną technikę.

— Jaką?

— Proszę pójść ze mną.

Wyszliśmy z głównego holu i idąc wzdłuż nowoczesnego budynku, dotarliśmy do wejścia na blok operacyjny. Białe korytarze, wahadłowe drzwi, chemiczne wonie. Kolejne przejście. Znaleźliśmy się w sali bez żadnych sprzętów, jeśli nie liczyć metalowego sześcienu na kółkach stojącego pod jedną ze ścian. Lekarz odwrócił go do mnie, wskazując szereg przycisków oraz przeróżnych wskaźników.

— To jest urządzenie do zabiegu wytwarzającego krążenie pozaustrojowe. Stosuje się je dla obniżenia temperatury u pacjentów przed ważnym zabiegiem. Krew trafia do urządzenia, które ją ochładza o kilka stopni, po czym wraca do chorego. Powtarza się ten zabieg wiele razy aż do osiągnięcia sztucznej hipotermii, najkorzystniejszej dla reanimacji.

Zapisywałem to wszystko, choć nie bardzo rozumiałem, do czego ten lekarz zmierza.

— Gdy przywieziono Luca Soubeyrasa, postanowiłem zastosować nową technikę wynalezioną w Szwajcarii. A mianowicie użyć tej maszyny w odwrotnym celu: nie ochładzać krwi, ale ją ogrzać.

Spoglądając znad notesu, dokończyłem za niego:

— I udało się.

— W stu procentach. Kiedy Luc Soubeyras znalazł się w szpitalu, temperatura jego ciała wynosiła trzydzieści dwa stopnie. Po trzech obiegach osiągnęliśmy temperaturę o trzy stopnie wyższą. A przy trzydziestu siedmiu stopniach serce zaczęło znowu wolno bić.

Podniosłem na niego wzrok.

— Czy to znaczy, że przez ten cały czas był... martwy?

— Nie ulega żadnej wątpliwości.

— Jak długo mogło to trwać?

— Trudno orzec. Ale około dwudziestu minut.

Przypomniałem sobie pewien szczegół.

— Interwencja SAMU była bardzo szybka. Czy ta ekipa nie przyjechała z Chartres?

Kolejna szczęśliwa okoliczność. Zostali wezwani fałszywym alarmem do regionu Nogent-le-Rotrou. Kiedy zatelefonowali do nich żandarmi, byli kilka minut od miejsca wypadku.

Zapisałem i tę informację, po czym wróciłem do problemów fizjologicznych.

— Jednej rzeczy nie rozumiem. Mózg nie może się obyć bez tlenu dłużej niż kilka sekund. W jaki więc sposób zdołał się obudzić dwadzieścia minut po zgonie?

— Mózg funkcjonował dzięki swoim rezerwom. Według mnie był zasilany tlenem przez cały okres śmierci klinicznej.

— Czy to znaczy, że u Luca nie wystąpią po przebudzeniu żadne powikłania?

— Nikt nie jest w stanie odpowiedzieć na to pytanie — odrzekł lekarz, przełknąwszy ślinę.

Luc na fotelu na kółkach, z niezbornymi ruchami... Musiałem bardzo zmienić się na twarzy, bo lekarz wziął mnie delikatnie za ramię i powiedział:

— Chodźmy stąd. Tu jest strasznie duszno.

Chłodny wiatr na zewnątrz orzeźwił mnie. Pacjenci skończyli już obiad. Spacerowali wolno, z trudem.

— Czy mogę zapalić? — zapytałem.

— Oczywiście.

Pierwsze sztachnięcie się przywróciło mi równowagę. Przeszedłem do ostatniej kwestii:

— Mówiono mi o medalionie, łańcuszku...

— Kto panu o tym powiedział?

— Ogrodnik. Ten, który wydobył Luca z wody.

— Rzeczywiście, sanitariusze znaleźli w jego zaciśniętej ręce medalion.

— Ma go pan?

Lekarz sięgnął do kieszeni kitla. Wyciągnął brązowy krążek pokryty patyną, skorodowany, wyglądający na bardzo stary.

Na medalionie widniał wyryty wizerunek świętego Michała Archanioła, księcia aniołów, chorążego Chrystusa, trzykrotnego pogromcę szatana. Przedstawiony był tak jak w *Złotej legendzie* Jacopo da Voragine'a: miał na sobie zbroję, w prawej dłoni trzymał miecz, a w lewej włócznie. Prawą stopą roznosił smoka.

Lekarz mówił dalej, ale już go nie słuchałem. W głowie rozbrzmiewały mi słowa z Apokalipsy świętego Jana:

*I nastąpiła walka na niebie:  
Michał i jego aniołowie mieli walczyć ze Smokiem.  
I wystąpił do walki Smok i jego aniołowie, ale nie przemógł.  
I już się miejsce dla nich w niebie nie znalazło.  
I został strącony wielki Smok, wąż starodawny,  
który się zowie diabeł, i szatan,  
zwodzący całą zamieszkaną ziemię,  
został strącony na ziemię.  
a z nim strąceni zostali jego aniołowie\*.*

Prawda była oczywista.

Przed zejściem do piekła Luc szukał ochrony przed diabłem.

\* Apokalipsa świętego Jana 12, 7-9.

*Grudzień 1991 rok*

Nie widziałem Luca dwa lata. W tym czasie szedłem własną drogą, studiując pierwszych chrześcijańskich autorów, wczytując się w *Apologetyk* Tertuliana i w dialog *Octavius* Minucjusza Feliksa. We wrześniu wstąpiłem do francuskiego Seminarium Papieskiego w Rzymie.

Najszczęśliwszy okres w moim życiu. Różowe mury budynku przy via Santa Chiara 42. Obszerny dziedziniec otoczony galerią z jasnego kamienia. Pokoik z żółtymi ścianami, który pełnił funkcję schronienia dla mego serca i duszy. Sala ćwiczeń, gdzie uczyliśmy się liturgicznych gestów. *Benedictus es, Domine, deus universi...* I taras z rozległym widokiem na kopuły Bazyliki Świętego Piotra, Panteon, kościół II Gesu...

Na Boże Narodzenie przyjechałem do Paryża, ulegając naciskom rodziców. Bo, jak mówiła matka, bardzo ważne było, abyśmy wspólnie świętowali koniec roku. Gdy wylądowałem na Roissy, sytuacja była już zupełnie inna: moi rodzice wyruszyli w rejs na wyspy Bahama na jachcie finansowego partnera mojego ojca.

Był wieczór dwudziestego czwartego grudnia. Zostawiłem torbę w rezydencji rodziców przy avenue Victor Hugo i ruszyłem na spacer po Paryżu. Całkiem bezwiednie doszedłem do Notre Dame. W samą porę, żeby uczestniczyć w pasterce.

Z trudem udało mi się przecisnąć do środka przepelnionej katedry. Stałem po prawej stronie. Niebywały spektakl: setki uniesionych do góry głów, skupione twarze, cisza, zapach kadzidła, pogłos. Anonimowy pośród anonimowych, przeżywałem religijny żar tej nocy, zapominając na tę chwilę o upadku wiary katolickiej, zmniejszającej się liczbie powołań, odstępstwach kościołów.

— Mathieu!

Odwrociłem się, nie rozpoznając twarzy w tłumie.

— Mathieu!

Podniosłem wzrok. Usadowiony na cokole jednej z kolumn Luc górował nad masą wiernych. Jego blada twarz usiana piegami świeciła niczym samotna świeca. Zszedł w tłum. Sekundę potem pociągnął mnie za ramię — Chodź. Nudno tu.

— Msza dopiero się zaczyna...  
W głębi prezbiterium kapłan mówił:

*Panie, do Ciebie się uciekam, niech nigdy nie zaznam zawodu...*

Luc wszedł w jego słowa:

— *...Bądź dla mnie skałą mocną, warownią, aby mnie ocalić\**.

Znamy to, prawda?

W jego kpiącym tonie pojawił się akcent agresji. Ludzie zaczęli się na nas oglądać. Żeby uniknąć skandalu, poszedłem za nim. Kiedy znaleźliśmy się przy ścianie, przytrzymałem go za rękę.

— Wróciłeś do Francji?

Luc mrugnął do mnie okiem.

— Bawi mnie ten spektakl.

Jego wzrok za okularami był jeszcze bardziej palący niż kiedyś. Policzki miał zapadnięte. Gdybym go nie znał tak dobrze, pomyślałbym, że stracił pewność siebie.

Luc przecisnął się między stłoczonymi wiernymi i zatrzymał się przy jednym z konfesjonałów. Otworzył przezroczyste drzwiczki i wypychając mnie do środka, rozkazał:

— Wchodź.

— Przecież tak nie można!

— Wchodź, mówię ci!

Znalazłem się wewnątrz konfesjonału. Luc zajął miejsce księdza i opuścił zasłonki. W jednej sekundzie zostaliśmy odcięci od tłumu, śpiewów, mszy. Zza drewnianych, ażurowych drzwiczek doszedł mnie głos — Widziałem go, Mat. Zobaczyłem na własne oczy.

— Kogo?

— Diabła.

Pochyliłem się, żeby przez kratę dojrzeć jego twarz. Robiła wrażenie fosforyzującej. Usta mu drżały. Zagryzał dolną wargę.

— W Sudanie?

Luc, pogrążony w ponurych myślach, nie odpowiedział. Trudno było przewidzieć, czy wybuchnie zaraz płaczem, czy śmiechem. W ciągu tych dwóch minionych lat wymieniliśmy zaledwie kilka listów. Napisałem mu, że zostałem przyjęty do seminarium w Rzy-

\* Księga Psalmów, 31 (30), 2, 3.

mie. On na to odpowiedział, że wykonuje nadal swoją „robotę”, przemieszczając się coraz bardziej na południe, gdzie chrześcijańscy rebelianci walczą z regularnym wojskiem. Jego listy stały się obce, zimne, obojętne — nie można było wywnioskować z nich, jaki był stan jego

— W Sudanie — zaśmiał się — wszędzie widziałem ślady diabła. Głód. Choroby. Śmierć. W Vukovarze w Jugosławii widziałem tę bestię w akcji.

Z gazet dowiedziałem się, że chorwacki Vukovar dostał się w ręce Serbów po trzech miesiącach oblężenia.

— Niemowlęta rozrywane przez bomby. Dzieci z wylupionymi oczami. Kobiety ciężarne z rozszarpanymi brzuchami, a potem palone żywcem. Ranni dobijani z bliska, nawet w szpitalu. Kilku nastoletni chłopcy zmuszani do gwałcenia własnych matek... Widziałem to wszędzie. Zło w czystej postaci. Uwolniona siła, ukryta w ludziach.

Pomyślałem, że ja w tym czasie siedziałem sobie w mojej żółtej celce. Każdego rana słuchałem Radia Watykan. W cieple, w bezpiecznym ustroniu.

— Jak... jak z tego wyszedłeś? — zapytałem.

— Cudem.

— Czy pracowałeś dla jakiegoś stowarzyszenia?

— Nie, nie dla stowarzyszenia. — Znowu się roześmiał i nachylając się do oddzielającej nas drewnianej ścianki, oznajmił: — Poszedłem do wojska, Mat.

— Co takiego?

— Zaciągnąłem się na ochotnika. To jedyny sposób, żeby tam przeżyć.

Przyszło mi do głowy, że Luc spowiada się, ale myliłem się, on niczego nie żałował. Przeciwnie, był dumny, że brał w tym udział.

— Jak mogłeś? — powiedziałem z oburzeniem.

Luc skurczył się w mroku konfesjonału. W katedrze umilkły śpiewy. Usłyszałem szloch. To Luc płakał z twarzą ukrytą w dłoniach.

— Musisz o tym zapomnieć — powiedziałem już innym to nem. — O tym, co oni robili, o tym, co ty sam robiłeś... Nie wolno ci osądzać ludzkości na podstawie tych tragicznych zdarzeń. Znalazłeś się w sytuacji, kiedy człowiek staje się potworem. Ty...

Luc podniósł głowę. Na jego policzkach błyszczały łzy, ale się uśmiechał.

- A ty jesteś w seminarium? — zapytał.
- Od trzech miesięcy.
- Nie masz na sobie sutanny. Jesteś tu incognito?
- Nie kpj sobie ze mnie.

Roześmiał się.

- Jak zawsze mieszkasz w rezydencji bogaczy?

— O co ci chodzi? Czekaleś dwadzieścia cztery lata, żeby odkryć przemoc? Potrzebny ci był Vukovar, żeby ocenić ludzkie okrucieństwo? A co teraz zamierzasz robić? Wyruszyć na inny front? Światło jest w nas, Luc. Przypomnij sobie Ewangelię świętego Jana: „Albowiem Bóg nie posłał swego Syna na świat po to, aby świat potępił, ale po to, by świat został przez Niego zbawiony”\*.

- Przybył za późno.

— Jeśli tak myślisz, to znaczy, że straciłeś wiarę. Nasza rola nie polega na tym, żeby dać się zafascynować złem, lecz żeby nawoływać do dobra, wskazywać drogę...

- Jesteś dekonnikiem, Mat. Poczciwym, wierzącym burzujem.

Chwyciłem za kraty konfesjonału. W kościele znowu rozbrzmiały śpiewy.

- Czego szukasz? Czego chcesz?

- Włączyć się w działanie.

- Wracasz do Jugosławii?

- Zapisałem się do Cannes-Ecluse.

- Gdzie?

— Do oficerskiej szkoły policji. W styczniu mamy sesję egzaminacyjną. Zostanę policjantem. Za dwa lata będę chodził po ulicach. Nie ma innego rozwiązania. Chcę walczyć z diabłem na jego terenie. Chcę ubrudzić sobie ręce. Rozumiesz?

Mówił to głosem spokojnym, stanowczym. A we mnie coś się zaważyło. Znowu przypominałem sobie słowa świętego Jana: „...światło przyszło na świat, lecz ludzie bardziej umiłowali ciemność aniżeli światło: bo złe były ich uczynki”\*\*. Zamknąłem oczy i ujrzałem siebie i Luca, opartych o kolumny w opactwie Saint-Michel-de-Seze. Pragnęliśmy zmienić Kościół, zmienić świat...

- Wesółych świąt, Mat.

\*Ewangelia według świętego Jana, 3, 17.

\*\* *Op. cit*, 3, 19.

Kiedy otworzyłem oczy, konfesjonał był pusty.

Nie mogłem się otrząsnąć z szoku przez wiele miesięcy.

Nie miałem już serca do seminarium. Sakramenty, liturgia, modlitwa, spowiedź... Słuchałem, nie słysząc, powtarzałem mechaniczne gesty. Kiedy z Radia Watykan dochodziły mnie wieści z Jugosławii o masakrach i horrorze, modliłem się, pościłem. Czulem do siebie odrazę. Dekownik. Pocziwy, wierzący burżuj.

Nie przestawałem myśleć o Lucu. Jak ten intelektualista, fanatyk teologii mógł zostać zwykłym policjantem? Nie znajdowałem odpowiedzi. Ale przez cały czas miałem w uszach jego złośliwe słowa. Z każdym dniem coraz mniej wierzyłem w swoją misję. Moje życie wydało mi się jałowe. A jakże wygodne! Wybrałem ascezę, a żyłem jak pasza. Miałem co jeść, gdzie mieszkać, byłem bezpieczny, modliłem się w spokoju, poświęcałem się temu, co lubiłem najbardziej — książkom.

Wyobraziłem sobie, jak będzie wyglądać moja kariera. Nie zamierzam zostać wiejskim proboszczem. Po skończeniu seminarium i obronie pracy doktorskiej pozostanę w Rzymie i zapiszę się na Uniwersytet Gregoriański lub Akademię Papieską — kościelny odpowiednik ENA\*. Po latach pracy w europejskich nuncjaturach pokonam stopnie drabiny prowadzącej do najwyższych stanowisk w Kurii Rzymskiej. Będzie to pozycja naprawdę dająca władzę. Odkryłem teraz w sobie to wszystko, czego nienawidziłem u moich rodziców, aczkolwiek pod inną postacią.

Wyjawiłem swoje wątpliwości moim przełożonym. Uzyskałem jedynie akademickie wyjaśnienia, odpowiedzi udzielane jak zwykle sztucznym językiem duchownych — beżużyteczny balsam na udreki duszy. Dwudziestego dziewiątego czerwca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku, w dniu wprowadzenia przyszłych księży do „świętego Kościoła katolickiego, apostołskiego i rzymskiego”, zrzuc Luc mylił się. Nie żyłem w rezydencji bogaczy.

To był cmentarz.

Wszyscy byli tu martwi.

Łącznie ze mną.

\* ENA (Ecole Nationale d'Administration) — państwowa szkoła administracyjna.



Wróciłem do Paryża. Udałem się do siedziby arcybiskupstwa w Paryżu. Lista religijnych organizacji humanitarnych była długa. Wybrałem pierwszą, która zaczynała misje na wybranym przeze mnie kontynencie — w Afryce. Ziemia Nadziei, stowarzyszenie belgijskich franciszkanów, którzy zagłębiali się najdalej na niebezpieczne terytoria i przyjmowali w swoje szeregi świeckich pracowników, wydało mi się

Na początku dziewięćdziesiątego trzeciego roku wyruszyłem na pierwszą przygodę.

Rwanda, rok przed ludobójstwem.

Ze wspomnień wyrwały mnie drogowskazy zapowiadające wyjazd z autostrady. Wjechałem w tunel Porte d'Orleans, rozmyślając znowu o Lucu i naszym przeznaczeniu. On zawsze wyprzedzał mnie o pewien etap. Na tę myśl zadrzałem. Nigdy nie popełnię samobójstwa. Musiałem jednak teraz pogodzić się z jego samobójstwem i znaleźć powód. Wydarzyło się coś niepojętego, co skłoniło Luca do tego czynu.

Moją powinnością było to wyjaśnić.

Tylko pod tym warunkiem mógłby odzyskać świadomość.

## 9

Moje biuro. Papierzyska. Żółte karteczki. Zamknąłem drzwi, otworzyłem nową paczkę papierosów. „Palenie może zaszkodzić plemnikom i zmniejszyć płodność”. Tego rodzaju ostrzeżenia irytowały mnie. Przypomniałem sobie, co na temat narkotyków napisał Antonin Artaud: „Nie ma znaczenia, w jaki sposób niszczymy zdrowie, społeczeństwa nie powinno to interesować”.

Rzuciłem okiem na żółte karteczki przyklejone do dokumentów. „Godzina 11: Zadzwoń, Dumayet”, „Południe: Dumayet” i kolejna: „Godzina 14: Dumayet. Pilne!”. Nathalie Dumayet, komisarz, szef wydziału zabójstw, była odpowiedzialna za grupy dochodzeniowe. Spojrzałem na zegarek: dochodziła godzina piętnasta. Za wcześniej na herbatkę z tą sekutnicą.

Zdjąłem płaszcz i zabrałem się do przeglądania papierów. Nie znalazłem tego, na co czekałem. Odsłuchałem wiadomości w komórce, a potem na sekretarce. Nic nie było. Zadzwoniłem do Malaspeya.

— Nie oddzwoniłeś do mnie — powiedziałem z wyrzutem. — Wiesz już coś o Cyganach?

— Właśnie wychodzę z Uniwersytetu Nanterre. Rozmawiałem z profesorem języka romskiego. Miałeś rację z tymi butami. Typowo cygańskie. Według profesora nasz klient ściągnął buciory z ofiary, żeby nie ściągał go jego duch. Taki obyczaj Romów.

— Dobra. Przejrzyj kartotekę policji sądowej. Zwróć uwagę na wszystkich wędrownych Cyganów, którzy brali udział w napadach z bronią w rękę w ostatnim czasie.

— Już to zrobiłem. Zwróciłem się też do głównego komisariatu w Creteil. Sprawdź tamtejsze cygańskie wspólnoty.

— Gdzie teraz jesteś?

— Właśnie docieram do biura.

Położyłem na dokumentach medalion ze świętym Michałem Archaniołem.

— Wpadnij do mnie, zanim zabierzesz się do pisania raportu. Chcę ci coś pokazać.

Rozłączyłem się i wezwałem do siebie Foucaulta. Rozmyślałem nad wydarzeniami ostatniej nocy, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Mój zastępca przypominał trochę wesołego rzezimieszka. Kręcone włosy, wąskie ramiona, obcisła kurtka, olśniewający uśmiech. Istny portret Rogera Daltreya, wokalisty zespołu The Who, z epoki Woodstocku.

Zamierzał już powiedzieć coś o nieszczęściu z Lukiem, ale powstrzymałem go jednym gestem.

— Potrzebna mi twoja pomoc. Sprawa jest delikatna.

— O co chodzi?

— Chciałbym, żebyś wysondował chłopaków Luca. Jakie sprawy mieli ostatnio na tapecie.

Foucault pokiwał głową z wyrazem sceptycyzmu na twarzy.

— To może być trudne.

— Zaproś ich do knajpy. Postaw coś do picia. Udawaj równego kumpla.

— Zobaczę, co się da zrobić.

Wczoraj w rozmowie z Doudou miałem próbkę dobrej woli ich grupy.

— Słuchaj — ciągnąłem — nikt nie znał Luca tak jak ja. Musiał być jakiś niezwykły powód, dla którego to zrobił. Coś trudnego do wyjaśnienia, niemającego nic wspólnego z depresją ani z chandrą.

— Ale co?

— Nie mam pojęcia. Chciałbym się jednak dowiedzieć, czy nie pracował nad czymś szczególnym.

— Dobra. To wszystko?

— Nie. Poszperaj w jego życiu prywatnym. Konta bankowe, kredyty, zeznania podatkowe. Wszystko. Zdobądź jego bilingi z telefonu komórkowego, domowego, biurowego. Wszystkie rozmowy z trzech ostatnich miesięcy.

— Jesteś pewien, że to coś da?

— Chcę być pewny, że Luc nie miał sekretów. Podwójnego życia czy coś w tym rodzaju.

Foucault, z rękami w kieszeniach kurtki, wydawał się przestraszony.

— Skontaktuj się również z centrum psychologicznym policji sądowej. Powinna gdzieś być dokumentacja na temat Luca. Oczywiście zachowaj jak największą dyskrecję.

— A Byki z kontroli wewnętrznej?

— Wyprzedź ich i informuj mnie na bieżąco.

Foucault wyszedł z bardzo sceptyczną miną. Zresztą ja także nie wierzyłem w efekt tego śledztwa. Jeśli Luc miał coś do ukrycia, to z pewnością zaczęłoby od zatarcia wszystkich śladów. Nie ma nic gorszego, niż polować na myśliwego.

Drzwi nie zdążyły się zamknąć za Foucaultem, kiedy na progu pojawił się Malaspey. Solidnie zbudowany, niewzruszony, otulony polarem, z nieodłączną indiańską torbą na ramieniu. Siwe włosy związane w koński ogon i fajka wetknięta w zęby dopełniały jego portretu. Przypominał raczej nauczyciela z technikum niż policjanta z wydziału zabójstw mającego za sobą piętnaście lat służby.

— Chciał mnie pan widzieć?

Mówił niewyraźnie z powodu fajki. Otworzyłem szufladę, wyjąłem przezroczystą saszetkę i wsunąłem do niej medalion ze świętym Michałem.

— Dowiedz się czegoś o tym — powiedziałem, podając mu saszetkę. — Porozmawiaj ze specjalistami od numizmatyki. Chciałbym wiedzieć, jakie jest tego pochodzenie.

Malaspey obejrzał medalion.

— Co to?

— Odwiedź specjalistów. Zbierz informacje.

— Mam wrażenie, jakbym zaczynał od początku studia. Schował medalion do kieszeni i zniknął. Spędziłem jeszcze

godzinę na przeglądaniu dokumentów zgromadzonych na biurku. Nie znalazłem w nich niczego interesującego. O siedemnastej wstałem, żeby złożyć wizytę mojej szefowej.

Zapukałem do drzwi. Zaproszono mnie, bym wszedł. Sterylna atmosfera, z lekkim zapachem kadzidła, co przypominało mi mój gabinet.

Nathalie Dumayet była osobą dość brutalną w obejściu, ale jej wygląd nie zdradzał tego. Około czterdziestki, blada cera, figura modelki, krótko ścięte czarne włosy, najczęściej w nieładzie. Uroda anielska, podkreślona dużymi zielonymi oczami, wpatrującymi się bacznie w rozmówcę. Zawsze elegancko ubrana, według ostatniej mody, nosiła rzeczy włoskich marek, których nie widywano raczej na Quai des Orfevres.

Tyle, jeśli chodzi o jej wygląd. Pod względem charakteru Dumayet doskonale pasowała do wydziału: twarda, cyniczna, zawzięta. Poprzednio dowodziła sekcją antyterrorystyczną, potem wydziałem do walki z narkotykami i zawsze odnosiła spektakularne sukcesy. Nosiła okulary o nadzwyczaj giętkiej, nie-łamliwej oprawie. Przy całej swej łagodnej powierzchowności wszystko dostrzegała i nie traciła z oczu obiektu swego zainteresowania. Uścisk ręki miała mocny, twardy, jak diamentowe wi — Zrobić panu herbaty? — zapytała, wstając z fotela.

— Nie, dziękuję.

— A jednak zaparzę.

Zakrzętnęła się przy czajniku i czajniczku. Miała ruchy studentki i zarazem wielkiej kapłanki. Wszystko, co robiła, przypominało jakiś rytuał. Pomyślałem o krążących plotkach, że uczęszcza do klubów, gdzie wymienia się partnerów seksualnych. Czy to prawda? Z zasady nie wierzyłem plotkom.

— Może pan palić, jeśli ma pan ochotę.

Skinąłem głową, ale nie sięgnąłem po papierosa. Nie mogłem sobie pozwolić na odprężenie. Pilne wezwanie nie wróżyło niczego dobrego.

— Czy wie pan, dlaczego pana wezwałam?

— Nie.

— Proszę usiąść.

Postawiła przede mną filiżankę.

— Wszyscy jesteśmy poruszeni, Durey.

Usiadłem bez słowa.

— Policjant takiego kalibru jak Luc, taki solidny... To prawdy szok.

— Czy ma pani wobec mnie jakieś zarzuty? Uśmiechnęła się na moją niespodziewanie ostrą reakcję.

— Jak tam sprawa Perreux?

— Robimy pewne postępy. Może wplątani są w to Cyganie.

— Ma pan dowody?

— Na razie to tylko przypuszczenia.

— Niech pan uważa, Durey. Żadnych uprzedzeń rasowych.

— Dlatego chcę to wyjaśnić. Proszę mi dać jeszcze trochę czasu. Skinęła głową na znak zgody. To wszystko było tylko wstępem.

— Zna pan Coudenceau?

— Philippe'a Coudenceau?

— IGS, sekcja dyscyplinarna. Zdaje się, że Soubeyras miał ciekawe dossier.

— Co to znaczy „ciekawe”?

— Nie wiem. Coudenceau zatelefonował do mnie dziś rano. Przed chwilą znowu dzwonił.

Był to jeden z tych, którzy grzebią w gównie i cieszą się, gdy uda im się postawić kolegę przed policyjnym sądem. Dekownik, który lubił dokopać ludziom pracującym w terenie, poniżyć ich.

— To on sporządza raport na temat Luca. Prowadzi rutynowe dochodzenie.

— Jak zawsze.

— Twierdzi, że zajmują się też tym jakieś niepowołane do tego osoby. Ktoś dzwonił dziś po południu do banku Luca. Coudenceau bez trudu go zidentyfikował.

Foucault wziął się do roboty. Ale mógł być bardziej dyskretny. Dumayet wpatrywała się we mnie swymi jasnymi oczami, których spojrzenie stało się nagle twarde, nieprzejednane.

— Czego pan szuka, Durey?

— Tego samego co IGS. Jak wszyscy. Chcę zrozumieć, dlaczego Luc to zrobił.

— Depresja nie tłumaczy tego.

— Nic nie wskazuje na to, żeby Luc był w depresji — podniosłem mimo woli głos. — Miał dwoje dzieci, żonę, przecież nie mógł ich tak zostawić. Musiało się wydarzyć coś niezwykłego!

Dumayet napiła się herbaty, ale nic nie odrzekła.

— Jest jeszcze coś — dodałem ciszej. — Luc jest katolikiem.

— Wszyscy jesteśmy katolikami.

— Ale nie tak jak on. Co niedziela na mszy. Co rano modlitwa. A samobójstwo jest sprzeczne z zasadami wiary.

Pani komisarz piła herbatę małymi łyżkami niczym kotka.

— Gdzie pan był tego rana? — zapytała, odstawiając filiżankę.

— Pojechałem na wieś. Chciałem tam coś sprawdzić.

— W Vernay?

Milczałem. Popatrzyła przez otwarty lufcik na Sekwanę. Zapadał zmrok. Rzeka przypominała barwą zastygły cement.

— Skontaktował się ze mną w południe szef Luca, Levain-Pahut. Telefonowali do niego żandarmi z Chartres. Dowiedzieli się, że jeden z lekarzy tamtejszego szpitala miał wizytę policjanta z Paryża. Wysoki, nerwowy typ. Mówi to panu coś?

Zacisnąłem dłonie na krawędzi biurka.

— Luc jest moim najlepszym przyjacielem. Powtarzam, że chcę pojąć, co go skłoniło do tego ostatecznego kroku.

— Nic już go nam nie zwróci.

— On jeszcze nie umarł.

— Wie pan dobrze, co miałam na myśli.

— Czy chce pani, żeby wykonali tę robotę palanty z IGS?

— Robią to, co do nich należy.

— Oni mają prowadzić dochodzenie, gdy rzecz dotyczy skorumpowanych policjantów, hazardzistów czy sutenerów. Motywu, którym kierował się Luc, należy szukać gdzieś indziej.

— Gdzie mianowicie? — zapytała ironicznym tonem.

— Nie wiem — odpowiedziałem, odchylając się na oparcie krzesła.

— Jeszcze nie wiem. Ale istnieje jakiś realny powód tego samobójstwa. Coś wykraczającego poza normę, co muszę odkryć.

Kołysała się z wolna w swoim fotelu. Zgrabnym ruchem wyciągnęła nogi i oparła o kaloryfer stopy w pantofelkach na obcasach.

— Nie ma morderstwa, nie ma dochodzenia. To nie dotyczy naszego wydziału. A pan nie może się zajmować tą sprawą.

— Luc był dla mnie jak brat.

— Właśnie o tym mówię. Ma pan za bardzo osobisty stosunek do tej sprawy.

— Mogę wziąć urlop?

Nigdy nie była wobec mnie taka surowa, obojętna.

— Czterdzieści osiem godzin. Zostawi pan wszystkie inne sprawy i zajmij się tą jedną. Po dwóch dniach wraca pan do biura.

— Dziękuję.

Wstałem i skierowałem się do drzwi. Kiedy już dotykałem klamki, powiedziała:

— Jeszcze jedno, Durey. Nie ma pan monopolu na smutek. Ja też dobrze poznałam Soubeyrasa, kiedy należał do naszej ekipy.

Tknięty przecuciem spojrzałem przez ramię. Po raz kolejny przekonałem się, że nigdy nie zrozumie kobiet.

Nathalie Dumayet, kobieta, która kierowała żelazną ręką wydziałem zabójstw, policjantka, która potrafiła wydusić zeznania terrorystów z GIA oraz zlikwidować sieć dostawców heroiny afgańskiej, cicho płakała, zasłoniwszy twarz rękami.

## 10

Otchłań.

To słowo przyszło mi do głowy, gdy przekroczyłem drzwi oddziału intensywnej terapii. Otchłań. To tam przebywały dusze sprawiedliwych ze Starego Testamentu, dopóki nie uwolnił ich Jezus. Tajemnicze miejsce, gdzie trafiają zmarłe dzieci, których nie zdążono ochrzcić. Miejsce nieokreślone, ponure, duszne, gdzie czeka dusza każdego człowieka, dopóki nie zostanie rozstrzygnięty jego los. „Ani życie, ani śmierć”, jak powiedział Svendsen.

Ubrany w kitel zawiązywany na plecach, w czepku i ochraniaczach na buty szedłem obok korytarzem. Na lewo znajdował się pokój pielęgniarok oświetlony nocną lampką. Na prawo oszklona ściana podzielona na małe pomieszczenia. W mroku słycać było tylko szum aparatów do sztucznego oddychania, pikanie czujnika pracy serca.

Przypomniałem sobie fragment z *Pieśni czwartej* przedstawiającej Piekło w *Boskiej Komedii* Dantego:

*Otom się, widzę, znajdował na skłonie  
Owej bolesnej, piekielnej doliny,  
Co nieskończonych echa jęków chłonie.  
Loch był bezdenny, mgławcy, czarnosiny;  
Żrenice moje, wysłane na zwiady,  
Niczego dobyć nie mogły z głębiny\*.*

\* Dante Alighieri, *Boska Komedia, Pieśń IV*, 7-12, przeł. Edward Porębowicz, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1965.

Numer 18.

Pokój Luca. Był przywiązany pasami na łóżku uniesionym pod kątem trzydziestu stopni. Wokół niego zwisały, wijąc się, przezroczyste rurki. Jedna sonda wchodziła do nosa, druga do ust, obie podłączone do czarnego mieszka, który rytmicznie otwierał się i zamykał. Jedna kroplówka wkuta w okolicę podobojczykowej, druga w przedramię. Zaciśnięty na jednym palcu klips błyszczał niczym rubin. Na prawo czarny ekran poprzecinany zielonymi smugami. Nad łóżkiem pojemniki z płynami perfuzyjnymi.

Podszedłem bliżej. Podobno trzeba mówić do ludzi w śpiączce. Otworzyłem usta, ale nie wydobyło się z nich ani jedno słowo. Pozostała modlitwa. Klęknąłem, przeżegnałem się, przymknąłem oczy i pochyliwszy czoło, szepnąłem: „Pokładam nadzieję w tobie, Boże Ojcze, w Synu i w Duchu Świętym...”.

Urwałem. Nie byłem w stanie się skupić. Moje miejsce nie było tutaj. Powinienem teraz być na ulicy, szukać prawdy. Powstałem z klęczek. W głębi serca byłem przekonany, że mogę go obudzić, mogę go ocalić. Pod warunkiem, że odkryję powód jego czynu. Moje własne światło wyrwałoby go z otchłani!

Poszedłem do sekretariatu i poprosiłem o rozmowę z doktorem Erikiem Thuillierem. Był to neurolog, z którym poprzedniego wieczoru poradził mi się zobaczyć anestezjolog.

Musiałem poczekać kilka minut, zanim się pojawił. Miał około czterdziestki, wystudiowane ruchy. Koszula Oksfordu, sweter z wycięciem pod szyją, sztruksowe spodnie, trochę za krótkie i wygniecione. Sterczące kosmyki włosów nadawały mu niedbały wygląd, któremu przeczyły okulary w szylkretowej oprawie.

— Czy doktor Thuillier?

— Tak, to ja.

— Mathieu Durey, wydział zabójstw, brygada kryminalna. Jestem przyjacielem Luca Soubeyrasa.

— Pański przyjaciel miał dużo szczęścia.

— Czy może mi pan poświęcić kilka chwil na rozmowę?

— Proszę pójść ze mną.

Szliśmy długim korytarzem. Thuillier zaczął mówić rzeczy dobrze mi już znane. Przerwałem mu.

— Czy ma szansę się przebudzić?

— Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie. Znajduje się w głębokiej śpiączce. Ale widywałem gorsze przypadki. Co roku ponad



dwieście tysięcy ludzi zapada w śpiączkę. Tylko trzydzieści pięć procent wychodzi z tego cało.

— A pozostali?

— Umierają. Albo są jak rośliny.

— Powiedziano mi, że nie dawał znaków życia przez dwadzieścia minut.

— Pański przyjaciel cierpi na śpiączkę z niedotlenienia wywołaną zatrzymaniem oddechu. Oczywiście jest, że przez jakiś moment mózg pańskiego przyjaciela był niedotleniony. Ale ile czasu to trwało dokładnie? Bez wątpienia uległy zniszczeniu miliardy neuronów, zwłaszcza w korze mózgowej, która warunkuje funkcje poznawcze.

— A co to znaczy konkretnie?

— Jeśli pański przyjaciel obudzi się, z pewnością nastąpią powikłania. Może lekkie, może poważne.

Poczułem, że blednę.

— A co mogą zrobić dla niego bliscy?

— Mogą przejąć na siebie pewne zabiegi, na przykład masaże, nacieranie skóry, by zapobiec jej wysuszeniu.

— Czy należy do niego mówić? Podobno ma to jakieś znaczenie.

— Szczerze powiem, że nic na ten temat nie wiadomo. Z przeprowadzonych przez mnie testów wynika, że Luc reaguje na pewne bodźce. Określa się to jako „objawy świadomości szczątkowej”. Dlatego nie wykluczam, że głos bliskiej mu osoby może pomóc. Przemawianie do chorego pomaga również temu, który mówi.

— Czy widział się pan z jego żoną?

— Powiedziałem jej to samo co panu.

— Jak zareagowała?

— Była wstrząśnięta, ogłuszona. Sytuacja jest tragiczna. Trzeba się z tym pogodzić.

Pchnął jakieś drzwi i ruszył schodami w dół. Poszedłem za nim. Spojrzał na mnie ponad ramieniem.

— Chcę pana o coś zapytać. Czy pański przyjaciel leczył się na coś? Czy brał zastrzyki?

Już drugi raz zadano mi to samo pytanie.

— Czy pyta pan o to z powodu śladów ukłuc?

— Zna pan ich pochodzenie?

— Nie. Ale mogę pana zapewnić, że nie brał narkotyków.

- Bardzo dobrze.
- Czy to by coś zmieniło?
- Stawiając diagnozę, muszę wszystko brać pod uwagę.

Kiedy zeszedliśmy na niższe piętro, odwrócił się do mnie z uśmiechem zażenowania na ustach. Zdjął okulary i potarł nasadę nosa.

— Muszę już iść. Teraz nic nie możemy zrobić, musimy czekać. Pierwsze tygodnie są decydujące. Proszę do mnie dzwonić, kiedy tylko pan zechce.

Skinął mi ręką na pożegnanie i zniknął za wahadłowymi drzwiami. Zszedłem na parter. Usiłowałem wyobrazić sobie Luca jako narkomana. To nie miało sensu. Ale skąd się wzięły te ślady? Czy na coś chorował? Czy mógłby ukryć to przed Laure. To także musiałem sprawdzić.

Na dziedzińcu pogotowia, w pobliżu więzienia szpitalnego, było tyle niebieskich uniformów, ile białych kitłów. Przepisnąłem się między samochodami policyjnymi i dotarłem do bramy.

W tym momencie poczułem na sobie czyjś wzrok. Odwróciłem się gwałtownie.

Szereg pustych foteli na kółkach, powiązanych ze sobą niczym wózki na zakupy w supermarketach. W ostatnim siedział Doudou.

Nie spuszczał ze mnie oka, trzymając papierosa w prawej ręce. Kiwnąłem mu głową i wszedłem do przedsiionka.

To musi coś znaczyć — pomyślałem. — Ludzie Luca coś ukrywają.

## 11

- Nie rób hałasu. Dziewczynki śpią.

Laure Soubeyras odsunęła się na bok, wpuszczając mnie do środka. Machinalnie spojrzałem na zegarek: dwudziesta trzydzieści. Zamykając drzwi, dodała:

- Są wykończone. Jutro idą do szkoły.
- Laure wzięła ode mnie płaszcz i wprowadziła do salonu.
- Masz ochotę na herbatę, kawę, jakiś alkohol?
- Poproszę o kawę.

Wyszła. Usiadłem na kanapie i rozejrzałem się po pokoju. Luc i Laure Soubeyras mieszkali w skromnym czteropokojowym mieszkaniu w dzielnicy Porte-de-Vincennes, w jednym z bloków

wybudowanych przez państwową firmę budowlaną. Kupili je zaraz po ślubie, biorąc długoterminowy kredyt. Wszystko było tutaj tandetne: wypaczony parkiet, meble ze sklejki, tanie bibeloty... Cicho szemrał włączony telewizor.

O tym mieszkaniu Luc mógłby powiedzieć to samo co o kobietach: „Załatwić sprawy jak najszybciej i zapomnieć”. Prawdę mówiąc, mało się przejmował miejscem, w którym żył. Gdyby się nie ożenił, jego mieszkanie wyglądałoby podobnie jak moje: bez mebli, bez żadnych osobistych akcentów. Mieliśmy taki sam obojętny stosunek do świata materialnego, a zwłaszcza do mieszczańskich wygód. Ale Luc postanowił, jak widać, postępować zgodnie z zasadami gry — paryskie mieszkanie, dom na wsi...

Laure pojawiła się z tacą, na której stał szklany dzbanek do kawy, dwie porcelanowe filiżanki, cukierniczka i miseczka z herbatnikami. Najwyraźniej była u kresu sił. Na jej pociągłej twarzy, okolonej siwymi lokami, widoczne było napięcie i znużenie.

Po raz tysięczny rozważałem w duchu zagadkę: dlaczego Luc ożenił się z tą bezbarwną, niezbyt inteligentną kobietą, koleżanką z dzieciństwa w rodzinnym miasteczku? Pracowała jako sekretarka w przychodni lekarskiej, a jej umiejętność konwersacji przypominała grę w scrabble przy źle dobranych literach. Przypominałem sobie uwagę Luca na jej temat: „natura misjonarki i nic ponad to”.

Usiadła naprzeciw mnie na taborecie. Przedzielał nas niski stolik. Zastanawiałem się, z czego będą żyć Laure i jej córki. Muszę sprawdzić, jaki procent pensji policjanta dostaje jego żona, jeśli popełni on samobójstwo. To nie była właściwa chwila na omawianie materialnych problemów. Po kilku banalnych uwagach na temat stanu Luca Laure ozi— Zamierzam zamówić mszę za Luca.

— Słucham? Przecież Luc nie...

— Nie o to chodzi. Myślałam... — zawahała się, pocierając nerwowo dłonie — chciałabym zebrać jego przyjaciół. Żeby wszyscy razem zwrócili się do Boga...

— Pomodlili się?

Laure nie była wierząca, jeszcze jedna rzecz różniąca ją z Lukiem. Nie podobał mi się pomysł zwracania się z prośbą o pomoc do Nieba. W dzisiejszych czasach przypominano sobie o Bogu tylko przy takich okazjach, jak: chrzest, ślub, zgon... Dąty w bieli i w czerni.

— Czytałam trochę na temat śpiączki. Podobno otoczenie

chorego może odegrać istotną rolę. Zdarza się, że ludzie budzą się ze śpiączki tylko dlatego, że do nich mówiono i że okazywano im miłość.

— I co z tego?

— Chciałabym zebrać jego przyjaciół. Żeby powstało coś w rodzaju skoncentrowanej energii, siły, którą Luc mógłby poczuć.

Przypominało to ruch New Age.

— W którym kościele? — zapytałem sucho.

— Świętej Bernadetty. To dwa kroki stąd. Luc zwykle tam chodził.

Znałem tę kaplicę położoną na avenue de la Porte-de-Vincennes. Przypominała bunkier podziemny dzierżawiony teraz przez wspólnotę tamilską. Kilka lat temu, kiedy jeszcze pracowałem w BRP, dawnej obyczajówce, zachodziłem tam o świcie po całonocnym szwendaniu się po bulwarach i zgarnianiu prostytutek.

— Parafia nie zgodzi się na to — powiedziałem.

— Dlaczego?

— Bo czyn Luca na to nie pozwala.

Uśmiechnęła się złośliwie.

— Zawsze te wasze głupie zasady. Przecież sam powiedziałeś, że Luc jeszcze nie umarł.

— To nie zmienia faktu.

— To znaczy, że jest potępiony?

— Kościół przestrzega pewnych reguł i...

— Rozmawiałam z księdzem — przerwała mi. — To Hindus. Ceremonia odbędzie się pojutrze.

Próbowałem się z tego cieszyć, ale mi nie wychodziło. Myślałem o chrześcijańskim integryście. Pomyślałem o medalionie Luca chroniącym go przed diabłem. Laure miała rację: obaj żyliśmy w średniowieczu.

— A właściwie po co przyszedłeś?

Jej ton zdradzał nieufność. Zawsze widziała we mnie wroga, a przynajmniej przeciwnika. Reprezentowałem niejasną stronę Luca, mistyczną część jego osobowości, głębię, której ona nie pojmowała... No i, oczywiście, zawód policjanta. To wszystko, co jej zdaniem tłumaczyło desperacki czyn Luca.

— Chciałem ci zadać kilka pytań.

— Jasne. To twoja praca.

Pochyliłem się do niej i serdeczniejszym tonem powiedziałem:  
— Chciałbym zrozumieć, co się z nim działo, co myślał.  
Laure skinęła głową, wyjęła z rękawa jednorazową chusteczkę i wytarła nos.  
— Nic nie zostawił? Ani słowa? Żadnej wiadomości?  
— Powiedziałabym ci o tym.  
— Sprawdziłaś w Vernay?  
— Pojechałam tam dziś po południu. Nic nie znalazłam. — Po chwili ciszy dodała: — Zawsze te tajemnice. On nie chciał, żeby go rozumiano.  
— Czy był na coś chory?  
— Na co?  
— Nie wiem. Nie robił badań, nie był u lekarza?  
— Nie. Nic z tych rzeczy.  
— Jak się ostatnio zachowywał?  
— Był wesoły, radosny.  
— Radosny?  
Popatrzyła na mnie spod oka.  
— Dużo mówił, był nakręcony. Coś się zmieniło w jego życiu.  
— Co takiego?  
Po krótkim milczeniu palnęła:  
— Myślę, że miał kochankę.  
Omal nie spadłem z kanapy. Luc był bardzo rygorystyczny. To tak, jakby oskarżyć papieża, że sięgnął do watykańskiego skarbcza i próbuje sprzedawać znajdujące się tam relikwie.  
— Masz dowody?  
— Przeczucie. Czy może — patrzyła na mnie lodowatym wzrokiem — jak to się u was mówi, pewne podejrzenia.  
— Jakie?  
Nie odpowiedziała. Opuściwszy wzrok, darła nerwowo chusteczkę. To nie był żal, to była wściekłość.  
— Zmienił się. Był podniecony. Kobiety wyczuwają takie rzeczy. A poza tym zniknął...  
— Gdzie?  
— Nie mam pojęcia. Od ubiegłego lipca. Najpierw na weekendy. Jakoby miało to coś wspólnego z pracą. A w sierpniu powiedział, że jedzie do Vernay. Na dwa tygodnie. Potem podróżował po Europie. Za każdym razem trwało to tydzień. Mówił, że chodzi o jakieś dochodzenie. Ale ja nie jestem głupia.  
— Kiedy skończyły się te podróże?

— Trwały jeszcze na początku października.

Podejrzania Laure były bezsensowne. Luc powiedział prawdę — prowadził osobiście jakieś śledztwo. Sprawa, nad którą musiał pracować po cichu. Może właśnie tego mam szukać?

— Naprawdę nie domyślasz się, że gdzie mógł jeździć?

Znowu się uśmiechnęła, tym razem z pewnym okrucieństwem.

— Przeprowadziłam własne dochodzenie. Przeszukałam jego kieszenie, przejrzałam kalendarz...

— Przeszukałaś...

— Wszystkie kobiety tak robią. Zranione kobiety. Ty nic nie możesz o tym wiedzieć. — Jej chusteczka była już w strzępach. — Znalazłam pewien ślad. Bilet do Besancon.

— Besancon? Po co tam jeździł?

— Skąd mam wiedzieć. Pewnie mieszka tam jego kochanka.

— Jaką datę miał ten bilet?

— Siódmego lipca. Wtedy nie było go przynajmniej ze cztery dni.

Laure dała mi ślad. Śledztwo zaprowadziło Luca do Jury. Spróbowałam przemówić jej do rozsądku.

— Myślę, że nabiłaś sobie głowę głupstwami. Znasz Luca tak dobrze jak ja. A nawet lepiej niż ja. Nie pozwoliłby sobie na coś takiego.

— Co ty powiesz? — roześmiała się drwiąco.

— Powiedział ci prawdę: prowadził dochodzenie. Robił to sam, poza godzinami pracy.

— Nie. To była kobieta.

— Skąd ta pewność?

— Zmienił się. Fizycznie.

— Nie rozumiem.

— Nie dziwię się — westchnęła i dalej mówiła obojętnym tonem: — Od narodzin dziewczynek nie zbliżał się do mnie.

Poruszyłem się na kanapie. Nie miałem ochoty wysłuchiwać tego rodzaju wynurzeń.

— Klasyczny przypadek — ciągnęła. — Nie nalegałam. Seks nigdy mnie nie interesował. A dla niego zawsze ważniejsze były śledztwa, modlitwy. I nagle, tego lata, wszystko się zmieniło. Wróciła mu ochota. Był wręcz nienasycony.

— To chyba znak, że mu na tobie zależało, prawda?

— Biedny Mathieu. Stanowicie obaj doskonałą parę. — Powiedziała to bez cienia życzliwości. — Jednym z objawów cudzołóstwa

jest właśnie nawrót namiętności. Mężowi zaczyna się to znowu podobać, kapujesz? Ma oczywiście wyrzuty sumienia i chce żonie jakoś to wynagrodzić.

Naprawdę czułem się niezręcznie. Wyobrażać sobie tych dwoje w łóżku, to tak jakby zaglądać pod sutannę księdzu. Odkrywać sekret, którego nikt nie pragnie poznać. Wstałem z kanapy, żeby zakończyć tę rozmowę. Czas, żebym zdradził prawdziwy powód mojej wizyty:

— Czy mógłbym... zajrzeć do jego biurka?

Laure też wstała, wyglądając szarą spódniczkę upstrzoną strzępami papierowej chusteczki.

— Uprzedzam cię, że nic tam nie znajdziesz. Już tam szukałam.

## 12

W metalowym biurku zastałem ten sam nienaturalny porządek jak w jego pokoju na Quai des Orfèvres 36. Czy to Laure tak posprzątała, czy sam Luc? Zamknąłem za sobą drzwi. Zdjąłem marynarkę, odpiąłem kaburę. Wyglądało na to, że niczego tu nie znaję. Ale każdy popełnia jakiś błąd. A ja miałem dużo czasu.

Obszedłem biurko, na którym stał jego iBook, żeby obejrzeć zdjęcia ustawione na niskim stoliku pod oknem. Amandine i Camille na kucykach, w basenie, na balu maskowym... Kartka pocztowa z Rzymu napisana przeze mnie: „Znaliśmy zakład produkujący, a ja znalazłem fabrykę!": „Zakład produkujący" (w domyśle — księży) był aluzją do Saint-Michel-de-Seze, a „fabryka" symbolizowała seminarium w Rzymie. Inne zdjęcie przedstawiało mężczyznę w niebieskim kombinezonie, w kasku z latarką czołową. Stał z triumfalną miną przed grotą, trzymając w rękach zwoje lin i karabińczyki. Z pewnością był to Nicolas Soubeyras, ojciec Luca, speleolog.

Luc zawsze mówił o nim z podziwem. Zginął w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku w jaskini Genderer, w Pirenejach, na głębokości co najmniej dwóch tysięcy metrów. W tamtym czasie byłem zazdrosny o jego ojca, o jego heroizm, nawet o to zniknięcie, podczas gdy mój ojciec był tylko specjalistą od reklamy, a zmarł kilka lat później na skutek zawału po suto zakrapianym

obiedzie w Harry's Bar w Wenecji. Jak kto sobie pościele, tak się wyśpi.

Żaluzje biurka zamknięte były na klucz. Szafa również. Usiadłem za biurkiem i włączyłem komputer. Po naciśnięciu kilku klawiszy zorientowałem się, że nie trzeba znać hasła, żeby otworzyć ikonki. Nic interesującego. Komputer domowy z rachunkami, terminarzem płatności, zdjęciami z wakacji, gram. Otworzyłem skrzynkę listów. Emaille też były nieciekawe — korespondencyjnie dokonane zamówienia, reklamy, śmieszne anegdotki... Moją uwagę zwróciło jednak kilka wiadomości. Wysyłane zawsze do tego samego adresata, kasowane natychmiast po napisaniu. Zostawał tylko ślad w pamięci potwierdzający każdą wysyłkę. Ostatnia miała datę o dzień poprzedzającą samobójstwo Luca. Ten sam adres Wpisałem go w Google.

Rzeczywiście istniała taka strona: [www.unital6.com](http://www.unital6.com). Podwójne kliknięcie. Pojawiło się logo. Na tle panoramy Lourdes Bernadette Soubirous przepasana niebieską szarfą. Obrazek uzupełniał tekst po włosku. Znałem doskonale ten język z seminarium.

Unital6 było stowarzyszeniem organizującym bezpłatnie pielgrzymki do Lourdes. Prowadziło również różne seminaria i miało hoteliki we włoskich opactwach. Przeczytałem zamieszczony wykaz konferencji. Jedyнным tematem, który mógłby przyciągnąć uwagę Luca, było zapowiedziane na piątego listopada w Padwie seminarium dotyczące kwestii „powrotu diabła”. Uznałem, że powinienem skontaktować się z policyjnymi komputerowcami. Może potrafią odtworzyć teksty emaili.

Zostawiłem komputer i zająłem się samym biurkiem. W szufladach znalazłem tylko przelewy z banku, faktury EDF\*, pokwitowania z ubezpieczalni społecznej... Nie miałem ochoty zagłębiać się w te dokumenty. W ostatniej szufladzie znajdował notes z nazwiskami, numerami telefonów, inicjałami. Niektóre były mi znajome, inne nie. Schowałem notes do kieszeni marynarki. Szukając, dalej natrafiłem na pęk

Otworzyłem żaluzje biurka. Segregatory oprawione w szare płótno, zawiązane na tasiemki, wciśnięte ciasno na półce, oznaczone na grzbietach literą „D” i opatrzone datami: 1990—1999,

\* EDF (Electricite de France) — francuskie przedsiębiorstwo państwowe dostarczające energię elektryczną.



1980—1989, 1970—1979... Obejmowały wstecz cały wiek. Wyciągnąłem pierwszy z brzegu segregator z datą „2000”, położyłem na podłodze i rozwiązałem tasienki.

W środku znajdowały się dwie teczki, jedna z datą 2000, druga — 2001. Otworzyłem tę drugą i ujrzałem zdjęcia z zamachu z jedenastego września. Klębiący się dym nad wieżami, ludzie wyskakujący z okien, inni z nieprzytomnym wzrokiem, obsypani pyłem, biegnący na most. Fotografie pod spodem przedstawiały trupy z pustymi oczodołami, strzępy ciał dzieci zasypane gruzem. Komentarz: „Grozny, Czeczenia”. Przerzucałem dalej: resztki kości, czaszka ze szczękami zaciśniętymi na damskich majtkach. Nie musiałem czytać opisu. Scena przedstawiała ekshumację ofiar Emile'a Louisa w regionie Auxerre.

W jakim celu Luc przechowywał te okropieństwa? Odłożyłem segregator na miejsce i wyjąłem obejmujący lata dziewięćdziesiąte. Przerzucałem na chybił trafił. Rok 1993. Trupy z poderżniętymi gardłami na uliczce jakiegoś algierskiego miasteczka. Rok 1995. Ciała bez rąk i nóg wśród kałuż krwi i popalanej falistej blachy. „Zamach samobójczy, Ramat Ash Kol, Jerozolima, sierpień 1995 r.". Zaczęły mi drżeć ręce. Domyśliłem się, że w jednej z koszulek zobaczę zdjęcia znajomego mi koszmaru. Czarne ciała w czerwonym błocie, zniekształcone twarze, cmentarzysko aż po horyzont: „Rwanda 1994 r.".

Zamknąłem segregator, nie chcąc tego oglądać. Po skroniach spływał mi zimny pot. Powrócił do mnie z całą siłą strach z tamtych najgorszych dni. Podszedłem do okna i odsunąłem zasłony, wpatrując się w brukowany dziedziniec tonący w ciemnościach. Po kilku sekundach doszedłem do siebie. Uświadomiłem sobie po raz kolejny, do jakiego stopnia Rwanda wciąż we mnie tkwiła.

Oto, czym Luc zajmował się wieczorami i w weekendy. Wyszukiwał, wycinał, zbierał zdjęcia pokazujące najgorsze wyczyny człowieka. Sięgnąłem znowu na półki i wybrałem segregator: „1940—1944”. Spodziewałem się zobaczyć katalog zbrodni nazistowskich, ale najpierw były zdjęcia z terenu Azji. Wiwisekcja kobiety wykonywana przez Japończyków w kitlach i maskach chirurgicznych. Legenda głosiła: „Zgwałcona i zapłodniona przez naukowca z Jednostki 731 zwanej Koyabashi; na zdjęciu on sam wydobywa płód z brzucha tej kobiety”. Naukowiec w rękawiczkach, okrwawiony, jacyś mężczyźni po cywilnemu, stojący z tyłu, również w maskach. Po prostu horror.

Następna koszulka zawierała to, czego oczekiwałem: nazizm i jego podłości. Obozy. Wychudzone, wycieńczone ciała. Stosy trupów. Mój wzrok zatrzymał się na jednym ze zdjęć. Codzienna scena w bloku nr 10 w Auschwitz, 1943 rok: egzekucja, w czasie której skazańcy, nadzy, ustawieni twarzą do ściany czekają, aż oficer strzeli im w tył głowy. W większości kobiety i dzieci. Wstrząsnął mną jeden szczegół: czarne warkocze na białych, wątlonych plecach jakiejś dziewczynki.

Poskładałem wszystko i położyłem na miejsce. Na ten raz dawka była wystarczająca. Segregatory na pozostałych półkach oznaczone były datami sięgającymi coraz bardziej wstecz — wiek dziewiętnasty, osiemnasty... Mógłbym się w tym nurzać aż do rana. Rysunki, obrazy, pisma i zawsze ten sam temat: wojny, tortury, egzekucje, zabójstwa... Antologia zła, klasyfikacja okrucieństwa. Ale co oznaczała litera „D” napisana na grzbiecie każdego segregatora?

Nagle zrozumiałem.

„D” jak „diabeł” albo „demon”.

Przypomniałem sobie piosenkę *Dancing with Mister D* zespołu Rolling Stonesów.

Dzieła zebrane diabła...

Podsłoczyłem na dźwięk sygnału mojego telefonu komórkowego.

— Foucault. Wracam z obiadu z Doudou.

Była prawie godzina dwudziesta trzecia. Przed oczami miałem jeszcze straszne obrazy.

— Jak było?

— Niezły ochłaj, ale zdobyłem pewną informację. Luc w ostatnim czasie zajmował się jakąś szczególną sprawą.

Foucault mówił niewyraźnie, wyglądało na to, że był kompletnie spity.

— Jaka to sprawa?

— Zabójstwo Massine'a Larfaouiego.

— Tego piwowara?

— Właśnie.

Znałem tego Algierczyka z czasów, gdy pracowałem w BRP\*. Był to jeden z najważniejszych dostawców napojów do barów,

\* BRP (Brigade de Repression du Proxenetisme) — brygada do walki ze stręczycielstwem.

restauracji i nocnych lokali w Paryżu. Nie wiedziałem nawet, że go zabito.

— Kiedy został zamordowany?

— Na początku września. Kula w głowie i dwie w sercu, strzelano z bliska. Robota profesjonalisty.

— Dlaczego nie dostaliśmy tej sprawy?

— Ludzie z wydziału narkotyków mieli już faceta na oku. Handlował narkotykami: konopie, koka, heroina. Dogadali się z SRPJ\*, który się tym zajmował.

— Co wiadomo?

— Nic. Brak poszlak, brak świadków, brak motywu. Dossier puste. Sędzia chciał umorzyć sprawę, ale Luc się nie zgodził.

To zabójstwo nie likwidowało podejrzania o korupcję. Przeciwnie. Larfaoui zawsze miał ciemne kontakty z policjantami, załatwiając dla swoich klientów, właścicieli kawiarni, jakieś ulgi. Uzyskanie licencji, tolerowanie szulerni, ochrona przed ewentualnym wymuszaniem okupu. Najlepszymi ochroniarzami byli nadal sami policjanci. Czy Luc doszukał się czegoś istotnego w tym morderstwie? A może coś ukrywał?

— Znasz jakieś szczegóły? Gdzie dopadli Larfaouiego?

— W jego mieszkaniu. W willi na Aulnay-sous-Bois. Ósmego września około dwudziestej trzeciej.

— Z jakiej broni strzelano?

— Doudou nie chciał nic powiedzieć. Ale wyglądało to na prawdziwą egzekucję. Wyrównanie rachunków lub zemsta. Mógł to zrobić każdy profesjonalista. — Foucault przerwał na sekundę. — Nawet glina.

— Czy tak właśnie myślał Luc?

— Nikt nie wie, co on myślał.

— Czy Doudou nie wspominał coś o podróżach, jakie Luc odbył w ostatnim czasie?

— Nie.

— Który z sędziów zajmuje się sprawą Larfaouiego?

— Gaudier-Martigue.

Zła nowina. Ograniczony facet o z góry ustalonych poglądach. Żadnej szansy, żeby uzyskać od niego jakieś informacje. A jeszcze mniej, żeby zajrzeć do akt sprawy.

\* SRPJ (Service Nationale de Police Judiciaire) — wydział policji do zapobiegania i zwalczania przestępczości zorganizowanej.

— Idź spać — zakończyłem rozmowę. — Jutro będę miał dla ciebie coś innego do roboty.

Foucault zaśmiał się głośno. Przerwałem połączenie. Nie takich wiadomości oczekiwałem. Przecież to niemożliwe, żeby egzekucja jakiegoś piwowara, dealera narkotyków, wpędziła Luca w depresję.

Wróciłem do przeglądania szafy ściennej. Na niższej półce stały segregatory z literą „D” w porządku alfabetycznym zgodnie z dodatkowym oznaczeniem małymi literami. Otworzyłem pierwszy i przekonałem się, że zawierały nazwiska seryjnych zabójców. Byli tu wszyscy znani mordercy, działający poprzez wieki, na wszystkich kontynentach. Gilles de Rais i Ted Bundy, Joseph Vacher i Fritz Haarmann, Kuba Rozpruwacz i Jeffrey Dahmer. Zrezygnowałem z przeglądania tych akt — większość opisywanych wydarzeń znałem i nie miałem ochoty znowu nurzać się w tych brudach. Tak samo zresztą nie chciałem przejrzeć ostatniego rzędu na dole poświęconego pornografii i wszelkiego rodzaju bezceństwowi, do jakich zdolny jest człowiek.

Potarłem oczy i wstałem. Najwyższa pora zabrać się do dużej szafy. Otworzyłem dwuskrzydłowe drzwi i ujrzałem kolejne archiwa, też z literą „D”. Tym razem była to obszerna ikonografia na temat diabła, jego wyobrażenia poprzez wieki.

Wyjąłem segregatory z lewej strony i położyłem je na biurku. Starożytność z pierwszymi w dziejach ludzi demonami pochodzącymi z tradycji sumeryjskiej i babilońskiej. Zatrzymałem się na Pazuzu, demonie pochodzenia asyryjskiego, oskarżanego o sprowadzanie plag szarańczy oraz głodu.

W okresie studiów słuchałem wykładów na temat demonologii. Znałem tego potwora z czterema ogonami, głową nietoperza, ogonem skorpiona. Symbolizował złe wiatry przynoszące choroby, kalectwa. Oglądałem jego pysk z nierównymi zębami. To on zainspirował całe wieki diabelską tradycją. A kiedy kręcono film o diable, jak na przykład *Egzorcystą* Williama Friedkina, odgrzebano z piasków Iraku właśnie Pazuzu, czarnego księcia czterech wiatrów.

Przeglądałem dalej: Set, demon egipski; Pan, grecki bóg seksualnego pożądania, z głową kozła, włochatym torsem; Lotan, na którego wzór stworzono potem Lewiatana...

W innych teczkach zebrano przykłady sztuki wczesnochrześcijańskiej, gdzie Zły, zgodnie z Księgą Rodzaju, ma postać węża. Potem następowo średniowiecze, złoty wiek Szatana. Czasami

był to trzygłowy potwór pożerający skazanych w godzinie Sądu Ostatecznego; gdzie indziej przedstawiony jako czarny anioł ze złamanymi skrzydłami lub jako gargulce, rzeźby, płaskorzeźby ze wstrętnymi mordami szczerzącymi ostre zęby...

Usłyszałem ciche pukanie do drzwi. Do gabinetu bezszelestnie weszła Laure. Była północ. Spojrzała na segregatory rozrzucone na podłodze.

— Wszystko posprzątam — pośpieszyłem z zapewnieniem.

Machnęła ręką zmęczonym gestem na znak, że nie jest to ważne. Płakała, tusz na rzęsach rozmazał się, tworząc pod oczami czarne plamy. Przyszła mi do głowy absurdalna, okrutna myśl, że moja matka nigdy nie pozwoliłaby sobie na coś takiego. W wyobraźni ujrzałem ją w samochodzie, który wiozł nas na pogrzeb mojego ojca, jak nakładała na rzęsy wodoodporny tusz na wypadek nieproszonych łez.

— Kładę się spać — powiedziała Laure. — Potrzebujesz czegoś?

Czułem suchość w ustach, ale poruszyłem przecząco głową. Późna godzina, ta niespodziewana bliskość z Laure... Było mi jakoś niezręcznie.

— Czy mogę popracować tu całą noc?

Spojrzała znowu na zdjęcia na podłodze. Zaskoczona zatrzymała wzrok na masce tybetańskiego demona, która wystawała z pudełka.

— Wszystkie weekendy spędzał w gabinecie, kolekcjonując te okropności. — W jej głosie zabrzmiała nagana. Odwróciła się na pięcie, ale chwytając już za klamkę, rzekła: — Chciałam ci coś powiedzieć. Coś mi się przypomniało.

— Co takiego?

Machinalnie wstałem, wycierając ręce o spodnie. Cały pokryty byłam kurzem.

— Któregoś dnia zapytałam go, czego on właściwie szuka wśród tych rupieci. I wtedy mi odpowiedział: „Znalazłem przejście”.

— Przejście? Nie dodał nic więcej?

— Nie. Wyglądał jak szalony. Jakby miał halucynacje — umilkła nagle pogrążona w swych wspomnieniach. — Jeśli będziesz wychodził w nocy, zatrzaśnij za sobą drzwi. I nie zapomnij o mszy pojutrze.

„Znalazłem przejście”. Co to miało znaczyć?

Mijały godziny. W towarzystwie diabolicznych fresków Fra

Angelica i Giotto, złowróżbnych obrazów Grunewalda i Breugela Starszego, diabła w postaci świni pędzla Durera, czarownic Goi, *Lewiatana* Williama Blake'a...

O trzeciej nad ranem doszedłem do ostatniego rzędu. Już po dotyku zorientowałem się, że w koszulkach nie ma zwykłych fotografii, tylko skanowane klisze z aparatu IRM, który poprzez obrazowanie rezonansu magnetycznego przedstawiał ludzki mózg. Przeczytałem opis. Choroby psychiczne w kryzysowym stanie, zwłaszcza gwałtowne objawy

Nie trzeba było być geniuszem, żeby domyślić się toku myślenia Luca. W jego oczach współczesnymi emanacjami diabła mogły być właśnie takie choroby mózgu. Układało się to w logiczny ciąg: zidentyfikować zło we wszystkich jego postaciach...

Raz jeszcze przerzuciłem szybko segregatory, wyjmując niektóre klisze, by włączyć je do moich akt i pokazać Svendsenowi. Usiadłem wyczerpany za biurkiem. Nie miałem siły wychodzić o tej porze. Myśli zaczęły mi się mieszać, czułem się coraz gorzej.

Złe samopoczucie nie opuszczało mnie od samego początku, gdy natrafiłem na zdjęcia z Rwandy. Wytrąciły mnie zupełnie z równowagi. Czułem, że muszę znowu zejść do samego piekła.

Na dno mych wspomnień.

## 13

Kiedy poznałem Rwandę, kraj ten już nie istniał dla reszty świata.

Znalazłem się tam w lutym tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku. Rwandą rządziła nienawiść, a kraj trzymał się jej kurczowo, byleby tylko wyżyć. Nienawiść ta ustawiła po przeciwnych stronach stanowiących mniejszość Tutsi, ludzi wysokiego wzrostu, wykształconych, oraz Hutu, lud niski, krępy, reprezentujący dziewięćdziesiąt procent ludności kraju.

Moją humanitarną działalność zacząłem przy uciskanych Tutsi mających przeciw sobie wojskowe oddziały Hutu uzbrojone w karabiny, pałki, maczety, które przy pełnej bezkarności srożyły się po całym kraju, zabijając, mordując, paląc chaty wrogów. Z organizacją Ziemia Nadziei przemierzaliśmy kraj, dostarczając żywność, leki, zmuszeni do pertraktacji przy każdej zaporze

Hutu, zawsze przybywając za późno. Nie licząc innych niespodzianek, takich jak pomyłki w dostawach, opóźnienia, przeszkody administracyjne...

#### *Koniec 1993 roku*

Ulice Kigali rozbrzmiewały pełnymi nienawiści wiadomościami, nadawanymi przez RTML (Wolne Radio i Telewizja Tysiąca Wzgórz), organ Hutu, który nawoływał do masakry „karaluchów”. Ten głos towarzyszył mi aż do ambulatorium, w którym spałem. Słysząc go było na ulicach, w budynkach, przenikał przez mury, przez wszechobecną duchotę.

#### *1994 rok*

Coraz liczniejsze były wypadki ludobójstwa. Przygotowano pięćset tysięcy maczet. Coraz więcej stawiano zapór. Terror, gwałt, poniżenie... Nic nie było w stanie powstrzymać „Hutu Power”. Ani rząd, ani ONZ, którego oddziały okazały się bezsilne. I niemiłknący nigdy apel rozgłosił Tysiąca Wzgórz: „Kiedy poleje się krew, nic już jej nie powstrzyma. Wkrótce o tym usłyszymy. Naród to prawdziwa armia. Naród to siła!”.

Co rano i co wieczór modliłem się, choć nie miałem nadziei. W kraju zamieszkanym w dziewięćdziesięciu procentach przez katolików Bóg nas opuścił. To opuszczenie wypisane było na żelazistej, czerwonej, gliniastej ziemi. Brzmiało w przerażających nawoływaniach radia. „Oto nazwiska zdrajców: Sebukiganda, syn Butete, który mieszka w Kidaho; Benakala, właściciel baru... Tutsi, skrócimy was, odrąbiemy wam nogi!”.

#### *Kwiecień 1994 rok*

Prezydent republiki, wywodzący się z radykalnego skrzydła Hutu, Juvenal Habyarimana, zginął w wyniku zamachu bombowego na pokładzie samolotu.

Nikt nie wiedział, kto dokonał tego zamachu. Być może rebelianci Tutsi, będący na wygnaniu, albo ekstremiści Hutu, którzy uznali, że ich prezydent jest za słaby. A może jakaś obca siła kierująca się niejasnymi przyczynami. W każdym razie stało się to sygnałem do masakry. „Słuchacie radia RTML. Wypaliłem jointa

dzisiaj rano. Pozdrawiam chłopców przy zaporze... Żaden karaluch nie ma prawa się wam wymknąć!".

Przy każdej zaporze sprawdzano dokumenty. Każdy Tutsi był zabijany, a jego zwłoki wrzucano do świeżo wykopanych rowów. W ciągu trzech dni zamordowano w stolicy wiele tysięcy ludzi. Hutu postawili sobie ambitny cel: tysiąc zabitych co dwadzieścia minut!

W Kigali rozległ się brzęk maczet, którego nigdy nie zapomnę. Brzęk maczet stukających o jezdnię na znak groźby, na znak radości. Zgrzyt ostrzy na asfalcie, zanim zagłębiały się w ciała.

Cudzoziemcy zostali ewakuowani. Kierownictwo Ziemi Nadziei postanowiło zostać. Zainstalowaliśmy się w Centrum Wymiany Kulturalnej Francusko-Rwandyjskiej, gdzie założyli swoją bazę francuscy żołnierze. Przybywali tam Tutsi szukający schronienia, ale żołnierzy już tu nie było. Musiałem wyjaśniać uciekinierom, że nic się już nie da zrobić, że Bóg umarł.

Udało mi się wyruszyć na rekonesans z ostatnimi Błękitnymi Hełmami z Kigali. ONZ sprowadziło tu dziewięćdziesiąt procent swoich wojsk. Zobaczyłem wtedy cmentarzyska tarasujące drogi, stosy trupów z opuszczonymi spodniami. Czuję, jak koła naszego samochodu podskakują na zwałonych ciałach. Widziałem wioski, których mieszkańców wycięto w pień, płynące uliczkami strumienie krwi. Widziałem ciężarne kobiety z rozciętymi brzuchami, a wydarte z nich płody roztrzaskane o drzewa. Widziałem zgwałcone młode dziewczyny. Wybierano dziewice, żeby nie zarazić się aidsem. Najpierw gwałcono je, a potem wpychano im w pochwy pałki, rozbite butelki.

Nie potrafię podać dokładnej daty mojego pierwszego załamania.

Być może stało się to pod koniec maja podczas operacji porządkowania terenu, gdy oblewano benzyną i palono gnijące trupy. A może potem, na początku operacji o kryptonimie „Turkus”, pierwszej akcji humanitarnej na większą skalę zorganizowanej w Rwandzie pod francuskim sztandarem. Jedno jest pewne, że kryzys przeżywałem w obozach dla uchodźców, gdzie choroby i gangrena dopełniły dzieła ludobójstwa.

Najpierw pojawił się paraliż lewego ramienia. Przypuszczano, że to zawał. Ale lekarz z MSF\* orzekł, że moje symptomy nie

\* MSF (Medecine Sans Frontieres) — Lekarze bez Granic, organizacja niosąca pomoc humanitarną w wielu zakątkach świata.



wynikają z powodów organicznych. Inaczej mówiąc, że coś złego działa się w mojej głowie. Postanowiono, że mam wyjechać. Skierowano mnie do szpitala Świętej Anny w Paryżu.

Nie oponowałem. Nie byłem w stanie mówić. Miałem wrażenie, że zaakceptowałem ten horror, że przekroczyłem krwawą linię. Czułem się jak człowiek, który żyje z kulą w mózgu. A jednak przeszczep nie udał się. Nastąpił odrzut, którego objawem był paraliż. Pierwsza zapowiedź depresji, która miała mnie totalnie zniszczyć.

W szpitalu Świętej Anny próbowałem się modlić. Za każdym razem zalewałem się łzami. Płakałem jak nigdy przedtem. Całymi dniami. Sprawiało mi to cierpienie, ale też i ulgę. Z moralnym cierpieniem łączyło się fizyczne ukojenie.

Modlitwę zastąpiłem pigułkami, które, jak mi się wydawało, powinny wyciągnąć mnie z depresji. Postrzeganie świata zależy od naszej wiary. Jeśli staramy się oszukiwać własną świadomość, oszukujemy Boga. Ale czy ja jeszcze wierzyłem? Nie miałem już w sobie żadnej wiary, żadnego hamulca, żadnej ochrony. Wystarczyłoby otworzyć okno, a wyskoczyłbym z niego.

*Wrzesień 1994 rok*

Zmiana w sposobie leczenia.

Mniej pigułek, więcej psychologii. Ja, który ujawniałem swoje grzechy tylko przed księżmi, który zdradzałem swoje wątpliwości jedynie samemu Panu, musiałem zwierzać się ze wszystkiego jakiemuś specjaliście, który nie reprezentował żadnej wyższej istoty, w którego milczeniu odbijała się niczym w lustrze moja świadomość. Już sam pomysł wydawał mi się straszny. Wynikający z agnostycznej, upraszczającej, beznadziejnej wizji duszy człowieka.

*Listopad 1994 rok*

Wbrew wszystkiemu, wbrew mnie samemu, zaczęły pojawiać się symptomy poprawy. Paraliż ramienia cofał się, ataki płaczu stawały się rzadsze, przestawałem myśleć o popełnieniu samobójstwa. Z dwunastu tabletek dziennie przeszedłem na pięć. Zacząłem się znowu modlić. Bełkotliwie, chaotycznie, śliniąc się. To ostatnie było skutkiem środków antydepresyjnych.

Odnalazłem drogę do Boga. Porzuciłem myśl, że muszę mu wybaczyć to, co widziałem w Afryce. Przypomniałem sobie zdanie jednego z moich nauczycieli z rzymskiego seminarium: „Prawdziwą tajemnicą wiary nie jest przebaczenie, ale proszenie o wybaczenie ludzi takich, jakimi są, ponieważ nie umieliśmy ich zmienić”.

*Styczeń 1995 rok-*

Powrót do realnego świata. Pisałem listy do przeróżnych fundacji religijnych, do domów starców, do klasztorów, prosząc o jakąkolwiek pracę, bylebym tylko był w środowisku mężczyzn. Pozytywną odpowiedź dostałem z centrum edukacji teologicznej w Drôme, choć w liście nie ukrywałem mojego stanu zdrowia.

Dostałem pracę archiwisty. Mimo niesprawnej ręki porządkowałem, klasyfikowałem zakurzone dokumenty, służyłem pomocą seminarzystom. Wtopiłem się w otoczenie. Szło mi dobrze dzięki codziennej garści pigułek i wizytom u psychologa w Montelimar dwa razy w tygodniu. Udawało mi się ukrywać moją depresję, która nawet tutaj, a może szczególnie tutaj, wywołałaby zmieszanie i zakłopotanie.

Niekiedy znowu pojawiały się ataki. Drżały mi ręce, chodziłem chwiejnym krokiem, ogarniała mnie niepojęta słabość. Innym razem moja świadomość stawała się tak ciężka, jak wygasła gwiazda. To była apatia. Niezdolny byłem poruszyć nawet palcem. Trwałem w takim stanie kilka godzin, przybity dręczącymi myślami o śmierci, życiu pozagrobowym, o nieznanym... W takich momentach Bóg znowu przestawał istnieć.

Jednak przez cały czas nie opuszczały mnie wspomnienia. Mimo wszelkich środków ostrożności one wciąż mnie osaczały. Chociaż unikałem, jak mogłem, styczności z radiem, telewizją i innymi mediami, do moich uszu docierał niekiedy jakiś ich odgłos. Czułem wtedy mdłości, niepokój w żołądku. „Niech nie wymknie się wam żaden karaluch!”. Biegłem do toalety, wypluwałem z siebie żółć, mój strach, moje tchórzostwo. I zawsze kończyło się to gwałtownym szlochem.

Inny przykład. Poprosiłem, że chciałbym jeść osobno, aby uniknąć brzęku widelców, jakiegokolwiek zgrzytu metalu. Ale już sam odgłos stołu przesuwanego po parkiecie przenosił mnie na powrót na główną ulicę Kigali. Wycie i gwizdy zabójców, w rowach

zwały ciała, które już nic nie znaczą, już się nie liczą... Krzyczę, dostaję konwulsji. Po zażyciu środków uspokajających odzyskuję przytomność w izbie chorych. Uświadamiałem sobie wówczas, że nie zostałem wyleczony, że nigdy nie będę zdrowy. Że te wspomnienia nie dadzą się nigdy usunąć z mojej pamięci.

#### *Styczeń 1996 rok*

Opuściłem centrum edukacji teologicznej, żeby znaleźć schronienie w odosobnionym klasztorze w Pirenejach Wysokich. Doświadczenie wewnętrzne. Poznanie transcendentne. Poszukiwanie Słowa Bożego. Tam, wśród cystersów, odnalazłem siłę, nadzieję, energię. Aż przyszedł dzień, gdy przestało mi to

Po tym wszystkim, co widziałem, nie mogłem tu pozostać, modląc się na kolanach do nieba, podczas gdy na ziemi panowało piekło. Otaczający mnie zakonnicy byli nowicjuszami w sprawach duszy. Ja przybyłem z innego świata. Zobaczyłem prawdziwe oblicze człowieka. Zdarta skóra, odsłonięte mięśnie, poszarpane ścięgna. Widziałem jego nieprzejednaną nienawiść. Brutalność bez granic. Trzeba uleczyć istotę ludzką z tkwiącego w niej zła, a nie da się tego dokonać w ciszy i izolacji.

Wtedy przypomniałem sobie o Lucu.

Przez dwa lata wcale o nim nie myślałem. Teraz nagle ujrzałem jego sylwetkę, usłyszałem jego głos. Luc zawsze mnie wyprzedzał. Zawsze wyczuwał szokujące, sprzeczne, ukryte prawdy. Pojąłem, że muszę pójść jego drogą.

#### *Wrzesień 1996 rok*

Dołączyłem do społeczności Kruków.

ENSOP, Państwowa Wyższa Szkoła Oficerów Policji, w Cannes-Ecluse, w departamencie Seine-et-Mame. Uczniów nazywano Kmhami, ponieważ wszyscy nosili ciemnogrnatowe mundury. Nie poczułam się tu obco. Wcześniej chodziłem w sutannie, teraz dano mi bluzę mundurową. Nie po raz pierwszy instruktorzy traktowali mnie parszywie. Z moimi dyplomami mogłem próbować dostać się do szkoły komisarzy w Saint-Cyr-au-Mont-d'Or. Tym razem dopisało mi szczęście.

Z każdego przedmiotu dostawałem najlepsze oceny. Prawo karne. Prawo konstytucyjne. Prawo cywilne. Procedura sądowa.

Nauki humanistyczne. Żadnych problemów. Podobnie jak z zajęciami sportowymi. Lekkoatletyka. Strzelanie. Walka wręcz. Moje ascetyczne życie, upodobanie do dyscypliny czyniły ze mnie groźnego przeciwnika.

Ale dopiero pod koniec studiów, w trakcie stażu w terenie, ujawniła się moja największa zaleta: wycucie ulicy. Intuicyjne wycucie miejsca, instynkt łowcy... A zwłaszcza dar kamuflażu. Mimo iż byłem chudy i wysoki jak tyka, mimo moich intelektualnych osiągnięć potrafiłem wtopić się w każde środowisko, adaptując język złodziei, bratając się z najgorszą hołotą.

#### *Czerwiec 1996 rok*

Ukończyłem szkołę z najwyższą oceną. Miałem trzydzieści jeden lat. Dzięki pierwszej lokacie mogłem wybrać miejsce pracy. Kilka dni po zakończeniu wezwał mnie do siebie komendant szkoły.

— Prosił pan o pracę w brygadzie do walki ze stręczycielstwem?

— Tak.

— A czy nie interesuje pana praca w centrali? W Ministerstwie Spraw Wewnętrznych? — Powiedziano mi... Jest pan katolikiem, prawda?

— Dlaczego pan o to pyta?

— Będzie pan miał do czynienia z dziwnymi sposobami działania BRP i... — Komendant zawahał się, po czym dokończył z porozumiewawczym uśmiechem: — Spędziłem u nich dziesięć lat. To szczególny świat. Nie wydaje mi się, żeby ci wykolejeńcy, z którymi ma się tam do czynienia, potrzebowali policjanta o pańskich zdolnościach.

Zginając w ukłonie mój metr dziewięćdziesiąt wzrostu, odpowiedziałem mu również z uśmiechem:

— Pan mnie nie zrozumiał. To ja ich potrzebuję.

#### *Wrzesień 1998 rok*

Wgłębiałem się w arkana przestępstwa. Po kilku miesiącach mój słownik znacznie się wzbogacił. Koprofilia — zboczenie seksualne polegające na spożywaniu ekskrementów. Ondynizm — zachowanie polegające na czerpaniu przyjemności z oglądania lub kontaktu z uryną. Zoofilia — konfiskuję magazyn kaset, które nie wymagają komentarza. Nekrofilia — organizuję pamiętną obławę

i łapię sprawców na gorącym uczynku w środku nocy na cmentarzu Montparnasse.

Sprawdziły się moje zdolności kamuflażu. Przenikałem wszędzie, zyskałem zaufanie sutenerów, dziwerek, odkrywając z uśmiechem najgorszego rodzaju perwersje. Kluby sadomasochistów, pokazy specjalne... Zdobywałem informacje, obserwowałem, aresztowałem. Nie czując wstrętu, obojętnie. Stale byłem na służbie. Nocą, żeby przyłapać na gorącym uczynku, w dzień, żeby zebrać zeznania osób wnoszących skargę, okazać współczucie prostytutkom, rodzinom ofiar.

Często się zdarzało, że pełniłem służbę przez dwadzieścia cztery godziny bez przerwy. W biurze trzymałem ubrania na zmianę. Wśród kolegów uchodziłem za pracoholika, nadgorliwca, karierowicza. Wszyscy wiedzieli, że tym sposobem szybko zostanę kapitanem. Ale nikt nie znał mojej prawdziwej motywacji. To, czym się zajmowałem, było zaledwie pierwszym etapem. Pierwszym kręgiem piekła. Pragnąłem poznać sedno zła. Pod wszystkimi jego postaciami, aby skuteczniej z nim walczyć.

Poza tym, jak zresztą zawsze, mylono się co do stanu mego ducha. Byłem szczęśliwy. Przestrzegałem reguł. Jako policjant pamiętałem o trzech ślubach: o posłuszeństwie, ubóstwie, czystości. Dodałem do nich jeszcze samotność. Narzuciłem ją sobie niczym kolczugę.

Każdego dnia szedłem pomodlić się do Notre Dame. Codziennie dziękowałem Bogu za odnoszone sukcesy i za to, że wybaczył mi, w co nie wątpiłem, stosowane przeze mnie metody. Brutalność. Groźby. Kłamstwa. Dziękowałem także za to, że mogłem nieść pomoc ofiarom i przebaczać winnym.

Moja choroba nie znikła. Nawet teraz w sercu Paryża, na bulwarze Strasbourg czy na placu Pigalle, podskakuję na dźwięk mojego telefonu lub zgrzyt żelaznej skrzynki na trotuarze. Ale znalazłem ukojenie. Łączę brutalność przeszłości z brutalnością teraźniejszości.

*Wrzesień 1999 rok*

Rok brudów, rok doświadczeń ze zboczeniami. Ale to nie oni stanowili zasadniczy problem, lecz sutenerzy, ich siatki. Dnie spędzone w skrytkach, na śledzeniu, na ściganiu słowiańskich mafiosów, arabskich bandziorów, podejrzaných producentów, ale

również pomylnych notabli, polityków. Noce spędzone na przeglądaniu kaset, szukaniu w Internecie, na przemian z uczuciem wstrętu i podniecenia.

Musiałem przymknąć oko na zakulisowe sprawy mające miejsce w wydziale: na kolegów, którzy zadawali się z tranwestytami, na stażystów, którzy nakręcali na boku VHS dla własnego użytku. Seks był wszędzie, po obu stronach lustra.

Czarny ocean, w którym żyłem na wstrzymanym oddechu.

Po kilku miesiącach zauważyłem pewną zmianę. Moja postać budziła już mniej nieufności. Sędziowie, którzy uważali mnie za nazbyt ambitnego, teraz podpisywali nakazy rewizji, o które prosiłem. Koledzy zaczęli ze mną rozmawiać. Ich opowieści stawały się spowiedzią, a ja oceniałem, w jakim stopniu walka ze złem kała nas, zmusza każdego dnia do przekraczania pewnej granicy. Coraz bardziej uzasadnione stawało się moje przezwisko „Kapelan”.

Wciąż wracałem myślami do Luca. Gdzie pracował? Czy w SRPJ? Czy w brygadzie? A może w centrali? Od czasu Rwandy straciłem z nim wszelki kontakt. Miałem nadzieję, że go spotkam przypadkiem na korytarzu w trakcie jakiegoś śledztwa. Gdy w biurze słyszałem głos o podobnej intonacji, gdy w sądzie zauważałem podobną sylwetkę, wydawało mi się, że to on. Biegłem na spotkanie i doznawałem kolejnego

Ponieważ szliśmy tą samą drogą, wiedziałem, że w końcu się zobaczymy.

Jeszcze jedna postać z przeszłości pomagała mi oderwać się od codziennych brudów. Matka. Z biegiem lat, po śmierci męża, zbliżyła się do mnie. W rozsądnych granicach: lunch raz w tygodniu w jednej z restauracyjek na lewym brzegu Sekwany.

— A jak w pracy? Wszystko w porządku? — pytała, skubiąc swój kawałek sernika.

A ja myślałem w tym momencie o zboczeńcu, którego przymknąłem tego ranka, oskarżonym o zgwałcenie nastolatka, o chorym, który macza chleb w pisuarze na Dworcu Wschodnim. Albo o znalezionym tego samego ranka piromanie, który zmarł na skutek krwotoku po stosunku ze swoim dobermanem. Piłem herbatę, trzymając filiżankę z uniesionym do góry palcem, i odpowiadałem lakonicznie:

— W porządku.

Potem pytałem, co nowego w jej wiejskim domku w Rambouillet, i wszystko wracało do normy.

A życie w piekle toczyło się dalej swoim torem. Aż do grudnia dwutysięcznego roku. Do sprawy Lilas.

## 14

Czasami niepowodzenie jest lepsze od zwycięstwa.

Przegrana więcej uczy niż triumf. Tak właśnie się zdarzyło, gdy przesłuchiwałem Brigitte Oppitz, żonę Coralina, w trakcie mego pierwszego dochodzenia. Nie przypuszczałem nawet, że kilka godzin potem odkryję już tylko cmentarzysko. Tym bardziej nie przyszło mi do głowy, że ta nieudana operacja przyniesie mi, poza wiecznymi wyrzutami sumienia, awans do wydziału zabójstw.

*12 grudnia 2000 rok*

Do naszego wydziału złożyła skargę żona niejakiego Jean-Pierre'a Coralina. Oskarżała męża, że zmusza ją do prostytuowania się w ich własnym mieszkaniu oraz znoszenia sadystycznych praktyk. Raport lekarza potwierdził jej słowa: pocięta pochwa, oparzenia papierosem, ślady biczowania, infekcja odbytu.

Kobieta twierdziła, że seanse z nią były tylko czymś na czarną godzinę. W rzeczywistości jej mąż obsługiwał klientelę zainteresowaną dziećmi. W ciągu czterech lat uprowadził cztery małe dziewczynki z cygańskich wspólnot zamieszkujących na przedmieściu. Gdy przestawały być już potrzebne, zostawiał je, aby umarły z głodu. Obecnie jeszcze dwie dziewczynki przebywają w ich domku w Lilas, gdzie są gwałcone przez pedofilów.

Dowiedziawszy się o tej skardze, postanowiłem przeprowadzić operację samodzielnie, tylko z moją ekipą. Miałem trzydzieści trzy lata, i to był mój pierwszy „skok”. Ułożyłem plan akcji.

O drugiej w nocy otoczyliśmy willę przy ulicy Tapis-Vert w Lilas. Zastałem tam tylko śpiącą w salonie dziesięcioletnią Ingrid Coralin. Rodzice byli w piwnicy. Zastrzelili się z obrzyna, zabiwszy wcześniej dwie uwięzione dziewczynki. Kobieta, jak widać, zmieniła zdanie i uprzedziła męża.

Wyszedłem stamtąd wstrząśnięty. Zapaliłem papierosa. W mroźnym powietrzu migały światła ambulansów i wozów policyjnych. Domy wokół nas ożyły. Sąsiedzi wychodzili w szlafrokach na próg swoich willi. Policjant w mundurze wyprowadzał małą Ingrid. Drugi podszedł do mnie.

— Poruczniku, przyjechali ludzie z wydziału zabójstw.

— Kto ich powiadomił?

— Nie wiem. Dowódca tej grupy czeka na pana. Szary peugeot, na końcu ulicy.

Przybity poszedłem do tego auta gotów nawymyślać każdemu, kto mi się napatoczy. Gdy znalazłem się przy peugeocie, otworzyło się okno od strony kierowcy. Wewnątrz siedział otulony ciepłą kurtką Luc Soubeyras.

— Zadowolony?

Nie byłem w stanie odpowiedzieć. Z zaskoczenia zatkało mi oddech. Luc nie zmienił się ani trochę. Okulary w cienkiej oprawie, skóra i kości, piegi. Jedynie kilka zmarszczek wokół oczu świadczyły o upływie lat.

— Wsiadaj. Od drugiej strony.

Odrzuciłem papierosa i wsiadłem do samochodu. Zapach niedopałków, zimnej kawy, potu. Zamknąłem drzwi i dopiero wtedy odzyskałem głos.

— Co ty tu robisz?

— Wezwano nas.

— To moja sprawa. Nikt o tym nie wiedział.

Luc uśmiechnął się.

— Mam cię na oku od jakiegoś czasu. Wiedziałem, że szykujesz dużą akcję.

— Śledzisz mnie?

Luc patrzył przed siebie na ulicę. Sanitariusze wchodzili do willi, popychając składane nosze na kółkach. Policjanci w czarnych pelerynach wyznaczali bezpieczną granicę, odsuwając obudzonych sąsiadów.

— Jak tam wygląda?

Zapaliłem kolejnego camela. Wnętrze samochodu wypełniało drgające, niebieskawe światło lamp.

— Strasznie — odpowiedziałem, wydmuchując pierwszy dymek. — Jotka.

— Nie mogłeś tego przewidzieć.

— Ta kobieta nabrała nas. Nie przymknąłem jej...



— Nie odgadłeś jej gry. To wszystko.

— Gry?

— Brigitte Coralin przyszła do ciebie nie dlatego, że miała wyrzuty sumienia lub chciała ocalić dziewczynki. Zrobiła to z zazdrości. Kochała tego łajdaka. Kochała go, gdy ją torturował, kiedy wpychał jej do pochwy papierosy. I była zazdrosna o te dziewczynki. Zazdrościła im ich cierpień.

— Zazdrosna?

Luc wyjął gitane'a.

— Tak, chłopie. Nie doceniłeś rozmiaru zła. Jego zasięg jest zawsze większy, rozleglejszy, niż się przypuszcza. W końcu Coralin zabiłaby własną córkę, gdyby mąż za bardzo się jej przyglądał. — Wypuścił dym z ust i dodał z jawnym cynizmem: — Powinieneś poddać ją obserwacji.

— Przyjechałeś, żeby mnie pouczać?

Luc nie odpowiedział. Na jego ustach pojawił się zimny uśmiech. Przed domem pojawili się ubrani w białe kitle policjanci z laboratorium kryminalistyki.

— Nigdy nie traciłem cię z oczu, Mat. Podążaliśmy tą samą drogą. Vukovar dla mnie, Kigali dla ciebie. DPJ dla mnie, BRP dla ciebie.

— Który oddział DPJ?

— Louis-Blanc.

Oddział policji sądowej Louis-Blanc kontrolował najbardziej zapalne dzielnice Paryża — Osiemnastą, Dziewiętnastą, Dziesiątą. Szkoła twardzieli.

— Obraliśmy tę samą drogę, żeby dojść do tego samego. Do wydziału zabójstw.

— Kto ci powiedział, że chcę znaleźć się w brygadzie kryminalnej?

Luc wskazał na martwe dziewczynki, które sanitariusze nieśli do ambulansu. Srebrzyste osłony postukiwały o nosze, powodując gęsią skórkę. Luc mruknął:

— „Jestem bez życia. I tak silne jest moje pragnienie śmierci, że umieram, ponieważ nie umieram...”. Pamiętasz?

Klasztor Świętego Michała. Zapach koszonej trawy w ogrodach. Puszka z niedopałkami. Święty Jan od Krzyża. Istota mistycznych doświadczeń. Poeta żałuje, że nie umarł i nie może ujrzeć wielkości Królestwa Bożego.

Jest jednak jeszcze inna interpretacja tych słów. Często dys-

kutowaliśmy o tym z Lukiem. Dla prawdziwego chrześcijanina śmierć jest koniecznością. Zniszczyć w sobie to, co żyje bez Boga. Umrzeć dla siebie, dla innych, pod każdym względem, aż do przebudzenia w *Memoria Dei*... Umieram, ponieważ nie umieram. Tę prawdę głosił już święty Augustyn czterysta lat temu.

— Jest jeszcze inna śmierć — dodał Luc, jakby telepatycznie odgadując moje myśli. — Obaj porzuciliśmy materializm, żeby żyć w świecie Boga. Ale takie duchowe życie jest innym rodzajem komfortu. Nadeszła pora, żeby porzucić dającą spokój wiarę. Musimy jeszcze raz umrzeć, Mat. Zabić w nas chrześcijan, żeby być policjantami. Zbrukać sobie ręce. Tropić diabła. Pokonać go, zrozumieć. Ryzykując, że

— A ta walka odbywa się za pośrednictwem brygady kryminalnej?

— Krwawe zbrodnie to jedyna droga. Jesteś za tym czy nie? Czy pragniesz wyrwać się dla własnego dobra?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Zawsze myślałem, że po etapie seksu i zbrodni nastąpi etap krwi. Jednak nie chciałem być pilotowany przez kogoś innego. Luc pokazał ręką na niebieskie smugi światła migoczącego niczym lampa stroboskopowa.

— Dziś w nocy umoczyłeś sprawę. Ale nie powinieneś czynić sobie wyrzutów. Trzeba podejmować ryzyko. Prawdziwi krzyżowcy mają krew na rękach.

Uśmiechnąłem się, słysząc te górnolotne słowa.

— Zamierzam złożyć podanie o przydział.

Luc wyjął z kieszeni plik papierów.

— Oto ono. Podpisane przez prefekta policji. Witaj w moim wydziale.

Roześmiałem się nerwowo

— Kiedy zaczynamy?

— W poniedziałek. Trzydzieści jeden lat to dobry wiek, żeby się na nowo urodzić!

Wigilia dwutysięcznego roku przypieczętowała nasze przymierze.

Dwanaście miesięcy pełnych sukcesów.

Nasza grupa, licząca ośmiu oficerów policji, stanowiła właściwie tandem. Nasze działania różniły się i uzupełniały. Ja byłem pedantem, przystępowałem do sprawy tylko wtedy, gdy zdobyłem solidne akta, robiłem rewizje, gdy wiedziałem, czego szukam. Luc ryzykował i stosował wszelkie metody, by zbić z tropu podej-

rżanych. Groźby, brutalność, teatralne spektakle. Jego ulubione techniki to: organizować w biurach na Quai des Orfevres urodziny, by pochlebić jakiemuś typkowi, którego miał na oku; udawać szaleńca, żeby przerazić przesłuchiwanego; blefować, że ma wystarczające dowody, żeby wpakować podejrzanego do więzienia La Sante i zmusić go w drodze do przyznania się do winy.

Ja byłem jak kameleon, dyskretny, dokładny, wtopiony w tło. Luc był aktorem, kapralem, stale przechwalającym się fanfaronem. Kłamał, manipulował, bił — i dochodził do prawdy. Lubił sytuacje, kiedy mógł okazać swój cynizm. Żeby mieć efekty, gotów był zdradzać własne poglądy, używał broni przeciwnika, stawał się demonem dla demona! Uwielbiał tę rolę męczennika zmuszonego do sprzeniewierzenia się samemu sobie, by służyć Bogu. Rozgrzeszeniem były dla niego sukcesy naszej grupy, najskuteczniejszej w wydziale.

Ja ze swej strony nie miałem żadnych złudzeń. Już dawno straciłem katolicką powściągliwość. Nie da się poruszyć gówna, żeby się nim nie opryskać. Nie sposób uzyskać zeznania bez brutalności i kłamstw. Nie przepadałem też za takimi metodami i kiedy musiałem je stosować, zawsze czułem pewien niesmak.

Między tymi dwiema postawami znaleźliśmy równowagę regulowaną co do miligrama dzięki naszej przyjaźni. Spotkaliśmy się ponownie jako dorośli i stwierdziliśmy, że jesteśmy tacy sami jak w młodości latych. To samo poczucie humoru, zafascynowanie pracą, ten sam religijny żar.

Koledzy w końcu wyrobili sobie o nas opinię. Musieli znosić dziwactwa Luca — jego skoki adrenaliny, jego tajemnice, dziwny sposób wyrażania się. Chętniej mówił o diable, o panowaniu demona niż o wskaźnikach przestępczości. Zdarzało mu się modlić na głos w trakcie akcji interwencyjnej, co sprawiało wrażenie, że wykonuje robotę

Jeśli chodzi o mnie, nie byłem wcale lepszy z moją awersją do hałasu wywoływanego przez metalowe przedmioty, z alergią na radio. Z moją dietą obejmującą wyłącznie ryż i zieloną herbatę, którą piłem przez cały dzień, w świecie, gdzie ludzie jedzą tłuste rzeczy i piją wino bez dolewania do niego wody.

Zaczęliśmy odnosić sukcesy.

W ciągu roku mieliśmy ponad trzydzieści aresztowań. W korytarzach komendy krążył żart: „Przestępczość wzrasta? Nie, to te dupki zakasały rękawy!”. Podobał się nam nasz wizerunek, bardzo

niekonwencjonalny. A przede wszystkim podobało się nam to, że stanowimy zgraną ekipę. Chociaż zdawaliśmy sobie sprawę, że w końcu pogoń za sukcesami doprowadzi do rozłąki.

#### *Początek 2002 roku*

Luc został szefem wydziału do walki z narkotykami, ja — wydziału zabójstw. Więcej odpowiedzialności, większa pensja. Każdy z nas dostał własną ekipę dochodzeniową.

Ledwie mieliśmy czas się pożegnać. Obiecaliśmy sobie jednak, że nadal będziemy jeść wspólnie śniadanie i spędzać razem weekendy w Vernay.

Trzy miesiące później nie widywaliśmy się nawet na korytarzach komendy.

## 15

— Ja biorę czekoladki.

Kiedy otworzyłem oczy, w uszach brzmiał mi jeszcze śmiech Luca w piwiarni Złote Słońce znajdującej się w sąsiedztwie naszego biura. Zamrugalem powiekami i wzrok mój spoczął na zdjęciu japońskiego lekarza z Jednostki 731 dokonującego na żywo wiwisekcji. Zdjęcie leżało przede mną, na biurku.

— Mamo, ja to zrobię!

O której godzinie się obudziłem? Spojrzałem na zegarek: ósma piętnaście.

— Nie ruszaj! Dam ci je potem!

Głosy dziewczynek za ścianą mieszały się ze szcękaniem talerzy i sztućców. Camille i Amandine. Comfleksy na rodzinne śniadanie przed wyjściem do szkoły. Przetarłem ręką twarz, żeby usunąć przykre wizje i odzyskać jasność umysłu.

Klęknąłem na podłodze, pobierałem wszystkie fotografie, zdjęcia rentgenowskie, notatki, dokumenty i włożyłem je do odpowiednich teczek. Odstawiłem pudełka na półki, przestrzegając chronologicznego porządku.

Kiedy wyszedłem z gabinetu, dziewczynki z tornistrami na plecach były już holu. Czułem zapach pasty do zębów i kakao.

— A moja torba na basen?

— Stoi przy drzwiach, kochanie.  
Dziewczynki natychmiast odwróciły się w moim kierunku i rzuciły mi się w objęcia. Laure odciągnęła je na powrót do drzwi.  
— Myślałam, że cię nie ma.  
— Wybacz, zasnąłem.  
Usiłowałem się uśmiechnąć, ale obraz osamotnionej Laure z dziećmi ścisnął mnie za gardło. Wróciłem do gabinetu, przypiąłem kaburę do pasa i włożyłem nieprzemakalny płaszcz.  
— Chcesz kawy? — zapytała.  
— Nie, dzięki. Jestem już spóźniony.  
— Nie zapomnisz o dniu jutrzejszym?  
— O czym?  
— O mszy.  
Uściskałem ją ze zwykłą u mnie niezręcznością.  
— Będę na pewno. Możesz na mnie liczyć.  
Godzinę potem jechałem do Jedenastej Dzielnicy, wykąpany, ogolony, uczesany, w czystym garniturze. Zadzwoiłem do Foucaulta.  
— Mat, mam moralnego kaca.  
— Odwagi, przyjacielu. Zrobiłeś, co do ciebie należało!  
— Niech to szlag!  
— Przypominasz sobie coś w związku z Larfaouim?  
— Sprawa prowadzona przez Luca?  
— Właśnie. Zadzwoń do speców od balistyki, do kostnicy, do komisariatu w Aulney, skontaktuj się ze wszystkimi, którzy mogą udzielić ci informacji, oprócz sędziego i ludzi Luca. Znajdź mi też akta tego Algierczyka.  
— To wszystko?  
— Nie. Chcę, żebyś skontaktował się z SNCF\*. Siódmego lipca Luc pojechał do Besancon. Sprawdź, czy nie wyjeżdżał gdzieś indziej w okolicach tej daty. Sprawdź także na lotniskach. W ostatnich miesiącach dość często podróżował.  
— Dobra.  
— Spróbuj też dowiedzieć się w Hôpital-Dieu, na oddziale, gdzie nasi chłopcy przechodzą okresowe badania, czy Luc nie miał kłopotów ze zdrowiem.

\* SNCF (Societe Nationale des Chemins de Fer Francais) — francuskie koleje państwowe.

— Znalazłeś jakiś ślad?

— Za wcześniej, żeby o tym mówić. Zanotuj też adres internetowy: [unital6.com](http://unital6.com).

— Co to takiego?

— Włoskie stowarzyszenie, które organizuje pielgrzymki. Poszperaj w tym.

— Po włosku?

— Jakoś sobie poradzisz. Chcę mieć wykaz pielgrzymek, tegorocznych seminariów i tego wszystkiego, co dotyczy działalności stowarzyszenia. Schemat organizacyjny, statut prawny, źródła finansowania. A potem skontaktuj się z nimi. Luc wysłał do nich przynajmniej trzy emaile, zanim postanowił się utopić. Skasował je. Spróbuj odzyskać je tą drogą — Będę musiał zażyć aspirynę.

— Zażywaj, co chcesz. Czekam na wiadomość w południe.

Jechałem do piwiarni Złote Winogrono na ulicy Oberkampff, prowadzonej przez dwóch braci, Saida i Momo, moich dawnych informatorów. Byli doskonali ze względu na ich miejsce pracy. Na ulicy zrobił się korek i zamierzałem już wystawić na dach koguta, gdy zadzwonił mój telefon komórkowy.

— Mat? Tu Malaspey.

— Czego dokonałeś?

— Dorwałem pewnego numizmatyka. Zidentyfikował medalion.

— Co powiedział?

— Sam przedmiot nie ma wielkiej wartości. Tandetna reprodukcja medalionu z brązu wytopionego na początku trzynastego wieku w Wenecji. Mam nazwę warsztatu, który...

— Nie trzeba. Czemu służył?

— Zdaniem tego faceta był to amulet do obrony przed diabłem. Mieli je przy sobie mnisi kopiści, którzy żyli w strachu przed demonami. Obsesyjnie rozmyślali o życiu świętego Antoniego i...

— Znam tę historię. Czy wiesz, skąd pochodzi ta reprodukcja?

— Jeszcze nie. Facet dał mi namiary. Ale ten medalion naprawdę nie ma...

— Zadzwoni, kiedy dowiesz się czegoś więcej.

W tym momencie przypomniałem sobie o zabójstwie właścicielki sklepu jubilerskiego w Perreux.

— Skontaktuj się z glinami z Creteil i sprawdź, czy mają coś nowego o Cyganach.

Odłożyłem telefon. Słusznie się domyślałem. Luc przed wejściem do wody wziął ze sobą talizman. Przedmiot, który miał jedynie wartość symboliczną, mający chronić go przed szatanem. Jakie sprzeczności nim miały, że bał się jednocześnie życia i śmierci?...

Ulica Oberkamp. Zaparkowałem sto metrów od piwiarni. Szum samochodów i toksyczne spaliny przyprawiły mnie o ból głowy. Nie mając od rana nic w ustach, zapaliłem papierosa. Postawiłem kołnier nieprzemakalnego płaszcza i znów stałem się policjantem. Wymęczonym nieprzespaną nocą, bywalcem kafejek, gotowym gołać sobie rano kieliszek calvadosu.

Godzina dziesiąta rano. Piwiarnia była prawie pusta. Usadawiłem się na taborecie przy końcu kontuaru. Kilka typów popijało przy barze, rzucając co jakiś czas głupi dowcip. Trochę dalej przy stolikach siedzieli studenci, którzy pewnie mieli przerwę w wykładach. Godzina przestoju.

Odprężylem się. Bracia zmienili wystrój wnętrza. Imitacja drewna, miedzi, marmuru. Jedyne autentyczne elementy to smród wódki i zastarzałego dymu papierosowego. A także zapach piwa i pleśni. Na prawo ode mnie otwarta była kłapa do piwnicy. Brano stamtąd nową

Przy drugim końcu kontuaru zmaterializował się Momo z naręczem bagietek. Obserwowałem go, nie zdradzając swojej obecności. Kanciasta twarz z gęstymi włosami, grubymi brwiami i silnym podbródkiem. Brutalny, potężny, żył w cieniu swego młodszego brata Saida, chuderlawego i szczwanego.

Nie potrafiłbym powiedzieć, który z nich był bardziej niebezpieczny. W dziewięćdziesiątym szóstym roku komandosi z GIA spacyfikowali ich rodziną wioskę. Opowiadano, że bracia odnaleźli sprawców zbrodni, jednych od razu zabili, a innych zmusili do zjedzenia ich narzędzi. Pamiętając o tym, powiedziałem sobie: „Udawaj obojętnego”.

Momo w końcu zauważył mnie.

— Durey! — powitał mnie szerokim uśmiechem. — Kopę lat!

— Dostanę kawę?

Algierczyk skinął głową. W obłokach pary przypominał marynarza łodzi podwodnej w maszynowni.

— Nie w robocie o tej porze? — zapytał, przesuwając filiżankę po metalowym blacie.

— Mam jej dość! Za dużo godzin nadliczbowych.

Momo popchnął w moim kierunku cukierniczkę i oparł łokcie na kontuarze.

— Szefowie każą zapieprzać?

— Nie popuszczą ani na chwilę. Nie ma kiedy usiąść.

— Niech pan zrobi jak my i pracuje na własny rachunek! Jako detektyw. Roześmiał się głośno, bo spodobał mu się jego własny pomysł.

— Zawsze się ma jakiegoś szefa, Momo. Wy też macie, dostawców piwa.

— Dostawcy nie mają tu nic do gadania — warknął Momo. — My decydujemy o wszystkim.

— Nie rozśmieszaj mnie. Larfaoui trzyma was za jaja.

Wyraz twarzy Momo nagle się zmienił. Miał minę jak dozorca, który przegapił napad. Wyjąłem camela i postukałem nim o blat. Drażyłem dalej.

— To nie on was zaopatruje?

— Larfaoui nie żyje.

Zapaliłem papierosa i podniosłem filiżankę.

— Pokój jego duszy. Co wiesz na ten temat?

— Nic.

— Na świecie żyłoby się o wiele łatwiej, gdyby ludzie byli bardziej skłonni do gadania. Słyszałem, że otworzyliście nowy bar w okolicy Bastylli.

— I co z tego?

Momo wpatrywał się w otwartą klapę piwnicy. Na dole był Said. Musiałem się spieszyć, zanim jego cwany braciszek wyjdzie na górę. Zmieniłem trochę temat.

— Mam jeszcze kilku kumpli w wydziale kontroli sanitarnej. Mogliby tu wpaść i sprawdzić stan higieny, wasze zdrowie, licencję...

Momo nachylił się do mnie. Poczulem zapach potu i kadzidła.

— To już nie te czasy. Gliny dziś się tym nie zajmują.

— Momo, daj mi jakiś ślad i zmywam się.

W wejściu do piwnicy pojawiła się platforma wyciągu towarowego. Said, niczym admirał na mostku, stał pośród metalowych beczek. Pierwsza szansa stracona.

— Dzień dobry, kapitanie. Miło mi pana widzieć.

Zmusiłem się do uśmiechu uderzony po raz kolejny kontrastem między nim a jego bratem. Momo był jak nieobrobiony blok kamienia, Said zaś jak starannie wyrzeźbione dzieło. Spod gęstych,



prostych, czarnych włosów wyglądała wąska twarz. Jej rysy zdradzały wiele niuansów naraz: łagodność, pogardę, szacunek, okrucieństwo... Wszystko to ujawniało się w jego migdałowych oczach, w kącikach zmysłowych ust.

Przeszedł okrakiem nad beczkami i zajął miejsce na sąsiednim taborecie. Zabawa się skończyła.

— Proszę przyjąć moje wyrazy współczucia.

Skinąłem głową, odgarniając nerwowo włosy z czoła. Said już wiedział o Lucu — musiał mieć jakiś związek ze sprawą Larfaouiego. Dał dyskretnie znak bratu, który przyniósł mu kawę.

— Lubiliśmy bardzo kapitana Soubeyrasa.

Jego głos, jak cała reszta, świadczył o pogardzie dla rozmówcy. Mówił tak, jakby miał w ustach oliwki.

— Luc nie umarł, Said. Nie mów o nim w czasie przeszłym. Może się obudzić w każdej chwili.

— Wszyscy mamy taką nadzieję, kapitanie. Zapewniam pana.

Said wsypał cukier do kawy. Miał na sobie drelichową wojskową kurtkę i złote ozdoby — łańcuch, zegarek z bransoletką, sygnet.

— Rozumiemy pański smutek. Ale nic nie wiemy. I pańskie pytania nie przywrócą go do życia.

— Przejmuję jego sprawy.

— To nie jest pan już w wydziale zabójstw?

Wyciągnąłem kolejnego papierosa. Zdecydowanie był sprytniejszy od swego brata.

— Przyjacielska przysługa. Czy możesz mi coś powiedzieć o sprawie Larfaouiego?

Said uśmiechnął się nieznacznie. Nigdy nie patrzył w twarz swemu rozmówcy. Albo opuszczał wzrok, mrugając gwałtownie powiekami, albo podnosił oczy w górę, jakby się nad czymś usilnie zastanawiał. Wszystko to było grą. Said zawczasu wiedział, co odpowie, zanim jeszcze usłyszał pytanie. Na moje pytanie w ogóle nie odpowiedział.

— Luc przychodził tu i pytał was o to zabójstwo, tak czy nie?

— Oczywiście. Znamy ludzi w tej dzielnicy. Ale o tym nie wiemy nic. Przysięgam, kapitanie. Śmierć Massine'a to naprawdę zagadka.

Machnąłem ręką do Momo, aby podał mi kawę. Said zaczynał mi grać na nerwach tym swoim ugrzecznionym tonem. Im był grzeczniejszy, tym bardziej wyglądało na to, że sobie ze mnie kpi.

Spojrzałem mu prosto w oczy. Najlepsza strategia to brak strategii. Szczerość.

— Słuchaj, Said. Luc to mój najlepszy przyjaciel, rozumiesz?

Said milczał, mieszając powoli łyżeczką w kawie.

— Nikt nie przewidywał tego nieszczęścia. Zwłaszcza ja. I dlatego chcę się dowiedzieć, dlaczego to zrobił. Co odkrył, jak daleko zaszedł. Kapujesz?

— Doskonale, kapitanie.

— Prowadził śledztwo sam i wygląda na to, że miał pewne trudności. Jednak myślę, że dogrzebał się czegoś w tym gównie. Czegoś, co przyczyniło się do jego depresji. Wysil więc swoją mózgownicę i daj mi jakąś wskazówkę!

Prawie krzychałem. Odkaszniałem i wróciłem do równowagi. Said, niewzruszony, znowu pokręcił przecząco głową z przylizanymi włosami.

— Nie wiem nic na temat tej sprawy.

— Larfaoui nie miał jakichś zatargów z innymi dostawcami piwa?

— Nigdy nic o tym nie słyszałem.

— A może z którymś z właścicieli kawiarni? Może jakiś zadłużony facet chciał się zemścić?

— Takie rzeczy u nas się nie zdarzają, pan to dobrze wie.

Said miał rację. Larfaoui został zamordowany przez zawodowca.

A żaden właściciel kawiarni nie byłby w stanie znaleźć takiego zabójcy.

— Larfaoui zajmował się nie tylko dostawą piwa. Handlował narkotykami.

— Jeśli o to chodzi, nic panu nie mogę pomóc. Trzymamy się z dala od narkotyków.

Zacząłem inaczej.

— Kiedy Luc był u was, czy miał jakiś pomysł w związku tym morderstwem?

— Trudno powiedzieć.

— Mimo to zastanów się.

Said znowu spojrzał w bok, udając zamyślenie, po czym rzekł:

— Przychodził tutaj dwa razy. Pierwszy raz we wrześniu, zaraz po zabójstwie Larfaoui. Potem na początku tego miesiąca. Wyglądał na kompletnie ogłupiałego.

— Tylko mi nie wmawiaj, że ci się zwierzał.

— Pięć wódek w ciągu pół godziny to w pewnym sensie zwierzenie.

Luc miał zawsze skłonność do butelki. Nie zdziwiłbym się, gdyby w ostatnim czasie więcej pił. Said przysunął się bliżej. Był już kilka centymetrów ode mnie, cały czas z łokciami na blacie.

— Coś pan powiem w sprawie Massine'a. Może pan zajść dalej niż kapitan Soubeyras.

— Dlaczego?

— Bo pan jest naprawdę wierzący.

— Luc też był chrześcijaninem.

— Nie, nie był już prawdziwie praktykującym. Łyknąłem

kawę i poczułem, jak pali mi żołądek.

— Do czego zmierzasz?

— Larfaoui był religijny.

— No i co z tego?

— Niech się pan zastanowi, jaki to był dzień, kiedy go zamordowano.

— Stało się to ósmego września.

— W jaki dzień tygodnia?

— Nie mam pojęcia.

— W sobotę. Co robi prawdziwy muzułmanin w sobotę?

Zamyśliłem się. Nie pojmowałem, co sugerował mi Said. On tymczasem mówił dalej:

— Świątuje. Po piątku, kiedy się modli, prawdziwy wierny w sobotę bawi się.

— Chcesz powiedzieć, że łatwo go było dopaść tego wieczoru?

— Larfaoui miał swoje małe przyzwyczajenia. Jego rodzina została w Algierii.

— Miał kochankę?

— Nie kochankę. Dziwki.

W końcu pojąłem. Larfaoui został zabity około godziny dwudziestej trzeciej. Według wszelkiego prawdopodobieństwa nie był sam. A nikt nie wspominał o świadku ani o drugim trupie. Dziewczynie udało się uciec. Widziała wszystko.

— Znałeś tę dziewczynę?

— Nie.

— Nie udawaj idioty.

— Niech mi pan wierzy, ma pan sposoby, żeby ją odnaleźć.

Pomyślałem o doświadczeniu zdobyтым w BRP. Znałem wszystkie siatki. Ale szukać prostytutki, nie znając preferencji klienta, to jak szukać łuski naboju po zamachu Hezbollahu.

— Jakie dziewczynki lubił?

— Niech pan szuka, kapitanie. Nie wątpię, że się panu uda. Jakieś niejasne wspomnienie przemknęło mi przez głowę.

— Mówiłeś o tym Lucowi?

— Nie. Jego interesowały motywy, a nie okoliczności. Sądził, że chodziło o jakieś porachunki. Problem polegał na tym... — Said zawahał się — że chyba miało to związek z waszymi wewnętrznymi problemami...

— Tak ci powiedział?

— Nic mi nie powiedział, ale był zdenerwowany. Naprawdę zdenerwowany.

Kolejny raz podejrzenie o korupcję. Podniosłem się z taboretu:

— Przyjdą tu zapewne ludzie od nas.

— Psy od narkotyków?

— Nic im nie mów.

— Nic nie widziałem, nic nie słyszałem.

Ruszyłem do oszklonych drzwi. Piwiarnia zaczynała się zapełniać. Godzina aperitifów. Odwróciłem się do Saida.

— Jeszcze jedna rzecz: czy Larfaoui nie zadawał się z satanistami?

— A co to za jedni?

— Ludzie, którzy czczą diabła.

— Zostawiliśmy nasze demony w naszej ojczyźnie — odrzekł z lekkim uśmiechem Said.

— A jakie są te wasze demony?

— Dżiny, duchy pustyni.

— Larfaoui interesował się tym?

— Tutaj nikt nie interesuje się dżinami. Zostały za granicą, kapitanie. Na szczęście dla Sarko\*!

## 16

Odwiździłem jeszcze dwóch właścicieli barów i jednego dostawcę piwa, przyjaciela Larfaouiego. Niczego więcej się nie dowiedziałem. Ani o zabójstwie Algierczyka, ani o jego partnerce z tego wieczoru. Zaszedłem do chińskiej knajpki, gdzie połknąłem

\* Sarko — Nicolas Sarkosy, obecnie prezydent Francji, poprzednio minister spraw wewnętrznych, który ostro rozprawił się ze zbuntowaną mniejszością arabską.

porcję ryżu, a potem udałem się do zakładu medycyny sądowej, żeby dostarczyć Svendsonowi klisze rentgenowskie, które znalazłem u Luca. Chciałem się dowiedzieć, jakie choroby mózgu były na nich przedstawione. W końcu wróciłem do biura.

Ledwie usiadłem, kiedy zadzwonił telefon stacjonarny. Był to Foucault.

- Nigdy nie odbierasz telefonu komórkowego?
- Odsłuchuję wiadomości.
- Powiedzmy. Mam coś nowego w sprawie zabójstwa Larfaoui.
- Mów.
- Rozmawiałem z facetem od balistyki. Pamięta, że były trzy pociski. Potwierdza się hipoteza o egzekucji.
- Dlaczego?
- Według mojego informatora użyta broń to MPKS.

MPKS to pistolet automatyczny używany przez francuskich komandosów. Zetknąłem się z nim podczas stażu z balistyki. Jest wykonany z polimeru dla zmylenia wykrywaczy metali. Tego rodzaju broń każe przypuszczać, że zabójcą Larfaouiego był ktoś z wojskowych jednostek elitarnych.

- Co ci jeszcze powiedział?
  - Zabójca użył tłumika. Te trzy pociski miały charakterystyczne wyżłobienie. Ale jest coś bardziej interesującego. Technik obliczył prędkość pocisków według punktu uderzenia. Nie pytaj mnie, jak to zrobił, nic z tego nie rozumiałem. Jego zdaniem prędkość była poddźwiękowa. Tymczasem MPKS jest ponaddźwiękowy. Dosięga celu, zanim usłyszysz huk wystrzału.
  - Nic z tego nie rozumiem.
  - To znaczy, że zabójca sam przerobił swoją broń, żeby zmniejszyć prędkość pocisku!
  - W jakim celu?
  - Żeby nie uszkodzić broni. Z czasem fala ponaddźwiękowa niszczy lufę, a tym bardziej tłumik. Nasz facet pieści się ze swoim sprzętem. To sztuczka znana u żołnierzy, spadochroniarzy, najemników. Zdaniem mojego specjalisty jedynie wojskowy ekspert mógł tego dokonać.
- Po co miano by angażować „eksperta”, żeby wyeliminować dostawcę piwa? Słuchając Foucaulta, zauważyłem, że zostawił na moim biurku teczkę z prefektury ze sprawą Larfaouiego. Otworzyłem i przyglądałem się zdjęciu, na którym gruby Larfaoui miał ponurą minę, nieogolone policzki, wypomadowane włosy.

Pod zdjęciem leżały inne dokumenty. Życiorys odpowiedni dla typka, który miał często do czynienia z policją.

— Dowiedziałeś się czegoś w Besancon? — zapytałem Foucaulta.

— Luc jeździł tam pięć razy. Przekażę ci daty.

— A inne podróże?

— Katania na Sycylii, siedemnastego sierpnia. Kraków, dwudziestego drugiego września. Wydaje się możliwa hipoteza, że miał kobietę. Może Luc robił te przejażdżki w sprawach sercowych.

Nie wierzyłem w to. Luc nie mógł mieć kochanki.

— A co w sprawie wyciągów bankowych, bilingów telefonicznych?

— Będę miał informacje dziś wieczór. Najpóźniej jutro rano.

— Karta zdrowia Luca?

— Rozmawiałem z jednym lekarzem. Luc był w świetnej kondycji.

— A od strony psychicznej?

— Nie udało mi się niczego dowiedzieć.

— Co z tym adresem unital6?

— Są czyści. Organizują podróże do Lourdes dla chorych, pobyty wypoczynkowe w klasztorach we Włoszech, czasami we Francji. Organizowali także konferencje.

— Tematem jednej miał być diabeł?

— Tak, w listopadzie.

— Czy możesz dać mi wykaz uczestników, tematów?

— Nie ma problemu.

— A ich finanse?

— Dostają ofiary od pielgrzymów. I to chyba im wystarcza.

— A te emaile?

— Rozmawiałem z sekretarzem. Przysięga, że niczego nie otrzymał.

— Kłamie. Luc wysłał do nich przynajmniej trzy emaile. Osiemnastego i dwudziestego października.

— Sekretarz nic o tym nie wie.

— Podraż jeszcze.

Podziękowałem mu za dobrą robotę.

— Mat, mam kłopoty z Bykami — powiedział.

— Kontaktowali się z tobą?

— Wzywali mnie kilkakrotnie. Condenceau to paskudny typ.

— Co im powiedziałaś?

— Zachachmęciłem. Powiedziałem, że Luc pracował nad pewną sprawą razem z nami, ale nie zdążył przekazać nam swoich poufnych informacji.

— I co oni na to?

— Ubawili się. Jestem pewien, że tym bardziej będą węszyć, co robimy.

— Dumayet osłania nas przez czterdzieści osiem godzin, łącznie z dniem wczorajszym.

— To raczej krótki termin.

— Dodatkowy powód, żebyś się pospieszył.

Zgłębiłem się w akta Larfaouiego. Natychmiast przypomniałem sobie, że spotkałem się już z tym człowiekiem.

Larfaoui, Massine Mohamed. Urodzony 24 lutego 1944 roku w Oranie. Za młody, żeby służyć w wojsku podczas „francuskiej operacji utrzymania porządku” w Algierii, ale wystarczająco dorosły, żeby wstąpić w szeregi FLN\*. Podejrzewany o podkładanie bomb w Algierze. Dziesięć lat potem dzięki pieniądзом odziedziczonym po rodzicach sklepikarzach otworzył bar w Tamanrasset, u bram Sahary. W 1977 roku przekroczył pustynię i zbudował hotel z restauracją w Agadezie w Nigrze. Nastąpiły lata pomyślności. Larfaoui miał osiem kawiarni i hoteli w Czarnej Afryce, strefa jego wpływów sięgała aż do Brazzaville i Kinszasy.

Znałem te szczegóły, ale teraz przypomniałem je sobie dokładniej. Znalazłszy się w Paryżu, Larfaoui, jeden z ważniejszych dostawców piwa, nadal był nazywany „Afrykańczykiem”. Znany był ze swego upodobania do Afrykanek. Massine Larfaoui, żeby mieć erekcję, potrzebował czarnej dupy.

Oto, co mi podpowiedział Said.

Dziwka, tak, ale czarna dziwka.

„Ma pan sposoby, żeby ją odnaleźć” — to słowa tego lisa. Oczywiście aluzja do mojej znajomości środowiska afrykańskiego i jego siatki prostytutek. Jest teraz godzina osiemnasta. Nie ma mowy, żeby zagłębiać się w tę dżunglę za dnia. Trzeba poczekać do zmroku, a właściwie do no Zadzwońiłem do Malaspeya.

— Co tam słyhać w sprawie Perreux?

— Miałeś nosa. Cyganom rozwiązały się języki. Jedno nazwisko

\* FLN (Front de Liberation Nationale) — Front Wyzwolenia Narodowego, powstał w 1954 roku.

powtarza się obozowiskach w Grigny i w Champigny. Rumun, Cygan z grupy etnicznej kalderasz. Brutal, paranoik, mistyk. Chłopcy z Creteil sprawdzają jego alibi.

— Super. Zadzwoń do Meyera i powtórz mu to wszystko. Niech nam zredaguje dobry raport. Chcę, żeby jutro rano znalazł się na biurku Dumayet.

— On ma rodzinę, wiesz?

— To pilne. A medalion?

— Standardowa reprodukcja. Produkuje to seryjnie fabryka w Vercors...

— Chcę mieć dokładną notatkę jutro.

— Mat...

— Słucham? Ty też masz rodzinę?

— Nie, ale...

— No to do roboty.

Wyłączyłem telefon komórkowy, telefon stacjonarny, zamknąłem na klucz drzwi mojego pokoju. Usadowiłem się w fotelu i okryłem płaszczem z braku koca. Zgasilem światło. Nastawiłem budzik w zegarku na godzinę dwunastą o północy.

Najlepsza pora, żeby zaatakować czarny kontynent.

## 17

Afrykańska noc.

Była jak inne noce w tej stronie Paryża. Niepojęta ziemia, gdzie zabijano dostawców piwa. Tajemniczy brzeg naznaczony rytmem muzyki, przesiąknięty wonią rumu, z półotwartymi drzwiami nocnych lokali i sklepów, za którymi kryły się spelunki, schody prowadzące do knajp w piwnicach.

Znałem te światła wielkiego miasta. Od najmocniej świecących do zwykłych lamp naftowych w bramach Paryża czy na północnym przedmieściu. Pracując w BRP, często bywałem w miejscach, które oprócz muzyki i alkoholu zawsze oferowały płatną miłość.

Zacząłem obchód od lewego brzegu Sekwany. Kluby w Saint-Germain-des-Pres z modnymi prostytutkami afrykańskimi. Ruby's na ulicy Dauphine. Lokal, który szczególnie lubiłem za atmosferę intymności, za to, że nieoczekiwanie się tam znalazł ze swymi ciemnoczerwonymi drzwiami w chińskim stylu w głębi brukowanego



dziedzińca z siedemnastego wieku, w samym środku literackiej dzielnicy.

Zastąpiłem starych znajomych: portierów, stałych bywalców, tych wszystkich, dzięki którym lokal mógł funkcjonować. Zatrzymałem się na moment w przedsionku, terytorium czarnych samców — bar, wybieg i kanapy były zarezerwowane dla kobiet i białych chłopców. Potem zajrzałem do szatni w poszukiwaniu Cocotte.

Cocotte była dziewczyną z Zairu. Jak sięgam pamięcią, zawsze stała za kontuarem szatni. Zawsze obecny symbol *Afrique by night*.

— Miło cię widzieć, Zapałko! Jak tam twoje sprawy sercowe?

„Zapałka” to był przydomek nadany mi przez czarnych.

— W martwym punkcie. A co u ciebie, jak tam twój mięśniak?

— Nawet mi o nim nie wspominaj. Mam go dość! On i ten jego mały ptaszek!

Wybuchnęła śmiechem. Cocotte żyła z kulturystą nadużywającym środków pobudzających, androgenów, który niszczyły jego spermę i uczyniły go bezpłodnym. Cocotte wściekała się, widząc jak ten mięśniak łyżkami je testosteron, podczas gdy ona marzyła o dzieciach...

— Co cię tu sprowadza, kotku?

— Szukam Claude'a.

— Nie ma go tu. Poprzytykał się z szefem. Szukaj go raczej w Keur Samba.

Claude to jeden z moich dawnych informatorów. Przyjechał z Wybrzeża Kości Słoniowej. Tak naprawdę nie był sutenerem, lecz doradcą, pośrednikiem między różnymi grupami etnicznymi, siatkami, nadzianymi klientami. Człowiek taki jest niezbędny w tym świecie.

Cztery cmoknięcia i skierowałem się do wyjścia. Nagle zawahałem się. Tylko rzut oka, pomyślałem i zawróciłem do głównej sali. Z tonącego w półmroku wnętrza uderzyła we mnie zmiksowana rytmiczna muzyka rodem z Małych Antyli. Zamarłem na progu.

Były tu, na wybiegu, smukłe, czarne, niewzruszone, kołyszące się w takt muzyki. Skoncentrowane, a jednocześnie jakby nieobecne. Każda z nich poruszała się na swój własny sposób. Magiczne kręgi zataczane biodrami, uniesionymi rękoma, niczym w geście pożegnania ze stałym łodem; falujące sylwetki, jakby zamierzały wspiąć się na niewidoczną ścianę; pośladki podrygujące w dzikim i zarazem chłodnym rytmie...

Poczułem niepokój w podbrzuszu. Jak mogłem o tym zapom-

nieć? Jak mi się udawało, odkąd jestem w wydziale zabójstw, opierać się takiej pokusie? Odszedłem po cichu, nie odwracając się, uciekając przed cieniem własnych pożądań.

Wsiadłem do samochodu i ruszyłem nabrzeżem. Czarna, leniwa Sekwana, światła załamujące się na jej falach. Miałem wrażenie, jakby to była inna rzeka, znana tylko mnie jednemu, wzdłuż której stały pomosty charakterystyczne dla krajów afrykańskich. Przy Grand-Palais przejechałem przez Sekwanę, kierując się do Ósmej Dzielnicy.

Keur Samba. Bardziej wytworna niż Ruby's, ale i mniej swojska. Podobał mi się zwłaszcza wystrój. Jasnozielone ściany według mody retro, ze stylizowanymi motywami dżungli — lwami, gazelami, palmami... Akwarium przypominające buduar w kolorze koniaku. Przeszedłem obok baru, ocierając się o kukły z czarnego jedwabiu, równie prawie wzrostem ze mną, dotarłem do toalet, gdzie czekała na mnie inna

Merline siedziała za pulpitem, na którym leżały paczki papierosów i pudełka z prezerwatywami. Smukła twarz pod czarnymi, sztywnymi od lakieru włosami, z loczkami na skroniach. Na mój widok zaskrzeczała śmiechem niczym papuga. Powitała mnie tak jak zwykle:

— Witaj, mój piękny tubabie!

— Witaj, Merline.

Słowem *tubab* określano w Afryce Zachodniej białego człowieka. Pięć lat temu uratowałem Merline, gdy pracowała na ulicy po przyjeździe z Bamako. Głodzono ją, żeby nie wymiotowała podczas seksu oralnego.

— Nie bój się dziewczynek, podejdź bliżej.

Pozdrowiłem otaczające ją kobiety: pięć lub sześć lubieżnych, czarnych jak węgiel kwiatów, opartych o ścianę obitą fioletowym welurem. Ich wielkie czarne oczy przywodziły na myśl zaklinacza węży z obrazu Celnika Rousseau.

— Tęskniłeś za mną?

— Nie wiem, jak mogłem tak długo zwlekać.

Parsknęła śmiechem. Przyjrzałem się „dziewczynkom”. Ubrane były w polyskującą morę i wszędzie miały wpięte agrałki: w wargi, nozdrza, pępki. Uwagę moją zwróciły przede wszystkim ich peruki: warkocze, rudawe loczki, koki z lat sześćdziesiątych a la Diana Ross...

— Nawet o tym nie myśl. Są dla ciebie za drogie.

— Nie po to tu przyszedłem.  
— A powinieneś. Odprężylbyś się. Czego szukasz?  
— Claude'a. Muszę się z nim widzieć.  
— Zajdź do Atlantis. Pracuje teraz z tymi z Antyli. Pożegnałem Merline i jej dwór. Wychodząc z Keur Samba, uzmysłowiłem sobie, że nie zastałem nikogo ze stałych bywalców, ani muzyka, ani syna ambasadora, ani futbolisty. Gdzie byli tej nocy?

Atlantis mieścił się w hangarze, tuż obok magazynu wykładziny dywanowej Saint-Maclou, na bulwarze Austerlitz. W wielkim przedsiönku żelazne barierki odgradzały wejście do lokalu. Trzeba było przejść przez bramkę z wykrywaczem metalu, a potem poddać się osobistej rewizji. Jeden z ochroniarzy, kongijski olbrzym o przydomku Nunur, kiedy mnie zobaczył, ryknął: „O, gliny!”. Rubaszny śmiech. Ostemplował moją rękę niebieskim symbolem ONZ, co dawało prawo do jednego drinka gratis. Podziękowałem mu i wszedłem do środka. Opuściłem świat wykwintnej mody na rzecz supermarketu.

Atlantis, kraina, gdzie muzyka antylska tworzy ocean. Wibracja rytmu unosiła mnie z podłogi. Kilka tysięcy metrów kwadratowych pograżonych w ciemności, z ustawionymi byle jak stołami i ławeczkami. Kierowałem się wzrokiem, a także na wycucie. Czułem się jak pływak, który poddaje się prądowi.

Przechodząc przez ławki, doszedłem do lady zastawionej butelkami. Jeden z barmanów przetrwał lata mojej nieobecności.

— Jest tu Claude? — zawołałem.  
— Kto?  
— Claude!  
— Pewnie jest u Pata. Mają tam dziś jakąś uroczystość. Oto dlaczego nie widziałem dotąd nikogo ze znanych osób.

Wszyscy musieli być tam.

— U Pata? U jakiego Pata?  
— Tego od sklepu.  
— W Saint-Denis?

Facet kiwnął twierdząco głową i schylił się, by wziąć garść kostek lodu. W tym momencie w lustrze przede mną zobaczyłem sylwetkę, która nie pasowała do tego miejsca. Biały, z bladą twarzą, ubrany na czarno. Odwróciłem się: nikogo. Halucynacje? Wsunąłem barmanowi banknot i wycofałem się stamtąd, walcząc ze zmęczeniem.

Wjechałem na bulwar obwodnicy z Porte de Bercy, a następnie przez Porte de la Chapelle na autostradę A1. Kilometr dalej ujrzałem migoczące światła przedmieścia.

*Godzina 3.00 nad-ranem*

Na czterech pasach autostrady nie było żadnego samochodu. Minąłem tablicę z napisem: SAINT-DENIS CENTRE-STADE i zjechałem na pas z tablicą: SAINT-DENIS UNIVERSITE-PE-YREFITTE. W tej samej chwili we wstecznym lusterku zobaczyłem — albo wydało mi się, że zobaczyłem — bladą twarz, która mignęła mi wcześniej w Atlantis. Skrzyłem kierownicę i samochodem gwałtownie zarzuciło. Zwolniłem i spojrziałem ponownie we wsteczne lusterko: nikogo. Żadnego samochodu jadącego za mną.

Wjechałem pod wiadukt i skręciłem na lewo, podążając pasem wymalowanym na asfalcie. Wkrótce domy i osiedla ustąpiły miejsca magazynom i nieczynnym fabrykom. Leroy-Merlin, Gaz de France...

Skręciłem na prawo i znowu na prawo. Wąska uliczka, przytłumione światła, grupki ludzi na zewnątrz. Wyłączyłem długie światła i jechałem dalej, podskakując na nierównej nawierzchni. Obdrapane mury, otwory zabite deskami, gabloty bez kół ani jednego parkometru — miejsce szczególne, w swoim rodzaju.

Minąłem kilka grup mężczyzn — sami czarni. Nad budynkami rysował się niczym groźne ramię cień autostrady. Deszcz wisiał w powietrzu. Zaparkowałem dyskretnie i jeszcze bardziej dyskretnie ruszyłem pieszo, zdając sobie sprawę, że znalazłem się w sercu czarnego kraju, w stu procentach afrykańskiego, w stu procentach uodpornionego na francuskie prawa.

Przemknąłem się między nocnymi markami, przeszedłem przez żelazną barierę sklepu Pata i dotarłem do następnego budynku. Znałem dobrze to miejsce, nie wahałem się ani chwili. Znalazłem się na podwórzu wypełnionym gwarem i śmiechem. Portier stojący przy schodach zewnętrznych pozwolił mi wejść. Dałem mu dwadzieścia euro za to tylko, by nie tracić czasu i nie słuchać niepotrzebnego gadania.

Korytarzem doszedłem na tył sklepu zasłoniętego kotarą z muszelek. Afrykański sklepik najlepiej zaopatrzony w Paryżu: maniok, sorgo, mięso małpy, antylopy... W sprzedaży były nawet magiczne rośliny z gwarantowaną skutecznością. W sąsiedniej sali Pat otworzył nie dla każdego dostępną podziemną restaurację. Ręce myło się tu w proszku Omo, a wentylacja pozostawiała wiele do życzenia. Przeszedłem przez sklep. Murzyni gawędzili, siedząc na skrzyniach z afrykańskim piwem i bananami z plantacji. Przedałem się do wypełnionej po brzegi restauracji. Z rzucanych mi spojrzeń, wyczułem, że nie jestem tu mile widziany. Dawno już przekroczyłem granicę strefy turystycznej.

Dotarłem do schodów. Od rytmu dochodzącego z podziemia drżał strop. Zacząłem schodzić, czując, jak upał i muzyka zatykają mi oddech. Stopnie oświetlone były okratowanymi lampami. Na dole zatarasował mi drogę cerber w dresie stojący przed żelaznymi drzwiami podnoszonymi do góry na prowadnicy. Pokazałem moją odznakę. Facet niechętnie uchylił drzwi. Odniosłem wrażenie, że mam naprawdę halucynacje. Nocny lokal o niewielkich rozmiarach, mroczny, wibrujący, jakby pocętkowany światłem — fosforyzująca gęsia skórka na czarnej skórze.

Ściany w kolorze fiołkoworóżowym z fluorescencyjnymi gwiazdami, kolumny podtrzymujące sufit, który zdawał się wisieć ciężko nad głowami. Gdy przymrużyłem oczy, zobaczyłem umocowane pod nim sieci rybackie. Na obrzeżach Paryża, wiele metrów pod ziemią, urządzono portową knajpę. Stoły nakryte obrusami w kratę, a na nich lampy sztormowe. Lokal był wypełniony falującym tłumem ludzi tańczących pod sieciami. Wyobraziłem sobie cudowny połów czarnych czaszek, różnokolorowych sukienek, satynowych spodniów...

Przeciskałem się przez tę ciżbę, szukając Claude'a.

W głębi, na scenie, przecinanej pasami różowego i zielonego światła, kołysało się trochę osób, skandując obsesyjnie powtarzające się akordy. Autentyczna afrykańska muzyka, radosna, wyrafinowana, prymitywna. W przebłysku światła dostrzegłem gitarzystę, który obracał głową, jakby była na sprężynie. Obok jakiś czarnoskóry odchylony do tyłu wydobywał ostre tony ze swego saksofonu. Tu nie było już mowy o żeńskim zespole R&B ani o rytmach antylnskich. Ta muzyka drażniła zmysły, przenikała do żołądka, uderzała do głowy niczym śpiewne zaklęcia w stylu voodoo.

Pary na scenie tańczyły z finezyjną powolnością. Przepychałem

się między nimi mokry od potu, jakbym wszedł do basenu. Widziałem znane mi twarze, których na próżno szukałem gdzie indziej. Menedżer Femi Kuti, syn prezydenta belgijskiego Konga, dyplomaci, piłkarze, konferansjerzy radiowi... Zjednoczeni tutaj, niezważający na różnice etniczne czy narodowe.

W końcu zauważyłem Claude'a siedzącego przy stole z kilkoma facetami. Podeszedłem, rozpoznając doskonale gębę mojego dawnego informatora. Zajmujący całą twarz płaski nos, nastroszone brwi pod zmarszczonym czołem, wielkie, zdziwione oczy, które stale krzyczały: „Jestem niewinny!”. Podniósł rękę.

— Mat! Mój przyjacielu! Chodź, siadaj z nami!

Usiadłem, kiwnąwszy głową pozostałym kompanom przy stole.

Co za typy, bez wątpienia olbrzymy z Zairu, a ci bardziej krępi z francuskiego Konga. Pozdrowili mnie niezbyt wylewnie. Wszyscy wyczuli glinę. Na znak, że mam pokojowe zamiary, zasłoniłem połą płaszczą swoją br— Napijesz się czegoś?

Przytaknąłem, nie spuszczać wzroku z pozostałych. Podawali sobie jointa, którego dym niebieskawymi obłoczkami unosił się nad ich głowami. Dostałem szklanekę szkockiej whisky.

— Znasz historjkę o Mamadou?

Nie czekając na moją odpowiedź, Claude przystąpił do opowieści:

— Pewna biała dziewczynka wybiera się za mąż. Przedstawia ojcu swego narzeczonego. Mamadou, czarnoskóry, metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Ojciec nie jest zachwycony. Poddaje narzeczonego przesłuchaniu. Pyta o jego pracę, studia, dochody. Murzyn jest w porządku pod każdym względem. Ojciec nie ma się już do czego przyczepić. W końcu mówi: „Chcę, żeby moja córka była szczęśliwa w łóżku! Mężczyzna, któremu ją oddam, musi mieć członek długości trzydziestu centymetrów!”. Murzyn z szerokim uśmiechem odpowiada: „Nie ma problemu, staruszk. Kiedy Mamadou kocha, Mamadou może go sobie skrócić”.

Claude ryknął śmiechem, podając jointa sąsiadowi. Udałem, że się śmieję, i wypilem łyk whisky. Słyszałem ten dowcip już setki razy. Zadowolony z siebie Claude klepnął mnie po plecach, a potem włączył telefon komórkowy. Światło z ekranu odbiło się na jego twarzy, barwiąc białka oczu.

— Co cię sprowadza, tubab?

— Larfaoui.

Dobry humor Claude'a ulotnił się.

— Szefie, nie psuj nam wieczoru.

— Kiedy Algierczyk dał się zabić, nie był sam. Szukam tej dziewczyny.

Claude nie odpowiedział. Znowu włączył komórkę, odczytując SMS-a. Pewnie jakiś klient. Ale twarz Claude'a nie wyrażała niczego. Trudno było się domyślić, czy to ważny telefon, czy nie. Wyłączył komórkę.

— Gdzie ona jest? — zapytałem, opróżniwszy szklankę. — Gdzie jest ta dziwka?

— Nie mam pojęcia, tubab. Przysięgam. Nic nie wiem o tej sprawie.

— Czy ty zaopatrywałeś Larfaouiego?

— Nie mam towaru, który by go interesował.

Zapytałem, bojąc się najgorszego:

— Co go najbardziej podniecało?

— Młodziutkie dziewczynki. Dla Larfaouiego taka, która skończyła czternaście lat, była już za stara.

Odetchnąłem z ulgą. Obawiałem się, że usłyszę o zwierzętach albo jedzonym łyżeczką gównie. Ale to też była zła wiadomość. Małolalek dostarczały kraje, gdzie toczy się wojna, na przykład Liberia, lub kraje przeludnione, jak Nigeria, gdzie wszystko jest dobre, żeby zarobić trochę dewiz. Mało znałem to zamknięte środowisko. prostytutki działały tu na własną rękę, nie znały słowa po francusku, a często i po angielsku.

— Kto je dostarczał?

— Nie wiem.

Obracając szklankę w dłoniach, obserwowałem pozostałych Murzynów. Poła mojego płaszcza odchyliła się, odsłaniając kolbę pistoletu 9 mm. Joint przechodził z ręki do ręki.

— Drogi Claude, przykro mi, ale muszę zepsuć ci wieczór.

Czarnuch pocił się obficie. W świetle reflektorów ze sceny krople potu błyszczały na jego twarzy. Powstrzymując mój gest, złapał mnie za nadgarstek.

— Idź do Foxy. Ona ci pomoże.

Prostytucja afrykańska ma pewną charakterystyczną cechę: sutenerami nie są mężczyźni, lecz kobiety — mamuśki. Często są to dawne prostytutki, które awansowały w tym zawodzie. Kobiety potężne, z twardą skórą, z pociętymi twarzami, które nigdy nie opuszczają swoich apartamentów. Spotkałem Foxy jeden lub dwa

razy. Pochodziła z Ghany. Najbardziej wpływową sutenerką w Paryżu.

— Gdzie teraz ma swoje gniazdko?

— Ulica Myrrha 56. Klatka A, trzecie piętro.

Kiedy wstawałem, Claude zatrzymał mnie.

— Uważaj! Foxy to czarownica. Pożeraczka dusz. Naprawdę niebezpieczna!

Afrykańskie sutenerki trzymają swoje dziewczęta nie siłą, lecz magią. W razie nieposłuszeństwa grożą im, że zesłają złego ducha na ich rodziny albo na nie same. Mamuśki przechowują obcięte paznokcie, włosy łonowe i poplamioną bieliznę swoich dziewcząt. W oczach ich podopiecznych taka groźba jest straszniejsza niż znęcanie się fizyczne.

Wyobraziłem sobie nagle afrykańskie maski z oczami w czerwonych obwódkach. Muzyka, gorąco, wyziewy ziół. Przenikliwe dźwięki saksofonu zaczęły w moim mózgu upodabniać się do szczęk maczet na drodze, do świstu wydobywającego się z gardeł dławiących się własną krwią Hutu...

Jeszcze chwila i straciłbym przytomność, kiedy pchnęli mnie na stół cofający się ze sceny tancerze. Z przewróconych szklanek wylała się whisky. Claude sparzył się jointem:

— Cholera!

Z rękawem mokrym od alkoholu odwróciłem się ku scenie: mężczyźni i kobiety zachowywali się, jakby z sieci wypadł wąż. Wspiąłem się na palce i zobaczyłem leżącego na ziemi Murzyna wstrząsanego konwulsjami. Miał wywrócone białka oczu, w kącikach ust pianę. Potrzebował natychmiastowej pomocy, ale nikt się do niego nie zbliżał.

Muzyka grała dalej. Tancerze wrócili na scenę, starając się nie dotknąć mężczyzny w transie. Inni klaskali w dłonie, jakby chcieli wypędzić złego ducha z ciała opętanego. Zacząłem przepychać się łokciami, żeby mu pomóc, ale Claude mnie zatrzymał.

— Zostaw go, tubab. Sam dojdzie do siebie. Jest z Gabonu. A chłopaki stamtąd wiedzą, co robić.

— Z Gabonu?

Gabończycy tworzyli w Paryżu nie sprawiającą kłopotów wspólnotę. Kraj Omara Bongo był bogaty w ropę, a jego obywatele to porządni, spokojni studenci. Inaczej niż ci z Konga lub Wybrzeża Kości Słoniowej.

— Zażył jakiś produkt pochodzący z jego kraju.



— Narkotyk?

Claude uśmiechnął się. Przymrużywszy oczy, patrzył, jak wynoszono sztywnego niczym kłoda Murzyna.

— Wygląda na dość skuteczny — skomentowałem. Claude, z głową odchyloną do tyłu, roześmiał się.

— My, czarni, wiemy, jak się odurzyć!

## 19

### *Ulica Myrrha, 5.00 rano*

Robotnicy z miejskiego zarządu dróg zmywali trotuary wodą ze szlauchów. Samochód policyjny jechał wolno, patrolując ulice. W bramach stało jeszcze kilka prostytutek, czekając, aż zrobi się jasno, żeby

Wszystko to było zniekształconym odbiciem afrykańskiej dzielnicy w Paryżu. Chociaż umieszczono tutaj komisariat policji na ulicy Goutte-d'Or, zbudowano dom towarowy Virgin na bulwarze Barbes, odnowiono większość budynków, ulica Myrrha zachowała swój dawny obskurny, niemiły wygląd.

Użyłem uniwersalnego klucza, jakim posługują się listonosze, i otworzyłem bramę budynku pod numerem 56. Dziurawe skrzynki na listy, stare mury, numery klatek schodowych napisane na ścianie. Opuszczony budynek, bliski stanu ruiny. Odnalazłem wejście A.

Na każdym piętrze kupy gruzu, korytarze pozabijane deskami. Na trzecim piętrze musiałem iść pochylony pod zwisającymi z sufitu kablami. Wszystko wydawało się pogrążone w letargu, nawet panujący tu smród.

Na krześle drzemał olbrzymiego wzrostu Murzyn. Żeby wejść do tego sezamu, pokazałem ponownie moją legitymację. Uniósł brwi, jakby jeszcze czekał na jakąś informację. Mruknąłem: „Foxy”. Wstał z krzesła, żeby odsunąć ohydną zasłonę spełniającą funkcję drzwi, i ruszył przodem przede mną.

Po obu stronach korytarza znajdowały się pokoje. Na plecionych matach odpoczywały ciepło opatulone prostytutki, na sznurkach suszyła się bielizna. Panował tu zaduch będący mieszaniną przypraw korzennych, potu, kurzu oraz charakterystycznego dla tropi-

ków zapachu prażonego prosa, węgla drzewnego, podgniłych owoców.

Kolejna zasłona zamiast drzwi. Olbrzym chciał postukać we framugę, ale powstrzymałem go gestem ręki:

— *Its OK.*

Zanim zdążył zareagować, wsunąłem się za kotarę.

Dalszy ciąg nocnych halucynacji. Ściany były obite czarną tkaniną w srebrne pasy; na podłodze paliły się świece, lampki oliwne, laseczki kadzidła; na ręcznie malowanych skrzyniach, ustawionych pod ścianami leżały tradycyjne przedmioty: packa na muchy z końskiego włosia, wachlarze z piór, wotywno statuetki, maski... Wszędzie wałały się flakoniki, słoiczki, butelki coca-coli zamknięte korkami lub taśmą klejącą. Parawany i wiszące dywaniki dzieliły pokój na części, zwielokrotniały drgające cienie, co jeszcze powiększało wrażenie bałaganu.

— *Hi, Match, good to see you again.*

Niski, niepowtarzalny głos. Byłem zaskoczony, że Foxy mnie pamięta. Minąłem zasłaniający ją parawan. Po obu jej bokach siedziały dwie inne czarownice. Po lewej smukła jak lodyga, z jasną twarzą, uczesana w dredy obsypane złotym proszkiem, które nadawały jej wygląd sfinksa. Po prawej grubaska o bardzo czarnej skórze. Szeroko uśmiechnięte usta odstaniały rozstawione zęby — zęby szczęścia. Wszystkie trzy siedziały z założonymi po turecku nogami.

Podszedłem bliżej. Foxy ubrana była w szkarłatną obszerną tunikę, która przypominała kurtynę w operze. Twarz z bliznami okalał fular w tym samym kolorze. Patrząc na nią, przypomniałem sobie teorię niektórych farmakologów. Wskutek przyjmowania pewnych substancji czarownicy i czarownice byli jakoby w stanie wydzielać z siebie przy oddechu i przez pory w skórze trujące lub halucynogenne substancje. Odpowiedziałem jej po angielsku:

— Przeszkadzam ci, ślicznotko? Masz jakieś spotkanie?

— *Honey*, to zależy, co cię sprowadza.

Mówiła po angielsku drewnianym, ospałym głosem. Z opuszczonymi powiekami ucierała jakieś proszki w drewnianej misie zadziwiająco szczupłymi rękami. Zapaliła szarą gałązkę.

— To dla moich dziewcząt. Oczyszczam noc. Noc grzechu, brudu...

— Kto zawinił?

— Hmm... Muszą zwrócić swoje długi, Mat. Ogromne dłu-

gi... — Wstawiła żarzącą się gałązkę między listwy podłogi. — Nadal jesteś chrześcijaninem?

Czułem suchość w gardle przepalonym alkoholem, nikotyną, a teraz dodatkowo duszną atmosferą tego pomieszczenia. Rozluźniłem krawat.

— Nadal.

— A więc możemy się nawzajem zrozumieć.

— Raczej nie. Nie chadzamy tymi samymi ścieżkami.

Foxy westchnęła, a za nią jej dwie towarzyszki.

— Wciąż te różnice...

Zęby Szczęścia powiedziała ironicznie po angielsku:

— Wierzący modli się, czarownik zaklina...

— Chrześcijanin czci dobro, czarownik zło — wtrąciła ta od dredów, także po angielsku.

Foxy chwyciła czerwoną wanienkę, w której pływało coś ohydneho — małpa, a może plód.

— *Honey*, dobro, zło, modlitwa, to wszystko się nie liczy.

— A co się liczy?

— Moc. Energia.

Trzymała teraz w ręku coś w rodzaju skalpela z obsydianowym ostrzem. Jednym zdecydowanym ruchem odcięła główkę stworzeniu znajdującemu się w wanience.

— Dla chrześcijanina najważniejsze jest zbawienie.

Foxy wybuchnęła śmiechem:

— Uwielbiam cię. Czego chcesz? Szukasz dziewczynki?

— Prowadzę dochodzenie w sprawie zabójstwa Massine'a Larfaouiego.

Trzy czarownice powtórzyły chórem:

— On prowadzi dochodzenie w sprawie morderstwa...

Foxy włożyła do drewnianej misy fragment główki i ponownie zabrała się do miażdżenia jej zawartości.

— Powiedz mi najpierw, dlaczego interesujesz się tą sprawą. Przecież to nie należy do twojego wydziału...

Foxy nie miała daru jasnowidzenia. Była zwyczajną informatorką opłacaną przez DPJ Louis-Blanc, BRP i nawet wydział narkotyków.

— To dochodzenie prowadził mój bardzo bliski przyjaciel.

— Nie żyje?

— Targnął się na swoje życie, ale jeszcze żyje. Jest w śpiączce.

Foxy skrzywiła się.

— Bardzo źle... Podwójnie źle. Samobójstwo i śpiączka. Twój przyjaciel błąka się między dwoma światami... *m'fa* i *arun*...

Foxy pochodziła z Joruby, z dużej grupy etnicznej, zamieszkującej zatokę Benin, kolebkę kultu voodoo. Studiowałem nieco na ten temat. *M'fa* oznacza podstawę i symbolizuje świat widzialny. *Arun* zaś to wyższy świat bogów.

— Czy chcesz powiedzieć, że on błąka się w *m'dolil* *M'doli* to pomost między tymi dwoma światami, jest to terytorium magii. Czarownica rozplynęła się w uśmiechu:

— *Honey*, z tobą naprawdę dobrze się gawędzi. Nie wiem, gdzie trafił twój przyjaciel, ale jego dusza znajduje się w niebezpieczeństwie. Nie jest ani żywy, ani umarły. Jego dusza błąka się, a to jest idealny moment, żeby mu ją skraćć... Nie powiedziałaś jeszcze, dlaczego tak interesujesz się tym dochodzeniem.

— Chcę zrozumieć czyn mojego przyjaciela.

— Jaki to ma związek ze sprawą Larfaouiego?

— On prowadził to śledztwo. Może przyczyniło się w jakimś stopniu do jego... zguby.

— Twój przyjaciel też jest chrześcijaninem?

— Tak jak ja. Razem wychowywaliśmy się. Razem się modliliśmy.

— A dlaczego ja miałabym coś o tym wiedzieć?

— Larfaoui lubił czarne kobiety.

Foxy roześmiała się, a z nią jej towarzyszki.

— Jakbyś zgał!

— I ty mu ich dostarczałaś.

Foxy zmarszczyła brwi.

— Kto ci to powiedział? Claude?

— Nieważne.

— Sądzisz, że wiem coś o jego śmierci, ponieważ przedstawiałam mu dziewczynki?

— Larfaoui został zabity ósmego września. Była to sobota. Larfaoui miał swoje przyzwyczajenia. Co sobotę zapraszał do siebie do Aulney jedną dziewczynę. Jedną z twoich dziewcząt. Zginął około północy. Jestem pewien, że nie był sam. Nikt nie wspominał o drugim trupie. Tak więc dziewczynie udało się uciec, no i pewnie coś wie. — Przerwałem na moment. W gardle paliło mnie ogniem. — Myślę, że znałaś tę dziewczynę i że ją ukrywasz.

— Siadaj. Mam gorącą herbatę.

Przykucnąłem na dywanie. Foxy odsunęła dzban i wzięła do

ręki niebieski czajniczek. Podnosząc wysoko ramię, nalewała herbatę przygotowaną na sposób berberyjski. Podała mi ten napar w szklance, jakie spotyka się w kantynach.

— Dlaczego miałabym ci coś powiedzieć?

Nie odpowiedziałem od razu. Jeszcze raz uznałem, że najlepsza będzie szczerłość.

— Foxy, jestem jak w tunelu bez wyjścia. Nic nie wiem. Nie mam oficjalnych uprawnień do prowadzenia tej sprawy. Mój kolega jest między życiem i śmiercią. Chcę zrozumieć, dlaczego postanowił się utopić! Chcę się dowiedzieć, nad czym pracował i co go tak załamało. Wszystko, co mi powiesz, pozostanie między nami. Obiecuję. A więc była tam dziewczyna czy nie?

— Dobrze zapamiętamy tę noc, ty i ja...

— Zapamiętamy, ale ja nie pracuję już w BRP.

— Jesteś w wydziale zabójstw, kochany, a to jeszcze lepiej.

Paktowałem z diabłem. Już wyobrażałem sobie, jak za miesiąc, za rok, będę krył jakieś zabójstwo dla ocalenia tej czarownicy. Foxy miała dobrą pamięć. Powtórzyła:

— Zapamiętamy, tak czy nie?

— Masz moje słowo. Była tam dziewczyna tej nocy?

Foxy, grając na zwłokę, upiła trochę herbaty, potem postawiła filiżankę na podłodze.

— Była.

Poczułem ulgę. Ale w tym samym momencie powróciło zdenerwowanie. Krew w moich żyłach zastygała, koszmar zaczął się na

nc— Muszę się z nią widzieć. Muszę ją przepytąć.

— Nic z tego.

— Foxy, masz moje słowo, ja...

— Ona zniknęła.

— Kiedy?

— Tydzień po tamtej nocy.

— Opowiedz, jak to się stało.

Foxy mlasnęła językiem, świdrując mnie wzrokiem.

— Kiedy wróciła tamtej nocy, była przerażona.

— Widziała zabójcę?

— Nic nie widziała. Kiedy mordowano Larfaouiego, była w łazience. Wymknęła się przez okno na dach sąsiedniego domu. Mówiła, że morderca jej nie zauważył. Ale po siedmiu dniach zniknęła.

— Co się stało?

— A jak myślisz, pewnie facet szukał jej i w końcu odnalazł.

Jeszcze jedna wskazówka: najemnik, posługujący się bronią automatyczną, był także w stanie przeniknąć do tego afrykańskiego środowiska z obszaru języka angielskiego. Dawny najemnik z Liberii? Podniosłem pustą szklankę.

— Masz może coś mocniejszego?

— Foxy ma wszystko, czego potrzeba.

Odwróciła się, nie zmieniając przy tym ułożenia skrzyżowanych nóg. W jej szczupłych rękach pojawiła się butelka. Napełniła moją szklankę jakimś przezroczystym płynem o konsystencji oliwy. Wypiłem mały łyk i z takim uczuciem, jakbym miał w ustach eter, zapytałem chrypliwym głosem:

— Czy była nieletnia?

— Nazywała się Gina. Miała piętnaście lat.

— Jesteś pewna, że niczego nie widziała?

Pozeraczka dusz utkwiała oczy w suficie. Na jej twarzy pojawił się wyraz teatralnego smutku. Westchnęła i ze łzami w oczach powiedziała:

— Biedna mała...

Łyknąłem jeszcze raz i krzyknąłem:

— Widziała coś czy nie, do jasnej cholery?!

Foxy spojrzała ponownie na mnie i wydymając usta, powiedziała niechętnie:

— Kiedy była na dachu, zobaczyła wychodzącego mężczyznę...

— Jak wyglądał? Wysoki? Niski? Solidnie zbudowany?

— Duży... bardzo wysoki.

— Jak był ubrany?

Foxy naląła sobie tego skręcającego wnętrzości płynu i umoczyła w nim wargi.

— Zawarliśmy umowę, tak czy nie? Będiesz moim dłużnikiem?

— Tak, Foxy. Mów.

Upiła jeszcze raz i grobowym głosem oświadczyła:

— Miał na sobie czarny płaszcz i biały kołnierzyk.

— Biały kołnierzyk?

— *Man*, Gina powiedziała, że to był ksiądz.

Omal nie zapomniałem o mszy zamówionej przez Laure.

Godzina siódma rano. Miałem tylko tyle czasu, żeby wpaść do domu, wziąć prysznic, włożyć czyste ubranie. Śmierdziałem tropikami i czarami. W samochodzie próbowałem ustalić, w jakim jestem punkcie.

Sprzeczne, oderwane od siebie elementy bez najmniejszego powiązania. Samobójca chroniony przez świętego Michała Archanioła. Diabelska ikonografia. Towarzystwo organizujące pielgrzymki do Lourdes. Wypadki do Jury, jakoby z powodu cudzołóstwa. Zagadkowe zdanie: „Znalazłem wyjście”. Zabójstwo dostawcy piwa i zarazem

Ale rekordy absurdu biła postać księdza zabójcy. Morderca w koloratce, zawodowiec od cyngla mający dostęp do najbardziej hermetycznych środowisk afrykańskich. To się nie trzymało kupy. Podobnie jak podejrzenie o korupcję, jako ewentualnego powodu

Jeśli zebrać wszystkie te fakty w jedną sieć, to nie miałem do niej karty dostępu. Nie posunąłem się naprzód ani na krok.

#### *Godzina dziewiąta*

Z mokrymi jeszcze włosami pchnąłem drzwi kaplicy Świętej Bernadetty. Zbudowany w podziemiu kościół przypominał przeciwtomowy bunkier. Niski sufit, betonowe kolumny, wąskie, zielone okienka piwniczne z zielonego szkła, przez które przedostawało się

Zanurzyłem palce w kropielnicy, przeżegnałem się i skierowałem na lewo. Prawie wszyscy byli już obecni. Rzadko widywałem tylu policjantów w jednym miejscu. Wydział narkotykowy w komplecie, to jasne, ale oprócz tego szefowie innych wydziałów — BRP, BPM, BRI, antyterrorystycznego, wysocy urzędnicy z centrali, komisarze z DPJ... Większość była w czarnych mundurach ze srebrnymi galonami i liśćmi dębu, co podkreślało wojskowy charakter ceremonii. Było to dalekie od zaplanowanego przez Laure spotkania w wąskim gronie bliskich...

Wątpiłem, żeby Luc znał osobiście wszystkie te ważne figury, ale należało zaznaczyć wagę wydarzenia. Pokazać zaangażowanie

władz, solidarność wszystkich wobec tego „rozpaczliwego aktu”. Prefekt policji Jean-Paul Proust zajął miejsce w głównej nawie obok Martine Monteil, dyrektorki DPJ. Za nimi, przewyższająca ich o głowę, stała Nathalie Dumayet.

Widok tego tłumy zdenerwował mnie do ostatecznych granic. Grzebano Luca, zanim wydał ostatnie tchnienie. Ta cholerna ceremonia jeszcze mu przyniesie pecha! Poza tym zgromadzeni tu policjanci stanowili najbardziej ateistyczną publikę, jaką można było sobie wyobrazić. Żaden z nich nie wierzył w Boga.

W pierwszych rzędach, na prawo, dostrzegłem ludzi z grupy Luca. Doudou, z głową wciśniętą w kołnierz kurtki, z lękiem w oczach. Chevillat, prosty jak drut, z kosmykami włosów opadającymi na oczy, w skórzanym płaszczu. Jońca, przypominający członka klubu motocyklowego Hell's Angel, źle ogolony, z obwisłymi wąsami, tłustymi włosami pod baseballówką. Twardzi policjanci, niebezpieczni,

Kościół nadal wypełniał się ludźmi, szelestem ubrań. Doudou wstał ze swego miejsca. Śledziłem go wzrokiem. Podszedł do mężczyzny stojącego blisko konfesjonału. Niewysoki, kanciasty, z siwymi, krótko ostrzyżonymi włosami. Miał na sobie ciemnogrnatowy płaszcz nieprzemakalny sięgający mu do kolan. Wyglądało na to, że ma pod nim jakiś uniform, ale nie policyjny. Nagle olśniło mnie — to ksiądz. Duchowny ubrany po cywilnemu.

Wyminałem pierwszy rząd krzeseł, kierując się w jego stronę. Byłem w odległości dziesięciu metrów od nich, kiedy Doudou wsunął jakiś przedmiot w rękę tamtego człowieka. Coś w rodzaju piórnika z lakierowanego drzewa.

Przyspieszyłem kroku, kiedy ktoś chwycił mnie za rękaw.

Laure.

— Co robisz? Stań obok mnie.

— Oczywiście — odrzekłem z uśmiechem.

Poszedłem za nią, zerkając w kierunku konspiratorów. Doudou już zdążył wrócić na swoje miejsce, a człowiek w ciemnogrnatowym płaszczu, stojąc za kolumną, przeżegnał się. Oslupiałem. Przeżegnał się na odwrót, zaczynając od dołu, jak to robią sataniści, odtwarzając tym sposobem symbol Antychrysta. Laure o coś mnie pytała.

— Słucham?

— Przygotowałeś swój tekst?

— Jaki tekst?



— Chciałam, żebyś przeczytał fragment Listu do Koryntian...  
Jeszcze raz spojrziałem na prawo. Tamten człowiek już zniknął.  
Cholera.

- Nie... Jeśli się nie pogniewasz, ja... — mruknąłem.
- W porządku — ucieła Laure suchym tonem — ja to przeczytam.
- Wybacz mi. Nie zmrużyłem oka tej nocy.
- Sądzisz, że ja miałam dobrą noc?

Odwróciła się do ołtarza. Poczulem wyrzuty sumienia. Byłem w tym zgromadzeniu jedynym chrześcijaninem i nie pomyślałem o tym, żeby przeczytać te parę wierszy... Ale ja potrafiłem tylko zastanawiać się nad tym, kim był ów człowiek. Co mu dał Doudou? Dlaczego przeżegnał się odwrotnie?

Zaczynała się ceremonia. Ksiądz w białej albie z wizerunkiem paschalnego baranka uniósł otwarte szeroko ramiona. Prawdziwy Tamil. Szerokie nozdrza, czarne, wilgotne oczy z dziwnym wyrazem tęsknoty. Gdy zaczął mówić, jego słowom towarzyszył rezonans mikrofonu.

- Bracia, zebraliśmy się tutaj dziś...

Poczulem, jak ogarnia mnie zmęczenie. Celebrans dał znak, abyśmy wszyscy usiedli. Przestałem słyszeć jego monotony głos. Obudził mnie szelest papieru. Wszyscy szukali tekstu pieśni przewidzianej na taką okazję.

- Zaśpiewamy teraz trzeci hymn — powiedział ksiądz.

Zasnąć na mszy za mojego najlepszego przyjaciela... Zerknąłem w kierunku Doudou. Był na swoim miejscu.

— Pieśń ta ma tytuł: *Jakże piękne jest twoje dzieło*. Fragment zaczyna się od słów: „Każdy człowiek to rzecz święta, człowiek jest stworzony na podobieństwo Boga...”.

W kaplicy pełnej niewierzących, pozbawionych złudzeń policjantów słowa te brzmiały raczej ironicznie. Auditorium podjęło jednak chóralny śpiew, choć słycać było szmer wahan.

- Mogę usiąść na twoich kolanach?

Amandine, z dwoma jasnymi warkoczykami pod brązowym berecikiem, podała mi swoją kartkę.

- Nie umiem czytać.

Posadziłem ją na kolanach i zaintonowałem: „Każdy człowiek to rzecz święta...”. Wdychałem zapach czystego ubranka i dziecięcego ciepła. Moje myśli błądziły gdzieś po niewyraźnych ścieżkach,

gdzie Mathieu Durey, oddany obsesyjnie swej pracy policjant, mający trzydzieści pięć lat, bez żony i dzieci, zmierzał ku nicości...

Pół godziny potem, przy wtórce niestosownych w tym miejscu dzwonek telefonów komórkowych, ksiądz, który nie miał żadnych złudzeń, ciągnął przydługie kazanie o Eucharystii. Poważnie się obawiałem, żeby nie zaprosił tego zgromadzenia niewiernych do przyjęcia komunii. Kątem oka zerknąłem na Doudou. Wiercił się, spoglądając gorączkowo ku drzwiom. Najwyraźniej bardziej mu się spieszyło niż

Podniosłem się, posadziłem Amandine na moim krześle i szepnąłem do Laure:

— Poczekam na ciebie na zewnątrz.

## 21

Na avenue Porte-de-Vincennes odnalazłem motocykl należący do Doudou. Yamaha. Pięćsetka, model motocross.

Ruszyłem w tamtym kierunku, wyjmując telefon komórkowy. Wystukałem numer zegarynki, a potem umieściłem aparat między siedzeniem a błotnikiem.

Odczekałem dobrych pięć minut, aż tłum wylał się z kościoła. Przybrałem stosowną do chwili minę i wróciłem, szukając wzrokiem Laure. Przyjmowała wyrazy współczucia, gesty życzliwości. Prześliznąłem się między czarnymi płaszczami i szepnąłem jej na ucho:

— Zadzwoń do ciebie.

Wycofywałem się, łapiąc Foucaulta za kurtkę.

— Możesz pożyczyć mi komórkę?

Nie pytając o nic, podał mi telefon. Doudou już był przy swym motorze i nakładał kask.

— Dzięki. Oddam ci w biurze, w południe.

— W południe? Ale...

— Wybacz, zapomniałem wziąć swoją.

Nie czekając na jego odpowiedź, pobiegłem do mojego audi A3 zaparkowanego pięćdziesiąt metrów dalej w bocznej alei. Przekręciłem kluczyk w stacyjce w tej samej chwili, kiedy Doudou kopnął rozrusznik. Wrzuciłem pierwszy bieg, wystukując numer, który znałem na pamięć.

— Durey, brygada kryminalna. Kto ma dyżur?

— Estreda.

Miałem szczęście: technik, którego znałem najlepiej.

— Daj mi go.

Doudou zniknął w tłumie pojazdów. Wyminąłem rząd samochodów, potem przyhamowałem przed włączeniem się do ruchu. Usłyszałem charakterystyczny akcent Estredy.

— Durey.

— Co słyhać?

— Podpieprzono mi komórkę.

— Brawa dla policji.

— Możesz ją zlokalizować?

- Bez problemu, jeśli tylko złodziej będzie z niej korzystał. Od niedawna można było śledzić telefon komórkowy na trasie, pod warunkiem że się z kimś łączył. Zasada była prosta. Namierzało się komórkę z satelity. W miastach, gdzie telefonów komórkowych było coraz więcej, dawało się to osiągnąć z dokładnością do dwustu, trzystu metrów.

Technika ta została wprowadzona przez prywatne przedsiębiorstwa transportowe. Stosowały ją dla utrzymania łączności ze swymi pojazdami. Policja francuska nie posiadała takiego systemu, ale odpłatnie mogła korzystać z ich serwera.

— Masz szczęście — powiedział Estreda. — Twój facet jest na linii.

Przycisnąłem komórkę podbródkiem, wrzuciłem pierwszy bieg.

— Mów.

— Masz komputer?

— Nie, jestem w samochodzie. To ty masz go śledzić.

— Coś kręcisz.

— Słuchaj, właśnie jadę.

— Czy ty przypadkiem nie pakujesz mnie w śledzenie faceta bez nakazu?

— Ufasz mi czy nie?

— Nie. Ale twój facet właśnie kieruje się na peryferia. Porte-de-Vincennes.

Ruszyłem gwałtownie z piskiem opon.

— W jakim kierunku?

— Przedmieścia na południu.

Przebiegłem plac, zmuszając inne samochody do umykania na bok z rykiem klaksonów. Nie mogłem użyć syreny policyjnej.

Z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę wjechałem na właściwy pas.

— Pędzi jak szalony. Jakby uciekał przed kimś.

Nie odpowiedziałem, tylko w myśli odnotowałem kolejną innowację: nowa technika pozwalała obliczyć w realnym czasie szybkość, z jaką przejeżdża się z jednego miejsca na drugie. Prawdziwa gra wideo.

— Przejechał już przez Porte-de-Charenton.

Z prędkością sto na godzinę przejechałem na lewy pas. Ruch był duży. Byłem pewien, że Doudou nie wraca na Quai des Orfevres. Estreda upewnił mnie w tym przypuszczeniu informacją, że Doudou minął już Porte-de-Bercy.

Porte-de-Bercy. Quai d'Ivry. Porte d'Italie...

— Zdaje się, że zwalnia...

Skręciłem, żeby zjechać na prawy pas.

— Gdzie on jest?

— Czekał, czekał...

Estreda wciągnął się w grę. Zrozumiał, że śledzę trasę mojego „złodzieja”. Wyobraziłem sobie, jak pochylony nad ekranem wpatruje się w kursor występujący w roli mojej komórki...

— Wjeżdża na A6. Kierunek na Orły.

Port lotniczy? Doudou uciekający samolotem? Z tamtej strony znajdowały się również hale Rungis. Nagle uzmysłowiłem sobie związek ze środowiskiem dostawców piwa.

— Gdzie on jest?

Estreda nie odpowiadał. Pewnie nie miał jeszcze sygnału.

— Gdzie on jest, do cholery? Pojechał na Orły czy co?

Widziałem już przed sobą rozwidlenie dróg: na lewo — Orły, na prawo — Rungis... Dzieliło mnie od niego zaledwie kilkaset metrów. Mimo woli zdjąłem nogę z gazu, chcąc zyskać kilka sekund. Nagle Estreda krzyknął:

— Jedź! Kierunek Rungis!

Miałem rację. Magazyny napojów. Nacisnąłem gaz do dechy.

— Zwolnił... — westchnął Estreda. — Zjechał w kierunku hal.

Znałem tę drogę, byłem już kiedyś na tym „bazarze o znaczeniu narodowym”. Minąłem bramkę z opłatą wjazdową i zobaczyłem całe mnóstwo tablic informacyjnych: „Ogrodnictwo”, „Owoce morza”, „Owoce i warzywa”... Chwyciłem komórkę.

— Gdzie on jest? Podaj choć w przybliżeniu jakiś punkt orientacyjny!

- Nic z tego. Nie mam już sygnału.
- Zatrzymał się?
- Nie. Ale w Rungis przekaźniki satelitarne często są przeładowane.
- I co z tego?
- To, że twój facet być może dalej jedzie, ale przekaźniki nie mogą wyłapać jego sygnału. Jest system, który przekazuje wezwania w razie...
- Jasna cholera!
- Waliłem ręką w kierownicę, wyobrażając już sobie, jak krążę po tym ogromnym, handlowym terenie między uliczkami w poszukiwaniu motoru Doudou.
- No dobra — westchnąłem — jakoś sobie poradzę.
- Jesteś pewien, że...
- Zadzwoń do mnie, jak coś się ruszy.
- Zadzwonić do ciebie? Przecież ukradziono ci komórkę...
- Pożyczyłem drugą. Numer musisz mieć na ekranie.
- OK. Czekaj... mam nowy zasięg!
- Mów!
- Rond-Point des Halles, niedaleko od Porte-de-Thiais. Rungis to mój rejon, kolego.
- Znasz kompleks specjalizujący się w piwie?
- Spółka Piwa. Magazyny dostawców piwa, ulica de la Tour. Wrzuciłem pierwszy bieg i ruszyłem z ostrym piskiem opon.

## 22

Motocykl Doudou stał przed magazynem. Zatrzymałem się w odległości pięćdziesięciu metrów, wyłączyłem silnik, poczekałem. O tej porze alejki były opustoszałe. Pięć minut później Doudou zmaterializował się na progu w towarzystwie grubego faceta w dresie z napisem „Adidas”. Znałem tego człowieka. Był to dostawca piwa, którego nazwisko uleciało mi z pamięci, kierujący przedsiębiorstwami dostarczającymi piwo w wielu dzielnicach Paryża.

Rozejrzał się wokoło z ponurą miną. Wyglądało na to, że chciał jak najszybciej pozbyć się swego gościa. Doudou miał taki wyraz twarzy, jakby trzymał w rękach kabel pod wysokim napięciem.

Grubas sięgnął do kieszeni bluzy i wyjął z niej wypchaną kopertę. Doudou wsunął ją pod kurtkę, rozglądając się także nerwowo dokoła.

Poprawiłem się w fotelu, czekając, aż skończą swoje manewry. Wyciągnąłem pistolet z kabury, odciągnąłem zamek, potem wyjąłem kajdanki ze schowka na rękawiczki. Grubas zniknął w magazynie, a Doudou poszedł do swego motoru. W momencie, kiedy odwrócił się do mnie plecami, żeby nałożyć kask, wyskoczyłem z samochodu i podbiegłem do niego z pistoletem przy nodze. Trzymał kask dwiema rękami nad głową, kiedy przytknąłem do jego karku lufę.

— Nie ruszaj się, draniu. Bo nie ręczę za siebie — mruknąłem.

Rozpoznając mój głos, Doudou zarechotał:

— Nie ośmielisz się.

Jednym kopnięciem zwałem go z nóg. Doudou upadł na ziemię, jego kask potoczył się z gruchotem po asfalcie. Wbiłem mu pistolet pod brodę.

— Założysz się?

Walnąłem go kolbą w tętnicę szyjną. Głowa mu podskoczyła, zwymiotował. Chwyciłem go za kołnierz, czując, jak jego wymiociny pałały mi rękę. Uderzyłem jego głową o chodnik, łamiąc mu przy tym nos. Znowu musiałem wystąpić w roli, jakiej najbardziej nie znosiłem — brutalnego gliny.

Obmacałem jego bluzę, znalazłem kopertę zmoczoną wymiocinami. Co najmniej dziesięć tysięcy euro. Schowałem forszę do kieszeni. Przewróciłem drania na brzuch, kopnąłem w nerki. Zatrzasnąłem kajdanki na jego rękach. Wychrypiał:

— Ty, skurwysynu!

Zabrałem mu pistolet automatyczny, zatknąłem go za pas, po czym obmacałem jego nogi w dżinsach. Na prawej kostce, miał drugi pistolet. Glock 17, najcichszy z tej serii. Wsunąłem go do kieszeni.

— Przyszła pora na spowiedź, ptaszku.

— Spierdalaj!

Chwyciłem go za włosy i postawiłem na nogi. Kopnięciem w tyłek popchnąłem go do wnętrza budynku. Wielka hala wypełniona skrzynkami z plastiku i metalowymi beczkami. Robotnicy pracujący przy wózkach widłowych firmy Fenwick znieruchomieli. Szukałem nerwowo w kieszeni mojej policyjnej legitymacji.

— Policja! Macie przerwę. Zjeżdżajcie stąd!

Nie kazali się długo prosić. Jeszcze słyhać było ich kroki, kiedy mruknąłem do Doudou:

— Znasz reguły. Albo będziesz gadał i wszystko załatwimy w dwie minuty, albo użyję siły. Z tym, co mam w kieszeni, nie masz po co iść na skargę do IGS...

Doudou, z twarzą zalaną krwią, zaśmiał się:

— Powiedziałem ci, żebyś spierdalał, skurwysynu.

Poszedłem zamknąć wielkie drzwi magazynu. Doudou jęknął:

— Co ty wyprawiasz?

Bez słowa zarygłowałem bramę i wróciłem do niego. Chwyciłem go za kołnierz i wsadziłem jego głowę między dwie metalowe beczki. Obszedłem je i stanąłem przed nim z drugiej strony. Wrzasnąłem, jakbym miał do czynienia z głuchym:

— Jak ci tam, dobrze mnie słyszysz?

Doudou splunął krwią i wymamrotał coś niewyraźnie. Strzeliłem z bliska w beczkę po prawej. Piwo trysnęło mi do nóg.

— Słysząc mnie?

Twarz wykrzywił mu ból. Wycelowałem w lewą beczkę i strzeliłem. Żółty strumień. Ostry świst. Bębni w uszach Doudou musiały już popękać. Stanąłem kilka centymetrów od niego:

— Dalej mnie nie słyszysz?

Nie był w stanie już krzyżeć. Na jego twarzy malowało się przerażenie. Chwyciłem go za włosy i odwróciłem głowę w moją stronę.

— Odpowiesz na moje pytania, czy mam opróżnić cały zamek w te pierdolone beczki?

Doudou potrząsnął głową. Nie wiadomo było, czy kapitulował, czy nadal mnie prowokował. Włożyłem pistolet do futerału i wyjąłem z kieszeni kopertę.

— Co to ma znaczyć?

Otworzył usta. Krew poleciała do spienionej kałuży.

— Chłopie, to... Bałem się... musiałem... — wyjąkał.

— Dlaczego?

Po jego policzkach płynęły łzy. Teraz i ja miałem ochotę wymiotować.

— Czego się boisz?

— Byków... Zrobią dochodzenie w sprawie Larfaouiego... Odkryją nasze kombinacje...

— Jesteś wplątany w jego zabójstwo?

— Nie! Skurwysynu... uwolnij moją głowę z tego...

Odsunąłem beczki. Przewrócił się w kałużę. Złapałem go za kajdanki i brutalnie pociągnąłem, żeby usiadł.

— Chcę usłyszeć wszystko. O Massine Larfaouim, o jego zabójstwie, o roli Luca, jaką odegrał w tej gównianej sprawie.

— Z Larfaouim mieliśmy umowę...

— Mieliśmy? To znaczy kto?

— Ja, Jonca, Chevillat. Anulowaliśmy licencje imigrantów z Algierii. Chodziliśmy do właścicieli kafejek, odgrywaliśmy twardzieli, żeby pokazać, że Larfaoui ma chody w policji. Przymykaliśmy oczy na ich lewe interesy...

— Jesteście wplątani w morderstwo Larfaouiego?

— Nie, już ci mówiłem! Nie mamy z tym nic wspólnego!

— To dlaczego się boisz?

— Byki zamierzają sprawdzić ostatnie sprawy Luca. Chcą przejrzeć jego akta! Przekonają się, że nie wszystko jest w porządku...

— Luc wiedział o tych machlojkach?

— A jak myślisz, skurwysynu?

— Kłamiesz. Nigdy by nie zaakceptował czegoś takiego...

— Luc zawsze przymykał oczy!

Doudou mimo bólu zarechotał. Z całych sił przycisnąłem jego głowę beczkami. Oblał mnie strumień piwa.

— Mam rozumieć, że maczał w tym palce?

— Ten twój kumpel był najgorszy. Nie chodziło mu o forszę. Udawał, że nie widzi naszych przekrętów, i wykorzystywał je przeciw nam, kapujesz?

— Nie.

— Trzymał nas za jaja. Mówił, że nic go nie obchodzi nasze sprawy, bylebyśmy byli posłuszni jego czterem wymaganiom.

— Jakim wymaganiom?

— Dwudziestoczworogodzinny dzień prac. Rewizje bez nakazu. Fabrykowane dowody. Metody Luca, żeby przygwoździć klientów.

Miałem ochotę rzygnąć. Poznałem Luca i jego pokręconą logikę. Zatuszować jedno przestępstwo, żeby mieć więcej możliwości na wykrycie innego. Szantażować swoich ludzi, żeby stali się niewolnikami krucjaty przeciw Szatanowi.

— Powiedz mi o dochodzeniu w sprawie Larfaouiego. Jak udało wam się przejąć tę sprawę, którą powinien zajmować się wydział zabójstw?



— Luc znał sędziego. Miał również jakieś kwity na chłopców z DPJ. Mówił, że to jedyny sposób, żeby tuszować nasze przekręty.

— A co odkrył w sprawie zabójstwa?

— Nic. Całkowita tajemnica. Robota profesjonalisty. I ani śladu motywu.

Doudou był szczery, czułem to. Mimo to nie ustępowałem.

— Dlaczego Luc tak interesował się tym zabójstwem?

— Jemu nie chodziło o to zabójstwo.

— To nie przez tę sprawę się topił?

— Nie.

Wzrok przesłaniały mi opary alkoholu.

— Luc pracował nad czymś innym?

Doudou nie odpowiedział. Głowa opadła mu na piersi. Lufą pistoletu podniosłem jego twarz do góry.

— Odpowiadaj, skurwysynu!

— Idziesz złym tropem, chłopie...

— Dlaczego?

— Besancon... — Doudou mówił rozwlekłym głosem pijanego człowieka. — Pracował nad jakąś sprawą w Besancon...

Nareszcie jakiś element, który pasował do innego. Podróże Luca. Bilet kolejowy znaleziony przez Laure. Uklęknąłem na jedno kolano na podłodze.

— Co o tym wiesz?

— Zdejmij mi bransoletki.

Miałem ochotę wystrzelić magazynek w metalowe cylindry, ale objąłem go za ramię i obróciłem. Był już czas, żeby pozbyć się tego balastu. Moja własna wola osłabła wskutek oparów piwa... Zdjąłem mu kajdanki. Doudou rozcierał przeguby, potem obmacał uszy.

— No więc? Co to za sprawa?

— Morderstwo w departamencie Jury. Znaleziono zwłoki kobiety na granicy szwajcarskiej.

— Gdzie dokładnie?

— Nie wiem. Nazwa tej dziury to Sarty albo Sartoux. Luc wspomniał mi o tym tylko raz.

— Kiedy to się stało?

— Ostatniego lata. Chyba w czerwcu.

— Co wiesz o tym morderstwie?

— Potworne, chyba robota jakiegoś satanisty... Luc miał bzika na tym punkcie...

Satanistyczna zbrodnia — drugi pasujący element.

— Co jeszcze wiesz?

— Nic więcej, przysięgam. Luc pracował nad tym sam. Odbył kilka podróży. Czasami jechał i wracał tego samego dnia. Spędzał całe godziny, studiując swoje notatki, zdjęcia z miejsca zbrodni.

— Gdzie jest teczka?

— Wszystko miał poznaczone symbolami...

— Masz tę dokumentację?

— W razie kłopotów miałem ją dać pewnemu facetowi...

Trzecie ogniwo. Scena w kościele sprzed dwóch godzin.

— To pudełko, które przekazałeś temu typkowi w kościele?

— Masz dobre oko, draniu.

— Kim jest ten człowiek?

— Nie mam pojęcia.

— Dlaczego więc dałeś właśnie jemu?

— Luc uprzedził mnie. Jeśli sytuacja stanie się trudna, mam zadzwonić pod podany przez niego numer. Człowiek po drugiej stronie miał podać hasło.

— Jakie hasło?

Doudou roześmiał się chrypliwie, lecz po chwili jego śmiech przeszedł w kaszel.

— „Znalazłem wyjście”. Idiotyczne hasło, no nie?

Informacje wiązały się ze sobą, ale nadal nie miało to sensu.

Potajemne dochodzenie. Zbrodnia satanistyczna mająca związek z człowiekiem, który zegnał się w odwrotnym kierunku. Zdanie klucz.

— Czy wiesz, co znaczą te słowa?

— Nie mam zielonego pojęcia. Zadzwoiłem wczoraj. Facet kazał przynieść pudełko. No to mu je dałem. I koniec historii.

— Ten człowiek to ksiądz?

— Niby dlaczego?

Doudou nie domyślał się, o czym mówię. Podniosłem się, wrzuciłem kopertę z forszą do kałuży piwa.

— Wypij za moje zdrowie. I nie ruszaj się z Paryża.

Doudou patrzył na mnie oszołomiony.

— A Byki?

— Biorę to na siebie. Porozmawiam z Dumayet. Ona zadzwoni do Levain-Pahuta. Jakoś się dogadają z Condenceau.

— Dlaczego to robisz?

— Dla Luca. Wasza grupa musi pozostać nietknięta. Oddam ci twoje zelastwo w biurze.

— Ale jeśli Luc...

— Luc się obudzi, kapujesz?

Gdy otworzyłem drzwi magazynu, poraziło mnie poranne światło. Idąc wzdłuż muru, zmusiłem się do zwymiotowania — sama zółć. Zapaliłem camela, żeby pozbyć się wstrętnego posmaku.

Odszukałem komórkę pod siedzeniem motoru Doudou. Usunąłem połączenie z zegarynką i rzuciłem okiem na ekran.

Właśnie skończył się mój miesięczny limit rozmów.

## 23

Wróciwszy do mieszkania, przebrałem się, a potem zamknąłem okiennice i nie zapalając światła, zasiadłem przed komputerem. Przez Google'a zacząłem szukać miejscowości wymienionej przez Doudou, wystukując nazwy: Sarty, Sartoux, Sarpouis, znajdujące się w obrębie departamentu France-Comte. Otrzymałem różne odpowiedzi, ale najbardziej prawdopodobne wydało mi się „Sartuis” w rejonie górnego Doubs. Było to małe miasteczko usytuowane w pobliżu Morteau, przy sz.

Kontynuowałem poszukiwania z tego nowego punktu wyjścia. Najpierw zająłem się lokalną prasą. „L'Est Republicain” w Nancy, „Le Courrier du Jura” w Besancon, „Le Progress” w centrum, w Lyonie, „Le Pays” w północno-wschodniej części, w Milhouse. Odnalazłem stronę działu archiwalnego „L'Est Republicain” i wystukałem kilka kluczowych słów: Sartuis, czerwiec, 2002 r. zwłoki, zabójstwo, kobieta... Pojawił się jeden artykuł z dwudziestego ósmego czerwca:

### ZNALAZIONO ZWŁOKI NA TERENIE FUNDACJI NOTRE-DAME-DE-BIENFAISANCE

Wczoraj rano znaleziono zwłoki nagiej kobiety w odległości kilku kilometrów od Sartuis (górną Doubs), w parku przyrody Notre-Dame-de-Bienfaisance. Według naszych informacji ciało zostało znalezione przez Marilyne Rosarias,

dyrektorkę fundacji, na płaskowyżu, który wznosi się nad klasztorem.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa bardzo zdeformowane ciało w stanie rozkładu musiało leżeć dłuższy czas w lesie. Obfite deszcze, które spadły w ostatnich dniach, spowodowały, że zwłoki wraz błotem spłynęły na bardziej odkrytą część płaskowyżu.

Kim jest zmarła? Kiedy nastąpiła śmierć i jaki był tego powód? Na razie ani ratownicy, ani przedstawiciele żandarmerii nie mogą dać jasnej odpowiedzi, ale najbardziej prawdopodobna wydaje się hipoteza zakładająca wypadek. Sportsmenka uprawiająca trekking mogła spaść z góry i zmarła w tym odludnym zakątku lasu.

Jednakże wydaje się dziwne, że ani strażnicy leśni, ani mieszkanki fundacji, często spacerujący w tym lesie, nie zauważyli ciała. Istnieje również inna hipoteza. Kobieta mogła zostać zamordowana, a potem przetransportowana do parku...

Pewnych wyjaśnień powinna dostarczyć sekcja zwłok, która ma być dziś dokonana w szpitalu Jean-Minjoz w Besancon. Żandarmeria przeczesała miejsce w poszukiwaniu jakichś wskazówek. Na razie nie wypowiedzieli się ani Corine Magnan, sędzia śledczy, zajmująca się tą sprawą, ani prokurator generalny. Milczenie zachowuje również mer sąsiedniego miasteczka, Sartuis. Wszyscy w regionie mają nadzieję, że tajemnica zostanie szybko rozwikłana i że nie zaszkodzi to zaczynającemu się właśnie sezonowi turystycznemu w górnym Doubs.

Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Miejsce znalezienia zwłok — teren fundacji religijnej — mogło pasować do moich poszukiwań, ale fakt zabójstwa nie był przecież pewien. Nie wspomniano też o żadnych okaleczeniach ani o złowróżbnych symbolach. Nic, co pozwalałoby przypuszczać, że mamy do czynienia ze „straszonym morderstwem” lub „satanistyczną zbrodnią”, o której mówił Doudou.

Znowu postukałem w klawisze. Żadnych więcej artykułów w dniach następnych. Brak wiadomości z sekcji zwłok. Żadnego oświadczenia prokuratora ani sędziego. Jaki był powód tego milczenia? Czy wydarzenie było tak mało istotne, że dziennikarze

nic już więcej o nim nie pisali? Nie. Trup nigdy nie jest mało istotną sprawą. Poszerzyłem moje poszukiwania na lipiec. W dalszym ciągu nic.

Zajrzałem do archiwów „Courrier du Jura”. Wystukałem te same słowa klucze. Wpadłem na artykuł z dwudziestego dziewiątego czerwca, który dawał więcej szczegółów:

## SARTUIS

### KLĄTWA PEWNEGO MIASTECZKA

Zwłoki kobiety, znalezione przedwczoraj rano na płaskowyżu parku fundacji Notre-Dame-De-Bienfaisance, zostały zidentyfikowane. Strażacy transportujący ciało rozpoznali je od razu. To Sylvie Simonis, lat czterdzieści dwa, z zawodu zegarmistrz, pracująca w Sartuis.

Wszystkim mieszkańcom górnego Doubs nazwisko to przywołuje ponure wspomnienia. Sylvie Simonis to nie kto inny jak matka małej Manon, ośmioletniej dziewczynki, zamordowanej w 1988 roku. Smutne zdarzenie, które nigdy nie zostało rozwikłane. Wiadomość o tej kolejnej śmierci w tajemniczych okolicznościach obudziła na nowo obawy. Pojawiły się też

Po pierwsze, niemożliwe jest sprecyzowanie przyczyny zgonu, nie wiadomo też, dlaczego ciało znalazło się na terenie dawnego klasztoru. Wypadek? Morderstwo? Samobójstwo? Według świadków stan zwłok niczego nie wyjaśnia, a rezultaty sekcji wykonanej w szpitalu Jean-Minjoz w Besancon nie są jeszcze

Z pewnego źródła dowiedzieliśmy się, że Sylvie Simonis, mistrzyni w swoim zawodzie zegarmistrzowskim, wykonująca zlecenia dla najbardziej znanych pracowni firmy Locie w Szwajcarii, zniknęła tydzień temu. Nikt się tym nie przejmował, bo była zawsze tajemnicza, odbywała częste podróże między Szwajcarią i Francją i czasami przez kilka tygodni przebywała w swoim domu w Sartuis, nie dając znaku życia.

Czy istnieje jakiś związek między tym morderstwem a śmiercią jej córki w 1988 roku? Jest za wcześnie, żeby wysnuwać jakieś hipotezy, ale w Sartuis, jak i w Besancon, już krążą plotki...

Żandarmi z Sartuis, jak również Corine Magnan wyznaczona do prowadzenia sprawy przez sąd w Besancon, zachowują absolutną dyskrecję. Sędzia śledczy uprzedziła naszego korespondenta: „Zamierzamy pracować nad tą sprawą z całkowitym obiektywizmem, nie ulegając żadnym sentymentom. Nie będę tolerować żadnej ingerencji mediów, żadnego rodzaju presji”.

Wszyscy pamiętamy, że w 1988 roku także dochodzenie w sprawie zabójstwa dziewczynki było całkowicie poufne, do tego stopnia, że my, dziennikarze, nie mogliśmy zdawać relacji z przebiegu śledztwa. Powody tej blokady są znane: wstrząs wywołany sprawą Gregory'ego, kilka kilometrów od naszego departamentu, gdzie wszechobecne media zakłóciły prawidłowy tok dochodzenia. Jednak dziś mamy nadzieję, że będziemy informowani, abyśmy mogli przekazać te wiadomości społeczeństwu...

Artykuł kończył się obroną prawa dziennikarzy do informowania swoich czytelników. Oderwałem wzrok od ekranu i zamyśliłem się. Może jednak dobrze trafiłem? „Przerażające morderstwo”. Obsesja Luca. Ale w dalszym ciągu nie znalazłem żadnej aluzji do Szatana.

Przede wszystkim dziwny był tu jeden szczegół.

Powróciłem do „L'Est Republicain”.

W artykule z dwudziestego ósmego czerwca pisano o „bardzo zdeformowanym ciele w stanie rozkładu”. Natomiast z artykułu, który ukazał się następnego dnia, wynikało, że kobieta została od razu zidentyfikowana przez strażaków. Jedno przeczyło drugiemu. Albo ciało było zdeformowane, nierozpoznawalne, albo było nietknięte, łatwe do

Zacząłem przeglądać numery „Courrier du Jura” z lipca. Ani słówka na ten temat. Oba dzienniki nie pisały więcej o tej sprawie. Spróbowałem skontaktować się z autorami artykułów. Ani jednego, ani drugiego nie było w redakcji i nie chciano mi podać ich telefonów prywatnych.

Zdobyłem jednak numer biura agencji AFP w Besancon. Odezwał się młody, energiczny głos. Bez wątplenia jakiś stażysta. Przedstawiłem się i powiedziałem, że chodzi mi o sprawę Simonis.

— Prowadzi pan śledztwo? — zapytał dziennikarz pełnym entuzjazmu tonem.

— Zdobynam informacje. Co może mi pan powiedzieć na ten temat?

— To ja zredagowałem pierwszą depeszę. Prawdziwa bomba. Trup w pobliżu klasztoru — niezwykle, prawda? I to kto? Sylvie Simonis! Niestety, żandarmi nie dostarczyli nam już żadnych innych informacji. Kontaktowałem się z sędzią — też nic. Wybrałem się nawet do Notre-Dame-de-Bienfaisance, ale nie wpuszczono mnie do środka.

— Jaki jest powód tego milczenia?

— Chciano nam wmówić, że to zwykły wypadek przy wspinaczce. Że nie ma w tym nic interesującego. A ja myślę, że jest całkiem przeciwnie. Milczą, bo coś odkryli.

— Co takiego?

— Nie mam pojęcia. Ale ich wersja z wypadkiem nie trzyma się kupy. Po pierwsze, Sylvie Simonis nie uprawiała sportów. Po drugie, zniknęła tydzień wcześniej. Wobec tego dlaczego jej ciało było w takim stanie?

— To znaczy w jakim?

— Roilo się w nim od robaków.

— Widział je pan?

— Nie. Ale rozmawiałem ze strażakami.

— W artykule w „Courrier du Jura” przeczytałem, że ratownicy rozpoznali jej twarz.

Roześmiał się.

— To naprawdę coś niebywałego! Ciało było w połowie zdeformowane, a w połowie nietknięte!

— Jak to?

— Części dolne uległy całkowitemu rozkładowi, ale tors znacznie mniej. A twarz zachowała świeżość! Jakby... — zawahał się. — Jakby ta kobieta umierała wiele razy, w różnym czasie!

To, co mówił mój rozmówca, było nieprawdopodobne. Ale mogło być punktem wyjścia dla Luca.

— Czy chociaż wiadomo, że było to morderstwo?

— Nie. W każdym razie nic nam takiego nie powiedziano. W pewnym sensie rozumiem ich dyskrecję. Sylvie Simonis to temat tabu w tym regionie.

— Z powodu zabójstwa jej córki?

— Nie tylko. Sprawa Gregory'ego z Jury! Minęło czternaście lat i nie znaleziono winnego, a po ulicach Sartuis krążą najbardziej fantastyczne hipotezy!

- Uważa pan, że te sprawy są ze sobą powiązane?
- Oczywiście. Tym bardziej że nie jest jasne, jaką rolę odegrała Sylvie w sprawie Manon.
- To znaczy?
- W tamtym czasie podejrzewano ją nawet o to morderstwo. Ale została uniewinniona. Miała żelazne alibi. Teraz, dwanaście lat po tym zabójstwie, umiera ona, a władze nie ujawniają wyników dochodzenia. Moim zdaniem odkryli coś strasznego!
- Zwłoki w pobliżu klasztoru. Kobieta umierająca parę razy. Zamordowana dziewczynka. Podejrzenie dzieciobójstwa. W tej historii było miejsce dla diabła.
- Jeśli ta sprawa tak pana interesuje, dlaczego nie napisał pan nic więcej na ten temat? Dlaczego nikt inny nic nie napisał?
- Nie mieliśmy żadnych informacji.
- Blokada informacji jest już sama w sobie ciekawostką. To też temat na artykuł.
- Otrzymaliśmy polecenie.
- Jakie polecenie?
- Ponieważ nie znaleziono nic konkretnego, nie należy robić niepotrzebnego zamieszania. Byłoby to niekorzystne dla regionu. Sartuis leży w odległości siedmiu kilometrów od Doubs. Proszę sobie wyobrazić, co by to było, gdyby w pełni sezonu turystycznego zaczęto rozpowiadać, że w tutejszej rzece pływają trupy!
- Jak się nazywasz? — przeszedłem do niego na „ty”.
- Joel. Joel Shapiro.
- Ile masz lat?
- Dwadzieścia dwa.
- Chyba przyjadę się z tobą zobaczyć. Zresztą sezon turystyczny już się skończył.

Na Quai des Orfevres czekał na mnie jak zwykle stos papierów. Protokoły, raporty z podsłuchu, telegramy z dyrekcji, przegląd prasy... Wziąłem je i rzuciłem na biurko. Usiadłem, zawinałem w irchę oba pistolety Doudou, po czym włożyłem je do jednej z zamykanych na klucz szuflad. Podniosłem słuchawkę stacjonarnego telefonu. Najpierw za-



dzwoniłem do Laure, żeby ją przeprosić, że tak szybko zniknąłem po mszy. Wydukałem oficjalne formułki, a po pewnym wahaniu dodałem:

- Chciałbym ci coś powiedzieć... Sprawdziłem podróże Luca.
- I co?
- Nie chodziło o kobietę. Nie w tym sensie, jak przypuszczałaś.
- Jesteś pewien?
- Całkowicie. Zadzwoń później.

Odłożyłem słuchawkę, nie wiedząc, czy pocieszyłem Laure, czy zwiększyłem jej żal. Przekartkowałem dokumenty, przeczytałem notatkę Malaspeya na temat medalionu Luca. Bibelot bez żadnej wartości. Po prostu był to dla Luca symbol świętego Michała.

Znalazłem także raport Meyera o podejrzanym w sprawie Perreux. Cygan Kalderash. Przejrzałem go szybko — dobra robota. Można pokazać Dumayet na dowód, że dochodzenie posuwa się naprzód.

Skontaktowałem się z Foucaultem i poprosiłem, aby przyszedł odebrać swoją komórkę. Zadzwoiłem także do Svendsena. Chciałem się dowiedzieć, czy znalazł coś w skanerach Luca. Nie dał mi dokończyć

— To zdjęcia zrobione przez petscan, urządzenie tomograficzne pozwalające śledzić na ekranie czynności ludzkiego mózgu w określonym czasie. Pochodzą z oddziału medycyny nuklearnej z Brookhaven National Laboratory, bardzo znanego centrum badawczego w New Jersey.

— A w tych konkretnych przypadkach o jakie czynności mózgu chodzi?

— Z tego, co wiem, są to zdjęcia pacjentów będących w głębokim kryzysie psychicznym, niebezpiecznych schizofreników.

— Zbrodniarzy?

— Na pewno ludzi okrutnych.

Dokładnie tak, jak sobie wyobrażałem. W średniowieczu diaboliczność przybierała formę gargulca. W dwudziestym pierwszym wieku świadczyła o niej „mordercza skaza” w mózgu.

Svendsen mówił dalej:

— Zauważyłem jeszcze inne rzeczy. Ci schizofrenicy mają szerszy niż zwykle tors, asymetryczną twarz, gęstsze uwłosienie... Jakby choroba umysłowa przeobrażała ich ciała. Coś w rodzaju Mister Hyde'a...

Domyślałem się, co mogło zainteresować Luca. Zło zawładnęło tymi istotami do tego stopnia, że je zniekształcało. Współcześni potępieńcy. Podziękowałem Svendsenowi i w tym samym momencie w mojej norze pokazał się Foucault.

— Dzięki — powiedziałem, podając mu jego telefon komórkowy.

— Znalazłeś swój?

— Wszystko w porządku. Co zwojowałeś?

— Sprawdziłem, ot tak na wszelki wypadek, czy Larfaoui miał swoją sieć w regionie Besancon. Nic.

— A wyciągi?

— Wszystko zdobyłem. Nic szczególnego. Nie ma się do czego przyczepić w rachunkach Luca ani w jego fakturach telefonicznych. Wszystkie połączenia, nawet te z domu, dotyczyły pracy. Nie ma jednak wśród nich żadnego śladu, żeby dzwonił do Besancon. Moim zdaniem korzystał z innego aparatu. Tak właśnie postępują niewierni mężowie...

— Poszperaj jeszcze w interesach Larfaouiego. Może handlował czymś innym oprócz trunków.

Nie traciłem nadziei, że znajdzie się jakiś szczegół, który w taki czy inny sposób pozwoli połączyć w całość wszystkie elementy. Przecież zabójcą Algierczyka podobno był ksiądz. A to mogłoby mieć związek z diabłem...

— A emaile do unital6?

— Faceci z towarzystwa przejrzeni dokładnie wszystkie i przysięgają, że nie otrzymali żadnych.

To wydawało mi się dziwne. Luc z pewnością wysłał do nich jakieś wiadomości. Zdecydowałem, że na razie zostawię ten trop.

— Masz listę typków, którzy wezmą udział w konferencji na temat diabła?

— Oto ona.

Rzuciłem okiem na kolumny nazwisk: księża, psychiatry, socjologowie, sami Włosi. Żadne z tych nazwisk z niczym mi się nie

— Super — rzekłem, odkładając na bok listę. — Dziś wieczorem wyjeżdżam.

— Gdzie?

— Sprawy osobiste. W tym czasie ty przejmujesz kierownictwo sekcji.

— Na jak długo?

— Na kilka dni.  
 — Czy będziesz uchwytny przez telefon?  
 — Nie ma problemu.  
 — Naprawdę?  
 — Będę odbierał wiadomości.  
 — Mówiłeś o tej przejażdżce Dumayet?  
 — Właśnie się do niej wybieram.  
 — A co z Lukiem?  
 — Stan stabilny. Na razie nic więcej nie da się zrobić. — Zawahałem się, po czym dodałem: — Ale tam, gdzie się wybieram, będę blisko niego.  
 Mój zastępca pokręcił lekko głową. Nie zrozumiał.  
 — Zadzwoń do ciebie — uśmiechnąłem się.  
 Patrzyłem, jak zamykają się za nim drzwi. Wziąłem raport sporządzony przez Meyera i udałem się wprost do gabinetu Nathalie Dumayet.  
 — Dobrze, że pan przyszedł — powiedziała na mój widok. — Pańskie czterdzieści osiem godzin minęło.  
 Położyłem przed nią raport.  
 — Sprawa Perreux.  
 — A reszta?  
 Zamknąłem drzwi. Usiadłem naprzeciw jej biurka i zacząłem mówić. Śmierć Larfaouiego. Jego machlojki. Nazwiska: Doudou, Jońca, Chevillat. Umoczeni po uszy. Nie wspomniałem jednak o upodobaniach Luca, o jego zamiłowaniu do manipulacji.  
 — Tym z wydziału narkotyków nic już nie pomoże — stwierdziła.  
 — Obiecałem Doudou, że zainterweniuję pani w jego sprawie.  
 — Z jakiej racji?  
 — Sprzedał mi inne informacje... dość ważne.  
 — To, co się dzieje w wydziale narkotyków, niewiele nas obchodzi.  
 — Mogłaby pani zadzwonić do Levain-Pahuta. Skontaktować się z Condencaeu. Skierować Byki na inny trop.  
 — Jaki?  
 — Luc pracował nad zabójstwem Larfaouiego. Mogłaby pani trochę im namieszać, wspominając o infiltracji wśród dostawców piwa.  
 Zmierzyła mnie lodowatym wzrokiem:  
 — Informacje Doudou są tego warte?

— Może wyjaśni to przyczynę samobójstwa Luca. Być może chodzi o sprawę, którą był bardzo zaabsorbowany w ostatnim czasie.

— O jaką sprawę?

— Morderstwo w departamencie Jury. Dziś jest czwartek. Proszę mi dać czas do poniedziałku.

— Wykluczone. Już i tak poszłam panu na rękę, Durey. Teraz proszę wracać do swojej pracy.

— Chciałbym wziąć kilka dni wolnego.

— Gdzie pan pracuje? Na poczcie?

Nie odpowiedziałem. Wyglądało na to, że się zastanawia. Smukłymi palcami bębniła po skórzanej podkładce pod rękę. Odkąd wstąpiłem do wydziału zabójstw, nie brałem żadnego urlopu.

— Stawiam sprawę jasno — powiedziała w końcu. — Tam, gdzie pan się wybiera, nie ma pan żadnych oficjalnych uprawnień.

— Będę dyskretny.

— Poniedziałek?

— Stawię się w biurze o dziewiątej rano.

— Kto jeszcze o tym wie?

— Nikt oprócz pani.

Skinęła wolno głową, nie patrząc na mnie.

— A bieżące sprawy?

— Foucault zostaje na posterunku. Będzie panią informował na bieżąco.

— Pan też ma informować mnie na bieżąco. Codziennie. Miłego weekendu.

## 25

Pistolet automatyczny Glock 21, kaliber 45. Trzy magazynki, każdy z szesnastoma nabojami. Dwa pudełka pocisków hartowanych i w połowie hartowanych. Amunicja Arcane zdolna przebić kuloodporna kamizelki. Pojemnik z gazem paralizującym. Nóż komandoski Randall z ząbkowanym ostrzem.

Prawdziwy arsenał. Z legitymacją policyjną czy bez niej musiałem być gotowy na najgorsze. Włożyłem broń do nieprzemakalnych worków z czarnej cordury, między koszule, swetry i skarpetki. Do plastikowego pokrowca na garnitur włożyłem dwa ciepłe ubrania

oraz kilka krawatów. Dorzuciłem jeszcze rękawiczki i dwa swetry. Musiałem być przewidujący, bo nie wykluczałem, że zostanę w Jurze

Między ubraniami umieściłem laptop, cyfrowy aparat fotograficzny, latarkę marki Streamlight oraz policyjny zestaw do pobierania próbek organicznych oraz odcisków palców.

Dołożyłem jeszcze dokumentację o regionie, znaną w Internecie, i ostatnie zdjęcie Luca. A także Pismo Święte, *Wyznania* świętego Augustyna i poemat *Wejście na górę Karmel* świętego Jana od Krzyża. Zawsze w podróży miałem przy sobie te książki, które zastępowały mi połowę mojej biblioteki.

*Godzina 19.00*

Ostatnia kawa, wzmocniona rumem, i w drogę.

Nie pojechałem bezpośrednio na bulwar podmiejski. Najpierw Sekwana, most de la Cite, potem lewy brzeg, ulica Saint-Jacques. Deszcz znowu się rozpadał. Paryż błyszczał niczym świeżo lakierowany obraz. W niebieskawej poświacie latarni wyczuwało się jakąś nerwową

Zaraz za ulicą Guy-Lussac zaparkowałem po lewej stronie, na ulicy de l'Abbe-de-L'Epee. Wrzuciłem torbę do bagażnika, zamknąłem go i skierowałem się do kościoła Saint-Jacques du Haut-Pas.

Stał tuż obok trotuaru. Pchnąłem boczne drzwi. Przeżegnałem się i znalazłem się w znanym mi, niezmiennym, jasnym wnętrzu. Nawet o tej godzinie przy świetle elektrycznym wewnątrz kościoła wydawało się jakby przetykane promieniami słońca.

Rozległy się kroki. Ukazał się ojciec Stefan, który gasił wszystkie żyrandole. Co wieczór odprawiał ten sam rytuał. Poznałem go na Uniwersytecie Katolickim w Paryżu. Był profesorem teologii. Gdy osiągnął wiek emerytalny, powierzono mu ten kościół, dzięki czemu mógł zostać w tej samej dzielnicy. Wyczuł moją obecność.

— Jest tu kto?

Wyszedłem zza kolumny.

— Chciałem się z tobą przywitać, a raczej pożegnać. Wyruszam w podróż.

Poznawszy mnie, uśmiechnął się. Miał okrągłą głowę i tak samo okrągłe oczy z wyrazem chłopięcego zdziwienia. Podszedł bliżej, gasząc po drodze jeszcze jedną lampę.

— Na wakacje?

Wskazując ławki, gestem ręki zaprosił mnie, bym usiadł. Sam przysunął klęcznik i ustawił go naprzeciw mnie. Jego postarzałą twarz rozjaśniał uśmiech.

— No, mów, co cię do mnie sprowadza.

— Pamiętasz Luca? Luca Soubeyrasa?

— Oczywiście.

— Popęłnił samobójstwo.

Ojciec Stefan spoważniał, opuścił wzrok.

— Mat, mój synu, nic nie mogę dla ciebie zrobić.

Proboszcz źle zrozumiał cel mojej wizyty. Pomyślał, że przy szedłem prosić go o chrześcijański pogrzeb.

— Nie, to nie to — uspokoiłem go. — Luc nie umarł. Próbował się utopić, jest teraz w śpiączce. Nie wiadomo, czy z tego wyjdzie. Szansa pół na pół.

Pokiwał z wolną głową, z lekką naganą.

— Był tak egzaltowany... — szepnął. — Zawsze we wszystkim przesadzał...

— Miał wiarę.

— Wszyscy mamy wiarę. Luc miał niebezpieczne pomysły. Bóg wyklucza gniew, fanatyzm.

— Nie pytasz mnie, dlaczego chciał ze sobą skończyć?

— Jak można pojąć tego rodzaju akt? Nawet my nie mamy często wystarczająco długich ramion, aby złowić takie dusze...

— Wydaje mi się, że chciał się zabić z powodu prowadzonego dochodzenia.

— Czy ma to związek z twoją podróżą?

— Chciałbym dokończyć jego robotę. Tylko w ten sposób zdołam go zrozumieć.

— Ale to nie jedyny powód?

Stefan czytał we mnie jak w otwartej książce. Odpowiedziałem mu po chwili:

— Chcę pójść śladem Luca. Zamknąć jego dochodzenie. Myślę... wierzę w to, że jeśli odkryję prawdę, on się obudzi.

— Stajesz się przesądny?

— Czuję, że potrafię go wyciągnąć z tego. Wyrwać z ciemności.

— A skąd wiesz, czy on sam nie zakończył tego dochodzenia? Może coś innego skłoniło go do tego czynu?

— Mogę go uratować — powtórzyłem z uporem.

— Jedyne nasz Pan może go ocalić.

— Oczywiście. Wierzysz w diabła? — zmieniłem temat.

— Nie — odrzekł bez wahania. — Wierzę w Boga Wszechmogącego. W Stwórcę, który nie dzieli z nikim swej władzy. Diabeł nie istnieje. Istnieje natomiast wolność, którą dał nam Pan, i chaos, który z niej uczyniliśmy.

Przyjąłem jego słowa w milczeniu. Ojciec Stefan pochylił się i przybrał ton, jakim gromi się dzieci.

— Udajesz, że mnie pytasz, ale w głębi duszy jesteś pewien swego. Czy masz do mnie jeszcze jakąś prośbę?

Poruszyłem się na krześle:

— Chciałbym się wypowiedzieć.

— Teraz?

— Teraz.

Wdychałem woń kadzidła, wikliny, z której zrobiono krzesła, wsłuchiwałem się w echo naszych słów. Objęła już nas atmosfera wyznania, odkupienia.

— Chodź za mną.

— Czy nie możemy zostać tutaj?

Stefan uniósł ze zdziwieniem brwi. Przy całym swym dobrodusznym zachowaniu był tradycjonalistą, niemal reakcjonistą. W czasie wykładów z teologii zawsze mówił o tej niewidzialnej architekturze, o punktach odniesienia — rytuałach — które powinny wytyczać naszą drogę. Tym razem zamknął oczy, złożył ręce, szepcząc *Ojcze nasz*. Dołączyłem do jego modlitwy.

Potem nachylił się do mnie i westchnął:

— Słucham.

Opowiedziałem o Doudou, o scenie w Rungis, o kłamstwach i podłościach, które zaznaczyły już moje dochodzenie. Mówiłem o afrykańskich nocnych spelunkach, o pokusie, jakiej tam doznałem. O Foxy i plugawej rzeczywistości, jaką reprezentowała, o pakcie, jaki musiałem z nią zawrzeć. Wyjaśniłem, na czym polega logika przemykania oczu na jedno zło, żeby rozprawić się z innym, jeszcze gorszym.

Przyznałem się do tchórzostwa wobec Luca. Nie miałem bowiem odwagi odwiedzić go w szpitalu przed wyjazdem. A także do mojej niechęci wobec Laure, mojej matki i wszystkich policjantów, których widziałem tego dnia rano w kaplicy.

Ojciec Stefan słuchał z zamkniętymi oczami. Zrozumiałem w trakcie mówienia, że nadal grzeszę. Mój żal nie był szczery — cieszyłem się tą wspólną chwilą, tym spokojem. Odczuwałem przyjemność, choć był to moment na żal, skruchę.

— To wszystko? — zapytał na koniec duchowny.  
— Czyżby nie było tego dość?  
— Przecież wykonujesz swój zawód, prawda?  
— To nie jest usprawiedliwienie.  
— Mogłoby być usprawiedliwieniem dla kogoś, kto pogrążyłby się w grzesznym lenistwie, obojętności. Ale mnie wydaje się, że ty jesteś daleki od czegoś takiego.  
— Dostaję więc rozgrzeszenie? Ot, tak sobie? — pstryknąłem palcami.  
— Nie bądź ironiczny. Odmówmy razem modlitwę.  
— Czy mogę ją wybrać?  
— To nie karta w restauracji, mój synu — uśmiechnął się. — Jaka modlitwę pragnąłbyś odmówić?

Zacząłem cicho:

*Moje życie jest tylko chwilą, przemijającą godziną.*

*Moje życie to tylko jeden dzień.*

*Który mi się wymyka i ucieka.*

— Teresa z Lisieux?

Kiedy obaj z Lukiem byliśmy młodzi, gardziliśmy sławnymi w historii chrześcijaństwa kobietami. Święta Teresa z Avila — historyczka. Święta Teresa z Lisieux — prostytutka. Hildegarda von Bingen — nawiedzona... Kiedy jednak dojrzałem, odkryłem je na nowo i urzekły mnie. Spontaniczność Teresy z Lisieux, jej niewinność, były kwintesencją wszystkiego. Prawdziwa chrześcijańska prostota...

— Niezbyt ortodoksyjne — mruknął ojciec Stefan. — Ale jeśli ci zależy... — I zaczął mówić szeptem:

*Moje życie jest tylko chwilą, przemijającą godziną.*

*Moje życie to tylko jeden dzień,*

*Który mi się wymyka i ucieka.*

*Ty to wiesz, o Boże, żeby Cię kochać na Ziemi*

*Nie mam nic oprócz dnia dzisiejszego!*

Ciągnąłem razem z nim:

*Kocham Cię, Jezu! Ku Tobie dąży moja dusza. Na jeden dzień tylko bądź moim słodkim oparciem.*



*Przyjdź zawładnąć moim sercem,  
użycz mi Twojego uśmiechu.  
Tylko na dzisiaj!*

Kontrast między zniszczoną, pomarszczoną twarzą tego księdza i tymi pełnymi uczucia oraz niecierpliwości słowami wzruszył mnie do łez. Przy ostatnich słowach pochyliłem głowę. Ksiądz zrobił znak krzyża na moim czole.

— Idź w pokoju, mój synu.

Nagle uświadomiłem sobie, po co tu przyszedłem. Szukałem rozgrzeszenia nie za popełnione już winy, ale za te, które dopiero

Ojciec Stefan, który też to pojął, powiedział przyjacielskim tonem:

— To wszystko, co mogę zrobić dla ciebie. Powodzenia.

**II**

**SYLVIE**

Obudziłem się na autostradzie.

Poza czasem, poza przestrzenią.

Na pół śpiący spojrzałem na zegarek: czwarta dziesiąta rano. Powinienem się znajdować między Avallon i Dijon. Około północy postanowiłem odpocząć jakiś czas na parkingu. W efekcie były to cztery godziny snu bez wspomnień...

Zesztywniały wyszedłem z samochodu. Na parkingu drzemały dwa ogromne tiry. Drzewa ugięły się gwałtownie od polarnego wiatru. Szybko się wysusiałem i szcękając zębami, wróciłem do audi.

Zapaliłem papierosa. Od pierwszego zaciągnięcia się ścisnęło mnie w gardle, po drugim poczułem palenie w przetyku. Przyjemność odczułem dopiero przy trzecim. Z daleka widoczne były jakieś światła. Stacja obsługi. Przekręciłem kluczyk w stacyjce. Najpierw bak do pełna, potem wypita w pośpiechu kawa.

Kilka minut później byłem znowu na drodze, powtarzając w myślach informacje, które zdobyłem na temat mego celu podróży. Rzeka Doubs wiała się na wysokości tysiąca pięciuset metrów nad poziomem morza na granicy Francji i Szwajcarii. Sartuis leżało w górnym jej biegu na szczycie płaskowyżu uformowanego przez warstwy geologiczne i poprzecinanego niewielkimi dolinami. Prawdziwa ziemia niczyja.

Besancon ukazało się w pierwszych promieniach świtu.

Miasto zostało zbudowane w zagłębieniu terenu, na resztkach dawnej twierdzy. W miarę jak zjeżdżało się do centrum, wyłaniały

się mury obronne, fosy i blanki poprzecinane ogrodami. Całość przypominała plac ćwiczeń dla komandosów, gdzie trzeba biegać, wspinać się, skakać, ukrywać...

Usadawiłem się w kawiarni, czekając, aż zrobi się zupełnie jasno. Rozłożyłem plan miasta, żeby znaleźć siedzibę sądu drugiej instancji. Okazało się, iż był to otoczony fortyfikacjami budynek stojący akurat naprzeciw mnie. Ten przypadek wydał mi się dobrą wróżbą.

Pomyliłem się. Budynek był w przebudowie. Prokuraturę przeniesiono tymczasowo na drugi koniec miasta, na wzgórze Bregille. Wsiadłem do samochodu i znalazłem to miejsce po półgodzinie błędzenia. Prokuratura zainstalowała się w dawnej fabryce zegarków. Budynek o charakterze przemysłowym, w lesie na wzgórzu.

Nad bramą wjazdową wciąż widniał wryty napis: „France Ebauche”. W środku budynku wszystko przypominało o jego dawnej historii: tynkowane ściany, korytarze tak szerokie, że mogły nimi jeździć wózki widłowe, winda towarowa pełniąca funkcję zwykłej windy. Nalepki na drzwiach informowały o nowym przeznaczeniu pomieszczeń — dyżurka, kancelaria, sąd apelacyjny... Schodami wszedłem na piętro, gdzie urzędowali sędziowie śledczy. Mijając biuro zastępcy prokuratora, postanowiłem tam wstąpić, żeby ocenić sytuację.

Drzwi były otwarte. Za biurkiem siedział młody mężczyzna w towarzystwie dwóch kobiet. Jedna stukała w klawisze komputera, druga na cały głos rozmawiała przez telefon, robiąc przy tym notatki.

— Samobójstwo? Jesteś pewien?

Skłoniłem się mężczyźnie, który podniósł się z uśmiechem. Podałem fałszywe nazwisko i fałszywy zawód — dziennikarz. Zastępca prokuratora miał na sobie ciasne spodnie z zielonego sztruksu i podobnego koloru koszulę, która nadawała mu wygląd Piotrusia Pana. Kiedy wymieniłem nazwisko Sylvie Simonis, jego twarz stężała:

— Nie prowadzimy dochodzenia w sprawie Simonis.

Urzędniczka za nim mówiła do telefonu:

— Nie rozumiem, sam się udusił?

Zdecydowałem się na blef.

— W czerwcu było kilka wzmianek w prasie na temat zwłok tej kobiety znalezionej w parku przyklasztornym. A potem już nic. Dochodzenie zostało zamknięte?

Piotruś Pan zirytował się.

- Nie wiem, co mogłoby pana zainteresować w tej sprawie.
- Informacje, które dostaliśmy, zawierały pewne sprzeczności.
- Sprzeczności?
- Na przykład ciało zostało zidentyfikowane przez ratowników. A więc twarz musiała być nietknięta. Inna notatka mówi jednak o zaawansowanej deformacji zwłok. Wydaje się to nam co najmniej dziwne.

Zastępca prokuratora potarł kark. Kancelistka za jego plecami podniosła ton:

- Torbą plastikową? Uduślił się za pomocą torby plastikowej?

Piotruś Pan odpowiedział bez przekonania:

- Nie pamiętam tych szczegółów.
- Ale zna pan sędziego, tak?
- Oczywiście. To Corine Magnan.

Kancelistka krzyczała do słuchawki:

- Czy było tam więcej toreb plastikowych?

Mimo woli nadstawiłem ucha, by usłyszeć odpowiedź żandarma w głośniku.

- Leżało ich kilkanaście — odrzekł ponurym tonem. — Wszystkie zamknięte w ten sam sposób.

Ponad ramieniem zastępcy prokuratora zwróciłem się do urzędniczki:

- Niech pani zapyta, czy ofiara miała chusteczkę w ustach.

Spojrzała na mnie z zaskoczeniem. Zanim zdążyła zareagować, żandarm odpowiedział:

- Miał nią zatkałe usta. Kto jest obok pani?
- To nie samobójstwo — odrzekłem. — To wypadek.
- Co pan o tym wie? — zapytała kobieta, wbijając we mnie wzrok.
- Ten człowiek pewnie się masturbował. Brak tlenu zwiększa seksualną przyjemność. Przynajmniej tak mówią. Tę technikę można znaleźć u Sade'a. Wasz facet, zanim nałożył na głowę plastikową torbę, zatkał sobie usta chusteczką, żeby nie łykać dwutlenku węgla. Niestety, nie zdążył na czas rozwiązać węzła.

Po moich wyjaśnieniach zapadła cisza. W głośniku odezwał się ten sam głos:

- Kto to jest? Kto mówi?
- Jestem pewien, że podczas sekcji zwłok okaże się — dodałem — iż naczynia włoskowate w jego członku były powiększone.

Ten facet miał erekcję. To wypadek. Nie samobójstwo. Wypadek erotyczny.

Zastępca prokuratora rozdziawił usta.

— Skąd pan to wie?

— Jestem specjalistą w różnych dziedzinach. A takie rzeczy w Paryżu nieraz się zdarzają. Gdzie znajdę gabinet Corine Magnan?

Pokazał mi drzwi w głębi korytarza. Przeszedłem kilka kroków i zapukałem. Polecono mi wejść. Zostałem tam kobietę, którą oszacowałem na pięćdziesiąt lat. Na biurku leżało wiele paczek z jednorazowymi chusteczkami. Przy dwóch pozostałych biurkach nie było nikogo. Miała rude włosy i niespodzianie uderzyło mnie jej podobieństwo do Luca. Ta sama biała, sucha cera, to samo zabarwienie piegów. Tyle tylko, że jej radość była matowa, nie błyszcząca. Krótko obcięte gładkie włosy miały barwę — Pani Corine Magnan?

Skinęła głową potakująco, po czym wytarła nos.

— Proszę mi wybaczyć — powiedziała, pociągając nosem. — Mamy tutaj epidemię grypy. Dlatego jestem dzisiaj sama. Czym mogę panu służyć?

Przedstawiłem się fałszywym nazwiskiem.

— Dziennikarz? — powtórzyła. — Z Paryża. I przyjechał pan bez uprzedzenia?

— Zaryzykowałem.

— Jaka sprawa pana interesuje?

— Zabójstwo Sylvie Simonis.

Wyraz jej twarzy zmienił się. Nie było to zdziwienie jak u zastępcy prokuratora. Raczej nieufność.

— O jakim zabójstwie pan mówi?

— W Paryżu otrzymaliśmy informacje, które...

— Przejechał pan siedemset kilometrów na próżno. Przykro mi. Nie znamy przyczyny śmierci Sylvie Simonis.

— A sekcja zwłok?

— Nic nie dała. Pod żadnym względem.

Nie wiedziałem, co jest warta Corine Magnan jako sędziego śledczy, ale kłamać nie umiała. I nawet nie próbowała wydać się wiarygodna. Na ścianie za nią zauważyłem haftowaną mandalę. Symboliczne przedstawienie wszechświata według tybetańskich buddystów. Na jednej z półek stał brązowy posążek Buddy.

— Wydaje się — nie ustępowałem — że ciało przeszło różne stadia deformacji.

— Ach tak... Zdaniem naszego lekarza sądowego nie ma w tym nic niezwykłego. Zniekształcenia organiczne nie podlegają żadnej ściślejszej regule. W tym względzie wszystko jest możliwe.

Żałowałem, że podałem się za dziennikarza. Ta funkcjonariuszka wymiaru sprawiedliwości nie ośmieliłaby się wciskać takiej głupoty policjantowi z brygady kryminalnej. Znowu wytarła nos i sięgnęła po małe, cylindryczne metalowe pudełko. Wzięła na palec trochę maści i pomasaowała sobie skronie.

— Tygrysi balsam — wyjaśniła. — Tylko to przynosi mi ulgę...

— W jaki sposób umarła ta kobieta?

— Już mówiłam, że nie wiadomo. Wypadek, samobójstwo. Stan zwłok nie pozwala na ustalenie przyczyny. Sylvie Simonis była bardzo samotna. Wywiad w najbliższym otoczeniu też nic nie dał. — Przerwała, obrzucając mnie sceptycznym spojrzeniem. — A właściwie w jakim dzienniku pan pracuje?

Skłoniłem się na pożegnanie i zamknąłem za sobą drzwi. W szyby okienne na korytarzu uderzały gałęzie drzew. Czekają mnie trudne śledztwo. Znacznie trudniejsze, niż sądziłem.

## 27

Dzielnica Trepillot, zachodnia część miasta.

Za miejską pływalnią znajdowała się miejscowa komenda żandarmerii. Wjechałem na parking bez problemu, nie było tam żadnego strażnika. Ustawiłem się między dwoma peugeotami. Miałem jechać bezpośrednio do Sartuis, ale chciałem jednak najpierw poznać szefa tych, którzy zajmowali się sprawą tak dobrze chronionych zwłok.

Wybrałem największy budynek na terenie koszar, odnalazłem wejście i poszedłem schodami. W zasięgu wzroku ani jednego mundurowego. Rzuciłem okiem w głąb korytarza na pierwszym piętrze i trafiłem na napis: „Oddział poszukiwań”. Nikogo. Na drugim piętrze kolejny napis: „Centrum operacyjne żandarmerii”.

Drzwi były uchylone. Dwóch żandarmów drzemało koło centrali telefonicznej, nad którą wisiała mapa regionu. Przedstawiłem się, używając nadal fałszywego nazwiska, i powiedziałem, że chciałbym rozmawiać z osobą odpowiedzialną za śledztwo w sprawie

Simonis. Dwaj mężczyźni popatrzeli na siebie. Jeden z nich wyszedł bez słowa.

Po pięciu minutach wrócił, żeby poprowadzić mnie na trzecie piętro, do niewielkiego pokoju o spartańskim wyglądzie. Białe ściany, drewniane krzesła, stół z fornirowanym blatem.

Ledwie miałem czas, by spojrzeć przez okno, kiedy w drzwiach ukazał się wysoki mężczyzna, bardzo chudy, z plastikowymi kubkami w obu rękach. Po pokoju rozszedł się zapach kawy. Nie miał na sobie ani czapki, ani munduru. Jedynie niebieską koszulę z naramiennikami i z rozpiętym kołnierzykiem.

Bez słowa postawił jeden kubek na stole po mojej stronie, a sam usiadł na drugim końcu. Ten gest był jak rozkaz: usiadłem bez szemrania.

Oficer taksował mnie wzrokiem. Ja również go obserwowałem. Choć wyglądał najwyżej na trzydzieści lat, byłem pewien, że to on prowadził sprawę Simonis. Z całej jego postaci emanowała pewność siebie. Głowę pokrywała mu czapa gęstych, czarnych włosów. Ciemne oczy nisko osadzone nad nosem intensywnie błyszczały pod grubymi brwiami.

— Kapitan Stephane Sarrazin — przedstawił się. — Dzwoniła do mnie Corine Magnan.

Mówił zbyt szybko, niewyraźnie wymawiając sylaby. Znowu zacząłem od wyjaśnień:

— Jestem dziennikarzem z Paryża...

— I kto ma w to uwierzyć?

Zesztywniałem wewnątrz.

— Jest pan z wydziału zabójstw, prawda?

— Nie przyjechałem tutaj oficjalnie — przyznałem.

— Sprawdziliśmy już to. Co pan wie o Sylvie Simonis?

W gardle zasychało mi coraz bardziej.

— Nic. Przeczytałem tylko dwa artykuły. W „Est Republicain” i „Courier du Jura”.

— Dlaczego ta sprawa pana interesuje?

— Interesowała jednego z moich kolegów, Luca Soubeyrasa.

— Nie znam.

— Popęłił samobójstwo. Obecnie jest w stanie śpiączki. To mój przyjaciel. Chcę się dowiedzieć, co go doprowadziło do takiego kroku.

Wyjąłem z kieszeni zdjęcie Luca i położyłem na stole.

— Nigdy go nie widziałem — powiedział. — Gdyby pański



przyjaciel przyjechał tu badać jakąś sprawę, musiałby się spotkać ze mną. Dowodzę grupą śledczą.

Czarne źrenice patrzyły na mnie twardo, nieprzychylnie, jakby chciały prześwidrować mi czaszkę.

— Dlaczego interesował się tą historią?

Nie śmiałem odpowiedzieć, „że pasjonował się diabłem”.

— Z powodu tajemnicy.

— Jakiej tajemnicy?

— Przyczyna śmierci. Nienormalne zniekształcenie.

— Pan kłamie. Nie odbył pan tej podróży dla jakichś niejasnych powodów.

— Zapewniam pana, że nie wiem nic więcej.

— Nie wie pan, kim była Sylvie Simonis?

— Nie wiem i przyjechałem tutaj, żeby się czegoś dowiedzieć.

Oficer postawił kubek i podmuchał kawę. Przez krótki moment myślałem, że zdradzi mi jakąś informację, ale myliłem się.

— Chciałbym być dobrze zrozumiany — powiedział. — Znam pańskie nazwisko, pańską funkcję, wszystko. Jeśli wyjedzie pan natychmiast, nie tknę telefonu. Ale jeśli dowiem się, że jutro jeszcze się pan tu szwenda... będzie miał pan kłopoty!

Wypiłem kawę. Była bez smaku. Zwykłe oszustwo. Tak jak całe to spotkanie. Wstałem i skierowałem się do drzwi. Jeszcze raz usłyszałem za moimi plecami:

— Ma pan dzień. Starczy panu czasu, żeby zwiedzić fort Vauban.

Pojechałem do centrum, gdzie znajdowało się biuro agencji AFP. Na obrzeżach placu Pasteura wysiadłem z samochodu i dalej poszedłem piechotą. Znalazłem agencję — mansarda na ostatnim piętrze budynku o tradycyjnej architekturze. Joel Shapiro wysłuchał pilnie mojej relacji.

— Powinni byli pana przyjąć!

Był to młody mężczyzna, już łysy, z czaszką okoloną lokami niczym wieńcem laurowym. Dla rekompensaty nosił krótką, kozią bródkę.

— Jak myślisz, dlaczego tak się zachowali?

— Kamuflaż. Nie chcą nic powiedzieć.

— Niczego się nie dowiedziałeś w ubiegłych miesiącach?

Zanurzył całą dłoń w pudełku z cornflakesami — pierwsze śniadanie mistrzów pióra.

— Niczego. Absolutny szlaban. A ja jestem źle uplasowany, żeby cokolwiek wyszperać.

— Dlaczego?

— Nie pochodzę stąd. W Jurze pierze się brudy w rodzinie.

— Od dawna tu jesteś?

— Od pół roku. Prosiłem o Irak, a wylądowałem w Bezaku!

— W Bezaku?

— Tak nazywają tutaj Besancon.

— Sarrazin nie chciał mówić o Sylvie Simonis.

— To poważna sprawa.

— Dzieciobójstwo?

— Hola, nie tak szybko! Nic nie zostało udowodnione. Daleko do tego. Było trzech innych podejrzanych. A i tak osiągnięto zero wyników.

— Nigdy nie zidentyfikowano zabójcy?

— Nigdy. A potem Sylvie Simonis umiera w tajemniczych okolicznościach. Wyobraża pan sobie taką samą historię z Christine

— Corine Magnan powiedziała mi, że morderstwo nie zostało stwierdzone.

— Zamknęli sprawę, i to wszystko.

Popatrzyłem na półki pod dachem mansardy, pełne szarych teczek i pudełek ze zdjęciami.

— Masz jakieś artykuły, fotografie z tamtego okresu? To znaczy z osiemdziesiątego ósmego roku?

— Nic. Wszystko, co nosi datę sprzed dziesięciu lat, wywożone jest do głównego archiwum policyjnego w Paryżu.

— Nie wracałeś do tego w czerwcu?

— Tak, ale wszystko odesłałem. Zresztą nie było to nic ważnego.

— Wróćmy do Sylvie Simonis. Masz zdjęcia zwłok?

— Żadnego.

— Co wiesz na temat anomalii w wyglądzie zwłok?

— Plotki. Podobno fragmentami było zgniłe aż do kości. Natomiast twarz pozostała nietknięta.

— Niczego więcej nie dowiedziałeś się?

— Rozmawiałem z Valleretem, lekarzem sądowym z Besancon. Jego zdaniem takie zjawisko nie jest rzadkością. Wymienił przykłady dobrze zachowanych ciał, zwłaszcza należących do świętych.

— Zdarza się, że ciało nie ulega rozkładowi. Ale nigdy nie bywa tak, żeby zachowało się tylko w połowie.

— Warto porozmawiać z Valleretem. To specjalista od takich rzeczy. Mieszka w Paryżu, ale ma teraz jakieś kłopoty.

— Jakie?

— Nie wiem.

— Słyszałem, że ta zbrodnia miała charakter satanistyczny. Wiesz coś na ten temat?

— Nie. Nigdy o tym nie słyszałem.

— A klasztor?

— Notre-Dame-de-Bienfaisance? Już jest zamknięty. Teraz jest to takie miejsce odosobnienia, gdzie przyjeżdżają na odpoczynek misjonarki. Jak również kobiety w żałobie po kimś bliskim.

Wstałem.

— Przejdę się po Sartuis.

— Pójdę z panem!

— Jeśli chcesz być użyteczny, zajrzyj do sądu drugiej instancji i sprawdź, jaki efekt wywołała moja wizyta.

Wydawał się rozczarowany. Na pocieszenie dodałem:

— Zadzwoń do ciebie później.

Na koniec pokazałem mu zdjęcie Luca.

— Widziałeś kiedyś tego człowieka?

— Nie. Kto to jest?

Wyglądało na to, że Luc ominął Besancon. Nie odpowiadając na pytanie, skierowałem się do drzwi.

— Ostatnie pytanie — rzekłem już na progu. — Znasz dziennikarzy z Sartuis?

— Naturalnie. Choćby Jean-Claude'a Choparda z „Courrier du Jura”. Pisz artykuły na pierwsze strony gazety.

— Myślisz, że będzie chciał ze mną rozmawiać?

— Trudno powiedzieć.

## 28

— Lekarz sądowy o nazwisku Valleret? Nigdy o takim nie słyszałem.

Jechałem w kierunku południowo-zachodnim, do dzielnicy Planoise, gdzie znajdował się szpital Jean-Minjoz. Dzwoniłem do

Svendsena. Znał wszystkich znaczących lekarzy sądowych we Francji, a nawet w Europie. Niepodobieństwem było, żeby nie słyszał o tym specjaliście z Paryża. Shapiro wspominał o jakichś kłopotach Vallereta. Może pracował w Paryżu w innej specjalności? Zajęcie lekarza sądowego często bywało dobrym wyjściem dla tych, którzy unikali ludzi żywych.

— W Jean-Minjoz, w Besancon. Możesz się czegoś dowiedzieć? Sądzę, że ma jakieś problemy w Paryżu.

— Trup w szafie, co?

— Bardzo śmieszne. Zajmiesz się tym czy nie? To pilne.

Svendsen roześmiał się.

— Nie odkładaj telefonu.

Zamknąłem komórkę i wjechałem na parking kampusu. Szpital był budynkiem z szarego betonu, z wąskimi oknami. Powstał zapewne w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Na pierwszym piętrze łopotały proporce: „Nie dla zatrucia atmosfery. Żądamy większych subwencji”.

Zapaliłem papierosa. Liczyłem minuty. Musiałem działać szybko. Kapitan Sarrazin nie popuści. Będzie mnie śledził. Niewykluczone, że już zadzwonił do Vallereta... Drgnąłem na dźwięk telefonu.

— Twój facet ma powód, żeby ograniczać się do trupów.

Spojrzałem na zegarek. Svendsen potrzebował niecałych sześciu minut, żeby sprawdzić to, o co go prosiłem.

— Po pierwsze, to chirurg ortopeda. Jak się wydaje — złota rączka. Ale popadł w depresję. Nieudana operacja.

— To znaczy?

— Dzieciak. Zakażenie. Valleret przysnął z nożem chirurgicznym w ręce. Podciął nerw. Od tej pory chłopiec kuleje.

— Jak mógł zasnąć?

— Upijał się i nadużywał środków pobudzających. Niezbyt wskazane przy operacji...

— Co się potem stało?

— Rodzice wnieśli skargę. Klinika broniła Vallereta, ale musiał odejść. Został lekarzem sądowym i tak znalazł się w Besancon. Rozwiedziony, bez grosza przy duszy, lekoman. Jeszcze jeden, który wybrał medycynę sądową jako czyściciel. Jednakże medycyna zajmująca się zmarłymi jest najszlachetniejszą sztuką, co leczy dusze żywych i...

Przerwałem mu ten liryczny wywód:

— Nazwa kliniki? Data?

— Klinika Alberta. Dziewięćdziesiąty dziewiąty rok. Rodzina Ullis. Podziękowałem Svendsenowi.

— Chcę wiedzieć coś więcej o tej sprawie — rzekł. — Jestem pewien, że trafiłeś na właściwy trop. Żeby rozumieć język zmarłych, trzeba być do tego urodzonym. Ja...

— Oddzwonię.

Szybkim krokiem przemierzyłem dziedziniec. Nad wejściem wisiał transparent: „Wasze zdrowie nie może być waszym zakładnikiem!”. Kostnica znajdowała się na trzecim poziomie. Skierowałem się do wind, omijając wzrokiem grupę pielęgniarek, które ogłosiły strajk okupacyjny.

W podziemiach temperatura była niższa o dobre dziesięć stopni. Pusty korytarz bez żadnego oznakowania, instynktownie skręciłem na prawo. Pod sufitem biegły czarne przewody, ściany przedzielały betonowe, zielone występy. Szumiał wentylator.

Jeszcze kilka kroków i na lewo mała sala. Krzesła, niski stół. Naprzeciwko drzwi wahadłowe z okrągłymi okienkami. Na jednej ze ścian ogromne zdjęcie prerii. Miało poprawić panującą tu atmosferę, ale efekt był raczej odwrotny. W powietrzu unosiła się mieszanina zapachów środków antyseptycznych, kawy i chlorowanej wody używanej do odkażania. Pomyślałem o basenie, tyle tylko, że tutaj kąpały się trupy.

Z drzwi wyłoniły się nosze na kółkach. Pchał je silnie zbudowany mężczyzna w plastikowym fartuchu, z włosami jak u wikinga, związanymi w koński ogon.

— Czego pan sobie życzy?

Miły głos kontrastował z wyglądem barbarzyńcy. Pewnie asystent, który zazwyczaj rozmawiał z rodzinami w żałobie.

— Chciałbym się widzieć z doktorem Valleretem.

— Doktor nie przyjmuje. Ja...

Pokazałem swoją legitymację. Wiking zostawił nosze w drzwiach, które wahały się w drugą stronę. Po chwili pojawił się wysoki, przygarbiony facet z przyklejonym do warg papierosem. Jego wzrok wy— Kim pan jest? Nie znamy się.

— Durey, brygada kryminalna, wydział zabójstw w Paryżu.

Oparł się o framugę drzwi, zatrzymując ich ruch wahadłowy.

— Czy żandarmi są poinformowani?

Podszedłem bliżej, nie odpowiadając na pytanie. Był prawie tak wysoki jak ja. Miał na sobie rozpięty, poplamiony kitel. Trzymał papierosa przy ustach, zasłaniając dłonią pół twarzy. Zagrałem w otwarte karty.

— Panie doktorze, nie mam żadnych uprawnień na tym terenie. Sędzia śledczy Magnan wyprosiła mnie, a kapitan Sarrazin otwarcie mi groził. Mimo to nie wyjadę z tego miasta, dopóki nie dowiem się czegoś więcej o stanie zwłok Sylvie Simonis.

— Dlaczego?

— Tą sprawą bardzo interesował się mój kolega, przyjaciel.

— Jak się nazywa?

— Luc Soubeyras.

— Nigdy nie słyszałem tego nazwiska.

Valleret opuścił rękę. Odślonięta twarz robiła wrażenie nieszczerzej, obłudnej. Twarz człowieka, który się boi.

— Czy mogę zadać panu kilka pytań?

— Nie. Proszę wyjść.

— Zdobyłem pewne informacje o panu. Klinika Alberta. Dziewięćdziesiąty dziewiąty rok.

— Ach tak? — uśmiechnął się. — Chce pan nastraszyć moich pacjentów?

— Besancon to małe miasto. Pański wizerunek mógłby ucierpieć, gdybym...

Wybuchnął śmiechem.

— Mój wizerunek? — Rzucił niedopałek na podłogę. — Nie tędy droga, przyjacielu. — Przestał się śmiać. Wyglądało, jakby się zamyślił, rozmarzył. — Mój wizerunek? Już od dawna nie zważam na to...

Podświadomie wyczułem, że ten facet zgrywa się na pozbawionego złudzeń cynika, ale w gruncie rzeczy jest bardzo wrażliwy. Może poruszy go całkowita szczerłość, pozwoli mu się otworzyć?

— Luc Soubeyras to mój najlepszy przyjaciel. Obecnie znajduje się w śpiączce po nieudanej próbie samobójczej. Jest katolikiem i dlatego jego czyn tym trudniej zrozumieć. W ostatnim czasie zajmował się sprawą Simonis. Niewykluczone, że coś, co wynikało z akt tej sprawy, pchnęło go do tego rozpaczliwego kroku.

— Wcale mu się nie dziwię.

Zadrzałem. Po raz pierwszy przyznano słuszność mojej idei, że są „sprawy, które zabijają”. Valleret wyprostował się. Skłonny był mówić, ale musiałem go do tego zachęcić.

— Czy zdaniem pana Sylvie Simonis popełniła samobójstwo?  
— Samobójstwo? — Spojrzał na mnie spod oka. — Nie. Nie sądzę, żeby to ona sama zrobiła sobie coś takiego.  
— A więc to morderstwo?  
Pchnął drzwi i dał mi znak, żebym wszedł.  
— Najbardziej szalone, najbardziej wyrafinowane, jakie kiedykolwiek popełniono na świecie.

## 29

Na gładkim stalowym blacie stołu do wykonywania sekcji zwłok leżało dziesięć klisz.

— Musi pan dokładnie wiedzieć, o czym mówimy.

Nie byłem pewien, czy chcę to oglądać. Kolejne zdjęcia ukazywały proces gnicia ciała ludzkiego. Pierwsze przedstawiało plan ogólny. Łąka na stoku, otoczona sosnami, otwierająca się na klif. Z boku naga kobieta, odwrócona plecami, jakby spała. Ciało przypominało powyginaną na wszystkie strony marionetkę złożoną z oddzielnych fragmentów. Głowa wciśnięta w ramiona i wygięty w łuk tors miały normalne proporcje, ale biodra i nogi robiły się coraz cieńsze aż do kości stóp, niczym ogon syreny w koszmarnym śnie.

Na drugim zdjęciu widoczne były w powiększeniu kości stopy i śródstopia połączone jedynie strzępami poczeriałych ścięgien. Na trzecim — kości goleni, pozieleniałe, wyschłe. Czwarte zdjęcie ukazywało odsłonięte kości udowe i łono, gdzie roiło się od robaków. A dalej zgniły, wydęty brzuch ruszający się od robactwa.

I tak od zdjęcia do zdjęcia dochodziło się do lepiej zachowanego, choć także naruszonego przez larwy tułowia i do ramion pokrytych sinymi plamami. Wreszcie głowa, nietknięta, ale przerażająca przez wyraz cierpienia na twarzy z szeroko otwartymi ustami zastygłymi w wiecznym

— Wszystko to, co pan widzi, jest dziełem zabójcy — powiedział Valleret stojący po drugiej stronie stołu. — Ten trup przedstawia wszystkie stadia rozpadu jednocześnie. Oglądając je od stóp do głowy, można odtworzyć proces gnicia.

— Jak to możliwe?

— Otóż to. Zabójca dokonał rzeczy niemożliwej. -

Przypomniałem sobie słowa Shapiro, że ta kobieta jakby umierała wiele razy. Tak więc to gnicie etapami było wynikiem żmudnej pracy mordercy...

— W pierwszym momencie — podjął znowu lekarz — kiedy strażacy i sanitariusze SAMU zobaczyli ciało, pomyśleli, że te różnice powstały na skutek warunków pogodowych. Ja też tak mówiłem, dla spokoju ducha. Ale sam pan widzi, że to idiotyzm. W normalnych warunkach całkowity rozpad ciała następuje po trzech latach. W jaki więc sposób w okresie krótszym niż tydzień dolne części ciała mogły ulec takiemu rozkładowi? Zabójca przy śpieszył ten proces. Wszystko przemyślał dokładnie i stworzył warunki do takiej degeneracji.

Spojrziałem ponownie na zdjęcie, a Valleret wyrecytował półgłosem:

*Słońce, prażąc to ścierwo, jarzyło się w górze,*

*Jakby rozłożyć pragnęło*

*I oddać wielokrotnie potężnej Naturze*

*Złączone z nią kiedyś dzieło\*.*

Lekarz sądowy poeta! Tworzyłby dobrą parę ze Svendsenem. Znałem te wiersze. *Padlina* Charles'a Baudelaire'a.

— Jak tylko ujrzałem ciało, przypomniałem sobie tę strofę — wyjaśnił. — Jest jakiś artystyczny wymiar w tej potworności. Z punktu widzenia estetyki przypomina to trochę obrazy kubistów, którzy uwypuklają wszystkie załamania, kanty przedmiotów.

— Jak on tego dokonał?

Lekarz obszedł stół i stanął obok mnie.

— Od czerwca nie przestaję myśleć o tych zwłokach. Usiłuję wyobrazić sobie techniki zastosowane przez zabójcę. Moim zdaniem w partiach najbardziej zdeformowanych użył kwasów. W wyższych wstrzyknął pod skórę w mięśnie jakiś chemiczny środek, żeby żółtkły. Wszystko to wymaga również odpowiedniej temperatury i oświetlenia. Gorąco przyspiesza procesy organiczne...

— A więc ciało zostało przeniesione na ławkę znacznie później?

— Oczywiście. Wszystko to odbywało się w pomieszczeniu zamkniętym. Może nawet w laboratorium.

— Sądzi pan, że morderca jest chemikiem?

\* Przełożył Mieczysław Jastrun.



— Bez wątpienia. I ma dostęp do bardzo niebezpiecznych substancji.

Patolog wziął jedno, a potem drugie zdjęcie i umieścił je nad pozostałymi.

— Spójrzmy na przykład tutaj, na biodra i łono. Takie płyny jak tutaj zaczynają się pojawiać sześć miesięcy do roku po śmierci i mięśnie stopniowo się rozpływają. Wyższa partia brzucha uległa działaniu gazów — nastąpiła fermentacja amoniakalna, wyparowanie płynów posokowych. Wszystko to było sztucznie wywołane, kontrolowane... Ten szalenciec jest prawdziwym mistrzem w swoim fachu.

Próbowałem wyobrazić sobie zabójcę w trakcie jego pracy. Bezskutecznie. Widziałem jedynie cień człowieka z zamaskowaną twarzą, pochylonego nad swoją ofiarą w sali operacyjnej, posługującego się strzykawkami, nieznanymi instrumentami. Valleret mówił dalej:

— Jest jeszcze coś dziwnego... W klatce piersiowej znalazłem mech, który nie miał prawa tam być, to znaczy nie miał nic wspólnego z rozpadem ciała. Ten człowiek wstrzyknął coś przedziwnego pod żebra.

— Jaki to rodzaj mchu?

— Nie znam jego nazwy, ale ma pewną właściwość: jest świecący. Kiedy ratownicy znaleźli ciało, pierś jeszcze błyszczała od wewnątrz. Sanitariusze SAMU opowiadali, iż przywodziło to na myśl Halloween i dynię ze świecą w środku.

Mój mózg drażyło jedno pytanie: dlaczego? Jaki cel miało tak skomplikowane preparowanie zwłok?

— Pozostałe partie wyglądały bardziej normalnie — ciągnął dalej lekarz. — Barki i ramiona były ledwie tknięte przez *rigor mortis*, który pojawia się około siedmiu godzin po zgonie i rozwija zależnie od przypadku przez kilka dni. Co do głowy...

— Co z głową?

— Była jeszcze ciepła.

— W jaki sposób to uzyskał?

— Nic w tym specjalnego. Kiedy znaleziono tę kobietę, ona dopiero co umarła.

— Chce pan powiedzieć...

— Że Sylvie Simonis jeszcze żyła, kiedy poddawano ją kolejnym zabiegom. Skonała z bólu. Nie potrafię powiedzieć, kiedy dokładnie, ale z pewnością pod koniec tych mąk. Świadczy o tym świeży stan twarzy. W tym, co zostało z wątroby i żołądka,

znalazłem ślady nieżyty gastrycznego i owrzodzenia dwunastnicy, co świadczy o przeżywaniu wielkiego stresu. Sylvie Simonis umierała przez dobrych kilka dni.

W głowie mi huczało.

Valleret dodał:

— Ten, kto ją zabił, nie przeoczył niczego. Nawet robactwa.

— To on je tam umieścił?

— Wstrzyknął pod skórę. Dla każdego etapu wybrał odpowiednie stworzenia żywiące się trupami. Muchy ściernice, robaki, roztocze pajęczaki, chrząszcze, motyle... Wszystkie zastępy śmierci zostały tu przywołane w idealnej kolejności.

— Czy to znaczy, że on hoduje takie insekty?

— Nie mam co do tego żadnej wątpliwości.

W moim wzbudzonym umyśle precyzowały się poszczególne elementy: chemik, laboratorium, ośrodek hodowli insektów... Tropy prowadzące do mordercy.

— W tym regionie mieszka jeden z najlepszych europejskich entomologów. Pomógł mi przy sekcji.

Valleret napisał mi jego dane na kartce: „Mathias Plinkh” i dokładny adres.

— On także hoduje insekty?

— Potrzebne mu są do badań.

— Mógłby być podejrzanym?

— Niech pan pojedzie i porozmawia z nim. Według mnie jest niegroźnym dziwakiem. Mieszka w pobliżu wzgórza Uziers, na drodze do Sartuis.

Znowu opuściłem wzrok na zdjęcia, zmuszając się do przyjrzenia się im dokładnie. Partie ciała wydęte od gazów. Głębokie rany pełne much. Białe glisty w różowych wnętrznościach... Mimo zimna zlany byłem potem.

— Nie ma innych śladów przemocy? — zapytałem.

— Jeszcze panu mało?

— Mam na myśli ślady po biciu, szarpaniny w trakcie porwania.

— Jasne, że są ślady po więzach, ale przede wszystkim po ukąszeniach.

— Po ukąszeniach?

Lekarz zawahał się. Otarłem pot ściekający z powiek.

— Z moich obserwacji wynika, że to „coś”, co zostawiło takie ślady, miało dużo zębów. A raczej kłów, w nierównych odstępach... Jakby nie rosły w tym samym kierunku.

Nagle ujrzałem w wyobraźni pewien wizerunek. Pazuzu, asyryjski demon ze zbiorów Luca. Stwór z ogonem skorpiona, z pyskiem nietoperza, pochylony nad ciałem w sali operacyjnej. Słyszałem jego chrapliwy ryk. Odgłos ssania, rozszarpywanego ciała. Diabeł. Diabeł wcielony, w trakcie popełniania morderstwa...

Valleret przyszedł mi z pomocą.

— Być może była to pałka ze zwierzęcymi zębami. Hieny lub innego drapieżnika. Uderzał nią w ramiona, szyję i boki Sylvie Simonis. I po co taka wymyślna tortura? To nie pasuje do reszty... — Nagle spojrzał na mnie. — Dobrze się pan czuje? Nie wygląda pan najlepiej.

— Nic mi nie jest.

— Może chciałby pan napić się kawy?

— Nie. Naprawdę dziękuję.

Żeby odzyskać równowagę, powróciłem do roli twardego policjanta zadającego niezliczone pytania.

— Czy wokoło ciała znaleziono jakieś ślady?

— Nie. Ciało musiało zostać przyniesione w nocy i poranny deszcz wszystko zmył.

— Jak miejsce zbrodni jest usytuowane w stosunku do klasztoru?

— Widziałem zdjęcia. Wysoko na klifie, nad opactwem. Zwłoki leżały bezpośrednio nad klauzurą. Niczym wyzwanie, prowokacja.

— Ktoś nazwał tę zbrodnię satanistyczną. Czy były jakieś znaki, symbole na ciele i wokoło?

— Nic o tym nie wiem.

— A co mógłby pan powiedzieć o samym zabójcy?

— Ze względu na stosowane techniki jest łatwy do określenia. Chemik. Botanik. Entomolog. Zna dobrze ciało ludzkie. Może nawet jest to patolog. Balsamista, ale wykonujący swoje czynności na odwrót. Jemu nie zależy na konserwacji. On zmierza do przyspieszenia rozkładu. To artysta. Człowiek, który przygotowuje się do zadania ciosu przez wiele lat.

— Powiedział pan to wszystko żandarmom?

— Oczywiście.

— Czy poszli jakimś konkretnym śladem?

— Nie wydaje mi się, żeby byli specjalnie lotni. Ale sędzia śledczy i kapitan żandarmerii zachowują całkowitą dyskrecję. Może coś ukrywają...

Pomyślałem o Corine Magnan i jej balsamie tygrysim, a także

o kapitanie Sarrazinie. Co mogli zrobić wobec takiej zbrodni? Zmieniłem kierunek pytań:

— Czy widzi pan w tym związek z zabójstwem córki Sylvie Simonis w osiemdziesiątym ósmym roku?

— Nie znam dobrze tamtej sprawy. Ale chyba nie ma nic wspólnego z wyrafinowaną egzekucją Sylvie. Mała Manon została utopiona w studni.

— Dlaczego użył pan słowa „egzekucja“?

Wzruszył ramionami. Podczas rozmowy ze mną odzyskał nieco pewności siebie. Teraz znowu się przygarbił, schował w swoją skorupę.

— Jaki był, pańskim zdaniem, jego cel? — naciskałem.

Valleret długo milczał. Szukał odpowiednich słów.

— To księżę ciemności, którym kieruje zamięłowanie do czynienia zła. Może odczuwa przy tym jakąś przyjemność erotyczną. Powtarzam panu: to artysta. Abstrakcjonista.

Zrozumiałem, że nie usłyszę już nic ważnego. Zapytałem jeszcze:

— Czy ma pan kopie swojego raportu z sekcji zwłok?

— Proszę poczekać.

— Czy zachował pan próbki tego mchu?

— Tak, mam ich kilka. W naczyniu próżniowym.

Zniknął za drzwiami. Po chwili przyniósł mi teczkę w oprawie z kremowego płótna.

— Jest tu wszystko. Mój raport, ustalenia żandarmów, zrobione na miejscu zdjęcia, biuletyn meteo, wszystko. Dorzuciłem też dwie saszetki z mchem.

— Dziękuję.

— Niech mi pan nie dziękuje. Dobrze się pan z tym namęczy. Przez lata obsesyjnie myślałem o wypadku na sali operacyjnej, który złamał mi życie. Od czasu tej sekcji zwłok wciąż słyszę jęki kobiety zjadanej przez robaki. — Na jego twarzy pojawił się gorzki uśmiech. — Tak się wybija klin klinem.

Znalazłszy się na zewnątrz, odczułem ulgę. Idąc przez dziedziniec szpitala w pełnym świetle południa, pozbyłem się złego samopoczucia. Kiedy jednak włączałem pilot, by otworzyć drzwiczki samochodu, znieruchomiałem.

Niespodzianie ujrzałem demona kłuszącego ostrymi zębami ciało Sylvie Simonis, w chmurze much, z wyjąłymi w tle psami. Powróciło wspomnienie wyniesione z wykładów teologii.

Imię Belzebub pochodzi z hebrajskiego Beelzebul. A to z kolei od filistyńskiego imienia Beel Zebu. Władca much.

## 30

Wyjeżdżając z miasta, zanurzyłem się w wir żółtych i brązowych liści. W zależności od gatunku drzew liście przybierały barwę herbaty, listków złota, przypalonych tostów. Cała paleta przyciemnionych, a mimo to intensywnych barw.

Przed wyruszeniem kupiłem przewodnik i mapy wszystkich departamentów regionu Franche-Comte. Pojechałem drogą krajową 57, w kierunku Pontarlier-Lausanne, na południe, w kierunku górnego Doubs i granicy szwajcarskiej.

Wraz z wysokością barwy jesienne ustępowały miejsca głębokiej zieleni sosen. Pejzaż przypominał reklamę czekolady Milka. Zielone stoki, miasteczka z dzwonicami w kształcie cebuli, stodołami o ściętych, długich, wielokątnych dachach. Idealne podobieństwo. Nawet krowy miały brązowe dzwoneczki.

Tablica z napisem: „Saint-Gorgon-Main”. Zjechałem z drogi krajowej na D41. Szczyty pasma Jury przybliżyły się. Prosta droga obrzeżona sosnami i czerwoną ziemią przypominała bezkresne wrzosowiska południowo-zachodniej Francji. Jechałem tak aż do skrętu na Uziers. Według mojej mapy entomolog Mathias Plinkh mieszkał gdzieś w tej

Wkrótce zaczęły się serpentyny z widokiem na doliny. W końcu pojawił się krzyż. Potem drewniana tablica poinformowała: „Ferma Plinkh. Muzeum entomologii, ekspertyzy z dziedziny tanatologii, hodowla

Teraz droga wiła się między pagórkami. Ferma wyłoniła się nagle pomiędzy ciemnych pagórków. Nowoczesny, jednopiętrowy budynek w kształcie litery L. Zrobiony z drzewa i kamienia, przypominał niektóre wille na Bahamach, z płaskimi dachami, długimi oszklonymi drzwiami, otoczone tarasami. Dwa skrzydła litery L różniły się między sobą stylem: w jednym dużo szkła; drugi ze ślepa fasadą, tylko z kilkoma okienkami na poddaszu. Skrzydło mieszkalne i muzeum. Pewien stary policjant, z którego brałem przykład na początku pracy, zawsze mawiał: „Dochodzenie

to sprawa prosta jak drut". Przekonamy się. Nacisnąłem guzik domofonu. Po dłuższej chwili odezwał się poważny głos z nordyckim akcentem. Przedstawiłem się prawdziwym nazwiskiem. „Proszę wejść do pierwszej sali, zaraz tam przyjdę. Niech pan poogląda plansze!”.

Po wejściu do obszernego, kwadratowego, białego holu zrozumiałem, że Plinkh mówił o wiszących na ścianach rysunkach. Muchy, chrząszcze, motyle. Ich precyzja przywodziła na myśl chińskie lub japońskie akwarele.

— Pierwsze plansze Pierre'a Megnina ukazujące insekty żywiące się trupami. Z tysiąc osiemset osiemdziesiątego ósmego roku. Megnin to wynalazca entomologii kryminalnej.

Odwrociłem się w kierunku głosu i ujrzałem olbrzyma w opiętej czarnej marynarce z kołnierzykiem w chińskim stylu z czasów Mao Tse-tunga. Sive włosy, zielone oczy, skrzyżowane ramiona — guru New Age. Wyciągnąłem do niego rękę. Złożył dłonie na sposób buddyjski. Potem zmrużył oczy jak kot. W jego zachowaniu czuło się wyrachowanie, sztuczność. Otworzył powieki i wskazał na prawo.

— Zwiedzanie zaczyna się tędy...

Kolejny pokój, również cały biały. Tym razem w zawieszonych na ścianach gablotach były przyszpilone owady. Całe zastępy tej samej rodziny oraz ich potomstwo różniące się wielkością i kolorem.

— Zgromadziłem tutaj główne grupy. Ostawione „szwadrony śmierci”. Ta sala ma szalone powodzenie. Dzieciaki ją uwielbiają! Kiedy opowiada im się o owadach, ekosystemie, ziewają szeroko. Ale jeśli wspomni się im o trupach, natychmiast zaczynają słuchać z nabożeństwem! — Podeszedł do jednej z gablot zawierającej niebieskawe muchy. — Słynne *Sarcophagidae*. Pojawiają się pod koniec mniej więcej trzeciego miesiąca, w momencie fermentacji. Zdolne są wywęszyć zwłoki z odległości trzydziestu kilometrów. Kiedy jako ekspert byłem w Kosowie, odnajdywaliśmy trupy, śledząc właśnie te muchy...

— Panie Plinkh...

Zatrzymał się przed kilkoma głębszymi gablotami wytapetowanymi papierem gazetowym.

— Zebrałem tutaj kilka ciekawych przypadków, kiedy to dzięki owadom udowodniono zbrodnię. Proszę zwrócić uwagę, że każde pudełko jest ozdobione wycinkami z prasy opisującymi daną sprawę.

— Panie Plinkh...  
Przesunął się krok dalej.  
— A to wyjątkowe eksponaty pochodzące z czasów prehistorycznych. Znaleźliśmy je w zmarzniętych szczątkach mamutów. Czy pan wie, że szkielet zewnętrzny muchy jest niezniszczalny?  
Podniosłem głos:  
— Proszę pana, przyjechałem tutaj porozmawiać o Sylvie Simonis.  
Stanął jak wryty, opuszczając powoli powieki. Kiedy miał już zamknięte oczy, na jego wargach pojawił się uśmiech.  
— Arcydzieło. — Znowu złożył razem dłonie. — Prawdziwe arcydzieło.  
— Chodzi o kobietę, która cierpiała straszliwe męki. O szaleńca, który torturował ją przez tydzień.  
Otworzył oczy nagle, niczym sowa. Miał jasne tęczówki, czarne źrenice. Jego mina wyrażała szczere zdziwienie.  
— Nie o tym mówię. Mam na myśli usytuowanie insektów w ciele ofiary. Nie zabrakło żadnego! Muchy *Calliphoridae*, które przylatują zaraz po śmierci, *Sarcophagidae*, które pojawiają się potem, w momencie fermentacji, muchy *Piophilidae* i chrząszcze *Necrobia rufipes*, które przychodzą po ośmiu miesiącach, kiedy ulatniają się płyny posokowe... Wszystko było, po kolei. Arcydzieło.  
— Próbuję wyobrazić sobie jego metodę.  
Głowa z siwymi włosami przestała się kręcić. Efekt rotacji podkreślał jeszcze typ kołnierzyka.  
— Jego metodę? — powtórzył. — Proszę pójść za mną.  
Poszedłem za nim korytarzem wyłożonym drewnianą boazerią.  
Otworzył ognioodporne drzwi uszczelnione watą. Znaleźliśmy się w dużym pomieszczeniu pogrążonym w półmroku. Wzdłuż bocznych ścian stały klatki osłonięte gazą. Panowała tu atmosfera wiwarium. Gorąca duchota, smród surowego mięsa i środków chemicznych.  
W samym centrum sali, na białej betonowej płycie stało prostokątne pudło zakryte materiałem. Spodziewałem się najgorszego.  
Plinkh podszedł do pudła.  
— Morderca, podobnie jak ja, jest hodowcą owadów. Musi zapewnić im właściwy pokarm...  
Zdarł płócienną zasłonę. Pokazało się akwarium. W pierwszym momencie nie widziałem nic poza kłębiącą się masą much. Potem

wydało mi się, że dostrzegam ludzką głowę rojącą się od robaków. Pomyliłem się: był to tylko sporych rozmiarów gryzoń, dobrze już

— Nie ma wyboru. Należy stworzyć ekosystem właściwy dla każdego gatunku, to znaczy odpowiadający mu stan gnicia.

— Gdzie... pan się w to zaopatruje?

— Na fermach, u myśliwych... Najczęściej kupuję króliki. Kiedy już dany gatunek się naje, przekazuję szczątki następnemu. I tak dalej...

— Czy mogę zapalić?

— Wolałbym, żeby pan tego nie robił.

Nie wyjmując papierosów z kieszeni, powiedziałem:

— Interesuje mnie problem transportu Sylvie Simonis. Jak się to odbyło pana zdaniem? Przenosiny mogły zepsuć cały plan...

— Nie. Z pewnością włożył zwłoki do plastikowego worka, a potem, już na zboczu, wyjął z niego.

— A owady? Czy mogły się wydostać z worka i zginąć?

Plinkh wybuchnął śmiechem.

— W trupie pozostały tysiące jajeczek, które potrzebują określonego czasu inkubacji. Larwy, które mają dokładnie znany okres przeżycia. Jeśli chodzi o muchy, to oczywiście wyleciały na wolność, ale nie oddaliły się zbyt daleko. Są zawsze głodne. Zresztą do pewnego stopnia ma pan rację. Znaleziona tamtego rana zwłoki nie leżały w tym miejscu długo. To absolutnie pewne.

— Dlaczego?

— Te drapieżne insekty nie żyją ze sobą w zgodzie. Nie zdarza im się być obok siebie w tym czasie, bo zwabia je inny stan gnicia. A jeśli się spotykają, pożerają się nawzajem. Skoro były tam wszystkie jednocześnie, to oznacza, że trup został przetransportowany w to miejsce zaledwie kilka godzin wcześniej.

— To by znaczyło, że morderca mieszka w tym regionie?

— Tak, on tutaj mieszka.

— Skąd ta pewność?

— Mam pewną wskazówkę.

— Jaką?

Plinkh uśmiechnął się. Wyglądało na to, że świetnie się bawi. Ten facet miał nie po kolei w głowie. Chciałem jak najszybciej skończyć tę rozmowę.

— Kiedy badałem ciało, wziąłem wiele próbek. Był w nich



owad, który nie pochodzi z naszych stron. Nie żyje w takim kraju jak nasz, o kontynentalnym klimacie.

— Skąd więc pochodzi?

— Z Afryki. To skarabeusz z rodziny *Lipkanus silvus*, krewny naszego *Tenebrio*. Te chrząszcze pojawiają się w ostatnim stadium rozkładu, gdy zaczyna gnić szkielet.

Nie pojmowałem, jak mogło to być dowodem na obecność mordercy w tej okolicy. Plinkh rozkręcał się.

— Pozwoli pan, że opowiem pewną anegdotę. Obecnie pracuję nad stworzeniem muzeum ekologicznego tego regionu, przechowując w nim gatunki żyjące w naszych dolinach. Opłacam chłopców, którzy dla mnie polują na chrabąszcze, motyle, pajęczaki i tym podobne. Niedawno jeden z nich przyniósł mi rzadki okaz. Żuka, który nie miał prawa tu się znajdować.

— To był skarabeusz?

— Tak, *Lipkanus sihus*. Chłopiec znalazł go w pobliżu Morteaux. Taki okaz musiał wymknąć się z jakiejś prywatnej kolekcji. Szukałem w okolicy hodowli podobnej do mojej, ale nie znalazłem. Kiedy zobaczyłem drugi egzemplarz w ciele Sylvie Simonis, od razu pojąłem, że oba pochodziły z tego samego źródła: z fermy zabójcy.

— Kiedy to było?

— Latem dwa tysiące pierwszego roku.

— Mówił pan o tym żandarmom?

— Wspominałem kapitanowi Sarrazinowi, ale pewnie niczego nie znalazł. Inaczej nawiązałby ze mną kontakt.

— Zdaniem pana zabójca hoduje więc ten tropikalny gatunek?

— Albo podróżował i przywiózł nieświadomie gatunek, który zadomowił się w jego hodowli, albo hoduje szczep z całą świadomością i umieścił te stworzenia w ciele ofiary z jakiegoś nieznanego powodu. Skłaniam się ku tej drugiej wersji. Skarabeusz jest jakby jego podpisem. Symbolem, którego nie rozumiemy.

— Czy mógłbym zobaczyć tego żuka? Zachował go pan?

— Oczywiście. Mogę go panu nawet dać wraz z jego dokładnym opisem.

Wzmianka o symbolu przypomniała mi inną rzecz.

— Czy wie pan o mchu znalezionym w klatce piersiowej zamordowanej kobiety?

— Byłem obecny przy sekcji zwłok.

- Co pan o tym myśli?
- Jeszcze jeden symbol.
- Czy ten mech mógł także pochodzić z Afryki?
- Jestem entomologiem, a nie botanikiem. Wyobraziłem sobie miejsce, gdzie powstawały te okropieństwa.

Hodowla owadów, laboratorium, szklarnia. Co robili żandarmi? Przecież to niemożliwe, żeby nic nie znaleźli, mając takie możliwości.

— On jest tutaj — dodał Plinkh, jakby zgadując moje myśli. — Bardzo blisko nas. Czuję obecność jego zastępów gdzieś w naszej okolicy... Jego armię, identyczną jak moja, gotową do nowego ataku. To są legiony, rozumie pan?

Rzuciłem okiem na prawo, na klatki osłonięte gazą. Wydało mi się, że oglądam to wszystko jakby powiększone pod lupą. Roztocze posuwające się po włosach, mucha wzdęta od krwi, zostawiająca oślizgłą ranę; setki jajeczek w przegniłych wnętrznościach...

Zapytałem głuchym głosem:

- Czy możemy wrócić do pańskiego gabinetu?

## 31

Po drodze do Sartuis postanowiłem zajrzeć do Notre-Dame-de-Bienfaisance. Skręciłem na wschód, w kierunku Morteau i granicy szwajcarskiej. Kiedy minąłem miasteczko Valdahon, ruszyłem ze zdwojoną szybkością prosto na północ i znalazłem się w górach.

Ostre wiraże, wytryskujące spod kół kamienie. Przepaście, ściany skalne, znowu przepaście, a w dole zielona gęstwina i srebrzyste potoki. Mijałem kolejne tablice z oznaczeniem wysokości nad poziomem morza: 1200 metrów, 1400 metrów... Na wysokości 1700 metrów tablica zapowiadała Bienfaisance.

Po pięciu kilometrach ukazał się klasztor. Wielka prostokątna, surowa budowla, z przylegającą do niej kaplicą z kształtną dzwonnica. Szare mury poprzecinane wąskimi oknami, czarna brama wjazdowa. Jedynym pogodniejszym elementem były żywe barwy dachówek przywodzące na myśl barcelońską katedrę Gaudiego.

Zatrzymałem się na parkingu i wyszedłem na wiatr. Poczułem dziwną melancholię. Bienfaisance było tym rodzajem miejsca, w którym chętnie bym się zaszył. Takim miejscem, które kon-

kretyzowało moje pragnienie zakonnego życia. Schować się przed światem, żeby być z samym z Bogiem...

Tylko raz, odkąd zostałem policjantem, schroniłem się u benedyktynów, po ujęciu w marcu dwutysięcznego roku Erica Benzaniego, stukniętego sutenera. Postanowiłem wtedy zrezygnować z mojego zawodu i poświęcić resztę życia na modlitwę. I to Luc znowu mnie tam odnalazł. Przekonał, że moje miejsce jest na ulicy, u jego boku. Że wprawdzie oddalę się od Chrystusa, ale będę mu lepiej służyć...

Pociągnąłem za sznurek dzwonka. Żadnej odpowiedzi. Pchnąłem drzwi. Były otwarte. Centralny dziedziniec otaczała szklana galeria. Na zewnątrz dwie ciepło ubrane kobiety grały w szachy na składanym stoliku. Jakiś mężczyzna w podeszłym wieku, okryty pledem, drzemał pod drzewem. Zimne promienie słońca kładły się na tych nieruchomych postaciach, przydając im wygląd chińskiego malowidła.

Galerią doszedłem do następnych drzwi. Sądziłem, że prowadzą do kościoła. Na jednym ze stołów wydarta z zeszytu kartka zachęcała: „Zapiszcie swoje intencje. Będą uwzględnione w modlitwie za całą wspólnotę”. Nachyliłem się i przeczytałem kilka linijek: modlitwy za dalekie misje, za zmarłych...

Usłyszałem głos za mną:

— To miejsce prywatne.

Zobaczyłem tuż przy mnie korpulentną kobietę w czarnym czepku na głowie i w ciemnej pelerynie.

— O tej porze roku klasztor jest zamknięty.

— Nie jestem turystą.

Zmarszczyła brwi. Śniada cera, azjatyckie rysy, źrenice przypominające szare perły znajdowane we wnętrzu ostryg. Nie potrafiłem określić jej wieku. Ale bez wątpienia przekroczyła sześćdziesiątkę. Mogła pochodzić z Filipin.

— Historyk? Teolog?

— Policjant.

— Wszystko już żandarmom powiedziałam.

Cienia obcego akcentu, ale nosowy głos zdradził, że pochodziła z innych stron. Pokazałem legitymację, okraszając to uśmiechem.

— Przyjechałem z Paryża. W tej sprawie wynikły pewne problemy.

— Mój synu, to ja znalazłam zwłoki. Jestem dobrze poinformowana.

Rozejrzałem się po patio z miną wskazującą, że szukam miejsca, by usiąść.

— Moglibyśmy gdzieś spokojnie porozmawiać?

Misjonarka stała nieporuszona. Nie spuszczała ze mnie swych wodnistych oczu.

— Wygląda pan na duchownego.

— Ukończyłem seminarium francuskie w Rzymie.

— I dlatego tu pana przysłano?

Powiedziała to tak, jakbym był egzorcystą lub parapsychologiem. Wyczułem, że mogę na tym coś zyskać.

— W pewnym sensie — mruknąłem.

— Nazywam się Marilyne Rosarias. — Chwyciła moją dłoń i mocno ją uściśnęła. — Kieruję fundacją. Proszę tu na mnie poczekać.

Zniknęła za drzwiami, których wcześniej nie zauważyłem. Wdychałem zapach starych kamieni, obserwując pensjonariuszy na dziedzińcu. Po chwili siostra wróciła.

— Proszę pójść ze mną — powiedziała.

Gdy wyszliśmy na wiatr, jej peleryna załopotąła niczym skrzydła nietoperza. Nasze oddechy w obłoczkach pary materializowały niewypowiedziane myśli. Czekala nas wspinaczka na klif ponad klasztorem. Marilyne weszła na urwistą ścieżkę ogrodzoną z obu stron żerdkami. Po dziesięciu minutach dotarliśmy do sosnowo-brzozowego lasu usianego pokrytymi mchem kamieniami. Szliśmy wzdłuż rzeki. Gałęzie drzew i kamienie wystające z wody lśniły od zielonego nalotu. Ukazała się szersza ścieżka — brązowa ziemia, czarne, splątane sosny. Stopniowo szum koron drzew zagłuszył odgłos spienionej wody. Marilyne

— Jesteśmy już prawie na miejscu! To najwyższy punkt parku, nad Roche Reche i wodospadem!

Ukazała się rozległa polana łagodnie opadająca w dół ku przepaści. Klasztor był teraz u naszych stóp. Rozpoznałem scenery z fotografii. Marilyne wskazała palcem.

— Ciało leżało tam, na skraju klifu.

Zeszliśmy zboczem. Trawa była tak twarda jak na trawiastym polu golfowym.

— Przychodzi tu pani każdego ranka?

— Nie. Spaceruję tylko ścieżką.

— Jak więc odnalazła pani ciało?

- Poczulał smród. Pomyślałam, że to padlina.
- Która to była godzina?
- Szósta rano.
- To pani rozpoznała Sylvie Simonis?
- Jej twarz była nietknięta.
- Znała ją pani?
- Wszyscy znali Sylvie Simonis.
- Czy znała ją pani osobiście?
- Nie. Ale zabójstwo jej córeczki wstrząsnęło okolicą.
- Co pani wie o tamtej pierwszej sprawie?
- A co miałabym wiedzieć?

Zamilkliśmy oboje. Zapadał zmrok. W powietrzu unosiły się płatki śniegu. Chętnie zapaliłbym camela, ale nie zdobyłem się na to, pewnie z szacunku do miejsca tragedii.

- Mówiono mi, że ciało było zwrócone ku klasztorowi.
- Oczywiście.
- Dlaczego to takie oczywiste?
- Bo ten trup był wyzwaniem.
- Czym?

Schowała dłonie pod pelerynę. Jej ciemna, pomarszczona twarz skojarzyła mi się z kawałkiem czarnego kwarcu.

- Diabła.

No i jesteśmy w tym samym punkcie, pomyślałem. Mimo absurdalności tej refleksji odczułem ulgę: wróg został zidentyfikowany.

- Dlaczego diabeł miałby wybrać ten park?
- Żeby zbrukać klasztor. Splamić go. Jak można się w nim obecnie modlić? Szatan rzucił na nas swoją klątwę.

Podszedłem bliżej do przepaści. Wiatr uderzał połamami płaszcza o moje nogi. Twarda trawa kruszyła się pod stopami.

- Oprócz wyboru miejsca, co jeszcze skłania panią do wniosku, że był to akt satanistyczny?
- Ułożenie ciała.
- Widziałem fotografie. Nie dostrzegłem niczego diabolicznego.
- To znaczy...
- Co takiego?

Spojrzała na mnie spod oka.

- Pan naprawdę jest specjalistą od takich rzeczy?
- Już powiedziałem. Rytualne zbrodnie, satanistyczne mor-

derstwa. Mój wydział współpracuje bezpośrednio z arcybiskupem Paryża.

Wydawała się uspokojona.

— Zanim zadzwoniłam na żandarmerię, zmieniłam ułożenie ciała.

— Co takiego?

— Nie miałam wyboru. O renomie klasztoru Notre-Dame-de-Bienfaisance decydującego męczennicy, cuda. Nasi ojcowie bronią tego miejsca, stale zagrożonego zniszczeniem. My...

— Jaka była początkowa pozycja ciała? Zawahała się. Wokół jej twarzy fruwały płatki śniegu.

— Leżała na plecach z rozchylonymi nogami.

Nachyliłem się: klasztorny teren znajdował się sto metrów niżej.

Trup wystawiał na widok rojącą się od robaków waginę bezpośrednio nad klasztorem. Pojąłem teraz znaczenie słowa „wyzwanie”. Szatan, zbuntowany książę, upadły anioł, zawsze pragnący zniszczyć Kościół swoją mocą i podłością...

— Opowiada mi pani bajki — powiedziałem, prostując się. — Diabeł nigdy niczego nie robi połowicznie. Było coś jeszcze. Znaki na trawie? Pentagramy? Jakaś wiadomość?

Podeszła bliżej. Wysokie pnie sosen skrzypiały za naszymi plecami, a dźwięk ten przypominał piszczałki monstualnych organów.

— Ma pan rację — przyznała. — Ukryłam pewną rzecz. Nie było takie ważne dla śledztwa... Ale dla naszej fundacji miało istotne znaczenie. Kiedy zobaczyłam zwłoki, od razu pojęłam, że chodzi o akt satanistyczny. Wróciłam do klasztoru po gumowe rękawiczki, takie do mycia naczyń. Zmieniłam położenie ciała, żeby zasłonić intymne części.

Wyobraziłem sobie tę scenę, stan zwłok. Ta kobieta potrafiła zachować zimną krew.

— Odwracając jej nogi, zauważyłam ten przedmiot.

— Jaki przedmiot?

Znowu obrzuciła mnie ciężkim, ołowianym spojrzeniem. Przeżegnała się i wyrzuciła z siebie bardzo szybko:

— Krzyż. Miała wciśnięty w pochwę krzyż.

Ta rewelacja wręcz mnie ucieszyła. Znajdowaliśmy się na znanym terenie. Ta zniewaga była klasycznym wyzwaniem. Żadne wyjątkowe szaleństwo, delirium mordercy. Zapytałem, żeby uzyskać pewność:

- Pewnie krucyfiks był umieszczony głową do dołu?
- Skąd pan wie?
- Jestem ekspertem, proszę nie zapominać.

Ponownie się przeżegnała. A ja nagle poczułem zawrót głowy. Gdzieś w półmroku ktoś mnie obserwował. Wzrokiem pełnym gniewu, od którego zrobiło mi się niedobrze. W jednej chwili poczułem się całkowicie bezbronny. Zbrukany, obnażony przez te błyszczące oczy, których nie widziałem, ale które przenikały mnie na wskroś palącym żel. Przytrzymała mnie czyjaś ręka.

- Ostrożnie. Bo zaraz pan upadnie.

Popatrzyłem na Marilyne ze zdziwieniem, potem spojrzałem na sosny. Oczywiście niczego nie dostrzegłem. Zapytałem niepewnym głosem:

- Czy... zachowała pani ten krucyfiks?

Jej ręka zniknęła pod peleryną. Wsunęła mi w dłoń przedmiot owinięty w szmatkę.

- Proszę go wziąć i zniknąć stąd.

Marilyne dała mi numer swojego telefonu komórkowego. „Na wypadek”. Ja natomiast pokazałem jej zdjęcie Luca. Odparła, że nigdy go nie widziała. Gdy ruszyłem w kierunku sosen, zapytała:

- Dlaczego nas pan porzucił?

Zatrzymałem się. Filipinka chwyciła mnie za ramię:

- Był pan w seminarium. Dlaczego pan nas opuścił?
- Nikogo nie opuściłem. Pozostałem wierzącym człowiekiem.
- W naszych parafiach potrzebujemy takich ludzi jak pan.
- Nie zna mnie pani.
- Jest pan młody, uczciwy. Nasza religia umiera wraz z moją generacją.

— Wiara chrześcijańska nie opiera się na tradycji ustnej, która znika wraz z jej sługami.

— Obecnie jest to wspólnota starców. Młodzi ludzie wybierają inne drogi życiowe, inny rodzaj walki. Jak pan.

Schowałem krucyfiks do kieszeni.

- Kto powiedział, że nie chodzi o tę samą walkę?

Marilyne cofnęła się zbita z tropu. Złapałem ją w jej własną pułapkę:

Bóg przeciw Szatanowi. Ruszyłem ponownie, nie odwracając się.

Ostatnim zdaniem trafiłem w sedno sprawy.

Sprofanowanie ciała Sylvie Simonis nie było zwykłą prowokacją.

To było wypowiedzenie wojny.

Gdy dojeżdżałem do Sartuis, zrobiło się już całkiem ciemno.

Spodziewałem się miasteczka jurajskiego z fermami z murem pruskim i kamiennymi dzwonicami. Tymczasem było to nowe miasto z betonu. Główna droga, jakby wytyczona pod sznurek, przecinała centrum. Pełno warsztatów zegarmistrzowskich, zamkniętych od lat, o czym świadczyły nieruchome wskazówki zegarów w szyldach.

Sartuis — pomyślałem — miasto, gdzie zatrzymał się czas.

Znałem historię regionu. Od początku dwudziestego wieku górnicy Doubs przeżywał rozwój ekonomiczny pod znakiem produkcji zegarków. Wiązano z tym wielkie nadzieje. W latach pięćdziesiątych rozbudowano Sartuis. Ale marzenia się nie spełniły. Azjatycka konkurencja i rewolucja kwarcowa wkrótce podcięły skrzydła tutejszej społeczności.

Trafiłem na centralny plac z bardziej tradycyjną architekturą. Przekonałem się, że przed gorączką zegarkową było to zwykłe miasteczko z wąskimi uliczkami, kościołem, placem targowym... Ani śladu hotelu. Wszędzie ciemność i cisza. Żadnej oświetlonej wystawy, ani jednego reflektora samochodowego. Nikłe światło latarń pogłębiało jeszcze przykre wrażenie. Czułem się tak, jakby nade mną zamykała się trumna.

Jadąc dalej, znalazłem się przy siedzibie żandarmerii. Pomyślałem o Sarrazinie. Pewnie pilnował, żebym się tu nie włóczył. Może nawet osobiście sprawdzał w hotelach...

Zawróciłem na plac.

Kościół był budowlą z granitowych bloków, z kanciastą dzwonicą. Wjechałem w uliczkę biegnącą wzdłuż muru. Z tyłu, w głębi dobrze utrzymanego ogrodu warzywnego, stał inny budynek. Dawne prezbiterium z łupkowym dachem, i ścianami obrosniętymi bluszczem. Na jego przedłużeniu znajdowała się nowa konstrukcja z widokiem na boisko koszykówki.

Zaparkowałem, wziąłem torbę i ruszyłem do bramy. Gwiazdy niewzruszenie świeciły na jasnym niebie. Pod moimi nogami chrzęścił żwir. Było wyjątkowo cicho.

Nacisnąłem dzwonek przy kracie ogrodu, a potem, nie czekając, aż ktoś otworzy, poszedłem między grządkami, przytrzymując poły płaszcza. Już miałem zapukać do drzwi, kiedy otworzyły się



ze skrzypem. Na progu stał dobrze zbudowany mężczyzna, z rzadkimi, siwymi włosami, w koszulce firmy Lacoste opiętej na brzuchu i w niezgrabnych welurowych spodniach. Na jego twarzy malowało się zdziwienie i niechęć. Prawą ręką trzymał klamkę, w lewej miał serwetkę.

— Czy ksiądz proboszcz?

Mężczyzna kiwnął potakująco głową. Znowu posłużyłem się kłamstwem, iż jestem dziennikarzem. Nie chciałem go od razu zrazić.

— Miło mi — odrzekł z wymuszonym na tę okoliczność uśmiechem. — Jestem ojciec Mariotte. Jeśli chodzi panu o wywiad, proszę przyjść jutro rano, do kancelarii.

— Ale ja przyszedłem prosić o gościnę na noc.

Uśmiech zniknął.

— O gościnę?

— Zauważyłem ogłoszenie.

— To dla mojej drużyny piłki nożnej. Nic nie jest przygotowane.

— Nie szukam wygód. — I żeby go pognębić, dodałem: — Kiedy byłem w seminarium, nieraz nam powtarzano, że dobry ksiądz zawsze zostawia drzwi otwarte.

— Pan... pan był w seminarium?

— W Rzymie, w latach dziewięćdziesiątych.

— No cóż, skoro tak... proszę wejść.

Cofnął się wreszcie, robiąc mi przejście.

— Byłem pewien, że proboszcz z takim nazwiskiem nie odmówi mi noclegu.

Ksiądz nie zrozumiał chyba aluzji do amerykańskiej sieci hoteli. Był proboszczem w dawnym stylu. Człowiekiem odcięty od świata, który twardą ręką strzegł swoich owieczek, dbał o chór i drużynę piłkarską, nie zważając na resztę.

— Proszę ze mną. — Ruszył korytarzem. — Uprzedzam pana, że to raczej prymitywne warunki.

Gdy mijaliśmy jadalnię, nie mógł powstrzymać pełnego niezadowolenia pomruku na widok swojej stygnącej kolacji. Kilka kroków dalej ujął ciężki pęk kluczy zawieszony u pasa i otworzył jedne dębowe drzwi, a potem drugie, metalowe.

Zapalił lampę neonową i ruszył dalej energicznym krokiem. W korytarzu na prawo zauważyłem łazienkę z prysznicami, z której dochodziła silna woń wody Ravel. Oszklone drzwi w głębi wychodziły na boisko.

Wszedł do jednego z pokoi po lewej stronie i przekręcił kontakt. Dojrzałem dwa rzędy łóżek, po pięć w każdym. Wszystkie odgródzone parawanami. Przypominało to kabiny wyborcze w dniu głosowania.

— Wspaniale — powiedziałem z entuzjazmem.

— Nie jest pan wymagający — mruknął Mariotte. Odslonił jedną zasłonę. Zobaczyłem łóżko przykryte żółtą

kołdrą. Na ścianie wisiał drewniany krucyfiks. Nie mogłem marzyć o lepszym miejscu. Cisza, prostota, dyskrecja... Proboszcz klasnął w ręce.

— Zostawiam pana, żeby się pan rozlokował. Szklane drzwi w głębi są zawsze otwarte. Gdyby chciał pan wyjść, nie ma przeszkód. Ja zaś...

Urwał w pół zdania, uświadamiając sobie niezręczną sytuację. Bez przekonania zaproponował:

— Może chciałby pan zjeść ze mną kolację?

— Z przyjemnością.

W korytarzu zauważyłem komórkę z ciemnej sklejki przedzieloną na dwie części.

— Czy to konfesjonał?

— Jest pan spostrzegawczy.

— Nie ma konfesjonału w kościele?

— Ten służy w nagłej potrzebie.

— Jakiej nagłej potrzebie?

— Jeśli ktoś zechce nagle się wyświadczyć, dzwoni do tych drzwi w głębi. Wtedy przychodzi go wysłuchać. — I tonem złośliwym dodał: — Jak pan sam powiedział: „Dobry ksiądz zostawia zawsze swoje drzwi otwarte”.

— Tutejsi ludzie są tak religijni?

Machnął ręką i ruszył ciężkim krokiem.

— Idziemy?

W sali jadalnej Mariotte wziął garnek stojący na stole.

— No tak, wszystko wystygło.

— Nie ma ksiądz mikrofalówki?

Zgromił mnie spojrzeniem.

— Może powinienem jeszcze mieć wyrzutnię rakiet przeciwpancernych? Proszę tu poczekać. Odgrzeję to na małym ogniu i zaraz wracam. Niech pan weźmie talerz i sztućce z kredensu.

Wdychałem z przyjemnością atmosferę tego domu. Zapach woskowanych desek mieszał się z wonią potraw z kuchni. W kącie

pokoju pomrukiwał piecyk. Na ścianach nie było niczego oprócz krucyfiks i kalendarza z wizerunkiem Najświętszej Marii Panny. Wszystko proste, naturalne, a zarazem bardzo zadbane.

— Proszę tego spróbować — zawołał Mariotte, stawiając garnek ponownie na stole. — Makaron z przepiórkami i grzybami. Specjalność domu!

Odzyskał dobry humor. Przyjrzałem mu się lepiej. Miał jasne, przyjazne oczy otoczone mnóstwem małych zmarszczek na różowej twarzy. Siwe włosy tworzyły biały puszek na szczycie czaszki, którą nie przestawał kręcić.

— Cały sekret — zachichotał — to kolendra. Wsypuje się szczyptę w ostatnim momencie i... gotowe! Zadowoli każdego smakosza!

Napełnił ostrożnie talerze niczym złodziej, który przebiera skradzione klejnoty. Kilka minut minęło w milczeniu na delectowaniu się potrawą. Przygotowany przez niego makaron był wyśmienity. Połączenie smaku żytniej mąki, goryczki grzybów i świeżych ziół dało znakomity efekt.

W końcu ksiądz zaczął pogawędkę na ogólne tematy. Że jego parafia zamiera, miasto kona, że zanosi się na wczesną zimę. Miał dziwny akcent, jakiego nigdy dotąd nie spotkałem. Szczególnie absorbował go jeden temat:

— Czy ma pan odpowiednie opony? Musi pan o tym pomyśleć.

Przytaknąłem skinieniem głowy, mając pełne usta.

— Łańcuchy. — Machnął widelcem. — Musi pan mieć opony z łańcuchami!

Przy serach poruszył swój ulubiony temat: znaczenie sportu dla ratowania młodzieży. Skorzystałem z przerwy między roquefortem i niebieskim bresse, żeby przejść do mojego reportażu o Sylvie Simonis.

— Ledwie ją znałem — odrzekł szybko Mariotte, nie chcąc kontynuować tego tematu.

— Nie przychodziła na mszę?

— Ależ tak, przychodziła.

— Była praktykująca?

— Aż za bardzo.

— Jak to?

Mariotte otarł usta, po czym napił się czerwonego wina. W dalszym ciągu miał na twarzy uśmiech, ale wyczułem w nim ukrywane wewnętrzne napięcie.

- Do granic fanatyzmu. Wierzyła w powrót do źródeł.
- Msza po łacinie, tego rodzaju tradycja?
- Jej zdaniem msza powinna być odprawiana po grecku!
- Po grecku?
- Tak jak panu mówię, przyjacielu. Pasjonowały ją początki chrześcijaństwa. Początki naszego Kościoła. Czciła różnych świętych i męczenników, o których nawet ja nigdy nie słyszałem.
- Żałowałem, że nie poznałem Sylvie Simonis. Mielibyśmy o czym porozmawiać. Taki typ chrześcijanki mógł stanowić motyw: zabójca, apostoł Szatana, wybrał prawdziwą, zagorzałą katoliczkę.
- Co ksiądz myśli o jej śmierci?
- Nie mam ochoty wracać do tej tragedii.
- Miała katolicki pogrzeb?
- Oczywiście.
- Udzielił jej ksiądz błogosławieństwa?
- A dlaczego nie?
- Mówiono o samobójstwie!
- Roześmiał się głośno:
- Nie wiem nic o tej historii, ale jednej rzeczy jestem pewien, że nie ma tu mowy o samobójstwie. — Ponownie sięgnął po kieliszek z winem.
- Co to, to nie!
- Czy był już ksiądz tutaj — zmieniłem nieco kierunek rozmowy — kiedy została zabita mała Manon?
- Otworzył szeroko oczy, po czym zmarszczył brwi. Widać było, że ogarnia go gniew.
- Mój synu, ofiarowałem ci gościnę. Zaprosiłem do stołu. Nie próbuj więc mnie ciągnąć za język!
- Proszę mi wybaczyć. Muszę napisać reportaż o rodzinie Sartuis i zestawić te dwa przypadki. Nie potrafię się powstrzymać od zadawania pytań. — Wziął do ręki talerz z owocami. — Może deser?
- Wybrał klementynkę. Po krótkiej ciszy mruknął:
- Nie dowie się pan niczego o zabójstwie Manon. To całkowita tajemnica.
- A co ksiądz myśli o hipotezie dzieciobójstwa?
- Jeszcze jedna głupota. Chyba najbardziej groteskowa.
- Jaka była reakcja Sylvie? Czy ksiądz dodawał jej otuchy?
- Woląła schronić się w klasztorze.
- W którym?
- Notre-Dame-de-Bienfaisance.

Powinienem był sam się tego domyślić. Fundacja ofiarowywała duchowe schronienie osobom w żałobie. Marilyne nieźle sobie ze mnie zadzwiała. W rzeczywistości znała doskonale Sylvie, która przebywała w Bienfaisance w osiemdziesiątym ósmym roku.

Poszczególne elementy zaczynały się łączyć. Zabójca szykujący satanistyczną ofiarę wybrał Sylvie Simonis, ponieważ była żarliwą chrześcijanką. Przeniósł jej ciało na teren Notre-Dame-de-Bien-faisance, teren kościelny. Mogło to być formą profanacji. Ale gdzie związek z morderstwem dziewczynki? Czy morderca matki był jednocześnie zabójcą jej córki?

— Czy Sylvie Simonis została pochowana w Sartuis?

— Tak.

— A Manon?

— Nie. Jej matka wolała uniknąć niepotrzebnego rozgłosu.

— Gdzie jest grób?

— Po drugiej stronie granicy, w Locie. Czy ma pan ochotę coś jeszcze zjeść?

— Nie, dziękuję — odrzekłem. — Muszę już księdza opuścić. Jestem bardzo zmęczony.

Mariotte obierał mandarynkę, dzieląc ją na cząstki grubymi, czerwonymi palcami.

— Zna pan drogę.

## 33

— Dobrze się urządziłeś?

Foucault nie krył rozbawienia. Patrzyłem na moje nogi wystające z łóżka, na parawany dzielące pomieszczenia, na przypięte do ścian fotografie alpinistów.

— Doskonale — odpowiedziałem do słuchawki. — Co się dzisiaj wydarzyło?

— Przycisnęliśmy Roma. Sprawa Perreux. Zamordowana właścicielka sklepu jubilerskiego.

— Przyznał się?

— Prawie nam dziękował, że go przymknęliśmy. Faceta straszyl duch ofiary.

— A co w sprawie Larfaouiego?

— Nic. To teren wydziału narkotyków i...

— Zapomnij o Larfaouim. Mam dla ciebie coś nowego.  
Pokrótce przedstawiłem mu sytuację. Dochodzenie Luca w Jurze, zabójstwo Sylvie Simonis, podejrzenie, że chodzi o mordercę satanistę.

— Co mam zrobić?

— Poszukać informacji o innych morderstwach tego typu w regionie Jury, a także w całej Francji.

Opisałem główne cechy charakterystyczne takiego rytuału i dodałem:

— Dostałem raport z sekcji zwłok. Prześlę go jutro Svendsenowi. Rzuć na to okiem. Wzbogacisz swoją wiedzę kryminalną.

— Mam poszukać danych w SALVAC?

SALVAC to nowy system informatyczny analizujący morderstwa popełnione na francuskiej ziemi. Naśladowanie słynnego amerykańskiego VICAP. Niestety, na razie jeszcze w stanie embrionalnym.

— Tak. Ale przede wszystkim prześlij informację do wszystkich posterunków policji i zandarmerii we Francji, z pominięciem Franche-Comte. W tym regionie połącz się z SRPJ w Besancon. Nie chcę, żeby zandarmi dowiedzieli się, że weszliśmy na ich terenie.

— Dobra. To wszystko?

— Nie. Dowiedz się też czegoś o hodowcach owadów na tym obszarze.

— Na jakim obszarze?

Leżąc na przykrótkim łóżku, sięgnąłem po przewodnik.

— Cały obszar Franche-Comte: Haute-Saône, Jura, Doubs, okręg Belfort. Przy okazji skontaktuj się także ze Szwajcarami. Szukamy entomologa. Być może specjalistę od Afryki. Rozciągnij poszukiwania na nawiedzonych amatorów, niedzielnych pasjonatów...

Cisza. Foucault notował.

— Co jeszcze?

— Sporządź listę laboratoriów chemicznych w tym regionie. Rozejrzyj się również wśród botaników, specjalistów od grzybów, mchów, porostów. I tym razem chodzi zarówno o amatorów, jak i o profesjonalistów.

Miałem nadzieję, że wszystkie informacje wskażą jednego człowieka.

— Zbierz również dane — mówiłem dalej — o klasztorze, który stał się obecnie fundacją.

Podaliśmy nazwę Notre-Dame-de-Bienfaisance i dokładny adres.

— Nie ma nic dodatkowego o samym morderstwie? — zapytał Foucault. — Protokoły z przesłuchania? Wywiad w najbliższej okolicy?

— Żandarmi mają to wszystko, ale nie jestem u nich mile widziany.

— Czy na pewno Luc interesował się tą historią?

Ani jedna osoba nie rozpoznała go na zdjęciu. Ani razu nie natrafiłem na jego ślad. Mimo to odpowiedziałem:

— Tak. Ale nie mów o tym nikomu w biurze. Jutro się dzwoniemy.

Wystukałem numer Erica Svendsena. Zrelacjonowałem mu fakty w kilku zdaniach. Szwed wyraził pewne wątpliwości, czy Valleret mógł wykonać profesjonalną sekcję zwłok.

— Mam jego raport — odrzekłem. — I próbki do analizy. Wyślę ci to jutro. Pociągiem.

Przebiegłem wzrokiem rozkład TGV, który zdobyłem telefonicznie.

— Dam teczkę konduktorowi TGV 2014, który wyrusza z Besancon o siódmej pięćdziesiąt trzy i przyjeżdża do Paryża o dwunastej dziesięć. Pójdź na Dworzec Wschodni, na peron, i odbierz przesyłkę. Zależy mi na twojej opinii. Chciałbym wiedzieć, jakim sposobem zabójca doprowadził zwłoki do takiego stanu!

Żeby go bardziej zmobilizować, dodałem:

— Możesz się kogoś poradzić.

— Żartujesz?

— Poczekaj na raport. Będziesz potrzebował entomologa i botanika. Posyłam ci skarabeusza, drapieżnego owada rodem z Afryki, i próbkę świecącego porostu, którym zabójca wyścielił klatkę piersiową ofiary.

— Niezła sztuczka.

— Owszem. Ten drań jest prawdziwym mistrzem. Przeanalizuj wszystko od samego początku. Wyobraź sobie najmniejszy jego ruch. Każdy etap jego rytuału.

— Zgoda, ale...

— Bądź jutro na południe na dworcu.

Gdy odkładałem telefon, usłyszałem wycie wiatru wciskającego się przez framugę okienną. Wybrałem sobie jedno z łóżek w szeregu po prawej stronie i odsłoniłem kotarę sąsiedniego, aby położyć na nim moją torbę i jej niebezpieczną zawartość.

Pomimo zmęczenia postanowiłem się pomodlić. Ukłąłem przy łóżku. Jedno *Ojciec nasz*. Najprostsza, najbardziej zrozumiała

z modlitw wytyczająca moją drogę. Odmawiałem ją od zawsze na klęczkach, od pierwszych lat życia, gdy niecierpliwie połykałem jej słowa, spiesząc się do zabawy. Zatapiając się w słowa tej modlitwy w Saint-Michel-de-Seze, odkryłem głębię mej wiary. Była zarliwą litanią przyszłego księdza ożywianego przez dzwony Rzymu. Potem stała się wołaniem o pomoc w Afryce, pełnej smrodu trupów i szczęku maczet. I wreszcie modlitwą policjanta, odmawianą przypadkiem, w napotkanych kościołach, mającą mnie oczyścić z moich własnych zbrodni.

*Ojcie nasz, któryś jest w niebie,  
Święć się imię Twoje...*

W korytarzu rozległ się jakiś ostry dźwięk.

Poderwałem się na nogi, nadstawiłem ucha. Nic. Trzymałem już w rękę mój pistolet. Odruch był szybszy niż myśl. Nasłuchiwałem jeszcze przez chwilę. Pomyślałem, że to syrena alarmowa sygnalizująca pożar.

Kiedy układałem się na łóżku, dźwięk powtórzył się znowu, długi, skrzypiący, uporczywy. Skoczyłem do drzwi. W momencie gdy je otwierałem, ponownie zapadła cisza. Stałem w progu i rozejrzałem się po korytarzu. Nikogo w zasięgu wzroku. Na lewo drzwi przeciwpożarowe do prezbiterium. Na prawo oszklone drzwi zewnętrzne. Żadnego ruchu.

Moją uwagę zwrócił drewniany konfesjonał koło wyjścia zapasowego. Domyśliłem się, co usłyszałem. Dzwonek przy konfesjonale. Zasłona jeszcze się kołysała.

Ojciec Mariotte musiał solidnie chrapać. Wsunąłem za pasek mój pistolet i ruszyłem z wolna w tamtym kierunku. Zatrzymałem się w odległości pięciu kroków. Z wnętrza konfesjonału przenikała zielonkawa poświata. Zamierzałem chwycić znowu broń, ale rozmyśliłem się.

Odsunąłem gwałtownie zasłonę.

Konfesjonał był pusty.

Jednak w jego głębi, na czarnym drewnie, widniał napis.

Instynktownie rozpoznałem, z czego był zrobiony.

Świecący porost umieszczony w gnijącym cieple Sylvie Simonis.

Napis mówił:

CZekałem na Ciebie.



Splawik drgał na powierzchni wody. Podążyłem wzrokiem za żyłką i między liśćmi dostrzegłem koniec wędziska. Nylonowa żyłka błyszczała w porannym świetle, podkreślając urok scenerii. Była dopiero godzina dziesiąta.

Po znalezieniu złowieszczy napisu obszedłem dokładnie prezbiterium i jego przyległości. Nie zauważyłem nikogo. Obudziłem Mariotte'a, który znalazł na to jedyną odpowiedź: „Wandalizm. Zwykły wandalizm”. Bez trudu przekonałem go, aby nie wzywał żandarmów. Sam stwierdził, że nie był to pierwszy akt niechęci wobec jego parafii.

Zaproponowałem, że usunę to „graffiti”. Mariotte, nie każąc się długo prosić, poszedł się położyć, a ja spokojnie sfotografowałem wszystko i wziąłem świeże próbki porostu. Był to dobry sposób na to, żeby nie myśleć o człowieku, który umieścił ten napis w konfesjonale. Zebrałem zrobione zdjęcia i zeskanowałem zdobyte wcześniej dokumenty: raport sporządzony przez Vallereta, mapę regionu z zaznaczonymi miejscami, gdzie byłem, i osobami, z którymi rozmawiałem, notatki Plinkha...

O spaniu nie było już mowy. Włączyłem laptop i zapisałem wszystko, co wydarzyło się od mojego przybycia. Sporządziłem dwie kopie raportu z sekcji zwłok, jedną dla Foucaulta, drugą dla Svendsena, potem przygotowałem paczkę dla Szweda — pobrane przeze mnie próbki świecącego porostu, skarabeusz, porost znaleziony w ciele Sylvie. Przez moment zastanawiałem się, czy wysłać również krucyfiks, banalny liturgiczny przedmiot, marnej roboty. Postanowiłem go zatrzymać. Sprawdziłem, czy nie ma nim jakichś odcisków, ale oczywiście niczego nie znalazłem. Dorzuciłem jeszcze torebkę z zakrzepłą krwią, żeby

O szóstej rano byłem znowu w drodze do Besancon. W głowie wciąż kotłowały mi się pytania, na które nie znajdowałem odpowiedzi. O godzinie siódmej czekałem na zapyłonym dworcu w Besancon na konduktora „mojego” pociągu. Taki sposób transportu stosowali reporterzy w Rwandzie, którzy dawali swoje filmy pilotom lub stewardom

Potem w dworcowym barze wypłem kawę. Czuję się lepiej — świeże powietrze, chłód, światło. Ruszyłem znowu w kierunku gór, zamierzając przeprowadzić rozmowę z Jean-Claude'em Cho-

pardem, korespondentem „Courrier du Jura”. Chciałem jak najszybciej dowiedzieć się czegoś o zabójstwie Manon Simonis sprzed dwunastu laty.

— Pan Chopard?

Trawy poruszyły się. Ukazał się mężczyzna w stroju rybackim, stojący w wodzie po kolana. Miał na sobie gumowe oliwkowe buty i kombinezon na szelkach. Twarz przesłaniała mu baseballowa czapeczka koloru khaki. Jego sąsiedzi poinformowali mnie, że w sobotnie ranki Chopard łowi pstrągi. Schylając się pod gałęziami, podszedłem bliżej.

— Czy pan Chopard? — powtórzyłem cicho.

Wędkarz rzucił mi wściekle spojrzenie. Odłożył wędkę opartą o biodro i poruszył palcami. Najpierw palec wskazujący i kciuk w geście nożyc, potem zamkniętą dłoń przyłożył do ust. Nic nie rozumiałem.

— Czy pan Jean-Claude Chopard?

Wolną ręką zrobił gest oznaczający „wynoś się”. Podniósł wędkę, pokręcił szybko kołowrotkiem, po czym ruszył ku brzegowi, odgarniając gałęzie i liście. Kiedy wyciągnąłem rękę, chcąc mu pomóc, zignorował mnie i chwytając się trzciny, wdrapał się na suchą ziemię. Do pasa miał przymocowane dwa puste metalowe koszyki. Ociekając wodą, zapytał mr— Nie zna pan języka migowego?

— Nie.

— Nauczyłem się tego w ośrodku dla głuchoniemych. Robiłem reportaż niedaleko Belfort. — Odkaslnął, po czym westchnął: — Na hasło „wędkowanie” co pan odpowie?

— Ranek. Samotność.

— No właśnie. I cisza. — Odczepił koszyki. — Rozumie pan?

— Proszę mi wybaczyć.

Facet wymamrotał coś niewyraźnie i ściągnął kalosze. Jednym ruchem odpiął szelki i wydostał się z kombinezonu, niczym olbrzymi motyl z poczwarki. Pod spodem miał hawajską koszulę i drelichowe spodnie. Na nogach oślepiające nowością buty sportowe firmy Nike.

Zapaliłem papierosa. Spojrzał na mnie złym wzrokiem.

— Nie wiesz, że to szkodzi zdrowiu?

— Nigdy nie słyszałem.

Wetknął w usta papierosa z liści kukurydzy.

— Ja też nie.

Podałem mu ogień. Był to sześćdziesięciolatek, masywnie zbudowany, z szarymi włosami sterczącymi spod czapki niczym słoma. Jego trzydniowy zarost przywodził na myśl opiłki żelaza, zarośnięte miał nawet uszy. Kwadratowa twarz, okulary w grubej oprawie. Wystająca broda sprawiała niemiłe wrażenie.

— Czy jest pan na pewno Jean-Claude'em Chopardem?

Zdjął czapkę i wykonał nią ósemkę w powietrzu:

— Do usług. A ty kim jesteś?

— Mathieu Durey, dziennikarz.

Wybuchnął śmiechem. Wyciągnął z krzaków metalowe pudło i wrzucił do niego swoje buty, kombinezon i koszyki.

— Słuchaj, stary, jeśli chcesz mi wciskać ciemnotę, znajdź inną śpiewkę.

— Nie rozumiem.

— Trzydzieści lat przeróżnych doświadczeń, mówi ci to coś? Wyniucham glinę na dziesięć kilometrów. Jeśli masz więc jakieś pytania, wal szczerze, kapujesz?

Pomyślałem, że chyba straciłem zdolność kamuflażu.

— Dobra — powiedziałem. — Jestem z wydziału zabójstw. Brygada kryminalna w Paryżu.

— Przyjechałeś z powodu obu Simonis?

Przytaknąłem.

— Oficjalnie?

— Oficjalnie.

— Akurat!

Sięgnął do pudła i wydobyl stamtąd żółtawą butelkę.

— Chcesz skosztować mojego „wina deserowego“?

— Nie widzę deseru.

Znowu się roześmiał. W drugiej ręce trzymał dwa kieliszki, którymi podzwaniał jak kastanietami.

— No to wal — powiedział, napełniając kieliszki postawione na trawie.

Streściłem sytuację: śledztwo Luca, jego samobójstwo, wskazówki, które doprowadziły mnie tutaj. Przedstawiłem moją hipotezę, że dochodzenia w sprawie zabójstw Simonis i desperacki czyn Luca były ze sobą powiązane. Na koniec pokazałem jego zdjęcie, żeby usłyszeć jak zwykle „nigdy nie widziałem“. W nagrzanym słońcem powietrzu brzęczały owady. Zapowiadał się przepiękny dzień.

— W sprawie śmierci Sylvie — odezwał się, łyknąwszy wina — niewiele mogę ci powiedzieć. Nie zajmowałem się tą sprawą.

— Dlaczego?

— Wcześniejsza emerytura. W „Courier” uznano, że już swoje odpracowałem. Sprawa Sylvie pojawiła się w samą porę. Okazja, żeby odstawić Choparda do lamusa.

— Dlaczego właśnie ta sprawa?

— Pamiętali mój zapal przy pierwszym morderstwie. Ich zdaniem za bardzo się w to mieszałem. Woleli postać kogoś młodego. Żółtodzioba. Faceta, który nie sprawi kłopotów.

— Chcieli ograniczyć szum wokół tej sprawy?

— Otóż to. Nie wolno brukać wizerunku regionu. To polityka. Wołałem się pożegnać.

Podniosłem kieliszek do ust — żółte wino z Jury. Doskonałe, ale nie miałem nastroju do degustacji.

— Na pewno prowadził pan własne śledztwo, prawda?

— Nie było to łatwe. Nie wyciągnąłem żadnej informacji od żandarmów.

— Nawet panu się to nie udało?

— Zwłaszcza mnie. Moi starzy kumple są już na emeryturze. Z Besancon przysłano całkiem nową ekipę. Wredne typy.

— Jak Stephane Sarrazin?

— To największy drań.

— A co z rodziną Sylvie? Pytał pan ich?

— Sylvie nie miała rodziny. Była od wielu lat wdową. Już wtedy, gdy zamordowano Manon.

— Kiedy umarł jej mąż?

Chopard nie odpowiedział od razu. Odstawił pusty kieliszek. Ułożył starannie swoje spławiki, haczyki, żyłki w małych przegródkach wędkarskiego pudełka. Wreszcie spojrzął na mnie spod daszka czapki:

— Chcesz poznać całą historię?

— To cel mojej podróży.

Dziennikarz włożył jeszcze inne haczyki do kolejnej przegródki.

— Frederic Simonis zabił się w samochodzie w osiemdziesiątym siódmym roku.

— Wypadek?

— Wypadek. Za dużo wypił.

Portret rodziny: mąż alkoholik, zginął na szosie. Córeczka utopiona w studni, a jej matka, z zawodu zegarmistrz, zamordowana w najgorszy z możliwych sposobów. Nic tu nie pasowało do siebie, oprócz wszechobecnej śmierci. Chopard pewnie wyczuł mój nastrój.

— Frederic i Sylvie poznali się w Bienne, w kantonie Berna. Uczyli się w najslawniejszej szwajcarskiej szkole zegarmistrzowskiej. Pochodzili z całkowicie różnych środowisk. On — pupilek tatusia, z bogatej rodziny przedsiębiorców z branży włókienniczej w Besancon. Ona — córka wdowca, mistrza zegarmistrzowskiego z Nancy, zmarłego, gdy miała trzynaście lat. On — nicpoń, popychany przez rodziców. Ona — stypendystka, geniusz w swoim fachu. Nazywano ją „złota rączka”. Żaden mechanizm nie miał przed nią tajemnic.

— Małżeństwo było udane?

Chopard zamknął z trzaskiem wieko metalowego pudła.

— Początkowo tak. Pobrali się w latach osiemdziesiątych. Urodziła się Manon, potem pojawiły się niesnaski. Frederic rozpił się. Sylvie pięła się coraz wyżej w swoim zawodzie. Pracowała dla największych producentów zegarków: Rolex, Cartier, Jaeger-Le-Coultre. Montowała bezcenne zegarki dla arabskich szejków, dla rodzin bankierskich... Zgadziali się jeszcze w sprawie wychowania córki, którą oboje uwielbiali. Kością niezgody byli teściowie. Nie znosili Sylvie. Po śmierci Frederica chcieli nawet odebrać jej Manon. Procesowali się. Jednak mimo że mieli forę, niczego nie uzyskali. Matce nie można było nic zarzucić.

— Dlaczego Sylvie po śmierci Manon nie opuściła tego regionu? Śledztwo, plotki, oskarżenia, wspomnienia. Dlaczego nie uciekła przed tym wszystkim? Przecież nic nie zatrzymywało jej już w Sartuis.

Chopard napełnił ponownie swój kieliszek.

— Tego wszyscy się spodziewali. Ale nikt nie mógł wywierać na nią nacisku. Mało tego. Sylvie kupiła porzucony budynek, znany jako „Dom pod Zegarami”. Siedzibę wielu pokoleń sławnych zegarmistrzów. Dla Sylvie było to prawdziwe zwycięstwo. Zaczęła pracować na własny rachunek, zamknęła się w tym domostwie i grzebała w swoich mechanizmach. Jej renoma nadal rosła. Pomimo całego dramatu. Pomimo otaczającej ją wrogości.

— Wrogości?

— Sylvie nigdy nie była lubiana w Sartuis. Twarda, ambitna, wyniosła. A przede wszystkim — obca. Pochodziła z Lotaryngii. Kiedy region zaczął podupadać, znalazła pracę po drugiej stronie granicy. W oczach innych była to zdrada. Nie mówiąc już o tym, że po śmierci córki połowa miasta uważała ją za winną. Mimo iż miała alibi.

— Jakie alibi?

— W chwili zabójstwa przebywała w szpitalu w Sartuis, gdzie przeszła operację cysty jajników.

Chopard wstał, chwycił wędki i pudło. Zaproponowałem pomoc. Wcisnął mi w ręce dwa kosze. Poszedłem za nim ścieżką.

— Czy pańskim zdaniem oba morderstwa są ze sobą powiązane?

— Chodzi o tę samą sprawę. I zabił ten sam morderca.

— Ale z tego, co wiem, metody są raczej różne...

— Te dwa morderstwa dzieli czternaście lat. Przez ten czas można się wyszkolić, no nie?

Przyspieszyłem kroku, by mu dorównać.

— Ale jaki byłby motyw? Jaki powód znęcania nad rodziną Simonisów?

— W tym właśnie jest klucz do tej zagadki. W każdym razie nie da się zrozumieć morderstwa Sylvie bez wykrycia powodu zabójstwa Manon.

— Czy może mi pan w tym pomóc?

— Oczywiście! Przez cały rok pisałem co tydzień o tej sprawie. Wszystko zachowałem.

— Czy mógłbym to przeczytać?

— W drogę, chłopcze!

## 35

„Courrier du Jura”, 13 listopada 1988 roku. ŚMIERĆ

### UDERZA W SARTUIS

Sartuis, znane miasto zegarów w górnym Doubs, przeżyło straszny dramat. Wczoraj, 12 listopada 1988 roku, około godziny 19, w nieużywanej studni w pobliżu stacji oczyszczania ścieków znaleziono zwłoki ośmioletniej Manon Simonis. Zdaniem prokuratora z Besancon nie ulega wątpliwości, że mamy do czynienia ze zbrodnią.

O godzinie 16.30, jak w każdy dzień, Martine Scotto czekała na Manon przed wejściem do szkoły. Dziewczynka wraz ze swą nianią udała się pieszo do dzielnicy Corolles, na obrzeżach Sartuis, gdzie mieszka pani Scotto. O godzinie

17.00 Manon zjadła podwieczorek i wyszła na plac zabaw znajdujący się pod oknami mieszkania. Kilka minut potem Martine Scotto chciała sprawdzić, czy dziewczynka bawi się z koleżankami, ale nie było jej na placu. Nikt nie wiedział, gdzie się podziała.

Niania rozpoczęła natychmiast poszukiwania na klatkach schodowych, w piwnicach, na parkingu usytuowanym sto metrów wyżej na stoku pagórka. Bez skutku. O godzinie 17.30 Martine Scotto powiadomiła policję.

Poszukiwania podjęto, kiedy już zapadał zmrok. Żandarmi najpierw przeszukali rejon w promieniu pięciuset metrów. Godzinę później na pomoc przybyły dwie ekipy z Morteau. Poszukiwania prowadzono w promieniu kilometra. Do funkcjonariuszy mundurowych dołączyli cywile.

O godzinie 19.20 w ulewnym deszczu znaleziono ciało Manon na dnie jednej ze studni stacji oczyszczania ścieków, w pobliżu drogi krzyżowej w Rożę. Miejsce to znajduje się zaledwie siedemset metrów od Corolles. Głębokość studni wynosi pięć metrów i dziewczynka nie miała żadnych szans przeżycia w lodowatej wodzie. Kiedy ratownicy wydobyli Manon, miała zamknięte powieki, a jej serce nie biło. Temperatura ciała spadła poniżej dwudziestu pięciu stopni. To był koniec.

Prokurator odmawia jakichkolwiek komentarzy. Wiemy, że Martine Scotto została jeszcze tego wieczoru przepytana na posterunku policji w Sartuis. Rankiem grupa śledczych udała się, by zbadać miejsce zbrodni.

Cały region jest w szoku. Wszyscy myślą o innym, równie okropnym morderstwie popełnionym niedaleko od Jury cztery lata temu. Ofiarą był wówczas Gregory Villemin. Ta zbrodnia nie została nigdy wyjaśniona. Jak pogodzić się z faktem, że coś tak okropnego mogło się powtórzyć w naszych górach? Pomimo milczenia prokuratora wydaje się, iż żandarmi wpadli na jakiś trop. Władze miejskie obiecały, że wydadzą nowy komunikat w najbliższym czasie. Liczymy na szybkie postępy śledztwa. Oby czyn, którego skutki są tak tragiczne, został przykładowo ukarany!

Podniosłem oczy znad ekranu. Chopard ponumerował swoje artykuły. Około setki ich dotyczyło okresu między listopadem

osiemdziesiątego ósmego roku a grudniem osiemdziesiątego dziewiątego. Zdążyłem już przejrzeć je pobieżnie, a teraz skoncentrowałem się na istotnych zwrotach śledztwa.

Zapaliłem camela. Dziennikarz pozwolił mi palić w swojej norze na pierwszym piętrze. Ściany wykładane sosnowym drzewem, biblioteka uginająca się pod kartonowymi pudłami, stopy książek, pliki gazet. Był tu jeszcze stół zasłany diapozytami. Spelunka dziennikarza od różnych spraw, zawsze spóźnionego o jedną książkę, o jedną teczkę z aktami.

Wstałem i otworzyłem okno, by nie zasmrodzić pomieszczenia. Skromny, prosty dom Choparda miał ściany z betonu urozmaicone szklanymi płytami. Z tarasu osłoniętego impregnowanym płótnem był na lewo widok na drogę, a na prawo na zaniedbany ogród — na trawie wałak się plastikowy basen bez powietrza, pęknięte opony, składane krzesła.

Zostawiłem okno otwarte i ponownie zagłębiłem się w lekturę.

„Courrier du Jura”, 14 listopada 1988 roku.

SPRAWA SIMONIS:  
ZACZYNA SIĘ ŚLEDZTWO

W wyniku okrutnego morderstwa Manon Simonis Sartuis zmieniło się w ciągu kilku godzin w istną twierdzę. Wczoraj 13 listopada przybyły nowe oddziały żandarmów z Besancon i Pontarlier. Po południu prokurator oznajmił, że został wyznaczony sędzia śledczy, Gilbert de Witt, a człowiekiem odpowiedzialnym za całe dochodzenie jest komendant Jean-Pierre Lambertson z grupy śledczej z Morteau, „Ludzie doświadczeni, którzy już dali tego dowody w naszym departamencie” — jak się wyraził.

Tymczasem komunikat magistratu był bardzo krótki. Żadnych nowych informacji o dochodzeniu. Żadnego raportu z sekcji zwłok. Nic o świadkach. Prokurator nie podjął także hipotez żandarmów. Godna pochwały dyskrecja, ale mieszkańcy Sartuis mają prawo wiedzieć, co się dzieje.

W „Courrier du Jura” prowadzimy nasze własne dochodzenie. Dowiedzieliśmy się, że Sylvie Simonis po przejściu pomyślnie zakończonej operacji opuściła szpital wczoraj rano. Nikt nie wie, gdzie się udała. Zeznania Martine Scotto



nic nie dały. Całe wydarzenie osnute jest tajemnicą. Dlaczego nikt nie widział Manon na placu zabaw. Czy skorzystała z jakiegoś innego wyjścia? Po co i z kim poszła na teren stacji oczyszczania? Manon była dzieckiem płochliwym, które nigdy nie poszłoby z obcym człowiekiem. Oto dlaczego żandarmi koncentrują swoją uwagę na najbliższym otoczeniu dziewczynki.

Pozostają jeszcze inne zagadki. Dlaczego nie znaleziono śladów stóp ani kół samochodu na terenie stacji oczyszczania? Jaka była przyczyna śmierci Manon? Zdaniem ratowników bardziej prawdopodobny jest zgon wskutek uderzenia o wodę niż przez utonięcie. Ale dlaczego władze nie udzielają dokładniejszych informacji? Co jest powodem milczenia na temat sekcji zwłok? Policja i magistrat powinny przerwać tę niezrozumiałą ciszę!

W kolejnych artykułach Chopard był wyrazicielem opinii zniercierpliwionych mieszkańców. Śledczy zachowywali milczenie. Do tego stopnia, że Chopard miał trudności z napisaniem tygodniowego biuletynu. Jego zdaniem policja po prostu nie miała nic do powiedzenia. To zabójstwo było prawdziwą zagadką, bez logicznego uzasadnienia, bez

A jednak dziesięć dni po tych wydarzeniach, dwudziestego drugiego listopada, Chopard napisał:

#### ANONIMOWE TELEFONY W SPRAWIE SIMONIS!

Pomimo dyskrecji ekipy dochodzeniowej udało się nam odkryć fakt o zasadniczym znaczeniu w sprawie Simonis. Przed zabójstwem jakiś tajemniczy osobnik groził rodzinie!

Jeden fakt był zadziwiający od pierwszego momentu. Dlaczego policja zaraz na początku poszukiwań wpadła na pomysł zajrzenia do studni, która, jak wykazało dochodzenie, była zamknięta metalową pokrywą? Odpowiedź jest prosta: zostali uprzedzeni. O godzinie 18.00 tego samego dnia Sylvie Simonis odebrała w szpitalu telefon taki sam jak jej teściowie w Besancon. Telefonujący sugerował, że ciało Manon może znajdować się w studni. Sylvie i jej teściowie nadal odbierają telefony od tej tajemniczej osoby.

Według zdobytych przez nas informacji głos w słuchawce był zniekształcony za pomocą specjalnego urządzenia. Żandarmi przepytali pracowników w trzech zakładach produkujących tego typu zabawki. Z jakiegoś nieznanego nam powodu policja sądzi, że tajemniczy osobnik nie kupił tego filtru w sklepie, lecz zdobył go bezpośrednio od producenta.

Tak więc wykluczona została hipoteza o jakimś włóczędze czy przypadkowym zabójcy. To był akt zemsty, zaplanowany, wymierzony w rodzinę Simonisów. Teraz żandarmi jeszcze bardziej koncentrują się na otoczeniu Sylvie i jej córki. Czy ktoś z jej bliskich pracował w zakładzie produkującym takie urządzenia? Czy śledczy przeprowadzą test zniekształconych głosów, aby rozpoznać mordercę? Ten ślad wydaje się dziś najbardziej obiecujący.

Zapaliłem kolejnego papierosa. Niewiarygodne było podobieństwo ze sprawą Gregory'ego Villemina. Wyglądało na to, że zabójca z Sartuis był zainspirowany sprawą z Lepanges.

Przejrzałem kroniki wydarzeń. Żandarmi nagrali głosy bliskich rodziny Simonis. Poddali testowi Sylvie i jej teściów. Żaden z głosów nie przypominał głosu tajemniczego osobnika.

Na początku grudnia sprawa nagle nabrała przyspieszenia.

„Courrier du Jura”, 3 grudnia 1988 roku.

SPRAWA SIMONIS  
ARESztOWANO PODEJRZANEGO!

Przedwczoraj w sprawie Simonis nastąpił nagły zwrot. Dowiedzieliśmy się o tym dopiero tej nocy, bo wydarzenia miały miejsce w Szwajcarii. 1 grudnia o godzinie 19.00 policja szwajcarska aresztowała Richarda Moraza, czterdziestodwuletniego zegarmistrza pracującego u Moschela w

Według naszych informacji zegarmistrz był podejrzewany już od dwóch tygodni. Jego zatrzymanie na terenie Szwajcarii stwarza pewne trudności z punktu widzenia prawa. Nasze dwa rządy porozumiały się w sprawie oskarżenia tego człowieka i Gilbert de Witt, sędzia śledczy, w obecności

żandarmów z Sartuis rozpoczął przesłuchanie po drugiej stronie granicy.

Kim jest Richard Moraz? To kolega Sylvie Simonis, który nie chciał się pogodzić z tym, że Sylvie we wrześniu zaczęła pracować na własny rachunek. Właśnie wówczas zaczęły się anonimowe telefony...

Motyw — zazdrość zawodowa — wydaje się niewystarczający dla wyjaśnienia morderstwa. Jest jednak jeszcze jedna wskazówka: Delphine Moraz, żona Richarda pracuje w przedsiębiorstwie Lammerie produkującym transformatory głośów.

„Courier du Jura” odkrył również inne fakty. Richard Moraz był osobnikiem znanym szwajcarskiej policji. W 1983 roku, kiedy uczył w szkole zegarmistrzowskiej w Lozannie, został oskarżony o uprowadzenie osoby nieletniej. Moraz nie ma alibi na godzinę zabójstwa. 12 listopada o tej porze jechał swoim samochodem do domu.

Wszystko to nie czyni go jeszcze winnym. Poza tym Moraz nie zdołałby przekonać Manon do pójścia na teren stacji oczyszczania. Jego wygląd fizyczny — jest olbrzymem o wadze ponad stu kilogramów, nie budzi zaufania. Niektórzy mówią po cichu, że Moraz mógł działać wspólnie z żoną. Czy to on jest tym

Jeśli nie przyzna się do winy, trzeba będzie go zwolnić. W każdym razie sędzia Golbert de Witt i komendant policji Lambertton dobrze by zrobili, gdyby zrezygnowali ze strategii milczenia. Podając więcej wyjaśnień, uspokoiłoby nastroje mieszkańców i przerwali atmosferę podejrzeń. W Sartuis temperatura rośnie z dnia na dzień!

Niedługo potem Moraz został zwolniony. Teczka z dowodami oskarżenia była tak lekka, że byle podmuch wiatru mógł ją wywiać za drzwi. Miasto zegarmistrzów ponownie pogrążyło się w domysłach, plotkach, przeróżnych opiniach. Chopard błąkał się w tej ponurej

Wraz ze zbliżającymi się świętami Bożego Narodzenia nastąpiło uspokojenie. Lokalne gazety coraz rzadziej pisały na ten temat. Chopard zrezygnował ze swojej kroniki. Sprawa Simonis stopniowo przestawała intrygować ludzi.

Jednakże na początku następnego roku miało miejsce nowe

spektakularne wydarzenie. Jeszcze raz przeczytałem artykuł z czternastego stycznia osiemdziesiątego dziewiątego roku.

SPRAWA SIMONIS  
ZABÓJCA PRZYZNAJE SIĘ!

Dowiedzieliśmy się o tym wczoraj wieczorem. Sartuis jest w szoku. Przedwczoraj po południu, 12 stycznia 1989 roku, osadzono w areszcie nowego podejrzanego. Przyznał się on do zabójstwa Manon Simonis.

Patrick Cazeviel, lat 31, rodem z regionu Metz, jest znany policji. Odbył już dwie kary więzienia, pierwszą trzyletnią, drugą dwuletnią, za włamanie i czynną zniewagę. Jak żandarmi z Sartuis wpadli na trop tego człowieka, aspołecznego brutala z fatalną reputacją? Bardzo proste: Cazeviel to przyjaciel z dzieciństwa Sylvie Simonis. Sierota, wychowany w państwowym ośrodku w Nancy. Właśnie tam poznał Sylvie Simonis, młodszą od niego o trzy lata. Mimo różnic w charakterze i ambicjach stali się nierozłączną parą. Nie ulega wątpliwości, że Cazeviel nie zapomniał o młodzieńczej miłości. Kiedy Sylvie otrzymała stypendium i zaczęła studia, Cazeviel został aresztowany po raz pierwszy. Ich drogi się rozeszły. Sylvie poślubiła Frederica Simonisa, a potem urodziła

Tak więc to odrażające morderstwo ma być może źródło w miłosnej historii. Co się wydarzyło ubiegłej jesieni? Czy Sylvie Simonis i Patrick Cazeviel ponownie się spotkali? Może Cazeviel został odprawiony z kwitkiem? Mógłby chcieć zemścić się, usuwając owoc małżeństwa Sylvie. Czy to on nękał rodzinę anonimowymi telefonami?

Jak na razie sędzia śledczy i policja nie wydali żadnego oświadczenia, ograniczając się jedynie do informacji o aresztowaniu Cazeviela, który wkrótce zostanie przeniesiony do aresztu w Besancon. W Sartuis wszyscy modlą się, żeby był to już koniec tego koszmaru!

Cazeviel został zwolniony dwa miesiące później. Nie było przeciw niemu żadnego bezpośredniego dowodu. Od pierwszej informacji o jego zatrzymaniu coś w tej sprawie brzmiało fałszywie. Chopard podał opis podejrzanego: człowiek niebezpieczny, samot-

nik, z marginesu, ale z pewnością nie zabójca Manon. Porzucony został przez rodziców zaraz po urodzeniu. Nazwisko Cazeviel otrzymał od nazwy miasteczka, gdzie go znaleziono. Został umieszczony w rodzinie zastępczej, tam go ochrzczono i nadano imię Patrick. Przebywał w różnych ośrodkach społecznych i rodzinnych domach dziecka. Zawsze towarzyszyła mu ta sama opinia: zmienne usposobienie, niezdyscyplinowany, gwałtowny. Ale także: żywy, błyskotliwy, chętny do pracy... Dzięki temu mógł dostać się do ośrodka w Nancy, znanego z dobrego poziomu nauczania, tam spotkał Sylvie.

W następnych latach przeważała w nim zła strona charakteru. Włamanie, przemoc, aresztowania... Jednak mimo pobytów w więzieniach, koczowniczego trybu życia, kiedy chwycił się różnych zajęć (był drwalem, dekarzem, sprzedawcą jarmarcznym) cały czas nie tracił z oka Sylvie. Te dwie sieroty łączył pakt solidarności zagubionych dzieci.

Czy po śmierci Frederica Simonisa w osiemdziesiątym szóstym roku Cazeviel chciał spróbować swojej szansy? Czy Sylvie go odrzuciła? Tego rodzaju odmowa mogłaby stać się motywem zbrodni. Jednak ja w to nie wierzyłem. Sądziłem nawet, że Cazeviel postanowił zapewnić Sylvie ochronę, nie oddalając się nigdy od Sartuis. Po śmierci Manon musiał mieć wyrzuty sumienia, że nie potrafił jej ustrzec. Ale w takim razie dlaczego przyznał się do morderstwa?

W następnych tygodniach żandarmi natykali się na mur. Rewizja w jego domu nic nie dała. Podobnie jak porównanie ze zniekształconym głosem. Fiaszkem zakończyła się rekonstrukcja zbrodni dokonana w lutym. W marcu Cazeviel za radą swojego adwokata odwołał zeznania. Oświadczył, że jego przyznanie się do winy było fałszywe, że zrobił to pod naciskiem żandarmów.

W odpowiedzi na to sędzia śledczy powierzył dochodzenie w sprawie żandarmów z SRPJ z Besancon. W maju osiemdziesiątego dziewiątego roku komisarz Philippe Setton zwołał konferencję prasową, przełamując dotychczasowe milczenie. Oświadczył, że śledztwo skłania się obecnie ku temu, iż był to wypadek... Sala zawrzała oburzeniem. Wypadek z oderwaną pokrywą? Z tajemniczym osobnikiem, który wyjawiał, że ciało Manon znajduje się w studni? Setton upierał się przy swoim zdaniu. Powiedział, że na podstawie pewnych wskazówek można sądzić, iż dzieci zorganizowały tam jakąś zabawę, która tak nieszczęśliwie się skończyła.

Ta hipoteza tłumaczyła dwie zagadki: dlaczego Manon oddaliła się od domu bez żadnych oporów i dlaczego nie znaleziono śladów na zlodowaciałej ziemi (wynikało to jakoby z niewielkiego ciężaru uczestników dziecięcej zabawy). Pojawili się więc nowi podejrzani, o których nikt wcześniej nie pomyślał.

Policjanci zajęli się Thomasem Longhinim, trzynastolatkiem, który był „najlepszym przyjacielem” młodszego od niego Manon. Co wieczór spotykali się pod domem w Corolles. A jak było tamtego dnia?

Thomas, przesłuchany po raz pierwszy dwudziestego maja osiemdziesiątego dziewiątego roku w merostwie w Sartuis, został zwolniony. Wezwano go po raz drugi na początku czerwca na posterunek SRPJ w Besancon, zanim został przesłuchany przez sędziego Witta i urzędnika do spraw dla nieletnich. Umieszczono go w areszcie, traktując tak, jak to jest przewidziane w wypadku przestępstwa wobec nieletniego.

Ogłoszono oficjalną wersję. Thomas Longhini jest podejrzany o nieumyślne zabójstwo. Bawił się z Manon na terenie stacji oczyszczania, nie zważając na niebezpieczeństwo. Manon wpadła do studni przypadkiem. Philippe Setton wyjaśnił wszystko dziennikarzom. Na koniec musiał przyznać, że chłopiec nie przyznał się do winy. „Jeszcze nie” — powtórzył, wytrzymując spojrzenia dziennikarzy.

Po dwóch dniach Thomas Longhini wyszedł na wolność, a policji zarzucono stosowanie niewłaściwych metod i zbyt ni pośpiech. Sami żandarmi wzięli stronę chłopca. Podkreślali absurdalność rozumowania policji, przypominając o telefonicznych groźbach. Jeśli Manon zginęła wskutek wypadku, to kto od kilku miesięcy groził Sylvie Simonis?

Longhini był ostatnim tropem w aktach tej sprawy. We wrześniu osiemdziesiątego dziewiątego roku Jean-Claude Chopard zaniechał pisania na ten temat. Sprawa Manon Simonis została umorzona.

Potarłem obolałe powieki. Wyglądało na to, że nie dowiedziałem się zbyt wiele. Brakowało mi wciąż podstawowego elementu. Nie było żadnego podobieństwa między wydarzeniami opisanymi w tej kronice wypadków a morderstwem Sylvie Simonis popełnionym czternaście lat

Jednakże miałem niejasne uczucie, że coś mi umknęło w czasie tej lektury. Jakaś ukryta informacja, której nie umiałem odczytać. Sędziowie śledczy i policja kryminalna musieli mieć to samo niemiłe wrażenie. Prawda była tu, pod naszymi nosami. W tle tej

sprawy istniała jakaś niewidoczna logika, ale nikomu nie udało się do niej dotrzeć.

Na schodach rozległ się głos dochodzący z parteru:

— Nie zaśnij nad moimi tekstami! Zapraszam na aperitif.

## 36

Chopard czekał na mnie na tarasie przy dymiącym grillu, na którym skwierczały piękne różowe pstrągi. Pomyślałem o pustych koszykach. Dziennikarz wybuchnął śmiechem, jakby odgadł mój wyraz twarzy.

— Kupiłem je w restauracji obok. Robię tak za każdym razem.

Wskazał na ogrodowy stół, wokół którego stały krzesła.

Wszystko było już przygotowane: papierowy obrus, kartonowe talerze, plastikowe kubki i sztucce. Na ten widok doznałem ulgi — nie groziło mi zgrzytanie metalu.

— Obsłuż się. Zaopatrzenie jest tam, w cieniu, pod stołem.

Znalazłem butelkę ricard i chablis. Wybrałem białe wino i zapaliłem camela.

— Siadaj. Za minutę będą upieczone.

Usiadłem. Słońce otulało każdy przedmiot cienką warstewką ciepła. Przymknąłem oczy, próbując odzyskać równowagę. W głowie przepływały mi tysiące myśli, słów.

— No i co o tym sądzisz?

Chopard położył mi na talerzu chrupiącego pstrąga z frytkami.

— Teksty są świetne.

— Nie wygłupiaj się. Jakie odniosłeś wrażenie?

— Czasami pisze pan zbyt rozwlekle.

— Musiałem zadowolić się tym, co miałem — machnął sztuccami do obsługi z grilla. — Żandarmi absolutnie nie chcieli nic zdradzić. Prawdę mówiąc, nic nie mieli do powiedzenia. Zwyczajnie nic. Przez cały czas nic nie mieli... — Położył pstrąga na talerzu i zajął miejsce naprzeciw mnie. — Ale co myślisz o dochodzeniu? Interesuje mnie twoja opinia jako policjanta.

— Widzę, że coś wszystkim umknęło, ale nie wiem co.

Chopard klasnął w rękę.

— Otóż to! Dokładnie! — Pochylił się do mnie, napelniwszy przedtem swój kubek. — Mgiełka winy, która unosi się nad tą całą historią.

- Czy winny jest któryś z trzech podejrzanych?
- Moim zdaniem wszyscy trzej.
- Jak to?
- Podpowiada mi to intuicja. Dowiedziałem się sporo o każdym z tych cwaniaków. Przesłuchałem nawet dwóch na mój własny sposób. Zapewniam cię, że nie byli czyści.
- Chce pan powiedzieć, że popełnili morderstwo... wspólnie?
- Przełknął kęs białego, upieczonego pstrąga.
- Tego nie powiedziałem. Tak naprawdę, nie jestem pewny, który z nich to zrobił.
- Nie nadążam za panem.
- Jedz, bo ostygnie. — Napełnił swój kubek i wypił jednym tchem.
- Każdy z nich jest w jakimś stopniu odpowiedzialny za to, co się stało. Jakby ponosił trzydzieści procent winy. Daje to zabójstwo doskonałe. Skosztowałem rybę — wyśmienita.
- Nie rozumiem.
- Nie zdarzyło ci się nigdy w śledztwie, że wina widoczna jest w każdym aspekcie, ale nie składa się to do kupy? I nawet, kiedy odnajdujesz prawdziwego mordercę, cień winy nie opuszcza pozostałych...
- Zawsze tak jest. Ale moja praca polega na trzymaniu się faktów. Mam aresztować tego, kto zadał śmiertelny cios. Wróćmy do śmierci Manon. Gdyby miał pan wskazać winnego, to kogo by pan wybrał?
- Chopard napełnił ponownie kubki. Zdążył już opróżnić swój talerz.
- Thomasa Longhiniego — odpowiedział.
- Dlaczego?
- Manon poszłaby tylko z nim. Bała się dorosłych. Doskonale sobie wyobrażam, jak wymknęli się ukradkiem, trzymając się za ręce. Wydostali się tylnym wyjściem przez piwnicę.
- Podziela pan więc teorię SRPJ?
- Zabawy, która źle się skończyła? Nie wiem... Ale jest jasne, że na Thomasa spada jakaś część odpowiedzialności.
- Jeśli to zabójstwo, to jaki motyw miałby ten chłopak?
- Kto wie, co się dzieje w głowie takiego dzieciaka?
- Rozmawiał pan z nim?
- Nie. Kiedy wypuszczono go z aresztu, wraz z rodzicami opuścił Sartuis. Chłopak nie był w najlepszym stanie.
- Policjanci potraktowali go ostro?
- Komisarz Setton nie jest zbyt delikatny.



— Czy wie pan, gdzie teraz przebywa Thomas?

— Nie. Myślę nawet, że rodzina zmieniła nazwisko.  
Znowu napiłem się wina. Poczułem wyraźnie mdłości.

— Czy wie pan, gdzie mogę znaleźć tamtych dwóch, Moraza i Cazeviela?

— Moraz jest nadal w Locie. Cazeviel też. Pracuje w ośrodku rekreacyjnym koło Morteau.

Wyciągnąłem notes i zapisałem namiary.

— A pozostali? Sędziowie śledczy z tamtego okresu? Czy mogę ich jakoś odnaleźć?

— Setton został prefektem policji gdzieś we Francji. De Witt umarł. Sięgnąłem po paczkę cameli, żeby zabić smak wina.

— A Lambertson?

— Umiera na raka gardła. W Jean-Minjoz, szpitalu w Besancon. Chopard znowu napełnił mój kubek, po czym wyciągnął zapalniczkę, żeby zapalić mi papierosa. Kręciło mi się w głowie.

— Teściowie?

— Osiedlili się w Szwajcarii romańskiej. Nie ma sensu kontaktować się z nimi. Połamałem sobie na tym zęby. Nie chcą już nic słyszeć o tej historii.

— Ostatnie pytanie co do Manon: czy na miejscu przestępstwa nie było żadnych symboli satanistycznych?

— Krzyże czy coś w tym rodzaju?

— Były.

Opróżniłem kubek, przechylając głowę do tyłu. Złapałem się stołu. Czuję, że mogę za moment zwymiotować.

— Nikt mi o tym nie wspominał. — Chopard nachylił się ku mnie zaintrygowany. — Masz jakiś trop?

— Nie. A pan ma jakiś pogląd na temat morderstwa Sylvie?

Znowu napełnił kubki.

— Już ci mówiłem. To ten sam zabójca.

— Ale jaki miałby motyw?

— Zemsta dokonywana na przestrzeni czternastu lat.

— Zemsta za co?

— To klucz do tej zagadki. Tego właśnie trzeba szukać.

— Po co czekać tyle lat, żeby ponownie uderzyć?

— Do ciebie należy znalezienie odpowiedzi. Po to tu przyjechałeś, no nie?

Przez moment myślałem, że runę na podłogę. Wszystko wokół

mnie straciło ostre kontury, kręciło mi się w głowie. Połknąłem kawałek pstrąga.

— Longhini mógłby być także zabójcą Sylvie?

— Zastanów się. Dlaczego te morderstwa tak się różnią? Bo zabójca zmienił się. W osiemdziesiątym ósmym roku Thomas Longhini miał czternaście lat. Dziś ma dwadzieścia osiem. Dla mordercy to najlepszy wiek. Okres, w którym rozwijają się skłonności przestępcze. Za pierwszym razem mógł to być wypadek wynikający z sadyzmu samej zabawy. Za drugim razem jest już to morderstwo popełnione z zimną krwią przez dojrzałego mężczyznę.

— Gdzie on jest teraz?

— Już ci mówiłem, że nie wiem. I niełatwo będzie go odnaleźć. Zmienił nazwisko, wyjechał stąd.

Słońce znikło. Spotkanie dobiegło końca. Wstałem, chwiejąc się na nogach.

— Czy mógłby pan wydrukować dla mnie swoje artykuły?

— Już to zrobiłem, chłopie. Mam przygotowany cały plik.

Zerwał się z krzesła i zniknął w domu. Wpatrywałem się w odbicie szarego nieba w szklanych pasach nad tarasem — gładka powierzchnia kołysała się niczym fale.

— Proszę!

Chopard podał mi plik spięty czarnym spinaczem. W środek wsunął papierową kopertę. Przechyliłem się przez balustradę. Wnętrzaności podeszły mi do gardła.

— Dołączyłem jeszcze trochę fotografii. Z mojego osobistego archiwum.

Podziękowałem mu. Zebrałem papiery. Podniosłem wzrok, słysząc odgłos bulgotania.

— Nie pojedziesz chyba bez wypicia strzeziennego!

## 37

Zatrzymałem się na polance, kilka kilometrów dalej, i wdychałem świeże powietrze. Z teczki, którą dał mi Chopard, wyjąłem kopertę. Już pierwsze zdjęcia otrzeźwiły mnie kompletnie.

Manon wydobyta ze studni. Zdjęcia zrobione z fleszem: różowa wiatrówka, metal noszy, koc okrywający ciało, wystająca spod niego biała ręka. Inne zdjęcie: portret żywej Manon, uśmiecha się

do obiektywu. Drobna, owalna twarzyczka. Duże, jasne oczy, ciekawe świata. Włosy blond, prawie białe. Zjawiskowa piękność, krucha, z prześwietlonymi słońcem brwiami i rzęsami.

Kolejne zdjęcie przedstawiało Sylvie Simonis. Była tak silną brunetką jak jej córeczka blondynką. Szczególnego rodzaju piękność. Brwi gęste, zrosnięte jak u Fridy Kahlo. Usta szerokie, wargi pełne, zmysłowe. Twarz z matową cerą okolona włosami zaczesanymi gładko jak u Hindusek. Tylko oczy były jasne, błękitne niczym lodowata woda. Dziwne, ale córka robiła wrażenie starszej od matki. I nie były wcale do siebie podobne.

Podniosłem wzrok. Słońce już chyliło się ku zachodowi, choć była dopiero godzina czternasta. Las pogrążał się w cieniu. Przyszła pora, bym zajął się moim dochodzeniem. Wziąłem komórkę.

— Svendsen? Rzuciłeś okiem na dokumenty?

— Ta twoja sprawa jest niesamowita.

— Przestań się zgrywać. Znalazłeś coś?

— Valleret wykonał kawał dobrej roboty — przyznał Svendsen. — Zwłaszcza jeśli chodzi o robactwo. Ktoś mu chyba w tym pomógł, co?

— Niejaki Plinkh, entomolog, działający całkiem legalnie. Słyszałeś o nim?

— Nie. Jednak zabójca znał się na chronologii rozkładu ciała. Przerazające, a jednocześnie godne podziwu!

— I co jeszcze?

— Zacząłem robić wykaz kwasów, które mógł użyć.

— Czy to produkty trudne do zdobycia?

— Nie. Są dostępne w szpitalach i laboratoriach chemicznych. Nawet tam, gdzie produkuje się barwniki do lodów...

Poleciłem Foucaultowi, by ograniczył się do laboratoriów zajmujących się badaniami naukowymi, ale tylko w tym regionie. Potem trzeba będzie poszerzyć pole poszukiwań.

— Czy twoim zdaniem to chemik?

— Raczej ktoś, kto pasjonuje się tak samo chemią, jak i entomologią i botaniką.

— Co jeszcze możesz o tym powiedzieć?

— Wolałbym mieć zwykłe ciało, ze zwykłymi ranami! Zwróciłem się do wielu kolegów różnych specjalności. Znalazłem tylko jeden błąd popełniony przez Vallereta.

— Jaki?

— Język. Według mnie pomylił się.

— Co z tym językiem?  
 — Valleret nie powiedział ci, że został odcięty?  
 Zdusiłem przekleństwo. Nic mi nie powiedział, a ja nie przeczytałem dokładnie jego raportu. Wściekły sięgnąłem po papierosa.  
 — Mów.  
 — Według Vallereta ofiara sama przegryzła sobie język pod kneblem.  
 — Nie zgadzasz się z nim?  
 — Nie. To zbyt skomplikowane, żeby ci to wyjaśnić, ale biorąc uwagę ilość krwi w gardle, jest wykluczone, żeby ofiara sama tak się zraniła. Albo morderca odciął jej język, kiedy jeszcze żyła, albo, co jest bardziej prawdopodobne, dokonał tego zabiegu po śmierci. Chciał zatrzymać sobie język jako trofeum.  
 Aluzja do kłamstwa? Do szatana? Święty Jan w swojej Ewangelii powiada: „Kiedy mówi kłamstwo, od siebie mów, bo jest kłamcą i ojcem kłamstwa”<sup>\*</sup>.  
 — A co z porostem? — zapytałem.  
 — Valleret niczego nie przeoczył, ale powinien przesłać próbkę do specjalistów...  
 — A ty to zrobiłeś?  
 — Mówiłem ci, że wciągnięci są w to wszyscy. Intensywnie nad tym pracujemy, chłopie.  
 — Twoi specjaliści nic więcej nie powiedzieli?  
 — Takie coś znajduje się pod ziemią, w grotach. Ale trzeba wykonać analizy.  
 Intuicyjnie wyczułem, że świecąca roślina odgrywała konkretną rolę. Miała rzucić światło na dzieło zabójcy. Była jakby naturalnym projektorem skierowanym na gnijącą, pełną larw klatkę piersiową... Światło przybyłe z głębin. Innym imieniem diabła było łacińskie słowo „Lucyfer” — ten, który przynosi światło.  
 W tym momencie doznałem olśnienia. Ciało Sylvie Simonis było symbolicznie oznakowane imionami diabła.  
 Belzebub — władca much.  
 Szatan — mistrz kłamstwa.  
 Lucyfer — książę światła.  
 Ten trup stanowił coś w rodzaju trójcy. Trójcy odwrotnej — trójcy Zła. Prymitywny symbol krzyża był tylko wskazówką do rozszyf-

<sup>\*</sup> Ewangelia według świętego Jana, 8, 44.

rowania bardziej wymyślnych znaków w samym ciele. Zabójca nie uważał się jedynie za sługę diabła. Sam reprezentował wszystkie jego oblicza. Tymczasem Svendsen mówił dalej:

- Halo, słuchasz mnie?
- Przepraszam, co mówisz?
- Zrobiłem powiększenia ukąszeń.
- Co możesz o rym powiedzieć?
- Na razie nic.
- Super.
- A ty? Gdzie jesteś teraz? Co zamierzasz robić?
- Zadzwoń do ciebie.

Svendsen pewnie mówił coś o skarabeuszu, ale już go nie słuchałem. Wszegobecność diabła wytrąciła mnie całkowicie z równowagi. To było coś, co przekraczało zwykle upodobania morderców. Jeszcze jeden camel na podtrzymanie i zadzwoniłem do Foucaulta.

— Przeczytałem dokumenty, to jakaś zwariowana historia — powiedział od razu.

- Nakazałeś poszukiwania w całym kraju?
- Tak. Skonsultowałem się także z SALVAC i wykonałem kilka telefonów.
- Co z tego wynikło?
- Nic. Ale jeśli zabójca mordował już wcześniej, wreszcie wyjdzie to na jaw. Jego metoda jest raczej... oryginalna.
- Masz rację. A co z hodowcami owadów?
- Poszukiwania trwają.
- Laboratoria?
- Tak samo. To zabierze kilka godzin.
- Skontaktuj się ze Svendsenem. Da ci wykaz przedsiębiorstw chemicznych.
- Jeszcze do tego nie dotarliśmy, Mat, ja...
- Notre-Dame-de-Bienfaisance?
- Mam historię klasztoru. Nic specjalnego. Dziś jest tam dom dla misjonarek, które...
- Poza tym nic?
- Na razie nic...
- Nie prosiłem cię o informacje z Internetu. Oderwij się od tego, do cholery!
- Ale...
- Pamiętasz, wspominałem o unital6? Stowarzyszeniu, do

którego Luc wysyłał emaile. Sprawdź, czy nie mają jakichś powiązań z Bienfaisance.

— Dobrze. To wszystko?

— Nie. Mam dla ciebie coś jeszcze bardziej skomplikowanego.

— Dodajesz mi otuchy.

Opowiedziałem mu w skrócie o Thomasie Longhinim. Czternastolatek, oskarżony o nieumyślne zabójstwo w styczniu osiemdziesiątego dziewiątego roku. Przesłuchiwany przez sędziego de Witta i przez SRPJ z Besancon, potem zwolniony. Wspomniałem o zmianie nazwiska, o braku jakichkolwiek śladów.

— Faktycznie skomplikowana sprawa.

— Zwróć się o pomoc do innych. I znajdź mi coś wreszcie! Foucault milczał przez chwilę, po czym zapytał:

— Au ciebie? Posuwasz się do przodu?

Spojrzałem na las tonący w mroku. Ciągle czułem, że żołądek podchodzi mi do gardła. Głowę miałem jak ołów.

— Nie — odburknąłem — nie idzie mi najlepiej. Ale to znak, że zmierzam w dobrym kierunku.

Skończyłem rozmowę i przekręciłem kluczyk w stacyjce. Sosnowe lasy i nagie wzgórza ruszyły z miejsca. W powietrzu unosiły się rzadkie płatki śniegu. Jechałem drogą równoległą do linii kolejowej przez kolorowe miasteczka, które otaczały Sartuis.

Dotarłem do białych tynkowanych budynków z czerwonymi żaluzjami. Osada Corolles. Tu zniknęła Manon, pewnego listopadowego wieczoru osiemdziesiątego ósmego roku. Nie zwolniłem, ale przez szyby wyczułem chłód, samotność zabudowań, na których zima zostawiła już swoje ślady.

Przejechałem jeszcze kilometr. Poniżej drogi, ukryte między modrzewiami, pojawiły się betonowe bunkry. Zwolniłem i dostrzegłem przewody kanalizacyjne, rury, prostokątne baseny.

Stacja oczyszczania ścieków.

Miejsce zbrodni.

Zaparkowałem. Z torby wyjąłem latarkę i ruszyłem naprzód. Nie było żadnej ścieżki. Spomiędzy paproci wystawały ciemnoczerwone skały porośnięte zielonkawym mchem. Zagłębiłem się w zarośla.

Opadające w dół zbocze pokrywał prawdziwy gąszcz traw, jeżyn, bluszczu. Poszedłem tropem rur ułożonych pod sosnami. Dokoła pachniało żywicą. Za każdym razem, gdy odgarniałem

gałęzie, przed oczyma migały mi zielone iskry. Nade mną wirowały jasne, niematerialne płatki śniegu.

Trafiłem najpierw na jedną studnię, potem na drugą. Zawsze wyobrażałem sobie, że są to cementowe kręgi, a tymczasem były prostokątne. Do której wpadła Manon? Szedłem dalej wzdłuż rur. Zaczął wiać wiatr. Przyszło mi głowy określenie żeglarzy: cisza przed burzą.

Nie czułem nic, ani strachu, ani wstrętu. Inaczej niż w niektórych miejscach zbrodni, gdzie czuło się jeszcze obecność mordercy. Nachyliłem się nad jedną ze studzienek. Chciałem wyobrazić sobie Manon, jej pływające na czarnej powierzchni włosy, różową wiatrówkę wydętą od wody. Nie ujrzałem nic. Spojrzałem na zegarek — czternasta trzydzieści. Dla formalności zrobiłem kilka zdjęć, po czym zawróciłem i ruszyłem z powrotem.

W tym momencie usłyszałem śmiech.

Obok jednej ze studni pojawił się nagle obraz. Czyjeś ręce chwyciły różową kurteczkę. Cichy śmiech umilkł. Był to przeblysłk refleksji, która zmusza do zmrużenia oczu, nastawienia uszu. Skoncentrowałem się, oczekując, że jeszcze coś zobaczę. Nic. Już zamierzałem odejść, kiedy znowu przed moimi oczyma pojawił się obraz. Ręce popychają kurtkę. Głuchy dźwięk. Tarcie materiału o kamienie. Krzyk ginący w otchłani.

Upadłem w jeżyny. To miejsce nie było pozbawione grozy. Śmierć odcisnęła tu swoje piętno.

Podniosłem się, usiłując raz jeszcze przywołać te obrazy. Każda próba jeszcze bardziej je oddalała, tak jak po przebudzeniu sen zaciera się tym bardziej, im bardziej wysilamy pamięć.

Przedarłem się między kłującymi gałęziami. Ziemia ugięła się pod moimi stopami. Był już czas, żeby przekroczyć granicę.

Na stojaku przed wejściem do restauracji można było przeczytać: „Kapusta kwaszona — dwadzieścia franków, piwo w dowolnej ilości!”. Pchnąłem drzwiczki jak w saloonie. Ferma Zidder. Restauracja, cała w drewnie, przywodziła na myśl ładownię statku. Ten sam półmrok, ta sama wilgoć. Z odorem piwa mieszał się

smród tytoniu i nieświeżej kiszzonej kapusty. Sala była pusta. Na stołach widniały jeszcze ślady po skończonym posiłku.

Sąsiad Richarda Moraza powiedział mi, że co sobotę zwykł on jadać lunch w tej bawarskiej restauracji. Była już siedemnasta trzydzieści. Przyjechałem za późno.

Jednak przy barze siedział samotnie, czytając gazetę potężny mężczyzna w kombinezonie w drobne prążki. Prawdziwa góra mięsa. Chopard wspominał w swoim artykule o „kolosie ważącym ponad sto kilogramów”. Może to mój zegarmistrz... Pochylony nad gazetą, z piórem w rękę, okularach na nosie, z kuflem pieniącego się piwa. Miał sygnety prawie na każdym palcu.

Usiadłem kilka taboretów dalej i przyjrzałem mu się. Rysy twarzy miał twarde, a wzrok jeszcze bardziej. Byłem już całkowicie pewien, że to Moraz. Zgadzałem się także z Chopardem, że kiedy się na niego patrzyło, nabierało się pewności — „winien”.

Zamówiłem kawę. Potężny mężczyzna zapytał barmana, nie odrywając oczu od gazety:

- Małe, czarne. Sześć liter.
- Kawa?
- Sześć liter.
- Espresso?
- Zostawmy to.

Gdy barman podesunął w moim kierunku filiżankę z kawą, powiedziałem:

- Pigmej.

Olbrzym rzucił na mnie okiem sponad okularów. Opuścił wzrok i znowu zaanonsował:

- Kierowanie sobą. Dziesięć liter.

Barman za kontuarem zaryzykował:

- Alfa Romeo?
- Świadomość — szepnąłem.

Popatrzył na mnie dłużej i powiedział:

- Nieuprawiane. Pięć liter.
- Ugory.

W okresie, kiedy uciekłem od ludzi, spędzałem wiele godzin na rozwiązywaniu krzyżówek. Znałem na pamięć definicje oparte na grze słów i ich znaczeniu. Rozwiązujący krzyżówkę facet krzywo się uś — Mistrz z pana, co?

- Łapacz złodziei. Osiem liter.



Milczał wyczekująco.

Położyłem moją legitymację na kontuarze.

— Gliniarz.

— To miało być dowcipne, co?

— Sam pan osądzi. Czy pan Richard Moraz?

— Jesteśmy w Szwajcarii. Wiesz, gdzie możesz wetknąć sobie tę legitymację?

Schowałem dokument i zaofiarowałem mu najpiękniejszy z moich uśmiechów.

— Zastanowię się nad tym. A tymczasem proszę odpowiedzieć na kilka pytań, dobrze?

Moraz opróżnił kufel, po czym zdjął okulary i wsunął je do górnej kieszeni kombinezonu na piersi.

— Czego chcesz?

— Prowadzę dochodzenie w sprawie morderstwa Sylvie Simonis.

— Bardzo oryginalne.

— Sądzę, że to morderstwo jest powiązane z zabójstwem Manon.

— Jeszcze bardziej oryginalne.

— No właśnie, przyjechałem, żeby się z panem spotkać.

— Stary, żyjesz w innym świecie.

Zegarmistrz zwrócił się do barmana, który pucował ekspres do kawy.

— Daj mi jeszcze jedno piwo. Jak słucham takich głupot, chce mi się bardziej pić.

Udałem, że nie słyszę tej zniewagi. Już go rozgryzłem: mocny w gębie, agresywny, ale nie taki zły, jak można byłoby się spodziewać po jego grubiańskim zachowaniu.

— Po czternastu latach znowu zawracają mi tym głowę — powiedział jakby trochę speszony. — Chyba wiesz, na czym oparto oskarżenie? Nic w nim nie trzymało się kupy. Najcięższe działo, jakie wytoczono przeciw mnie, to ten gadżet, urządzenie do zmieniania głosu produkowane w fabryce, gdzie pracowała moja żona.

— Znam sprawę.

— I nie śmiesz cię to?

— Owszem.

— Tym zabawniejsze, że byliśmy wtedy w trakcie procesu rozwodowego. Z moją dziwką porozumiewałem się tylko drogą korespondencyjną. Nieźle jak na współników, co?

Podniósł kufel i wypił połowę. Kiedy odstawił kufel, na jego brodzie zostały smugi piany. Otarł je rękawem i dodał:

— To wszystko to zawracanie głowy.

Spojrzałem na jego dłonie, na sygnety. Na jednym był wizerunek gwiazdy w bizantyjskim ornamencie. Drugi zdobity spirale i arabeski. Ornament kolejnego przypominał obręcz więźnia. Jakiś głos ponownie mi podszepnął: „winny”. To był głos Choparda z jego teorią trzydziestu pr— Pan już miał do czynienia z wymiarem sprawiedliwości.

— Za uwodzenie nieletniej? Człowieku, to ja powinienem być wnieść skargę. Za molestowanie seksualne!

Napił się piwa zadowolony ze swego poczucia humoru. Zapaliłem papierosa.

— Nie ma pan alibi.

— A co można zrobić o godzinie siedemnastej trzydzieści? Człowiek o tej porze wraca do domu. Dla was, glin, trzeba by zawsze organizować przyjęcie w godzinie przestępstwa. Żeby ze sto osób mogło wam dostarczyć alibi jak na talerzu.

Wypił do końca piwo i odstawił kufel.

— Im dłużej ci się przyglądam — powiedział — coraz bardziej jestem przekonany, że nie znasz moich akt. Nie wyglądasz na zaznajomionego ze sprawą, chłopie. Zastanawiam się, czy ty w ogóle masz upoważnienie do prowadzenia dochodzenia. Nawet po stronie francuskiej.

— Pan miał motyw.

Roześmiał się. Wyglądało na to, że moje pytania go bawiły. A może rozweseliło go piwo?

— To najlepsze w tej całej historii. Miałbym zabić córkę Sylvie z zazdrości zawodowej? — Wyciągnął grubą dłoń. — Spójrz, stary, na to łapsko. Jest zdolne dokonać różnych cudów. Sylvie miała złotą rękę, to prawda. Ja także, możesz zapytać kolegów. Poza tym w końcu zrobiłem dyplom. To wszystko to stek idiotyzmów.

— Mógł pan dzwonić do Sylvie przez wiele miesięcy po to tylko, żeby ją denerwować.

— Co ty możesz wiedzieć o tej sprawie. Gdybyś był lepiej poinformowany, wiedziałbyś, że zabójca przyszedł do szpitala, żeby zadzwonić do Sylvie. Dzwonił z kabiny telefonicznej kilka metrów od jej sali. Nie znałem tego szczegółu.

— Skorzystał z kabiny telefonicznej w szpitalnym holu. Wyobrażasz sobie mnie w środku czegoś takiego? — Poklepał się po brzuchu. — Oto moje alibi!

— Może było was kilku.

Zegarmistrz zerwał się z taboretu. Stał przed mną. Był niższy niż ja, ale musiał ważyć ze sto pięćdziesiąt kilo.

— Zjeżdżaj stąd, i to już. Jesteś w moim kraju. Nie masz tu żadnych praw i mogę ci przyłożyć w gębę.

— Złota rączka, co?

Przycisnąłem jego prawą rękę do kontuaru i zgasilem camela na jednym z jego sygnetów. Chciał się wyrwać, ale nie zwolniłem uścisku.

— Nazywam się Mathieu Durey — powiedziałem. — Wydział zabójstw z Paryża. Możesz to sprawdzić. Całe to pomieszczenie można by wytapetować nakazami aresztowania, do których doprowadziłem. I nie osiągnąłem tego, przestrzegając regul...

Facet dyszał jak pudel.

— Czuję, że tkwisz w tym gównie, grubasie. Aż po uszy. Jeszcze nie znam szczegółów, ale możesz być pewien, że nie wyniosę się stąd, dopóki nie uzyskam odpowiedzi na moje pytania. I nie obronią cię ani twoi adwokaci, ani ta gówniana granica.

Pot ściekał mu po twarzy. Puściłem jego rękę, wziąłem filiżankę i wypilem kawę jednym haustem.

— Tonie w czerni. Osiem liter — rzuciłem.

— Ciemność?

— Zwęglony. Do zobaczenia, chłopie.

## 39

Pierwsza wyprawa do Szwajcarii zostawiła mi gorzki posmak. Po przejściu kontroli celnej skierowałem się na północny wschód, na Morteau. W miarę jak zbliżałem się do tego miasta, witały mnie tablice w kształcie kiełbasek. Zachwycające. Miasto leżało w wąskiej dolinie. Ukazały się liczne brązowe dachy w odcieniu opium lub, jeśli kto woli,

Patrick Cazeviel pracował w ośrodku rekreacyjnym w pobliżu wzgórza Gaudichot, na południu od Morteau. Sprawdziłem na mapie i pojechałem główną drogą. Wkrótce tablica wskazała

kierunek do ośrodka wypoczynkowego, wymieniając dostępne tam rozrywki: kajaki, wspinaczki, rowery terenowe i tym podobne.

Jakoś trudno mi było wyobrazić sobie Cazeviela w takim otoczeniu. Od czasu tragicznej śmierci Manon wiele razy był podejrzany o udział we włamaniach. Ten cwaniak nie pasował mi do roli animatora rozrywek na wolnym powietrzu. Byłoby to prawdziwie cudowne odkupienie win.

Bitą drogą dojechałem do dużej budowli z czarnych bali, tworzącej kąt prosty i przypominającej rancza pierwszych kolonistów amerykańskich, stojące samotnie w dziewiczych lasach. Jak tylko wysiadłem z samochodu, w uszy uderzyła mnie wrzawa czyniona przez dzieci. Była sobota i w ośrodku musiało być tłoczno.

Zajrzałem do jadalni. Na wieszakach dziesiątki płaszczy. Olbrzymie szklane drzwi wychodziły na ostrzyżony trawnik na zboczu opadającym ku jezioru. Po sali biegało, krzyczało, miotało się ze czterdzieścioro dzieci. Znalazłem kolejne drzwi i wyszedłem na zewnątrz.

W zimnym powietrzu czuło się zapach radosnej zabawy. Szarość jeziora, zieleń drzew, zapach świeżej trawy, głośne krzyki... Atmosfera nieograniczonej niczym swobody poruszyła we mnie dawne wspomnienia. Nie były to wspomnienia z dzieciństwa, lecz obietnica szczęścia, którą zawsze się w sobie nosi, lecz trudno ją sprecyzować. Smak rajy, nieracjonalnego, niczym nieuzasadnionego.

Czyjś głos przerwał moje marzenia.

Jeden z animatorów zainteresował się, czego tu szukam.

Przedstawiłem się jako przyjaciel Cazeviela. Wskazał mi rosnące nad wodą drzewa za prawym skrzydłem budynku. Poszedłem na przełaj przez trawnik, omijając boisko, na którym odbywał się mecz futbolowy. Znalazłem inną krętą ścieżkę biegnącą ku sosnom.

Na skraju lasu rozciągał się ogród warzywny z czarnymi, symetrycznymi alejkami. Krzątał się w nim mężczyzna pochylony nad taczka. Podeszedłem do niego między grządki sałaty i pomidorów.

— Patrick Cazeviel?

Podniósł głowę. Klęczał, z nagim torsem, z rękami w ziemi. Miał ogoloną głowę, regularne rysy. Ta piękna gęba miała w sobie coś z „Freddy'ego Kruegera”, mordercy, który żelaznym ostrzem rozpruwał brzuchy młodych chłopców, gdy spali.

— Patrick Cazeviel?

Wstał bez słowa. To, co wziąłem za złudzenie optyczne, wywołane grą liści na jego skórze, okazało się rzeczywistością. Facet miał na całym torsie tatuaż. Pierś i ramiona pokrywały mu przedziwne, splecione ze sobą ornamenty. Na ramionach orientalne smoki, na piersi orzeł z rozłożonymi skrzydłami, na brzuchu zwinięty niebieski wąż. Przypominał stwór pokryty łuską.

— Tak, to ja — powiedział, wrzucając do taczki sałatę. — A pan to kto?

— Nazywam się Mathieu Durey.

— Jest pan z Besancon?

— Z Paryża. Wydział zabójstw.

Przyglądał mi się, nie okazując żadnego zmieszania. Pomyślałem o swoim wyglądzie. Powiewające poły płaszcz, zmięty garnitur, przekreślony krawat. Obaj byliśmy na swój sposób charakterystyczni — gliniarz i dawny więzień. Cazeviel skrzywił się w uśmiechu.

— Chodzi o Sylvie Simonis, tak?

— Tak. I o jej córkę Manon.

— To chyba nie podlega pańskiej jurysdykcji, no nie?

Uśmiechnąłem się w odpowiedzi i zaproponowałem papierosa.

Odmówił ruchem głowy.

— Chciałbym z panem tylko przyjaźnie porozmawiać — wyjaśniłem, zapalając sobie papierosa.

— Nie jestem pewien, czy chciałbym mieć przyjaciół w pańskim rodzaju.

— Kilka pytań i wracam do samochodu, a pan do swojej sałaty.

Cazeviel spojrzął na jezioro położone na lewo ode mnie. Srebrna szarość i błękit nieba. Ściągnął z rąk grube, płócienne rękawiczki i otrzepał jedną o drugą.

— Kawy?

— Z przyjemnością.

Usiadł na ziemi i sięgnął ręką za taczkę. Wziął termos i kubek. Zdjął nakrętkę z termosu, otrzymując w ten sposób drugi kubek. Napelił oba ostrożnie kawą. Widziałem, jak muskuły drgają mu pod tatuażem. Miał czterdzieści pięć lat, o czym wiedziałem z artykułów prasowych, ale wyglądał na trzydzieści. Usiadłem na ziemi i wziąłem od niego kubek z kawą. Milczeliśmy. Cazeviel wydawał się niewrażliwy na chłód. Pomyślałem o chłopcu sierocie, który złożył przysięgę Sylvie Simonis.

— Co pan chce wiedzieć?

— To, co wszyscy.

— Przecież to stara historia. Już od dawna nikt nie zawraca mi nią głowy.

— To nie będzie trwało długo.

— Słucham więc.

— Co pana skłoniło do przyznania się do zabójstwa Manon?

— Żandarmi.

Łyknąłem trochę kawy — letnia, ale dobra.

— Potrzęsnełi panem, a pan się zламаł? — zapytałem ironicznym tonem.

— Właśnie tak było.

— Mówmy poważnie. Co pana do tego skłoniło?

— Oczywiście dla nich byłem winny. Kpili sobie z tego, że Sylvie była dla mnie jak siostra. Dla tych drani liczyła się jedynie moja kartoteka. Więc im powiedziałem: „Dobra, panowie, zapakujcie mnie do mamra”. — Skrzyżował ręce, jakby czekał na założenie kajdanek. — Chciałem wykpić do końca ich gównianą logikę.

Cazeviel mówił powoli, z dziwną obojętnością. Była w tym jakaś giętkość przypominająca węże na jego skórze.

— Z pańską przeszłością było to raczej ryzykowne, nie uważa pan?

— Przywykłem do ryzyka.

Wróciłem do pewnego istotnego moim zdaniem szczegółu.

— W osiemdziesiątym szóstym roku wyszedł pan z więzienia.

— To jest w moich aktach.

— Sylvie była mężatką, matką, znanym zegarmistrzem. Kontaktował się pan z nią?

— Nie.

— Jak ją pan odnalazł? Przecież nie nosiła już swego panińskiego nazwiska.

Spojrzał na mnie z zainteresowaniem. Wróg okazał się bardziej niebezpieczny, niż sądził, ale wyglądało na to, że to odkrycie ani go ziębiło, ani parzyło. Uśmiechnął się.

— Propozycja papierosa jest jeszcze aktualna? Podałem mu camela.

Sam przy okazji wyjąłem drugiego.

— Powiem ci coś w zaufaniu. Nie mówiłem o tym jeszcze nikomu.

— A czym zasłużyłem na ten zaszczyt?

— Nie wiem. Może to dlatego, że chyba jesteśmy do siebie podobni. Kiedy wyszedłem z paki, zamieszkałem z kumplami w Nancy. Robiliśmy wypadki do Szwajcarii. Każdej nocy przechodziliśmy po cichu granicę. Po drugiej stronie czekała na nas

gabłota. Robiliśmy włamania w Neuchatel, Lozannie... Czasami nawet w Genewie.

Przeszedłem również na ty.

— Nie zapominaj, że jestem gliną.

— To już podlega przedawnieniu. Potem doszliśmy do wniosku, że i po tej stronie granicy jest forsa do zdobycia. Sarruis, Morteau, Pontarlier... Któreś nocy włamaliśmy się do warsztatu pełnego cennych zegarów. Wtedy zobaczyłem zdjęcia. Zdjęcia Sylvie i jej córki. Cholera! Włamałem się do niej! Do miłości z moich młodzieńczych lat, która wyszła za mąż i miała dziecko.

Sztachnął się, żeby przetrwać ówczesne zaskoczenie, gorycz.

— Kazałem kumplom, żeby odłożyli wszystko na miejsce. Trochę szumieli, ale posłuchali. Potem zatelefonowałem do Sylvie.

— Była już wówczas wdową, tak?

Zaciągnął się papierosem, który rozjarzył się na drugim końcu.

— Chodziły mi różne myśli po głowie, to prawda. Ale nasze drogi nie mogły się już zejść razem.

— Jako chrześcijanka pewnie prawiała ci morały?

— Niezupełnie. Nie była aż tak naiwna, żeby przypuszczać, że kazania jakiegoś klechy sprowadzą mnie na dobrą drogę, że zechcę żyć za mizerną pensyjke.

— Co zresztą czasami robiłeś.

— Tak, czasami. Pomiędzy kolejnymi skokami.

— Jak teraz?

— Teraz to co innego.

— A czym to się różni?

Cazeviel, nie odpowiadając mi, napił się kawy.

— Jaka była twoja reakcja na śmierć Manon?

— Gniew. Wściekłość.

— Mówiła ci o anonimowych telefonach?

— Nie... nic mi nie powiedziała. Ochroniłbym ją. Nic by się nie wydarzyło.

— Przyznając się policji do winy, nie okazałeś szacunku dla jej żałoby.

Rzucił mi mordercze spojrzenie. Wyprostował się, tatuaże na jego piersi zafalowały. Przez moment myślałem, że rzuci mi się do gardła, ale wyjaśnił spokojnie:

— To była sprawa między nimi i mną, jasne?

— Czy Sylvie miała jakieś podejrzenia co do prawdziwego zabójcy?

— Nigdy nie chciała mi nic powiedzieć. Jednej rzeczy jestem pewien, że nie wierzyła w śledztwo prowadzone przez żandarmów. W ich główniane tropy i motywy.

— A ty co o tym myślisz?

Spojrzał znowu na jezioro, dopalając papierosa.

— Żeby oskarżać, trzeba mieć dowody. Jak dotąd nikt nie wie, kto zamordował Manon. Może jakiś czubek zrobił to przez przypadek. Albo facet, który z nieznanых powodów nienawidził Sylvie i jej córkę. Jedno jest pewne: drań wciąż jest na wolności.

— Twoim zdaniem po czternastu latach zrobił to ten sam człowiek?

— Bez wątplenia.

— Podejrzewasz kogoś?

— Już ci mówiłem, co myślę o podejrzaniach.

— Nie próbowałeś na własną rękę prowadzić dochodzenia?

— Nie powiedziałem jeszcze ostatniego słowa.

Podniosłem się z ziemi, otrząsając płaszcz. Poszedł w moje ślady, odstawiając termos i kubki do taczki z sałatą.

— Żegnaj, gliniarzu. Każdy idzie swoją drogą. Ale jeśli dowiesz się czegoś, będę ci wdzięczny.

— Mogę liczyć na wzajemność?

Bez słowa kiwnął głową i chwycił za taczkę. Patrząc, jak się oddala, pojąłem, że wymknęło mi się coś bardzo istotnego. Na jego plecach otwierał skrzydła nietoperza wspinały diabeł ze skreconymi rogami i długą zwierzęcą paszczą.

Pomyślałem o dziwnej historii miłości i przyjaźni między tym nieokrzesanym mężczyzną i utalentowaną mistrzynią zegarmistrzostwa. Piękny dramat, z ujmującymi postaciami.

Pozostawał tylko jeden problem: to wszystko było fałszem.

Miałem absolutną pewność, że Patrick Cazeviel okłamał mnie na całej linii.

## 40

Ruszyłem znowu w drogę, myśląc o trzeciej osobie — Thomasie Longhinim, chłopcu, który zniknął bez śladu. Powinienem jak najszybciej go odnaleźć. Odsłuchiłem wiadomości z komórki. Od Foucaulta nie było



Poniżej w dolinie Sartuis pojawiły się pstre światła jej miasteczek. Zwróciłem uwagę na tradycyjne wille otoczone ogrodami. Oszklone drzwi werandowe pogrążone były w cieniu, ale okienka w dachach jeszcze połyskiwały w ostatnich promieniach słońca. Przypomniało mi to pewien szczegół, o którym dowiedziałem się z przewodnika.

W dawnych czasach warsztaty zegarmistrzów zawsze miały okna od wschodu, żeby ich właściciele mogli korzystać ze światła możliwie jak najwcześniej. Rzemieślnicy w górnym Doubs, którzy byli jednocześnie rolnikami, zanim wyszli w pole, pracowali w warsztatach od świtu. W związku z tym pomyślałem, że „Dom pod Zegarami” Sylvie musiał znajdować się w tej właśnie dzielnicy. Zajrzałem do notatek, gdzie Chopard napisał mi adres: ulica Dębów 42.

Warto było zjechać z trasy.

Stały tu odnowione domy wśród podniszczonych o ścianach w stylu pruskiego muru. Ogrody od frontu tonęły w kwiatach, wszystkie samochody parkujące na chodniku lub w otwartych boksach miały marki niemieckie: Audi, Mercedes, BMW. Bez trudu dało się odgadnąć, że ta dzielnica zamieszkała była przez elitę z fabryk zabawek, które w tej dolinie zajęły miejsce zakładów wyrabiających zegarki.

Znalazłem ulicę Dębów, która pięła się pod górę. Odległości między latarniami robiły się coraz większe, wille stały coraz rzadziej, a otaczające je ogrody były coraz większe. Zredukowałem bieg i jechałem w ciemnościach.

„Dom pod Zegarami” był ostatni, i stał nieco dalej od drogi. Masywna budowla z nisko opadającym dachem przypominała piramidę. Ściany pierwszego piętra oszalowane były deskami, parter otynkowany na biało. Spodziewałem się jakiegoś dziwacznego zamku z czarną bramą, z krzykliwymi wieżyczkami. Jednak dom przywodził raczej na myśl ogromną fermę z tych okolic, z garażem poniżej, na zboczu.

Przejechałem obok nie zwalniając, dotarłem do ronda, potem skręciłem w ślepą uliczkę i zatrzymałem się pod drzewami. Zgasilem światła. Nikogo w zasięgu wzroku. Zacząłem schodzić w dół na przełaj, z dala od latarni.

Doszedłem do budynku od tyłu. Żadnych drzwi. Sprawdziłem okiennice. Wszystkie były zamknięte, ale jedna ustąpiła. Wsunąłem rękę, wymacałem haczyk zasuwki i otworzyłem jedno skrzydło. Pchnąłem okno, ale było od wewnątrz zamknięte na klamkę.

Zdecydowałem się na zastosowanie brutalnej metody. Podniosłem kamień, owinąłem połą płaszcz i silnie uderzyłem w szybę, która pękła. Wsadziłem rękę i otworzyłem okno od wewnątrz. Po kilku sekundach byłem już w domu. Zamknąłem z powrotem okiennice i okno, położyłem na podłodze odłamki szkła. Jeśli dobrze pójdzie, włamanie może zostać niezauważone jeszcze przez kilka tygodni.

Stałem jakąś chwilę bez ruchu, wdychając atmosferę tego miejsca. Gdzieś daleko zaszczekał pies. W panującej tu ciszy i mroku miałem wrażenie, jakbym nagle zanurzył się w lodowatej toni. Powoli moje oczy przywykły do ciemności. Na wprost dostrzegłem korytarz, na prawo schody, a na lewo kilka zamkniętych drzwi.

Korytarzem doszedłem do salonu. Dalej była sypialnia. Umeblowanie stanowiły metalowe półki i szeroki blat na drewnianych skrzyżowanych nogach w pobliżu oszklonych drzwi.

Na półkach dostrzegłem wahadła zegarów, zegary z kurantami, klepsydry. Podeszedłem bliżej. Ani trochę się na tym nie znałem, ale od razu pojąłem, że eksponaty pochodzą z różnych epok — starożytne zegary słoneczne, średniowieczne klepsydry, zegary z odsłoniętym mechanizmem, pozłacane kółeczka podtrzymywane przez aniołki wskazujące na okres renesansu, klasycyzmu, wiek oświecenia. Były tam również zegarki kieszonkowe o przeróżnych motywach, z najróżniejszych materiałów: ze srebra, z patynowanego cynku, pokryte kolorową emalią... Nie słychać było jednakże żadnego tykania, żadnego charakterystycznego dźwięku. Jak wszędzie w Sartuis tak i tu czas się zatrzymał.

Przeszedłem przez pokój do stołu stojącego przy oszklonych drzwiach. Leżały na nim precyzyjne narzędzia, jakby Sylvie dopiero co je uporządkowała. Miechy, szczypce, ostrza tak cienkie, że przywodziły na myśl zestaw do mikrochirurgii. Położyłem rękę na skórzanym obiciu taboretu. Wyobraziłem sobie Sylvie pochyloną o światło nad trybikami, wprawiającą w ruch bieg czasu.

Wyszedłem na korytarz i otworzyłem pierwsze drzwi. Sala jadalna urządzona w starym stylu. Masywne meble, okrągły stół nakryty białym obrusem, wywoskowany parkiet. Ktołożył na utrzymanie tego domu? Komu dostaną się te wszystkie dobra? Czy Sylvie Simonis miała jakąś dalszą rodzinę? Czy dziedziczą po niej jedynie teściowie?

Przekręciłem kontakt na ścianie. Zablęskło światło. Instynktownie rzuciłem okiem na zamknięte okiennice. Nie było żadnego ryzyka, że ktoś dojrzy mnie z zewnątrz. Obszukałem wszystkie meble, ale nic nie znalazłem oprócz nakryć stołowych, obrusów, serwetek. Ani jednego osobistego przedmiotu. Wyłączyłem światło i opuściłem ten pokój.

Następne drzwi prowadziły do kuchni. Pomieszczenie tak samo neutralne, bez wyrazu, jak poprzednie. Błyszcząca posadzka, nieskazitelnie czyste naczynia. Wysokie szafy ściennie pełne były najnowocześniejszych kuchennych urządzeń elektrycznych. Na ścianach żadnego zdjęcia, na lodówce żadnej przypominającej o czymś naklejki. Zupełnie jak dom do wynajęcia.

Wróciłem na korytarz i wszedłem na schody. Na górze dwa puste pokoje oraz trzeci, sypialnia Sylvie, jak przypuszczałem. Typowe dla tej okolicy ciemnoczerwone meble. Parkiet bez dywanu. Na ścianach goły tynk. Dębowe łóżko bez materaca, bez pierzyny. Zajrzałem do szuflad, do szaf. Puste. Wszystko zostało stąd zabrane. Czy zrobili to żandarmi? A może spakobiercy?

Zerknąłem na zegarek: dziewiętnasta dziesiątka. Buszowałem tu ponad pół godziny bez najmniejszego rezultatu. Na końcu korytarzyka odnalazłem jeszcze jedno wąskie, strome schody. Wdrapałem się na strych, którego mansardowy strop wyłożony był watą szklaną. W ukośnej ścianie dachu dwa okienka. Nie mogłem zapalić światła, ale widziałem wystarczająco dobrze.

Zapewne był to gabinet Sylvie. Na podłodze kremowa wykładzina dywanowa. Na ścianach tapeta z jasnego materiału. Umeblowanie ograniczało się do stołu na dwóch skrzyżowanych nogach, półki z segregatorami, jednej szafy. Zajrzałem do segregatorów. Pusto. Cała dokumentacja księgową, wszystkie papiery Sylvie zostały zabrane.

Pomimo chłodu oblewało mnie gorąco. Mój płaszcz ważył tonę, koszula przyklejała się do pleców. Jednak coś mnie jeszcze tu zatrzymywało. Czułem, że Sylvie musiała gdzieś ukryć wszystko to, co dotyczyło śmierci jej córki.

Zszedłem na dół do salonu. Otwierałem ostrożnie gabloty. Zegary. Ich podstawy. Koperty zegarków kieszonkowych. Zakamarki, gdzie można by coś ukryć. Oglądałem dokładnie wahadła, podnosiłem je, potrząsałem nimi, zaglądałem do ich wnętrza. W piątym znalazłem wmontowaną weń szufladkę. Kiedy ją otworzyłem, nie wierzyłem własnym oczom — kaseta. Pomyślałem,

że mogą na niej być nagrania anonimowych telefonów zabójcy. Wyjąłem kasetę i odstawiłem zegar na miejsce. Pierwsza zdobycz. W pozostałych eksponatach mogą być jeszcze inne wskazówki... Lufa pistoletu dotknęła mojego karku.

— Proszę się nie ruszać.

Zastygłem w miejscu.

— Niech się pan wolno odwróci i położy ręce na stole.

Poznałem sposób mówienia. Stephane Sarrazin.

— Wydawało mi się, że się dogadaliśmy.

Okręciłem się o trzydzieści stopni i położyłem ręce na blacie stołu. Żandarm szybko mnie przeszukał, obmacał moje kieszenie, zabrał broń.

— Niech się pan odwróci. Twarzą do mnie.

Jego czarne włosy rozdzielały się na czole. Oczy wraz z nosem tworzyły krzyż. Przypominał Diabluka, bohatera włoskiej kreskówki z lat sześćdziesiątych. Teraz trzymał w każdej ręce pistolet.

— Włamanie do mieszkania. Niszczenie dowodów. Żle pan zaczął.

— Jakich dowodów? — W zaciśniętej ręce wciąż trzymałem kasetę.

— Pan już wszystko stąd wcześniej sprzątnął.

— Nieważne. Sędzia Magnan to oceni.

— Dlaczego mi pan nie ufa? Dlaczego odrzuca moją pomoc?

— Pańską pomoc?

— Jest pan w impasie. Minęło czternaście lat, pańscy koledzy niczego nie znaleźli. W tym roku także nie osiągnął pan żadnych rezultatów. Sprawa Simonis pozostaje zagadką.

Żandarm pobłaźliwie pokiwał głową. Miał na sobie mundurowy niebieski pulower w białe prążki. W ciemności połyskiwały jego naramienniki.

— Radziłem panu, żeby pan zniknął stąd — odrzekł, chowając do kabury swój pistolet i wpychając za pasek mój.

— Dlaczego nie mielibyśmy stworzyć zespołu?

— Jest pan uparty. Co pana obchodzi sprawa Simonis?

— Powtarzam: tym dochodzeniem interesował się mój przyjaciel.

— Bzdura. Gdyby pański kumpel przyjechał tu prowadzić śledztwo, musiałbym się z nim zetknąć.

— Może był bardziej ostrożny niż ja. Wygląda na to, że nikt go tu nie widział.

Żandarm odwrócił się do oszklonych drzwi, z rękami założonymi

na plecach. Odprężył się. Przed nim w ciemnościach rozciągało się Sartuis.

— Durey, drzwi są za panem. Przyjdzie pan jutro rano na posterunek żandarmerii po swoją broń, a potem natychmiast stąd zniknie. Jeśli w południe będzie pan jeszcze w Sartuis, powiadomię prokuratora.

Tyłem wycofałem się do korytarza, udając, że zostałem przez niego pokonany. Gdy otworzyłem główne drzwi, prowadzące na dwór, w twarz uderzył mnie silny podmuch wiatru. Poszedłem na przełaj przez trawę do ronda.

Noc była czysta, jasna. Niebo połyskiwało gwiazdami. Doszedłem do miejsca, gdzie zostawiłem samochód. Spojrzałem za siebie, w kierunku domu. Stephane Sarrazin obserwował mnie, stojąc na progu w groźnej postawie.

Wsiadłem do samochodu i uśmiechnąłem się do siebie.

W ręce nadal miałem kasety.

## 41

*Mała dziewczynka jest uwięziona  
W domu zagubionych kroków.  
Igły sosnowe, igły żelazne,  
Mała dziewczynka nie zaśpiewa więcej...*

Była to wyliczanka.

Śpiewana na kilku nutach.

Brzmiała fałszywie melodyjka. Zwłaszcza głos był dziwny, ani niski, ani wysoki, ani męski, ani kobiecy. Z dysonansem, a jednocześnie taki miły, słodki.

Zatrzymałem magnetofon. Przesłuchałem tę taśmę już ze dwadzieścia razy. Zamknąłem się na dwa spusty w sali sypialnej internatu zaopatrzonej w odtwarzacz kaset od ojca Mariotte'a.

Nagranie zawierało trzy przekazy bez daty, bez komentarza. Anonimowe telefony, które otrzymywała Sylvie Simonis. Przegrałem je już na mój laptop. Nikt mi nie wspomniał o tym niecodziennym szczególe, że telefoniczne anonimy były nie mówione, lecz śpiewane. Siedząc na łóżku, za beżowymi zasłonami, nacisnąłem ponownie klawisz odtwarzania.

*Mała dziewczynka jest w niebezpieczeństwie,  
Tym gorzej dla niej, wszystko jest stracone.  
Już za późno, godzina wybiła,  
Mała dziewczynka nie zaśpiewa więcej...*

Wyobraziłem sobie usta, które wypowiedziały te słowa, twarz, która wydała ten głos. Jakąś niekształtną istotę, o zoomorficznym wyglądzie. Przypomniałem sobie zagadkę transformatora głosu, trop, którym poszli żandarmi i który skończył się uniewinnieniem Richarda Moraza. Nie pojmowałem, dlaczego Lamberton i jego ludzie tak się uparli, by prowadzić śledztwo w tym kierunku.

Miałem okazję słyszeć głosy sztucznie zdeformowane przez hel, wokoder, przez różne filtry elektroniczne. Żadne z nich nie brzmiały tak jak ten, który miał w sobie charakterystyczny dysonans, zniekształcenie, a przy tym był nadzwyczaj... naturalny.

Trzecia informacja:

*Mała dziewczynka jest w studni,  
Biada tym, którzy nie uwierzyli.  
W głębokiej wodzie wszystko jest skończone,  
Mała dziewczynka nie zaśpiewa więcej...*

Zatrzymałem magnetofon. Z pewnością ta ostatnia wiadomość skierowała żandarmów na teren oczyszczalni ścieków. Sylvie wykazała się przytomnością umysłu, rejestrując to. Przecież była w szpitalu. Co musiała przeżywać? Dlaczego mimo takich gróźb zostawiła dziewczynkę samą, bez opieki?

Szukając magnetofonu w bibliotece Mariotte'a, zabrałem stamtąd także dzieło o regionalnych tradycjach: *Bajki i legendy Jury*. W rozdziale dwunastym znajdował się fragment dotyczący „Domu pod Zegarami”.

Autorzy podawali, że na początku osiemnastego wieku pewna rodzina zegarmistrzów zbudowała ten dom na zboczu wzgórza, aby uchronić się w ten sposób przed lodowatymi wichurami z północy i móc spokojnie pracować. W rzeczywistości pragnęli ukryć się przed niedyskretnymi spojrzzeniami. Rzemieślnicy ci bowiem byli również alchemikami. Udało im się wyprodukować wahadła o magicznych właściwościach. Tak precyzyjne kółka mechanizmów, tak małe zapadki, że pozwalały dojść do świata leżącego poza czasem...

Były również inne wersje tej legendy. W jednej z nich ta rodzina zegarmistrzów wywodziła się z czarowników. Ich domostwo zostało zbudowane na cuchnących bagnach i szpary w ich wahadłach otwierały się na piekło. Te swoistego rodzaju „wrota” działały na dwie strony. Demony mogły przedostać się do naszego świata między dwiema gotyckimi cyframi.

Byłem już bardzo zmęczony i mimo woli wyobraziłem sobie demona z głową wampira, który wychodzi z zegara, rzuca się na Sylvie Simonis, gryzie ją, zatrąwa swoim jadem, zostawiając znaki na jej ciele. Szatan i ucięty język. Belzebub i brzęczące muchy. Lucyfer i światło przenikające spod żeber...

Otrząsnąłem się z tego złowieszczy omamu i wróciłem do lektury. W trzecim wariantcie ci potężni rzemieślnicy swoimi wynalazkami ściągnęli nieszczęście na Sartuis. Bezsporne fakty dowiedzione przez historię. Epidemia dżumy w osiemnastym wieku, cholera i pożary w dziewiętnastym, egzekucje i mordy podczas dwóch wojen światowych, nie licząc straszliwej epidemii grypy, która zdziesiątkowała ludność w dwudziestym roku. W dolinach okalających Sartuis zwykło się przypisywać te klęski „Domowi pod Zegarami” i jego zatrutemu wodnemu podłożu. Najbardziej przesądni czynili ich nawet odpowiedzialnymi za upadek przemysłu w hrabstwie.

Przetarłem oczy. Godzina druga w nocy. Poświęciłem tyle godzin snu dla takich głupstw? Wciąż wracało do mnie obsesyjnie pytanie: dlaczego Sylvie Simonis została w tym wrogim dla niej mieście, w tym ponurym domu z duchem swojej córki?

W wyobraźni ujrzałem znowu stół zastawiony jej precyzyjnymi narzędziami. O czym myślała przez te wszystkie lata, podczas gdy żandarmi i policjanci, nie tracąc dobrego nastroju, niczego nie zdołali odkryć? Zachowała kasetę z anonimowymi telefonami i bez wątpienia ukryła gdzieś inne rzeczy dotyczące tragicznej śmierci Manon. Nie próbowała zacząć nowego życia. Dlaczego?

Nagle zrozumiałem.

Sylvie Simonis także szukała zabójcy. Przez czternaście lat prowadziła własne dochodzenie. Cierpliwie, uparcie, wytrwale. Szła własnym tropem, kierowała się swoimi podejrzeniami. Oto dlaczego pozostała w mieście, gdzie zaznała tylko nieszczęścia. Chciała być blisko zabójcy. Odnaleźć jego ślad, zidentyfikować go. Tak, taki upór pasował do jej charakteru, do cierpliwości zegarmistrza. Nie zrezygnowała. Pragnęła dostać głowę zabójcy.

Czyjej się udało? Jej śmierć może być odpowiedzią. Ubiegłego lata w taki czy inny sposób zdemaskowała zabójcę córki. Ale zamiast powiadomić władze, wołała sama zastawić na niego pułapkę, może nawet własnoręcznie go zlikwidować. Zabójca Manon zamordował ją według nowego rytuału. Pomysł ten dojrzał w nim przez lata, trawiąc jego mózg niczym nowotwór.

Zgasiłem papierosa w popielniczce pełnej petów. Cały pokój tonął w prawdziwym tytoniowym smogu. Moja wersja wyglądała prawdopodobnie, ale nie wolno tracić całej nocy, nie mając możliwości sprawdzenia czegokolwiek.

Uchyliłem okno i zgasiłem światło. Powieki mi opadły. Ciągłe miałem przed oczyma wahadła Sylvie Simonis, klepsydry w kształcie elipsy, ażurowe skrzyneczki, figurki z połączanego brązu z łukiem w ręce, młoteczki, trąbki. Zapadłem w półsen. Kieszonkowe zegarki... Tarcze obramowane muszelkami... Ornamenty w formie liści, kuli, lir...

Nagle jakiś cień wyskoczył spomiędzy wskazówek zegara. Czarna sylwetka w surducie, w meloniku. Nie widziałem jego twarzy, ale czułem, że ma złe intencje. Przyszedł mi na myśl Mefistofeles. Dapertutto z *Opowieści Hoffmanna*. Cień pochylił się nade mną i z ustami przy moim uchu szepnął: „Znalazłem wyjście”.

To nie był głos z kasyty, ale głos Luca. Zerwałem się akurat w tym momencie, żeby ujrzeć spod jego kapelusza czerwone, wściekłe oczy. To były te same oczy, które obserwowały mnie w Notre-Dame-de-Bienfaisance.

## 42

- Przesady. Zwykłe przesady.
  - Ale te klęski miały miejsce w regionie?
  - Nie jestem historykiem. Sądzę, że wszystko to stek niedorzeczności. O legendach mówi się, że zawierają w sobie coś z prawdy. W Sartuis jest jednak dym, ale nie ma ognia.
- Była siódma rano. Mariotte z miną biologa przygotowującego szczepionkę maczał nasmarowaną masłem kromkę w kawie z mlekiem. Pięć godzin snu dało wytchnienie memu ciału, ale nie umysłowi.



— Czy „Dom pod Zegarami” rzeczywiście stoi na bagnach?  
Mariotte skrzywił się z irytacją. Psułem mu śniadanie.

— Należałoby sprawdzić tamtejszą siatkę hydrograficzną. Wiem, że obwodnica, znajdująca się nieco dalej na wschód, zbudowana została na terenach podmokłych, które trzeba było osuszyć. Ale dom, o którym pan mówi, a przynajmniej jego fundamenty pochodzą sprzed ponad dwustu lat. Kto wie, jak było? Czy naprawdę potrzebne panu są te wszystkie informacje? Pisz pan reportaż?

Był chyba jedynym człowiekiem w tym mieście, który jeszcze wierzył, że jestem dziennikarzem. Doskonały przykład izolacji Kościoła od współczesnego świata.

— Tak naprawdę piszę książkę. Chciałbym przedstawić dokładnie tło.  
— Książkę? — spojrzał na mnie podejrzliwie. — Książkę? A o czym, mój panie?

— Chcę przedstawić historię rodziny Simonis.  
— Zastanawiam się, kogo mogłoby to zainteresować.  
— Wróćmy do mieszkańców Sartuis. Czy oni wierzą, że ich miasto prześladowuje pech? W złą moc tego domu?

Ksiądz wypił swoją kawę z mlekiem i mruknął:

— Tutejsi ludzie są gotowi wierzyć w cokolwiek. Wystarczy przejść się gdzie indziej, żeby usłyszeć, jak nazywają Sartuis: dolina diabła.  
— Zabójstwo Manon jeszcze pogorszyło sytuację?  
— To łagodnie powiedziane.  
— Podobnie z Sylvie.

Mariotte odstawił dzbanek i wbił we mnie wzrok.

— Drogi przyjacielu, dam panu radę: nie zajmuj się tym.  
— Czym mianowicie?  
— Tutejszymi zabobonami. To beczka Danaid.  
— Pierwszego wieczoru mówił mi ksiądz, że zainstalował konfesjonał przy tylnym wejściu od ogrodu, na wypadek gdyby ktoś nagle potrzebował spowiedzi. Czy to ma jakiś związek z przesądami? Czy parafianie boją się diabła?

Mariotte wstał i spojrzał na zegarek.

— Siódma! Jestem już spóźniony. Niedziela — uśmiechnął się z przymusem — to dla proboszcza dzień pełen zajęć. Rano msza, po południu mecz!

Jakby na potwierdzenie jego słów rozległy się kościelne dzwony. Chwycił kubek i talerz.

— Proszę zostawić, ja to sprzątnę — zaproponowałem.

Podziękował mi spojrzeniem i zniknął, trzasnąwszy drzwiami.

Ten księżulo zdecydowanie nie grzeszył odwagą. Niby mówił prawdę, ale zawsze coś zostawało niedopowiedziane.

Zebrałem ze stołu talerze i sztućce i włożyłem je do zmywarki. Doskonały moment do zastanowienia się. Czulem, że poza faktami jest w tej historii coś nadnaturalnego. Byłem pewien, że złowieszcze legendy odgrywały jakąś rolę w tych dwóch morderstwach. Dla zabójcy były źródłem inspiracji. Niewykluczone, że działał pod wpływem opowieści o diabłach i zegarach...

Wykąpałem się pod lodowatym prysznicem w szatni dormitorium. Zapakowałem torbę, wrzucając do niej nowe elementy — kasetę i książkę z legendami Jury — po czym włożyłem ją do bagażnika samochodu. Należało liczyć się z tym, że będę musiał pospiesznie stąd wyjeżdżać. Za parę godzin Sarrazin zacznie mnie ścigać.

*Godzina 8.00 rano*

Trochę za wcześnie, żeby dzwonić gdziekolwiek, zwłaszcza w niedzielę, ale nie miałem wyboru. Obszedłem kościół, zapaliłem papierosa i dotarłem do boiska do koszykówki.

Najpierw telefon do Foucaulta. Nikt nie odbierał ani komórki, ani telefonu stacjonarnego. Zadzwoiłem do Svendsena. To samo. Cholera. Wyglądało na to, że zostanę sam z moimi pytaniami i nowymi tropami. Szczękając zębami z zimna, zajrzałem do notesu z telefonami i zadzwoniłem do starego znajomego. Po trzech sygnałach podniósł w końcu słuchawkę. Kiedy poznał mój głos, zaśmiał się.

— Durey? Jaki zły wiatr cię przywiął?

— Bardzo pilna sprawa.

— W niedzielę? I jak zawsze zapewne coś nieoficjalnego.

— Możesz mi pomóc czy nie?

Jacques Demy był kolegą z mojego rocznika, geniuszem w wydziale do spraw finansowych.

— Zamieniam się w słuch.

— Chodzi mi o sprawdzenie kont pewnej Francuzki, pracującej w Szwajcarii, zmarłej w czerwcu tego roku. Czy to możliwe?

— Wszystko jest możliwe.

— Nawet w niedzielę?

— Komputery nie biorą urlopu. Jej bank znajduje się we Francji czy w Szwajcarii?

— Właśnie to sprawdź.

Podałem mu nazwisko i wszystkie szczegóły, jakie udało mi się zdobyć.

— Czego konkretnie szukasz?

— Być może dokonywała regularnych przelewów na przestrzeni wielu lat.

— Na czyje konto?

— Właśnie to chciałbym wiedzieć.

— Daj mi jakąś wskazówkę.

Powiedziałem mu o hipotezie, która nie opierała się na niczym.

— Może jest to detektywistyczna agencja. Jakiś prywatny detektyw.

— Przypuszczam, że ma to być na wczoraj?

Pomyślałem o Stephanie Sarrazinie, który pewnie już na mnie czekał w biurze miejscowej żandarmerii. Powiedziałem, że jest to bardzo pilne.

— Oddzwonię do ciebie tak szybko, jak to będzie możliwe — przyrzekł Demy.

Ta pierwsza rozmowa telefoniczna dodała mi energii. Potrzebowałem jej, żeby odbyć trudniejszą rozmowę z Laure Soubeyras.

— Nie zadzwoniłeś wczoraj — powiedziała zaszpanym głosem.

— Jak on się czuje?

— Bez zmian.

— A ty?

— Podobnie.

— Co mówią dziewczynki?

— Pytają, kiedy tata wróci.

Usłyszałem szelest prześcieradła, brzęk szklanki. Obudziłem ją. Pewnie zażyła leki nasenne i uspokajające.

— Co robisz z dziewczynkami dzisiaj?

— A co mam robić twoim zdaniem? Odwiozę je do moich rodziców i jadę do szpitala.

Cisza. Powinienem był powiedzieć coś pocieszającego, ale wolałem uniknąć banalnych formułek.

— A co u ciebie?

— Jadę jego śladami. Jestem w Jurze.

— I co znalazłeś?

— Jeszcze nic, ale posuwam się do przodu.

— Widziałeś, do czego to go doprowadziło.  
— Obiecuję ci, że znajdę wyjaśnienie.  
Znowu cisza. Słyszałem tylko ciężki oddech. Chyba była trochę otepiąta. Wciąż nie wiedziałem, co powiedzieć. Wobec tego mruknąłem:  
— Zadzwoń do ciebie. Obiecuję.  
Skończyłem rozmowę ze ściśniętym gardłem.  
Musiałem coś zrobić. Musiałem szukać.  
Pobiegłem do samochodu.  
Zamierzałem jeszcze czegoś spróbować, zanim Sarrazin wyrzuci mnie stąd.

## 43

Szkoła podstawowa Jean-Lurcat znajdowała się w północnej części miasta, w pobliżu supermarketu w rodzaju Leclerca, Lidia czy McDonald'a. Na domofonie przy wejściu były dwa przyciski: „Szkoła” i „Mme Bohn”. Dyrektorka czy dozorczyń? Nacisnąłem guzik z nazwiskiem. Po kilku sekundach odezwał się kobiecy głos. Przedstawiłem się jako policjant. Zapadła cisza, po czym mikrofon zachrypiał:

— Już idę.

Po chwili madame Bohn przytoczyła się. Było to właściwe słowo, bo bardziej toczyła się, niż szła. Musiała ważyć ze sto kilo i w płaszczu z lodenu przypominała olbrzymi filcowy dzwon. Wyobraziłem sobie, jakie przezwiska musieli nadawać jej uczniowie.

— Jestem dyrektorką tej szkoły.

Z dłońmi ukrytymi w rękawach, długich jak u Tybetańczyków, podniosła na mnie szeroką twarz z przesadnym makijażem, otoczoną jasnymi, lakierowanymi lokami.

— Czy to z powodu sprawy Simonis? — zapytała przez zaciśnięte zęby.

— Tak.

— Przykro mi. Nic nie mogę panu pomóc. Manon nie chodziła do naszej szkoły. Nie pan pierwszy się pomylił.

— A do której szkoły uczęszczała?

— Nie wiem. Może w Morteau. Albo do prywatnej po drugiej stronie granicy.

Kłamała. Wszyscy znali chronologię zabójstwa i nikt nie wspomniał o jeździe samochodem ze szkoły do Corolles. Spojrzałem w jej jasne, niezwykle okrągłe oczy. Cisza. Skłoniłem się.

— Proszę wybaczyć, że zakłóciłem pani spokój.

— To nic takiego. Przywykłam. Do widzenia panu. Podała mi pulchną rękę i zawróciła do siebie.

Poczekalem, aż wejdzie do środka, po czym przeskoczyłem przez bramkę. Musiałem szukać informacji na własną rękę. Znaleźć archiwum, włamać się i przejrzeć szkolne dzienniczki Manon Simonis. Czy jest jakaś szansa, że coś znajdzie? Powiedzmy pięćdziesiąt procent na sto.

Idąc przez podwórze, zobaczyłem po prawej stronie, tuż przy połączeniu głównego budynku z salą gimnastyczną, osobne domki. Toalety. Uśmiechnąłem się w duchu.

W głębi, w niewielkim ogrodzie, szumiały bambusy i topole. Nagle znalazłem się w jakimś chińskim ogrodzie z marzeń...

Jaka jest szansa, że natrafię na to, czego się spodziewałem?

Jedna na tysiąc.

Otworzyłem pierwsze drzwiczki toalety i rzuciłem wzrokiem na zielonkawą, popękaną ścianę. Szpary, brud, dziecinne graffiti. Jedne już zatarte, inne wryte w cemencie. „Dyrektorka to kurwa”, „Chuj, kutas, fajfus”, „Kocham Kevina”.

Przeszedłem do drugiej kabiny. Z szelestem liści mieszał się dobiegający skądś szmer cieknącej wody. Przeczytałem kolejne napisy. „Sabina obciąża Karima”, „Sodomia”... Napisy wzbogacone były rysunkami męskich członków i kobiecych pochw. Toalety najwyraźniej służyły także do zakazanych zabaw.

Trzecia kabina. Wszedłem z niej, przekonując siebie samego, że mój pomysł jest absurdalny. Pchnąłem kolejne drzwiczki i stanąłem jak wryty. Między dwiema rurami wryto krzywy napis: „Manon Simonis, rządzi tobą diabeł”.

Nie oczekiwałem czegoś takiego. Niemal biegiem przemierzyłem podwórze, wpadłem do budynku i wszedłem na pierwsze piętro. Dyrektorkę zastałem w gabinecie.

— Bierze mnie pani za idiotę?

Drgnęła. Stała, trzymając w ręku konewkę, którą zraszała swoje rośliny.

— Byłem w toaletach na podwórzu. Na jednym z graffiti widnieje imię Manon Simonis.

— Graffiti? W toalecie?

— Dlaczego mnie pani okłamała?

— Od dziesięciu lat proszę o fundusze na odnowienie...

— Po co te kłamstwa?

— Ja... Telefonowano do mnie. Uprzedzono mnie, że pan się zjawi.

— Kto?

— Żandarm. Powiedział mi o policjancie wysokiego wzrostu, który interesuje się Manon. Polecił mi, abym się pana pozbyła.

Ta odpowiedź uspokoiła mnie. Sarrazin, tak jak przypuszczałem, uprzedzał moje poczynania.

— Proszę usiąść. Zajmę pani tylko kilka minut.

— Podleвам kwiatki. Mogę odpowiadać na stojąco.

— Nie potępiam kapitana Sarrazina — powiedziałem łagodnie. — Sprawa Simonis to delikatny problem.

— Pan przyjechał z Paryża?

Czułem, że jest gotowa uwierzyć w kłamstwa, jakie powiedziałem Marilyne Rosarias.

— Nasz wydział powiadamiany jest w szczególnych przypadkach. Gdy dotyczy to na przykład sekt, mordów rytualnych. Śledczy na ogół nie lubią, gdy wtykamy nos w ich sprawy. Mamy swoje własne metody.

— Rozumiem. Sylvie Simonis została zamordowana? Czy to oficjalna wersja?

— Jej śmierć przypomniła o pierwszym morderstwie — odpowiedziałem wymijająco. — Czy pani kierowała tą szkołą, gdy uczęszczała tu Manon?

Madame Bohn nacisnęła spryskiwacz, wypuszczając z niego wodną mgiełkę. Powtórzyłem pytanie.

— W tamtym czasie byłam tylko nauczycielką, tak jak jeszcze rok temu. Uczyłam ją w przedostatniej klasie.

— Jaka była Manon?

— Żywa, figlarna... aż za bardzo. Charakter Manon nie pasował do jej twarzy anioła.

— Sądziłem, że była dzieckiem nieśmiałym, powściągliwym w zachowaniu.

— Wszyscy tak uważali. W rzeczywistości była swawolna. Stale szukała okazji, żeby zrobić jakiś kawał. Niekiedy bywała wręcz niebezpieczna.

— Niebezpieczna?

— Niczego się nie bała. Lubiła ryzyko.

Ta informacja podważała hipotezę o porwaniu.

- Poszłaby z kimś obcym?
- Tego nie powiedziałam. Przy tym wszystkim była dość nieufna.
- Jak opisałyby pani relacje między nią i Thomasem Longhinim?
- Byli nierozłączni.
- Dzielili ich różnica pięciu lat.
- Szkoła podstawowa i liceum mają wspólny dziedziniec. Poza tym widywali się w Corolles.
- Śledczy uznali, że Manon tamtego wieczoru mogła pójść tylko z Thomasem Longhinim. Czy pani zgadza się z tą opinią?
- Zawahała się i ponownie zajęła się spryskiwaniem kwiatów. W powietrzu unosił się cmentarny zapach wilgotnej ziemi. Ziemi, którą zasypią nas wszystkich.
- Tworzyli parę, to nie ulega wątpliwości. Manon bez wahania poszłaby z Thomasem.
- Taka jest pani hipoteza?
- Tak, mogli pójść na teren oczyszczalni, wymyślić zabawę, która źle się skończyła.
- Powinienem odnaleźć tego Thomasa Longhiniego za wszelką cenę.
- Jeśli miałby to być wypadek, to jak wyjaśnić groźby autora anonimowych telefonów?
- Może to zbieg okoliczności. Sylvie Simonis miała wielu wrogów. Ale po co to wszystko odgrzebywać po czternastu latach?
- A pani, w szkole, nie miała jakichś dziwnych telefonów?
- Jeden raz. To był mężczyzna. Powiedział, że ma wielkiego kutasa i że zamierza włożyć mi go głęboko.
- Zdziwiłem się, że madame Bonn oznajmiła to tak obojętnym tonem.
- Ciągle na to czekam — dodała z rozczarowaniem w głosie. Spojrzała na mnie sponad ramienia i uśmiechnęła się.
- Proszę mi wybaczyć. To był żart.
- Zmieniłem temat.
- Zna pani „Dom pod Zegarami”?
- Oczywiście. Mieszkała tam Sylvie Simonis.
- Czy zna pani historię tego domu? Legendę krążącą na jego temat?
- Wszyscy ją znają.

— W toalecie szkolnej znalazłem napis: „Manon Simonis, rządzi tobą diabeł”. Jak pani sądzi, dlaczego tak napisano?  
— Wśród uczniów krążyły różne plotki.  
— Jakiego rodzaju?  
— Mówiono, że prześladował ją diabeł.  
— Jaki diabeł?  
— Nie mam pojęcia.  
— Skąd taki pomysł?  
— Dziecięce historyjki. Nie wiem, skąd się to wzięło. Ani co to naprawdę oznacza.

Uśmiechnęła się z zażenowaniem. Wyczułem, że ta kobieta, jak wszyscy, którzy mieli do czynienia z Manon, żyła z ustawicznymi wyrzutami sumienia. Czy można było przewidzieć morderstwo? Czy można go było uniknąć?

— Zawsze łatwiej jest oceniać po wszystkim, prawda? — szepnęła.

Pomyślałem o Lilas, o mojej błędnej ocenie sytuacji, przez którą zginęło dwoje dzieci, a trzecie zostało sierotą. W czynnym życiu nie ma miejsca na żal. Nie wypowiedziałem żadnych słów chrześcijańskiego pocieszenia. Podziękowałem jej i wyszedłem.

Na schodach zajrzałem do swojej komórki. Żadnych wiadomości. Co do licha robili Foucault, Svendsen, Demy? Co oni wszyscy sobie myślą?

*Godzina 11.00*

Stephane Sarrazin nie czekał na mnie przed szkołą, ale czułem jego obecność w mieście, jego gotowość, żeby mnie wypchnąć na autostradę. Wsiadłem do samochodu i ruszyłem pędem w kierunku miasteczka Corolles.

## 44

Słońce wywabiło ludzi na trawę. Turystyczne lodówki, pojemniki z piwem, kartonowe talerze. Dzieciaki bawiły się w różne gry na powietrzu. Rodzice wesoło popijali. Od tyłu domy Corolles z ich białymi ścianami i czerwonymi okiennicami przypominały konstrukcje z klocków lego.



Zostawiłem samochód na parkingu i poszedłem z boczem wzgórza w dół. Żeby ominąć piknikujących, przecisnąłem się przez żywopłot z ligustru i skierowałem się do klatki schodowej numer 15, gdzie mieszkała Martine Scotto, opiekunka Manon.

Wąski korytarz. Półmrok. Brak domofonu. Jedynie tablica z listą lokatorów. Znalazłem nazwisko opiekunki — drugie piętro.

Wszedłem po schodach na górę i zadzwoniłem do drzwi. Cisza. Martine Scotto nie było w domu. Może znajdowała się na dole z innymi. Nie wiedziałem, jak ją rozpoznać. Poczułem się rozczarowany. Przemierzałem trawnik, kiedy w kieszeni odezwała się moja komórka.

Demy. Nie spodziewałem się, że to on będzie pierwszy.

— Znalazłeś coś?

— Tak. Sylvie Simonis dokonywała regularnych przelewów. Jeden z nich chyba pasuje do tego, czego szukasz. Raz na kwartał, na konto w Szwajcarii.

— Od kiedy?

— Od października 1989 roku. Piętnaście tysięcy franków co trzy miesiące. Obecnie to pięć tysięcy euro.

Uderzyłem pięścią w ścianę. Z moimi przypuszczeniami trafiłem w dziesiątkę. Po niepowodzeniu w śledztwie, po fiasku z Morazem, Cazeviem i Longhinim Sylvie postanowiła działać i wynająć prywatnego detektywa i to takiego, który pracował dla niej ponad dziesięć lat — Masz nazwisko adresata?

— Nie. Pieniądze są przelewane na numerowane konto.

— Można dowiedzieć się, czyje ono jest?

— Bez problemu. Wystarczy międzynarodowy nakaz rewizji i konkretne dowody, że pieniądze, o których mowa, są nielegalne.

— Niech to szlag!

— A skąd pochodzą te pieniądze? — zapytał Demy.

— Z jej dochodów. Sylvie Simonis była zegarmistrzem.

— No to zapomnij o tym, chłopie.

— Nie ma żadnego innego sposobu?

— Zobaczę. Moim zdaniem ta forsa była potem przekazywana na inne konto, tym razem opatrzone nazwiskiem.

— Możesz prześledzić ten transfer?

— Zobaczę. Jeśli facet odbierał gotówkę osobiście w okienku, to sprawa stracona.

Podziękowałem mu i się wyłączyłem. Zszedłem na parter,

odrzucając w myślach takie możliwości, że Sylvie na przykład odkładała pieniądze uzyskane na lewo, albo że płaciła rentę komuś z dalekiej rodziny. Czułem prze skórę, że moja hipoteza jest słuszna. Ona opłacała prywatnego detektywa. Człowieka, u którego akta tej sprawy sięgały już zapewne sufitu. Być może ten człowiek znał nazwisko zabójcy!

Zatrzymałem się przed oszklonymi drzwiami na korytarzu. Na strzyżonym trawniku wesoło się bawiono. Mężczyźni mieli wąsy i ubrani byli w dresy, kobiety zaś w długie legginsy i jaskrawe bawełniane koszulki. Dzieci dokazywały w bramach. Ta głośna zabawa w słońcu przywodziła na myśl skwierczące na grillu kielbaski.

Znowu wystukałem numer Foucaulta. Odebrał po dwóch sygnałach.

— Foucault? Tu Durey.

— Mat? Właśnie rozmawialiśmy o tobie.

— Z kim?

— Z moją żoną. Jesteśmy z synem w parku Andre-Citroen. Nie wierzyłem własnym uszom. Od samego rana czekałem na wiadomości, a ten drań spokojnie poszedł na spacer do parku! Przelknąłem wściekłość, przypomniałem bowiem sobie Luca, który szantażował swoich ludzi, żeby lepiej ich wykorzystać.

— Nie masz dla mnie nic nowego?

— Mat, słowo „niedziela” nic ci nie mówi?

— Przykro mi.

Foucault zaśmiał się.

— Nie sądzę. Zresztą mnie też nie jest przykro. Dzwonisz z powodu Longhiniego? Ten twój chłopak jest jak zjawa.

— Masz jego nowe nazwisko?

— Nie. Prefektura w Besancon nie dopuszcza nikogo do informacji. W ubezpieczalni społecznej nie ma nic. A jeśli chodzi o policyjne biuro poszukiwań i identyfikacji przestępców to istnieje tam specjalne dossier.

— Co ty bredzisz.

— Dossier zastrzeżone przez żandarmów. Pomogli mu wtedy w ucieczce.

A więc żandarmi zrobili kawał policji i nawet pomogli chłopcu zniknąć. W takim razie nie ma nadziei, żeby go odnaleźć. Odwróciłem się od oszklonych drzwi i poszedłem z powrotem korytarzem na tył budynku.

— Czy mogę powiedzieć, co o tym myślę?

— Mów.

Otworzyłem drzwi ewakuacyjne i znalazłem się u stóp stromego trawiastego zbocza. Na szczycie kołysały się z wolna sosny, odsłaniając od czasu do czasu przeblyski lodowatego słońca. Oparłem się o ścianę.

— Kiedy chłopak siedział w areszcie, policjanci musieli dobrze dać mu w kość. Był w stanie szoku.

— Dlaczego tak przypuszczasz?

— Był na konsultacji u psychiatry.

— Skąd to wiesz?

— Sprawa z ubezpieczeniem. Przez jakiś czas towarzystwo ubezpieczeniowe przysyłało pieniądze na jego stary adres. Dopilnowali tego żandarmi. Towarzystwo zachowało recepty oraz poświadczenia konsultacji u psychiatry.

— Czy to znaczy, że znasz nazwisko tego psychiatry?

— Tak, nazwisko i adres.

— I dopiero teraz mi to mówisz?

— Dzwoniłem do niego wczoraj. Nie miał nowego adresu i...

— Dawaj jego namiary. Wyciągnąłem notes.

— Słuchaj... — Foucault zawahał się.

— Co?

— Nie mam przy sobie, jestem w parku.

— Daję ci dziesięć minut na dotarcie do biura. To rozkaz.

Foucault już zamierzał przerwać rozmowę, kiedy zapytałem:

— Czekaj, a co z innymi poszukiwaniami? Dotyczącymi zabójstw tego samego rodzaju?

— Nic.

— Nawet na szczeblu krajowym?

— SALVAC nie ma nic o morderstwie podobnym do twojego. Ten człowiek zrobił to po raz pierwszy.

— Zostało ci już tylko dziewięć minut.

Zadzwoń do Svendsena. Gdy odebrał telefon, od razu poprawił mi się nastrój.

— Moi chłopcy pracują, ale na razie nie ma nic nowego.

— Dzwonię do ciebie z innego powodu.

Lekarz westchnął.

— Słucham więc.

— Foucault nie znalazł morderstwa podobnego do naszego.

— I co z tego? Może to jego pierwszy raz.

— Trzeba wziąć pod uwagę inne kryteria w naszym poszukiwaniu.

— A co ja mogę z tym zrobić?

— Foucault wziął za punkt wyjścia morderstwo, a może należałoby zacząć od ciała.

— Nie rozumiem.

— Sam powiedziałeś, że proces psucia się ciała to podpis zabójcy. Tego, który bawi się chronologią śmierci.

— Mów dalej.

— Lekarz sądowy mógłby nie zauważyć takich zmian na zwłokach nadjedzonych przez robaki...

— Zawsze jest zalany.

— Chciałbym skierować poszukiwania na wszystkie zwłoki znalezione w stanie zaawansowanego rozkładu.

— W jakim okresie?

— W latach osiemdziesiąt dziewięć—dwa tysiące dwa.

— Wiesz, ile to będzie trupów?

— Da się to zrobić czy nie? Za pośrednictwem instytutów medycyny sądowej?

— Zajrzę do kostnicy. Przedzwonię do kolegów, których numery domowe znam. Poczekam z tym do poniedziałku. Tak czy siak, zajmie to trochę czasu.

— Dzięki.

Schowałem komórkę i poszedłem wzdłuż muru przy wtórze szumu sosen. Ich cień mroził mnie między dwoma prześwitami promieni słońca. Podniosłem kołnierz płaszcza, czekając na telefon od Foucaulta.

W głowie kotłowały mi się przeróżne hipotezy i żadna tak naprawdę mnie nie przekonywała. Ukryty za budynkiem czułem się dość bezpieczny.

Przynajmniej tutaj Sarrazin mnie nie znajdzie...

## 45

Dzwonek telefonu zelektryzował mnie. W sekundę otrzeźwiałem.

— Tu Foucault. Masz czym notować?

Spojrzałem na zegarek. Czternasta dziesięć. Potrzebował mniej niż dwudziestu minut, żeby znaleźć się w biurze. Niezły wynik.

— Notujesz czy nie?

— Wal.

— Facet nazywa się Ali Azoun. Teraz mieszka w Lyonie. Uprzedzam cię, że z nim nie ma żartów.

Nabazgrałem numer telefonu i adres psychiatry. Podziękowałem Foucaultowi, który mruknął w odpowiedzi:

— Zostaję w biurze. I tak już niedziela zepsuta. Spędzę popołudnie w archiwum. Może znajdę jakieś morderstwo przypominające choć trochę to twoje. Nigdy nie wiadomo. Zadzwoń.

Od jego słów zrobiło mi się ciepło na sercu. Dochodzenie znowu nas cementowało. Kryjąc się za budynkiem, wystukałem numer psychiatry. Przedstawiłem się i od razu przystąpiłem do rzeczy:

— Dzwonię w sprawie Thomasa Longhiniego.

— Znowu? Wczoraj już ktoś dzwonił do mnie w tej samej sprawie.

— To był mój współpracownik. Potrzebne mi są dokładniejsze informacje.

Zapadła pełna napięcia cisza.

— Nie odpowiem na żadne pytanie przez telefon. Zwłaszcza nie widząc uprawniającego dokumentu. Już pański kolega nie wydał mi się godny zaufania. Zresztą żandarmi mają kompletne akta na ten temat. Wystarczy tylko...

— Mamy nowe elementy.

— Jakie elementy?

— Thomas Longhini mógł być zamieszany w dwa morderstwa: Manon i jej matki Sylvie Simonis.

— To śmieszne. Thomas nie może być wmieszany w żadne morderstwo.

Azoun nie był zaskoczony wiadomością o zabójstwie Sylvie. Musieli z nim wcześniej rozmawiać żandarmi.

— Interesuje mnie właśnie pańska opinia o jego winie lub niewinności.

Lekarz znowu milczał przez moment, po czym zaproponował bardziej pojednawczym tonem:

Poczekajmy do poniedziałku. Prześle mi pan faks i...

- Nie dzwonię do pana w sprawie dostawy czekolady. Chodzi o śledztwo w sprawie zabójstwa. To pilne. Jakie jest nowe nazwisko Thomasa Longhiniego?

- Znają je żandarmi. Nie powiedzieli panu? Ja go nie znam.
- Dlaczego pomysł dotyczący winy Thomasa wydał się panu śmieszny?
- Thomas nie jest mordercą. To wszystko.
- Był podejrzany o zabójstwo Manon.
- Przez głupią nadgorliwość pańskich kolegów! Biedny chłopak nacerpiał się przez tych policjantów.
- Proszę mi opowiedzieć o szoku, jakiego doznał, o jego reakcjach.
- Nic z tego. Proszę przefaksować mi oficjalny dokument uprawniający pana do prowadzenia sprawy. Wtedy porozmawiamy.
- Chciałbym zyskać jeden dzień. Jeśli to fałszywy trop, natychmiast z niego zrezygnuję.
- Absolutnie fałszywy. I przede wszystkim proszę go nie dręczyć od nowa! Dostał już swoje.
- Udałem współczucie.
- Rzeczywiście był w tak złym stanie?
- Azoun westchnął.
- Cierpiał na przerost imaginacji charakterystyczny dla wieku chłopięcego. Mój raport dotyczył właśnie tego. Zajmowałem się nim całe Drgnąłem. Thomas Longhini został uznany za podejrzanego w styczniu osiemdziesiątego dziewiątego roku.
- Lato osiemdziesiątego dziewiątego roku?
- Ależ skąd, lato osiemdziesiątego ósmego roku!
- Manon Simonis została zamordowana dwunastego listopada osiemdziesiątego ósmego roku.
- Nie rozumiem. Nie zapoznał się pan z aktami?
- Proszę mi to wyjaśnić.
- Leczyłem Thomasa przed morderstwem. Jego rodzice przyszli do mnie w maju osiemdziesiątego ósmego roku. A potem, na początku następnego roku, byłem przesłuchiwany przez ludzi z SRPJ z Besancon, ponieważ dobrze znałem Thomasa. Świadczyłem zresztą na jego korzyść. Foucault pomylił daty. Kiedy natrafił w aktach na nazwisko psychiatry, uznał, iż wezwano go jako eksperta albo żeby uspokoił zszokowanego chłopca. Tymczasem Ali Azoun leczył Thomasa rok przed zabójstwem!
- Odkaslnąłem, nie tracąc zimnej krwi.
- Jakie miał wówczas problemy?

- Jego rodzice niepokoiili się, że czasem mówi od rzeczy.
- Na przykład?
- Często mówił o diable.
- Podniosłem wzrok. Miałem wrażenie, że góra chwieje się na tle nieba.
- A dokładniej?
- Mówił, że Manon Simonis, którą traktował jak swą młodszą siostrę, jest w niebezpieczeństwie. Że zagraża jej diabeł.
- Kto był tym diabłem? Jak wyglądał?
- Thomas nie wiedział. Chciał, żebym ją zobaczył. Miał nadzieję, że ze mną będzie jej łatwiej rozmawiać.
- Dlaczego właśnie z panem?
- Nie wiem. Bo byłem dorosłym człowiekiem. Lekarzem.
- Czy kontaktował się pan z jej matką?
- Nie. Thomas uważał... że jej matka ma coś wspólnego z tym zagrożeniem.
- Poczułem mrowienie na karku.
- Chce pan powiedzieć, że to ona była zagrożeniem?
- To było bardziej skomplikowane.
- Co pan zrobił? Widział się pan z dziewczynką?
- Nie. Wtedy traktowałem to jako zaburzenie psychiczne u tego chłopca. W tym wieku diabelskie wizje to klasyczne objawy. Poza tym jego relacje z młodszą od niego o pięć lat Manon nie były jasne. W czasie seansów chodziło mi o to, żeby zapanować nad jego pożądaniem. Rozumie pan?
- I na tym pan poprzestał?
- Zawsze łatwo jest krytykować psychiatrę po konkretnych wydarzeniach. Za każdym razem oczernia się nas, robi się nam wyrzuty. Nie jesteśmy jasnovidzami!
- Madame Bonn powiedziała to samo. Dorośli nie umieli przyznać, że lęki tych dwojga dzieci mogły mieć realne podstawy. Azoun powiedział, ścisząc głos:
- Patrząc wstecz, myślę, że Manon była rzeczywiście w niebezpieczeństwie. Ale nie chciała pogodzić się z tym, że to zagrożenie może pochodzić od kogoś dorosłego. I dlatego mówiła o diable.
- Dlaczego dziewczynka nie przyjmowała do wiadomości, kim naprawdę jest jej wróg?
- Może po prostu kochała tego kogoś? W jej umyśle powstał konflikt. To dosyć częste w wypadku pedofilii.

— Uważa więc pan, że matka Manon stanowiła dla niej zagrożenie?  
— Ona albo ktoś bliski.  
— Thomas nie wymienił nigdy żadnego imienia? Nie dał jakiejś wskazówki?  
— Nigdy. Mówił o „diable”, o „demonie”.  
— Widział się pan potem z Thomasem? Po jego uniewinnieniu?  
— Tak, gdy go zwolniono. Rodzice chcieli, bym towarzyszył ich synowi w tych trudnych chwilach. Oni sami byli kompletnie wytrąceni z równowagi.  
— Thomas doszedł do siebie?  
— Według mnie był silniejszy, niż sądzono. Jego załamała śmierć Manon. Szczególnie fakt, że nikt go nie słuchał, kiedy uprzedzał o niebezpieczeństwie. Miał o to żal do całego świata. Powtarzał, że wróci i pomści Manon.

Moja lista mścicieli wciąż się wydłużała: Sylvie Simonis prowadząca dochodzenie od czternastu lat; Patrick Cazeviel, który nie „powiedział ostatniego słowa”, a teraz doszedł Thomas Longhini, który przysiągł, że wróci do Sartuis.

— Rodzina Thomasa opuściła te strony — zakończył Azoun. — Już go więcej nie widziałem. Ale nadal uważam, że on z tego wyszedł. To wszystko. I tak za dużo powiedziałem.

Rozłączył się. Wsunął komórkę do kieszeni. Rozważyłem w myślach to, co usłyszałem. Sylvie Simonis zamieszana w morderstwo córki? Nie, wolałem pozostać przy mojej hipotezie, że prowadziła własne dochodzenie z pomocą prywatnego detektywa.

Jak dotąd była to jedyna sensowna hipoteza.

Ten sam morderca w obu wypadkach.

Ruszyłem do mojego audi. Była godzina piętnasta i już robiło się ciemno. Na trawnikach nie widziałem już nikogo. Mój urlop się kończył, a ja niczego nie znalazłem. Otwierając drzwiczki samochodu, pomyślałem, żeby udać się na żandarmerię i spróbować zawrzeć z Sarrazinem rozejm. Był to jedyny sposób na pozostanie w mieście.

Czyjaś ręka spoczęła na moim ramieniu. Zmusiłem się do odpowiedniego do okoliczności uśmiechu, przygotowany, że ujrzę głębież — To pan jest tym reporterem?

Nie zrozumiałem pytania.

— Ojciec Mariotte mówił mi o dziennikarzu.



— Tak, to ja — odrzekłem w końcu. — Ale nie mam teraz czasu.  
Mężczyzna obejrzał się za siebie, jakby obawiając się jakichś niedyskretnych uszu.  
— Jest coś, co mogłoby pana zainteresować.  
— Słucham.  
— Moja żona pracuje w szpitalnej pralni.  
— I co z tego wynika?  
— Jest tam ktoś, kogo przywieziono w tym tygodniu. Człowiek, którego powinien pan zobaczyć...  
— Kto taki?  
— Jean-Pierre Lambertson.  
Coś takiego. Człowiek, który kierował śledztwem w sprawie zabójstwa Manon. Chopard mówił, że umiera na raka w szpitalu Jean-Minjoz.  
— Nie, jest w Besancon?  
— Wolał wrócić do Sartuis. Z tego, co moja żona słyszała, nie pociągnie długo i...  
— Dziękuję panu.  
Mężczyzna powiedział coś jeszcze, ale trzask drzwiczek zagłuszył jego słowa.  
Przekręciłem kluczyk w stacyjce. Kierunek centrum miasta.

## 46

Szpital w Sartuis podobny był do szpitala w Besancon. Ta sama architektura z lat pięćdziesiątych, taki sam szary beton. Tyle że w niniejszym rozmiarze. Wnętrze równie znajome — korkowe panele na ścianach, recepcja z plastikowym kontuarem, słabe oświetlenie. Podeszedłem od razu do kontuaru i zapytałem o numer sali, w której leżał Lambertson.  
— Czy jest pan z rodziny?  
Pokazałem legitymację i odpowiedziałem:  
— Tak, z dużej rodziny.  
Zmierając w kierunku wind, rzuciłem okiem na lewo, gdzie stał dystrybutor napojów. Tuż obok była kabina telefoniczna. To z tej kabiny w wieczór morderstwa zabójca dzwonił do Sylvie Simonis. Próbowałem wyobrazić sobie jego sylwetkę za brudnymi

szybami. Nie zobaczyłem nic. Nie potrafiłem stworzyć obrazu zabójcy. Nie mogłem myśleć o nim jak o istocie ludzkiej.

Schodami wszedłem na drugie piętro. Na korytarzu czekali członkowie rodzin chorych. Udałem się wprost do sali numer 238 i chwyciłem za klamkę.

— Co pan tu robi?

Za mną stał mężczyzna w białym kitlu. Autorytatywnym tonem dodał:

— Jestem lekarzem dyżurnym. Czy jest pan krewnym?

Znowu pokazałem legitymację. Zrobiła na nim znacznie mniejsze wrażenie niż w recepcji na parterze.

— Nie może pan tam wejść. To już koniec.

— Czy to znaczy...

— To kwestia godzin.

— Muszę się z nim koniecznie zobaczyć.

— Powiedziałem panu, że jest w stanie agonalnym. Czy to nie dość jasne?

— Proszę posłuchać. Chodzi tylko o to, żeby powiedział kilka słów. Być może zna on klucz do pewnego śledztwa. Do śledztwa kryminalnego, nad którym pracowałem.

Lekarz zawahał się. Otworzył drzwi i zatrzymując się na progu, rzekł:

— Tylko kilka minut. To człowiek umierający. Wszędzie ma przerzuty nowotworowe. Tej nocy przestała mu działać wątroba. Jego krew jest zainfekowana.

Odsunął się na bok, pozwalając mi wejść. Żaluzje były opuszczone, pokój pusty — żadnych kwiatów, fotela, nic. Jedynie chromowane łóżko i aparatura monitorująca. Przy łóżku zawieszono były plastikowe pojemniki owinięte białą taśmą. Lekarz podążył za moim spojrzeniem.

— Butle z krwią do transfuzji — szepnął. — Musieliśmy je osłonić. On nie znosi widoku krwi.

Ruszyłem przez półmrok w kierunku łóżka. Lekarz dodał za moimi plecami:

— Pięć minut. Ani sekundy dłużej. Czekam na pana na zewnątrz.

Zamknął za sobą drzwi. Podeszedłem bliżej. Wśród płataniny rurek leżał człowiek słabo oświetlony nieustannie błyskającą aparaturą do kontroli czynności fizjologicznych. Jego głowa odcinała się na białej poduszce. Wydawała się jakby oderwana od

reszty ciała. Z rąk pozostały już niemal tylko kości, natomiast brzuch pod prześcieradłem był wydęty jak u ciężarnej kobiety.

Podszedłem jeszcze bliżej. W ciszy dało się słyszeć pyknięcie plastikowego pojemnika, a potem długi szmer oddechu. Nachyliłem się, by przyrzeć się czarnej głowie. Nie tylko była łyśa, bez jednego włosa, ale zniszczona, spieczona naświetlaniami. Na oszpeconej twarzy zostało jeszcze trochę mięśni i nerwów, na których trzymała się skóra.

Kiedy byłem już całkiem blisko, pojąłem, dlaczego wydało mi się, że głowa leży oddzielnie od torsu. Bandaż owijający szyję zlewał się z białą poduszką, tworząc wrażenie odciętej głowy. Chopard mówił o raku gardła lub tarczycy. Coś w tym rodzaju. Niemożliwością było przesłuchiwać człowieka w takim stanie, zwłaszcza że znajdował się pod wpływem morfiny. Nie miał już chyba tchawicy, krtani ani strun głosowych.

Odskoczyłem do tyłu, gdy otworzył oczy.

W nieruchomych źrenicach widniało niezwykle napięcie. Prawa ręka uniosła się, pokazując na słuchawki zawieszona na aparaturze. Do gardła chorego prowadził osobny kabel. Urządzenie wzmacniające. Nałożyłem słuchawki na uszy.

— Oto błędny rycerz... szukający prawdy...

Słyszałem głos w słuchawkach, ale usta chorego nie poruszały się. Mówił bezpośrednio z brzucha. Naświetlania uszkodziły także narządy mowy.

— Policjant, na którego wszyscy czekali...

Zaskoczyły mnie te słowa. Lambertson wyczuł we mnie policjanta. Będąc na progu śmierci, otwarcie drwił ze mnie. Cicho powiedziałem:

— Jestem z brygady kryminalnej z Paryża. Co mógłby mi pan powiedzieć o zabójstwie Manon?

— Nazwisko sprawcy.

— Mordercy Manon?

Lamberton zamknął powieki na znak potwierdzenia.

— Kto nim jest?

— Matka.

— Sylvie?

— Ona zabiła swoją córkę.

Przeniknął mnie dreszcz.

— Wiedział pan o tym od początku?

— Nie.

- A od kiedy?
- Od wczoraj.
- Od wczoraj? Jak mógł się pan czegokolwiek dowiedzieć tutaj?

Uśmiechnął się z trudem. Mięśnie i nerwy tworzyły na jego twarzy ciemne bruzdy.

- Przyszła do mnie wczoraj.
- Kto?
- Pielęgniarka... Była świadkiem w sprawie.

Mój mózg zaczął gorączkowo pracować. Jean-Pierre Lambertton podważał alibi Sylvie Simonis. Została oczyszczona z wszelkich podejrzeń, ponieważ w momencie morderstwa leczono ją w tym właśnie szpitalu. Straszny brzuchomówca powtórzył:

- Przyszła do mnie. Wszystko mi wyznała. Wciąż tu pracuje.

Domyśliłem się całej historii. Z takiego czy innego powodu pielęgniarka wówczas skłamała. Od czternastu lat żyła z wyrzutami sumienia. Gdy dowiedziała się, że Lambertton, śmiertelnie chory, znalazł się w tym szpitalu, wyspowiadała się przed nim.

- Katsafian. Nathalie Katsafian. Zobacz się z nią.
- Pod jakim nazwiskiem ukrywa się teraz Thomas Longhini? —

zapytałem szeptem.

W moich słuchawkach nie rozległ się żaden dźwięk. Machinalnie postukałem w nie. Rozmowa była skończona. Lambertton odwrócił się do okna. Już zabierałem się do wyjścia, gdy znowu zachrypiał:

- Poczekaj.

Zastygłem bez ruchu. Jego oczy znowu utkwione były we mnie. Dwie czarne źrenice z żółtymi obwódkami, które przeżyły naświetlania, oparły się destrukcji.

- Palisz?

Pomacałem się po kieszeniach i wyjąłem paczkę cameli. Kołnierzyk koszuli miałem mokry od potu. Umierający szepnął:

- Zapal jednego... dla mnie...

Zapaliłem camela, wydmuchując dym nad jego spaloną twarzą. Wyglądała jak meteoryt, bryła żużlu.

Lamberton zamknął oczy. Żadnym słowem nie dałoby się opisać wyrazu jego twarzy, ale można było się w niej dopatrzeć czegoś w rodzaju przyjemności. Niebieskawe kółka dymu krążyły nad jego ciałem, a mój umysł działał w zwolnionym tempie. Zdałem sobie sprawę, że chory znowu utkwiał we mnie wzrok.

- Ostami papieros skazańca, ofiary nałogu.

W słuchawkach usłyszałem straszliwy śmiech. —  
Dzięki, kolego.  
Zdjąłem słuchawki, zgmiotłem camela na podłodze. Uścisnąłem mu serdecznie rękę.

## 47

Wyszedłem z nerwami napiętymi do ostateczności. Lekarz czekał na mnie pod drzwiami. Zapytałem go, gdzie mógłbym znaleźć Nathalie Katsafian. Miałem szczęście — pracowała tej niedzieli, piętro niżej.

Zbiegłem po schodach i zderzyłem się w korytarzu z kobietą w białej płóciennej tunice i takich samych spodniach. Czterdziestoletnia prosta kobieta, z twardym wyrazem twarzy okolonej posiwiałymi blond włosami.

— Nathalie Katsafian?

— Tak to ja.

Chwyciłem ją za ramię.

— Co pan wyrabia?

Zauważyłem drzwi z napisem: „Tylko dla personelu”. Otworzyłem je i wepchnąłem pielęgniarkę do środka.

— Co z panem?

Zamknąłem drzwi łokciem, włączając jednocześnie kontakt. Zapaliły się neonowe lampy. Pod ścianami półki z poskładanymi prześcieradłami, kitłami.

— Potrzebujemy spokoju, żeby porozmawiać.

— Proszę mi pozwolić wyjść!

— Tylko chwila rozmowy.

Kobieta spróbowała mnie ominąć. Odepchnąłem ją i pokazałem legitymację.

— Wydział zabójstw. Pani wie, dlaczego tu jestem, prawda?

Nie odpowiedziała. Patrzyła na mnie ze złością.

— Manon Simonis. Listopad osiemdziesiąty ósmy rok. Dlaczego pani wtedy kłamała?

Nathalie Katsafian załamała się. Jej twarz zrobiła się bledsza niż leżące na półkach prześcieradła.

— Powtarzam pytanie: dlaczego pani skłamała w osiemdziesiątym ósmym roku?

— Prowadzi pan śledztwo w sprawie zabójstwa Manon?  
— Proszę odpowiedzieć na moje pytanie.  
Przeciągnęła ręką po włosach. Wyraz strachu szpecił jej twarz.  
— Ja... ja bałam się. Miałam wtedy dwadzieścia pięć lat. Kiedy żandarmi przyszli do szpitala, zapytali mnie, czy Sylvie Simonis była w swoim pokoju o godzinie siedemnastej tamtego dnia. Odpowiedziałam, że tak — A było inaczej?  
— Prawdę mówiąc, nie byłam pewna.  
— Dlaczego pani to ukryła?  
Przełknęła ślinę. Wyraz strachu ustąpił miejsca rezygnacji. Jakby od czterech lat czekała na tę chwilę prawdy.  
— Odbywałam wówczas staż. Przełożona pielęgniarek surowo pilnowała przestrzegania regulaminu. Godzina siedemnasta była porą mierzenia temperatury. Miałyśmy to robić osobiście i odnotowywać w naszym wykazie.  
— Ale bywało z tym różnie?  
— Tak. Najczęściej pacjenci obsługiwali się sami. My tylko spisywałyśmy temperaturę z termometrów.  
— Tak więc chory mógł być w tym momencie nieobecny w pokoju?  
— Tak.  
— Tak było w wypadku Sylvie Simonis?  
— Chyba tak.  
— Tak czy nie? — wrzasnąłem.  
— Tak. Kiedy weszłam do sali, jej tam nie było. Zanotowałam temperaturę i wyszłam.  
— Nie wie pani, jak długo była nieobecna?  
— Nie wiem. Była sama w pokoju. Mogła zniknąć nawet na kilka godzin. Nikt by tego nie zauważył.  
Milczałam. Alibi Sylvie Simonis przestało istnieć. Pielęgniarka usiłowała się usprawiedliwić.  
— Skłamałam wtedy, bo nie wydawało mi się to ważne. Nikt jej nie podejrzewał. Czyż nie była ofiarą tego, co się stało?  
— Pani coś jeszcze wie.  
Pomacała się po twarzy, jakby ktoś ją uderzył.  
— To się wydarzyło kilka miesięcy później, kiedy zrobiono wizję lokalną.  
— Z udziałem Patricka Cazeviela?  
Przytaknęła głową.

— W gazetach pisano o studni na terenie stacji oczyszczania ścieków. I zardzewiałej kratce, która nie leżała na swoim miejscu. Wtedy przypomniał mi się pewien szczegół. W dniu morderstwa, kiedy żandarmi przyszli powiadomić o tym Sylvie, ona miała już przygotowaną torbę. Pomagałam jej w pakowaniu. Jej nieprzemakalny płaszcz... miał ślady rd. — To panią zdziwiło?

— Tak, te smugi wyglądały na świeże. Kiedy przeczytałam artykuł w gazecie, pomyślałam o kratce.

— Dlaczego wtedy nic pani nie powiedziała?

— Było już za późno. A ja... nie potrafiłam sobie wyobrazić czegoś tak strasznego.

Milczałam. Nathalie Katsafian mówiła dalej:

— Była jeszcze jedna rzecz... Słyszałam wtedy, jak lekarze rozmawiali między sobą na temat torbieli, na którą cierpiała Sylvie. Chodziło o torbiel jajnika. Opowiadali o amerykańskim filmie, w którym pewna dziewczyna, zażywając estrogeny, świadomie doprowadziła do powstania takiej cysty. Po jakimś czasie doszłam do wniosku, że Sylvie mogła zrobić podobnie. Że wszystko to sobie zaplanowała.

— Miała pani jakiś dowód na to?

— Tak. W jej łazience zauważyłam leki.

— Estrogeny?

— Nie wiem.

— No więc?

— Na opakowaniu nie było nazwy lekarstwa.

— Były to hormony czy nie?

— Nie wiem!

Nathalie Katsafian rozplakała się. Zeznania tej kobiety wystarczyłyby, żeby posłać Sylvie Simonis za kratki na dwadzieścia lat albo do zakładu psychiatrycznego. Czulem się tak, jakbym w ustach miał popiół.

A więc Sylvie Simonis jest dzieciobójczynią? Była to mozaika złożona z tych samych kawałków, ale tworząca zupełnie inny portret. Medea — prawdziwsza niż rzeczywistość.

Wyjąłem z kieszeni marynarki zdjęcie Luca. Pielęgniarka spojrzała na nie i jeszcze bardziej się rozszłochała.

— O Boże...

— Pani go zna?

— Był tu, wypytywał mnie — wyjąkała.

Doznałem wrażenia, jakby uderzono mnie w splot słoneczny. Po raz pierwszy znalazł się ktoś w tym kurewskim mieście, kto rozpoznał Luca.

— Kiedy to dokładnie było?

— Nie pamiętam. Tego lata. Chyba w lipcu.

— Pytał panią o Sylvie Simonis?

— Tak... nie. Wiedział o tym więcej niż pan. Szukał potwierdzenia. Domyślił się, że alibi Sylvie nie trzymało się kupy. Mówił, że wydarzyło się coś podobnego w innej sprawie. Podejrzany był wówczas jakiś Francis Heaulme.

Zgadza się. W maju osiemdziesiątego dziewiątego roku został u niewinniony z zarzutu zabójstwa pięćdziesięcioletniej kobiety, w okolicach Brestu. Miał wówczas jakoby znajdować się w szpitalu Laennec w Quimper. Potwierdzał to zapis jego temperatury. Potem alibi zostało podważone. Jakiś wewnętrzny głos powiedział mi: „Luc jest lepszym gliniarzem niż ty”.

— Co mu pani powiedziała?

— To samo co panu.

Otworzyłem drzwi i wyniosłem się.

Dręczyła mnie jedna myśl.

Luc Soubeyras znalazł swojego diabła w Sartuis.

A diabeł ten nazywał się Sylvie Simonis.

## 48

Potrząsałem każdym wahadłem. Obmacywałem, obracałem, osłuchiwałem każdą podstawkę, każdy mechanizm. Ozdobne obudowy, tarcze w złożonych obwódkach, klepsydry z lakierowanego drzewa. Ani śladu skrytki, żadnej obrotowej zapadni. Postanowiłem przeszukać dom z zegarami od piwnicy po strych. Nie zlekceważyć ani milimetra tego budynku. Jeśli Sylvie Simonis czciła diabła, to powinny zostać tu jakieś ślady jego kultu.

Odstawiając ostami zegar na półkę, musiałem przyjąć do wiadomości, że moje poszukiwania spęzły na niczym. Rozejrzałem się dokoła. Sprawdziłem każdy instrument na stole, podniosłem blat, obejrzałem nogi. Nic. Obejrzałem deski parkietu, ściany. Też nic. Żadnej obracającej się ściany, żadnego pęknięcia.

Zdjąłem płaszcz. Wbiegłem na schody, przeskakując po kilka



stopni naraz, znalazłem się w wąskim korytarzu i stąd schodkami dostałem się na strych. Gabinet Sylvie. Zamierzałem postępować metodycznie, przeszukać każdy pokój od góry do piwnicy i garażu.

Zacząłem od mebli. Z zewnątrz, wewnątrz — nic. Klęknąłem, macałem od spodu każdy fragment. Ani jednej szpary, ani jednego zgrubienia. Ściany obite były tapetą. Odsunąłem meble na środek pokoju, chwyciłem ze stołu na drewnianych skrzyżowanych nogach przecinarkę i rozciąłem tapetę. Odrywałem kolejno każde pasmo. Nic. Stukałem w mur w różnych miejscach, nasłuchując echa. Bez efektu. Spojrzałem na obity szklaną watą sufit. Naciąłem ją w kilku miejscach, zanurzyłem do środka rękę. Żadnego ukrytego przedmiotu, żadnego tajnego schowka.

Zabrałem się do wykładziny dywanowej. Wsuwałem ostrze noża po kolei, cierpliwie, w każdą szparę. Nic. Naciskałem każdą deskę w nadziei, że trafię na jedną leżącą luzem. Bez rezultatu. Podniosłem się z kolan cały spocony. Patrzyłem na podłogę zaśmieconą strzępami szklanej waty, kawałkami tapety, wykładziny dywanowej. Fałszywa droga?

Zszedłem piętro niżej, sprawdzając każdy stopień. Robiło się ciemno. Chciałem zapalić latarkę, ale wysiadły baterie. Cholera! Przypomniałem sobie, że w bagażniku miałem opakowanie rurek luminescencyjnych. Zbiegłem po schodach i popędziłem do samochodu, który i tym razem zaparkowałem w ślepej uliczce. Podniosłem klapę bagażnika i poupychałem po kieszeniach całe garście. Wróciłem do domu, trzymając

W sypialni Sylvie przełamałem pierwszą rurkę. Otoczyło mnie zielonkawe światło. Włożyłem rurkę w zęby i znowu zabrałem się do poszukiwań. Meble, ściany, parkiet. Nie uzyskałem nic więcej niż na gó. Zaczęły ogarniać mnie wątpliwości.

Usiadłem ze skrzyżowanymi nogami i zmusiłem się do przemyślenia makiawelicznej zbrodni Sylvie. Alibi w szpitalu. Czy rzeczywiście brała estrogeny w nadmiernej ilości, by wywołać chorobę? Skąd wiedziała, że w tym szpitalu niezbyt ściśle przestrzegano się regulaminu, choćby w odniesieniu do procedury mierzenia temperatury? Znowu ujrzałem wizerunek diabła wyskakującego zza wskazówek zegara. Tym diabłem była sama Sylvie. Miała doskonałe alibi. Wyrwała się poza czas, żeby zabić swoje dziecko, żeby popełnić tak niestłuchany czyn.

Dla potwierdzenia alibi wymyśliła ostatni szczegół: telefon

zabójcy do szpitala w ten sam wieczór. Ten fakt wykluczał ją z kręgu podejrzanych. Tymczasem cała machinacja była bardzo prosta. Kiedy wróciła ze stacji oczyszczania ścieków, wślizgnęła się do kabiny telefonicznej. Nakręciła numer centrali, poprosiła o połączenie z nią, podając swoje nazwisko. A potem szybko wróciła do pokoju i odebrała telefon. Oczywiście nikt nie słyszał, o czym mówiła...

W uszach rozbrzmiał mi śmiech Richarda Moraza: „Wyobrażasz sobie mnie, z moim brzuchem, wtłaczającego się do tej kabiny?”. Nie, jego nie, ale doskonale wyobrażałem sobie Sylvie, mającą metr sześćdziesiąt wzrostu, ważącą pięćdziesiąt jeden kilo, jak podano w raporcie z sekcji zwłok, odgrywającą rolę szpitalnego ducha.

Tego samego wieczoru zadzwoniła do teściów i użyła dyktafonu, żeby przekazać im wiadomość: „Mała dziewczynka jest w studni...”. W jaki sposób zmieniła swój głos? Dlaczego posłużyła się dzieciennymi wyliczankami z regionu Jury? Do czego w tym koszmarze była potrzebna cała ta kombinacja?

Rurka luminescencyjna wypaliła się. Przełamałem nową. Nie znałem odpowiedzi na te pytania, ale miałem pewność co do ogólnego obrazu. Sylvie Simonis, chrześcijanka w starym stylu, miała do czynienia ze Złym. Diabłem, który prześladował Manon, była właśnie ona. Diabeł, którego lękał się Thomas Longhini, to też ona. I to ona była diabłem, który nawiedzał „Dom pod Zegarami”. A może było na odwrót — uległa atmosferze tego domu i związanych z nim legend. W każdym razie Sylvie Simonis czciła Szatana i dla niego poświęciła swoją córkę.

Taki kult musiał pozostawić jakieś ślady.

Ten dom musiał mieć stygmat demona.

Korytarz przeszukałem w podobny sposób, rozrywając papierowe tapety, zaglądając pod parkiet. Nic. Łazienka. Stracony czas. Dwa pokoje gościnne. Bez większego rezultatu. Na parterze zabrałem się do sprawdzania kuchni. Żadnej skrytki. Przeszukanie sali jadalnej i stojących tam mebli też nic nie dało.

Skierowałem się do salonu. Podniosłem głowę i zatrzymałem wzrok na dwóch belkach krzyżujących się pod sufitem na wysokości pięciu metrów. Niedostępne. Chyba że ze schodów w korytarzyku...

Włożyłem w zęby kolejną rurkę i zacząłem piąć się po pierwszej belce. Na czworakach, pomału, opierając się na rękach, posuwałem się do przodu, nie spodziewając się, że cokolwiek znajdę. Co jakiś

czas stukałem w drzewo, szukając jakiegoś wgłębienia. Oczywiście nic. Ale może na skrzyżowaniu belek...

Dotarłem do punktu przecięcia. Na skrzyżowaniu belek podtrzymywała je jeszcze jedna, pionowa. Usiadłem okrakiem i objąłem ją ramionami. Stukałem w drewno na wstrzymanym oddechu, nadsłuchując jakiegoś echa.

Przerwałem na moment. Ręką natrafiłem na nierówność z tyłu pionowej belki. Wymacałem szparę i podniosłem klapkę. Wsunąłem rękę do środka na oślep, z policzkiem przyklejonym do krawędzi belki. Znajomy dotyk — plastikowa torebka z jakimiś przedmiotami. Udało mi się ją stamtąd wydobyć.

Paczka owinięta w plastikową przezroczystą taśmę przymocowaną kilkoma warstwami plastra. Wsunąłem paczkę pod pachę, zrobiwszy pół obrotu na mojej grzędzie, wypuściłem z ust luminescencyjną rurkę i dotarłem do balustrady schodów.

Kiedy już znalazłem się na pewnym gruncie, włożyłem gumowe rękawiczki i rozdarłem plastry i taśmę osłaniające moją zdobycz. Przełamem kolejną rurkę i przyjrzałem się znalezisku. Pismo Święte z poplamionymi stronami. Zbrukane hostie. Czarna głowa wschodniego demona. Wypuściłem rurkę i wyszeptalem modlitwę do świętego Michała Archanioła:

*...a ty, książę niebieskich hufców,  
swą boską cnotą zepchnij do piekła  
Szatana i inne złe duchy,  
które włóczą się po świecie na zgubę dusz...*

No tak, to było to.

Sylvie Simonis czciła diabła.

Poświęciła dla niego swoje dziecko, w imię paktu czy innego szaleństwa...

Na powrót owinąłem taśmą świętą księgę i schowałem ją do kieszeni płaszcza. Wyprostowałem się, drżąc na całym ciele. Znalazłem to, co było do wykrycia w tym domu.

Teraz, kiedy już miałem pewność, że wkroczyłem na terytorium diabła, powinienem porozmawiać z człowiekiem, który od początku mnie okłamywał. Z człowiekiem, do którego na pewno zwrócili się Manon i Thomas, dwoje dzieci wierzących, iż grozi im coś ze strony Złego.

Tylko on mógł ich wysłuchać.

— Co pan wyrabia?

Chwyliłem Mariotte'a za koszulę i przycisnąłem do drzwiczek szafki. Właśnie składał rzeczy swojej drużyny. Zakrystia przypominała szatnię. Dwa rzędy żelaznych szafek, ławka, nad nią wieszak na ubrania.

— Nadeszła godzina prawdy, mój ojczu. Czas się przyznać, bo inaczej mogę się zdenerwować. Naprawdę. I nie będę zważać na sutannę.

— Chyba pan zwariował...

— Znał ksiądz od dawna prawdę o Manon i Sylvie.

— Ja...

— Ksiądz wiedział o niebezpieczeństwie. Wiedział, że zło mieszka w tym domu!

Wściekłym ruchem pchnąłem go znowu na drzwiczki szafki. Zachwiał się i osunął na podłogę, nie wypuszczając z rąk trzymanyh rzeczy. Jego dolna warga drżała. Żyły pulsowały na skroniach. Twarz mu posiniała. Pomachałem legitymacją pod jego nosem.

— Nie jestem dziennikarzem, ojczu. Ani trochę. Pora na szczerą pogawędkę, zanim oskarżę księdza za współudział w morderstwie. *Qui tacet, consentire videtur!*

Ta łacińska maksyma, oznaczająca „kto milczy, ten się zgadza”, całkiem go dobiła. Chwytał powietrze jak ryba wyrzucona na piasek. Bez przerwy mrugał powiekami.

— Pan...

— Thomas przyszedł do księdza. Powiedział, że Manon grozi niebezpieczeństwo, że jej matka jest opętana przez Szatana. Ale ksiądz nie potraktował tej sprawy poważnie. Jest ksiądz nowoczesnym duchownym, prawda? I dlatego...

Urwałem. Jego twarz wyrażała całkowite osłupienie.

— Sylvie Simonis opętana? — wyjąkał. — Co pan bredzi?

Zawahałem się na moment. Najwyraźniej nie rozumiał, o czym mówię. Już spokojniej powiedziałem:

— W „Domu pod Zegarami” znalazłem przedmioty związane z satanistycznym kultem. Thomas Longhini mówił o diable, który zagrażał Manon. Mówił o realnym niebezpieczeństwie. Ale nikt go nie słuchał. — Utkwiłem wzrok w jasnych oczach księdza. — Nie przychodził tu?

— Nie, on nie...

Mariotte z trudem się podniósł i usiadł na ławce.

— A kto przychodził?

— Sylvie Simonis. Kilkakrotnie.

— W jej stanie?

Ojciec Mariotte pokiwał przecząco głową. Jego twarz wyrażała szczerłość i zarazem zmieszanie.

— Sylvie nie była opętana.

— No to kto?

— Manon. To u niej występowały oznaki opętania.

— Co takiego?

— Proszę usiąść — westchnął. — Wszystko panu opowiem.

Przysiadłem na ławce. Budowla, którą właśnie skonstruowałem, znowu się waliła. Mariotte otworzył szafę i wyjął butelkę. Podał mi ją ze słowami:

— Wygląda pan na wykończonego. To dobrze panu zrobi.

Odmówiłem i zapaliłem camela, zaciągając się kilka razy. Ksiądz popił z butelki.

— Proszę mówić. Słucham.

— Sylvie przyszła do mnie pierwszy raz w maju osiemdziesiątego ósmego roku. Uważała, że jej córka jest opętana.

— Jakie były oznaki tego?

— Manon organizowała satanistyczne obrzędy, składanie ofiar. Niedaleko ich ówczesnego domu było gospodarstwo rolne. Chłopi skarżyli się. Manon kradła matce pierścionki, wciskała je na szyje kurcząt. Biedne stworzenia zdychały po kilku dniach.

— Dzieci bywają okrutne. To jeszcze nie znaczy, że są opętane.

— Pokroiła także swojego żółwia. Najpierw odcięła mu łapki, potem główkę. Położyła go jako ofiarę w centrum pentagramu.

— Kto jej opowiadał, że tak to się robi?

— Jej ojciec, zanim zginął...

— Miał coś wspólnego z satanizmem?

— Nie. Ale przez zwykłą perwersję chciał zdeprawować córkę.

— Czy było coś jeszcze między ojcem i córką?

— Sylvie nigdy o tym nie mówiła. Uważała Manon za ofiarę. A było całkiem odwrotnie. Manon była... zła.

— Co ksiądz jej mówił?

— Próbowałem ją uspokoić. Udzielałem porad duchowych. Zachęcałem, aby udała się do psychologa...

— Zrobiła to?

— Przyszła do mnie miesiąc później. Jeszcze bardziej roztrzęsiona niż za pierwszym razem. Mówiła, że ten dom jest demoniczny. Że Szatan wyskoczył zza wskazówki jednego z zegarów i zamieszkał w ciele dziewczynki. Nie wierzyłem w takie historie.

— Czy Manon dokonywała jakichś innych aktów satanistycznych?

— Zabijała zwierzęta. Mówiła wulgarne słowa. Gdy Sylvie pytała ją, dlaczego tak się zachowuje, odpowiadała, że wykonuje ich rozkazy.

— Czyje rozkazy?

— Demonów.

— Proszę mi podać tę butelkę.

Łyknąłem solidnie. W piersi poczułem ogień. Przypomniałem sobie obraz ślicznej jasnowłosej dziewczynki. Teraz wydała mi się niepokojąca, podstępna, złośliwa. Oddałem butelkę Mariotte'owi.

— Tym razem potraktował ksiądz poważnie słowa Sylvie?

— Ale nie tak, jak ona tego sobie życzyła. Polecilem, by jak najszybciej pojechała do Besancon, do znanego mi psychologa.

— Zgodziła się?

— Nie.

— Czego więc chciała?

— Egzorcyzmów.

Po raz kolejny mozaika rozpryskiwała się, ukazując inny motyw. Sylvie bała się Manon. Bała się diabła. Bała się swojego domu. Jako żarliwa chrześcijanka wierzyła, że jest otoczona przez duchy, które atakują ją poprzez to, co ma najdroższego — córkę.

— W ich domu znalazłem przedmioty satanistyczne — powtórzyłem.

— Odwrócony krzyż, splamioną Biblię, głowę diabła... Do kogo należały?

— Do Manon. Sylvie znalazła je w jej pokoju.

— To absurd. Kto mógł dać jej te przedmioty?

— Nikt. Znalazła je w piwnicy. Pod fundamentami domu. Zawsze mówiono, że ten dom został zbudowany przez czarowników i...

— Znam te historie. Ale te przedmioty nie są stare. Do kogo należały przedtem?

Ojciec Mariotte nie odpowiedział. Gładził rzadkie włosy na różowej czaszce. Był spokojniejszy, ale jakby się postarzał. Napiwszy się ponownie z butelki, rzekł cicho:

— Podczas lata nic się nie działo. Ustawicznie myślałem o tej historii. Wielokrotnie przejeżdżałem na rowerze obok ich domu. Chciałem zadzwonić, zapytać, co nowego. Sylvie przestała przychodzić na msze. Miała do mnie żal, że nie włączyłem się do jej gry.

— Pan to nazywa „grą”?

— Proszę posłuchać — powiedział twardo. — Nikt nie mógł przewidzieć, że sprawy zajdą aż tak daleko. Nikt, rozumie pan?

— Sądzi ksiądz, że Sylvie wymyśliła tę historię?

— Ta rodzina miała problem, to wszystko. Prawdziwa psychoza. Kto w naszych czasach wierzy w opętanie?

— W Kurii Rzymskiej znam wiele takich osób.

— No, cóż... Ale ja jestem księdzem...

— Oczywiście nowoczesnym, rozumiem. Dlaczego Sylvie nie wyprowadziła się z tego domu?

— Nie znał jej pan. Była uparta jak muł. Wypruwała z siebie żyły, żeby zdobyć ten dom. Nie było mowy, żeby go opuściła.

— Czy przyszła jeszcze raz do księdza?

Mariotte znowu się napił. Dochodziliśmy do decydującego momentu w tej historii.

— Pod koniec września — powiedział chrypliwym głosem. — Tym razem była spokojna. Wydawało się, że... nie wiem, jak to określić... że się z tego otrząsnęła. Nosiła żałobę po córce. Mówiła, że Manon nie żyje. Że kto inny mieszka teraz w jej domu.

— Czy Manon nadal zachowywała się tak samo?

— Oddawała mocz na świętą księgę. Masturbowała się w obecności sąsiada. Mówiła po łacinie.

Kiedy Thomas Longhini mówił o „diable”, który zagraża Manon, miał na myśli nie Sylvie, ale straszną moc, która stopniowo zmieniała jego młodszą przyjaciółkę. Madame Bonn wspominała o jakichś „niebezpiecznych zabawach”, ale to nie Thomas je inicjował, lecz Manon. Wszystko to powinno być rozwiązane przez psychiatrę. Mariotte mówił dalej:

— Tego dnia Sylvie postawiła mi ultimatum. Powiedziała, że jeśli nic nie zrobię, ona sama zajmie się tą sprawą. Nie pojąłem, co

miała na myśli. Wszystko to przekraczało moje możliwości. Nachodziła mnie cały październik, powtarzając, że nic nie rozumiem, że jestem złym księdzem. Wciąż przypominała werset z Listu świętego Pawła do Tesaloniczan: „...wówczas ukaże się Niegodziwiec, którego Pan Jezus zgładzi tchnieniem swoich ust i wniwecz obróci [samym] objawieniem swego przyjscia”\*. — Odetchnął głęboko. — Nie wiedziałem, co mam robić. Egzorcyzmy! A dlaczego nie spalenie na stosie? Za każdym razem powtarzałem Sylvie, żeby jak najszybciej udała się do psychiatry. W końcu oznajmiłem jej, że sam się tym zajmę. Dziś przypuszczam, że w pewnym sensie... przyspieszyłem bieg wypadków. Nie znałem prawdy o Manon, ale Sylvie powinna była znaleźć się w zakładzie psychiatrycznym.

Niewątpliwie miał rację, lecz w szaleństwie Sylvie była swoista logika. Ta kobieta nie działała pod wpływem impulsu, chwili paniki, ona starannie przygotowała swój plan. Nie dlatego, żeby uniknąć więzienia, ale żeby ratować pamięć córki. Żeby nikt nigdy nie mógł nawet podejrzewać jej motywu.

— W listopadzie już się u mnie nie pojawiła. Miałem nadzieję, że wszystko wróciło do normy. Dalszy ciąg pan zna. Wszyscy znają.

Ojciec Mariotte ponownie zamilkł. Znowu ważył ciężar swych win. Ledwie słyszalnym głosem powiedział:

- Od tamtego dnia żyję w zwątpieniu.
  - W zwątpieniu?
  - Nie mam żadnego formalnego dowodu przeciw Sylvie. Zresztą może prawda jest inna...
  - Dlaczego ksiądz nie powiadomił zandarmów?
  - To było niemożliwe.
  - Dlaczego?
  - Wie pan bardzo dobrze dlaczego.
  - Mówiła to wszystko pod przysięgą spowiedzi?
  - Tak, za każdym razem. Kiedy dowiedziałem się o śmierci małej, rozbiłem siekierą konfesjonał. Nigdy go nie naprawiłem. Nie byłem w stanie słuchać spowiedzi w kościele.
  - To dlatego ten konfesjonał stoi w sieni.
- Jego milczenie było potwierdzeniem. Przypomniałem sobie pewien szczegół.

\* Drugi List świętego Pawła do Tesaloniczan, 2, 8.



— Jak ksiądz sądzi, kto mógł napisać wewnątrz konfesjonału: „Czekałem na ciebie”?

— Nie wiem. Nie chcę wiedzieć.

— Widział ksiądz Sylvie po tej tragedii?

— Oczywiście, to małe miasteczko. Ale ona mnie unikała.

— Nie przyszła się wyspowiadać?

— Nie. Jej milczenie było jak kamień. — Wyciągnął przed siebie ręce. — Olbrzymi kamień, który zamknął się nade mną. Zostałem nim zamurowany, rozumie pan?

— Co ksiądz pomyślał po śmierci Sylvie ubiegłego lata?

— Już mówiłem panu, że nie chcę się nad tym zastanawiać.

— Jest może w mieście ktoś, kto znał prawdę? Ktoś, kto postanowił pomścić Manon?

— A więc było to morderstwo? Żandarmi nic mi nie powiedzieli...

— Ja to mówię księdzu. Co ksiądz sądzi o Thomasie Longhinim? Na twarzy księdza znowu pojawił się przestach.

— O Thomasie?

— Kiedy oskarżono go o morderstwo Manon, przyrzekł, że powróci. Mógł pomścić dziewczynkę.

— Pan zwariował.

— Nie wymyśliłem trupa Sylvie.

— Proszę mnie zostawić w spokoju. Muszę się pomodlić.

Łzy spływały po jego policzkach. Wyglądało na to, że nic już do niego nie dociera. Szeptał słowa słynnego Psalmu 22:

*Nie stój z dala ode mnie, bo kląska jest blisko, a nie ma  
wspomożyciela.*

*[-.]*

*Rozlany jestem jak woda  
i rozłączają się wszystkie moje kości;  
jak wosk się staje moje serce,  
we wnętrzu moim topnieje\*.*

Gdy szedłem przez kościół, słyszałem za sobą jego głos. Na dziedzińcu odetchnąłem pełną piersią świeżym nocnym powietrzem. Wokół panowały ciemności pasujące doskonale do

\* Księga Psalmów, Psalm 22, 12, 15.

stanu mego umysłu. Mroczna, lodowata strefa, bez punktu odniesienia, bez światła.

Nagle noc przecięły światła reflektorów.

Stał tam jakiś samochód.

Niebieski peugeot kapitana Sarrazina.

Dobrze, że dopiero teraz, pomyślałem, kierując się do auta.

## 50

— Niech pan wsiada.

Obszedłem peugeota i wsiadłem od strony pasażera. W wozie pachniało niezwykłą czystością. Nieskazitelną porządek, który paraliżował strachem, żeby nie pobrudzić tapicerki.

— Pije pan na służbie?

Śmierdziałem wódką.

— Nie jestem na służbie. Mam urlop.

— Czy coś już się panu przejaśniło?

Nie odpowiedziałem. Domyślałem się, że żandarm uśmiecha się w ciemnościach. Położył mi na kolanach mój pistolet i powiedział cierpliwym tonem:

— Wyszedł pan z kościoła. Wygląda pan na ogłuszonego. Pewnie przesłuchał pan Mariotte'a.

— Gdyby zdradził mi pan wyniki pańskiego dochodzenia, oszczędzilibyśmy czas.

— Dałem panu dzień. Proszę mi powiedzieć, co pan już wie. Przekonam się, czy warto panu pomóc.

Zastanawiałem się, skąd ta zmiana jego nastroju. Ale nie miałem nic do stracenia. Zrelacjonowałem pokrótce moje dochodzenie. Manon opętana. Matka morduje ją, żeby zabić w niej demona. Przygotowanie alibi. Po czternastu latach zemsta za to dzieciobójstwo.

Żandarm milczał. Już się nie uśmiechał.

— Kto pańskim zdaniem pomścił Manon? — zapytał w końcu.

— Ten, który kochał ją jak siostrę. Thomas Longhini.

— Odnalazł go pan?

— Nie, ale to teraz dla mnie najważniejsze zadanie.

— Dlaczego miałby to zrobić dopiero po czternastu latach?

— Bo w tamtym czasie był chłopcem, miał zaledwie czternaście

lat. Jego zamiar dojrzał, determinacja umocniła się. Obiecał, że wróci i wrócił.

— Czy on również jest szaleńcem?

Nie odpowiedziałem. Odruchowo sięgnąłem po papierosa. Ale palenie w tym samochodzie byłoby profanacją. Znowu zapadło milczenie.

— Teraz kolej na pana. W jakim punkcie jest pańskie dochodzenie?

— Mniej więcej w tym samym co pańskie.

— Zgadza się pan z moimi wnioskami?

— Zgadzam się co do winy matki. Nie mam jednak więcej dowodów niż pan. I nigdy nie miałem wglądu do akt sprawy. Zresztą została już umorzona. Moim zdaniem sędzia de Witt zniszczył akta.

— Dlaczego?

— Za późno, żeby go o to zapytać. Umarł dwa lata temu.

— A co do sprawcy zabójstwa Sylvie zgadza się pan ze mną?

— Nie, nie może nim być Thomas Longhini. To wykluczone. Jego głos brzmiał bardzo pewnie.

— Co pan wie na ten temat? Znalazł go pan?

— Nigdy nie straciłem go z oczu.

— To gdzie on jest?! — krzyknąłem.

— Przed panem.

Zatkało mnie.

— Ja jestem Thomasem Longhinim. Przyrzekłem, że wrócę, i wróciłem. Przyrzekłem, że doprowadzę do końca to dochodzenie i zostałem żandarmem, kapitanem w Besancon. Kiedy zabito Sylvie, udało mi się dostać tę sprawę.

— Czy tutejsi ludzie wiedzą, kim pan jest?

— Nikt tego nie wie.

— Nie wierzę panu. To nieprawdopodobne.

— To śmierć Manon jest nieprawdopodobna. Nigdy się z nią nie pogodziłem.

— Czy od początku pan wiedział, że zabójczynią jest Sylvie?

— Jako chłopiec byłem tego pewien. Manon bała się swojej matki. Potem miałem wątpliwości. Teraz jestem na nowo o tym przekonany.

— A kto według pana zabił Sylvie?

— Diabeł — odpowiedział bez najmniejszego wahania.

Uśmiechnąłem się. Nie zamierzałem wdawać się w dyskusję na temat przesądów. Jednak Longhini-Sarrazin nachylił się do mnie.

— Jest coś, o czym pan nie wie. Istotny element, żeby zrozumieć fakty. Manon była naprawdę opętana. Diabeł wybrał ją sobie.

Zakrawało to na jakąś znowę. Znowę pomyleńców! Schowałem do kabury mój pistolet i chwyciłem za klamkę samochodu.

— Dość się już nasłuchiwałem tych bredni.

Sarrazin zablokował mi drzwiczki.

— Ależ to sedno całej sprawy. Niechże się pan zdobędzie na odwagę i załatwi ją do końca!

W gardle mi zaschło, język miałem obrzmiały.

— Byłem z nią, kiedy się to wszystko działo — podjął Sarrazin. — Nie rozstawaliśmy się. Zmieniła się. Stała się demonem.

— I dziś diabeł wrócił, żeby się zemścić, tak?

— Nie opowiadam panu o bestii z głową kozła. Mówię o czarnej mocy, która działa za pośrednictwem czyjejś ręki.

— Czyjej?

— Jeszcze nie wiem. Ale odnajdę tego kogoś.

— Jakie są pańskie dowody?

— To proste. Diabeł mści się zawsze w ten sam sposób. Miały miejsce inne morderstwa z udziałem owadów, porostów...

— Nic takiego nie było. Zleciłem poszukiwania. W całym kraju. Nikt nie został poddany takim torturom jak Sylvie Simonis. Żaden morderca nie doprowadził do rozkładu ciała za pomocą kwasu i owadów.

— We Francji nie. Ale gdzie indziej tak.

— Gdzie?

— We Włoszech. W Katanii na Sycylii. Ta bestia nie uznaje granic.

Sarrazin mówił z taką pewnością, że wystarczyło to, by na nowo zbudzić we mnie wątpliwości. Mignęła mi w myślach maska Pazuzu, ale zaraz wróciłem do rzeczywistości. Zawsze istnieje taka możliwość, że jakiś zabójca uważa się za diabła i szaleje w Europie. Sarrazin dodał:

— W każdym razie pański kumpel zgadzał się ze mną.

— Kto?

— Luc Soubeyras.

— Pan go widział? Zna go pan?

— Pracowaliśmy razem. Ale on był inny niż pan. Wierzył w diabła. Pan potrzebuje dowodów. I dlatego pozwoliłem, żeby się pan sam z tym pomęczył.

- Co odkrył Luc?
- To samo co ja, co pan. Potem pojechał do Włoch. I już nie dał więcej znaku życia.
- Przebłysk, olśnienie. Informacja Foucaulta: Luc jeździł do Katanii na Sycylię, siedemnastego sierpnia tego lata.
- Oto moja propozycja — powiedział Sarrazin. — Pojedzie pan do Włoch. Ja nadal będę szperał tutaj. To pan chciał, abyśmy stworzyli zespół.
- Nic nie tracę, mając tutaj sprzymierzeńca. Jeśli natomiast rzeczywiście istnieje jakiś trop na Sycylii, to powinienem nim pójść.
- Najpierw sprawdzę pańskie informacje dotyczące Włoch. Jeśli się potwierdzą, pojedę tam.
- Otworzyłem drzwiczki auta. Sarrazin przytrzymał mnie za ramię.
- Przedtem niech pan jeszcze raz złoży wizytę w Bienfaisance. Tam, gdzie znaleziono ciało.
- W jakim celu?
- Diabeł zostawił swój podpis na miejscu zbrodni.
- Przez sekundę pomyślałem o krucyfiksie, ale żandarm mówił o czymś innym.
- Gdzie powinienem szukać?
- Niech pan radzi sobie sam. To wszystko to inicjacja, rozumie pan?
- Rozumiem. Ma pan baterie do latarki?

## 51

- *Pronto?*
- Wystukałem numer komórki Giovanniego Callacciury, zastępcy prokuratora w Mediolanie. Rok wcześniej pracowaliśmy razem nad dokonaniem w Paryżu morderstwem pewnego rzymskiego lekarza. Według mnie była to krwawa zemsta, według niego w grę wchodziła ko — *Pronto?*
- Przytrzymałem telefon podbródkiem, gdyż droga coraz gwałtowniej wiała się serpentynami. Uderzenia wiatru wstrząsały samochodem, konary sosen pochylały się aż do samych reflektorów. Zmierzałem do Notre-Dame-de-Bienfaisance.

- Sono Mathieu Durey.
- Mathieu? Come stai?

Wesoły, swobodny głos. Tysiące kilometrów od mojego koszmaru. Wyjaśniłem, dlaczego do niego dzwonię. Opowiedziałem o charakterze zbrodni. Że istnieje możliwość identycznego morderstwa na Sycylii. Mówiłem płynnie po włosku. Callacciura zaśmiał się.

- Nigdy nie mógłbym pracować nad tego rodzaju sprawą. Zbyt odrażające. Co chcesz, żebym dla ciebie zrobił?
- Znajdź informacje o tej zbrodni w Katanii.
- W porządku. Czy znasz datę?
- Nie. Ale sądzę, że to dość świeża historia.
- To bardzo pilne?
- Pali się.
- Zaraz zacznę poszukiwania.

Podziękowałem mu. Ani słowem nie wspomniał, że jest to niedziela, godzina dwudziesta pierwsza. Żadnej aluzji, że nie odzywałem się do niego od pół roku. Moja koncepcja przyjaźni: żadnych zobowiązań poza jednym, żeby być gotowym we właściwym momencie. Nie zdejmowałem nogi z pedału gazu, cały czas jadąc pod górę.

Wróciły wspomnienia z mojej pierwszej wizyty w Bienfaisance — górskie widoki, wodny żywioł... Teraz panowała ciemność. Wiatr pogłębiał wrażenie zagrożenia. Na każdym wirażu słowa Sarrazina kłębiły mi się w głowie niczym fale zalewające pokład rozbitego statku.

Pojawiła się tablica zapowiadająca Notre-Dame-de-Bienfaisance. Pojechałem dalej. Nie było mowy, żebym zadzwonił do drzwi misjonarek, ani żebym szedł pieszo pół godziny. Musiała istnieć jakaś droga prowadząca do miejsca w górach, które już wcześniej oglądałem. Po dwóch kilometrach trafiłem na dróżkę ze strzałką do Roche Reche — taką nazwę wymieniła wówczas Marilyne Rosarias.

Trząśłem się jeszcze w samochodzie przez dziesięć minut. Na lewo parking z czerwoną ziemią. Tablica: „Roche Reche, 1700 m nad poziomem morza”. Zignorowałem go i wjechałem głębiej w wysokie trawy. Absurdalna chęć zachowania dyskrecji. Wyłączyłem silnik, otworzyłem schowek na rękawiczki i włożyłem do latarki baterie, które dał mi Sarrazin.

Gdy wysiadłem, wiatr uderzył mnie prosto w twarz. Miałem

wrażenie, że silne podmuchy zerwą ze mnie płaszc. Pochylony, osłaniając się przed wichurą, ruszyłem ścieżką. Prowadziła na plac pozbawiony drzew, z drewnianymi stołami i ławkami. Niżej dostrzegłem z daleka miejsce, które mnie interesowało, oddzielone czarną gęstwiną

Zanurzyłem się w las, kierując się szumem wodospadu, który dochodził do mnie w przerwach między porywami wiatru. Gałęzie drzew uderzały mnie po twarzy, co krok potykałem się o korzenie. Pod stopami chrzęściły kamienie, gdy przechodziłem pod niskimi krzaczkami.

Wkrótce zgubiłem się kompletnie, myląc szmer wody z szumem liści. Postanowiłem iść dalej z boczem, gdzie była bardziej otwarta przestrzeń.

W końcu wydostałem się spośród drzew, tworzących jakby sceniczną kurtynę, i zobaczyłem polanę. Miałem fart! Zatrzymałem się, rozglądając się po znanej mi już scenerii. Teren pokryty niską trawą, ciągnący się aż do przepaści. W blasku księżycy trawa miała srebrzysty połysk. Zbierałem myśli jeszcze przez kilka sekund, po czym znowu ruszyłem przed siebie. Longhini-Sarrazin powiedział: „Diabeł zostawił swój podpis na miejscu zbrodni”. A więc był tu jakiś ślad, jakaś satanistyczna wskazówka. Czy żandarmi ją odkryli? Nie. Jedynie Sarrazin zauważył ten szczegół, gdy przyszedł na to miejsce.

Byłem już nad skrajem zbocza, jak podczas pierwszej mojej wizyty. Popatrzyłem na trawę i zamyśliłem się. Żandarmi z grupy dochodzeniowej z Besancon przeszukali to miejsce bardzo dokładnie, każdy centymetr, każdą kępkę trawy. Co mogłem jeszcze znaleźć ja, sam, w środku nocy?

Zatrzymałem wzrok na rosnących w głębi sosnach. Przywodziły na myśl szeregi czarnych wojowników. Może żandarmi ograniczyli swoje poszukiwania tylko do samej polany?

Nikt nie pomyślał o zbadaniu lasu.

Nikt oprócz Sarrazina.

Poszedłem z boczem pod górę i zatrzymałem się przy pierwszych drzewach. Zadanie wydawało się niewykonalne — zbadać w ciemnościach ziemię, korzenie, pnie. I czego mam szukać? Wszedłem między drzewa i zapaliłem latarkę. Zacząłem iść w tym kierunku, gdzie znaleziono ciało, sto metrów stąd. Pochylony usiłowałem dostrzec coś na ziemi. Obchodziłem każdy pień, odsuwałem gałęzie, zaglądałem w zarośla.

Nic. Przez dziesięć minut zdołałem przejrzeć zaledwie kilka metrów kwadratowych. Gałęzie sosen zaczynały się bardzo nisko i jeśli było coś do znalezienia —jakiś napis na korze, rysunek — musiało się to znajdować na wysokości około metra. Zgięty we dwoje, prawie na kolanach, kontynuowałem poszukiwania, koncentrując się na dolnej części

Po półgodzinie wyprostowałem się. Mój oddech zamieniał się w obłoczki pary. Znowu paliła mnie gorączka, ale jednocześnie czułem przejmujący chłód. Wiatr dochodził do mnie nawet tutaj, w osłonie gałęzi.

Zanurkowałem po raz kolejny pod iglaste gałęzie. Sapiąc, szcękając zębami, jedną ręką osłaniając się od igieł, drugą obmacywałem każdy pień. Nic.

Niespodzianie pod palcami coś wyczułem.

Długa, nierówna, wyżłobiona w korze linia.

Skierowałem na nią snop światła. Serce mi zamarło.

W korze wryto nożem bardzo wyraźne litery:

### CHRONIĘ URATOWANYCH BEZ ŚWIATŁA

Czy to podpis diabła? Od piętnastu lat miałem do czynienia z teologią i nigdy nie słyszałem takiego określenia. Zwróciłem uwagę na jeszcze jeden szczegół. Kształt wyżłobionych w korze liter. Już widziałem takie pismo. Tak wyglądał świecący napis w konfesjonale. Ta sama ręka wyżłobiła ostrzeżenie: CZEKAŁEM NA CIEBIE.

Pomyślałem: To ten wróg, ten sam. Poczułem wibrację telefonu komórkowego. Wyplątałem się z gałęzi i nie spuszczać wzroku z napisu, sięgnąłem do kieszeni.

— Halo?

— *Pronto...*

To Callacciura, ale połączenie było słabe i słyszałem go niewyraźnie.

Obróciłem się i krzyknąłem:

— Giovanni? *Ripetimi!*

— *Piu... tar...*

— *Ripetimi!*

Uchwyciłem jego słowa, jakby unoszone porywami wiatru.

— Zadzwoń później, bo połączenie jest słabe...

— Nie! Słyszę się cię dobrze. Masz coś dla mnie?

— Trafiłem na morderstwo. Taki sam horror: gnacie, muchy, ukąszenia, odcięty język. Coś nieprawdopodobnego.



- Ofiarą jest kobieta?
- Nie. Mężczyzna. Trzydziestoletni. Ale nie ma najmniejszej wątpliwości, że to ta sama metoda.
- Tak więc seryjny zabójca działał w całej Europie, według tego samego schematu. Zabójca, który uważał się za Szatana we własnej osobie...
- Czy były jakieś religijne symbole przy zwłokach? Czy miało miejsce świętokradztwo?
- Tak. W ustach denata był krzyż. Jakby... Zresztą, znasz się na tej symbolice.
- Czy to morderstwo zdarzyło się na Sycylii?
- Tak, w Katanii.
- Kiedy?
- Kwiecień dwutysięczny rok.
- Zastanowiłem się: odległość geograficzna, zabójstwa przedzielone latami, uparte stosowanie tego samego *modus operandi*. Nie ulega wątpliwości, że chodzi o seryjnego zabójcę.
- Czy chcesz, żebym ci przesłał dokumentację? — zapytał Włoch.
- Nie. Przyjadę sam — odparłem.
- Do Mediolanu?
- Jestem w Besancon. To tylko kilka godzin jazdy.
- Uważasz, że tak będzie lepiej?
- Tak. Nie mogę ci wyjaśnić wszystkiego przez telefon, ale sprawa nabiera kształtów. Mamy do czynienia z seryjnym zabójcą, który uważa się za diabła. Zrobił to samo tutaj w Besancon, w czerwcu tego lata. I z pewnością jeszcze gdzieś w Europie. Skontaktuję się natychmiast z Interpolem. Po Włoszech i Francji...
- Stop, Mathieu. Morderstwa w Katanii nie popełnił twój szaleniec.
- Co ty mówisz?
- Za morderstwo w Katanii nie odpowiada twój pomylenie!
- A to niby dlaczego?
- Ponieważ mamy sprawcę!
- Co takiego?
- To kobieta. Żona ofiary. Agostina Gedda. Przyznała się. I podała szczegóły: zastosowane produkty, owady, narzędzia. Była pielęgniarką.
- Kiedy została aresztowana?
- Kilka dni po morderstwie. Nie stawiała żadnego oporu.

Po raz kolejny rozsypywała się moja łamigłówka. Ta Włoszka nie mogła zamordować Sylvie Simonis, ponieważ była już za kratkami. Jednak niemożliwe również było, żeby dwóch zbrodniarzy stosowało tak charakterystyczną metodę.

Powiodłem palcami po wyżłobionym w korze napisie. **CHRONIĘ URATOWANYCH BEZ ŚWIATŁA.** Co to miało znaczyć?

Krzyknąłem do telefonu:

— Do zobaczenia w New Bristol! Jutro rano o godzinie jedenastej !

**III**

**AGOSTINA**

W drodze zadzwoniłem do Sarrazina i powiedziałem mu o moich odkryciach. O napisie na korze, o zabójstwie Salvatore Geddy. Teraz, jako wspólnicy w dochodzeniu, mamy dzielić się informacjami. Sarrazin przyznał mi rację i powiedział, że dla niego ślad włoski się urwał. Zdobył kilka danych na temat Agostiny Geddy dzięki pewnej znajomej w Interpolu, ale nie miał możliwości prowadzić dochodzenia za Alpami.

Przekroczyłem granicę szwajcarską o godzinie dwudziestej trzeciej i minąłem Lozannę około północy. Autostrada E62 biegła wzdłuż Jeziora Lemańskiego. Pomimo napięcia i zmęczenia dostrzegłem w nocy piękno jego wybrzeża. Miasta — Vevey, Montreux, Lozanna — rozsiane na pagórkach, przypominały rozsypane gwiazdy Drogi Mlecznej.

Kilka razy dzwoniłem do Foucaulta. Bezskutecznie. Wyobrażałem go sobie spędzającego przed telewizorem niedzielny wieczór z żoną i synem. Przez kontrast chłód i wrogość nocy wydawały mi się bardziej dotkliwe. Pomyślałem o moich trzech ślubach: posłuszeństwa, ubóstwa i czystości. Nie zapomniałem o jeszcze jednym ślubie, którego skutki odczuwałem stale — o ślubie samotności.

Pół godziny po północy. Oddzwonił Foucault. Poleciałem mu, żeby zaraz z rana rozszerzył na całą Europę zakres poszukiwań morderstw z udziałem owadów. Żeby skontaktował się z Interpolem, policją wszystkich stolic. Foucault obiecał, że zrobi, co w jego mocy, ale nasze śledztwo nadal było nieoficjalne, a Dumayet

na codziennych konferencjach wciąż domagała się raportów z bieżących spraw.

Obiecałem, że zadzwonię do szefowej (miałem przecież stawić się w biurze za kilka godzin), i zakończyłem rozmowę.

Kiedy zostawiłem za sobą miasto Aigle, zniknęły światła. Na horyzoncie odcinał się ciemny masyw Alp. Tonąca w ciemnościach droga była pusta. Oprócz dwóch bardzo jasnych reflektorów, które od jakiegoś czasu widziałem we wstecznym lusterku.

Godzina pierwsza w nocy. Martigny, Sion. Wał gór przybliżał się. Wjechałem w tunel w Sierrę. Pędząc z szybkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, mijałem wiele samochodów, obserwując, jak ich światła oddalają się, znikają w lusterku. Ale tamte dwa reflektory nie opuszczały mnie. Sto sześćdziesiąt, sto siedemdziesiąt kilometrów na godzinę... Wciąż były za mną. Ksenonowe reflektory, które niczym igły przebijały ciemność nocy.

Coraz to kolejne tunele. Łukowate sklepienia wydrążone w skale; ażurowe galerie przytulone do stoków; szklane tuby wiszące nad górami. Wreszcie światła te znikły. Odetchnąłem z ulgą. Może to jakiś paranoik, ale wciąż miałem przed oczyma napis z konfesjonału: „Czekałem na ciebie”. I napis na korze: „Chronię Uratowanych Bez Światła”. Pomysł o śledzącym mnie obsesyjnym zabójcy wcale nie był absurdalny.

Dwupasmowa droga krajowa. Przy każdej miejscowości zmuszałem się do zwolnienia szybkości. Visp. Brig. Serce szwajcarskiego kantonu Valais. Pejzaż znowu uległ zmianie. Droga zwęziła się, ciemności się pogłębiły. Żadnego punktu odniesienia, żadnej tablicy informacyjnej. Zwolniłem. Wjeżdżałem na przełęcz Simplon.

Droga nagle zaczęła piąć się do góry. Pojawił się śnieg. Wysokie strome zbocza po obu stronach drogi połyskiwały białym fosforyzującym blaskiem, jakby przysypano je proszkiem luminescencyjnym. Spod kół ulatywały suche igły coraz rzadszych sosen. Nikogo w polu widzenia.

Moje audi kołysało się pod uderzeniami wiatru. Chłód wciskał się do wnętrza samochodu. Chciałem jak najszybciej znaleźć się na drugim końcu przełęczy i zacząć zjeżdżać w dół. Znowu pojawiły się tunele, nagie, nieprzyjazne. Kamienne kręgi wznające się w skalną ścianę, betonowa rampa wyżłobiona w zboczu, kolumnada pod szalejącym potokiem...

Zacząłem majaczyć. Płatki śniegu migające przed przednią szybą

zmieniały się w ptaki, arabeski, chińskie znaki. Nie włączałem długich świateł, bo odbijały się w ekranie padającego śniegu.

Zmęczenie ogarniało całe moje ciało, osłabiając refleks, kładąc się ołowianym ciężarem na moich powiekach. Od jak dawna tak naprawdę porządnie nie spałem? Zmiana wysokości zwiększała ciśnienie w uszach, co jeszcze bardziej mnie otepiało...

Postanowiłem zatrzymać się po drugiej stronie przełęczy, na włoskiej granicy, żeby się przez kilka godzin przespać. Miałem trochę czasu w zapasie. Wystarczyło wyruszyć znowu o godzinie siódmej, żeby dojechać do Mediolanu na dziesiątą.

Nagle w tylnej szybie rozbłysło światło.

Ksenonowe reflektory.

Zwiększyłem szybkość i spojrzałem we wsteczne lustro. Nie zobaczyłem nic poza białym refleksiem. Mój prześladowca włączył długie światła. Wróciłem na drogę — nic nie widziałem, bo śnieg padał ze zdwojoną siłą. A z tyłu oślepiło mnie światło. Opuściłem lustro wsteczne i skoncentrowałem wzrok na śnieżnych zaspach na poboczach będących jedynym punktem orientacyjnym, żeby utrzymać się na drodze.

Udało mi się oddalić od reflektorów. Zakręt i tamten samochód zniknął. Przestraszony zastanawiałem się, kto to może być. Zabójca z Sartuis? Ktoś inny wmieszany w dochodzenie? A może po prostu jakiś agresywny kierowca?

Odpowiedzią był świst.

Pocisk musnął dach mojego auta.

## 53

Nacisnąłem pedał gazu. Ogarnęła mnie panika, blokując zmysły, myśli, odruchy. Ale gorsze od kul było zagrożenie ze strony oblodzonej nawierzchni na ciasnych zakrętach.

Zwolniłem. Światło znowu objęło tylną szybę samochodu. Przez sekundę pomyślałem, że chyba śnię, że to nie mógł być świst kuli. Kierowca, skoncentrowany na prowadzeniu samochodu, nie mógł równocześnie strzelać do mnie. Jakby w odpowiedzi na to poczułem uderzenie pocisku, od którego zatrzęsła się cała karoseria mojego audi. A więc było ich dwóch. Kierowca i strzelec. Doskonały tandem w polowaniu na człowieka.

Znów nacisnąłem pedał gazu. Jedną tylko myśl chodziła mi po głowie — że nie mam żadnych szans. Ich samochód robił wrażenie mocniejszego od mojego. I było w nim dwóch uzbrojonych ludzi. A ja byłem całkowicie sam. Pędziłem tą drogą ku swojej zgubie.

Jechałem z głową wciśniętą w ramiona, z palcami kurczowo trzymającymi kierownicę. Przerażony szukałem jakiegoś cienia nadziei. Powtarzałem sobie: „Mój samochód jest sprawny... Nie jestem ranny...”.

Tylna szyba rozprysła się na kawałki.

Do wnętrza wozu wdarł się chłód. Jednocześnie moje koła wpadły w poślizg. Silnik wył. Samochód skręcił gwałtownie w lewo. Kolejny pocisk zniknął gdzieś w zawiei. Skręciłem kierownicą raz i drugi i wróciłem na trasę.

Na szczęście pojawił się przede mną tunel. Wytoczona linia na jezdni i oświetlenie zmieniły sytuację. Ustawiłem lusterko wsteczne i przyjrzałem się moim przeciwnikom. Bmw, limuzyna z przydymionymi szybami, z czarną karoserią błyszczącą jak pancierz czołgu. Oślepiony reflektorami nie zdołałem odczytać tablicy rejestracyjnej. Nie widziałem również kierowcy, ale pasażer w kominiarce wychylił się z auta do połowy, trzymając snajperski karabin z lunetką i tłumikiem.

Obraz śmierci. Przez ułamek sekundy urzekło mnie jego piękno: światła lamp na błyszczącej blasze, reflektory mieniące się na różowo pod sklepieniem tunelu, zabójca pochylony nad swoją bronią... Wprawiona w ruch machina — precyzyjna, nieubłagana.

Nacisnąłem pedał gazu do oporu.

Audi kontra bmw — pojedynek trwał.

Zostawiałem za sobą asfalt, beton, światła. Latarnie uciekały z hipnotyczną szybkością. Ale we wstecznym lusterku widziałem, że bmw znów się przybliżyło. Czas na ripostę, teraz albo nigdy. Chwyciłem kaburę i wyciągnąłem pistolet.

Odwróciłem się i wycelowałem moje parabellum 9 mm. Zwolniłem. Nacisnąłem spust. Siła odrzutu omal nie wytrąciła mi z ręki pistoletu, ale zdołałem dostrzec, że bmw, wpadłszy w poślizg, hamował z piskiem, aż dym szedł spod kół. Chwilowe zwycięstwo.

Niebo, śnieg, kolejny tunel przede mną.

Konstrukcja z przęsłami na skalnym zboczu.

Powodowany nagłym pomysłem przed samym wjazdem do tunelu skręciłem gwałtownie w prawo, na pnącą się pod górę

drogę na plac budowy. Bmw wjechał w ciemną czeluść tunelu. Krótka chwila wytchnienia. Na pewno będą czekać na mnie przy wylocie...

W tym momencie poczułem pokusę, żeby wszystko rzucić i uciekać pieszo. Ale dokąd? Żeby zgubić się górach? Moi prześladowcy na pewno mieli noktowizory. To polowanie na człowieka jeszcze bardziej przypominałoby łowy na zwierza.

Włączyłem pierwszy bieg i wolno ruszyłem ze zgaszonymi światłami. Samochód podskakiwał na zwirowej ścieżce, a ja szukałem w myślach jakiegoś wyjścia. Padał coraz gęstszy śnieg i skraj drogi ginął w ciemnościach.

W końcu ta boczna dróżka skręciła, dochodząc do głównej szosy. Nie miałem żadnego pomysłu, co robić. Ale panujący wkoło spokój przywrócił mi nadzieję. Stałem na poboczu i czekałem: żadnego dźwięku silnika, żadnej smugi światła. Znowu włączyłem pierwszy bieg i wolno, bardzo wolno ruszyłem przed siebie. Żadnego samochodu. Czy zrezygnowali z pościgu? Czy pojechali dalej, nie próbując już mnie zabić?

Właśnie zmieniałem biegi, kiedy wszystko zrobiło się białe. Ksenonowe reflektory! Nie za mną ani przede mną. U góry! Okręciłem się na fotelu, szukając światła. Faceci ustawili się na dachu tunelu.

Domyśliłem się, co się wydarzyło. Znaleźli inne wyjście z tunelu na drogę z placu budowy i tak jak ja, ze zgaszonymi światłami, pojechali nią aż do końca. Potem ustawili się na skraju tunelu w pozycji do strzału.

Grad pocisków. Rozprysła się moja przednia szyba, a potem boczne. Nacisnąłem gwałtownie pedał gazu i wpadłem w poślizg. Opony ślizgały się po asfalcie. W lusterku wstecznym zobaczyłem coś niesamowitego: oba reflektory uleciały w ciemność nocy niczym dwie świecące kule. Zabójcy skoczyli w pustkę. Podwozie ich samochodu uderzyło w jezdnię, wzbijając śnieg i skry. Miałem wrażenie, że huk przeniknął głęboko w ziemię. Wcisnąłem gaz do dechy i włączyłem światła. Pościg zaczął się na nowo.

Wokół sosny, kamieniste ściany, zasypane śnieżne. Zawieja uspokajała się. Wracała widoczność. Próbowałem coś wymyślić. Nic mi nie przychodziło do głowy. Poza tym, że muszę uciekać aż do granicy, do celników. Ile to jeszcze kilometrów? Trzydzieści? Pięćdziesiąt? Się! Zerknąłem ponownie we wsteczne lusterko. Dwa białe oka



wciąż były za mną, mrugając co jakiś czas na wirażach. Nagle droga się skończyła. Zahamowałem. Za późno. Koła zablokowały się, audi jechało własnym rozpędem, nie reagując na ruchy kierownicą.

Uderzenie w skarpe i silnik zgasł. Cisza. Nie mogłem oddychać, mając kierownicę wciśniętą w żebra. Ogluszony poszukałem kluczyka w stacyjce. Silnik zachrypiał, zaskoczył. Na wstecznym biegu wyostałem się ze śnieżnej zasy i wyjechałem na szosę.

Mimo tej straty czasu moi prześladowcy jeszcze mnie nie dopadli. Przebłysk optymizmu, przygaszony za moment, gdy naciskany przeze mnie pedał gazu nie zareagował. Rzut oka na tablicę rozdzielczą. Wskaźnik temperatury silnika przekroczył czerwoną linię. A to co znowu?

Spojrzałem do tyłu — ksenonowe reflektory były tuż za zakrętem. Nacisnąłem wściekle pedał. Bez skutku. Walnąłem pięścią w kierownicę. W chwili kolizji śnieg musiał zatkać chłodnicę i moja bryka się przegrzała. Spod maski już szedł dym. Tym razem wszystko było stracone.

W tym momencie dostrzegłem tablicę: SIMPLON DORF. Bez zastanowienia wyłączyłem reflektory i skręciłem w tym kierunku sekundę wcześniej, nim bmw wyskoczyło zza zakrętu. Zabójcy zobaczyli mnie za późno i popędzili dalej główną drogą. Usłyszałem za plecami pisk hamulców. Nawet jadąc z góry na luzie, zyskałem kilka sekund przewagi.

Polanka zatłoczona mechanicznymi ładowarkami, buldożerami, materiałami budowlanymi. Jednym ruchem ręki skierowałem tam auto, które wciąż jechało własnym rozpędem.

Zobaczyłem przed sobą stos zaśnieżonych desek. Zamknąłem oczy. Znowu wstrząs. Znowu odgłos kolizji w moim ciele. Pehnięciem ramienia otworzyłem drzwiczki, zakaszlałem i wytoczyłem się na zewnątrz.

Pierwszym wrażeniem był chłód bijący od ziemi. Podniosłem się na jedno kolano i oparłem o stos kamieni. Odroczenie wyroku. Ciemno, cisza. Śnieg przestał padać. Temperatura spadła znacznie poniżej zera.

Trzasnęły drzwiczki.

Ostrożnie się wychyliłem. Nikogo. Uciekać przez las? Dobiec do miasteczka? A jaka jest szansa, że zdołam tam kogoś obudzić, zanim mnie dopadną? Ogarnął mnie strach. Zacząłem drzeć z zim-

na. Na moich brwiach i włosach tworzyły się białe kryształki. Zamarzałem. Wymacałem w kieszeniach lateksowe rękawiczki i z rudem naciągnąłem je na dłonie.

Przypomniałem sobie, co wiedziałem o mrozie i związanym z nim procesie śmierci. Misjonarze z Dalekiej Północy, oblaci, których spotkałem w seminarium w Rzymie, często mi o tym opowiadali. Najpierw człowiek trzęsie się z zimna — to dobry znak — ciało reaguje, próbuje się rozgrzać. Potem już nie ma siły, by walczyć z zimnem. Temperatura ciała spada o jeden stopień co trzy minuty. Drżenie ustaje. Serce zwalnia i nie pompuje już krwi do kończyn. Nadchodzi biała śmierć. Gdy temperatura ciała obniży się o jedenaście stopni, serce przestaje bić i za ile czasu przede mną?

Ponowny rzut oka. Tym razem ich zobaczyłem. Szli ostrożnie w długich, czarnych płaszczach skórzanych z bronią w rękach. Z ich ust wydobywała się para. Jeden z nich się potknął. Nie zareagował znieczulony przez mróz. Oni również zamarzali. Wszyscy trzej wpadliśmy w tę samą pułapkę. Staliśmy się więźniami nocy, która wkrótce zamieni nas w lodowe posągi.

Powinienem się ruszyć. Robić cokolwiek, żeby się rozgrzać. Zacząłem kołysać się do przodu, do tyłu. Powtórzyłem tę czynność wielokrotnie, aż w końcu upadłem na śnieg. Poczłgałem się do sosen, żeby przynajmniej schronić się przed wiatrem. Usłyszałem kroki, bardzo blisko. Przewróciłem się na plecy, sięgając po pistolet. Musiałem go trzymać dwiema rękami, bo nie miałem czucia w palcach.

Nagle na śniegu pojawił się czerwony punkcik celownika laserowego. Podniosłem głowę — zabójca był tuż obok, z bronią w ręku. Z kominiarki wydobywała się niebieskawa para.

Zamknąłem oczy i zrobiłem to, co zrobiłby w tych okolicznościach każdy człowiek, wierzący czy nie wierzący. Zacząłem się modlić.

Usłyszałem czyjś głos.

— *Wer da?*

Odwróciłem głowę. Dostrzegłem światło latarki, srebrzyste naramienniki. Patrol szwajcarskiej straży granicznej! Spojrzałem przed siebie — zabójca zniknął.

Przytłumiony tupot nóg biegnącego człowieka. Niemieckie słowa. Ryk silnika. Znowu pościg, ale tym razem myśliwi stali się

jego zwierzyną. Strażnicy nie dostrzegli mojego samochodu pod deskami.

Wsunąłem jakoś pistolet z powrotem do kieszeni i przekręciłem się na brzuch. Opierając się na łokciach, z bezwładnymi nogami, poczołgałem się po śniegu do samochodu. Nie czułem własnego ciała ani zimna. Wreszcie dotarłem do drzwiczek. Niczym paralytyk, któremu nogi już nie służą, wspiąłem się na fotel. Wymacałem kluczyk w stacyjce. Przekręciłem go dwiema rękami i wtedy nastąpił drugi cud — silnik zapalił. Uderzenie w deski musiało uwolnić chłodnicę z lodu.

Włączyło się ogrzewanie. Ruchem łokcia nastawiłem nawiew. Skulony, z zaciśniętymi pięściami, czekałem, aż ciepło pobudzi we mnie krew. W końcu zdałem sobie sprawę z panującej wokół ciszy. Las był pusty. A granica bez wątpienia znajdowała się w odległości kilku

Gdy już byłem w stanie poruszać palcami i stopami, włączyłem wsteczny bieg i wyjechałem ze stosu desek. Niedługo powinien pojawić się drugi patrol. Zrobiłem pół obrotu, włączyłem jedynkę i opuściłem plac budowy.

Po kilku minutach pędziłem w kierunku Włoch. Silnik nie był już tak dynamiczny, ale funkcjonował. A ja byłem żywy, cały!

Co prawda znalazłem się w impasie.

Żadnej szansy, że przejadę przez granicę samochodem w takim stanie...

Za miasteczkiem o nazwie Gondo zauważyłem dróżkę biegnącą skosem — pewnie do rzeki lub do lasu. Zagłębiłem się między sosny, gdzie znalazłem schronienie przed wiatrem.

Zatrzymałem się, nie wyłączając silnika i pełnego ogrzewania. Chwiejnym krokiem wyszedłem z samochodu. Z bagażnika wyjąłem torbę podróżną. Zdjąłem nieprzemakalny płaszcz, włożyłem dwa swetry, bluzę i na to wszystko znowu włożyłem płaszcz. Czapka, grube rękawiczki, dwie pary skarpet. Usiadłem na przednim fotelu jak się dało najbliższej nawiewu, z którego szedł ciepły strumień powietrza z zapachem oleju silnikowego.

Kiedy już się rozgrzałem, wydobyłem z kieszeni telefon komórkowy i wystukałem numer Giovanniego Callacciury. Po usłyszeniu sygnału nagrałem się po włosku:

— Kiedy odbierzesz tę wiadomość, natychmiast do mnie zadzwoń!

Potem ułożyłem się na fotelach z twarzą do ciepłego nawiewu.

Nie myślałem o niczym. Najważniejsza była świadomość, że żyję. I to mi całkowicie wystarczało. Zasnąłem, ściskając w ręce komórkę.

## 54

Obudziło mnie światło dnia. Podniosłem się z na pół przymkniętymi oczyma. Widok był zachwycający. Dysk słońca między górami wyglądał jak krwista plama. Wyżej nad grzbietami gór przesuwały się obłoki. Śnieg wokół mnie znikł. Ukazała się zielona trawa usiana zwiędłymi liśćmi.

Spojrzałem na zegarek: siódma trzydzieści. Spałem cztery godziny. Callacciura jeszcze nie oddzwonił. Wystukałem jeszcze raz jego numer. Mój telefon działał teraz w sieci włoskiej.

— *Pronto?*

— Mathieu. W nocy nagrałem ci wiadomość ode mnie.

— Dopiero wstałem. Jesteś już w Mediolanie? Opowiedziałem mu moją przygodę i przedstawiłem aktualną sytuację: samochód podziurawiony kulami, wyglądam jak włóczęga, nie mogę w tym stanie przekroczyć granicy.

— Gdzie dokładnie jesteś?

— Przy wyjeździe z miasteczka Gondo. Na prawo znajduje się dróżka, jestem na jej końcu.

— Zadzwoń do ciebie za kilka minut. *Capito?* Wyjąłem z kieszeni paczkę cameli. Z rozkoszą zapaliłem jednego. Wróciła mi jasność umysłu, a wraz z nią dręczące pytania. Kim byli moi prześladowcy? Dlaczego tak się uwzięli na mnie? Jednego byłem pewien, że nie mieli nic wspólnego z zabójcą Sylvie Simonis. Z jednej strony zawodowi zabójcy, z drugiej seryjni morderca, ofiara własnego szaleństwa.

Komórka zawibrowała.

— Postępuj według moich wskazówek — powiedział Callacciura. — Wróć na główną drogę, pojedź jeden kilometr E62. Tam zobaczysz cysternę z napisem: „Contozzo”. Stań za nią i czekaj. Za godzinę przyjadą po ciebie dwaj policjanci w cywilu.

— Dlaczego policjanci?

— Będą cię eskortować aż do Mediolanu. Spotkamy się o jedenastej.

— A co z samochodem?  
— Zajmą się nim. Zabierz swoje rzeczy i nie myśl o nim.  
— Dziękuję ci, Giovanni.  
— Nie ma za co. Zdobyłem jeszcze inne informacje na temat twojej sprawy. Musimy porozmawiać.

Wyłączyłem telefon. Zapaliłem następnego papierosa. Mimo podmuchów wiatru, które przedostawały się do wnętrza wozu, silnik nadal działał, a wraz z nim ogrzewanie. Wsiadłem z samochodu, żeby się wysuszyć. Byłem zeszywniały i osłabiony, ale życie miało swoje prawa.

Poszedłem ścieżką, czując, jak krążąca we mnie krew rozgrzewa mięśnie. Zakręciło mi się w głowie. To z głodu. Zauważyłem w dole rzekę. Napilem się lodowatej wody, rozkoszując się najczystszym na świecie pierwszym śniadaniem.

Wróciłem do samochodu i pojechałem w kierunku wyznaczonego spotkania. Zatrzymałem się przy cysternie, zostawiając znowu włączony silnik. W ciągu godziny wypaliłem trzy papierosy. W zasięgu wzroku żadnego celnika ani ciekawskiego farmera.

Wszystko mi się kotłowało w głowie. Wina Sylvie Simonis. Podwójna osobowość Sarrazina-Longhiniego. Zabójstwo Sylvie. Identyczna zbrodnia na ziemi włoskiej, której sprawca przyznał się do winy. A teraz ci zabójcy... Prawdziwy galimatias, gdzie każda odpowiedź pociągała za sobą kolejne pytanie.

Przyszedł mi na myśl pewien szczegół. Pod wpływem impulsu zadzwoniłem do Marilyne Rosarias, dyrektorki fundacji w Bienfaisance. Godzina siódma czterdzieści pięć. Filipinka powinna była już zakończyć poranne modlitwy.

— Kto mówi?

Wyraźna nieufność i wrogość w głosie.

— Mathieu Durey — odezwałem się, odkaszlnąwszy. — Policjant. Specjalista od spraw niezwykłych.

— Nie poznałam pana po głosie. Jest pan nadal w naszym regionie?

— Musiałem wyjechać. Ostatnim razem nie powiedziała mi pani całej prawdy.

— Oskarża mnie pan o kłamstwo?

— Może było to zwykłe przeoczenie. Nie powiedziała pani, że w osiemdziesiątym ósmym roku Sylvie Simonis przyjechała szukać pocieszenia w Bienfaisance po śmierci córki.

- Jesteśmy zobowiązani do dyskrecji.
- Ile czasu spędziła w fundacji?
- Trzy miesiące. Przyjeżdżała wieczorem. Rano jechała do pracy.
- W Szwajcarii?
- O co panu znowu chodzi?

Niespodzianie nabrałem przekonania, że Marilyne wiedziała o zabójstwie Manon. Albo wysłuchała zwierzeń Sylvie, albo sama odgadła prawdę. Spróbowałem ją wysondować.

- Może chciała zapomnieć o swoich winach?

Cisza. Kiedy Marilyne odezwała się ponownie, jej głos brzmiał znacznie poważniej.

- Otrzymała rozgrzeszenie.
- O czym pani mówi?

— Cokolwiek Sylvie zrobiła, błagała Pana o wybaczenie i została wysłuchana.

- Jest pani pracownikiem czyścica?

— Niech pan nie żartuje. Sylvie otrzymała rozgrzeszenie. Mam na to dowód.

Zobaczyłem nadjeżdżający szary samochód marki Fiat, w niewiele lepszym stanie niż moje audi. To moja eskorta.

- Przyjadę jeszcze, żeby się z panią zobaczyć.

— Nie mam panu nic do powiedzenia. Ale będę się modlić o pańskie zbawienie. Ma pan w sobie za dużo gniewu, żeby zrozumieć tę historię. Musi pan być absolutnie czysty, żeby stawić czoło wrogowi, który na pana czeka.

- Jakiemu wrogowi?
- Pan dobrze wie.

Odłożyła słuchawkę. Fiat już dojechał. Kontakt z włoskimi policjantami ograniczył się do minimum. Musieli otrzymać odpowiednie rozkazy. Ani słowa na temat stanu mojego auta. Żadnych pytań, dlaczego błąkam się w pobliżu granicy. Wziąłem torbę i pożegnałem się z moją bryką. Powiem ubezpieczycielowi, że samochód został skradziony, nie wdając się w szczegóły.

Granicę włoską przejechaliśmy bez problemu. Ulokowany na tylnym siedzeniu kontemplowałem pejzaż. Taki sam jak po stronie szwajcarskiej, ale miałem wrażenie, że oglądam go w lustrze, że mam przed sobą odwrócony obraz włoskich gór. Strumienie i coraz liczniejsze mosty zamiast tuneli. Zawieszane wysoko na linach, na potężnych betonowych słupach tworzących arkady. Nie myślałem

już o niczym. Czułem jedynie pulsowanie w zmęczonym ciele. Szybko usnąłem.

Kiedy się obudziłem, minęliśmy już Varese. Zniknęły sosny i strumienie. Pędziliśmy autostradą A8. Długa równina Lombardii ciągnęła się do samego Mediolanu.

O godzinie dziesiątej trzydzieści dojechaliśmy do przedmieść tego przemysłowego miasta. Tłok na jezdniach. Moi towarzysze nie ustawili na dachu koguta. Opanowani, milczący, nieprzeniknieni — przywodzili na myśl ochroniarzy, z którymi miałem do czynienia podczas mojej pierwszej bytności w Mediolanie, tych, którzy ochraniaли sędziów z operacji „Manipulite”.

Mediolan pozostał wierny moim wspomnieniom.

Miasto położone na płaskim terenie, proste, ponure, ulice przypominające minioną epoką przemysłową. Zapominało się tutaj o spokojnych jeziorach, o romantycznej miłości. Tęskniło za rozkwitem lat sześćdziesiątych, za hałasem maszyn, za imperium firm Fiata czy Pirelli. W tej bezwietrznej dolinie unosiła się wciąż wizja kapitalistycznego patrona, odizolowanego w swojej luksusowej willi, zamierzającego budowę nowego świata pełnego dymu i pieniędzy.

Corso Porta Vittoria.

Pałac Sprawiedliwości był masywną świątynią o wysokich kwadratowych kolumnach. A cały plac przed nim odpowiadał ściśle jego geometrii. Budki telefoniczne ustawione w rogach, prostopadłe do pałacu szyny, po których jeździły pomarańczowe tramwaje.

Punktualnie o godzinie jedenastej wysiadłem z samochodu i przekroczyłem próg kawiarni New Boston znajdującej się naprzeciw pałacu, na rogu ulicy Carlo Freguglia.

## 55

— Wyglądasz doskonale.

Giovanni Callacciura miał swoiste poczucie humoru. Pochodził z północnych Włoch. Olbrzymiego wzrostu, z wysokim czołem, z wypięgnowanym wąsikiem nad kapryśnymi ustami. Ubrany od stóp do głów u Prady, szczuplejszy niż można byłoby sądzić po

okrągłej twarzy. Tego dnia miał na sobie wąskie spodnie z szarej wełny, brązowy kaszmirowy sweter z wycięciem pod szyją oraz granatową, ocieplaną kurtkę. Zawsze wyglądał tak, jakby przed chwilą wyskoczył z wystawy Corso Europa.

Wskazałem mu krzesło naprzeciw mnie. Usiadł i zamówił kawę. New Boston to typowa *gelateria* z długim obitym blachą kontuarem, zapachem kawy, dżemu, bułeczek i rogalików wystawionych w wysokich chromowanych salaterkach. Meble były w kolorze śliwkowym, obrusy różowe. Okrągłe stoliki przypominały ogromne, trudne do przelknięcia

— Opowiedz o tej twojej szalonej nocy — powiedział Callacciura, zdejmując słoneczne okulary.

— Najpierw powiedz mi, czy te typy zostały zatrzymane?

— Zniknęli.

— Zniknęli? Kilka kilometrów od granicy?

— Ty też się dobrze ukryłeś w krzakach.

Napiłem się kawy. Mocna, paląca w gardle. Patrzyłem na czekoladową bułkę, którą sam zmówiłem, a której nie byłem w stanie spróbować.

— Czy można tu palić? — zapytałem.

— Można, ale już niedługo.

Callacciura podsunął mi paczkę cygaretek marki Davidoff. Chętnie skorzystałem z zaproszenia. Po tej stronie granicy również wywieszano ostrzeżenia typu: „Fumare uccide\*<sup>1</sup>”. Widząc moje sine od mrozu palce, powiedział:

— Może byś poszedł do lekarza?

— Nic mi nie jest.

— Co się wydarzyło tej nocy?

Opowiedziałem pokrótce o pościgu za mną, zwracając uwagę na istotne szczegóły: fachowość moich niedoszłych zabójców, ich profesjonalną broń... To nie byli zwyczajni bandyci grasujący przy granicy. Callacciura ponaglił mnie.

— Powiedz o twoim śledztwie, które przywiodło cię aż tutaj.

Opowiedziałem o zabójstwie Sylvie Simonis, o dzieciobójstwie sprzed czternastu lat, o tajemniczych powiązaniach między tymi dwiema zbrodniami. Wspomniałem także o umowie z Sarrazinem-Longhinim, żandarmem mścicielem, któremu można było chyba ufać tylko w pięćdziesięciu procentach. Pomiąłem początek

\* *Fumare uccide* (włos.) — palenie zabija.



tego koszmaru — samobójstwo Luca Soubeyrasa. Żeby nie wprowadzać jeszcze większego zamieszania.

Callacciura milczał dłuższą chwilę. Z *cigarillo* w ustach otwierał i zamykał słoneczne okulary. W końcu stwierdził:

— Trudno połączyć ze sobą to wszystko. Pomasowałem kark obolały jeszcze po zderzeniu.

— Zwłaszcza kiedy człowieka boli głowa.

Nie uśmiechnął się nawet. Sięgnął ręką do swojej teczki i położył na stoliku cienką czerwoną koszulkę z dokumentami.

— To wszystko, co mam. Mediolan jest daleko od Sycylii. Kiedy wczoraj do mnie zadzwoniłeś, nie od razu skojarzyłem fakty. W rzeczywistości to morderstwo przed dwoma laty narobiło niemało hałasu. Najpierw uważano, iż jest to po prostu jedna z tych okrutnych zbrodni, typowych dla Sycylii. Wszystko się jednak zmieniło, gdy dowiedziano się, kim była morderczyni.

— To znaczy?

— To długa historia. Typowo włoska. W Katanii bez żadnych trudności dowiesz się wszystkich szczegółów.

— Przedstaw w skrócie fakty.

Jednym haustem wypił do końca kawę.

— Agostina Gedda była pielęgniarką. Mieszkała w Paterno, na przedmieściu Katanii. Wyszła za mąż za przyjaciela z dzieciństwa, Salvatore, instalatora kabli elektrycznych. Nic szczególnego. A potem, całkiem niespodzianie, zabiła go. W potworny sposób.

— Jaki miała motyw?

— Nie chciała tego nigdy wyjaśnić.

— Jesteś pewien, że są tam takie same elementy jak w moim dochodzeniu?

— Tak. Rozpad ciała. Insekty. Ukąszenia. Odcięty język. Mówiono nawet o poroście znalezionym w klatce piersiowej. Czego chcesz więcej?

Przyznałem mu rację. Ale w jaki sposób dwa tak podobne morderstwa mogły zostać dokonane przez dwie różne osoby?

— Tego rodzaju morderstwo wymaga specyficznej wiedzy, rzadkich materiałów.

— Agostina była pielęgniarką. Miała dostęp do niebezpiecznych substancji. Jeśli chodzi o owady, to przypuszcza się, że wybierała je ze zwierzęcej padliny na śmietniskach. Trudne do sprawdzenia.

Sięgnąłem po teczkę z aktami, ale Callacciura położył na niej rękę.  
— Muszę cię o czymś uprzedzić.  
— O czym?  
— W tej sprawie jest pewien element... mistyczny.  
Ja powiedziałbym raczej: złowróżbny.  
Callacciura mówił dalej:  
— Wie o tym jedynie policja. Sprawą Agostiny interesują się władze kościelne.  
— Na jakim szczeblu?  
— Watykan. To Stolica Apostolska broniła Agostiny. Przysłali jej swoich adwokatów.  
— Dlaczego?  
Zastępca prokuratora uśmiechnął się tajemniczo.  
— Sam się przekonasz.  
Wyjął z kieszeni złożony papier. Zamówiony drogą elektroniczną bilet lotniczy do Katanii.  
— Zamówiłem ci miejsce w klasie business. Zapłacisz na lotnisku. O ile dobrze pamiętam, masz kasę.  
— Pomyślałeś o mojej wygodzie?  
— Myślę o twoim wyglądzie. Będziesz miał wstęp do Caravaggio Lounge, salonu dla VIP-ów. Są tam prysznice. Będziesz mógł odzyskać dawną urodę.  
W jego rękach pojawiła się koperta.  
— To list do Michele Geppu, szefa Questury\* w Katanii. Otworzą ci wszystkie drzwi.  
Chciałem mu podziękować, ale Giovanni podniósł rękę.  
— Idź teraz do toalety. Czeka tam na ciebie jeden z moich ludzi. Oddasz mu swoją broń.  
— Ale...  
— Nie nadużywaj mojej uprzejmości. Znasz powiedzenie: cud zdarza się raz.  
Po tych słowach wstał i mrugnął do mnie okiem.  
— Chciałbym usłyszeć szczegółowy raport, jak tylko będziesz miał coś nowego. Należę do białych kołnierzyków. Takie historie o morderstwach podniecają mnie!

\* Questura — komenda policji.

Nawet pod parzącym prysznicem nie udało mi się rozgrzać. Przypominało mi to dania z mrożonek, które czasami sobie przyrządzałem — zewnątrz ciepłe, wewnątrz pozostawały zimne.

W łazience salonu dla VIP-ów ogoliłem się, zmieniłem garnitur. Odzyskałem już na tyle jasność umysłu, że mogłem stawić czoło hipotezie, iż zabójstwo Sylvie Simonis, wykraczające poza rytualny mord, otwierało drzwi do innej rzeczywistości. A była nią zakazana wiedza, wyższa logika, w imię której warto było zabijać. I dlatego próbowano mnie wyeliminować. Luc powiedział: „Znalazłem wyjście”. Byłem na drodze do tego wyjścia. Nie wiedziałem, co to znaczyło, ale wiedzieli to moi prześladowcy z ubiegłej nocy.

W samolocie przejrzałem dokumenty, które dał mi Callacciura. Nie było w nich nic więcej, niż to, co sam mi opowiedział. Ciało Salvatore znaleziono na północ od Katanii, na opuszczonym placu budowy. Kilka godzin potem została zatrzymana Agostina Gedda. Nie stawiała żadnego oporu i jeszcze tego samego dnia przyznała się do winy. Powiedziała, że kwasy ukradła w szpitalu i że dokonywała tortur w miejscu, gdzie odkryto zwłoki. Śledczy znaleźli buteleczki, opaski uciskowe, resztki organiczne.

Agostina nie wyjaśniła, skąd pochodziły ślady ukąszeń, obecność porostu, ani jak doszło do odcięcia języka, ale wiedziała o tym wszystkim. Nie podejrzewano jej o zmyślanie. Jaki był powód morderstwa? Skąd tyle okrucieństwa? Na ten temat milczała.

Teczka zawierała również zdjęcia. Salvatore Gedda był młodym mężczyzną o miłej twarzy, jasnych oczach z długimi rzęsami. Agostina miała twarz delikatną o regularnych rysach, czarne, krótko obcięte włosy. Oczy ciemne, atramentowe, filuterny nos, karminowe usta. Z kobiety tej biła jasność, jakaś niewinność wyjątkowo nie pasująca do postawionych jej zarzutów.

Samolot podchodził do lądowania. Dochodziła godzina osiemnasta. Nad Sycylią zapadał zmrok. Wielu pasażerów wyglądało przez okienka. Jedni kręcili filmy, inni robili zdjęcia. Dziwił mnie ich entuzjazm. Katania w ciemnościach nie przedstawiała interesującego widoku, tym bardziej że miasto zbudowane było z czarnej lawy.

Po wylądowaniu przeszedłem przez kontrolę celną i rozejrzałem się za agencją wynajmującą samochody. Zdziwiło mnie ożywienie

panujące na lotnisku. Ekipy telewizyjne rozstawiły swój sprzęt. Wojskowe patrole przemierzały halę przylotów szybkim krokiem. Czy coś przeoczyłem?

Wybrałem stanowisko, które nie było obleżone przez reporterów. Zdecydowałem się na dyskretny model — fiat punto, kategoria C, i podpisałem przedstawione mi przez urzędnika dokumenty.

— Czy zna pan jakiś dobry hotel w Katanii? — zapytałem go.

— Oczywiście. — Poszukał ręką pod kontuarem i wyjął mapę miasta. — Dziennikarz?

— Dlaczego dziennikarz?

— Nie przyjechał tu pan z powodu erupcji?

— Erupcji?

Urzędnik zaśmiał się.

— Etna obudziła się wczoraj. Miał pan szczęście, że udało się panu tu wylądować. Jutro pasy będą pokryte popiołem. Z pewnością lotnisko przez dłuższy czas będzie zamknięte.

— Nie wygląda pan na zaniepokojonego.

— Zaniepokojonego? Ani trochę. Przywykłem.

Jednak wszędzie panowała nerwowa atmosfera.

Na drodze karabinierzy ustawili zapory, nie przepuszczając samochodów, które chciałyby jechać w stronę wulkanu. Włączyłem radio i znalazłem kanał informacyjny. Erupcja z dwudziestego ósmego października była niezwykła. Takiej aktywności wulkanu nie odnotowywano od dziesiątków lat. Na dwóch zboczach jednocześnie utworzyły się pęknięcia. Pierwszy wybuch, od strony północnej, który miał miejsce około godziny drugiej nad ranem, zniszczył ośrodek turystyczny Piano Provenzana znajdujący się na wysokości dwóch tysięcy pięciuset metrów. Potem szczelina pojawiła się z boku południowym, zbliżając się do innego ośrodka nad miasteczkiem Sapienza. Mówiono o gigantycznych pęknięciach o szerokości dwóch kilometrów.

Wyłączyłem radio. Wydało mi się, że słyszę głucho pomruki wybuchów. Zatrzymałem się w zatoczce i nadstawiłem ucha. Rzeczywiście Etna ciągle wybuchała w ciemnościach. Wyczuwałem pod powierzchnią ziemi drgania sejsmiczne.

Ruszyłem znowu, bardziej zafascynowany zjawiskiem niż przestraszony. Według mapy jechałem od strony południowej wulkanu. Dostrzegałem już czerwony płomień w jednej ze szczelin, a także fontanny lawy, której strumienie odcinały się na tle nocy.

Kiedy Etna pokazała się w całości, zatrzymałem się ponownie.

Droga zatłoczona była samochodami pędzącymi pełnym gazem, z lampami migającymi na dachach, z wyjąkami syrenami. Atmosfera końca świata.

Zaśnieżony wulkan otoczony był wyraźną pomarańczową aureolą przywodzącą na myśl gigantyczne żółtko ustawionego pionowo jajka. Wszędzie wokoło snuły się po niebie ogniste smugi wyrzucane niczym z katapulty. Lawa rozlewała się po stokach wolno, obficie, nieubłaganie.

Przyglądałem się temu jak zahipnotyzowany. Nie sposób było nie dostrzec w tej scenarii przepowiedni. Witało mnie tchnienie diabła. Przypomniałem sobie fragment z Apokalipsy świętego Jana:

*I drugi anioł zatrąbił:  
i jakby wielka góra płonąca ogniem  
została w morze rzucona...\**

Z czarnego dymu wydobywającego się z krateru wyłoniła się twarz. Zniekształcone oblicze Pazuzu, z obwisłymi wargami, z przekrwionymi oczami. W kłębiących się oparach Czarny Anioł wykrzywił się do mnie i pokazywał mi język. Język czarny jak węgiel, spękany, z którego uchodziły płomienie wulkanu, zapraszając mnie, bym się zbliżył i zginął w głębi krateru.

## 57

Nazajutrz rano po przebudzeniu włączyłem telewizor. Nie musiałem szukać długo, żeby trafić na wiadomości o wulkanie. Strumień lawy na północnym zboczu spłynął do wysokości tysiąca pięciuset metrów, a jego czoło miało czterysta metrów szerokości. Płonęły lasy sosnowe w Linguaglossa, z samolotów zrzucano bomby wodne, żeby pohamować żywioł. Na południowym zboczu zasięg lawy przekraczał kilometr. Z powodu wyrzucanych z krateru popiołów ewakuowano Sapienzę. Z obu stron buldożery usypywały groble, żeby powstrzymać strumień lawy. Oblewano je zimną wodą.

Oszłamiający widok. Zboczami spływały rozpalone do białości strumienie, pokonując w ciągu sekundy wiele metrów. Płynna

\* Apokalipsa świętego Jana, 8, 8.

magma potrzaskiwała, parla naprzód niczym gigantyczny wąż, od czasu do czasu wybuchając, wyrzucając w ciemności gejzery lawy.

Godzina siódma rano. Było jeszcze ciemno. Zapaliłem nocną lampkę i rozzejrzałem się po pokoju. Niewielka przestrzeń pomniejszona dodatkowo deseniem papierowej tapety. Łóżko stało tuż przy telewizorze, który ocierał się o zasłony weneckiego okna sięgającego łazienki.

Wyszedłem na balkon. Miałem pokój na czwartym piętrze, skąd roztaczał się wspaniały widok na dachy Katanii, które rysowały się na tle błękitnego nieba. Anteny i kopuły przywodziły na myśl lance i tarcze maszerującej armii, a oświetlone już szyby złociste okienka w adwentowym kalendarzu.

Zapaliłem camela (zaopatrzyłem się w nowy zapas papierosów na lotnisku), uśmiechając się sam do siebie wobec piękna tego obrazu. Nie znałem Katanii, ale byłem w Palermo. Wiedziałem, że Sycylia nie jest jakimś zwykłym fragmentem Włoch, lecz odrębnym światem odziedziczonym po przodkach, przepelnionym surowością i ciszą. Światem o smaku kamieni, dzikim, autonomicznym. Spalonym słońcem i pełnym przemocy.

Postanowiłem zjeść śniadanie poza hotelem, żeby zapoznać się bliżej z miastem. Przed wyjściem złożyłem mój drugi pistolet, glocka, który musiałem zdemontować, żeby przejść kontrolę na lotnisku (polimer, z którego wykonany był pistolet, nie wywoływał reakcji w bramce kontrolnej), po czym schowałem go do pochwy z czarnej cordury.

W holu reporterzy byli już pogotowiu bojowym. Fotografowie sprawdzali swoje aparaty. Filmowcy upychali po kieszeniach baterie niczym amunicję. Dziennikarze usiłovali uzyskać połączenie w kabinach telefonicznych.

Natomiast na zewnątrz panował spokój. W wąskich uliczkach można było dostrzec pomimo mroku ozdoby fasad, portali, balkonów. Scenerii dopełniały samochody parkujące zderzak w zderzak, tarasujące chodniki, stojące pod murami domów albo wręcz przy tablicach zakazujących parkowania.

Znalazłem trattorię z kolorowymi szybami. Czarna kawa *stretto* i rogalik z dżemem rozjaśniły mi umysł. Przede wszystkim powinienem udać się do Questury. Miałem nadzieję, że Michele Geppu przekaże mi więcej szczegółowych informacji na temat morderstwa Geddy i pomoże mi uzyskać widzenie z Agostiną przebywającą w więzieniu w Malaspina. Potem wybrałbym się do archiwum

prasowego w poszukiwaniu artykułów o morderstwie i przeszłości tej Sycylii. Callacciura mówił o jej „osobowości” i typowo „włoskiej historii”. Mogłem się więc spodziewać wszystkiego.

Straciłem co najmniej pół godziny, szukając mojego samochodu w chaosie ulicznym. Odnalezienie na ulicach Katanii fiata punto pokrytego pyłem wulkanicznym okazało się nie lada wyczynem.

W końcu o wpół do dziewiątej ruszyłem w drogę.

Robiło się coraz jaśniej. Katania, miasto pogrążone w czerni, wyglądała wszędzie tak samo ze swoimi murami, trotuarami, jezdniami. Był to świat skał, niemal zatartych reliefów. Tylko od czasu do czasu wyłaniała się zieleń ogrodu w głębi jakiegoś portyku lub w jakiejś niszy figura Madonny pokryta kolorową emalią. Przypomniałem sobie, co czytałem o tym mieście, kiedy mieszkałem w Rzymie, w „Corriere della Sera” lub „La Repubblica”. Katania zajmowała pierwsze miejsce we Włoszech, jak również w Europie, jeśli chodzi o stosowanie przemocy. Rządziła tu mafia walcząca bezwzględnie o swoje wpływy. Któregoś ranka na placu Garibaldi, u stóp pomnika tego bohatera, znaleziono nawet odciętą głowę człowieka, który naraził się mafii.

Na jezdniach zaczynał się coraz większy ruch. Pod ołowianym niebem narastała atmosfera paniki, a zarazem zubożenia. Przed każdym kościołem gromadzili się wierni, tworzyły się procesje, modlono się o ratunek dla miasta. Jednocześnie właściciele sklepów ze spokojem na twarzach wymiatali popiół sprzed drzwi. Na dachach domów kobiety oddawały się temu samemu zajęciu, obrzucając się inwektywami.

Komendę policji odnalazłem o godzinie dziewiątej. Wyjeżdżała stamtąd z pełną szybkością furgonetki. Na głównym dziedzińcu kręcili się zaferowani karabinierzy z karabinami powleczonymi farbą ognioodporną w kolorze khaki. Zapytałem o drogę jakiegoś funkcjonariusza, który wskazał mi biuro prasowe. Pokazałem mu legitymację i powiedziałem, że chcę widzieć się z komendantem. Wskazał budynek w głębi dziedzińca.

Na klatce schodowej panowała taka sama nerwowość. Ludzie zbiegali po kilka stopni naraz. Pod wysokim sufitem rozbrzmiewały nawoływania. Gdzieś głośno ryczał telewizor. W powietrzu czuło się napięcie, podenerwowanie, które udzieliło się wszystkim.

Biuro komendanta znalazłem na ostatnim piętrze. Przepychając się, przeszedłem niezauważony przez gabinet sekretarki i wśliznąłem się kolejnymi drzwiami do pokoju z dużymi oknami,

obszernego jak sala gimnastyczna. Daleko w głębi komendant siedział za biurkiem, coś czytając.

Zanim zdążył mnie zauważyć, przemierzyłem pokój wielkimi krokami i podsunąłem mu pod nos trójkolorową legitymację. Komendant podniósł wzrok:

— Kim pan jest? — zapytał. — Skąd się pan tu wziął?

Południowy akcent. Wyjąłem list polecający. Kiedy go czytał, przyjrzałem mu się dokładnie. Barczysty, w niebieskim garniturze podobnym do admirałskiego munduru. Miał łysą czaszkę, która nadawała mu agresywnego wyglądu, a czarne oczy pod zrośniętymi brwiami błyszcząły niczym dwie oliwki. Po przeczytaniu listu położył owłosione dłonie na biurku.

— Chce pan widzieć się z Agostiną Geddą? W jakim celu?

— Pracuję we Francji nad sprawą, która może mieć coś wspólnego z tutejszym morderstwem.

— Agostina Gedda...

Powtórzył to imię kilka razy, jakby mu przypomniano inną katastrofę, która wydarzyła się w tym mieście. Ponownie spojrzął na mnie badawczym wzrokiem.

— Czy ma pan upoważnienie do prowadzenia śledztwa na Sycylii?

— Nie. Jedyne ten list.

— I jest to pilne?

— Niezwykle pilne.

Przeciagnął ręką po twarzy i westchnął:

— Pan chyba nie zdaje sobie sprawy, że Etna właśnie pierdzi nam w gębę.

— Nie mogłem przewidzieć... takich zewnętrznych okoliczności.

Drzwi za moimi plecami otworzyły się. Komendant zrobił niecierpliwego gest i drzwi natychmiast się zamknęły.

— Agostina Gedda... — Wciąż spoglądał na list. — Akta sprawy są w Palermo. Tam toczył się proces.

— Chciałbym tylko z nią porozmawiać.

— Nie podoba mi się ta sprawa.

— Nie jest to zbyt miły przypadek.

Pokręcił głową:

— Tkwi w tym jakaś tajemnica. Coś, co nie zostało wyjaśnione.

— Czy mógłbym ją zobaczyć?

Komendant nie odpowiedział. W dalszym ciągu wpatrywał się



w mój list. Przez te kilka sekund pogrążył się w sprawie Geddy. I wyglądało na to, że nie sprawiło mu to przyjemności. W końcu podniósł oczy i wziął do ręki pióro.

— Zobaczę, co się da zrobić.

— Czy uważa pan, że mam szansę spotkać się z nią... zaraz?

Nabazgrał coś na marginesie mojego listu.

— Znam dyrektorkę więzienia w Malaspinie. Ale pozostają jeszcze adwokaci Agostiny.

— Jest ich wielu?

Jego czarne oczy spoczęły na mnie. Uchwyciłem w nich przebłysk pobłażliwości.

— Wydawało mi się, że zna pan akta tak samo dobrze jak ja.

— Dopiero co przyjechałem do Katanii.

— Tej kobiety bronili najlepsi adwokaci we Włoszech.

Adwokaci z Watykanu.

— Dlaczego Kuria Rzymska miałaby bronić morderczyni?

Westchnął ponownie i położył list po prawej stronie, w zasięgu ręki.

Drzwi za mną otworzyły się po raz drugi. Tym razem komendant podniósł się.

— Radzę przestudiować akta sprawy, zanim uda się pan na spotkanie z tą dziwną kobietą.

Przeszedł przez pokój energicznym krokiem. Na progu czekali na niego karabinierzy. Rzucił przez ramię w moim kierunku:

— Proszę zostawić mi pańskie namiary. Zadzwoń do pana.

Najpóźniej jutro rano.

## 58

Chmury zniknęły. Błękit nieba podkreślał czerń wulkanu. Poszedłem napić się kawy niedaleko od kwatery głównej karabinierów. Nie wiedziałem, jak mam traktować obietnicę komendanta. Istnieje opinia, że im bardziej jedzie się na południe, tym mniejszy jest rygor i porządek działania, które jakby topiły się w tutejszym słońcu.

Zadzwoniłem do informacji telefonicznej, żeby zdobyć adres głównej gazety Sycylii, „L'Ora”. Potem wsiadłem do samochodu i zacząłem zwiedzać zalane słońcem miasto. Choć był okres późnej

jesieni, wszystko tutaj tonęło w słonecznym blasku. Prześwietlony słońcem pył na czarnych murach miasta przywodził na myśl grudki lukru na czekoladowym ciastku. Katania, miasto w bieli i czerni, w którym lawa i słońce wciąż się ze sobą ścierały, tworząc refleksy, rozpalone do białości plamy.

Ruch uliczny nie wrócił jeszcze do normy. Zapory zamykały drogi prowadzące na północ, wozy oczyszczania miasta jechały wolno, zmiatając z jezdni popiół. We wciąż powstających korkach ulicznych widziało się sceny jak z *commedia dell'arte*: kierowcy wychylali się przez okna, by obrzucić przekleństwami karabinierów, a ci odpowiadali im wulgarnym gestem.

Odnalazłem siedzibę gazety na via Santa Maria delie Salette. Architektura budynku przypominała raczej senat czy gmach sądu niż redakcję. Zaparkowałem byle gdzie, dostosowując się do miejscowych obyczajów, i wszedłem do środka przez wysoki portal. Archiwa znajdowały się w podziemiach. Skierowałem się do wind, ocierając się o grupy wychodzących w pośpiechu dziennikarzy.

Piętro niżej panował zupełny spokój. Oszklona sala zastawiona była metalowymi szafkami i drewnianymi półkami pełnymi dokumentów. Na środku stał stół z podświetlonymi czytnikami i komputerami. W tym słabo oświetlonym pomieszczeniu odnalazłem atmosferę dobrze znaną z innych archiwów, dokąd zawiodły mnie śledztwa i badania związane misjami humanitarnymi, w których brałem udział. Było to takie samo wrażenie piwnicy i kurzu, uśpionych tajemnic, w których bił jeszcze bardzo słabo puls wydarzeń. Tajemnice duszy ludzkiej...

Archiwista pouczył mnie, jak korzystać z komputerów. Mogłem szukać podstawowych informacji, podając temat, nazwisko lub datę. A potem pozostawało zagłębianie się w sterty papierów.

Wystukałem nazwisko Agostiny Gedda. Najpierw pojawiła się data dwutysięczny rok. Potem, po kilku sekundach, komputer wskazał inny rok — dziewięćdziesiąty szósty, potem jeszcze inny — osiemdziesiąty czwarty. Co takiego działo się w życiu Agostiny mającej wówczas zaledwie dwanaście lat, że zasługiwało na cykl artykułów w „L'Ora”?

Zacząłem od początku, wydobyłem z szafy kopertę z osiemdziesiątego czwartego roku. Zaniósłem ją na stół i na odległość, gestem ręki, zapytałem dyżurnego archiwistę, czy mogę zapalić. Wbrew moim oczekiwaniom odpowiedział szerokim uśmiechem.

Z papierosem w ustach otworzyłem kopertę. Zawierała kilka wyciętych z gazety artykułów i zdjęcie wątlej dziewczynki. Niektóre z nich ukazywały ją na szpitalnym łóżku. Przeczytawszy jedynie tytuły, zrozumiałem od razu aluzje Callacciury i komendanta policji. Morderczyni nie była zwykłą kobietą, jak inne.

Agostina Gedda była osobą cudownie uzdrowioną.  
Cudownie uzdrowioną dziewczynką z Lourdes.

„L'Ora" — 16 września 1984 r.

## CUD W KATANII

*Dwunastoletnia dziewczynka została uleczona ze śmiertelnej gangreny w ciągu jednej nocy!*

Nasze miasto przywykło do niecodziennych historii, do niezwykłych osobistości, które czynią z Katanii klejnot Sycylii. Historia Agostiny Geddy jest kolejnym na to przykładem. Tak, w naszym mieście zdarzają się cudowne rzeczy!

Agostina Gedda niczym się nie wyróżniała spośród swoich rówieśniczek. Córka stolarza z Paterno na przedmieściu Katanii była dzieckiem miłym, pilnym, które miało dobre wyniki w

Wszystko jednak zmieniło się pewnej niedzieli w lutym tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku. Bawiąc się z innymi dziećmi, podczas gdy jej rodzice byli na plaży w Taorminie, Agostina spadła z wysokości dwunastu metrów i straciła przytomność. Została natychmiast przewieziona do Akademickiej Kliniki Ortopedycznej w Katanii. Miała złamane nogi, ale poza tym nie doznała żadnych obrażeń.

Agostina spędziła w szpitalu pięć dni, po czym wróciła do domu z nogami w gipsie. Pod koniec drugiego tygodnia zaczęła narzekać na bóle. Z jej nóg sączyła się ropa. Zabrano ją znowu do szpitala. Rozcięto w pośpiechu gips. Rany nie zablizniały się, pojawiła się gangrena.

Specjaliści mówili już o amputacji. Sophia, matka Agostiny, załamała się. Ojciec natomiast domagał się wyjaśnień. Lekarze byli bezradni. Nie mieli wątpliwości, że Agostina

jest skazana. Jej śmierć była już tylko kwestią paru dni. Nawet amputacja niczego nie mogła zmienić...

W Paterno utworzył się ruch solidarności. Chodząc od drzwi do drzwi, zbierano pieniądze dla dziewczynki potrzebne na podróż jej ostatniej szansy — pielgrzymkę do Lourdes. Takie pielgrzymki organizuje znane w tym maryjnym mieście stowarzyszenie pod nazwą unital<sup>6</sup>.

Agostina wyruszyła do Lourdes piątego maja w towarzystwie rodziców. Była szczęśliwa. Po raz pierwszy w życiu podróżowała statkiem i pociągiem! Wszyscy prześcigali się w ofiarowywaniu jej smakołyków, okazywaniu sympatii...

Jednak po przybyciu do Lourdes Agostinie ogarnął lęk. Przerażali ją chorzy, kalecy tłoczący się na ulicach, pielęgniarki w niebieskich welonach. Nie rozumiała, dlaczego znalazła się w tym miejscu. Czy chcą ją zostawić z tymi kalekami? Kiedy zaprowadzono ją na basen, nie chciała się w nim wykąpać, ale potem dała się przekonać. Znalazłszy się w lodowatej wodzie — temperatura w basenach nie przekracza dwunastu stopni — Agostina zaczęła krzyczeć. Przebywała w wodzie najwyżej

Po powrocie do Paterno w stanie zdrowia dziewczynki nie nastąpiła żadna poprawa. Ważyła zaledwie siedemnaście kilogramów. Z każdym dniem gangrena obejmowała kolejne części ciała. W lipcu świętowano jej urodziny. Agostina skończyła wówczas dwanaście lat. Zostało jej tylko dwa, trzy tygodnie życia. Matka szyła już ubranko do trumny.

Piątego sierpnia o ósmej wieczorem Agostina zapadła w śpiączkę. Krew przestała krążyć w ciele, powodując niedotlenienie mózgu. Matka natychmiast wezwała lekarza. Zanim lekarz przyjechał, zdarzyło się coś niespodziewanego. Agostina pojawiła się na progu, trzymając się framugi drzwi. O własnych siłach doszła do kuchni. Z jej twarzy znikła chorobliwa bladość.

Lekarz zbadał dziewczynkę. Nie było żadnych wątpliwości — gangrena cofała się. W następnych dniach przeprowadzono badania w Katanii. Ta sama diagnoza. Agostina zdrowiała. Rany zaczęły się zablizniać. W ciągu jednej nocy wyszła z nieuleczalnej choroby bez interwencji lekarzy.

Mieszkańcy Paterno doskonale znają tę historię. Wieść o uzdrowieniu rozeszła się po mieście niczym dźwięk

dzwonoń. W całym mieście komentowano cud, o którym mówiły już wszystkie media we Włoszech.

Mimo to monsignore Paolo Corsi z katańskiej diecezji był ostrożny w swojej opinii. Na konferencji prasowej powiedział: „Cieszymy się z wyzdrowienia Agostiny. To wspaniały przykład nadziei i wiary. Ale potrzeba wiele, wiele czasu, zanim Kościół wyda opinię o cudownym uzdrowieniu...”.

Agostina powróciła do normalnego życia. Poszła nawet do szkoły na początku września, jak wszystkie dzieci. Nikt jednak nie zapomniał, że została naznaczona niecodziennym doświadczeniem. Wszyscy, katolicy i niewierzący, musieli przyjąć do wiadomości, że niewyjaśnione wyzdrowienie wydarzyło się kilka tygodni po pielgrzymce do Lourdes. Nawet najbardziej sceptyczni powinni wyciągnąć z tego faktu wnioski!

Wypaliłem papierosa i obejrzałem jeszcze raz zdjęcia. Agostina, mająca jedenaście i pół roku, na łóżku szpitalnym. Agostina w fotelu w kólkach, w otoczeniu członków komitetu pomocy z Paterno. Agostina w długiej procesji kalek w Lourdes...

Ta pielęgniarka była zdecydowanie dobrym obiektem dla dziennikarzy z „L'Oro”. Cudownie uzdrowiona w wieku dwunastu lat, morderczyni w wieku trzydziestu lat — niebanalne. Zaciągając się papierosem, zamyśliłem się. W tej sprzeczności faktów wyczuwałem wewnętrzną logikę. Nieprawdopodobne wręcz, żeby tak sprzeczne wydarzenia były dziełem zwykłego przypadku.

Przeszedłem do drugiej koperty: kwiecień 1996 rok.

„L'Ora” — 12 kwietnia 1996 r.

#### CUDOWNE UZDROWIENIE AGOSTINY NARESZCIE UZNANE!

*Po dwunastu latach ekspertyz Agostina Gedda  
została uznana przez diecezję w Katanii i Stolicę Apostolską  
za cudownie uzdrowioną*

Na tę wiadomość czekaliśmy dwanaście lat. Na Sycylii nikt nie zapomniał historii Agostiny Geddy uzdrowionej

w jedną noc ze śmiertelnej gangreny po pielgrzymce do Lourdes. W Katanii wszyscy mówili o cudzie, ale władze kościelne okazywały rezerwę. Monsignore Corsi, arcybiskup Katanii, uprzedzał: „Musimy być ostrożni. Kościół nie chce dawać fałszywych nadziei wiernym. Sprawy związane z medycyną nie leżą w gestii Kościoła. Żeby wydać ostateczną opinię, musimy odwołać się do lekarzy różnych specjalności, których badania potrważają całe lata”.

Dwanaście lat, aż tyle czasu potrzebował zespół międzynarodowych ekspertów, wyznaczonych przez Stolicę Apostolską, a potem komisja watykańska, żeby orzec w końcu o cudzie. Uzdrawienie zostało poświadczane nie tylko przez szpital w Katanii, ale również przez Centrum Medyczne w Lourdes.

Doktor Bucholz, kierownik Centrum, wyjaśnia: „Przed ogłoszeniem »nagłego i niewyjaśnionego uzdrowienia« musimy się upewnić, że choroba miała charakter nieuleczalny i że nie stosowano żadnego leczenia. Kiedy ktoś ulega takiemu uzdrowieniu, czekamy wiele lat, żeby uzyskać pewność, że remisja choroby jest definitywna. Wtedy dopiero, we współpracy z Kościołem, przedkładamy dokumenty Międzynarodowemu Komitetowi Medycznemu, w którego skład wchodzi trzydziestu lekarzy, neurologów, psychiatrów wszystkich narodowości, katolików i niekatolików. Po głębokiej analizie specjaliści ci stwierdzają, czy miało miejsce irracjonalne uzdrowienie.

Kiedy lekarze wydali już swoją opinię, dokumenty przejęła Stolica Apostolska, która zajęła się stroną duchową sprawy. Monsignore Perrier, biskup Lourdes, komentuje: „Dla Kościoła wyzdrowienie fizyczne jest tylko jednym z aspektów cudu. To znak zewnętrzny głębszego wyzdrowienia w wymiarze duchowym. Z tego powodu śledzimy zawsze ewolucję psychiczną osoby uzdrowionej. Odrzucona zostanie na przykład osoba, która będzie chciała zarobić na swoim przeżyciu, lub taka, która po uzdrowieniu pozostanie niewierząca. W większości wypadków cudownie uzdrowieni podążają właściwą drogą duchową, udowadniając, że dostąpili także wyższego stanu”.

Agostina Gedda odpowiadała tym warunkom. Po latach

została pielęgniarką i stale jeździła do Lourdes, by pomagać chorym i pielgrzymom. Zdaniem wszystkich Agostina to uosobienie słodczy, ktoś, kto nie przestaje pomagać bliźnim.

Kiedy się z nią zetkniecie, zaskoczy was najpierw jej skromność i pokora. Z tej dwudziestoczteroletniej dziś kobiety emanuje prawdziwe wewnętrzne światło. Mieszka nadal w Paterno, dzieli życie z Salvatore, swoim mężem, który pracuje w przedsiębiorstwie elektrycznym. Wiodą zwykłą egzystencję w wynajętym mieszkaniu w CEP (Conorzio Edilizia Popolare), jednej z dzielnic socjalnych w Paterno.

A dziś, kiedy jej cud został oficjalnie uznany, jak odnosi się do tego, że jest istotą wybraną przez Boga? Uśmiecha się z zażenowaniem: „Moje uzdrowienie nie było przypadkowe, ale nie potrafię wyjaśnić tej boskiej interwencji. Byłam zwykłym dzieckiem. Niewiele się modliłam i miałam bardzo naiwne wyobrażenie o religii. Od tamtej pory przemyślałam wiele rzeczy. Wierzę, że moja historia ma związek z Pismem Świętym. Byłam zwykłą, anonimową osobą, taką jak wiele innych osób. Wierzę, że właśnie dlatego wybrała mnie Najświętsza Maria Panna”.

Kobieta o dwóch twarzach. Dobry tytuł dla filmu. Na pół anioł, na pół demon. Jak wyjaśnić, że Agostina, wybrana przez Boga, została morderczynią, która tak okrutnie torturowała własnego męża? Znowu doznałem dziwnego uczucia. Fakty te nie pasowały do siebie — była między nimi całkowita sprzeczność. Między cudem i zbrodnią musiało jeszcze coś istnieć...

Na razie uzyskałem odpowiedź na początkowe pytanie dotyczące stowarzyszenia unital6. Dlaczego Luc interesował się tym stowarzyszeniem organizującym pielgrzymki? Dlatego, że podróżowała z nim Agostina. Stała się nawet jego wolontariuszką. Czego szukał Luc w tym stowarzyszeniu?

Przejrzałem zdjęcia z koperty. Agostina w wieku piętnastu, szesnastu lat, kłaniająca się papieżowi Janowi Pawłowi II. Dwudziestoletnia Agostina, pchająca fotel na kółkach w tłumie w Lourdes, w niebieskiej woalce wolontariuszek z maryjnego miasta. Agostina w pracy — nieśmiały uśmiech, biały fartuch. Święta, która okazuje w codziennej pracy życzliwość i współczucie z wyrazem pokory na twarzy.

*Godzina 13.00*

Żadnych wieści od komendanta Michele'a Geppu. Byłem sam w wielkiej sali, zagłębiony w przeszłości, ukryty przed teraźniejszością — erupcją wulkanu, atmosferą pogotowia ponad moją głową...

Wróciłem do katalogów i wyjąłem kopertę z datą dwutysięczny rok. Nic nowego. Ciało Salvatore'a znalezione na terenie budowy. Agostina zatrzymana w mieszkaniu. Jej zeznania, ale bez słowa na temat motywu. Taka dokumentacja śledztwa powinna była pozwolić na bardzo szybkie załatwienie sprawy. Tymczasem Agostina nadal czekała na proces. Procedura nie miała końca. Domyślałem się, że odegrali tu swoją rolę jej obrońcy, słynni adwokaci Stolicy Apostolskiej.

Były także zdjęcia przedstawiające zwłoki w takim stanie, jak je znaleziono. Oglądałem już zdjęcia zwłok Sylvie Simonis, a te wyglądały nie lepiej. Zdjęcie torturowanego ciała; portret antropometryczny Agostiny; inne, na którym w niebieskim welonie wyglądała niczym anioł. Ułożyłem koperty w porządku chronologicznym i zostawiłem je na blacie stołu. Pożegnałem gestem kierownika archiwum.

Chciałem teraz udać się do Paterno.

Musiałem poczuć atmosferę teatru zbrodni.

## 59

CEP — Consorzio Edilizia Popolare — była dzielnicą mieszkań o umiarkowanym czynszu w budynkach zgrupowanych po cztery. Tego rodzaju dzielnice powstawały wszędzie we Włoszech w latach pięćdziesiątych. Na ich widok pomyślałem o lawie wulkanicznej, pod którą zastygło wszystko, co znajdowało się na jej drodze. Tak jak w Pompejach. Tutaj w betonie zastygło nieszczęście, bezrobocie, izolacja

Fasady z brudnymi tynkami, nędzne ogrody, warzywniki sąsiadujące z parkingami, na których rdzewiały karoserie samochodów, ogołocone z liści drzewa wokół zrujnowanych placów zabaw. Jechałem, mijając połamane latarnie, wypalone boiska do piłki nożnej. Dzielnica nie wyglądała na opuszczoną. Był to świat, gdzie śmierć stała się stanem permanentnym. Jedyną przyszłością.



Zauważyłem kaplicę z prefabrykatów, z dachem z blachy falistej, stojącą tuż obok publicznego wysypiska śmieci. Wyobraziłem sobie mieszkańców tej dzielnicy, modlących się o zdrowie Agostiny, i składających się na jej wyjazd do Lourdes. Ten obraz przywołał w mojej pamięci słowa Agostiny, jakie wypowiedziała w wywiadzie: „Byłam zwykłą anonimową osobą, taką jak wiele innych. Wierzę, że właśnie dlatego wybrała mnie Najświętsza Maria Panna”. Z tego samego powodu nie mogło być lepszego miejsca dla tego, co się przydarzyło Agostynie. Bo Paterno niczym, ale to absolutnie niczym się nie wyróżniało.

Natomiast skłaniało do refleksji na temat istoty tradycji katolickiej — narodzin w stajence, jałmużny, ubóstwa. Tradycji głoszącej, że „głodni zostaną nakarmieni”, „płaczący pocieszeni”, że nieszczęście na ziemi otworzy drogę do szczęśliwości w niebie.

Znalazłem blok Agostiny — pallazina D, scala A — adres był napisany pod jej zdjęciem w aktach sądowych. Wsiadłem z samochodu. Przyjechałem, żeby odetchnąć tutejszym powietrzem, ale natychmiast zdałem sobie sprawę, że nie był to dobry pomysł. Wokół unosił się duszący, obrzydliwy smród siarki.

Jakiś człowiek wyszedł z budynku z twarzą osłoniętą szalem. Zasłoniłem usta kołnierzem płaszcza i pobiegłem w jego kierunku. Zapytałem, co się stało. Odpowiedział, nie odgarniając szala:

— To przez słone błoto na zboczach wokół naszej dzielnicy. Kiedy dochodzi do erupcji, zawsze wydobywa się z niego gaz. Mamy tu nasze własne małe wulkany! Okolica jest z nich znana!

Zrobiłem pośpiesznie kilka zdjęć i wróciłem do samochodu, żeby znaleźć miejsce wolne od wyziewów. Zatrzymałem się przy opuszczonym placu zabaw, kilka bloków dalej, gdzie smród był łatwiejszy do zniesienia. Pod żelazną bramką wisiało kilka starych huštawek. Niezły zakątek na samotną medytację.

Przy dźwięku lin skrzypiących na wietrze wróciłem do swoich refleksji. Cud z Agostiną. Nie byłem jeszcze gotowy weń uwierzyć. Instynktownie nie ufałem spektakularnym boskim objawieniom. Od czasu Rwandy byłem przekonany, że Bóg nie interweniuje w sprawy ziemskie. Zostawił nas, żebyśmy sobie radzili sami. Objawił nam drogę dojścia do Niego. Do nas należy opierać się pokusom, nie ulec siłom ciemności. Jednym słowem, mamy cierpieć. Na tym właśnie polegała możliwość „kreowania siebie samych”.

Z tego też powodu odnosiłem się nieufnie do nadprzyrodzonych interwencji. Dlaczego Bóg miałby ni stąd, ni zowąd wybrać kogoś i uczynić cud? Nie zgadzało się to z istotą chrześcijańskiej doktryny. Jedynym cudem, jaki mógł zdarzyć się w obecnych czasach, było wzniesienie się śmiertelnej istoty ku Stwórcy. Jedynie wiara mogła przekroczyć granice naszej egzystencji. I to właśnie decydowało w tego rodzaju uzdrowieniach. Umysł ludzki silniejszy był niż materia.

Z Agostiną sprawa przedstawiała się inaczej. Zbrodnia, którą popełniła, albo do popełnienia której się przyznawała, zmieniała wszystko. Cud w przeszłości zawsze łączył się ze zbawieniem duszy. Domyślałem się, dlaczego Watykan wyznaczył swoich prawników. Nie po to, aby wykazać niewinność Agostiny — przecież przyznała się do winy — ale po to, żeby ograniczyć ewentualne szkody. Uciszyć szum wokół niej. Stolica Apostolska popełniła monumentalny błąd, uznając za cudownie uzdrowioną takiego potwora. Trzeba było zatuszować skandal!

Zapadał zmrok. Trawniki połyskiwały w półmroku, zacierały się kontury miasta. Godzina siedemnasta. A Michele Geppu nadal się odezwał. Przemarznięty do szpiku kości postanowiłem usiąść w samochodzie i odbyć kilka rozmów telefonicznych.

Najpierw Foucault.

— Masz coś nowego? — zapytałem bez zbędnych wstępów.

— Nie. Poszukiwania takich morderstw na szczeblu międzynarodowym nic nie dały. Jak dotąd. Trzeba czekać.

— A co z entomologami z Jury?

— Nic.

— Odsuść Jurę. — Pomyślałem o Sarrazinie i jego drażliwości. — Sprawdziłeś, czy istnieje powiązanie między unital6 a Notre-Dame-de-Bienfaisance?

— Sprawdziłem i niczego nie znalazłem.

— Poszperaj jeszcze w tej fundacji. W pielgrzymkach, seminariach.

— Na co mam zwrócić uwagę?

— Nie mam pojęcia. Znajdź wykaz podróży, ich częstotliwość, ceny. Poszperaj we wszystkim. — Mówiłem bez przekonania i Foucault musiał to wyczuć. — A jak tam w biurze? Wszystko w porządku? Spokój na morzu?

— Powiedzmy. Dumayet sonduje mnie na twój temat.

Poprzedniego wieczoru wysłałem do pani komisarz SMS-a, zawiadamiając ją, że przedłużam sobie „wakacje”. Tego rodzaju informacja wymagała dokładniejszego wyjaśnienia, ale jeszcze się na to nie — Co jej powiedziałaś?

— Prawdę. Że nie mam zielonego pojęcia, co ty kombinujesz.

Pożegnałem się z nim i zadzwoniłem do Svendsena, żeby dowiedzieć się czegoś nowego o poroście, skarabeuszu oraz poszukiwaniach innych zniekształconych zwłok. Nie dawał żadnego znaku życia. Nie byłem więc zaskoczony, kiedy oświadczył, że botanicy nadal szukają bez rezultatu. Przejrzeli obszerne katalogi dotyczące szczepów roślinnych i form bakteryjnych. Co do skarabeusza, eksperci potwierdzili opinię Plinkha i podali listę gospodarstw hodowlanych. Żadne z nich nie znajdowało się w pobliżu dolin Jury.

W sprawie zwłok Svendsen telefonował w różne miejsca. Na próżno. Rozesłał wewnętrzne polecenie do wszystkich kostnic. Odpowiedzi jeszcze nie nadeszły. Zapytałem go, czy tego rodzaju poszukiwania nie mogłyby objąć całej Europy. Trochę pomarudził, ale nie odpowiedział zdecydowanym „nie”. Wiedziałem, że się tym zajmie.

Na koniec zadzwoniłem do Demy'ego. Nowiny nie były pomyślne. Właściciel szwajcarskiego konta przybył osobiście po gotówkę. Nie było żadnego przelewu imiennego na inne konto.

Kto więc podejmował te sumy? W nowym kontekście odpadała moja hipoteza o prywatnym detektywie. Komu więc Sylvie przez trzynaście lat przysyłała pieniądze? Czy ktoś ją szantażował? Czy przekazywała jakieś dotacje, aby uspokoić sumienie? Nie miałem żadnej możliwości, żeby się tego dowiedzieć.

Ostatni telefon, do Sarrazina. Zawarliśmy porozumienie, a ja spóźniłem się już o jeden dzień, podczas gdy on przesłał mi dwie wiadomości.

— Co ty sobie myślisz?! — wybuchnął. — Wysłałeś do nas innego policjanta?

Po raz pierwszy zwracał się do mnie na „ty”. Odpowiedziałem w tym samym tonie:

— O co ci chodzi?

— Dowiedziałem się, że jakiś gliniarz z Paryża dopytuje się tutaj o entomologów. Uważaj, Durey. Graj ze mną uczciwie, bo inaczej...

Przerwałem mu i wyjaśniłem, że rzeczywiście jeden z moich ludzi tworzy listę entomologów w Jurze. Wydałem to polecenie jeszcze przed zawarciem naszej umowy. Przed chwilą zleciłem mu przerwanie tej roboty. Sarrazin uspokoił się.

— Masz coś nowego w tej sprawie? — zapytałem.

— Nic. Przejrzałem wszystko od początku, ale niczego nie znalazłem. Ani nikogo, kto mógłby nas zainteresować w związku z tą sprawą.

Znowu impas. Mimo to wciąż miałem w pamięci słowa Plinkha: „On jest tutaj, proszę mi wierzyć. Bardzo blisko nas. Czuję jego obecność, jego ludzi, gdzieś w naszych dolinach”. Trzeba jeszcze szukać.

Teraz z kolei Sarrazin zapytał mnie o nowiny. Odpowiedziałem wymijająco. Prawdę mówiąc, nie chciałem dzielić się z nim moimi informacjami. Powstrzymywała mnie niewytłumaczalna nieufność do tego żandarma. Obiecałem zadzwonić do niego następnego dnia.

Kręciłem się po mieście aż do pory obiadowej. W ciemności ulice przybrały żałobny wygląd. Niczym pęknięcia w skale odsłaniały swoje tajemnice, swoje skarby. Katania, czarne miasto, budziła się w świetle latarni, ożywała niczym lunatyk, który wstaje w doskonałej formie wtedy, kiedy wszyscy śpią.

Szukałem bezskutecznie restauracji japońskiej, gdzie podano by mi ryż, zieloną herbatę, bagietki. W końcu zjadłem obiad w pizzerii. Mój telefon wciąż milczał. Starłem się odizolować od szczęku noży i widelców, koncentrując się na innych wrażeniach: zapachu anchois, pomidorów, bazylii. Wnętrze z ciemną drewnianą boazerią, ozdobioną muszelkami i żagłówkami w butelkach, przywodzącymi na myśl grotę marynarza, który osiadł na mieliźnie. Kobiety ubrane w zamsz i welur o różnorodnym odcieniu brązu przypominającym przepyszne mrożone kasztany.

Wyszedłem z restauracji o godzinie dwudziestej. Geppu nie zatelefonował. Niecierpliwe oczekiwanie na spotkanie z Agostiną szarpało mi nerwy. Czułem, że w więzieniu w Malaspinie odnajdę klucz do mojej sprawy. W każdym razie miałem taką nadzieję. Że będzie to przeblysk, jakieś światło w zawiłym labiryncie.

Wróciłem do hotelu. Włączyłem telewizor. Etna była nadal w centrum zainteresowania. Na północnym i na południowym zboczu wciąż tryskały strumienie lawy. Zaczynała się panika, zwłaszcza w miastach na południu, takich jak: Giarre, Santa

Venerina, Zafferana Etneo... Ewakuacji tysięcy ludzi towarzyszyły procesje i modlitwy.

Zaprošzony do studia specjalista wyjaśniał, że erupcja ma różne stadia: najpierw wstrząsy sejsmiczne, potem wybuchy lawy — nikt nie jest w stanie określić, jak długo będzie to trwało — a na końcu deszcz popiołu. Że ta ilość żuźlu wulkanicznego, która sypała się dotąd na miasto, to jeszcze nic. Wkrótce cały region zostanie pokryty grubą czarną warstwą. Zakończył z uśmiechem: „Ale w Katanii jesteśmy do tego przyzwyczajeni!”.

Jednak ten wybuch przekroczył wszystko, co ludzie znali do tej pory. Czy był powód, żeby się bać? Lękać gniewu wulkanu? Po raz kolejny dostrzegałem w tej atmosferze ponurą wróżbę. Diabeł czekał na mnie gdzieś w brzdach krateru.

Wyciągnąłem laptop, kabel i modem. Chciałem zapisać ostatnie przemyślenia i wgrać zdjęcia, które zrobiłem tego popołudnia.

Moja komórka w końcu się odezwała. Zareagowałem natychmiast.

— *Pronto?*

— Geppu. Umówiony jest pan na jutro. Będą czekać na pana w Malaspinie o godzinie dziesiątej.

— Nie potrzebuję jakiegoś zezwolenia?

— Nie. Wejdzie pan tam nieoficjalnie, po cichu.

— Nie uprzedził pan adwokatów?

— Chce pan czekać tutaj jeszcze miesiąc?

— Dziękuję panu.

— Nie ma za co. Agostina spodoba się panu. Powodzenia!

Zamierzał już odłożyć słuchawkę, kiedy powiedziałem:

— Chciałbym jeszcze o coś zapytać... Czy istnieją dowody materialne przeciw Agostinie?

Geppu wybuchnął śmiechem.

— Żartuje pan! Na miejscu zbrodni wszędzie były jej odciski!

## 60

Skalne płytki połyskiwały w słońcu niczym lusterka poruszone niewidzialnymi rękoma. Stosy kamieni uformowane w sine totemy. Jałowe płaszczyzny. Sto metrów poniżej, u stóp klifu, blask bijący od morza ranił oczy tysiącem ostrzy. Powietrze drgało. Można by

pomyśleć, że to gorąco zmieniało położenie linii horyzontu, ale temperatura przekraczała zaledwie zero. Widok mącił pył.

Opuściłem osłonę przeciwsłoneczną, usiłując dostrzec koniec ginącej we mgłę drogi. Było już po dziewiątej. Straciłem trochę czasu przy wyjeździe z Katanii. W nocy spadł tam słynny czarny deszcz trzeciego stadium wybuchu wulkanu. Ulice pokryła gęsta warstwa popiołu. Buldożery próbowały oczyścić ulice, blokując przy tym ruch. Jeźdnie przypominały ślizgawkę, coraz liczniejsze były zatory. Z tego piekła wydostałem się dopiero czterdzieści kilometrów od Katanii.

Byłem spóźniony. Według mapy miałem jeszcze jechać dwadzieścia kilometrów, a potem skręcić na północny zachód. Mijałem domki, rudery uczone pagórków, od czasu do czasu szare wioski zagubione w kamienistym pejzażu. Gdzie indziej stały niedokończone, opuszczone domy, właściwie już ruiny. Południowe Włochy specjalizowały się w takich przedsięwzięciach, które były świetną okazją do wszelkiego rodzaju matactw nieruchomości.

Skręciłem w lewo. Nie było tablicy zapowiadającej więzienie w Malaspinie. Pejzaż zmienił się. Pustynia ustąpiła miejsca ponurej równinie najeżonej trzciną, pożółkłymi trawami, co przypominało wyschłe bagna. Ten widok, wywołując uczucie osamotnienia, wciskając się pod moje powieki, niemal mnie hipnotyzował. Wreszcie pojawiła się tablica z nazwą „Malaspina”.

Droga biegnąca cały czas prosto nagle zamieniła się w ścieżkę bez asfaltu. Zastanawiałem się, czy nie pominąłem jakiegoś zakrętu lub drogowskazu.

Ponownie pustynia. Skaliste szczyty tworzące przedziwne rzeźby> pagórki na horyzoncie, ledwo widoczne w jaskrawym świetle. Choć nie było jeszcze godziny jedenastej, na suchą ziemię padały już ostre cienie. Wszystko przypominało księżycowy krajobraz.

Poważnie zacząłem wątpić, czy jadę właściwą drogą, kiedy zobaczyłem ledwie widoczne więzienie. Prostokątna trzypiętrowa budowla położona u stóp zbocza. Droga biegła prosto do zakładu karnego. Nie było żadnej innej.

Wjechałem na parking. Gdy wysiadłem z samochodu, na twarzy poczułem uderzenia wiatru i siekący pył. Słoneczny żar i lodowaty chłód wichury znosiły się wzajemnie, wskutek czego nie było ani ciepło, ani zimno. W gardle smak popiołu. Klucie piasku na twarzy. Czepiające się nóg zarośla. Nałożyłem okulary słoneczne.

Rozejrzałem się wokoło i zatrzymałem wzrok na jednym punk-

cie. Nie wierzyłem własnym oczom. Na skraju drogi nad stokiem ujrzałem trzy sylwetki. A może tak tylko mi się wydawało, bo widziałem jedynie rozmazane cienie. Ci ludzie obserwowali mnie. Strażnicy? Przysłoniłem ręką oczy i przymrużyłem powieki. Moje zaskoczenie jeszcze wzrosło — to byli księża. Koloratki, sutanny powiewające na wietrze, trzy blade twarze, bez wieku, z piętnem śmierci. Co to za straszny?

Zaskrzypiała brama więzienna. Odwróciłem się i zobaczyłem trójką cień otwierający się w moim kierunku. Spojrzałem po raz ostatni na tych księży, ale oni zniknęli. Czy śniłem? Pobiegłem do bramy w strachu, że ją zamkną, zanim zdążę wejść.

Wszystkie więzienia są do siebie podobne. Ogrózione murem ze strzelnicami i wąskimi okienkami. Budki strażnicze, mur zakończony drutem kolczastym lub odłamkami szkła. Zakład karny w Malaspinie nie odbiegał od reguły, tyle że tutaj dodatkowym utrudnieniem dla ucieczki była pustynia. Uciekinier musi zmierzać do jakiegoś konkretnego miejsca, a tutaj nie było nic.

Podaliśmy swoje nazwisko w biurze przyjęć i przeszedłem kilka kontroli, idąc przez nijakie korytarze, mijając biura. Jedyne oryginalne elementy stanowiły kolory, na jakie wymalowano szlabany, kraty, drzwi. Wszędzie zniszczona farba żółta, czerwona, niebieska, która miała nadać tym pomieszczeniom weselszy wygląd, ale tylko podkreślała ponurą

Kazano mi poczekać w holu obok podwórza odgródzonego podwójną kratą. Zobaczyłem tam więźniarki, które szły, trzymając się pod rękę, zapewne do kantyny, bo dochodziło już południe. Ubrane w dresy, szły rozluźnione, jakby były u siebie w domu, w niedzielę, ale niedziela ta trwała całe lata. Głowy pochylone, twarze wyrażające te same refleksje, te same uczucia jak w dniu poprzednim i w dniu następnym. Niebo można było oglądać tutaj również przez kraty. W więzieniach podwórza są zakratowane od góry. Mają przypominać więźniom, co stracili.

Usłyszałem kroki. W moim kierunku szła kobieta w oliwkowego koloru mundurze, z ogromnym pękiem kluczy w ręku. Już z daleka powiedziała:

— Spóźnił się pan.

Po czym przedstawiła się, ale ja i tak nie dosłyszałem ani jej nazwiska, ani stopnia. Uderzył mnie jej wygląd. Brunetka o matowej cerze, pełnych ustach, gęstych rzęsach. Z całej postaci emanowały jakieś fale magnetyczne. Może sprawiały to jej kształty

opięte mundurem, a może szorstkie piękno twarzy i złociste oczy. Doznałem zawrotu głowy.

Te rzęsy, brwi, surowe rysy były jak obietnica, zapowiedź pokrytego gęstym puszkciem łona. Wyobraziłem sobie jej smagłe ciało, ciemne obwódki wokół sutków i tajemniczy trójkąt w dole brzucha. Można było stracić głowę.

— Przepraszam, nie dosłyszałem.

— Jestem dyrektorką. Przyjmuję pana, ponieważ znam Michele'a Geppu i mam do niego zaufanie.

— Czy Agostina Gedda zgodziła się na widzenie ze mną?

— Ona zawsze się zgadza. Lubi się pokazywać.

— Ile daje mi pani czasu?

— Dziesięć minut.

— To mało.

— Całkowicie wystarczy, żeby wyrobić sobie o niej opinię.

— Jaka ona jest?

Dyrektorka uśmiechnęła się. W dole brzucha poczułem bolesny ucisk. Sygnał gwałtownego pożądania. A nad tym wszystkim refleksja — sucha pustynia, trzej księża, ta ekscytująca kobieta... „Pokusa pustyni” odegrana w trzech aktach i tylko na mój użytek.

Dyrektorka odpowiedziała chrapliwym głosem, jaki spotyka się często u Włoszek.

— Dam panu jedną radę.

— Jaką?

— Niech pan nie słucha jej opowieści. W ogóle nie należy jej słuchać.

Ta rada była absurdalna, przecież przyjechałem tutaj po to, żeby przesłuchać Agostinę. Dyrektorka dodała:

— To demon kłamstwa.

## 61

Rozmównica. Duża sala z nagimi ścianami, małymi stolikami i szkolnymi krzesłami także oblażonymi z farby. Wysoko okienka otwarte na światło południa. Wystrój stanowiły jedynie wiszący naprzeciw mnie krucyfiks, zegar i tablica zakazująca palenia. Sala była pusta.



Strażniczka zamknęła za mną drzwi na klucz. Podłoga wysypana była piaskiem. Dostrzegłem cienkie warstwy kurzu w kącikach okien i załomach ścian. Pył przedostawał się do wnętrza przez szpary w innych zamkniętych drzwiach wychodzących bezpośrednio na pustynię.

Zgrzyt klucza w zamku. Kroki. Mimo woli zacisnąłem pięści. Nie wolno mi stracić zimnej krwi. Odliczyłem do pięciu i dopiero wtedy się odwróciłem.

Strażniczka już zamknęła drzwi. Agostina usiadła, spokojna, wyprostowana, ubrana w błękitną bluzę. Nie wiem, czego dokładnie się spodziewałem, ale z pewnością nie takiej siły, takiej oślepiającej mocy.

Z Agostiny bił blask niczym od świętej.

Podszedłem bliżej i poczułem kojące ciepło. Czy to ślad cudu, który ją uratował? Walczyłem z tym wrażeniem. Przyjechałem przesłuchać zabójczynię Salvatore Geddy, a nie wybrankę Boga.

Odsunąłem krzesło i usiadłem. Przypominałem sobie sceptyczne opinie wobec objawień Bernadetty Soubirous. Woźni sądowi i policjanci, którzy nie chcieli wierzyć jej opowieściom, zmienili zdanie, gdy ją ujrzeli: „W jej twarzy było coś, co świadczyło o spotkaniu z Bogiem”.

Siedzieliśmy naprzeciwko siebie. Agostina uśmiechała się. Wydawała się młodsza niż na zdjęciach, nie dałbym jej więcej niż dwadzieścia pięć lat. Niewysoka, drobna, krucha. Jednak rysy twarzy były bardzo wyraziste. Czarne, błyszczące źrenice pod wysokimi brwiami. Zadarty, filuterny nos. Czerwone usta przywodzące na myśl mały owoc w miseczce z mrożonym cukrem. Bładość cery podkreślały czarne, krótko przycięte włosy tworzące aureolę wokół delikatnej twarzy.

Otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć, ale Agostina uprzedziła mnie:

— Jak się pan nazywa?

Głos miała słaby, cichy, ale nieprzyjemny. Odpowiedziałem po włosku:

— Nazywam się Mathieu Durey. Jestem policjantem z brygady kryminalnej z Paryża, z wydziału zabójstw.

— Jakaś odmiana — zauważyła z pewnym rozbawieniem. — Odwiedzają mnie tylko duchowni.

Podsunałem jej fotografię Luca. Chciałem najpierw uzyskać pewność.

— Nie jestem chyba pierwszym francuskim policjantem, który panią odwiedził. On też tu był, prawda?

— Luc był inny. Ja go nie interesowałam.

— A kto go interesował?

Na jej wargach znowu pojawił się uśmiech.

— Dobrze pan wie.

Przed moimi oczyma przesunęły się obrazy. Pazuzu z pyskiem nietoperza. Anioł z głową zwierzęcia i połamanymi skrzydłami. Mężczyzna w surducie i meloniku z przekrwionymi oczami. Wyjące psy, brzęczące roje pszczół. Odkaszlnąłem.

— Czy mogę zadać pani kilka pytań?

— To zależy, na jaki temat.

— Na temat zbrodni z kwietnia dwutysięcznego roku.

— Powiedziałałam już wszystko policji i adwokatom.

— Zadam pytanie, a pani odpowie, jeśli będzie chciała. Zgoda?

Skinęła głową. Do wnętrza sali dochodziło wycie wiatru.

Brzmiało ono niczym żałobna, zwierzęca skarga. Wyobraziłem sobie, jak piasek wciska się spod drzwi do pokoju, żeby nas żywcem zasypać.

— Pani mąż został zabity w wyjątkowych okolicznościach. Czy to pani go zabiła?

— Pomińmy to, co oczywiste. Szkoda czasu.

— Co panią skłoniło do przyznania się do zabójstwa?

— Nie miałam nic do ukrycia.

Agostina robiła wrażenie swobodnej. Jej odpowiedzi świadczyły, że jest całkiem odprężona. Postanowiłem przejść do bardziej zasadniczych pytań, jakby Agostina dopiero co została zatrzymana.

— To szczególnego rodzaju morderstwo. Nie chodzi o moralną stronę ani o motyw. Mówię o metodzie. Nie przypuszczam, żeby miała pani niezbędną wiedzę do zrobienia czegoś takiego.

— To nie jest pytanie.

— W jaki sposób zaopatrzyła się pani w kwasy?

— W szpitalu. Wszystko jest w aktach.

— A owady?

— Zbierałam larwy na śmietniskach z odpadami zwierzęcymi w Paterno i w Adrano.

— W klatce piersiowej ofiary znajdował się również pewien porost. Skąd go pani wzięła?

— W grotach na urwisku jest go dużo. Wszyscy go u nas znają.

Kłamała. Ten porost był o wiele rzadszy niż zwykły grzyb.

Istniał jeszcze problem skarabeusza. Zrezygnowałem z rozmowy o nim. Z pewnością miała gotową odpowiedź.

— Ciało było w różnym stadium rozkładu, co wymagało specjalnych, skomplikowanych technik konserwacji. Jak pani to zrobiła?

— W kwietniu na terenie budowy było zimno. Wystarczyło podgrzać niektóre części ciała, a inne zostawić na działanie temperatury zewnętrznej.

Z ust Agostiny nie schodził uśmiech.

— Dlaczego wybrała pani tak skomplikowaną technikę?

— Pytanie następne.

— Nie chce pani odpowiedzieć?

— Tak umówiliśmy się. Pytanie następne.

Spojrzałem na jej dłoń. Były tak samo białe jak jej twarz. Pod skórą widniały cienkie żyłki. Nie potrafiłem sobie wyobrazić tych palców grzebiących w ciele Salvatore'a ani ucinających jego język.

— Dlaczego popełniła pani to morderstwo? Z jakiego powodu?

— Niby dlaczego miałabym panu o tym powiedzieć? — odrzekła obojętnie. — Nie mówiłam tego nikomu. Ani policjantom, ani sędziom. Ani nawet moim adwokatom.

Wiatr na dworze nie przestawał wyć. Pomyślałem o Lucu i zablefowałem.

— Nie ma pani wyboru. Wiem, jak dojść do prawdy.

Wybuchnęła śmiechem.

— Kłamiesz. Gdyby tak było naprawdę, nie przyszedłbyś tutaj z pytaniami pospolitego gliniarza.

Mimo sarkazmu w jej głosie i tego, iż zwróciła się do mnie na ty, czułem, że trafiłem w sedno. Agostina wiedziała, że działałam po omacku, ale moje słowa świadczyły o tym, iż szedłem innym tropem niż policja w Katanii. Nie rozumiała jeszcze, do czego zmierzam.

— Zrobiłam to, bo musiałam się zemścić — mruknęła.

— Na kim? Na Salvatore?

Pokiwała głową z entuzjazmem, jak dzieci, gdy proponuje im się jakiś smakołyk.

— Co on pani zrobił?

— Zamordował mnie.

Salvatore jako mąż brutal. Salvatore bijący Agostinę na śmierć. Agostina przysięgająca, że się zemści i zabije męża. W aktach nie

przeczytałem ani słowa o czymś takim. Ale mścić się na mężu można w znacznie prostszy sposób.

— Proszę mi o tym opowiedzieć.

Agostina przyglądała mi się badawczym wzrokiem. Ziarnka piasku wirowały w powietrzu i kleiły się do mojej spoczonej twarzy. Powtórzyłem:

— Niech pani o tym opowie.

— Zamordował mnie, kiedy miałam jedenaście lat.

— Kiedy spadła pani z urwiska?

— To on mnie pchnął.

Salvatore w skórze chłopca zabójcy. Dzieciak spychający z zimną krwią inne dziecko w przepaść. Niemożliwe. Agostina dodała:

— Salvatore był brutalny... nerwowy... nieprzewidywalny. Szamotaliśmy się na skraju urwiska. Nagle mnie pchnął. Tylko po to, żeby zobaczyć, co się będzie działo.

— Nie wspominała pani nigdy o tym.

— Bo nie pamiętałam.

— I wyszła pani za mąż za Salvatore?

— Już panu mówiłam, że nic nie pamiętałam.

— Kto przywrócił pani pamięć?

— Ty stawiasz mi takie pytanie, *ragazzo*?

Znowu mignął mi obraz pyska demona. Upadłego anioła, złego, podstępnego, przynoszącego tę nowinę młodej kobiecie, aby łatwiej było wywołać jej reakcję. Nie zostało mi już zbyt wiele czasu. Rzut oka na zegarek — tylko trzy minuty. Kiedy spojrzałem ponownie na Agostinę, jej twarz wykrzywił okrutny, obrzydliwy uśmiech. Jeden kącik ust poszedł do góry, drugi do dołu. Odkaszlnąłem i postanowiłem kontynuować swoją grę:

— To diabeł podszeptał pani prawdę?

— Tak. Pojawił się w moim umyśle...

Wsunęła rękę pod bluzę i zaczęła pieścić swoje sutki. Odniosłem wrażenie, jakby zimny powiew przeszedł przez pokój.

— Był pani inspiratorem?

Zimno i obrzydliwy, zgniły, mdlący smród. Teraz

wsunęła rękę między uda.

— To był sen... — mruknęła. — Rozkazywał mi, ale jego rozkazy były pieszczotą... Przyjemnością. Jak dawno nie pieprzyłeś się „*ragazzo*”?

— To on podsunął pani tę metodę?

Nagle Agostina wstrzymała oddech, po czym zaczęła wolno

oddychać, jakby dotarła do czułego miejsca w sobie. Oczy zwięzły się jej jak u lisa. Znowu się masturbowała.

Wydawało się, że temperatura wciąż opada. Smród był coraz intensywniejszy. Spleśniała woda, zgniłe jaja, rdza. Coś między ekskrementami i metalem. Trwało to ponad dwie minuty.

— Jest pani osobą cudownie uzdrowioną — wydusiłem przez zaciśnięte zęby. — Uleczenie fizyczne i duchowe zostało uznane przez Rzymski Kościół Apostolski. Dlaczego więc Szatan mógł panią zainspi-

Agostina nie odpowiadała. Smród zatykał oddech. Opierałem się jego obecności tu, w tym pomieszczeniu. Agostina pochyliła się nad stolikiem. Miała zamglony wzrok.

— Znalazłeś prawdę, tak?

Zerwała się z krzesła, objęła mnie za szyję. Śmiejąc się, lizała wnętrze mego ucha. Jej język był jak żądło.

— Nie martw się, draniu, prawda odnajdzie ciebie i...

Odepchnąłem ją z całą siłą. Doznałem takiego samego uczucia obrzydzenia jak w Notre-Dame-de-Bienfaisance, kiedy wydawało mi się, że spoczęło na mnie jakieś tajemnicze spojrzenie. W sali wszystko teraz wirowało: zimno, wiatr, smród. I ten „drugi”.

— Chcesz, żebym ci posłała? — syknęła. — Jestem lepsza niż wszystkie kurwy.

— Czy zna pani nazwisko Manon Simonis?

Wyciągnęła rękę spod stołu i powąchała ją.

— Nie.

— A Sylvie Simonis?

— Nie — odpowiedziała, oblizując palce.

— Zabiła swoją córkę, Manon, ponieważ uważała, że była ona nawiedzona przez diabła.

— Nikt nie może nas zabić — zarechotała Agostina. — On nas ochrania, kapujesz?

— Co musi pani robić dla niego?

— Bezczeszczę, plugawię. Jestem jak zaraza.

Brzmienie jej głosu obniżyło się o kilka tonów. Twarz miała wykrzywioną dziko. Każdemu jej słowu towarzyszy syk. Zapytałem pr — Tutaj, w więzieniu?

— Jestem symbolem, *ragazzo*. Moja moc przekracza mury. Dręcę wszystkich pedałów w Watykanie. Wszystkich was pieprzę!

— Bronią pani adwokaci Stolicy Apostolskiej.

Agostina zanosła się obrzydliwym śmiechem, z rękami nadal między udami. Szepnęła lubieżnie:

— Nie widziałam jeszcze takiego chujowego gliniarza jak ty. Naprawdę myślisz, że te fiuty mnie bronią? Oni tylko mnie obserwują. Obwąchują moją dupę jak psy podczas rui.

Mówiła prawdę. Władze kościelne chciały ograniczyć szkody, ale przede wszystkim przyjrzeć się z bliska tej „cudownie uzdrowionej”. Żeby zrozumieć to, co działo się w ciele i umyśle Agostiny.

Zacisnęła ręce na ramionach, drżąc, jakby przeżywała gwałtowny orgazm, rozkosz, która przenikała ją do szpiku kości. Zakrakęła nieswoim głosem:

— Powiedział mi, że przyjdiesz.

— Luc Soubeyras? Policjant ze zdjęcia?

— Powiedział, że tu przyjdiesz.

Strach skręcił mi wnętrzności. Agostina mówiła oczywiście o demonie, o jego obecności w niej samej. Obecności, którą czułem tutaj, między nami. Jej wykrzywiona twarz wyglądała teraz jakby wycięta z brudnego papieru. Trwało to jakiś czas.

— Chcesz wiedzieć, jak zaopatrzyłam się w insekty? — zapytała złośliwie. — To łatwe. Wystarczy, że się dotknę... Wilgotnieję, moja pochwa otwiera się... nadlatują muchy... Nie czujesz tego, *ragazzo*? Przywołuję je moim seksem... One zaraz przylecą...

Pochyliła głowę i zaczęła śpiewać psalmy. Wymawiała słowa bardzo szybko, kiwając się do przodu i do tyłu. Nagle jej oczy wywróciły się i ukazały się białka. Nachyliłem się do niej, wyęzając słuch.

Agostina mówiła po łacinie.

Wyłowiłem powtarzane przez nią słowa: *lex est quod facimus, lex est quod facimus, lex est quod facimus...* PRAWEM JEST TO, CO ROBIMY.

Skąd takie słowa?

Co miały oznaczać w jej ustach?

Chrzękała teraz jak świnia. Dochodziło do tego jeszcze dzikie syczenie, co potęgowało wrażenie dysonansu. Niespodzianie pokazały się znowu jej powieki. Żółtawe. Plunęła mi w twarz i wrzasnęła na całe gardło:

— Będziesz żarł własne gówna w piekle!

Za moimi plecami zgrzytnął klucz w zamku.

Dziesięć minut minęło.

Chmura popiołu na przedmieściach Katanii jeszcze bardziej zgęstniała. Nie widać już było ostrzegawczych tablic z napisem: *sabbia vulcanica* („popioły wulkaniczne”). Wycieraczki skrzybiały na szybie. Jechałem wolno i przecierałem ją ręką wysuniętą przez boczne okno.

Wulkan także zmienił się. Unosiły się nad nim dwa ogromne pióropusze. Jeden był zabarwiony na szaro od kłębow popiołu wyrzucanych z potworną siłą; drugi przymglony, drżący, powstały z pary wodnej. Słychać było wycie zagłuszające wybuchy. Helikoptery, wiszące na niebie na wysokości wielu kilometrów, dawały wyobrazenie o skali

A pośród tego z czerwonych wstęg znaczących zbocza buchały rozżarzone do białości strugi ognia. Góra przybierała nowe kształty. Pojawiały się stożki wulkaniczne, zmieniała się rzeźba powierzchni. Oglądałem jedno z tych zjawisk, które powtarzają się od niepamiętnych czasów. Powierzchnia planety marszczyła się, rozmiękała, pękała, żeby ukazać swoją prawdziwą naturę, swoje płynne wnętrze.

Wokół Katanii przybyło zapór. Funkcjonariusze Guardia di Finanza, z maskami chirurgicznymi na twarzach, sprawdzali dokumenty i dopiero potem pozwalali jechać dalej. Kierowcy czekający w korku czytali ze spokojem gazety. Choćby był to koniec świata, nikt się tym nie przejmował.

*Godzina 15.00, via Etna*

Zamierzałem teraz porozmawiać z arcybiskupem Katanii, monsignore Paolo Corsim. Chciałem znać opinię Kościoła na temat sprawy Agostiny Geddy i skandalu, jaki się z nią wiązał.

Miasto tonęło w ciemnościach, a siedziba biskupa wyglądała tak, jakby postanowiono nie używać elektryczności. Panowała tu taka sama atmosfera stanu pogotowia jak w komendzie policji lub redakcji „L'Oro”. Korytarzami przebiegali duchowni, powiewając ornatami, trzymając w rękach krucyfiksy i kadzielnice.

Zatrzymałem jednego z nich i zapytałem o gabinet monsignore Corsiego. Bez słowa spojrzął na mnie oczyma jak spodki. Zostawiłem go i pobiegłem na schody, przepychając się łokciami

w ogólnym chaosie. W końcu, na ostatnim piętrze, odnalazłem biuro arcybiskupa. Zapukałem i nie czekając na zaproszenie, wszedłem do środka.

W półmroku stary mężczyzna pisał, siedząc za biurkiem. Szeroko otwarte okno rzucało słabe światło na jego łysą czaszkę. Podniósł ciężkie powieki i nie ruszając się, zapytał:

— Kim pan jest? Kto panu pozwolił wejść?

Pokazałem legitymację i przedstawiłem się. Bez zbędnych wstępów oznajmiłem, że przybyłem w sprawie Agostiny Geddy. Nie miałem już czasu na uprzejmości. Mężczyzna w sutannie opuścił wzrok na to, co pisał. Jego twarz buldoga nie zdradzała żadnych emocji.

— Proszę wyjść — powiedział spokojnie. — Nie mam panu nic do powiedzenia.

Zamknąłem drzwi i podszedłem do biurka. Wiszące na ścianach obrazy były tak pociemniałe, że wydawały się jednobarwne.

— Przeciwnie, sądzę, że Jego Eminencja ma dużo do powiedzenia. Nie wyjdę stąd, póki tego nie usłyszę.

Arcybiskup podniósł się z wolna, opierając się pięściami o biurko. Z jego masywnej sylwetki biła niezwykła siła. Sześćdziesięcioletni olbrzym, który mógłby jeszcze dziś nieść dębowy krzyż w procesji. Albo wyrzucić mnie przez okno.

— Co oznacza ten ton? — uderzył pięścią w blat z gniewem. — Nikt tutaj tak do mnie nie mówi!

— Zawsze musi być ten pierwszy raz.

Duchowny zmrużył oczy, jakby chciał mi się lepiej przyjrzeć. Na jego piersi błyszczał złoty krzyż. Kiwając głową, rzekł już cichszym głosem:

— Pan zwariował. Czy nie widzi pan, że świat wokół nas wali się?

— Poczeka, aż dowiem się prawdy.

— Pan zwariował...

Arcybiskup usiadł ciężko, poddając się.

— Pięć minut. Co chce pan wiedzieć?

— Jako człowiek Kościoła, jak ksiądz wyjaśni zbrodnię Agostiny Geddy?

— Ta kobieta to potwór.

— Agostina Gedda to wybranka Boga. Oficjalnie uznana za cudownie uzdrowioną. Przez tutejszą diecezję. Przez wyznaczony przez Jego Eminencję komitet ekspertów i duchownych. Przez



Kurię Rzymską. Potwierdziliście jej uzdrowienie fizyczne i duchowe. Jak mogła tak całkowicie się zmienić? Albo inaczej: jak mogliście się tak pomylić? Nie dostrzec drzemiącego w niej szaleństwa?

Arcybiskup nie podnosił oczu. Przyglądał się swoim szerokim dłoniom.

— Przysiągłem sobie więcej o tym nie mówić — szepnął.

— Proszę mi odpowiedzieć!

Podniósł powieki. Z jego jasnych oczu biła niezwykła, intensywna siła. Musiał z łatwością przekonywać ludzi, gdy występował publicznie.

— Pomyliliśmy się, ale nie w taki sposób, jak pan myśli.

— To znaczy?

— Pomyliliśmy się totalnie. To wszystko.

— Nie rozumiem.

— Agostina nie została cudownie uzdrowiona przez Boga. To osoba uzdrowiona przez diabła.

Ostupałem.

— Uzdrowiona... przez diabła?

— Agostinę ocalił demon. Teraz mamy już tego pewność. Ona zadrwiła z nas wszystkich. Swoimi modlitwami, pielgrzymkami, pracą pielęgniarki. Wszystko to było oszustwem. Od momentu, kiedy ocknęła się ze śpiączki, Agostina była nawiedzona przez diabła. Uratował ją Szatan. Odgrywała swoją rolę, żeby tym bardziej nas znieważyć. Diabeł jest kłamcą. Proszę przypomnieć sobie słowa świętego Jana: „Kiedy mówi kłamstwo. Od siebie mówi, bo jest kłamcą i ojcem kłamstwa”\*.

Kręciło mi się w głowie, ale jedno stało się dla mnie jasne — monsignore Paolo Corsi, a także bez wątpienia cała jego diecezja, władze pontyfikalne, przyznawały demonowi dar uzdrawiania. Inaczej mówiąc, uznawali jego istnienie.

Szatan uważany za nadnaturalną siłę fizyczną!

— Jak można mówić coś takiego? Nie jesteśmy już w średniowieczu!

Arcybiskup wziął papier z nadrukiem arcybiskupstwa. Napisał na nim nazwisko, adres i zmęczonym głosem zakończył:

— Pańskie pięć minut minęło. Jeśli chce pan dowiedzieć się czegoś więcej, proszę zwrócić się do specjalistów w Stolicy

\* Ewangelia według świętego Jana, 8, 44.

Apostolskiej. Może zechce z panem porozmawiać kardynał van Dieterling. — Pchnął w moim kierunku kartkę. — Oto jego dane.

— Czy to egzorcysta?

Corsi pokręcił głową. Ze szczerym uśmiechem odrzekł:

— Egzorcysta? Tym razem to pan jest w średniowieczu.

## 63

Zapadła już noc.

Widok był niezwykły. W powietrzu fruwał popiół, tworząc jakieś ogromne kształty, które natychmiast się rozwiewały, przywodząc na myśl chmary lecących na południe szpaków. Duomo, katedra w Katanii, oddalona zaledwie o dwa kroki, była ledwo widoczna. Mieszkańcy pootwierali parasole, kierowcy włączyli wycieraczki, ale w dalszym ciągu nie było najmniejszej oznaki paniki.

Wróciłem na via Etna i odnalazłem mój samochód, zanim został doszczętnie zasypany. Spojrzałem machinalnie w głąb alei. Na chodniku naprzeciw mnie, w odległości pięćdziesięciu metrów, niewyraźna sylwetka kogoś mi przypominała. Mężczyzna w długim skórzanym płaszczu. Nie widziałem dobrze twarzy, ale zajaśniała biel jego czaszki. Nagle domyśliłem się: to jeden z dwóch zabójców z Alp. Widziałem wtedy jego sylwetkę na zaśnieżonym terenie budowy — ten sam płaszcz, tak samo chudy, ta sama sztywność w ruchach.

Bez zastanowienia pobiegłem co sił w nogach. Pył dostawał mi się do oczu, nosa, ust. Miałem szczęście, że znajdowałem się w tłumie, że była taka zła widoczność. Zabójca nie mógł tu niczego przedsięwziąć. W głębi duszy czułem dręczące upokorzenie, że dałem się wtedy zaskoczyć. Pamiętałem, jak przyparł mnie do muru, stawiając w sytuacji schwytanego w potrzask zwierzęcia. Miałem honorowy dług do spłacenia. Wobec siebie samego.

Facet cofnął się. Przyspieszyłem kroku. Uchylałem się przed parasolami, przemykałem między szczotkami, osłaniałem się przed kłębkami sadzy, które niespodzianie spadały, a potem unosiły na powrót do nieba. Wymijałem słalomem przechodniów, biegłem krokiem sportowca, wspinając się na czubki palców, żeby dostrzec moją ofiarę.

Deszcz popiołu nie zmniejszał się. Fasady domów, witryny, chodniki, każdy najmniejszy element ulicy był niczym gazeta poplamiona farbą drukarską. Wkrótce wszystko zaczęło się rozpląwać, jakby dematerializować przed moimi atakowanymi przez popiół oczyma.

Facet zniknął. Osloniłem oczy rękami, ale nic nie zobaczyłem. Biegłem na oślep, wdychając coraz więcej wulkanicznego pyłu. W płucach czułem żar, miałem wrażenie, że zaraz mi pękną. Uliczka na prawo. Instynktownie pobiegłem nią, uświadamiając sobie, że oddalam się od tłumów, że nie mam ze sobą broni. Po pięćdziesięciu metrach spostrzegłem, że jest to zaułek wyjścia. Jeszcze sto metrów i znalazłem się w pułapce. Nikogo w zasięgu wzroku, żadnego przechodnia ani sprzedawcy. Jedynie pojemniki na śmiecie i parkujące samochody mogły być świadkami tej sceny. Zatrzymałem się, w mojej głowie zapaliło się

Nie zdążyłem wycofać się, kiedy z podcienia wyszedł zabójca. Poły jego skórzanego płaszcza ocierały się o ziemię. Obróciłem się. Drogę zagroził mi drugi zabójca. Tak gruby i potężny, że wydawało się, iż jego rozwarte ramiona sięgają murów po obu stronach zaułka. Miał na sobie także czarny płaszcz, tak luźny, że przypominał spadochron. Obie twarze pozbawione rysów, szare, upstrzone, umazane pyłem. W głębi mózgu zaświtała mi myśl, że znam tych ludzi, że już ich gdzieś wcześniej widziałem.

Odwróciłem się ponownie. W ręku łysego zabójcy pojawił automatyczny pistolet zaopatrzony w tłumik. Zanim zdołałem cokolwiek zrobić, facet nacisnął spust. Ale nic. Nie było płomienia, detonacji. Nic się nie stało!

Popiół zatkał lufę! Okręciłem się, wymachując na oślep pięściami. Teraz grubas odbezpieczył swoją broń. Uderzenie wytrąciło mu broń z ręki. Odepchnąłem go ramieniem i pobiegłem ku mało widocznej alei.

Bąłem się, ale nie na tyle, żeby stracić orientację. Po kilku sekundach dotarłem do samochodu. Nacisnąłem guzik pilota — bez rezultatu. Pył zatkał czujnik odbierający sygnał. Zakląłem. Wyjąłem kluczyki, lecz z powodu pyłu nie mogłem trafić do zamka. Mijały sekundy. Starając się zachować zimną krew, klęknąłem i zacząłem przedmuchiwać zamek.

W końcu włożyłem klucz do zamka. Wsiadłem do mego fiata punto. Zapaliłem silnik. Przez sekundę koła ślizgały się, ale po

chwili włączyłem się do ruchu. Dwa skrzyty kierownicą i byłem już daleko.

Niczego nie osiągnąłem, ale ocalałem życie.

Po raz drugi.

Port lotniczy w Katanii był zamknięty od poprzedniego dnia. Żeby polecieć do Rzymu, musiałem dostać się do innego dużego miasta. Rzut oka na mapę. W dwie godziny mogłem dojechać do Palermo. Przy odrobinie szczęścia trafię na jakiś samolot.

Kierując się na drogę wylotową z miasta, zadzwoniłem na lotnisko w Palermo. Samolot do Rzymu odlatywał o osiemnastej czterdzieści. Była piętnasta trzydzieści. Zarezerwowałem miejsce i rozłączyłem się, ocierając oczy, krztusząc się. Miałem wrażenie, że całe moje wnętrze wypełniają drobinki sadzy, pyłu.

Jechałem wciąż przed siebie. O godzinie szesnastej trzydzieści minąłem Ennę, potem Catanissetę, Resuttano, Caltavuturo. O siedemnastej jechałem już wzdłuż wybrzeża Morza Tyrreńskiego, przejechałem przez miejscowość Bagheria. Po godzinie dotarłem do portu lotniczego Palermo Punta Raisi. Oddałem samochód w agencji wynajmu, po czym pobiegłem do stanowiska odlotów. O osiemnastej trzydzieści podałem kartę pokładową stewardesie. Każde zagięcie mego płaszcza wypełnione było pyłem, ale nie zważając na to, wszedłem do samolotu, z torbą podrózną w rękę i teczką dokumentów na piersi.

Dopiero wtedy, kiedy zająłem miejsce w pierwszej klasie, kiedy steward zaproponował mi kieliszek szampana, odprężyłem się. Uświadomiłem sobie jednocześnie oczywistą prawdę, że z jakiegoś powodu byłem człowiekiem do odstrzału. Prowadziłem sprawę, która zasługiwała na to, żeby mnie wyeliminować. O co konkretnie chodzi? O sprawę Sylvie Simonis czy Agostiny Geddy? Czy jest to jedna i ta sama sprawa? Czy za tymi morderstwami nie kryje się coś poważniejszego?

Pomyślałem o wizycie w Malaspinie. Wyrobiłem sobie tam opinię o stanie umysłowym Agostiny. Schizofreniczka, która powinna odsiadywać karę w separacie. Nie byłem ani psychiatrą, ani demonologiem, ale widziałem, że ta młoda kobieta cierpi na rozdwojenie jaźni i należy ją poddać intensywnemu leczeniu. Dlaczego nie została umieszczona w zakładzie psychiatrycznym? Czy adwokaci Kurii postanowili zostawić ją w Malaspinie, by nie tracić jej z oczu?

Eksperci kościelni nie zajmowali się jej wyleczeniem. Nie

zależało im również na tym, by ją bronić przed włoskim wymiarem sprawiedliwości. Nikt w Watykanie nie przejmował się naturalnymi prawami ludzi. Oni pragnęli jedynie zrozumieć, w jaki sposób cudownie uzdrowiona przez Boga mogła dostać się pod wpływ Złego. Albo, wyrażając to jaśniej, przekonać się, czy może dojść do cudownego wyleczenia przez diabła, co byłoby fizycznym dowodem istnienia

Podczas mojej wizyty rzeczywiście miały miejsce trudne do wyjaśnienia fakty. Odrażający smród, nagle zimno. Czułem obecność tego demona... Może jednak była to tylko gra mojej wyobraźni?

Smród mógł przecież pochodzić od samej Agostyny. Funkcje fizjologiczne jej ciała, sterowane przez tak pomyłony umysł, mogły zostać poważnie zaburzone. Jeśli zaś chodzi o zimno, to byłem tak spięty w rozmównicy, że nic dziwnego, iż nie zdołałem się rozgrzać.

Pokiwalem głową: w tej pełnej piasku celi nie było nikogo innego. Księżę Ciemności nie wprosił się na to przesłuchanie. Miałem jedyne wroga, ciągle tego samego — zabobon. Trzeba przeciwstawiać się takim dawno pogrzebanym wierzeniom, które wbrew mojej woli wychodzą na powierzchnię. Szatan nie mieścił się w dogmatach i nie wierzyłem w niego. Koniec! Kropka!

Popatrzyłem przez okienko na chmury. W głowie brzęczało mi jedno zdanie: *LEX EST QUOD FACIMUS*. Prawem jest to, co robimy. Co Agostina miała na myśli? Kim są ci „my”? Legion opętanych przez diabła? I co to za prawo? Może to być odwołanie do reguł diabła, który rzeczywiście propaguje całkowitą wolność. *PRAWEM JEST TO, CO*

Powtarzając sobie to zdanie w kółko niczym sury, żeby odkryć kryjącą się w nim tajemnicę, zasnąłem i nie słyszałem nawet, jak samolot wciągał podwozie.

## 64

Rzym.

Nareszcie znajomy teren.

Godzina dwudziesta. Podałem kierowcy taksówki adres hotelu i powiedziałem, jak ma tam dotrzeć. Chciałem, żeby przejechał obok Koloseum, potem via dei Fori Imperiali aż do piazza Venezia.

Następnie jechaliśmy labiryntem małych uliczek z kościołami aż do Panteonu, gdzie znajdował się mój hotel, niedaleko od francuskiego seminarium. Obmyśliłem tę trasę nie po to, żeby zaoszczędzić czas, ale dlatego, że chciałem odnaleźć moje ślady.

Rzym — najlepsze dni mego życia.

Jedyne, które upłynęły pod znakiem względnego spokoju.

Rzym był moim miastem — chyba bardziej jeszcze niż Paryż. Miastem, gdzie przestrzeń i czas zderzały się ze sobą do tego stopnia, że przy każdej zmianie ulicy zmieniało się stulecie. Starożytne ruiny, renesansowe rzeźby, barokowe freski, monumentalne budowle z czasów Mussoliniego...

Wysiadłem z taksówki zaskoczony, że moich kroków nie krępuje sutanna. Sukienka, którą nosiłem zaledwie kilka miesięcy. Teraz byłem ekspertem od ludzkich grzechów i trafiałem do celu ze stu metrów.

Mój hotel był skromnym pensjonatem. Zatrzymywałem się w nim wiele razy podczas pierwszych poszukiwań w Bibliotece Watykańskiej, jeszcze przed pobytem w seminarium. Wybrałem to miejsce, żeby trudniej było mnie odnaleźć. Moi zabójcy nie ścigali mnie do Katanii, oni dotarli tam przede mną. Nie wiem, jakim sposobem znali trasę mojej podróży. Niewykluczone, że byli już w Rzymie...

Kontuar z polituowanego drzewa, lakierowany stojak na parasole, anemiczne oświetlenie — wygląd westybulu zapowiadał resztę. Język uniwersalny mieszczańskiego komfortu i przyjazna gościom prostota... Poszedłem na górę do swego pokoju.

W Kurii Rzymskiej miałem wielu znajomych. Jednym z nich był mój przyjaciel z seminarium. Utrzymywaliśmy kontakt za pośrednictwem e-maili i SMS-ów, w których stale sobie docinaliśmy. Gian-Maria Sandrini, geniusz, który ukończył Akademię Pontyfikalną jako prymas. Piastował obecnie poważne stanowisko w Sekretariacie Stanu, w Departamencie Spraw Ogólnych. Wykręciłem numer jego telefonu.

— Mówi Mathieu — zacząłem po francusku. — Mathieu Durey.

Odpowiedział mi w tym samym języku:

— Mathieu? Zapragnąłeś usłyszeć mój głos?

— Jestem w Rzymie z powodu dochodzenia. Muszę spotkać się z jednym z kardynałów.

— Z którym?

— Casimirem van Dieterlingiem.

Cisza. Jak widać, nie był to pierwszy lepszy kardynał.

- Czego dotyczy to śledztwo?
- Zbyt długo byłoby wyjaśniać. Czy możesz mi pomóc?
- To gruba ryba. Nie wiem, czy znajdzie czas...
- Wierz mi, że przyjmie mnie, kiedy pozna przedmiot mojego dochodzenia. Czy możesz dostarczyć mu list?
- Oczywiście.
- Jeszcze dziś wieczorem?

Znowu cisza. Grałem do końca rolę zwiastuna złej nowiny.

- Dzwonię do ciebie, bo zależy mi na pośpiechu. Sprawa jest niezwykle poważna.
- Nadal jesteś w brygadzie kryminalnej?
- Tak.
- Nie widzę, w czym może pomóc ci Kuria...
- Van Dieterling będzie wiedział.
- Przyślę do ciebie diakona. Chętnie wpadłbym sam, ale mamy ważne zebranie dziś wieczorem...
- Daj spokój. Zobaczymy się w bardziej sprzyjających okolicznościach.

Podąłem mu adres hotelu i zabrałem się do dzieła, zaopatrzwszy się wcześniej w recepcji w papier listowy i kopertę. Napisałem list po włosku. Najpierw opisałem szczegółowo sprawę Agostiny, potem Sylvie Simonis, uwypuklając punkty wspólne między obu morderstwami. Podąłem się za policjanta o statusie międzynarodowym, wysłanym przez Interpol z zadaniem wyjaśnienia związku między tymi dwoma specyficznymi zdarzeniami.

Na zakończenie podziękowałem z góry za pomoc i podałem mój adres emailowy oraz adres hotelu. Przeczytałem cały tekst, mając w duchu nadzieję, że wystarczająco uzasadniłem nagłość mojej prośby.

Próbowałem odprężyć się pod prysznicem w plastikowej kabynie przypominającej komorę dezynfekcyjną. Suszarką do włosów usunąłem z ubrania popiół. Kiedy skończyłem te czynności, zadzwonił telefon. Na dole ktoś na mnie czekał.

W westybulu stał diakon w sutannie, która doskonale pasowała do wytartego dywanu i mosiężnego wieszaka na klucze w recepcji. Taka scena mogłaby mieć miejsce w dziewiętnastym albo nawet w osiemnastym wieku. Diakon schował list pod sutannę i szybko wyszedł.

Choć była już dziewiąta wieczór, wcale nie czułem głodu. Zmęczenie spowodowało coś w rodzaju kaca, który niwelował

wszystkie inne uczucia. Idąc z powrotem na górę do pokoju, sprawdziłem komórkę. Był SMS podpisany przez Foucaulta. „Zadzwoń do mnie natychmiast”. Miałam jego numer w pamięci komórki. Mój zastępca, nie czekając, aż coś powiem, oznajmił:

— Mam jeszcze jedno.  
— Co takiego?  
— Morderstwo z użyciem kwasów, ukąszeń owadów i z całym tym gównem.

Opadłem na łóżko.

— Gdzie?

— W Tallinie, w Estonii. W dziewięćdziesiątym dziewiątym roku.

— Jesteś pewien tych wspólnych elementów?

— Całkowicie.

— Jak na to trafiłeś?

— To zasługa Svendsena. Dzwonił do wszystkich lekarzy sądowych, jakich znał w Europie. Jeden z nich, w Tallinie, przypomniał sobie o podobnej historii. Od razu to sprawdziłem. Służby policyjne w ramach współpracy europejskiej dostarczają jeszcze gorące akta do Brukseli, żeby stworzyć SALVAC. Bez wątplenia w Estonii miało miejsce morderstwo przypominające to z Jury. Prawdę mówiąc, jest identyczne.

— Podaj szczegóły. Fakty. Kontekst.

— Winny został zidentyfikowany. To facet o nazwisku Raimo Rihimäki. Muzyk, dwadzieścia trzy lata. Zamordowanym jest jego ojciec. Stało się to w maju dziewięćdziesiątego dziewiątego roku. Śledztwo nie pozostawiało żadnych wątpliwości. Odciski palców Raimo znajdowały się na ciele starego i w chatce rybackiej, gdzie był torturowany.

— Raimo przyznał się?

— Nie zdążył. Po zabiciu ojca zaczął jeździć po kraju. Policjanci zatrzymali go w listopadzie. Był uzbrojony. Zginął podczas obławy

Trzy podobne morderstwa w różnych miejscach Europy. 1999 rok — Estonia. 2000 rok — Włochy. 2002 rok — Francja. A przeczuwałem, że był to dopiero początek.

— Rozmawiałeś z estońskimi policjantami?

— Tak, ale...

— Co takiego?

— Rozmowa odbywała się po angielsku. A mój angielski...



— Przesłali ci akta sprawy?  
 — Czekam na to. Mają wersję w języku angielskim.  
 Wiedziony intuicją zapytałem:  
 — Czy twój Estończyk przed morderstwem miał jakiś wypadek albo poważnie chorował?  
 — Skąd wiesz?  
 — Gadaj.  
 — Dwa lata wcześniej Raimo pobił się ze swoim ojcem. Działo się to na barce ojca, który był rybakiem. Raimo wypadł za burtę. Kiedy go wydobyto z wody, wglądał na martwego. Udało się go reanimować w centralnym szpitalu w Tallinie. Mówili o efekcie lodowatej wody, nie do końca zrozumiałem...  
 — A potem?  
 — Kiedy się ocknął, był już inny.  
 — W jakim znaczeniu?  
 — Stał się agresywny, brutalny, zamknięty w sobie. A przedtem był nieszkodliwym basistą w zespole, grającym muzykę sataniczną neometal, o nazwie Dark Age...  
 Przystałem go słuchać zaskoczony podobieństwem do sprawy Agostiny. Tak jak ona Estończyk uniknął nagłej śmierci. Tak jak ona zapadł w śpiączkę. I tak jak ona po powrocie do życia zemścił się na tym, kto próbował go zabić. Była to taka sama sprawa. Od początku do końca. Czy on także został „cudownie wyleczony” przez diabła?  
 Podziękowałem Foucaultowi, polecając mu, żeby przesłał mi raport z Estonii, jak tylko go dostanie. Nie pytałem już o inne aspekty dochodzenia — otrzymałem wystarczająco dużo jak na ten wieczór.  
 Wyłączyłem komórkę.  
 Oto klaps do nowej sceny tego filmu.  
 Moje dochodzenie dotyczyło nie serii zabójstw, lecz serii morderców.

## 65

To nie była pływalnia, lecz wielki basen pod gołym niebem. Prostokątny z cementowym obramowaniem. Stałem na szczycie pagórka, który nad nim górował i czułem łaskotanie traw na

stopach. Jak zawsze w tego rodzaju śnie szczegóły nie pasowały do siebie. Byłem Mathieu, w wieku trzydziestu pięciu lat, w miękkim płaszczu nieprzemakalnym, z pistoletem 9 mm za pasem, a jednocześnie byłem chłopcem, w szortach i klapkach, z przewieszonym przez ramię ręcznikiem frotte.

Cieszyłem się na myśl, że zaraz zanurzę się w basenie, ale coś mnie także zniechęcało do tego. Kolor wody — brązowa, żelazista — wywoływał uczucie zimna i lęk przed utonięciem. Kąpiącymi się były wyłącznie dzieci — słabowite, kalekie, chore. Ich białe ciała błyszcząły w słońcu. Coś groźnego unosiło się nad tą sceną. Zszedłem w dół przyciągnięty przez powierzchnię wody, która przekształciła się w

W tym momencie spostrzegłem, że wszystkie ręczniki leżące na cementcie są pomarańczowe. To był sygnał. Sygnał niebezpieczeństwa. Usłyszałem śmiechy dzieci, plusk wody. Panowała ogólna radość, ożywienie, a mimo to te dźwięki odbijały się od mego ciała, niczym zapowiedź alarmu. Ja jeden znałem prawdę. Ja jeden przeczułem

W tym momencie zobaczyłem, że ręcznik na moim ramieniu też jest pomarańczowy. Mnie też dotknęła już choroba. Wszystko było z góry zapisane. Moja śmierć, moje cierpienie, moja...

Dzwonek telefonu przerwał mój szloch.

— Słucham?

— Gian-Maria. Spałeś?

— Tak...

— Jest już siódma rano — zaśmiał się ksiądz. — Zapomniałeś, jaki mamy rozkład dnia?

Usiadłem na łóżku, przeciągając ręką po włosach. Znowu miałem sen, który powracał od najmłodszych lat. Dlaczego wrócił właśnie dziś?

— Wstawaj szybko — ponaglał Gian-Maria. — Masz spotkanie za godzinę.

— Z kardynałem?

— Nie. Z prefektem Biblioteki Watykańskiej.

— Ale...

— Prefekt jest pośrednikiem. Zaprowadzi cię do kardynała.

— Prefekt pośrednikiem?

Prefekt w Watykanie był odpowiednikiem ministra w świeckim. Gian-Maria znowu się roześmiał.

— Przecież sam powiedziałeś, że to ważna sprawa. Sądząc po

szybkości ich reakcji, rzeczywiście musi tak być. Kardynał prosi, żebyś przyniósł akta z dochodzenia. Prefekt będzie na ciebie czekał w ogrodzie przy bibliotece. Nazywa się Rutherford. Wejdz przez Porta Angelica. Poprowadzi cię diakon. Powodzenia. I nie zapomnij o aktach!

Kilka minut siedziałem jak otępiały, nie otrząsnąwszy się jeszcze z tego, co mi się przyśniło. Od jak dawna nie nawiedzał mnie ten sen? W młodszych latach męczył mnie co noc...

Umyłem się i ubrałem, wypłem kawę w bufecie pensjonatu. Żaroodporny dzbanek, szklanki z pyreksu, grubo posmarowane kromki pieczywa. Każdy szczegół, wszystko przypominało mi tutaj okres seminarium. W tej sali bez okna czułem już atmosferę Rzymu.

Poszedłem na plac Św. Piotra pieszo, z teczką pod pachą. Czy się tego chce, czy nie. Czy się tu mieszka, czy nie, zawsze człowiek przeżywa ten zachwył. Potężna bazylika, kolumnada Berniniego, plac błyszczący w słońcu, gołębie czekające na turystów nad fontannami z kamienia... Nawet niebo wydawało się uczestniczyć w tej wielkości.

Roześmiałem się w duchu. Wróciłem do kolebki! Do świata sutann z jedwabiu i wystających spod nich lakierowanych mokasynów. Świata apostolskiego i rzymskiego autorytetu, kongresów pontyfikalnych, eucharystycznych seminariów. Świata wiary i teologii, ale także władzy i pieniądza.

Żyłem trzy lata w cieniu papieskiego miasta. Polubiłem wtedy wyrzeczenie się wszystkiego, złożyłem na zawsze ślub ubóstwa, odmawiałem przyjęcia choćby jednego franka od moich rodziców. Jednocześnie lubiłem czuć potęgę finansową Watykanu. Stolica Apostolska zawsze kojarzyła mi się z Monako. Nieprawdopodobne skoncentrowanie dziedziczonych przez wieki bogactw, dóbr i przywilejów. Watykan, największy właściciel ziemski na świecie, dysponował aktywami oszacowanymi na miliardy dolarów i dochodami rocznymi wynoszącymi ponad sto milionów dolarów.

Te cyfry powinny wywoływać niesmak we mnie, apostołe ubóstwa i miłosierdzia, ale ja widziałem w tym symbol potęgi Kościoła. Naszej potęgi. W świecie, w którym liczył się tylko pieniądz, w Europie, gdzie zamierała wiara katolicka, te cyfry podnosiły mnie na duchu. Dowodziły, że nadal trzeba liczyć się z katolickim imperium.

Minąłem tłumy turystów czekających w kolejce, aby wejść do Bazyliki Świętego Piotra. Na placu stały estrady i stopnie. Na jutro, pierwszego listopada, z pewnością była przewidziana homilia papieża.

Rozległ się dźwięk dzwonów, płosząc gołębie. Godzina ósma rano. Przyspieszyłem kroku i znalazłem się pod kolumnadą Berniniego. Skierowałem się do Porta Angelica. Mijałem *scrittori* (sekretarzy) i *minutanti* (redaktorów) Kurii, w białych kołnierzykach, czarnych marynarkach, którzy spieszyli do swych biur. Na pytanie, ilu ludzi pracuje w Watykanie, papież Jan XXIII kiedyś odpowiedział: „Więcej niż jedna trzecia”. Byłem w doskonałym nastroju. Odżywałem w tej atmosferze katolickiego środowiska. Agostina i potworność jej czynu wydawała mi się daleka, nawet zapomniałem, że ktoś chce mnie zabić.

W Porta Angelica pokazałem szwajcarskim gwardzistom paszport. Od razu dostałem przepustkę. Gwardziści w mundurach z okresu renesansu przepuścili mnie. Przekroczyłem próg wysokiej bramy z czarnego kutego żelaza.

Znalazłem się w sanktuarium.

Diakon poprowadził mnie przez labirynt budynków i ogrodów. Prawie biegiem. Była już godzina ósma pięć i moje spóźnienie nie pasowało do panującego tu porządku. Mój przewodnik zostawił mnie na dziedzińcu przed różowo-żółtą fasadą ozdobioną antycznymi wazami. Okrągły basen otaczały kwadraty gazonów. Wirujące strumienie fontanny mieniły się wszystkimi barwami tęczy. Masy kwiatów, tropikalne rośliny posadzone naprzeciw dwóch chodników idących w górę w kierunku tajemniczych małych drzwi. Pachniało tu słońcem i nagrzaną ziemią.

Nie czekałem długo. Z jednych drzwi wyszedł mężczyzna w czarnym garniturze. Około czterdziestki, rude włosy, przyprószone siwizną, okulary w cienkiej szylkretowej oprawie. Swoim wyglądem harmonizował ze złotawym odcieniem waz i mis.

— Nazywam się Rutherford, jestem prefektem — przedstawił się w doskonałej francuszczyźnie. — Jestem dyrektorem Biblioteki Watykańskiej. — Uścisnął mi serdecznie rękę. — Nie można Powiedzieć, żeby pańska wizyta wypadła w najlepszym momencie — zażartował. — Jutro Ojciec Święty ma wygłosić homilię na placu Świętego Piotra. Wyświęcony także zostanie nowy kardynał. Będzie to radosny dzień!

— Przykro mi — odkłoniłem się. — Nie ja zdecydowałem o tym pośpiechu.

Moje usprawiedliwienia skwitował życzliwym machnięciem ręki.

— Proszę pójść za mną. Jego Eminencja życzył sobie spotkać się z panem w bibliotece.

Przeszliśmy przez dziedziniec do budynku stojącego naprzeciwko. Na progu Rutherford odsunął się na bok.

— *Prego.*

Powitał nas półmrok i chłód marmurów. Rutherford otworzył kluczem drzwi i wszedł do długiej sali o białych i szarych ścianach. Podążałem za nim krok w krok. Przez czarne kraty w oknach wpadały promienie słoneczne. Byliśmy sami. Spodziewałem się, że usłyszę skrzypienie wypastowanych do połysku pantofli mojego przewodnika, ale szedł w absolutnej ciszy. Przyjrawszy się dokładniej, stwierdziłem, że miał buty na miękkiej gumie w kolorze podobnym do jego włosów.

Rutherford przypominał świętego Piotra dzierżącego klucze do rajów. Przy każdym drzwiach potrząsał pękiem kluczy i otwierał je którymś z nich. Odważyłem się zapytać:

— Jaką dokładnie funkcję pełni Jego Eminencja?

— Prosi pan o posłuchanie u Jego Eminencji i nie wie pan tego?

— Monsignore Corsi w Katanii podał mi tylko jego nazwisko. Poinformował mnie, że Jego Eminencja mógłby mi pomóc w moim

— Kardynał van Dieterling jest przewodniczącym Kongregacji Doktryny Wiary.

Była to nowa nazwa Świętego Oficjum od czasu Soboru Watykańskiego II. Jej członkowie to spadkobiercy trybunałów inkwizycji i niezliczonych stosów. Cenzorzy wiary i obyczajów. To oni decydują każdego dnia, gdzie jest granica między Dobrem i Złem, między prawowiernością a herezją. To oni tropią dewiacje i anomalie będące w sprzeczności z linią katolicyzmu. Jeśli chodzi o anomalie, to przypadek Agostyny świetnie się w tym mieścił.

Kolejne klucze, kolejne sale, których ściany zawieszono były iluminowanymi freskami z przedstawionymi na nich fontannami, wieńcami kwiatów, postaciami świętych. Malowidła te swoim łagodnym, pastelowym kolorystyką przypominały mozaiki w rzymskich starożytnych willach.

— Jakiej narodowości jest Casimir van Dieterling — zapytałem ponownie.

— Jest pan prawdziwym policjantem — uśmiechnął się prefekt. — Chce pan wiedzieć wszystko. Jego Eminencja jest z pochodzenia Flamandem. Musimy wejść po schodach i cicho przejść Salon Sykstusa V, żeby nie przeszkadzać czytelnikom.

— O tej porze są jacyś czytelnicy?

— Kilku seminarzystów. Mają na to specjalne pozwolenie.

Znowu szczerknął kluczami. Schody. Obrót klucza w zamku i otworzył się przed nami Salon Sykstusa V, nazywany także „Wielką Salą Sykstyńską”, z sześcioma malowanymi kolumnami i dwiema ogromnymi nawami oświetlonymi promieniami porannego słońca. Freski na ścianach męczyły wzrok nadmiarem fryzów, szczegółów, postaci. Błękit sklepienia odcinał się na złotawym tle.

— Zna pan tę salę, prawda?

Przytaknąłem. Mogłem opisać z pamięci każde miejsce, każdą scenę przedstawioną na malowidłach. Dawne biblioteki, które istniały od starożytności, sobory ekumeniczne, epizody z pontyfikatu Sykstusa V. A na każdym pilastrze prawdziwi lub mityczni wynalazcy pisma. Bywałem tutaj setki razy, udając się do czytelnicy.

Przeszliśmy przez pusty pokój z ustawionymi pośrodku ogromnymi wazami z niebieskiej i złotej porcelany, krucyfikami i świecznikami z brązu, misami z polerowanego kamienia. Przez wielkie okna po lewej stronie zobaczyłem dziedziniec Belwederu.

Rutherford otworzył kolejne drzwi.

— Zejdziemy teraz na dół.

Wszystkie te środki ostrożności miały symptomy tajemnej schadzki. Na piętrze niżej znajdowała się sala, w której stały szafki z małymi szufladami oznaczonymi etykietami. Rutherford obszedł jedną z szafek, poprawił na sobie marynarkę przed kolejnymi zamkniętymi drzwiami. Gdy podnosił rękę, by zapukać, zadałem ostatnie pytanie:

— Dlaczego Jego Eminencja zgodził się przyjąć mnie tak szybko?

— Chyba pan to wie, prawda?

— Mam pewne przypuszczenie, ale czy mówił coś na ten temat?

Rutherford zapukał. Rzucił spojrzeniem na teczkę z aktami

w moich rękach i z uśmiechem odpowiedział:

— Jest pan w posiadaniu czegoś, co go interesuje.

Kardynał Casimir van Dieterling stał przy oknie w obszernym gabinecie pełnym fotokopiarek i doniczek z roślinami. Stół zawalony był teczkami z dokumentami, fiszkami, książkami. Bez wątplenia był to gabinet prefekta Rutherforda. Potwierdzało to moje podejrzenie, że spotkanie odbywało się w całkowitej tajemnicy.

Kardynał ubrany był w zwykły strój dostojników watykańskich. Czarna sutanna z czerwonymi guzikami, szkarłatna pelerynka, purpurowy pas, czerwona jedwabna piuska na głowie. Ale nawet w tym codziennym stroju van Dieterling bardzo różnił się od arcybiskupa Katanii. Miałem przed sobą człowieka z najwyższych sfer Kościoła.

Kardynał zaczął odwrócić się do mnie dopiero po kilku sekundach. Był bardzo wysoki, prawie taki jak ja. W trudnym do określenia wieku — między pięćdziesiątką a siedemdziesiątką. Podłużna, władcza twarz, jakby wysmagana morskim wiatrem. Podobny był do Irlandczyka: szeroki podbródek, jasne spojrzenie spod ciężkich powiek, sylwetka dokera dźwigającego beczki w uliczkach Cork.

— Mówiono mi, że był pan w seminarium.

Zrozumiałem, o co mu chodziło. Powiniennem grać zgodnie z tutejszymi regułami. Podeszedłem bliżej i przyklęknąłem na jedno kolano.

— *Laudetur Jesus Christus.*

Ucałowałem pierścień kardynalski, który mi podsunął. Zrobił znak krzyża nad moją głową, po czym zapytał:

— W jakim był pan seminarium?

— W seminarium francuskim w Rzymie — odpowiedziałem, podnosząc się.

— Dlaczego go pan nie ukończył?

Mówił po francusku z lekkim flamandzkim akcentem. Głos miał niski, wyrażał się powoli, ale precyzyjnie. Odpowiedziałem z szacunkiem:

— Chciałem pracować w terenie.

— Jakim terenie?

— Na ulicach, w nocy. Tam, gdzie rządzi występki i przemoc. Tam, gdzie milczenie Boga jest jeszcze wyraźniejsze.

Kardynał stał trochę bokiem do mnie. Jaskrawe promienie słońca odbijały się w oślepiającej czerwieni jego pelerynki. Turkusowe oczy błyszczały w półmroku.

— Milczenie Boga jest we wnętrzu człowieka. To właśnie tam powinniśmy działać.

Skłoniłem się na znak zgody, ale odrzekłem:

— Chciałem pracować tam, gdzie to milczenie wywołuje pewne czyny. Chciałem działać tam, gdzie milczenie Naszego Pana daje wolne pole złu.

Kardynał odwrócił się ponownie do okna. Długimi palcami bębnił we framugę.

— Zasięgnąłem informacji o panu, Mathieu. Udaje pan pokornego, ale dąży pan do celu za wszelką cenę. Zniwala pan samego siebie. Doszedł pan do punktu całkowicie sprzecznego z prawdziwą pańską osobowością. I czerpie pan z tego jakąś tajemniczą satysfakcję. — Strzepnął palcami w powietrzu. — Odgrywanie w ten sposób roli męczennika jest grzechem pychy!

Spotkanie zamieniało się w oskarżenie. Nie miałem ochoty przyzwolić na to.

— Wykonuję zawód policjanta, jak umiem najlepiej, to wszystko.

Kardynał zrobił gest oznaczający: „Zostawmy to”. Odwrócił się twarzą do mnie. Jak wszyscy dostojnicy Stolicy Apostolskiej miał na piersi krzyż zawieszony na łańcuchu, zaczepiony na jednym z welurowych guzików zapinanych na czarne miękkie pętelki. Już sam krzyż dodawał mu ceremonialnej powagi.

— W liście wspomniał pan o dossier...

Podąłem mu kartonową teczkę. Przejrzał ją bez słowa. Przeczytał niektóre strony, obejrzał zdjęcia. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. Chyba tylko przypadek Simonis zainteresował go bardziej. W końcu, odkładając teczkę na biurko, rzekł:

— Proszę usiąść.

Był to raczej rozkaz niż zaproszenie. Usiadłem, a on zajął miejsce za biurkiem. Złożył dłonie.

— Wykonał pan dobrą pracę, Mathieu. Brakuje nam ludzi pańskiego rodzaju. Za bardzo jesteśmy zajęci śledzeniem siebie nawzajem.

Wziął teczkę i podał ją prefektowi, który stał obok mnie. Poprosił go po włosku, by zrobił fotokopie. Dodał, że trzeba to zrobić



w tym gabinecie. „Nikt nie powinien tego zobaczyć”. Jasne oczy znowu spoczęły na mnie.

— Dowiedziałem się, że wczoraj rano odwiedził pan Agostinę Gedde.

Pomyślałem o trzech duchownych, których widziałem na pustyni, o śledzeniu jej przez ludzi Kościoła, o czym wspomniała Agostina.

— Co pan o niej myśli? — zapytał kardynał.

— Zrobiła na mnie wrażenie osoby bardzo... niezrównoważonej.

— A co pan powie o jej historii? Najpierw cud, potem morderstwo...

— Mam pewne wątpliwości co do jednego i drugiego.

— Niewyjaśnione wyleczenie Agostiny Geddy zostało oficjalnie uznane przez Stolicę Apostolską.

Musiałem uważać na każde słowo.

— Nie podaję w wątpliwość uzdrowienia ciała, Eminencjo. Ale jej umysł nie pasuje do osoby cudownie uzdrowionej...

— ...przez Boga. Oczywiście. Jest jednak inna hipoteza...

— Mówiono mi o niej. Ale ja nie wierzę w diabła.

Kardynał uśmiechnął się kątem ust, odsłaniając nierówne zęby.

Za naszymi plecami szumiały wprawione w ruch fotokopiarki.

— Jest pan nowoczesnym człowiekiem wiary.

— Uważam, że Agostina potrzebuje przede wszystkim opieki psychiatry.

— Była badana na wszystkie strony. Z punktu widzenia specjalistów jest absolutnie zdrowa na umyśle. Porozmawiajmy raczej o jej zbrodni. Jakie są pańskie zastrzeżenia?

— Eminencjo, pracuję w wydziale zabójstw w Paryżu. Z morderstwami mam do czynienia na co dzień. To moja specjalność. Agostina nie miała ani środków technicznych, ani wiedzy niezbędnej do popełnienia tak wyrafinowanej zbrodni.

— Jakie jest pańskie zdanie?

— Ten sam morderca kryje się za zabójstwem Salvatore i Sylvie Simonis. To zbrodnia, która miała miejsce w regionie Jury.

— Dlaczego Agostina Gedda miałyby przyznać się do zbrodni, której nie popełniła? — zapytał kardynał, podnosząc brwi.

— To właśnie staram się wyjaśnić.

— Według policji z Katanii podała szczegóły, które mógł znać jedynie sprawca...

— Eminencjo, trudno mi to wytłumaczyć, ale intuicja pod-

powiada mi, że ta kobieta знаła zabójcę. To on przekazał jej szczegóły, a ona go kryje z niewiadomej przyczyny. Taka jest moja hipoteza. Nie mam jednak żadnych dowodów.

Kardynał wstał. Chciałem pójść w jego ślady, ale ruchem ręki nakazał mi pozostać na krześle. Przeszedł wokół biurka, po czym rzekł:

— Może pan zejść daleko w tym śledztwie. I być dla nas bardzo użyteczny. — Podniósł do góry z lekka zakrzywiony palec wskazujący. — Może pan zejść daleko, pod warunkiem że pana ukierunkujemy...

Prefekt skończył robić fotokopie. Położył je na biurku, a mnie oddał moją teczkę. Van Dieterling podziękował mu skinieniem głowy. Prefekt bezszelestnie usunął się na bok. Turkusowe tęczówki znowu spoczęły na mnie.

— Co do istoty sprawy jesteśmy zgodni — powiedział cicho kardynał. — Agostina nie jest zabójczynią Salvatore. Wiemy, kto go zamordował.

— Wiecie...

— Proszę poczekać. Najpierw muszę panu wyjaśnić pewne rzeczy. A pan ze swojej strony powinien oderwać się od swego... racjonalnego myślenia. Jest pan chrześcijaninem, Mathieu. Dobrze więc pan wie, że rozum nigdy nie idzie w parze z wiarą. Jest wręcz jednym z jej zaprzysięgłych wrogów.

Nie pojmowałem, do czego zmierzał, ale jednego byłem pewien: za chwilę usłyszę coś bardzo ważnego. Van Dieterling znowu stanął przy oknie.

— Najpierw powinien pan zapomnieć o uzdrowieniu Agostiny. Mam na myśli ustąpienie jej choroby. Ani pan, ani ja nie potrafimy ocenić istoty tego cudu. Możemy natomiast zająć się stanem jej umysłu. To nasza specjalność. Nasze terytorium.

— Proszę mi wybaczyć, Eminencjo, ale nie nadażam za...

— Przejdźmy do rzeczy. Mamy wewnętrzne przekonanie — mówię o instytucji, którą reprezentuję, o świętej Kongregacji Doktryny Wiary — że umysł Agostiny znajduje się pod wpływem nadprzyrodzonego zjawiska. Pewnej wizji.

— Wizji?

— Czy wie pan, co to jest „przeżycie bliskości śmierci”? W języku angielskim określa się to skrótem NDE — Near peath Experience. Czasami mówi się także o „śmierci przejściowej”.

Przypomniałem sobie w tym momencie informacje, jakie znalazłem w Internecie, gdy chciałem dowiedzieć się czegoś więcej o śpiączce.

— Wiem, że niektórzy ludzie w chwili, gdy zbliża się śmierć, mają widzenie. Zawsze takie samo.

— Czy zna pan etapy tego „widzenia”?

— Taka osoba najpierw ma wrażenie, że odrywa się od swego ciała. Może obserwować zespół ratowniczy, który krząta się wokół jej cielesnej powłoki.

— A potem?

— Ma uczucie, jakby wchodziła w ciemny tunel. Niekiedy dostrzeża w jego wnętrzu swoich nieżyjących bliskich. Na końcu tunelu widzi rosnące światło, które jednak jej nie oślepia.

— Ma pan dobrą pamięć.

— Czytałem o tym niedawno. Ale nie wiem, co to...

— Proszę mówić dalej.

— Według ich świadectwa światło to ma w sobie dziwną moc. Osoba, która je widzi, czuje się przepelniona niewysłowioną miłością i współczuciem. Niekiedy to uczucie jest tak silne, tak upajające, że godzi się na śmierć. I na ogół w tym właśnie momencie słyszy głos, który oznajmia, że jej czas jeszcze nie nadszedł. Chory odzyskuje przytomność.

Van Dieterling usiadł. Miał posępny wyraz twarzy, ale oczy mu błyszczały.

— Co pan jeszcze wie?

— Po przebudzeniu taki przywrócony do życia człowiek doskonale pamięta, czego doświadczył. Zmienia się jego stosunek do świata. Przede wszystkim nie boi się już śmierci. Po drugie, patrzy na swoje otoczenie z większą miłością, szlachetnością, głębszym zrozumieniem.

— Brawo. Świetnie się pan tego nauczył. Musi więc pan wiedzieć o wymiarze mistycznym tego doświadczenia...

Czułem się tak, jakbym zdawał egzamin. I w dalszym ciągu nie pojmowałem celu tego przepytowania.

— Elementy tego doświadczenia są takie same u wszystkich świadków, ale interpretacja zależy od pochodzenia i kultury, w której wychowana została dana osoba. W świecie zachodnim światło to jest związane z Jezusem Chrystusem, który w swej istocie jest samym światłem i współczuciem. Doświadczenie takie jest jednak również opisane w *Tybe-  
tańskiej księdze zmarłych*.

Odniesienie do życia po śmierci znajdujemy także w *Państwie* Platona, który opisuje tego rodzaju podróż w tunelu.

Promienie słońca dosięgły już biurka. Na podłodze rysowały białe, jaskrawe figury geometryczne. Kardynał spoglądał na swój pasterski pierścień. Wprawiony węń rubin połyskiwał w jasnym świetle. Podniósł na mnie oczy.

— Ma pan rację. Takie doświadczenia przeżywane są na całym świecie, a ich liczba stale rośnie, oczywiście dzięki technikom reanimacji, które pozwalają wyrwać śmierci co roku tysiące ludzi. Czy pan wie, że co piąty człowiek, który po zawale zapadł w chwilową śpiączkę, przeżył NI— Tak, czytałem o tym.

Kardynał pokiwał głową. Umiejętnie podtrzymywał napięcie. W końcu cicho powiedział:

— Sądźmy, że Agostina przeżyła coś takiego tuż przed uzdrowieniem, gdy zapadła w śpiączkę po powrocie z Lourdes.

— I to ksiądz nazwał „wizją”?

— Uważamy, że jej doświadczenie miało szczególny charakter.

— To znaczy?

— Negatywny. Było to negatywne „przeżycie bliskości śmierci”.

Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Van Dieterling ponownie wstał z krzesła, poprawiając sutannę nerwowym ruchem.

— Zdarzają się takie przypadki śpiączki, bardzo rzadkie, kiedy chory doświadcza ogromnego lęku. Jego wizje są straszne, bliskość śmierci go przeraża. Wychodzi z tego zmieniony, przestraszony. Niewielka grupa takich ludzi często przeżywa całkowicie odwrotny efekt klasycznego NDE. Taki ktoś ma wrażenie, że opuszcza swoje ciało, ale w głębi tunelu nie widzi światła. Jedynie czerwone płomienie. Dostrzega w nim twarze jęczących, torturowanych skazańców. Zamiast miłości i współczucia odczuwa tylko niepokój i nienawiść. Kiedy taki człowiek budzi się, jego osobowość jest diametralnie zmieniona. Jest niespokojny, agresywny, niebezpieczny.

Kardynał mówił, nie patrząc na mnie, cały czas chodząc po pokoju. Jego sutanna ocierała się o jasne plamy słońca na podłodze. Wydawało się, że każde słowo budzi w nim głuchy gniew.

— Nie muszę panu wyjaśniać metafizycznej symboliki tego doświadczenia. Tacy uratowani od śmierci wierzą, że światło,

które widzieli, nie pochodzi od Chrystusa, lecz od kogoś zupełnie innego.

— Czy mam rozumieć, że ich zdaniem spotkali...

— Diabła. Tak, w głębi otchłani spotkali diabła.

Minęło kilka sekund, zanim opanowałem osłupienie.

— Pierwszy raz słyszę o czymś takim.

— To znaczy wykonujemy dobrze swoją pracę. Stolica Apostolska od stuleci dokłada starań, aby nie ujawniać tego typu widzeń. Dałoby to nowe podstawy do wiary w demona.

— Od stuleci? Czy to znaczy, że istnieją o tym starożytne świadectwa?

Na twarzy van Dieterlinga pojawił się znowu twardy uśmiech.

— Już czas, aby zapoznać pana z Uratowanymi Bez Światła.

— Co to takiego?

— Reanimowani negatywni, bez udziału Boga, noszą taką nazwę od czasów starożytności. Uratowani Bez Światła. Po łacinie — *Sine luce*. Ocaleni z otchłani. Zgromadziliśmy w naszej bibliotece ich świadectwa. Dokonaliśmy pewnej selekcji.

Szepnąłem, jakby sam do siebie:

— Na miejscu zbrodni, gdzie znaleziono ciało Sylvie Simonis, na korze drzewa był wryty napis: „Chronię Uratowanych Bez Światła”.

Nade mną rozległ się szorstki głos van Dieterlinga:

— Już pora, żeby pan zrozumiał, Mathieu. Te zbrodnie tworzą pewną całość. Należą do tego samego kręgu. Piekielnego kręgu.

Spojrzałem na niego.

— Agostina przeżyła takie negatywne doświadczenie? Jest taką Uratowaną Bez Światła?

Kardynał dał znak prefektowi, aby otworzył drzwi, po czym odpowiedział mi:

— Najgorszą ze wszystkich.

## 67

Znowu korytarze.

Znowu prefekt ze swoimi kluczami świętego Piotra.

Byliśmy tajemnymi podróżnikami po Watykanie.

Ale nie byliśmy sami. Eskortowało nas trzech księży o sylwet-

kach kulturystów. Kardynał, przewyższający wzrostem swoich ochroniarzy, szedł, przytrzymując sutannę, szybkim, zdecydowanym krokiem. Pasterski krzyż i różaniec, którego nie mogłem dostrzec, pobrzękiwały w rytm jego kroków.

Kolejne schody. Rutherford otworzył kluczem drzwi. Schodziliśmy teraz do podziemia. Według mojej oceny musieliśmy iść pod dziedzińcem Cortile delia Pigna. Słyszałem o tajemnych archiwach Watykanu. O prawdziwych, nie tych, które udostępniano badaczom. Zawierały one sprawy ukrywane przez Stolicą Apostolską.

Nie było tu żadnych obrazów ani rycin. Nagie sufity z betonu. Oświetlenie ograniczone do okratowanych żarówek. Jedna sala za drugą, rzędy metalowych półek z leżącymi na nich żółtymi lub brązowymi teczkami. Przypominało to archiwa każdej instytucji. Zapach papieru i kurzu zatykał gardło. Ani van Dieterling, ani Rutherford nie odzywali się słońce. Kolejne drzwi, obrót klucza w zamku.

W półmroku ukazało się pomieszczenie wysokości człowieka. Pod ścianami półki z setkami książek. Czuło się, że powietrze w tej sali jest przedmiotem stałej troski. Rutherford potwierdził moje przypuszczenie.

— Temperatura tutaj nigdy nie przekracza osiemnastu stopni. Kontrolowana jest także wilgotność powietrza. Maksimum pięćdziesiąt

Podszedłem do szarych opraw z inkrustowanymi złotymi literami na grzbietach. Na wszystkich książkach był ten sam tytuł. *Inferno* 1223, *Inferno* 1224, *Inferno* 1225... Usłyszałem za plecami głos van Dieterlinga:

— Wie pan, co w bibliotece określa się mianem piekła, prawda?

— Oczywiście — odpowiedziałem, nie podnosząc oczu od grzbietów z datami. — Jest to pomieszczenie, gdzie deponuje się zakazane teksty: książki erotyczne, książki o treści brutalnej, o tematyce objętej cenzurą...

Kardynał podszedł do mnie i postukał palcami po grzbietach ciasno ustawionych książek.

— Wszyscy policjanci powinni być intelektualistami. Wszyscy powinni kończyć seminaria... W Watykanie potrzebna jest taka specjalność. Tutaj mamy „piekło w piekle”, gdzie zgromadzone są książki traktujące o diable.

— Te wszystkie dzieła mówią o diable?

— To płodny temat, który zawsze nas interesował.

Wskazał na drzwi w głębi sali, których wcześniej nie dostrzegłem.

— Zapraszam pana.

Zobaczyłem kolejny pokój, znacznie mniejszy. Na środku stało biurko z komputerem i małą lampką. Czytelnia.

— W tym piekle — kontynuował kardynał — stworzyliśmy „podpiekło” przeznaczone wyłącznie dla Uratowanych Bez Światła.

Na półkach szare książki. Takie same złote litery: *Inferno*...

— Zgromadziliśmy tutaj wszystkie świadectwa, które dotyczą negatywnego „przeżycia bliskości śmierci”. Teksty, ale również obrazy, rysunki, odwołujące się do tej tematyki. Wprawdzie takie doświadczenia zdarzały się rzadko, ale powtarzały się przez wieki, a ich ślady odnaleźliśmy w najstarszych cywilizacjach. Zmieniają się słowa, wierzenia, ale jest to zawsze ta sama historia. Oderwanie się od ciała, tunel, ni — Dlaczego to ukrywacie?

— Już panu mówiłem. Nie chcemy dawać dowodów na istnienie Szatana. Niech pan sobie wyobrazi, co by było, gdyby media odkryły ten sekret. Wyjście poza ciało, co pozwala na nawiązanie kontaktu z diabłem. Przez wiele miesięcy nie słyszelibyśmy o niczym innym. Już i tak odrodził się satanizm. Szacujemy, że tylko w samych Włoszech istnieją obecnie trzy tysiące sekt satanistycznych. Nie wolno powiększać tego problemu.

Kardynał wyciągnął spod biurka krzesło.

— Proszę usiąść. Przygotowaliśmy kilka ważnych tekstów.

Van Dieterling nałożył okulary i wystukał kod na klawiaturze komputera. Pojawił się herb Stolicy Apostolskiej: tiara i dwa skrzyżowane klucze świętego Piotra.

— Nie możemy pokazać panu dokumentów oryginalnych. Od lat nikt ich nie dotykał.

Wziął do ręki mysz.

— Proszę przeczytać i zapamiętać — powiedział, klikając w ikonkę. — Nie wolno panu wynieść stąd żadnego dokumentu. Ani jedna linijka nie ma prawa wydostać się poza tę salę.

Usiadłem. Program już się otworzył.

— Zostawiam pana z tym straszliwym legionem, Mathieu. Z legionem potępionych. Oby znaleźli przebaczenie. *Lux aeterna luceat eis, Domine*.

Pierwszy tekst datowano na szósty wiek p.n.e. Ze wstępnego komentarza wynikało, że był to fragment glinianej tabliczki znalezionej w ruinach świątyni w Niniwie, starożytnym mieście w Asyrii, na terenie dzisiejszego Iraku. Późna wersja epizodu z eposu Gilgamesza, sumeryjskiego bohatera, króla Uruku. Program dawał do wyboru zeskanowany obraz fragmentu napisanego pismem klinowym lub transkrypcję we współczesnym języku włoskim.

Gilgamesz podróżował poza ciałem, po czym wpadł do czarnej otchłani, w której głębi jaśniało czerwone światło, roilo się tam od much i wykrzywionych grymasem twarzy. W ciemnościach czekał na niego demon. Fragment na glinianej tabliczce kończył się na tym, jak Gilgamesz zaczął z nim rozmawiać.

Kliknąłem na drugą pozycję z listy. Fotografia fresku. Według legendy szereg takich rysunków zdobił komorę pogrzebową pewnej królowej w Napacie, świętym mieście na północy Sudanu, nad Nilem. Cywilizacja kuszycka rozwinęła się w Egipcie około szóstego wieku p.n.e. W komentarzu podkreślono, że niewiele jeszcze wiadomo na temat dynastii królów zwanych „czarnymi faraonami”. Ale nie było żadnych wątpliwości, że fresk dotyczy problemu Uratowanych Bez Światła.

Przedstawiona była na nim leżąca kobieta, nad którą unosiła się inna, znacznie mniejsza. Oczywisty symbol oderwania się od ciała. Druga sylwetka skierowała się do ciemnego korytarza, gdzie jaśniejszymi liniami narysowane były twarze. Na końcu tego przejścia, otwierającego się na czarne niebo, wirował kłęb much.

Przeszedłem do trzeciego dokumentu świadczącego o tym, że świadectwa Uratowanych Bez Światła pojawiły się wraz ze sztuką pisania. Może któregoś dnia odkryty zostanie rysunek naskalny przedstawiający to złowróżbne doświadczenie? Kolejny tekst był palimpsestem — wymazano pierwotny tekst grecki i na jego miejsce wpisano łaciński fragment z Listów świętego Pawła do Rzymian. Odzyskany pierwotny tekst pochodził z pierwszego wieku p.n.e.

Spróbowałem najpierw odczytać ten fragment w języku oryginalnym, ale moja znajomość greki starożytnej okazała się niewystarczająca. Przeczytałem więc tłumaczenie w języku włoskim. Była to historia człowieka, który, uznany za umarłego, omal nie został



pochowany w Tyrze. Obudził się w ostatnim momencie. Człowiek ten opisywał swoje przeżycia:

Nie widziałem niczego, co oglądałem do tej pory, jedynie dolinę  
o niezwyklej głębokości. W jej głębi dostrzegłem twarze,  
usłyszałem dochodzące z niej krzyki...

Nie mogłem przejrzeć wszystkich dokumentów — ich lista była długa, a czasu miałem mało. Przesunąłem kursor do dołu, omijając wiele wieków. Reprodukacja fresku na drzewie, z Kaplicy Mnichów w Sercis-la-Ville (Saône-et-Loire), z dziesiątego wieku. Przedstawienie w kilku miniaturach cudu świętego Teofila. Znałem tę legendę bardzo popularną w średniowieczu. Opowiadała ona o zarządcy, który sprzedał duszę diabłu. Potem, dręczony wyrzutami sumienia, modlił się do Najświętszej Dziewicy, a ona odebrała Szatanowi cyrograf i oddała go skruszonemu grzesznikowi, który potem został świętym.

Na fresku tym scena rozmowy z Szatanem nie ukazywała Teofila w trakcie podpisywania cyrografu własną krwią, jak to bywało zazwyczaj. Teofil leciał tutaj w powietrzu z zamkniętymi oczami nad korytarzem usłanym twarzami. W głębi widoczne było wykrzywione grymasem oblicze, a wokół niego wirowały muchy. Bez wątpienia artystę zainspirowało negatywne doświadczenie bliskości śmierci przeżyte przez niego samego lub przez kogoś mu opowiedziane.

Znowu przeskoczyłem wiele stron i zatrzymałem się na poemacie z czternastego wieku napisanym przez niejakiego Villeneuve, ucznia Guillaume'a de Machaulta. Villeneuve, poeta na dworze Karola V, a potem Karola VI, jak podano w komentarzu, omal nie został żywcem pochowany po upadku z konia. Ocknął się w dniu swojego pogrzebu i nie chciał opowiadać o tym, czego doświadczył. Jednak z jego wiersza wybrano fragment przetłumaczony przez watykańskich skrybów ze starofrancuskiego na staro włoski:

...znam miejsce ciemne  
bez jakiegokolwiek światła;  
ani niebo, ani otchłań, ani piekło.  
Moja dusza opuszcza ciało  
i ulatuje w ciemność bez końca...

Dodana została do tego notka. Kroniki sądowe z Reims poświadczają, że Villeneuve jedenaście lat po wypadku, w tysiąc trzysta pięćdziesiątym szóstym roku, został powieszony za zabójstwo trzech prostytutek. Potwierdzenie słów van Dieterlinga, że ci, którzy przeżyli negatywne doświadczenie, stali się istotami brutalnymi, okrutnymi.

Dowodził tego również następny przykład wzięty z Archiwów Świętego Oficjum w Lizbonie. Tekst z tysiąc pięćset czterdziestego piątego roku był relacją z przesłuchania niejakiego Diego Corvelho. Przestudiowałem dużo na temat tego okresu. W szesnastym wieku inkwizycja stała się potęgą w cesarstwie Karola V. Nie chodziło wówczas o ściganie opętanych, ale heretyków szczególnego rodzaju — żydów nawróconych na katolicyzm, podejrzewanych o to, że w tajemnicy nadal uprawiają swój dawny kult.

Ten fragment jednakże przedstawiał przesłuchanie prawdziwego opętanego, rodem z Lizbony, oskarżonego o konszachty z diabłem oraz o torturowanie i mordowanie małych dzieci.

Diego Corvelho opowiadał o „ranie w ciele... przez którą wymknęła się dusza”. Mówił o „studni ożywionych ciemności”, o „demonie uwieczonym w czerwonych lodach”. Inkwizytorzy wracali do tego punktu, przywykli bowiem do określeń stereotypowych w rodzaju „płomienie piekielne” czy „bestia z oczyma żarzącymi się jak węgle”. Ale Corvelho powtarzał: „lód”, „szron”, „skorupa”. Opisywał kryjącą się za tą zasłoną „poranioną białą twarz przeciętą błyskawicami i jakby pokrytą błoną...”.

Mimochodem zwróciłem uwagę, że wszystkie te określenia znajdowały się w apokryficznych pismach pierwszych wieków chrześcijaństwa opisujących piekło — czy tamci autorzy byli także pod wpływem wizji Uratowanych Bez Światła?

Corvelho zginął spalony żywcem na stosie w Lizbonie w tysiąc pięćset czterdziestym drugim roku wraz z setkami żydów oskarżonych o herezję. Notatka na jego temat została wysłana do stolicy Apostolskiej, gdzie rejestrowano już dane autorów świadectw nazywanych Uratowanymi Bez Światła. Nadano im również ^zwę Ludzi Otchłani.

Spojrzałem na zegarek — dochodziła godzina czternasta. Musiałem się pospieszyć. Przejrzałem pobieżnie świadectwa z siedemnastego i osiemnastego wieku. Od tamtej pory Święte Oficjum starało się zawsze poznać dalsze losy takiego świadka. Za każdym

razem działo się tak samo. Przemoc, tortury, morderstwa. Kończyli albo na szubienicy, albo na szafocie.

Ludzie Otchłani.

Armia zabójców na przestrzeni wieków.

Mój wzrok zatrzymał się przypadkiem na dłuższej relacji z dziewiętnastego wieku. W latach siedemdziesiątych tego wieku francuski lekarz kryminolog, Simon Boucherie, spisał zeznania licznych więźniów. Zamierzał stworzyć archiwum przestępców i znaleźć przyczyny popychające ich do morderstwa. Boucherie wyróżnił dwie główne, przeciwstawne przyczyny. Pierwsza to „czynnik społeczny” — „nikt nie rodzi się przestępcą, lecz staje się nim z powodów socjalnych, jest wynikiem takiego, a nie innego wychowania”. Druga to „czynnik dziedziczenia” — „człowiek rodzi się przestępcą, bo ma już we krwi

Słyszałem o tym kryminologu i jego mętnych ideach. Nie wiedziałem jednak, że pod koniec życia poświęcił się badaniu trzeciego czynnika — wyjścia poza ciało.

Jako kluczowy dowód posłużył mu przypadek Paula Ribes'a, osadzonego w tysiąc osiemset osiemdziesiątym drugim roku w więzieniu Saint-Paul w Lyonie. Ribes, wielokrotny morderca, został aresztowany za zabójstwo Emilie Nobecourt, którą zasztylował i poćwiartował na dwanaście części. Będąc już w więzieniu, przyznał się do ośmiu morderstw popełnionych w dzielnicy La Villette w Lyonie.

Kiedy Boucherie poprosił go opisanie jego kryminalnej przeszłości, Ribes z naciskiem podkreślał znaczenie tego, co nazywał „źródłem nieszczęścia” — długiego omdlenia, w które zapadł w wyniku urazu czaszki w wieku dwudziestu lat. Kościelni śledczy zdobyli oryginalne oświadczenie Ribes'a. Przeczytałem w Internecie ten tekst napisany niewprawną ręką lionńskiego zabójcy:

...Kiedy leżałem nieprzytomny, miałem dziwny sen. Lekarze stwierdzili, że to niemożliwe, ale przysięgam, że tak było. [...] Wyszedłem z ciała. Ja sam, kiedy to piszę, nie potrafię tego wyjaśnić, ale oderwałem się od mojego ciała. Unosiłem się nad moim ciałem w sali szpitalnej. Podleciałem bliżej sufitu i czułem strach otaczający mnie niby mgła... Pamiętam, że słyszałem syk lamp gazowych, czułem ich zapach...

...Potem przeniknąłem przez sufit. Nie wiedziałem już, gdzie jestem. Wokół wszystko było czarne. Po chwili tuż przede mną zauważyłem otwór, studnię. Widziałem jej kamienne ściany. Były tam twarze ludzi. W ciszy rozbrzmiewały ich wycia. Było to straszne. Od spoglądania w głąb studni zakreśliło mi się w głowie i zacząłem spadać...

Chciałem krzyczeć, ale nie mogłem, bo spadałem tak szybko... Nie miałem już ani twarzy, ani ust, niczego... A potem pomału ręce ukołysały mnie, ukołysały swoim cierpieniem...

I wtedy go zobaczyłem. Pokryty czerwoną skórą, chodził tam, kręcił się blisko ściany... Przemówił do mnie. Nie potrafiłbym powiedzieć w jakim języku, ale go rozumiałem. Ujrzałem jasno całe moje życie od narodzenia, a poza tym widziałem, co jeszcze przeżyję, co zrobię... Nie mogę nic więcej powiedzieć, ale błagam czytających moje słowa, aby mi uwierzyli, że musiałem zrobić to, co zrobiłem, nie miałem wyboru. Nigdy nie miałem wyboru.

W maju tysiąc osiemset osiemdziesiątego trzeciego roku Paul Ribes został przewieziony do Riom, a stamtąd do więzienia Saint-Martin-de-Re na wyspie de Re, a wreszcie do ciężkiego więzienia w Cayenne. Zmarł pięć lat później na malarię w sierpniu osiemdziesiątego ósmego roku. Według raportu lekarza więziennego Ribes w agonii powiedział: „Nie boję się śmierci. Od niej przychodzę”.

Śledczy Stolicy Apostolskiej dodali drugą notatkę. Doktor Boucherie został zamordowany w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym pierwszym roku. W dalszym ciągu prowadził badania dotyczące „trzeciego czynnika”, szukając nowych świadectw na całym świecie. Został zasztyletowany w okolicach więzienia Piedras Negras niedaleko Limy, w

Pomyślałem o Lucu. Zapewne docenił wagę tych świadectw. Dojrzałem teraz pewną prawdę. W moim śledztwie nastąpił kapitalny zwrot. „Znalazłem wyjście” — powiedział Luc do Laure. Mówił oczywiście o NDE, negatywnym „przeżyciu bliskości śmierci”. Mógłby także powiedzieć: „Znalazłem studnię” lub „przepaść”, użyć jednego z określeń ze świadectw cudownie uzdrowionych. Tak, Luc odkrył ślady Uratowanych Bez Światła. Czy był tutaj? Czy zawarł jakąś umowę z van Dieterlingiem? Nie.

Bo w takim wypadku kardynał nie zainteresowałby się moimi aktami. Jaką drogę obrał Luc? Jak odkrył legion otchłani?

Przejrzałem następne strony, w tym wzmiankę o angielskim dziele *Phantasms of the Living* (1906), które zawierało fragment dziennika kapelana więzienia w Birmingham, w West Midlands. Przestraszony kapłan opisał przypadek pewnego opętanego, znajdującego się w rym więzieniu, „człowieka, który wydostał się poza swoje ciało i spotkał demona”. Postarał się, aby więźnia tego umieszczono w Manchester Royal Lunatic Hospital, bardzo znanym w tamtym czasie zakładzie

Zatrzymałem się na podobnym przykładzie opisanym trzydzieści lat później przez parę amerykańskich badaczy, Josepha Banksa i Louise Rhine, pionierów w dziedzinie naukowej parapsychologii. Ci naukowcy z uniwersytetu w Duke, w Karolinie Północnej, zebrali tysiące opisów dotyczących niewyjaśnionych doświadczeń. Wspominali przypadek Marthy Battle uznanej za zmarłą, potem reanimowaną w tysiąc dziewięćset dwudziestym siódmym roku, w Minneapolis, w stanie Minnesota. Jej krewni zeznawali, że po obudzeniu Martha straciła rozum. Twierdziła, że „znalazła się w ciemnej dolinie, gdzie czekał na nią Szatan, by uprawiać z nią miłość”. Martha została aresztowana dwa lata później, po otruciu swoich siedmiorga dzieci, a następnie powieszona.

Przeczytałem kolejne świadectwo. Rozdział z notatek Johna Goldbluma, amerykańskiego psychiatry, który podczas procesu norymberskiego w styczniu tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku prowadził rozmowy z nazistowskimi zbrodniarzami wojennymi.

Przepytany przez niego lekarz Karl Liebermann, który wstawił się zbrodniczą działalnością w obozach w Sachsenhausen i Auschwitz, odpowiadał doskonale typowi Uratowanego Bez Światła. Cenzorzy ze Świętego Oficjum przetłumaczyli fragment przesłuchania przekazanego przez Goldbluma:

- Nie pracowałem dla Fuhrera ani dla Trzeciej Rzeszy.
- A dla kogo?
- Wszystko, co zrobiłem, zrobiłem na jego rozkaz.
- O kim pan mówi?
- W młodości, przed wojną, miałem wypadek.
- Jaki wypadek?
- Uderzyłem się w głowę. Umarłem i odżyłem.

- Jaki ma to związek z... tym, co pan robił?
- Kiedy byłem martwy, on wszedł ze mną w kontakt.
- Kim jest ten „on”?
- Szatan. Bestia. Kusiciel. Zły. Może go pan nazwać, jak się panu podoba. Każde imię będzie tylko jeszcze jednym kłamstwem. Chybioną próbą scharakteryzowania go.

Chwila milczenia.

- To wszystko, co pan znalazł na swoją obronę?
- Nie muszę się bronić.

Cisza.

- A ten diabeł jak wyglądał?
- On nie ma wyglądu. On jest w nas.
- Co panu powiedział ten diabeł?
- Nic nie mówił. W każdym razie nie w tym sensie, jak pan to rozumie.
- Czego chciał?
- Chce pan znać jego wolę? Niech się pan rozejrzy po obozie. Niech pan zobaczy, co wstrzykiwały moje ręce. Zanim go poznałem moje życie było pytaniem. Potem stało się odpowiedzią.

W podsumowaniu napisano:

Karl Liebermann został skazany na śmierć i wyrok wykonano w marcu 1947 roku. Skazano go za dokonywanie na ludziach eksperymentów ze śmiertelnie działającym gazem iperytem w obozie w Sachsenhausen w 1940 roku, a ponadto za współudział w eksperymentach z niskimi temperaturami i sterylizacji, łącznie z kastracją oraz poddawaniem więźniów działaniu promieni X w obozie koncentracyjnym w Auschwitz.

Ludzie otchłani. Legion ciemności. Nie tylko zabójcy, ale również zadający tortury, sadyści, manipulatorzy działający na Wszystkich poziomach zła. Jak czarni aniołowie, którzy mają wiele twarzy...

Wmawiałem sobie, że ci mężczyźni i kobiety przeżyli szok psychiczny, doświadczenie finalne. Jednocześnie bardzo mnie kusilo, żeby przyznać, iż w stanie między życiem a śmiercią zetknęli się oni z prawdziwym diabłem. Diabłem, który czyhał na swoje ofiary w zakamarkach ludzkiej świadomości. Negatywną mocą, która tylko czekała, aż otworzą się drzwi, żeby porwać dusze, tak jak czarne dziury w kosmosie pochłaniają światło.

#### *Godzina 16.00*

Było jeszcze wiele świadectw, których daty coraz bardziej się zacieśniały. Przejrzałem pobieżnie niektóre. Pewna Cypryjka w trakcie reanimacji poczuła się tak, jakby uwięziono ją w lodowym bloku, podczas gdy jej ręce były gorące aż do momentu, kiedy ujrzała nagle „różowe światło”... Pewien mężczyzna po przeżytych zawale serca pił krew z worków zawieszonych na rzeźnickich hakach. Po opuszczeniu ciała wszedł do tunelu, gdzie jakiś głos ostrzegł go: „Umrzesz”. Zaraz potem ogarnął go spokój i ujrzał postać o zwierzęcych kształtach pokrytą

Kliknąłem i trafiłem na wyciąg z raportu policji federalnej z Saint Louis, w stanie Missouri w Stanach Zjednoczonych z drugiego maja dziewięćdziesiątego drugiego roku podpisanego przez detektywa Sama Hilla. Opisano w nim zgon szesnastoletniego Andy Knightleya, postrzelonego z bardzo bliska o pierwszej nad ranem na terenie Siódmego Dystryktu.

Andy został znaleziony martwy na skutek postrzału w pierś z wiatrówki kaliber 12. W notatce określono Siódmy Dystrykt jako getto Saint Louis zamieszkanego w stu procentach przez czarnych, gdzie działały dwa gangi Cripsów i Bloodsów.

Bardziej zaskakujący był dalszy ciąg. Ratownikom udało się reanimować Andy'ego, którego Sam Hill nazywał w raporcie „umarlakiem”. Serce chłopaka zaczęło bić przy szóstym elektrowstrząsie. Z podłączonym aparatem tlenowym i kroplówką Andy został przewieziony do szpitala baptystów w Saint Louis. Przykuty kajdankami do szpitalnego łóżka został przesłuchany po dziesięciu dniach przez Sama

W Internecie istniało nagranie dźwiękowe przesłane przez policję z Saint Louis. Uprzedzono jednak o pewnych szczególnych zwyczajach związanych z gangami. Andy Knightley jako członek Cripsów nie miał prawa wymawiać spółgłoski „b”, pierwszej

litery z nazwy wrogów — Bloodsów. Za każdym więc razem połykał tę spółgłoskę.

Zdecydowałem się wysłuchać tego nagrania. Nie mogłem oprzeć się pokusie usłyszenia głosu świadka. Przesłuchałem szybko nagranie aż do kluczowego fragmentu.

- Chłopie, czułem, że odchodzę.
- To znaczy, że umierasz?
- Nie, chłopie. Czułem, że opuściłem moje ciało.
- Jak to?
- Nie potrafię tego wyjaśnić. Ale nie byłem już w moim ciele. Leciałem nad ulicą, kiedy przyjechali swoimi gablotami policjanci. Widziałem obracające się światła na ich dachach, widziałem całą moją dzielnicę. Jakbym leciał helikopterem.
- Obudziłeś się?

Rehot.

- Chłopie, ja byłem martwy. Wiedziałem o tym i wcale się tym nie przejmowałem. Wzywała mnie latarnia.
- Jaka latarnia?
- Czerwona latarnia w głębi dziury.
- Brałeś jakieś narkotyki?
- Byłem martwy, wabiła mnie czerwona latarnia w dziurze. Kapujesz?
- Mów dalej.
- Wpłynąłem w tę dziurę. Wyglądała jak kanion ze ścianami, które się ruszały. Słysząc było płaczące głosy.
- Jakie głosy?
- Zobaczyłem twarze, ale było ciemno i nie widziałem ich dobrze. Jakby w źle nastawionym telewizorze.
- Co mówiły te... twarze?
- Płakały...
- Rozpoznałem niektórych. Nawet moją matkę.
- Płakali dlatego, że umarłeś?

Rehot.

- Nie przypuszczam, żeby matka płakała w dniu mojej śmierci.



- To dlaczego płakali?
- Było im źle. Bali się.
- Kogo?
- Latarni. Czerwonej latarni, która się zbliżała. Jak oko.
- Oko?
- Krwawe oko, które... oddychało. I powiedziało mi pewne rzeczy.
- Jakie rzeczy?
- Nie mogę powiedzieć.
- Nie rozumiałeś tego?
- Zrozumiałem. Ale to sekret.
- Kto do ciebie mówi? Jakaś... boska postać?

Wybuch śmiechu.

- Chłopie, nic nie skapowałeś — ten, który do mnie mówił, to Lucyfer.
- Diabeł?
- No, oko, krew, głos. Dobrze zrozumiałem jego przesłanie.
- Jakie przesłanie?
- Jestem na dobrej drodze. Nic więcej nie musisz wiedzieć.

Sprawozdanie kończyło się jakby na przepowiedni przyszłości. Dołączona notatka informowała, że Andy Knightley w następnym roku został zabity przez ludzi z SLPD (Saint Louis Police Department) po tym, jak zastrzelił dwanaście osób w kościele jego wyznania. Według świadków zdarzenia Andy wrzeszczał, że pełno tam było Bloodsow, podczas gdy w kościele były jedynie kobiety i dzieci.

Miałem już dość. Wyjąłem notes. Van Dieterling nie mógł mi przeszkodzić w zrobieniu notatek. Spisałem wspólne punkty wszystkich świadectw, opisując kilkoma słowami każdy etap: „oderwanie się od ciała”, „wyjście, studnia, dolina, tunel, otwór, kanion, jaskinia”, „twarze, jęki”, „niepokój, dobre samopoczucie”, „czerwone światło, latarnia, oko”, „lód, szron, lawa, krew”, „diabeł”, „zły”, „Lucyfer”...

Odłożyłem pióro. Pojąłem okrutną prawdę.

Luc, odnajdując „wyjście” i Uratowanych Bez Światła, nie był

tak jak ja przerażony. Ani tak sceptyczny. Uważał, że tego rodzaju doświadczenie było sposobem na wejście w kontakt z diabłem. Dowodem fizycznym czarnej mocy, w którą zawsze wierzył.

Co takiego odkrył potem, że zrezygnował z dalszego prowadzenia śledztwa i targnął się na życie? Otarłem rękawem pot z czoła. Wsunąłem notes do kieszeni w tym samym momencie, kiedy za plecami usłyszałem głos kardynała.

— Przekonał się pan?

## 69

Pytanie nie wymagało odpowiedzi. Odwróciłem głowę. Kardynał van Dieterling szedł w moim kierunku. Można by powiedzieć, że ślizgał się po podłodze.

— Agostina Gedda należy do tej serii? — zapytałem.

— Tak, opowiedziała nam o swoim doświadczeniu. Przypuszczam, że panu również o nim mówiła.

— Przedstawiała to raczej jako sen. To diabeł zasugerował jej zemstę. Jej zdaniem — a może jego — właśnie Salvatore zepchnął ją z urwiska, gdy miała jedenaście lat.

— Zgadza się. Sprawdziliśmy to. Odnaleźliśmy inne obecne tam wtedy dzieci.

— Ona sama chyba też to pamięta?

— Niech pan przestanie przeczyć oczywistym faktom, zyska pan na czasie.

Agostina powiedziała mi dokładnie to samo. Wstałem, żeby być na tym samym poziomie co kardynał.

— Co Eminencja o tym sądzi? — zapytałem. — Czy to możliwe, że demon naprawdę objawił się Agostinie? Że ukazał się tym wszystkim reanimowanym ludziom? Mam na myśli prawdziwego diabła. Tę inspirującą, niszczycielską siłę.

Van Dieterling milczał. Poczulem teraz chłód i wilgoć panujące w tym pomieszczeniu. W końcu odezwał się, wodząc ręką po ciemnych grzbietach ze złożonymi literami:

— Nie jest ważne, co ja myślę. Agostina przeżyła doświadczenie psychiczne, które ją zmieniło. Modyfikacja ta odbywała się powoli. Trwała osiemnaście lat. I ta cudownie uzdrowiona dziewczynka z Paterno stała się morderczynią. *Abyssum abyssus invocat.*

„Otchłań wzywa otchłań”. Skorzystałem ze sposobności.

— No właśnie. Skłonny jestem uwierzyć w zwykły szok psychiczny, że halucynacje zmieniły jej osobowość. Ale pozostaje jeszcze problem wyleczenia fizycznego. Ten fenomen mógłby być dowodem na istnienie demona. Uratował dziecko i w tym samym momencie ukazał mu się. Co bez wątpienia czynił później jeszcze wiele razy.

Kardynał uśmiechnął się kącikiem ust.

— Ale pan przecież nie wierzy w Szatana...

— Występuję w roli adwokata diabła. We wszystkich tych świadectwach jest mowa o czyjejs obecności za czerwonym światłem. Jakaś istota przemówiła do nich z ciemności. Zwróciłem uwagę, że oni wszyscy nie chcieli wyjaśniać swojej przemiany...

— Przysięga Otchłani.

— Słucham?

— Pakt z Szatanem. Według bardzo starej tradycji zwany Przysięgą Otchłani.

— Co to znaczy?

— Diabeł nie daje niczego za nic. W chwili, kiedy dany człowiek umiera, Szatan proponuje mu układ. Uratowanie życia za całkowite poddanie mu się. Za obietnicę czynienia zła. Tego rodzaju transakcję określa się terminem Przysięga Otchłani. Faustowski pakt, ale w wersji psychicznej. Słynna *cedula*, deklaracja posłuszeństwa podpisana krwią heretyka. W tym wypadku przysięga odnosi się do umysłu. Niepotrzebna tu krew ani żadne ceremonie. *Lex est quod facimus*. Nawiedzony przez diabła napisze nowe prawo swoimi zbrodniami.

Słowa Agostyny. Poczułem, jak mi cierpnie skóra na karku. Wszystko stawało się logiczne. Fakty przybierały obrót zbyt przekonujący i nie podlegały dyskusji.

— Czy Eminencja wierzy w to? — spytałem bez ogródek.

— Niech pan wreszcie przestanie przejmować się tym, w co ja wierzę. Powinniśmy współpracować ze sobą.

— Eminencja ma moją teczkę z dokumentami sprawy.

— Chcemy więcej. Chcemy być informowani o każdym nowym szczególe.

Zrobił krok w moją stronę. Jego sutanna pachniała kadzidłem.

— Obaj uważamy, że za to wszystko odpowiada jeden morderca. Pan wierzy w zabójcę z krwi i kości. Ja wierzę w nadprzyrodzonego zabójcę, który ujawnia się w trakcie śpiączki. Może go pan nazwać

jak pan chce, diabłem, bestią, aniołem ciemności, ale to on, „inspirator”, wydaje rozkazy z głębi otchłani. Musimy go zdemaskować. Razem.

— Nie mogę pomóc, bo nie podzielam przekonań Eminencji. Ja...

— Teraz nastąpiły w tym pewne zmiany, a pan zwrócił na nie uwagę.

— Jakie zmiany?

— Chodzi o styl inspiratora. Kiedyś zadowalał się nakłanianiem nawiedzonych do przemocy, tortur, morderstw. Obecnie nakazuje im szczególnego rodzaju rytuał. Owady, porosty, ukąszenia, odcięty język... To on podpowiada tym ludziom takie szczegóły. Ma pan akta sprawy Simonis. My mamy akta Agostiny Geddy. A przecież są jeszcze inni.

Pomyślałem o Estończyku Raimo Rihimäkim. Ilu ich jest jeszcze na naszej planecie? Van Dieterling miał rację. Teraz zrozumiałem, że nie chodzi o seryjne morderstwa, lecz o seryjnych morderców. Morderców, którzy według tej logiki wskazywali na istnienie zabójcy transcendentnego, metafizycznego. Tego, który pociągał za sznurki w głąb— Skąd wiecie, że są inni?

— Domyślamy się. Teraz potrzebny jest nam ktoś z zewnątrz. Twardy policjant. Nie oglądający się na ograniczenia i zasady. Człowiek jak pan, który znajduje upodobanie w przemocy i kłamstwie. Gotów na wszystko, aby dojść do celu.

Przełknąłem tę zniewagę. Zresztą nie było to tak dalekie od prawdy. Kardynał mówił dalej:

— Powinien pan odnaleźć ludzi uzdrowionych przez diabła. — Podniósł głos. — Pojawia się nowa rasa zabójców. Musimy zrozumieć, dlaczego demon ocala tych mężczyzn i te kobiety, dlaczego nakłania ich do tak wyrafinowanej zemsty!

— Nie mam nawet żadnych podejrzanych w sprawie Simonis — odrzekłem, udając naiwnego.

— Znajdzie ich pan. Za każdym razem dzieje się to samo. Człowiek zostaje zamordowany, a potem uratowany przez diabła. Potem mści się, niekiedy po długim czasie, używając przy tym kwasów, owadów, porostów i nie wiem, czego jeszcze. Chcemy mieć listę tych morderstw, żeby zrozumieć, dlaczego demon działa teraz za pośrednictwem innych jako seryjny zabójca, stosując te same metody, jakby składając swój podpis. Przypuszczamy, że kryje się w tym jakieś przesłanie.

A więc to tak. Imiona Bestii na ciałach ofiar. Przesłanie. Słowo Lucyfera...

Można było dostać zawrotu głowy. Moje śledztwo toczyło się nie na planie ziemskim, lecz eschatologicznym. Za tymi morderstwami kryli się nie tylko zwykli mordercy, ale Szatan we własnej osobie. Demon, który ryczał i działał poprzez mściwe umysły...

Znowu pomyślałem o Lucu. Czy on także zaszedł tak daleko w śledztwie? Czy odkrył prorocstwo Szatana? Wymacałem w kieszeni zmięte zdjęcie.

— Czy Eminencja zna tego człowieka?

Kardynał skrzywił się obojętnie.

— Nie. A kto to jest?

— Mój przyjaciel. Też policjant. Pracował nad tą sprawą.

— Co mu się przydarzyło?

— Targnął się na swoje życie.

— Jemu się nie udało. Panu musi się udać, Mathieu Durey. Niech mnie pan nie zawiedzie!

Nagle zmienił ton. Zabrzmiało to jak ostrzeżenie. Jakby dziwnym zbiegiem okoliczności znowu powróciła inkwizycja.

## 70

— Tutaj pana zostawię. Proszę wrócić tą samą drogą. Na końcu sali należy skręcić na prawo do galerii. W głębi jest wyjście.

Słodki ton Rutherforda kontrastował z złowróżbnym głosem van Dieterlinga. Byliśmy znowu na górze. Przez półotwarte drzwi dostrzegłem Salon Sykstusa V.

— Oczywiście — odpowiedziałem, myśląc o czymś innym.

Już miałem odejść, kiedy Rutherford przytrzymał mnie za ramię.

— Nasze numery telefonów — powiedział, wsuwając do kieszeni mojej marynarki złożoną na pół kartkę. — Na wypadek, gdyby je pan

Wmieszałem się pomiędzy zwiedzających, którzy grupkami posuwali się w kierunku Sali Sykstyńskiej. Z płaszczem nieprzemakalnym przerzuconym przez ramię trzymałem teczkę z dokumentami niczym turysta, który właśnie porobił notatki.

Po tylu rewelacjach czułem się jak ogłuszony. Nie zwracałem uwagi ani na tłum, ani na otaczającą mnie wrzawę. Widziałem

jedynie obrazy. Sykstus V wyciągający rękę do przedstawionych mu planów nowej biblioteki. Cesarz August, założyciel Biblioteki Palatyńskiej, wśród brodatych, półnagich uczonych, przypominających pustelników. Dostojnicy kościelni na soborze w Konstantynopolu i wytykający ich palcami żołnierze.

Białe infuły, złote kaski, czerwone i szafranowe suknie. Od tego wszystkiego kręciło mi się w głowie. Każdy szczegół wywoływał we mnie tak konkretne, fizyczne odczucie, jak łyk parzącej herbaty lub strumień lodowatej wody. Szmer głosów, gorąco panujące w sali potęgowały we mnie niepokój...

Nagle poczułem, że robi mi się słabo. Oparłem się o kogoś i w odpowiedzi na to usłyszałem słowa protestu w którymś ze skandynawskich języków. Musiałem wydostać się stąd jak najszybciej. Znowu wmieszałem się w tłum zwiedzających.

Przed moimi oczami przesuwały się obrazy. Na stole krucyfiks z napisem: „Ego sum”. Litery te wrzynały się w mój mózg rozpalonym żelazem. Wreszcie doszedłem do galerii.

Nie odczułem żadnej ulgi — pełna była fresków, rzeźb, starych przyrządów astronomicznych. Skręciłem na prawo wraz ze strumieniem ludzi, idąc wzdłuż okien wychodzących na Ogrody Watykańskie i jego parasolowate pinie. Wzrok mi się mącił, po ciele przechodziły mi lodowate dreszcze.

Nagle poprzez to złe samopoczucie dotarło do mojej świadomości jeszcze coś innego.

Śledzono mnie. Nie był to człowiek van Dieterlinga ani abstrakcyjny wzrok Pazuzu. To było coś innego. W ułamku sekundy pojąłem, że to zabójcy. Rozejrzałem się dokoła. Nic. Jedynie wolno przesuwany się turyści podziwiający obrazy, mapy świata, globusy nieba. A mimo to czułem się osaczony, szpiegowany, zagrożony. Taki tłum świetnie się nadawał do egzekucji. Fala ludzi poniosłaby mnie z nożem w brzuchu aż do wyjścia.

Torowałem sobie drogę, co krok mówiąc *prego, pardon, sorry*, otrzymując w zamian za to kuksańce. W końcu zostawiłem za sobą strażników pilnujących turystów i schroniwszy się w jakimś kącie przy oszklonych drzwiach, odzyskałem oddech.

Z witraża naprzeciw, w czerwono błękitnej tonacji, spoglądała na mnie z powagą Maria z boskim dzieciątkiem na rękach. Jej wzrok nakazywał mi iść dalej bez obawy. Poczułem się wzmocniony na duchu. Powierzyłem się Panu i ponownie wmieszałem się w tłum.

Koniec galerii. Masa turystów wydawała się tu jeszcze gęstsza, niczym rzeka zasilona tysiącem dopływów. Żeby wyjść z muzeum, trzeba było przeżyć jeszcze jedno doświadczenie: pokonać schody z wielką spiralną balustradą z brązu będące dziełem Giuseppe Momo. Jej konstrukcja sprawiała wrażenie, że schody prowadzą gdzieś w nieskończoność.

*Prego, pardon, sorry...* Przemykałem się pomiędzy ludźmi. Kolejne zakola, pętle. Nagle przyszła mi do głowy pewna myśl: te kręte schody miały coś wspólnego z głębią struktury istoty ludzkiej. Istniała jakaś przedziwna zgodność między nimi i architekturą wnętrza człowieka. Pomyślałem o krętej linii naszego DNA, gdy ktoś zatarasował mi drogę. Swoją potężną sylwetką zajmował całą szerokość schodów. Naparłem na jego ramię i powiedziałem głośniejszym *prego*, ale on ani drgnął. Przeciwnie, jeszcze mocniej zacisnął dłoń na balustradzie.

Kiedy pojąłem, w czym rzecz, rzuciłem się pod ścianę. Za moimi plecami błysnął nóż. Ostrze wbiło się w przedramię faceta przede mną. Odwróciłem się, ale nic nie zobaczyłem. Tylko przepychający się obok mnie turyści. Facet z raną w ręce też zniknął.

Cała scena odbyła się w tak błyskawicznym tempie, że zastanawiałem się, czy mi się to wszystko nie przyśniło. W tym momencie mężczyzna z twarzą ukrytą pod daszkiem baseballówki popchnął mnie na barierkę. Złapałem się kurczowo balustrady, wypuszczając z ręki płaszcz i teczkę. Zrobiło się ogólne zamieszanie. Turyści wpadali jeden na drugiego. Balustrada wrzynała mi się w brzuch, przed sobą miałem przepaść.

Napastnik wciąż mnie spychał. Fala turystów, nie zwracających żadnej uwagi na nasze zmagania, już nas wyminęła. Nikt chyba nie zdawał sobie sprawy z tego, że usiłowano mnie zabić.

Zamachnąłem się pięścią. Chybiłem celu, ale uchwyt rozluźnił się. Przewróciłem się. Usłyszałem krzyk. Potoczyłem się kilka metrów, kopany nogami schodzących. Wszyscy stłoczyli się przy balustradzie. Co się stało? Kiedy podniosłem się, zrozumiałem. W całym tym zamieszaniu musiałem podciąć nogi napastnikowi, który stracił równowagę i spadł na dół.

Zebrałem swoje rzeczy. W szoku zbiegałem pędem po schodach. Nikt nie zauważył naszej bójki. Nikt nie chwycił mnie za ramię z krzykiem *assassino!* Fala ludzi poniosła mnie razem z innymi na parter.

Wokół ciała zgromadził się już krąg ciekawskich. Strażnicy przepychali się przez tłum. Pobiegnęłam za nimi.

Ciało leżało w nieprawdopodobnej pozycji. Lewa noga była tak skrzycona, że stopa dotykała biodra. Prawa ręka, najwyraźniej złamana, znalazła się pod plecami. Kość przebiła koszulę na ramieniu. Czapka potoczyła się metr dalej, a łysa czaszka rozbiła się na białym marmurze. Ciemna aureola tworzyła się wokół twarzy, która przez kontrast wydawała się jeszcze bledsza.

Widok trupa jest zawsze zaskakujący, ale ja miałem powód do dodatkowego zdziwienia — znałem tego człowieka. Patrick Cazeviel, drugi podejrzany w sprawie morderstwa Manon Simonis. Były więzień, cały pokryty tatuażami, osaczony przez anioły i demony.

Jeden szczególnie zwrócił moją uwagę pod jego lewym obojczykiem.

Tatuaż przesłaniający inne ornamenty. Rysunek tak wyraźny jak numer z obozu koncentracyjnego, którego nie zauważyłem podczas naszego pierwszego spotkania. Rodzaj żelaznej obręczy z łańcuchem, jakie nosili kiedyś więźniowie.

Już gdzieś widziałem ten symbol. Ale gdzie?

## 71

— Fiumicino. Międzynarodowy port lotniczy.

Wsiadłem do taksówki. Należało jak najszybciej uciec z Rzymu.

Pierwszym lepszym samolotem. „Wypadek — szeptałem do siebie drżącymi wargami. — Wypadek...”.

Na via de Lungara przypomniałem sobie o torbie podróżnej zostawionej w pensjonacie.

— Panteon! — zawołałem. — Via del Seminario!

Samochód zawrócił w miejscu i przeciął Tybr mostem Mazzini.

Usiłowałem po raz kolejny zebrać myśli, opanować się. Nic z tego. Palcami bębniłem w szybę, kołnierzyk miałem mokry od potu. Po raz pierwszy odczułem pragnienie, żeby to wszystko rzucić. Wrócić do Paryża i grać rolę dobrego policjanta w swoim biurze na Quai des Orfevres.

Taksówka zatrzymała się. Pobiegnęłam na górę do mojego pokoju, spakowałem się, uregulowałem rachunek i wskoczyłem do samo-



chodu. W drodze na lotnisko uświadomiłem sobie, że nie wiem, co dalej robić.

Sprawa Geddy została zamknięta. Podobnie jak odnaleziona przez Foucaulta sprawa dotycząca Estończyka Raimo Rihimäkiego. Jeśli chodzi o zabójstwo Sylvie Simonis, nie znalazłem nic. Nie ma wiadomości od Sarrazina, Foucaulta, Svendsena. Żaden z tropów nie dał niczego. Pozostały mi: skarabeusz, porost, unital6. Znalazłem się w martwym pu: W końcu udało mi się uporządkować myśli.

Moje dochodzenie dotyczyło trzech różnych warstw.

Pierwsza to zabójstwo Sylvie Simonis. Zabójca z Sartuis torturował właścicielkę pracowni zegarmistrzowskiej, mszcząc się za śmierć Manon. To on wyciął w korze napis: CHRONIĘ URATOWANYCH BEZ ŚWIATŁA, a w konfesjonale — CZEKAŁEM NA CIEBIE. Czy on także uszedł cudem śmierci jak Agostina i Raimo?

Druga to teoria van Dieterlinga. Nie jeden morderca, ale cały szereg morderców. Trzeba przeanalizować wszystkie nowe wypadki Uratowanych Bez Światła, rozszyfrować znaczenie ich rytuału, zrozumieć, co się za nim kryje. „Nastąpiły zmiany” — powiedział van Dieterling. Zmiany i przestanie.

Co robić? Szukać dalszych przykładów na świecie? W jakim celu? Poszerzyć listę zabójców, którzy się przyznali? Uzpełnić archiwa kardynała? Zidentyfikować kryjącego się za tymi morderstwami „transcendentnego zabójcę”, jak go określił? Jeśli dotyczyłoby to diabła w własnej osobie, to nie bardzo nadawałem się do tego, żeby go drażnić...

Przede wszystkim jednak oznaczałoby to przyznanie, że on istnieje. A o tym nie mogło być mowy. Powinienem skoncentrować się na jednej konkretnej sprawie, na zagadce godnej gliniarza z brygady kryminalnej — kto zabił Sylvie Simonis? Wrócić do punktu wyjścia.

Pozostawała jeszcze trzecia sprawa. Ścigający mnie zabójcy. Oni także prowadzili mnie do sprawy Simonis. Jednym z nich był Cazeviel. Kim był drugi? Dlaczego chcą mnie wyeliminować? Czy zabili Sylvie Simonis? Nie, ci najemnicy chronili jakiś sekret. Istnienie Uratowanych Bez Światła? Ich świeżą przemianę? A może jeszcze inną tajemnicę sprawy Simonis? Ale i tutaj trop się urywał. Chyba że drugi zabójca będzie próbował mnie zabić i że będę mógł go wypytać... Taka perspektywa wcale mi nie odpowiadała.

*Godzina 16.00*

Widać już było port lotniczy Fiumicino.

Nad przedmieściami Rzymu zapadał zmrok. Fioletowe obłoki, żółtawe niebo. Jaką decyzję podjął Luc na tym etapie dochodzenia? W jaki sposób posuwał się dalej? Między nim a mną istniała fundamentalna różnica. Luc wierzył w Szatana, a ja nie. Główną przeszkodę na mojej drodze stanowił mój kartezjański umysł. Byłem ostatnim człowiekiem, który mógł osiągnąć coś więcej w tej sprawie...

Luc zapewne poszedł śladem Uratowanych Bez Światła, zgłębił znaki i zbliżył się do jądra zła...

Kierowała nim jedna idea: przekonać się raz na zawsze, czy diabeł istnieje.

Zdobyć całkowitą pewność.

Prawdę mówiąc, jedynym niewytłumaczalnym elementem w sprawie Agostiny Geddy było jej fizyczne uleczenie. Dziewczynka mogła podczas śpiączki doznać halucynacji. Przeżyć piekielne NDE. To doświadczenie mogło wywołać w niej wstrząs, po którym stała się morderczynią. Z punktu widzenia metafizyki nie dowodziło to niczego.

Przeciwnie, cudowne uzdrowienie to zupełnie inna historia.

Wyleczenie z gangreny w ciągu kilku dni — oto konkret. Taksówka zatrzymała się. Dojechaliśmy do Fiumicino. Zapłaciłem kierowcy. Hala odlotów. Stanowisko odpraw. Lourdes — jedyne miejsce na świecie, żeby zrozumieć, co zaszło w organizmie Agostiny tej sierpniowej nocy osiemdziesiątego czwartego roku.

Urzędniczka uśmiechnęła się do mnie.

— Dokąd chce pan lecieć?

— Do Lourdes.

Do tego maryjnego miasteczka latało z Rzymu wiele samolotów, ale sezon już się skończył i tego wieczoru nie było żadnego lotu. Następny przewidziany był rano, o godzinie szóstej piętnaście. Kupiłem bilet w klasie biznes i udałem się na poszukiwanie hotelu.

Znalazłem go w pobliżu portu lotniczego. Długie korytarze, pokoje bez okien. Za całe umeblowanie służyło łóżko i zegar. W kącie kabina prysznicowa.

Zamknąłem drzwi na zasuwę i nie rozbijając się, runąłem na łóżko. Moje ubranie było przepecone, zmięte, w niektórych miejscach rozdarte. Zamknąłem oczy. Przenikający przez ściany huk silników samolotowych świdrował mi czaszkę.

W tłoku, na schodach Giuseppe Momo, ostrze noża wbiło się tuż przede mną w ramię innego człowieka. Odskoczyłem przed tryskającą krwią. Kim był grubas, współnik Cazeviela, który już dwa razy stawał mi na drodze, w Katanii i w Watykanie? Czy teraz też odgadnie, dokąd zmierzam? Czy powinienem spodziewać się kolejnej napaści?

Mimo woli ścisnąłem glocka. Moje ciało odprężyło się. Zapadłem w półsen. Głos Luca: „Znalazłem wyjście”. „Ja także je znalazłem” — odpowiedziałem mu machinalnie. W każdym razie wiedziałem o jego istnieniu. Ale jak zbliżyć się do niego?

Płynąłem w ciemnościach. W labiryncie wijącym się pod ziemią. Ujrzałem słabe czerwone światełko. Wyciągnąłem rękę. Rozległ się jakiś głos. Był to słodki, zwodniczy głos Agostiny Geddy.

*Lex est, quod facimus.*

PRAWEM JEST TO, CO ROBIMY.

## 72

W zestawieniu z otaczającą je legendą samo Lourdes wypadło blade. To maryjne miasteczko leżące wśród wzgórz, zbudowane na skałach, było bardzo małe. Wszystkie zabudowania ścieśniły się przy rzece, która przypominała raczej strumyk. Wydawało się, że mimo wspaniałej bazyliki z wysoką dzwonnica, mimo nowoczesnych, solidnych kościołów oraz kaplic miasto źle się czuło w narzuconym mu kostiumie. Nagromadzono tu miejsca modlitwy, nie powiększając samej zabudowy. Lourdes przywodziło na myśl żabę, która połknęła wołu.

*Godzina 9.00 rano*

Byłem już tutaj jako chłopiec z moją klasą. Seze znajduje się kilka kilometrów od Lourdes. Od tamtej wizyty nigdy tu nie wracałem. Gardziłem takimi krzykliwymi miejscami, gdzie zabobon idzie w parze z wiarą. Takie miejsca cudów dobre są dla ludzi łatwowiernych, naiwnych, zrozpaczonych. Nigdy nie wyraziłem tego poglądu na głos, ale wobec tego typu miejsc pielgrzymkowych zajmowałem mniej więcej taką postawę jak kinoman wobec filmów nadawanych w sobotnie wieczory.

Był pierwszy dzień listopada. Na parkingach przed wjazdem do miasta stały dziesiątki autokarów z tablicami rejestracyjnymi ze wszystkich krajów Europy. W dzień Wszystkich Świętych odbywała się ostatnia uroczysta msza przed zamknięciem sezonu. Łabędzi śpiew.

Zaparkowałem wynajęty samochód — znowu było to audi, i zacząłem wędrowkę pod górę. W krętych uliczkach tego dziwaczego miasta szalały przeciągi. Wszędzie, jak w miejscowości Uzdrowskiej, widoczne były fontanny, krany, a także ołtarze j posągi. Nie sposób byłoby zapomnieć o sakralnym charakterze tego miasta.

Witryny sklepów pełne były pamiątek. Statuetki Najświętszej Marii Panny, wizerunki Bernadetty z niebieskim pasem i dwiema Żółtymi różami u stóp, krucyfiksy, na których oczy Chrystusa otwierały się lub zamykały w zależności od tego, czy się do niego zbliżano, czy się oddalano. No i oczywiście wszelkiego rodzaju pamiątki związane ze źródłem. Butelecзки z wodą z Lourdes, cukierki z wodą z Lourdes, flakoniki z wodą w kształcie Najświętszej Marii Panny...

Z górnej części miasta dochodził gwar. Śpiewy. Ceremonia, jak widać, już się zaczęła. Wspinałem się dalej, idąc w kierunku bazyliki i grotty Massabielle. Siedziba arcybiskupa musiała być niedaleko. Pierwsze zadanie: rozmowa z monsignore Perrierem, biskupem Lourdes. Następnie udam się do centrum medycznego, by spotkać się z lekarzem, który zajmował się przypadkiem Agostiny.

Minąłem spóźnialskich. Rodziny wokół foteli na kółkach, kalecy Przypieszający kroku, zadyszani księża w powiewających na wietrze sutannach. Na końcu ostatniej ulicy zerknąłem w kierunku miejsca, gdzie odbywała się ceremonia. Niespodziewanie wzruszyłem się do łez.

U stóp wielkiej bazyliki tysiące wiernych stało nieruchomo z oczyma zwróconymi do Groty Objawień obrośniętej bluszczem, oblepionej woskiem świec. W powietrzu łopotały transparenty, chorągiewki: „Peregrinos de un dia”, „Pilger fur einen Tag”, „Polska Misja Katolicka”. Niebieskie parasolki i w tym samym kolorze koce rozgrzewające chorych tworzyły liczne jasne plamy w tym tłumie.

Rozpoznałem różne zakony i kongregacje: czarne sutanny benedyktynów, kremowe cystersów, ogolone głowy ojców z Char-

treux, czerwono-niebieskie krzyże zakonu Trójcy Świętej. Również kobiety. Białe welony z niebieskim pasem dzielnych siostr Matki Teresy i, o wiele rzadsze, czarne płaszcze z czerwonym krzyżem na ramieniu strażniczek Grobu Świętego w Jerozolimie, które nazywano „strażniczkami niewidzialnego”.

Tłum jednym głosem zaśpiewał *Ave Maria*. Ta ich żarliwość religijna przeszła mnie boleśnie niczym ostrze, a jednocześnie dobroczynnie. Uwielbiałem wielkie zgromadzenia, z których emanowała uniwersalna wiara. Msze o północy, homilie papieża na placu Świętego Piotra, letnie spotkania w Taize...

Jakiś mężczyzna w sutannie, z zaferowaną miną, dogonił mnie, nie zwracając uwagi na ceremonię. Bez wątpienia miejscowy ksiądz.

— Przepraszam szukam rezydencji biskupa — zwróciłem się do niego.

— Monsignore Perriera?

— Muszę się z nim widzieć najszybciej jak to możliwe.

Spojrzał przez ramię na dziedziniec przed bazyliką.

— Będzie to trudne ze względu na dzisiejsze uroczystości. Pokazałem mu moją policyjną legitymację.

— To bardzo pilna sprawa.

Zmarszczył brwi. Naprawdę zakłócałem ogólny ton.

— Musi pan poczekać do końca mszy.

— Gdzie znajduje się siedziba biskupa?

— Na szczycie wzgórza.

— Poczekam tam na niego.

— Willa biskupa znajduje się w głębi parku. Idę do grotty. Powiem mu, że pan na niego czeka.

Ruszyłem dalej. Szare niebo odbijało się w wilgotnej jezdni zmiennymi refleksami. W tych posępnych uliczkach z ciasno stojącymi domami z granitu było coś przejmującego, nieskończenie smutnego, ale zarazem bardzo silnego, niezniszczalnego.

Wszedłem do parku z żelaznym ogrodzeniem. Czy starczy mi cierpliwości, żeby tu czekać? A może pójść teraz do centrum medycznego? Przeszedłem przez ogród i znalazłem nowoczesny budynek

Westybul z pokrytymi gipsem ścianami, wielki krucyfiks zawieszony naprzeciwko wejścia, drewniana ławka. Usiadłem i zapaliłem papierosa.

W głębi korytarza trzasnęły drzwi.

Wypadł z nich ksiądz, który krzyczał do telefonu komórkowego:

— Moi eksperci będą tam za dwie godziny. Idę poszukać dokumentów pacjenta, bo nie raczyliście mi ich dostarczyć. Biuro jest

Odsunąłem się, żeby go przepuścić. Natychmiast domyśliłem się, że mówi o biurze centrum medycznego. Wszedłem za nim na dwór i zaczepiłem go, gdy wyłączał komórkę.

Zatrzymał się z nieprzyjaznym wyrazem twarzy. Wyglądał tak, jakby wyszedł prosto z kart książek Bermanosa. Zapadnięte policzki, podkrążone oczy, wyświechtana sutanna. Zapytałem, czy biuro centrum medycznego jest dziś otwarte. Kiedy potwierdził, dodałem:

— Ksiądz tam idzie, prawda? Ja też mam tam sprawę do załatwienia.

— Otaksował mnie od stóp do głów złym wzrokiem.

— Kim pan jest?

— Policjantem. Pracuję nad przypadkiem uznanego oficjalnie cudu.

— O kogo chodzi?

— Agostinę Gedde. Sierpień osiemdziesiąty czwarty rok.

— Nie znajdzie tu pan nikogo, kto by chciał rozmawiać z panem o Agostynie.

— Przeciwnie, spodziewam się, że uzupełnię tu moją teczkę. Zamierzam porozmawiać z monsignore Perrierem i lekarzem zajmującym się tym przypadkiem.

Ksiądz skrzywił się.

— Nikt nie powie panu wszystkiego.

— Nawet ksiądz?

Nachylił się do mnie. Jego sutanna śmierdziała pleśnią.

— To Szatan uratował Agostinę.

Kolejny amator diabelskich sztuczek. Tego mi właśnie było potrzeba.

— Diabeł w Lourdes — powiedziałem ironicznie. — To chyba konflikt interesów, czyż nie?

Ksiądz pokiwał z wolną głową. Uśmiechnął się pogardliwie.

— Przeciwnie. Diabeł przybywa tutaj, żeby szukać nowych ofiar. Kalectwo, rozpacz to jego ulubiony teren. Lourdes to targowisko cudów. Ludzie, którzy tu przybyli, są gotowi uwierzyć we wszystko.

— Kto zajmował się przypadkiem Agostiny?

— Doktor Pierre Bucholz.

— Czy nadal pracuje w centrum medycznym?

— Nie. Odesłano go na emeryturę.  
 — Dlaczego?  
 — Jak na policjanta wolno pan myśli. Za dużo widział, rozumie pan?  
 Zaczynał przeszkadzać.  
 — Gdzie mógłbym go znaleźć?  
 — Trzeba jechać drogą D507 do Tabes. Tuż przed miasteczkiem Mirel zobaczy pan duży dom z czarnego drewna.  
 — Dziękuję.  
 Chciałem już odejść, ale przytrzymał mnie za ramię.  
 — Niech pan uważa. Nie będzie pan sam na tej drodze.  
 — O czym pan mówi?  
 — Oni także tu przybywają.  
 — Kto?  
 — Szukają uzdrowionych przez diabła. Są o wiele bardziej niebezpieczni, niż pan to sobie potrafi wyobrazić.  
 — Kto to taki?  
 — Kraina ciemności ma wiele obliczy. Ci, co przybywają stamtąd, mają pewną misję do spełnienia.  
 — Misję?  
 — Muszą zebrać jego słowa. Nie mają książek, rozumie pan?  
 — Nic a nic. O kim pan mówi, na miłość boską?  
 Spojrzał na mnie z politowaniem.  
 — Pan nic nie wie. Porusza się pan jak ślepiec.  
 Ten ksiądz zaczynał mi działać na nerwy.  
 — Dzięki za dodanie mi otuchy.  
 — Niech pan zrezygnuje. Znajduje się pan na ich terytorium! Po tych słowach zostawił mnie i poszedł ścieżką, zagłębiając się w cień pod drzewami. Stałem przez kilka sekund, patrząc, jak znika mi z oczu. Nie zrozumiałem ostrzeżenia, ale jednego byłem pewien: ten nieznajomy całkiem nieświadomie mówił o moich prześladowcach. O ludziach, którzy szukali Uratowanych Bez Światła i którzy byli gotowi zabić każdego, kto stawał na ich drodze.

Ksiądz nie kłamał.

Drewniany dom rzeczywiście pojawił się trzysta metrów przed miasteczkiem Mirel. Stał trochę dalej od drogi i doskonale kom-

ponował się z ponurym krajobrazem. Zbudowany u stóp górujących nad horyzontem łysych wzgórz otoczony był nagimi drzewami i czarnymi polami.

Zaparkowałem przed bramą wjazdową i szarpnąłem ogrodowy dzwonek. Zaszczekał pies i ponownie zapadła cisza. Drewniane ogrodzenie było wyższe ode mnie i nie widziałem nic za nim. Zacząłem się już niecierpliwić, kiedy usłyszałem szcęk otwieranego okna.

Odgłos kroków na żwirze, ziajanie psa. Drzwi otworzyły się. Od pierwszego momentu odgadłem, że doktor Pierre Bucholz jest godnym uwagi człowiekiem. Wysoki, dobrze zbudowany, nosił marynarkę w pepitkę i czarne wełniane spodnie. Około sześćdziesiątki, z wysokim, łysiejącym czołem, które nadawało mu wygląd wielkiego szarego kamyka, z rozłożystą, sztywną brodą. Pomarszczona twarz z przenikliwymi, błyszczącymi oczami o spojrzeniu ostrym jak u inkwizytora przyglądającego się potrzaskującym w ogniu bierwionom — O co chodzi? — zapytał.

Mówił tak głośno, jakbym stał kilkanaście metrów od niego. W rzeczywistości byłem tak blisko, że opryskał mnie śliną. Wyjaśniłem powód mojej wizyty. Teatralnym gestem uchwycił się framugi drzwi, po czym, drugą ręką przykładając do serca, mruknął:

— Agostina... Taka tragedia...

Wyminąłem psa — gładkowłosego brytana — i podążyłem za lekarzem do jego jaskini. W czarnych ścianach domu widniały krzywe otwory okienne. Wyglądało na to, że dom ten zmontowano niedbale z gotowych elementów.

Bucholz zatrzymał się na progu, by zdjąć buty i włożyć kapcie. Zaproponowałem, że też zdejmę buty. Wyglądało na to, że spodobał mu się ten pomysł, ale się zreflektował i tylko wziął ode mnie płaszcz. W przedśionku zauważyłem stojak na parasole, ścienny wieszak na płaszcze oraz ubiór niezbędny dla myśliwego: wysokie buty, peleryna, filcowy kapelusz. Gdzieś niedaleko musiał też trzymać strzelbę.

Gospodarz zaprosił mnie gestem do salonu, który okazał się ciemnym pomieszczeniem przeładowanym bibelotami, wizerunkami Najświętszej Marii Panny, Chrystusa, świętych. W oszklonej Szafce leżały różańce. Na każdym meblu krucyfiksy, pucharki, woskowe świece. Z wygaszonego kominka dochodził zapach spalenizny.



— Proszę usiąść.

Jego ton wykluczał wszelką dyskusję. Pies towarzyszył nam cały czas. Spokojny, najwyraźniej przyzwyczajony do tubalnego głosu pana. Przeszedłem ostrożnie przez pokój i usadowiłem się na kanapie naprzeciw oszklonych drzwi. Bucholz pochylił się nad stolikiem na kółkach, pobrzękując butelkami.

— Napije się pan czegoś? Mam likier ziołowy kartuzów, likier wiśniowy dominikanów, calvados ojców z kaplicy w Montligeon, doskonałą wódkę z opactwa w...

— Dziękuję. Dla mnie to trochę za wcześnie.

Na niskim stole zauważyłem katechizm z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku, dowód, że nie byłem w domu chrześcijanina hołdującego nowym trendom, zwolennika małżeństw księży. Usiadł ciężko w fotelu naprzeciw mnie i złożywszy ręce na ko — Co pan chce wiedzieć?

— Najpierw chciałbym poznać pańską ogólną opinię — zacząłem ostrożnie.

— O czym?

— O zjawisku cudu. Jak pan to wyjaśni?

Od jego westchnienia zdrząły szyby.

— Prosi mnie pan, bym streścił dwadzieścia pięć lat mego życia. I pięćdziesiąt lat wiary!

— Czy istnieje jakieś wyjaśnienie naukowe?

— Proszę mi wierzyć, że chciałbym wiedzieć, jak to się dzieje od strony technicznej. Tyle ich widziałem...

Szukałem wzrokiem popielniczki. Na próżno. Nie miało sensu pytać, czy mógłbym zapalić. Zapach kominka, woskowej pasty do podłogi i środków odkażających zdradzał maniaka czystości. Bucholz mówił dalej:

— Mówi się o sześćdziesięciu uznanych przez Kościół cudownych uzdrowieniach, ale to tylko niewielka część uzdrowień badanych w centrum medycznym! Jak pan myśli, ile uznano uzdrowień od czasu tutejszych objawień Matki Boskiej?

— Nie mam pojęcia.

— Proszę podać jakąś liczbę.

— Naprawdę nie wiem. Pięćset?

— Sześć tysięcy. Sześć tysięcy niespodziewanego cofnięcia się choroby, nie mającego żadnego uzasadnienia.

— Czy to efekt wody?

Gwałtownie pokręcił głową. Wyraźnie poczuł się urażony taką sugestią.

— Tutejsza woda nie ma żadnych leczniczych właściwości — odrzekł. — Była dokładnie przebadana.

— A więc wpływ duchowy tego miejsca? Proces psychologiczny?

Machnął w powietrzu dużą dłoń.

— Nie. Nie uznajemy przypadku uleczenia przy najmniejszym podejrzeniu o histerię lub psychosomatyzm.

— No to co?

— Po dwudziestu pięciu latach doświadczeń — rzekł ciszej — wyrobiłem sobie opinię.

— Jaką?

— To sprawa koncentrowania energii. Przed przyjazdem do Lourdes, przed kontaktem z tutejszą wodą ludzie modlą się z nadzieją. Czasami z rodzinami, grupowo. Ludzie ci koncentrują niezwykłą siłę miłości, która niczym magnes przyciąga wyższą moc kosmiczną o tej samej naturze. To właśnie ta dobroczynna moc uzdrowia. Można też powiedzieć inaczej, że modlitwa została wysłuchana przez Boga.

Nic nowego pod słońcem.

— Każdy pielgrzym przybywa tu z modlitwą, z nadzieją — zauważyłem.

— Zgadza się. Nie potrafię jednak wytłumaczyć zasady boskiej selekcji. Dlaczego wybiera tego, a nie innego człowieka? Ale co jakiś czas modlitwa uruchamia boski magnetyzm.

— Tak więc woda ze źródła nie odgrywa żadnej roli?

— Pełni tylko rolę przewodnika — przyznał. — Energię, o której mówię, można porównać z elektrycznością przenoszoną przez wodę z Lourdes. Czy jest pan chrześcijaninem?

— Praktykującym.

— Bardzo dobrze. Jest więc pan w stanie pojąć, o czym mówię. Ta siła nie jest cudem. Co rządzi atomami? Znamy cztery podstawowe siły, które pokierowały stworzeniem świata: dwie siły nuklearne, „silna” i „słaba”, siła grawitacji oraz siła elektromagnetyczna. Niewykluczone, że istnieje jeszcze piąta siła — duch. Coraz więcej uczonych uważa, że właśnie ona odpowiedzialna jest za budowę materii. Moim zdaniem ta siła to miłość. Dlaczego od czasu do czasu nie miałyby rozpoznać kogoś z nas? Skoncentrować się na tym, żeby przyjść z pomocą zwykłemu śmiertelnikowi?

Uznałem, że była już pora, żeby przejść do zasadniczego tematu.

— Czy coś takiego stało się w wypadku Agostiny?

Zachnął się.

— Absolutnie nie. Tę małą uzdrowiła nie ta siła.

— Czyżby istniała jeszcze jakaś inna?

Uśmiech rozjaśnił jego natchnioną twarz.

— Wersja zdeprawowana. Siła negatywna. Zło. Agostina Gedda została uleczone przez diabła. — Pokiwał groźnie palcem: — I uwaga — ja zawsze to wiedziałem. Nie oczekiwałem jednak, że ukatrupi swego męża, żeby ujawnić swą złą naturę.

Nie odzywałem się. Wystarczyło słuchać dalszego ciągu. Bucholz potarł czoło.

— Jej wizyta w Lourdes nie dała żadnych rezultatów. Było to oczywiste. Gdy dochodzi do wyleczenia, jest ono natychmiastowe. Albo w ciągu kilku dni po zanurzeniu w wodzie. U Agostiny nie wydarzyło się nic takiego. Poruszył mnie głęboko widok tej jedenastoletniej dziewczynki na wózku, która umierała od gangreny. Miesiąc potem, w lipcu, pojechałem do niej, żeby zweryfikować dotychczasową diagnozę. Nie było żadnej nadziei.

— Mimo to Agostina wyzdrowiała po kilku tygodniach.

— Diabeł zadziałał, kiedy dziewczynka zapadła w śpiączkę.

— Skąd pan to wie?

Westchnął, jakby miał udzielić bardzo skomplikowanego wyjaśnienia.

— Powtarzam panu — kierowałem centrum medycznym przez dwadzieścia pięć lat. Znałem mechanizm działania tego miasta, sieć dróg, które do niego prowadzą. Stowarzyszenia, które organizują pielgrzymki. Niektóre z nich mają złą reputację.

Pomyślałem o unital6. Gdy wymieniłem tę nazwę, Bucholz przyznał:

— Krążyły plotki, że ta organizacja pocieszała niekiedy rozczarowanych w dziwny sposób... Kiedy człowiek przekroczy próg rozpacz, gotów jest uwierzyć we wszystko. Wszystkiego próbować.

— Na przykład odwoływać się do diabła?

— Ludzie z unital6, dogłębnie zepsuci, korzystając z takiej rozpacz, proponowali taki ratunek. Czarne msze, nie wiem, co jeszcze...

Słowa tamtego księdza: „Kraina ciemności ma wiele obliczy”. Na razie naliczyłem ich trzy. Uratowani Bez Światła i dokonane

przez nich morderstwa. Moi prześladowcy, którzy sprawiali wrażenie, że ochraniają bramy otchłani. A teraz dochodzili jeszcze ci oszuści, handlarze czarnych cudów...

— Czy uważa pan, że rodzice Agostiny dali się przekonać?

— Matka tak, ale nie ojciec. On nie wierzył w nic. Ona wierzyła we wszystko.

— Opłaciła czarną mszę?

— Jestem tego pewien.

— I tym razem wołanie zostało wysłuchane?

Rozłożył i złożył ponownie ręce, jakby zasuwając kurtynę w teatrze.

— Można sobie wyobrazić istnienie siły przeciwnej do ducha miłości, tak jak we wszechświecie istnieje antymateria. Taka właśnie moc zadziałała u Agostiny. Cofnięcie się choroby i uleczenie spowodowała moc nienawiści, występku, zbrodni. Można ją uznać za diabła lub dać jej jakąkolwiek inną nazwę. Upadły, zły anioł, który niepokoi naszą chrześcijańską cywilizację, jest niczym innym jak symbolem tej nieczystej

— Kiedy Agostina przebudziła się, nic nie wskazywało na to, że znajduje się we władaniu diabła.

— To prawda. Jednak wiedziałem, że Bóg nie miał z tym nic wspólnego. Podejrzywałem spisek. Nie miałem zaufania do ciemnej, przesydanej matki. Było jeszcze uitalo, od którego zalatywało siarką...

— Czy pytał pan o to dziewczynkę?

— Nie. Ale widziałem, jak rosła. Widziałem, jak rozwija się w niej zło.

— To znaczy?

— Świadczyło o tym jej zachowanie. Słowa. Spojrzenia. Agostina miała wygląd anioła. Modliła się. Towarzyszyła chorym do Lourdes. Wszystko to było fałszem. Zastoną dymną. Obecny w niej diabeł rozwijał się niczym rak.

Doktor Bucholz robił na mnie wrażenie naprawdę stukniętego.

— Czy słyszał pan o Uratowanych Bez Światła?

Roześmiał się głośno.

— Najbardziej strzeżona tajemnica Watykanu?

— Ale pan o tym słyszał?

- Dwadzieścia pięć lat w Lourdes to chyba panu coś mówi? Uratowani Bez Światła, Przysięga Otchłani...

Czy sądzi pan, że Agostina zawarła pakt z demonem?

— Musi pan zrozumieć zasadniczą rzecz — powiedział, rozkładając ręce. — Diabeł czeka do ostatniej chwili, żeby ukazać się swoim ofiarom. Czeka na śmierć. I w tym momencie ich wyławia. Wszystko odbywa się w otchłani, kiedy nie ma już życia, ale nie przyszła jeszcze śmierć. Im dłużej człowiek przebywa między tymi dwoma brzegami, tym większa, intensywniejsza, jest zmiana, jaką powoduje w nim diabeł. Ta sama zasada działa w wypadku tych, którzy doświadczyli pozytywnego NDE. Im dłuższe jest to doświadczenie, tym dokładniejsze są wspomnienia. A potem tym większa zmiana w życiu.

— Czy Agostina przeszła przez śmierć kliniczną?

— Tak. Tamtej nocy umarła.

— Skąd pan wie?

— Wezwała mnie jej matka.

— Pana, który był o tysiąc kilometrów dalej?

— Ufała mi. Byłem jedynym lekarzem, który przyjechał do nich do Paterno. Proszę mi wierzyć. Agostina zmarła. Według moich informacji jej serce nie biło przynajmniej przez trzydzieści minut. Wyjątkowo długo. W tym czasie nawiedził ją diabeł.

— Ale ona nigdy panu o tym nie mówiła.

— Nigdy.

Przyjechałem, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o złowróżbnym cudzie Agostiny. No i mam to, czego chciałem. Ten facet kierował się na swój sposób nieubłaganą logiką.

— Czy wspominał pan komuś o swoich wnioskach?

— Wszystkim mówiłem, że zmartwychwstanie Agostiny nie jest cudem. To skandal w sensie etymologicznym tego słowa. Z języka greckiego *scandalon* — przeszkoda. Agostina sama w sobie stanowi zaprzeczenie miłości. Fizyczny dowód istnienia diabła! Mówiłem to każdemu, kto tylko chciał słuchać. I to jest powód mojej wcześniejszej emerytury. Nawet u chrześcijan nie jest dobrze mówić całą prawdę.

Jego rozumowaniu nie można było nic zarzucić. Jednak Bucholz był oryginałem, który w końcu uwierzył we własne hipotezy. Obserwując mnie spod oka, wyczuł mój sceptycyzm.

— Znam jeszcze inny przypadek — dodał. — Dziewczynka, która jeszcze dłużej przebywała w otchłani.

Wstrzymałem oddech.

— To straszna historia. Nie dawała znaku życia ponad godzinę!

Wyjąłem notes.

— Jej nazwisko?

Pierre Bucholz otworzył usta i zamilkł. Coś stuknęło w szybę.

Bucholz przez sekundę siedział nieruchomo, po czym runął na stolik.

Na plecach miał krew.

Rzuciłem spojrzeniem na oszklone drzwi. Dziura wielkości pocisku. Padłem na podłogę. Nowy świst. Tym razem trafiono w głowę psa, którego mózg rozprysł się na kanapie. Ciało Bucholza zsunęło się na podłogę, strącając ze stolika kolekcję butelek z Lourdes.

Wylały się likiery mnichów. Rozprysły statuetki Najświętszej Marii Panny i Bernadetty. Rozbiły świeczniki, puchary, szklane witryny. Przeczółgałem się pod niski stolik. Dom walił się, choć nie było żadnego wybuchu. Wypadały okna. Rozpadały się na kawałki fotele, kanapy, poduszki, z szaf i komódek wysypywała się ich zawartość.

Pomyślałem: To snajper, karabin z tłumikiem. Mój drugi zabójca. Można było w końcu wyrównać nasze rachunki. Ta myśl dodała mi nieoczekiwane energii. Ostrożnie spoglądając w kierunku rozbitego okna, usiłowałem ustalić, skąd strzelał napastnik. Znajdował się na pagórku, który górował nad domem. A ja nie miałem przy sobie pistoletu. Nie mogłem też pójść po niego do samochodu.

Skulony opuściłem kryjówkę pod stołem i przeczołgałem się do kuchni. Chwyliłem najsolidniejszy nóż, jaki udało mi się znaleźć, i dobiegłem do tylnych drzwi.

Wyskoczyłem na dwór od strony pół gotowy do pojedynku.

Śmieszny pojedynek.

Facet z nożem przeciw snajperowi z karabinem automatycznym.

## 74

Znalazłszy się w ogrodzie, popatrzyłem uważnie na zbocze. Żadnego śladu ukrytego człowieka, żadnego refleksu lunety jego karabinu: lunety są teraz robione z polimeru, a obiektywy z przydymionego szkła. Szukałem jednakże jakiegoś znaku, przeglądając wzrokiem każdy kr.Nic.

Kryjąc się w trawie parowu, zacząłem wspinaczkę. Co pięćdziesiąt kroków, osłaniając ręką oczy, rozglądałem się po zboczu. Nadal niczego nie widziałem. Strzelec, zapewne w stroju kamuflującym, ukrył się wśród gałęzi i liści. Niewykluczone, że podobnie, jak to robili snajperzy w Sarajewie, przygotował sobie pole ostrzału...

Wspinałem się dalej. Nade mną wiatr kołysał wierzchołkami cyprysów. Nagle dostrzegłem błysk. Usłyszałem brzęk potyskującego w słońcu metalu. Obrączka? Bransoletka? Sygnet? Przyspieszyłem kroku, starając się iść jak najciszej. Szykowałem się do walki skoncentrowany na celu oddalonym o dwieście metrów.

Wreszcie dotarłem do najwyższego punktu zbocza.

Teraz miałem znacznie szersze pole widzenia.

Ten człowiek był tu, pod drzewem.

Miał na sobie strój khaki z kapturem. Klęcząc na jednym kolanie, unosił broń. Grubas, ponad sto kilogramów żywej wagi. Ten, który już dwa razy zastąpił mi drogę. W zaułku w Katanii, na schodach Muzeum Watykańskiego.

Zaszedłem go od tyłu. Dzieliło nas nie więcej niż dziesięć metrów. Odkręcał tłumik z karabinu. Lufa musiała być bardzo rozgrzana. Chwytał ją i zaraz puszczał, jak wtedy, kiedy dotyka się bardzo gorącego

Trzy metry. Jeden metr... W tej sekundzie, jakby tknięty przecuciem, odwrócił głowę. Nie dałem mu czasu na żadną inną reakcję, rzuciłem się, zacisnąłem lewą rękę na jego szyi, przytykając ostrze noża do jego brody.

— Rzuć broń — wydyszałem. — Bo inaczej, przysięgam, że cię wykończę.

Znieruchomiał, wciąż klęcząc. Patrząc na jego wygięte plecy, miałem wrażenie, że duszę wołu. Wbiłem ostrze na głębokość centymetra. Gruba warstwa tłuszczu nie przepuściła krwi.

— Rzuć broń, skurwielu... Ja nie żartuję!

Jeszcze się wahał, ale odrzucił karabin na metr przed sobą. Nie była to bezpieczna odległość. Syknąłem:

— Teraz powoli się obróć i...

Błysk, zamach ręki. Uskoczyłem przed ciosem komandoskiego noża. Wbiłem kolano w jego nerki, zmuszając go do pochylecia się. Znowu próbował dosięgnąć mnie nożem. I znowu uniknąłem ciosu, stojąc na zgiętych nogach, stopami wpierając się silnie w ziemię.

Spróbował okręcić się. Był niezwykle silny. Kolejny cios. Tym razem udało mu się drasnąć mnie w ramię. Jęknąłem i odruchowo wbiłem mu nóż pod jego prawe ucho aż po rękojeść. Z arterii trysnęła w niebo krew.

Olbrzym pochylił się do przodu i zachwiał. Nie wypuszczając noża z ręki, poruszyłem nim do przodu i do tyłu, jak rzeźnik odcinający głowę wołu. Krew oblepiała mi palce, parzyła skórę.

Jednym skokiem zerwał się na nogi, po czym upadł do tyłu, przygniatając mnie swymi stu pięćdziesięcioma kilogramami tak, iż nie byłem w stanie oddychać.

Na sekundę straciłem przytomność, ale zaraz ją odzyskałem. Cały czas zaciskałem dłoń na nożu. Olbrzym, machając w powietrzu rękami i nogami, wgniatał mnie swym ciężarem w błoto. Zalany byłem jego krwią.

Zaczynałem się dusić. Obawiałem się, że za moment zemdleję, a wtedy byłoby po mnie. Chwyciłem dwiema rękami rękojeść noża, by dokończyć dzieła.

Potem resztkami sił zepchnąłem z siebie olbrzymie cielsko. Podniósł jeszcze raz rękę, żeby mnie dosięgnąć, ale już niczego w niej nie trzymał. Przekoziółkował dwa razy, rozgniatając trawę, oblepiony krwią, płacząc się w fałdach peleryny maskującej.

Podniosłem się z błota. Oparłszy się plecami o pień drzewa, próbowałem złapać oddech. Ściśnięte płuca, zaciśnięte gardło, gwiazdy przed oczyma. Nagle poczułem skurcz w żołądku. Pochyliwszy się do przodu, zwymiotowałem. W skroniach pulsowała mi krew.

Przez dobrych kilka minut pozostawałem w pozycji na kłęczkach. Obojętny na wszystko. W końcu pozbierałem się. Niżej, w odległości pięciu metrów, leżał na plecach trup z rozłożonymi ramionami. Ukazała się nie zakryta już kapturem twarz z krótką brodą. Czarna, straszna plama krwi tworzyła na jego szyi drugi kołnierz. Sterczał z niej mój złamany nóż.

Z zamętu panującego w mojej głowie powoli wyłoniła się jedna myśl.

Tego człowieka też znałem.

To był Richard Moraz, pierwszy podejrzany w sprawie Manon Simonis.

Facet od krzyżówek. „Jeszcze się zobaczymy” — powiedziałem mu na pożegnanie w bawarskiej knajpie. No i stało się. To te pierścienie na jego palcach tak błyszcząły w słońcu.



Na jego lewym kciuku dostrzegłem nietypowy sygnet.

Nagle wszystko ułożyło się na swoim miejscu: na kciuku Cazeviela widziałem taki sam rysunek. Żelazna obręcz z łańcuchem, jakie nosili skazańcy. Podeszedłem bliżej i przyjrzałem się sygnetowi. Dokładnie taki sam symbol wyrzeźbiony w złocie.

Odchyliłem rękaw na prawej ręce trupa, żeby się upewnić. Ramię było obandażowane. Zerwałem opatrunek — świeża rana długości dziesięciu centymetrów. To jego musiał dosięgnąć nóż Cazeviela w tłumie w Muzeum Watykańskim.

Tak więc pozbyłem się drugiego z moich prześladowców.

Tego, który zaatakował mnie na przełęczy w Simplon.

## 75

Zimowy pejzaż. Nagie, szare drzewa. Pola z czarną zaoraną ziemią. Białe zbocza promieniujące ostrym, rażącym światłem.

Poszedłem wyżej, by obejrzeć drzewo sterczące samotnie w tym ponurym otoczeniu na szczycie zbocza. Wznosiło gałęzie ku niebu, zmrożone chłodem. Zastanowiłem się nad moją sytuacją. Trup na ziemi, prawda powyżej i ja pośrodku.

Od jakiegoś czasu śledztwo wiodło mnie wprost do piekła.

Postanowiłem odmówić modlitwę. Za Moraza, bez wątpienia znającego tajemnicę Uratowanych Bez Światła i zabójstwa Manon Simonis, oraz za Bucholza, niewinną ofiarę przekleństwa związanego z

Potem pewniejszym już krokiem zszedłem na dół. Pustka rozciągająca się wokół miała jedną dobrą stronę — żadnego świadka w zasięgu wzroku. Wróciłem do domu Bucholza i chwyciłem zostawiony w holu płaszcz. Machinalnie rozejrzałem się po pokoju, gdzie wśród rozbitego szkła i poprzewracanych mebli leżały zwłoki lekarza. Czy nie zostawiłem jakiegoś śladu?

Zamknąłem drzwi wejściowe, owinąwszy dłoń rękawem.

Odjechałem dwadzieścia kilometrów od miejsca zbrodni, po czym zatrzymałem się w niskim lesie. Wyjąłem z torby czystą koszulę i przebrałem się. Czułem ból w ramieniu, ale rana była powierzchowna. Zwinąłem zabrudzone krwią koszulę, krawat, marynarkę oraz odnaleziony złamany nóż i wszystko to podpaliłem. Zanim wypaliłem jednego camela, została już tylko garstka popiołu

i kościana rękojeść noża. Wykopałem dół i ukryłem w nim ślady mojego czynu.

Wróciłem do samochodu i spojrzałem na zegarek: godzina siedemnasta. Postanowiłem znaleźć jakiś hotel w Pau. Chciałem się wyspać i o wszystkim zapomnieć — taki był mój plan na najbliższą

Pojechałem w kierunku Lourdes, na północ, drogą D940, by dotrzeć do autostrady na Pireneje. Po drodze zawiadomiłem z kabiny telefonicznej policję. Siedząc za kierownicą, zacząłem odmawiać modlitwę. Tym razem w swojej intencji. *Miserere*, Psalm 51 Dawida. Głowę miałem niczym dziurawy ceber i nie mogłem przypomnieć sobie całego tekstu. Znowu zacząłem myśleć o dochodzeniu, o ofiarach. Dręczyły mnie różne pytania, wątpliwości. Pomyślałem o Stephane Sarrazinie. Nie miałem z nim kontaktu od czasu, gdy byłem w Katanii, gdzie zostawił mi trzy

Powinienem był do niego zadzwonić, gdy odkryłem, kim był naprawdę Cazeviel. On chyba najlepiej nadawał się do tego, by odgrzebać prawdę o tym zabójcy. Po dorzuceniu do sprawy Moraza Sarrazin będzie miał co robić. Wystukałem jego numer. Odezwała się poczta głosowa. W odruchu ostrożności nie zostawiłem mu wiadomości i wróciłem do mych rozmyślań.

Jechałem wciąż w kierunku autostrady. Postanowiłem po raz kolejny zreasumować i porównać dane zdobyte w trzech prowadzonych przeze mnie sprawach.

Maj 1999 rok.

Raimo Rihimaki zabija ojca, stosując tak zwaną metodę insektów.

Zemsta na gorąco, zainspirowana przez diabła.

Kwiecień 2000 rok.

Agostina Gedda zabija męża, Salvatore, tą samą metodą.

Czerwiec 2002 rok.

Sylvie Simonis zamordowana według tego samego rytuału.

Znowu zemsta. Tym razem za zabójstwo małej dziewczynki nawiedzanej przez diabła czternaście lat wcześniej.

Jeden problem: dziewczynka zmarła i od czternastu lat leży w grobie.

Ona nie mogła popełnić tej zbrodni.

Kto w sprawie zabójstw Simonis był Uratowanym Bez Światła?

Kim był zabójca zainspirowany przez Szatana?

Ponieważ byłem już na autostradzie, zjechałem na parking

i zgasilem silnik. Odpowiedź ewidentnie nasuwała się sama przez się, ale była tak absurdalna, że nigdy nie zaryzykowałbym postawienia takiej hipotezy.

Teraz jednak jakiś wewnętrzny głos nakłaniał mnie, żebym przynajmniej sprawdził tę możliwość.

W Sarruis nie sprawdziłem jednej rzeczy.

Uświadomiłem sobie, że nie miałem w ręku namacalnego dowodu śmierci Manon Simonis. Milczenie urzędników, dyskrecja śledczych, niewiedza dziennikarzy. Nigdzie nie zobaczyłem nawet śladu świadectwa zgonu albo raportu z sekcji zwłok.

A jeśli Manon Simonis nie zmarła?

Wrzuciłem pierwszy bieg i ruszyłem, zostawiając na żwirze ślad opon. Dziesięć kilometrów dalej dojechałem do skrzyżowania na Pau. Uściłem opłatę i z piskiem opon skręciłem w kierunku Tuluzy.

Pierwszy etap mojej podróży przez Francję.

Nocna jazda do Sarruis.

## 76

O północy byłem w Lyonie, o drugiej nad ranem w Besancon. Godzinę później dojechałem do Sarruis, miasta zatrzymanych zegarów. Gdy zbliżałem się do dolin Jury, lunął rześisty deszcz. Ściekał po dachach, szumiał w rynnach, zalewał potokami wody trotuary. Główna arteria miasta w ciemnościach przywodziła na myśl przepelnioną wodą.

Odnalazłem plac centralny, a na nim merostwo. Nowoczesny budynek bez duszy i bez przeszłości, opryskany deszczowym błotem. Z klejącymi się do butów zwiędłymi liśćmi, brnąc przez kałuże, dotarłem do budki wartownika.

Zapukałem do zakratowanego okienka. Odpowiedziało mi szczekanie psa. Zapukałem jeszcze raz. Po długich dwóch minutach drzwi otworzyły się. Mężczyzna na progu obrzucił mnie zdumionym spojrzeniem.

— Czy pan jest dozorcą merostwa?

Nie odpowiadał.

— Czy jest pan tu stróżem, czy nie?

Pies nie przestawał szczekać. Na szczęście facet nie otworzył drzwi na oścież.

— Wie pan, która jest godzina? — odezwał się w końcu ze złością. — O co chodzi?

— Ma pan klucze do merostwa, tak czy nie?

— Niech pan mówi grzeczniej, bo inaczej spuszczę psa z uwięzi. Jestem pracownikiem komunalnym. Obchodzą budynek dwa razy w nocy — i to wszystko.

— Niech pan weźmie klucze. Muszę tam wejść.

— A to z jakiej racji?

Podsunałem mu pod nos moją legitymację.

— Ja także jestem funkcjonariuszem państwowym.

Pięć minut później facet wrócił ubrany w obszerną ciepłą kurtkę z kapturem. W rękę trzymał latarkę.

— Zostawiłem psa luzem... Chyba nie chce pan mieć z nim do czynienia?

— Nie. Chciałbym jedynie przejrzeć archiwa. Za godzinę wróci pan do łóżka.

Po chwili byliśmy już w budynku. Ogłuszeni szumem ulewy szliśmy korytarzami przypominającymi ładownie statku.

— Czego pan konkretnie szuka?

— Aktu zgonu w wydziale stanu cywilnego.

— Trzeba iść na pierwsze piętro.

Klaka schodowa, kolejny korytarz. Stróż skierował strumień latarki na drzwi. Gdy otworzył je kluczem, zobaczyłem duży pokój oświetlany zygzakami błyskawic.

Przekręcił kontakt i wówczas pomieszczenie to wydało mi się podobne do czytelnicy w bibliotece. Rzędy metalowych regałów z pożółkłymi teczkami. Na lewo biurko, a na nim lśniąca nowością komputer.

— Umie się pan nim posługiwać? — zapytałem.

— Nie. Ja znam się na psach. Robię obchody, i to wszystko.

Spojrzałem na półki.

— Tu są archiwa?

— A pańskim zdaniem co to jest? Kawiarnia?

— Czy robi się kopie tych dokumentów?

— Ja nic nie wiem. Mogę tylko powiedzieć, że oni zawsze toną w tych papierzyskach i...

Wszedłem w alejki między regałami, oglądając napisy na szufladach. Urodzenia, śluby, zgony — wszystko tu było. Jedna ściana poświęcona była zaginionym. Szybko odnalazłem lata osiemdziesiąte.

Wyjąłem teczkę z datą 1988 rok. Przejrzałem fiszki aż do listopada. Nie było między nimi świadectwa zgonu Manon Simonis. Ręce mi drżały. Czuję, jak oblewa mnie pot. Grudzień. Nic. Odstawiłem wszystko na swoje miejsce.

W głowie zadźwięczał mi alarmowy dzwonek.

Muszę sprawdzić jeszcze jedną rzecz.

Le Locle w nocy wydawało się jeszcze bardziej opustoszałe niż Sartuis. Zalana deszczem główna ulica miasta Far West, ponure budynki. I gdzieś w głębi mej czaszki głos ojca Mariotte'a wyjaśniający, że Manon została pochowana po drugiej stronie granicy: „Jej matka chciała uniknąć mediów, wrzawy...”.

Cmentarz znajdował się na końcu miasta. Zaparkowałem samochód i chwyciłem latarkę. Wspiąłem się przez płot i wpadłem w kałużę po drugiej stronie.

Śmierć czyni ludzi równymi. Upodabnia również cmentarze. Stele, krzyże, kamienne nagrobki — tyle pozostawało z ludzkiego życia. Rozejrzałem się wokoło, oceniając rozmiar czekającej mnie pracy. Sześć alei z dziesiątkami grobów. Lekko licząc, do odczytania trzysta, czterysta tablic nagrobnych.

Wszedłem w pierwszą aleję z zapaloną latarką w rękę. Ulewa była tak intensywna, że tworzyła gęstą zasłonę. Wiatr wiejący ze wszystkich stron uderzał swymi porywami niczym bokser zadający cios przeciwnikowi zapędzonemu do narożnika.

Pierwsza aleja: nie ma grobu Manon Simonis.

Druga aleja: nie ma grobu Manon Simonis.

Trzecia, czwarta, piąta — tak samo.

Strumień światła latarki przesuwiał się po krzyżach, nazwiskach, ukazując mi niesamowitą prawdę. Kiedy to zrozumiałem? Kiedy moje przypuszczenie zmieniło się w całkowitą pewność?

Na końcu szóstej alei upadłem na kolana na żwir.

Dziewczynka nie umarła w tysiąc osiemset osiemdziesiątym ósmym roku.

Była to dobra i zarazem zła wiadomość.

Dobra: Manon przeżyła próbę zabójstwa.

Zła: stało się to dzięki diabłu.

Była jedną z Uratowanych Bez Światła, i to ona zabiła swoją matkę.

**IV**

**MANON**

Rzecz najpilniejsza — uregulować rachunki ze Stephanem Sarrazinem.

Ten żandarm od początku wiedział, że Manon żyje. Kiedy zlecono mu prowadzenie śledztwa w sprawie Simonis, musiał zapoznać się z dossier z osiemdziesiątego ósmego roku. Twierdził, że to dossier już nie istnieje, ale teraz jestem pewien, że kłamał. Musiał również kontaktować się z Settonem, gdy ten został prefektem, i z innymi śledczymi. Znał całą sprawę. Dlaczego nie powiedział mi wszystkiego?

Ogarnięty wściekłością przekroczyłem ponownie granicę.

Jeszcze raz spróbowałem zrekapitulować fakty.

#### *Listopad 1988 rok*

Obawiając się natarczywości mediów, matka i sędziowie śledczy postanowili zataić to, iż dziewczynka przeżyła. Sędzia Witt, komendant Lambertson, komisarz Setton, adwokaci — wszyscy zgodnie milczeli. Prokurator wydał kilka niejasnych oświadczeń, a potem już nie zabierał gł. Tajemnica śledztwa została zaryglowana na podwójną kłódkę.

#### *Grudzień 1988 rok*

Sylvie Simonis przeżywa bardzo trudny okres. Targnęła się na życie córki, żeby zabić w niej diabła, ale dziewczynka ocalała. Co mogła myśleć? Sylvie, chrześcijanka, zapewne widziała w tym

zmarłychwstaniu interwencję Boga. Jak w historii z Abrahamem. Jahwe nie chciał, żeby poświęciła córkę. Sylvie dała więc Manon nową szansę. Cud z pewnością oczyścił jej duszę — wypędził z niej Bestię.

Łatwo sobie wyobraziłem dalszy ciąg. Sylvie pogrążona w modlitwach wychowywała Manon w tajemnicy, w ukryciu, gdzieś w Jurze.

Albo gdzie indziej. Jeden szczegół nabrał teraz sensu: przelewy na konto w Szwajcarii od czternastu lat. Nie były przeznaczone dla szantażysty ani dla samej Sylvie, ale dla opiekunów jej córki! Kim byli? Czy Manon mieszkała w Szwajcarii? Czy zachowała swoje prawdziwe nazwisko?

Sarrazin miał powód, żeby milczeć.

Podał mi swój adres domowy. Nie mieszkał w koszarach w Trepillot, ale w wolno stojącym domku na południe od Besancon. Osiedle Les Mulots. Sarrazin wspomniał, że dom stoi na uboczu. Objechałem miasto i odnalazłem drogowskaz.

Poniżej drogi ujrzałem drewniany dach wynurzający się z ciemności.

Zatrzymałem się pięćdziesiąt metrów wcześniej, z dala od ciekawskich spojrzeń. Wyjąłem pokrowiec z cordury, w którym przewoziłem rozłożonego na części glocka 21. Pośpiesznie złożyłem pistolet. Wsunąłem magazynek z nabojami Arcane, wprowadzając jeden do lufy. Zważyłem w rękę broń. Wykonany z polimeru automatyczny, kompaktowy pistolet o niszczycielskiej sile, która odpowiadała mojemu stanowi ducha.

Miałem nadzieję, że o godzinie drugiej nad ranem zastanę go w łóżku i zmuszę do wyjawienia prawdy.

Wysiadłem z samochodu bezgłośnie, z bronią w rękę. Deszcz ustał. Pojawił się znowu księżyc, którego blask odbijał się na mokrym asfalcie. Zszedłem w dół do domku i stanąłem na progu. Drzwi wejściowe były otwarte — woda deszczowa utworzyła kałużę na podłodze. Zły znak. Ominąłem ją i wślizgnąłem się do środka z maksymalną ostrożnością. Z przedsionka wchodziło się do salonu z trzema oknami. Wewnętrzny głos alarmował mnie, że coś jest nie w porządku.

Zawołałem:

— Sarrazin?

Żadnej odpowiedzi. Zajrzałem do świetnie wyposażonej kuchni, znalazłem schody. Przeniknął mnie dreszcz. Może dlatego, iż miałem na sobie mokre ubranie.



— Sarrazin?

I tym razem brak odpowiedzi.

Na górze schodów kolejny korytarz. Kolejny pokój. Bez wątpienia sypialnia Sarrazina. Obrzuciłem go spojrzeniem. Pusty, nietknięty. Odzyskałem nadzieję. Może gospodarz tego domu wyjechał w jakiejś sp Usłyszałem brzęczenie.

Z tyłu, za mną brzęczały roje much.

Podążyłem za nimi w głąb korytarza, gdzie kłębiły się w półotwartych drzwiach. Łazienka. Brzęczące owady oblepiały zawiasy. Teraz poczułem wyraźny odór zgnilizny. Ściskając w rękę pistolet i wstrzymując oddech, pchnąłem łokciem drzwi.

Natychmiast rzucił mi się w oczy widok ciała w stanie rozkładu. Stephane Sarrazin leżał w wannie pełnej brunatnej, zakrzepłej krwi. Wygięty z bólu tors, głowa odchylona do tyłu. Prawa ręka zwisająca na zewnątrz przywodziła na myśl obraz Davida *Śmierć Marata*. Na ścianie powyżej smugi krwi tworzyły jakby jakiś motyw, rozmyty w załamującym się na kafelkach świetle księżyca. Odszukałem kontakt.

Ostre światło odsłoniło prawdziwy horror. Sarrazin nie miał już twarzy — była całkowicie odarta ze skóry. Palce rąk były spalone. Tors otwarty od mostka do kości łona. Ziejący otwór w czarnej posoce. Wnętrznosci wypłynęły na zewnątrz, nogi były skrepowane. Muchy nieustannie brzęcząc kłębiły się nad zwłokami.

Cofnąłem się do tyłu. Moim ciałem wstrząsały już nie dreszcze, ale drgawki. Nie byłem w stanie się skupić ani analizować tej sceny zbrodni. Pragnąłem tylko jednego: uciec stąd. Mimo to zmusiłem się, żeby jeszcze raz spojrzeć.

Obok wanny ujrzałem coś nieprawdopodobnego — członek Sarrazina. Zabójca wykastrował go. Cofając się, spojrzałem ponownie na kafelki. Krwawe litery układały się w jedno zdanie. Morderca użył członka swej ofiary jako pędzla.

Napisał drukowanymi literami:

TYLKO TY I JA.

Takie samo pismo jak w konfesjonale.

I nie wątpiłem, że ta wiadomość przeznaczona była znowu dla mnie.

Pełnym gazem wyjechałem z Besancon. Jedna myśl tłukła mi się po głowie: zabójca musi zapłacić za te zbrodnie własną krwią. Odtąd działało już prawo odwetu. Oko za oko. Krew za krew.

W jakimś uśpionym miasteczku znalazłem kabinę telefoniczną. Zadzwoiłem do Centrum Operacyjnego Żandarmerii w Besancon. Nie przedstawiłem się. Pojawiło się kolejne nazwisko na liście ofiar.

Potem znowu ruszyłem w drogę.

Towarzyszyły mi koszmarne myśli. Diabeł chciał, żebym szedł jego śladem — ja, i tylko ja. Czekał na mnie w jakiejś dolinie Jury. CHRONIĘ URATOWANYCH BEZ ŚWIATŁA. Diabeł, który czuwał nad swoimi pupilami, wyeliminował teraz zbyt dociekliwego Sarrazina.

Potrzebny mi był jak najszybciej hotel.

Zamknięte pomieszczenie, gdzie mógłbym pomodlić się o spokój duszy dla Sarrazina i może przespać kilka godzin. Zauważyłem budynek ze zgaszonym neonem. Zwolniłem. Był to rzeczywiście hotel. Bez żadnego stylu, obrośnięty bluszczem. Dwugwiazdkowy, dla podróżujących w interesach.

Obudziłem właściciela i kazałem się zaprowadzić do pokoju. Zrzuciłem ubranie, umyłem się pod prysznicem, a potem, w samych gatkach, modliłem się po ciemku. Modliłem się za Sarrazina, choć nie wyzbyłem się podejrzeń. Mimo iż zginął tak okrutną śmiercią, mimo iż zawarliśmy układ, nadal podejrzewałem go o nieszczerłość. Słynne trzydzieści procent winy...

Tak długo klęczałem na wytartym dywanie, aż rozboleły mnie kolana. W końcu wsunąłem się między prześcieradła. Zgasilem światło i pozwoliłem biec moim myślom bez żadnego porządku, bez żadnej logiki.

Różne problemy wyłaniały się i znikaly niczym kolorowe szkiełka w kalejdoskopie. Przeciwnstawne prawdy, coraz trudniejsze niepokojące pytania.

Potem pojawiła się Manon, zajmując cały mój umysł. Skoncentrowałem się na niej, żeby lepiej zrozumieć pozostałe zagadki. Jeśli rzeczywiście żyła, to jak wyglądało jej życie?

Pomyślałem o Lucu. Czy zaszedł dalej niż ja? Czy odnalazł żywą dwudziestodwuletnią Manon? Czy to odkrycie popchnęło go do sa-  
Obudziłem się z pierwszym brzaskiem dnia.

### *Godzina 8.30*

Ubrałem się. Wczorajsze ubranie wepchnąłem do torby. Zszedłem na dół, żeby wypić kawę w pustej o tej porze hotelowej restauracji. Przejrzałem pobieżnie poranne gazety. Nic na temat zabójstw Bucholza i Moraza. Cóż, znajdowałem się prawie tysiąc kilometrów od Lourdes. Nic na temat Sarrazina — na to było jeszcze za wcześnie.

Dzień zwłoki, żeby zastosować moją strategię.

Odtworzyć historię akcji ratunkowej Manon.

Pół godziny potem zatrzymałem się przed koszarami strażaków w Sartuis. Po niebieskim niebie snuły się białe obłoki. Wszędzie panował spokój. Wiadomość o śmierci Sarrazina jeszcze tu nie dotarła.

Po prostu sobota jak każda inna.

Drżąc z zimna, obszedłem główny hangar. Na prawym skrzydle młody strażak ostrzyżony na jeża bez entuzjazmu polewał wodą cementową posadzkę. Zagadnąłem go. Zakręcił kran, po czym zapytał fałsetem, wpatrując się moją policyjną legitymację:

— O co chodzi?

— To stara historia. Manon Simonis. Dziewczynka, która utonęła w listopadzie osiemdziesiątego ósmego roku. Szukam ludzi, którzy wtedy wydobyli jej ciało.

— W tej sprawie trzeba rozmawiać z komendantem, on...

— Co się tu dzieje?

Za strażakiem pojawił się jakiś mężczyzna. Pięćdziesiąt lat, sterczące włosy, kartoflowaty nos. Na ramionach swetra błyszcząły srebrne galony.

— Mathieu Durey — odpowiedziałem pewnym głosem. — Prowadzę dochodzenie w sprawie zabójstwa Manon Simonis.

— Z jakiego powodu? Sprawa już dawno została umorzona.

— Pojawiły się nowe fakty.

— Jakie?

— Nie mogę o tym mówić.

Z trudem opanowywałem zniecierpliwienie, ale musiałem zdo-

być informacje za wszelką cenę. Reszta była nieważna. Oficer zachmurzył się. Wokół jego oczu pojawiło się tysiące zmarszczek.

— Dlaczego pan przyszedł z tym do nas?

— Chciałbym wypytać strażaków, którzy uczestniczyli w wydobyciu dziewczynki ze studni.

— Byłem w tej ekipie. Co chce pan wiedzieć?

— Czy pamięta pan, w jakim stanie było ciało?

— Nie jestem lekarzem.

— Czy dziewczynka naprawdę nie żyła?

Oficer rzucił zdziwione spojrzenie na aspiranta.

— Czy nie było żadnej szansy, żeby odratować Manon? — nalegałem.

Wydawał się rozczarowany, że poświęcił uwagę jakiemuś szaleńcowi.

— Leżała w wodzie przynajmniej godzinę — odrzekł. — Temperatura jej ciała spadła poniżej dwudziestu stopni.

— Serce nie biło?

— Kiedy ją wyłowiono, nie dawała najmniejszych oznak życia. Skóra sina. Źrenice rozszerzone. Czego panu więcej trzeba?

Nie przestawałem dygotać pod płaszczem.

— Dokąd zostało przewiezione ciało? — zadałem kolejne pytanie.

— Nie wiem.

— Nie rozmawiał pan z sanitariuszami?

Spojrzał ponownie na swego młodszego kolegę.

— Wszystko odbyło się tak szybko — przyznał. — Pogotowie miało helikopter.

Przebiegłem w myślach całe zdarzenie. Dwunasty listopada tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty ósmy rok, godzina dziewiętnasta. Ulewny deszcz. Żandarmi odnajdują dziewczynkę na terenie oczyszczalni ścieków. Strażacy natychmiast schodzą do studni. W świetle reflektorów i lamp policyjnych ukazują się nosze. Wtedy ratownicy postanawiają skorzystać z helikoptera. Dlaczego? Gdzie zawieziono Manon?

— Pewnie przetransportowano ją do Besancon. Żeby zrobić sekcję zwłok — rzekł oficer.

— Gdzie stacjonuje helikopter pogotowia? W Besancon?

Facet popatrzył na mnie, jakby chciał zrozumieć ukryty sens moich pytań. Pokręcił przecząco głową.

— Do tego rodzaju transportu wzywa się prywatną firmę z Morteau.

— Jaką ma nazwę?  
— Codelia. Ale nie jestem pewien, czy to oni właśnie...  
Podziękowałem strażakowi skinieniem głowy i pobiegłem do Baza helikopterów znajdowała się przy wyjeździe z miasta na drodze do Pontarlier. Hangar pokryty blachą falistą, okrągły plac lądowiska. Stał tam tylko jeden helikopter.  
Zatrzymałem się sto metrów dalej i zastanowiłem się. Na dwoje babka wróżyła: albo ludzie na dyżurze wpuszczą mnie do archiwum, albo moja policyjna legitymacja okaże się niewystarczająca i tym samym urwie się ten trop. Nie mogłem podejmować takiego ryzyka.  
Włączyłem silnik, objechałem bazę i zaparkowałem za zakrętem pod drzewami. Do hangaru wróciłem pieszo od tyłu. Rozejrzałem się na boki. Trzej mężczyźni rozprawiali o czymś przy helikopterze. Przy odrobinie szczęścia zastanę biuro otwarte. Poszedłem wzdłuż ściany hangaru i zajrzałem do środka. Wszystkiego tysiąc metrów kwadratowych. Dwa do połowy rozmontowane helikoptery przypominające wałki z połamanymi skrzydełkami. Poza tym nikogo. Na lewo oszklona antresola. Tam również nie było widać żadnego ruchu.  
Wbiegłem po stopniach i pchnąłem oszklone drzwi. Na biurku pośrodku stał włączony komputer. Nacisnąłem odpowiedni klawisz. Na ekranie pojawiły się ikonki. Przeloty, klienci, zużycie paliwa, zapisy dotyczące konserwacji maszyn, faktury...  
Żadnego hasła, zawilej procedury, nieznanych kodów. Super. Kliknąłem na plik „Nagle przypadki” i znalazłem dane z każdego roku.  
Zerknąłem na oszklone drzwi — nadal nikogo w zasięgu wzroku. Otworzyłem plik „1988 rok”. Przewinąłem aż do listopada. Wyloty w regionie nie były liczne. Znalazłem trasę, która mnie interesowała:

F-BNFP

Jet-Ranger 04

18 XI 1988, godz. 19.22. WEZWANIE XM 2453:

Pogotowie — szpital w Sartuis. KIERUNEK: Teren oczyszczalni ścieków w Sartuis. Paliwo: 70%. 18 XI 1988, godz.

19.44. TRANSFER 2454: Pogotowie — szpital w Sartuis.

KIERUNEK: ANNEXE DES CHAMPS-PIERRES DU CHU  
VAUDOIS (CHUV), Lozanna, oddział kardiochirurgii.  
KONTAKT: Moritz Beltrein, ordynator oddziału.  
PALIWO: 40%.

Zrozumiałem. Manon nie została przewieziona do szpitala w Besancon. Helikopter przekroczył granicę szwajcarską i poleciał bezpośrednio do Lozanny. Dlaczego właśnie tam? Dlaczego oddział kardiochirurgii miałby przyjmować dziecko, które utonęło?

Mój mózg pracował z szybkością dźwięku. Muszę skontaktować się z ratownikiem, który zlecił przetransportowanie Manon Simonis.

— Co pan tu robi?

W polu mojego widzenia po lewej stronie ukazał się cień.

— Zaraz panu wyjaśnię — odrzekłem z szerokim uśmiechem.

— To będzie trudne.

Facet zaciskał pięści. Metr dziewięćdziesiąt wzrostu, co najmniej sto kilogramów żywej wagi. Pilot albo technik. Olbrzym zdolny przenieść gołymi rękami helikopter.

— Jestem policjantem.

— Wymyśl coś mądrzejszego, chłopie.

— Pokażę panu moją legitymację.

— Jeden ruch, a zatłukę. Co robisz w naszym biurze?

Mimo napięcia myślałem tylko o tym, co odkryłem. Oddział kardiochirurgii w Lozannie. Dlaczego właśnie tam? Czy był tam jakiś cudotwórca zdolny przywrócić do życia Manon? Typ podszedł do biurka i chwycił za telefon.

— Jeśli jesteś naprawdę gliną, połączę się z żandarmerią.

— Proszę bardzo.

Pomyślałem o zamęcie, jaki zaraz nastąpi: wyjaśnienia w kwaterze głównej w Morteau, telefony do Paryża, wiadomość o śmierci Sarrazina, która jeszcze bardziej zagmatwa sytuację. Przynajmniej trzy godziny straty. Uśmiechem pokrywałem wściekłość.

Telefon odezwał się, zanim facet zdążył podnieść słuchawkę. Wysłuchał informacji ze zmienionym wyrazem twarzy. Złapał notes, zanotował dane i mruknął:

— Już tam jadę.

Odrożył słuchawkę i jego wzrok spoczął na mnie.

— Można powiedzieć, że masz fart. — Pokazał na drzwi. — Zjeżdżaj.

Uratowany dzięki wezwaniu, które przyszło w samą porę, wycofałem się tyłem i dopadłem schodów. W połowie drogi tamten człowiek mnie wyprzedził. Wybiegł na zewnątrz, trzymając w jednej ręce kartkę z notesu, drugą naśladowując nad głową ruch wirnika. Zaraz pojawili się też inni biegnący do helikoptera.

Helikopter wystartował, zanim wsiałem do samochodu. Musnął korony drzew, zrywając z nich ostatnie czerwone liście. Podniosłem oczy. Wydało mi się, że pilot, olbrzym z biura, obserwował mnie poprzez szybę kokpitu.

Ruszyłem i ja pośród wirujących w powietrzu liści.

Lozanna.

Tam znajdował się klucz do całej sprawy.

## 79

Aneks des Champs-Pierres, filia Uniwersyteckiego Centrum Klinicznego Vaudois, usytuowany był w górzystej części Lozanny w pobliżu ulicy Bugnon, niedaleko od centrum. Niewielki trzypiętrowy budynek stał wśród ogrodów w stylu japońskim — alejki wysypane drobnym żwirem, niskie, gęsto rosnące sosenki.

Poszedłem pieszo główną aleją. Korony iglaków przycięte były równiutko jak pod sznurek, a kuliste lampy zdawały się wisieć tuż nad żwirem. Całość robiła wrażenie zarazem kojące, jak prawdziwy buddyjski ogród zen, i niepokojące niczym labirynt Shining. Niebo przejaśniało. Mgła się rozplywała, a wraz z nią unosiły się pyłki kwiatów wiśni.

Oddział kardiochirurgii znajdował się na drugim piętrze. Nazwisko lekarza, który zajął się Manon, wryło mi się w pamięć: Moritz Belfrem. Czy po czternastu latach jeszcze operował? Przy wejściu na oddział zauważyłem małą recepcję. Siedziała tam młoda kobieta bez białego fartucha, bez telefonu.

Poprosiłem grzecznie o skontaktowanie z doktorem Beltreinem.

Uśmiechnęła się. Była śliczna, co mimo całej sytuacji zwróciło moją uwagę. Spoglądała spod gładko zaczesanych czarnych włosów, ssąc pastylki tic-tac.

— Już tu nie pracuje? — spytałem.

— To ważny dyrektor — odrzekła w końcu. — Nie ma go jeszcze, ale przyjdzie. Przychodzi codziennie, nawet w weekendy. W środku dnia.

— Czy mogę na niego poczekać?

— Pod warunkiem, że porozmawia pan ze mną.

Udałem, że podejmuję grę. A ona roześmiała się, widząc moją głupią minę.

— Mam na imię Julie — uściśliła mi mocno rękę. — Julie Deleuze. Pracuję tu w weekendy. Dobre zajęcie dla studentki. Jeśli zaś chodzi o konwersację, nie jest to obowiązkowe...

Oparłem się łokciami o blat i odpowiedziałem szczerym uśmiechem. Zadałem kilka zdawkowych pytań — o studia, życie codzienne, rozrywki w Lozannie. Robiłem to automatycznie. Każde pytanie wymagało ode mnie tyle wysiłku, że nie słuchałem nawet odpowiedzi.

Zadzwonił niewidoczny telefon. Sięgnęła ręką pod blat i odebrała go. Mrugnęła do mnie okiem, wyjmując kolejnego tic-taca. Miała cerę *squaw* z niemieckich westernów lat sześćdziesiątych.

— To był on — powiedziała, odkładając słuchawkę. — Jest w swoim gabinecie. Może pan tam pójść.

— Nie uprzedziła go pani?

— Nie ma potrzeby. Proszę zapukać i wejść. To bardzo sympatyczny człowiek. Powodzenia.

Gdy już zamierzałem odejść, zapytała:

— Wróci pan?

Zmrużyła przy tym jasnozielone oczy pod czarnymi, jedwabistymi lokami.

— Raczej nie — odpowiedziałem. — Ale zapamiętam pani uśmiech.

Była to jedyna dobra odpowiedź. Jasna i optymistyczna. Roześmiała się, po czym dodała:

— Tym korytarzem. Drzwi w głębi.

Odwrociłem się. Po kilku krokach już zapomniałem o dziewczynie, jej oczach, o wszystkim. Myślałem tylko o jednym. Gdy zapukałem do drzwi, natychmiast usłyszałem odpowiedź. Chwyając za klamkę, odmówiłem krótką modlitwę za Manon.

Za żywą Manon.

Doktor stał w pokoju o białych ścianach, porządkując teczki w metalowej szafie. Był to krępy mężczyzna, nie wyższy niż metr sześćdziesiąt pięć. Grube okulary, nisko opadająca grzywka. Ude-



rzające podobieństwo do Eltona Johna, tyle że jego włosy były siwe. Musiał mieć około sześćdziesięciu lat, ale strój — wypłowiałe dzinsy i polarowa bluza — przywodziły na myśl raczej studenta z Berkeley. Na nogach miał sportowe buty.

— Czy pan doktor Beltrein? — zapytałem.

Skinął potakująco głową i wskazał na krzesło przed biurkiem.

— Proszę usiąść — polecił, nie podnosząc głowy znad teczki, którą trzymał w ręku.

Nie ruszyłem się z miejsca. Bez słowa przyglądałem się lekarzowi. Jego masywnej, ciężkiej, grubokościstej postaci. W końcu podniósł wzrok — Czym mogę panu służyć?

Przedstawiłem się. Nazwisko. Narodowość. Zawód. Wyrasiał z twarzy chirurga, przesłoniętej do połowy grzywką i grubymi okularami, był nieprzenikniony.

— Powtarzam pytanie — powiedział obojętnym tonem. — Czym mogę panu służyć?

— Interesuje mnie Manon Simonis.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech. Szerokie policzki sięgnęły grubej oprawy okularów z błyszczącymi, ciemnymi szklami.

— Czy powiedziałem coś śmiesznego?

— Już od czternastu lat czekam na kogoś takiego jak pan.

— Jak ja?

— Kogoś nie mającego nic wspólnego z tą sprawą, kto wreszcie zrozumiał prawdę. Nie wiem, jaką drogę pan przeszedł, ale przybył pan do miejsca przeznaczenia.

— Ona żyje, prawda?

Zapadło milczenie. Czuję się tak, jakbym stał przed zwrotnicą, przełożenie której miało zmienić całe moje życie. Moja egzystencja, a w pewnym stopniu nawet cały wszechświat zależne będą od odpowiedzi, jaką usłyszę.

— Ona żyje? Tak czy nie?

— Kiedy zobaczyłem pierwszy raz Manon, była martwa. Ale nie tak, żebym nie mógł jej reanimować.

Opadłem na krzesło.

— Proszę mi opowiedzieć całą historię — wydusiłem z siebie z trudem. — To bardzo ważne.

Zaintrygowany moim błagalnym tonem zapytał:

— Ważne dla dochodzenia czy dla pana samego?

— A jaka to różnica?

— Do czego pan doszedł w śledztwie?  
— Odpowiem na to później. Od tego, co usłyszę od pana, zależy cała reszta.

Kiwnął głową. Odstawił na miejsce teczkę, którą wciąż trzymał w ręce, po czym odetchnął głęboko, jakby miał poddać się obowiązkowi zapisanemu w tablicach Prawa. Usiadł na przeciwko mnie.

— Zna pan sprawę od strony kryminalnej. Wie pan, że anonimowy telefon skierował poszukiwania do studni...

— Znam akta na pamięć.

— Żandarmi udali się więc do studni położonej najbliżej dzielnicy Corolles. Towarzyszyła im ekipa medyczna. Kiedy ratownicy wydobyli dziewczynkę, stwierdzili, iż jest martwa. Nieruchome oczy, zatrzymana praca serca, temperatura ciała dwadzieścia trzy stopnie. Nie było żadnych wątpliwości co do zgonu. Jednak jeden z lekarzy, niejaki Boroni, który rok wcześniej pracował na moim oddziale, wiedział, w czym się specjalizuję.

— To znaczy?

W dalszym ciągu nie rozumiałem, co może mieć wspólnego kardiochirurg z reanimacją.

— Hipotermia — odrzekł Beltrein. — Od trzydziestu lat zajmuję się zjawiskami fizjologicznymi wywołanymi przez zimno. W jaki sposób, na przykład, w takich warunkach może ulec spowolnieniu obieg krwi. Ale wracamy do Manon. Boroni wiedział, że w wypadku gwałtownego wychłodzenia pozostaje jednak nadzieja, wprawdzie niewielka. Zachował się więc tak, jakby dziewczynka jeszcze żyła. Wezwał helikopter i skontaktował się ze mną. Jeśli doliczyć czas przelotu, ciało dziewczynki pozbawione było życia około godziny. Co redukowało nasze szanse do zera. Pomimo to postanowiłem zastosować moją metodę. Czy wie pan, co to jest aparat „by-pass”?

Ta nazwa wywołała we mnie jakieś niejasne wspomnienie. Beltrein mówił dalej:

— W każdym bloku operacyjnym jest aparatura do krążenia pozaustrojowego, której używa się do ochłodzenia krwi pacjentów przed trudną operacją. System polega na wypompowaniu krwi chorego, schłodzeniu o kilka stopni, a następnie zwróceniu mu jej. Wykonuje się taki zabieg kilka razy, aby uzyskać sztuczną hipotermię.

Teraz przypomniałem sobie dokładnie, że mówiono mi o takiej samej aparaturze zastosowanej dla uratowania Luca. Nieprawdopodobna ironia losu. Dokończyłem więc za doktora:

— Chciał pan użyć tej aparatury do działania odwrotnego — aby ogrzać krew dziewczynki.

— Oczywiście. Wykonałem już takie doświadczenie pierwszy raz w siedemdziesiątym ósmym roku na małym chłopcu zmarłym wskutek zaccadzenia. Udało się go reanimować tą metodą. Potem w latach osiemdziesiątych robiłem tego rodzaju zabiegi wiele razy. Dziś jest to technika powszechnie stosowana na całym świecie. — Uśmiech dumy przemknął po jego twarzy. — Technika, której jestem wynalazcą. — Przerwał, abym miał czas docenić wielkość jego geniuszu, po czym kontynuował: — Krew Manon została przepompowana do aparatury, a potem przetoczono ją z powrotem, o tej samej temperaturze, ale utlenowaną. Powtórzyliśmy ten cykl przy temperaturze dwudziestu siedmiu stopni, potem drugi raz przy temperaturze o dwa stopnie wyższej. Kiedy doszliśmy do trzydziestu pięciu stopni, na monitorach pojawił się słaby sygnał. Po następnym cyklu na ekranach była już linia oscylująca. Przy temperaturze trzydziestu siedmiu stopni powróciła normalna czynność serca. Manon wróciła do życia po prawie godzinnej śmierci klinicznej.

Wyjaśnienia Beltrei'na odpowiadały mojemu kartezjańskiemu umysłowi. Po raz pierwszy nie mówiono mi o cudzie. Ani o Bogu, ani o diable. Lekarz jakby odgadł moją myśl.

— Wyzdrowienie Manon zakrawało na cud. W rzeczywistości dawało się wyjaśnić zbiegiem trzech sprzyjających czynników, które wynikały z wieku dziewczynki.

— Jakie to czynniki?

— Po pierwsze, proporcje ciała. Manon była dzieckiem wątlm. Nie ważyła nawet piętnastu kilogramów. Dzięki tak małej wadze nastąpiło natychmiastowe ochłodzenie i jej ciało przeszło w stan hibernacji. Serce zaczęło bić wolniej — z osiemdziesięciu uderzeń na minutę zeszło do czterdziestu. Reakcje biochemiczne również uległy osłabieniu. Znacznie spadło zużycie tlenu w komórkach. To podstawowa sprawa. Pozwoliło to bowiem mózgowi, kiedy już nie docierała do niego krew, funkcjonować na mniejszych obrotach.

Przerwałem Beltreinowi jego wykład.

— Mówi pan o organizmie, który działał w zwolnionym tempie, ale Manon przecież utonęła. Jej płuca musiały chyba być pełne wody?

— A właśnie, że nie. To drugi pozytywny czynnik. Dziewczynka udusiła się, ale nie utonąła. Ani jedna kropla wody nie przeszła przez jej ga — Proszę to wyjaśnić.

— U dzieci występuje tak zwany odruch nurka. Podobnie jest z noworodkami w kąpiel. Kiedy się je zanurza, instynktownie przestają wydawać głos, żeby nie wpuścić wody do płuc. Znalaziszy się w studni, Manon odcięła się od zewnętrznego otoczenia, a jej organizm zaczął działać w obwodzie zamkniętym.

W fantasmagorycznej wizji ujrzałem wnętrze ciała Manon. Czerwone i czarne organy pulsujące bardzo słabym rytmem, zachowujące odrobinę życia w lodowatej wodzie. Beltrein poprawił okulary.

— Na temat tego odruchu powstały liczne teorie. Niektórzy uważają, że ma on związek z naszym wodnym pochodzeniem. Kiedy delfin lub wieloryb zanurzają się pod wodę, wrodzony mechanizm przerywa ich oddech i kieruje krew do najważniejszych dla życia organów. To samo nastąpiło u Manon. W czasie zanurzenia upodobniła się w małego delfina. Można powiedzieć, że jakby uciekła w głąb samej siebie. Stąd odwołanie do prapamięci...

Beltrein ponownie zawiesił głos, abym lepiej zrozumiał sens jego słów. Cudowne ocalenie tej dziewczynki było bardziej spektakularne, niż przypuszczał. Dziewczynka, jakoby opętana, zamordowana przez swoją matkę, przeżyła dzięki swej pamięci delfina...

— Musi pan zrozumieć — podjął znowu — niezwykle istotny fakt. Nie było żadnej walki.

— Między Manon i jej zabójcą?

— Nie. Między Manon i śmiercią. Ona się nie broniła. Zimno ogarnęło ją natychmiast i znieczuliło. Właśnie temu zawdzięcza ocalenie. Najmniejszy wysilek pogrzyłby ją w wodzie jeszcze bardziej. W pewnym sensie dziewczynka zaakceptowała śmierć. To jedna z tajemnic moich badań. Jeśli się akceptuje próżnię, można pozostać w zawieszaniu... między dwoma światami... Pół śmierci, pół życia...

Pomyślałem o tym kluczowym momencie w egzystencji dziewczynki. Co Manon ujrzała w tym „stanie zawieszenia”? Czy naprawdę diabła? Na razie skoncentrowałem się na aspektach fizjologicznych.

— Wspominał pan o trzech czynnikach.

— Lubię policjantów — uśmiechnął się. — Jesteście uważnymi

uczniami. — Cmoknął wargami. — Trzeci czynnik odnosi się do całkowitego uzdrowienia Manon. Mimo wszystko można było się obawiać poważnych konsekwencji. Tymczasem u Manon, w momencie jej przebudzenia, doskonale zadziałały wszystkie funkcje poznawcze. Nie miała żadnych problemów z wysławianiem się, żadnych problemów w rozumowaniu. Jeśli nie liczyć chwilowej amnezji, jej mózg działał idę — Jak da się to wyjaśnić?

— Znowu jej wiekiem. Im młodszy mózg, tym więcej posiada komórek. Dysponuje tak olbrzymim ich zasobem, że może od nowa zacząć funkcjonować. Jest rzeczą oczywistą, że organizm Manon doznał pewnych szkód, a jej zdolności umysłowe skoncentrowały się tam, gdzie neurony były jeszcze silne. Nazywa się to mobilnością mózgową. Zdarzały się przypadki, kiedy u dzieci po wypadkach cała ich aktywność umysłowa przenosiła się do jednej półkuli.

Wzmianka o amnezji nasunęła mi typowo policyjne pytanie:

— Czy po przebudzeniu pamiętała coś z miejsca zbrodni? Czy powiedziała coś o swoim zabójcy?

— Nie pytałem jej o takie rzeczy — odrzekł, machnąwszy ręką. — To zajęcie dla śledczych.

— A oni pytali?

— Tak. Ale ona nie pamiętała, co się stało na terenie oczyszczalni. Blokada umysłowa. Bardzo częste zjawisko przy wyjściu ze śpiączki. Taka amnezja może być nawet dobrowolna. Mózg w pewnym sensie chce ukryć niemiły dla niego epizod.

Manon usunęła z pamięci tę straszną scenę, ale jej matka zapewne ujrzała w tej amnezji drugą szansę dla dziewczynki. Dla ich przyszłości. Skoro Manon nic nie pamiętała, można było zacząć wszystko od początku. To był wyraźny znak od Boga...

Beltrein ciągnął dalej, jakby czytając moje myśli:

— Kiedy powiadomiłem matkę, że Manon powróciła do życia, Podjęła dziwną decyzję. Postanowiła, żeby tego nie rozgłaszać. Może obawiała się zagrożenia ze strony zabójcy? Może chciała uniknąć medialnego zamieszania? Nie wiem. W każdym razie uzgodniliśmy z sędzią, prokuratorem, śledczymi, że nie będzie informacji o tym zdarzeniu.

— Szukałem w Sartuis. Nie znalazłem żadnej wzmianki o tym.

— No właśnie. Manon została tutaj, w Szwajcarii. Jej dziadkowie zamieszkali w Lozannie.

— Mówi pan o rodzicach Frederica, ojca Manon?

— Tak. Wydaje mi się, że Sylvie, jej matka, była sierotą. Przelewy bankowe do Szwajcarii. Dziadkowie, bogaci przemysłowcy, nie potrzebowali tych pieniędzy, ale Sylvie wypłacała im co miesiąc pensję. Jeden po drugim, elementy znajdowały swoje miejsce w tej układance.

— Pozostał pan w kontakcie z Manon?

— Nigdy nie straciłem jej z oczu.

— Co robiła? Jakie było jej życie?

— Zupełnie zwyczajne. Spędziła młodość w Szwajcarii. Manon to dziewczyna pełna radości życia, optymizmu.

— Czy coś studiowała?

— Biologię. W Lozannie. Obecnie jest po dyplomie magisterskim. Poczulem ułucie w piersi. Beltrem mówił o Manon w czasie terażniejszym. Ta dziewczyna gdzieś tam żyła, oddychała, śmiała się. Mimo to czulem niejasny niepokój.

— Gdzie ona jest teraz?

Lekarz podniósł się krzesła, nie odpowiadając na moje pytanie, stanął przy oknie. Powtórzyłem wzburzonym głosem:

— Gdzie ona jest? Czy mogę ją zobaczyć?

Beltrein zdjął okulary i odwrócił się do mnie.

— W tym cały problem. Manon zniknęła.

Podsłoczyłem na krześle.

— Kiedy?

— Po śmierci matki. Manon była przesłuchiwana przez francuskich żandarmów, a potem ulotniła się.

Jak duch. Ledwie się pojawiła, znowu mi się wymykała. Nie mogłem w to uwierzyć.

— Nie ma pan o niej żadnych wiadomości?

— Nie. Zamordowanie matki obudziło w niej lęki z dzieciństwa. Uciekła.

— Muszę ją odnaleźć. To absolutnie konieczne. Ma pan jakiś ślad, wskazówkę?

— Nic. Mogę jedynie podać panu jej szwajcarskie nazwisko i adres w Lozannie.

— Zmieniła nazwisko?

— Oczywiście. Po jej ocaleniu matka pragnęła, aby zaczęły wszystko od zera. — Napisał coś na białym kartoniku z receptami. — Od czternastu lat Manon Simonis nazywa się Manon Viatte. Ale te

informacje na nic się panu nie przydadzą. Znam ją dobrze. Jest wystarczająco inteligentna, żeby nie dać się zaskoczyć.

Schowałem do kieszeni kartkę. Obraz Manon nie pasował do portretów Uratowanych Bez Światła. Przede wszystkim w tej dziewczynie nie było nic złego.

— Czy ma pan jej fotografię?

— Nie. Nie było żadnych zdjęć. Powiedziałem panu, że Manon prowadziła normalne życie. To nie do końca prawda. Żyła w strachu, obsesyjnie bała się mordercy ze swego dzieciństwa. Przechodziła wielokrotnie psychoterapię w Lozannie. Była bardzo wrażliwa. Za bardzo. Matka i dziadkowie chronili ją. Gdy dorosła, stała się niezależna, ale nadal była czujna. Przy każdej przeprowadzce stosowała przesadne środki ostrożności. Jej mieszkanie było jak kasa pancerna. A aparatów fotograficznych unikała jak zarazy. Nie chciała zostawiać żadnego śladu. Nigdy. A szkoda. — Urwał na chwilę. — Strasznie mi jej dziś brakuje.

I znowu powrót do punktu wyjścia.

— Dlaczego pan mi to wszystko opowiedział — zapytałem ze zdziwieniem. — Nawet nie pokazałem panu mojej legitymacji.

— Kwestia zaufania.

— Skąd to zaufanie?

— Z powodu pańskiego przyjaciela.

— Jakiego przyjaciela?

— Francuskiego policjanta. Uprzedził mnie, że pan tu się pojawi.

Tak więc Luc wyprzedził mnie i tutaj. Był pewien, że pójde jego tropem. Czy już wtedy przewidział swoje samobójstwo? Sięgnąłem do płaszcza. Miałem ciągle w kieszeni jego zmiętą fotografię.

— Mówi pan o tym człowieku?

— Tak, to Luc Soubeyras.

— Opowiedział pan mu wszystko?

— Nie było takiej potrzeby. On już sporo wiedział.

— Wiedział, że Manon żyje?

— Tak. Był na jej tropie.

To Sarrazin musiał mu wszystko powiedzieć. Dlaczego jemu, a nie mnie? Czy Luc dał mu coś w zamian? A może go jakoś szantażował?

— Co jeszcze panu powiedział?

— Rzeczy nieprawdopodobne. Był taki... egzaltowany.

— W jakim sensie?

— Jeśli pan pozwoli... pan robi na mnie wrażenie raczej nerwowego, ale pański przyjaciel miał w sobie coś nienormalnego. Uważał, że Manon została cudownie uzdrowiona, w dodatku przez diabła! Jak inna dziewczynka z Sycylii.

— A co pan o tym myśli?

Belfrem zaśmiał się sucho:

— Nie chcę o tym słyszeć. Poświęciłem moje życie reanimacji. Oddałem cały mój talent, całą wiedzę na badania z nią związane. I nie chcę, żeby teraz przypisywano moje osiągnięcia przesądom, jakimś cuc— Czy Luc mówił panu o doświadczeniu bliskości śmierci?

— Oczywiście. Uważał, że diabeł nawiązał kontakt z Manon podczas jej śpiączki.

— Jako naukowiec co pan myśli o tej hipotezie?

— Jest absurdalna. Nie można negować istnienia czegoś takiego jak NDE. Nie ma jednak w tym nic nadnaturalnego ani mistycznego. Banalne zjawisko biochemiczne. Rodzaj mózgowego olśnienia.

— Proszą to wyjaśnić.

— NDE jest wywołane przez postępujące niedotlenienie mózgu. Na progu śmierci mózg jest już pozbawiony dopływu krwi. Dochodzi więc do silnego uwolnienia neuroprzekaźnika, którym jest glutaminian. Przypuszczalnie uwalnia się jeszcze inna substancja, która z kolei wywołuje jakby błysk flesza.

— Co to za substancja?

— Nie wiemy. Trwają nad tym badania. Któregoś dnia uzyskamy odpowiedź. W każdym razie nie jest to żadna metafizyka. Nie ma tam ani Boga, ani diabła, żadnego ducha z seansu spirytystycznego!

Wyjaśnienie Beltreina było przekonujące. Nie całkiem jednak się z nim zgadzałem. W ten sposób wszystkie mistyczne objawienia można sprowadzić do reakcji chemicznych.

— Luc Soubeyras uprzedził mnie, że jeśli się pan tu pojawi, będzie to znaczyło, iż wydarzyło się coś ważnego. Co się stało?

Znowu potwierdzenie, że Luc wszystko z góry przemyślał. Kiedy złożył wizytę Beltreinowi, wiedział już, iż targnie się na swoje życie. A może tylko bał się, że zostanie wyeliminowany przez tych, którzy próbowali zabić mnie?

— Luc Soubeyras usiłował popełnić samobójstwo.

— Wyszedł z tego?



— Choć brzmi to nieprawdopodobnie, uratowano go pańską metodą. Utonął w pobliżu Chartres. Ratownicy przetransportowali go do szpitala, który posiadał aparaturę do transfuzji krwi. Zastosowali pańską technikę. Obecnie Luc jest w śpiączce.

Beltrein zdjął okulary. Masował powieki i nie mogłem dojrzeć jego oczu. Kiedy oderwał od nich rękę, okulary były już znowu na swoim miejscu.

— Rzeczywiście niezwykle... Był tak zafascynowany historią Manon. No i został uratowany w ten sam sposób. Cóż za fantastyczny zbieg okoliczności, prawda?

Podniosłem się z krzesła. Zadałem jeszcze kilka niezbędnych pytań:

— Czy mówi panu coś nazwisko Agostina Gedda?

— Nie.

— A Raimo Riihimaki?

— Nie. Kto to? Podejrzani?

— Za wcześniej, żeby na to odpowiedzieć. Doszło do kolejnych zbrodni. Coś się za nimi kryje.

— Przypuszcza pan, że Luc odkrył prawdę?

— Jestem tego pewien.

— I byłby to powód jego samobójstwa?

— Nie mam żadnych wątpliwości w tym względzie.

— Mimo to podąża pan tą samą drogą?

— Proszę się nie obawiać. Nie jestem kamikaze.

Otworzyłem drzwi. Beltrein towarzyszył mi do progu. Sięgał mi do ramienia, ale bary miał dwa razy szersze od moich.

— Jeśli odnajdzie pan Manon, proszę mi dać znak.

— Obiecuję to panu.

— Proszę obiecać mi jeszcze jedno. Niech pan postępuje z nią delikatnie. To bardzo wrażliwa istota.

— Obiecuję.

— Bardzo mi na tym zależy. Dzieciństwo pozostawiło w niej trwały ślad.

Jego uprzedzająca grzeczność zaczynała mnie denerwować. Odrzekłem sucho:

— Już panu mówiłem, że znam jej akta.

— Nie wie pan wszystkiego.

— Mianowicie?

— Muszę panu wyjawić jedną rzecz, o której nie wspominałem nikomu. Nawet jej matce.

Puściłem klamkę i wróciłem do biurka, cały czas bezskutecznie próbując uchwycić wzrok lekarza spod oprawy jego okularów.

— Kiedy Manon była na moim oddziale, poddaliśmy ją szczegółowemu badaniu.

— I co z niego wynikło?

— Nie była już dziewicą.

Zamarłem. Wężowe zwoje znowu się zacieśniały. Do głowy przysłała mi nowa myśl. Wyobraziłem sobie Cazeviela i Moraza jako ohydnych gwałcicieli. „Diabeł na jej plecach” to ci dwaj łajdacy. Omamili ją. Dali jej sataniczne przedmioty. I zgwałcili ją.

— Dziękuję za zaufanie — powiedziałem bezdźwięcznym głosem.

Kiedy szedłem przez ogród zen zalany zimnym światłem, pomyślałem o innym wyjaśnieniu sprawy. Jeśli Sylvie Simonis wiedziała o tym, co przydarzyło się jej córce, zapewne podejrzewała o to innego winowajcę.

Samego Szatana.

## 80

Postanowiłem przeszukać mieszkanie Manon Simonis. Byłem pewien, że nic mi to nie da, ale musiałem sprawdzić. Poza tym chciałem załatwić jeszcze jedną drobną sprawę. Oprócz Sarrazina okłamała mnie jeszcze jedna osoba. Ktoś, kto od zawsze znał całą prawdę i kto pozwolił mi błąkać się w ciemnościach — Marilyne, misjonarka z Notre-Dame-de-Bienfaisance. Jeszcze słyszałem jej głos: „Sylvie zostało wybaczone. Mam na to dowód, rozumie pan?”.

Marilyne wiedziała o wszystkim. Towarzyszyła Sylvie Simonis w jej skrusze podczas pobytu w Bienfaisance. Wystukałem jej numer. Po trzech sygnałach usłyszałem nosowy głos:

— Halo? Kto mówi?

Wyobraziłem sobie jej rybie oczy i czarną pelerynę.

— Mathieu Durey.

— Czego pan chce?

— Wyjaśnić pewną rzecz. Nie lubię być okłamywany.

— Powiedziałam panu wszystko. Sylvie Simonis przebywała w naszej fundacji przez trzy miesiące. Śmierć jej córki...

— Oboje wiemy, że Manon nie umarła.

Cisza. W komórce słyszałem jej oddech. Odezwała się zmęczonym głosem:

- To był cud, rozumie pan?
- Nie umniejsza to w niczym zbrodni Sylvie.
- Nie jestem powołana do tego, żeby ją osądzać. Wszystko mi wyznała. W tamtym czasie zmagala się ze... strasznymi mocami.
- Znam tę historię. To jej wersja.
- Manon była opętana. Nawet czyn Sylvie został pośrednio sprowokowany przez demona. Bóg ocalił je obie!
- Jaka była Manon, kiedy się obudziła?
- Całkowicie zmieniona. Swym zachowaniem nie objawiała już żadnych satanistycznych symptomów. Trzeba jednak było mieć się na baczności. Pamięta pan Księgę Hioba? „Szatan odrzekł Panu: Przemierzałem ziemię i wędrowałem po niej”\*. Diabeł ciągle tu krąży.

Przyszła pora na zasadnicze pytanie:

- Gdzie Manon teraz przebywa?
- Mieszka w Lozannie.
- Nie. Pytam, gdzie jest obecnie.
- Nie ma jej w Lozannie?
- Nie udawała. Znowu impas. Zmieniłem temat.
- Czy dobrze znała pani Manon?
- Widziałam ją kilka razy w Lozannie. Nie chciała przejeżdżać przez granicę.
- Czy czasem gdzieś wyjeżdżała? Do domku na wsi? Do przyjaciół?
- Manon nigdzie nie podróżowała. Bała się wszystkiego.
- Nie miała narzeczonego?
- Nic o tym nie wiem.
- Oczekałem chwilę przed zadaniem kolejnego pytania.
- Czy byłaby zdolna do zabicia swojej matki?
- Pan zna winnego. To Szatan. Przybył, żeby się zemścić.
- Za pośrednictwem Manon?
- Nie wiem. Nie chcę nic wiedzieć. To pan ma odkryć, jak do tego doszło. I to pan ma unicestwić Bestię.
- Zadzwoń jeszcze.
- Przekręciłem kluczyk w stacyjce i odszukałem kierunek do

\* Księga Hioba, 1,7.

centrum miasta, gdzie znajdowało się mieszkanie Manon. Po kilku minutach mój telefon komórkowy zawibrował.

— Muszę się z tobą zobaczyć. To pilne.

Zdenerwowany głos Laure. Pomyślałem, że stało się to najgorsze.

— Co Luc...

— Jego stan jest ciągle taki sam. Ale chcę ci coś pokazać.

— Co?

— Nie przez telefon. Musimy się zobaczyć. Gdzie jesteś?

— Poza Paryżem.

— O której godzinie możesz być u mnie?

Jej ton wykluczał dyskusję. Zastanowiłem się. Manon nie zostawiła żadnej wskazówki. Rewizja jej mieszkania nic nie da. Spojrzałem na zegarek: czternasta czterdzieści.

— Będę wieczorem.

— Czekam.

Pojechałem na dworzec i oddałem wynajęty samochód. TGV do Paryża wyruszał o piętnastej dwadzieścia. Kupiłem bilet i wsiałem do pierwszej klasy. Bałem się tej podróży. Nadal nękały mnie obsesje. Oddałem się rozmyślaniom nad tym, co usłyszałem od Beltreina. Tak, powrót Manon do życia był cudem, ale jej zbawiciel nie miał w sobie nic boskiego ani diabelskiego. Nosił matowe okulary i sportowe buty firmy Stan Smith.

Pogrążony w tych myślach w końcu zasnąłem. Kiedy się obudziłem, mieliśmy już nie więcej niż pół godziny drogi do Paryża. Znowu wróciły moje niepokoje. Dręczyło mnie pytanie, czy Manon to anioł, czy demon. Za wszelką cenę musiałem ją odnaleźć.

#### *Gare de Lyon, godzina 19.00*

Udałem się szybko do agencji wynajmu samochodów i wybrałem audi A3, w którym dobrze się czułem. Kierunek — ulica Changarnier, w pobliżu Porte-de-Vincennes.

Było trochę cieplej niż w Lozannie, ale ulewny deszcz siekał asfalt.

Kiedy Laure otworzyła mi drzwi, doznałem wstrząsu. W ciągu tygodnia straciła na wadze dobrych kilka kilogramów. Jej ciało pod popielatą skórą wydawało się spieczone, skurczone.

— Właśnie położyłam dziewczynki spać. Wejdz.

Jasna boazeria, bibeloty, książki — wszystko było na swoim miejscu. Wszędzie zapach wosku i środków czyszczących. Usiadłem na kanapie. Laure przygotowała kawę. Podała ją nerwowym ruchem. Kiedy wziąłem filiżankę do ręki, wyszła z pokoju. Wróciła z grubą kopertą wypchaną jakimiś przedmiotami. Położyła ją na niskim stoliku i usiadła naprzeciw mnie.

— Postanowiłam sprzedać dom w Vernay.

— Czy mogę zapalić? — zapytałem.

— Nie. — Oparła dłonie o stolik. — Posłuchaj. Pojechałam tam wczoraj, żeby posprzątać. Już dawno chciałam to zrobić, ale nie miałam odwagi wejść do tego domu, rozumiesz?

— Na pewno nie mogę zapalić?

Spiorunowała mnie wzrokiem.

— Przetrzęsłam cały dom. I oto co znalazłam na strychu. Sięgnęła po kopertę. Na blat wysypały się różne przedmioty — odwrócony krzyż, kielich umazany krwią, opłatki pokryte brązową i białawą substancją, świece, czarne posążki przypominające wizerunki demonów z Azji Mniejszej. Różaniec z satanistycznymi elementami.

— Co to ma znaczyć? — zapytałem ostrym tonem.

— Przecież dobrze wiesz.

Dotknąłem koniuszkami palców opłatków. Chyba były oblepione kałem i spermą. Natomiast świece używane do świętokradczych ceremonii, według tradycji satanistycznej, powinny być wykonane z tłuszczu ludzkiego.

— Luc prowadził poszukiwania na temat diabła — powiedziałem niezbyt pewnym głosem. — To zapewne są przedmioty do...

— Przestań. Znalazłam ślady krwi na strychu. Spuszczał się na te hostie. Onanizował się krucyfiksem! Wzywał diabła! W naszym domu!

— Luc prowadził śledztwo dotyczące satanistów...

Laure uderzyła dłońmi w stół.

— Luc uprawiał satanizm od wielu miesięcy.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Luc nie mógł zajmować się takimi obrzydlistwami. Czy chciał coś sprawdzić? Może był to kolejny krok na drodze do jego samobójstwa... Co chcesz, żebym zrobił? — zapytałem.

- Zabierz te gówna i spływaj.

Zgarnąłem wszystko do koperty. Odczuwałem wstręt przed dotknięciem tych przedmiotów.

— Wszystko to było do przewidzenia — odezwała się ostro. — I to także twoja wina.

— O co ci chodzi?

— To przez tę waszą wiarę. Wasze dyskusje. Zawsze uważaliście się za lepszych od innych. Lekceważyliście życie.

Zamknąłem kopertę bez słowa. Mówiła dalej, a z oczu płynęła jej łzy.

— Ten przeklęty zawód gliniarza... Zawsze miał jakieś usprawiedliwienie. Trzeba teraz przyjąć do wiadomości, że Luc stracił rozum.

— Potrząsnęła głową, śmiejąc się przez łzy. — Satanizm...

— Luc był prawdziwym chrześcijaninem, nie zapominaj o tym. Nigdy nie oddawałby się tego rodzaju praktykom.

Skrzywiła się, tłumiąc szloch.

— Wysil się, Mathieu. Czy nigdy nie słyszałeś o teorii przeciwieństw?

Zobaczyłem na białkach jej oczu popękane naczynka krwionośne. Z nosa jej kapało.

— W sytuacji przymusowej przeciwieństwa się łączą. Żeby być mistykiem, Luc stał się satanistą. — Pociągnęła nosem. — Wszystkie religie mają krańcowe aspekty, które doprowadzają w końcu do odwrócenia ich fundamentalnych wartości.

Jej słowa zadziwiły mnie. Nie miałem ochoty zastanawiać się nad granicami mistycyzmu. Miała jednak rację. Uczyłem się O inwersji biegunów w religii katolickiej. Wspaniałe rozważania Huysmansa na temat Gilles'a de Rais, towarzysza Jeanne d'Arc, zarliwego mistyka, który został seryjnym zabójcą.

— Daj mi trochę czasu — powiedziałem. — Znajdę jakieś wyjaśnienie...

— Nie — odrzekła, wstając. — Nie chcę już słyszeć o śledztwie. I nie chcę, żebyś odwiedzał go w szpitalu. Jeśli jakimś cudem Luc się obudzi, nie będzie już problemu waszej niezdrowej wiary ani mowy o jego pracy w policji!

Wstałem, trzymając kopertę pod pachą. Kierując się do drzwi, powiedziałem:

— Nie wspomniałaś ani słowem, jak on się czuje.

— Bez zmian. — Milczała chwilę. Trawił ją gniew. — Zdaniem lekarzy może to trwać całe lata. Albo skończyć się jutro. — Otarła dłonie o spódnicę. — Oto jak wygląda teraz moje życie!

Wysilałem mózgownicę, żeby znaleźć jakieś pocieszające słowa.

Na próżno. Wybąkałem coś na pożegnanie i zniknąłem na klatce schodowej.

Zatrzymałem się w deszczu przed samochodem. Za jedną z wycieraczek zatknęto kartkę. Rozejrzałem się wokoło. Ulica była pusta. Wyjąłem kartkę i przeczytałem:

Proszę się udać do Polskiej Misji Katolickiej,  
ulica Saint-Honore 263 bis. Godzina 22.

Przeczytałem kartkę kilkakrotnie, powoli przyswajając jej treść. Spotkanie w polskim kościele? Czy to zasadzka? Przyjrzałem się dokładnie pismu — cienkie, pełne litery, pewny, wyrobiony charakter pisma. Nic wspólnego z posłaniami mojego diabła w rodzaju: „Czekam na ciebie”, „Tylko ty i ja”.

Było już dobrze po godzinie dwudziestej. Schowałem kartkę do kieszeni i wsiałem do samochodu. Po półgodzinie znalazłem się w mieszkaniu. Moja noga nie postąpiła w nim od tygodnia, ale nie doznałem najmniejszego uczucia ulgi. Ciągle zastanawiałem się, kto napisał te słowa? Przyszli mi na myśl Cazeviel i Moraz. Czy to trzeci morderca?

Wziąłem prysznic i ogoliłem się, włożyłem czysty garnitur. Kiedy wiazałem krawat, przyszła mi do głowy dziwna myśl.

To Manon Simonis wyznaczyła to spotkanie.

Może śledziła mnie w Szwajcarii lub gdzieś indziej. Teraz odnalazła mnie i chciała się spotkać. Pomimo pogłębiającego się koszmaru, pomimo kolejnych trupów i podejrzeń, jakie ciążyły na Manon, byłem z tego powodu szczęśliwy i z niecierpliwością oczekiwałem na to spotkanie.

Wziąłem pistolet. Sprawdziłem, czy komora nabojoya jest pusta, czy broń jest zabezpieczona. Przypiąłem kaburę na lewym boku, z kolbą zwróconą na prawo, po czym zapiąłem marynarkę. Zgasilem światła w mieszkaniu, obserwując przez okno ulicę błyszczącą w świetle latarń.

Zapaliłem camela, dymek zasnuł szybę.

Wrzałem z niecierpliwości.

Miałem się spotkać z Manon Simonis, dwudziestodwuletnią dziewczyną, która powróciła z otchłani.

Ulica Saint-Honore na wysokości numeru 263 pełna była luksusowych butików, skupiły się też w tym miejscu roboty drogowe. Polski kościół znajdował się na rogu ulicy Cambon.

Zatrzymałem samochód przy przejściu dla pieszych i pobiegłem, omijając kałuże. Ulewa przybrała na sile. Pokonałem schody prowadzące do kościoła i otrząsnąłem się z wody. Budowla była ciemna i brudna. Połyskujące, kolorowe witryny luksusowych sklepów zdawały się rzucać nań potępiające spojrzenia, jeszcze bardziej podkreślając jej brzydotę. Przedśionek z koślawymi kolumnami. Woda deszczowa gromadziła się na źle dopasowanych płytach kamiennej posadzki.

Pomimo późnej godziny kręciło się tu dużo ludzi. Jakieś podejrzane typy dyskutujące z rękami w kieszeniach, w czapkach nasuniętych na oczy. Z pewnością Polacy szukający pracy na czarno. Zakonnica w kremowym welonie, powiewającym w mroku, przypinała starannie ogłoszenia na szybie od wewnątrz.

Pchnąłem drewniane drzwi.

Znalazłem się w pierwszym przedśionku, skąd przeszedłem dalej przez drzwi obrotowe.

Kościół był okrągły. Pograżony w mroku. Z owalnego, szerokiego sufitu nad nawą i prezbiterium zwieszały się bardzo nisko żyrandole z kutego żelaza z malowanymi kloszami rozsiewającymi anemiczne, bursztynowe światło. Zamrugalem kilka razy powiekami, żeby oswoić się z ciemnością. Całą przestrzeń zajmowały ławki sięgające aż do głównego ołtarza, na którym stał masywny krzyż i kilka świec. Nad ołtarzem wisiał wielki, nieczytelny obraz. Na prawo, w głębi apsydy, drgał płomyk czerwonej lampki przed Świętym Sakramentem. Wszystko tonęło w cieniu, w którym rozchodził się zapach kadzidła i przywędłych kwiatów.

Zanurzyłem palce w kropielnicy, przeżegnałem się i postąpiłem kilka kroków do środka. Dzięki światłu żyrandoli dostrzegłem obrazy na ścianach. Święci, aniołowie, męczennicy nie mieli twarzy tylko zarysowane starym złotem sylwetki, które zdawały się rozptywać w łagodnym płomieniu świec. Wysoko pod kopułą połyskiwały witraże. Deszcz bębnił o szyby i ołowiane ramki, potęgując wrażenie przejmującej wilgoci.



Nikogo w zasięgu wzroku.

Ani jednego wiernego w ławkach, żadnego pielgrzyma u stóp ołtarza. A przede wszystkim nie było Manon. Spojrzałem na zegarek: godzina dwudziesta druga. Jak ona teraz wygląda? Przypomniałem sobie zdjęcia małej dziewczynki. Bardzo jasne włosy, niewidoczne brwi i rzęsy. Czy dalej miała wygląd albinoski? Nie umiałem sobie jej wyobrazić. W żyłach czułem jednak pulsującą z podniecenia krew.

Z lewej strony usłyszałem skrzypienie desek.

Ktoś poruszył się w pierwszym rzędzie. Dostrzegłem siwe włosy, krępe ramiona, białą koloratkę. Ksiądz. Podeszedłem bliżej.

Kłęcząc z pochyloną głową, jakby czekał na poświęcenie mieczem. Miałem przed sobą nie tylko modlącego się duchownego, ale także, byłem tego pewien, wojownika. Jednego z tych polskich księży-żołnierzy, dalekich spadkobierców rycerskich zakonów z czasów wypraw krzyżowych. Człowieka twardego, czystego, przybyłego z zapomnianej

Przeżegnał się, wstał z kłęczek i przeszedł do głównej nawy. Ujrzałem jego twarz w skąpym świetle i zaskoczony aż się cofnąłem. Znałem tego człowieka.

To był ubrany po cywilnemu ksiądz, którego widziałem na mszy za Luca.

Mężczyzna, któremu Doudou dał piórnik z czarnego drewna.

Człowiek, który robił znak krzyża na odwrót.

Chciałem się cofnąć, ale on już mnie zauważył. Bez wahania ruszył w moim kierunku. Jego twarz o silnych szczękach pasowała do atletycznych ramion wciśniętych w czarną marynarkę.

— Przyszedł pan.

Głos dobitny, typowy dla księdza. Bez śladu obcego akcentu.

— Ksiądz wyznaczył mi to spotkanie? — zapytałem głupio.

— A któż inny?

— Kim ksiądz jest? — zapytałem z pewną obawą.

— Andrzej Zamorski, nuncjusz Stolicy Apostolskiej. Pełnię tę funkcję w wielu krajach, również we Francji i w Polsce. Dziwnym zrządzeniem losu zostałem ambasadorem innego kraju w mojej własnej ojczyźnie.

Teraz już dało się słyszeć bardzo lekki akcent. — I jaki jest cel tego spotkania? Dlaczego właśnie tutaj? Uśmiechnął się. Widziałem dokładnie każdy szczegół jego twarzy. Wyraziste rysy, srebrzyste włosy na skroniach. Jasne oczy

o lodowatym błękanie. Nos nie pasował do reszty: delikatny, prosty, niemal kobiecy, niestosowny w tej twarzy instruktora komandosów.

- Prawdę mówiąc, nigdy nie rozstawaliśmy się.
- Książd mnie śledził?
- Nie było potrzeby. Szliśmy tą samą drogą.
- Na obecnym etapie mam już dość zagadek.

Przyklęknął, po czym szybko podniósł się, wskazując na boczne, słabo oświetlone drzwi.

- Proszę pójść za mną.

## 82

Zakrystia wyłożona jasnym drewnem przypominała szwedzką saunę. Pachniało sosną i kadzidłem. I na tym kończyło się podobieństwo, bo było tutaj piekielnie zimno.

- Proszę podać mi płaszcz. Wsuszymy go.

Bez sprzeciwu wykonałem polecenie.

- Herbata, kawa?

Zamorski powiesił mój płaszcz na grzejniku elektrycznym. W rękę już trzymał termos, który odkręcał energicznym ruchem.

- Kawę, proszę.
- Mam tylko neskę.
- Nie szkodzi.

Wsypał łyżeczkę proszku do plastikowego kubka, po czym zalał wrzącą wodą.

- Cukru?

Pokręciłem przecząco głową i wziąłem ostrożnie kubek.

- Czy mogę zapalić?
- Naturalnie.

Postawił obok mnie popielniczkę. Te oznaki uprzejmości, grzeczne maniery między dwoma nieznajomymi, z morderstwami i opętaniem w tle, były surrealistyczne.

Zapaliłem camela, sadowiąc się na krześle. Jeszcze nie pozbyłem się rozczarowania z powodu nieobecności Manon, tajemniczej, kryjącej się za witrażami kobiety. Czułem jednak, że to nieoczekiwane spotkanie przyniesie coś nowego.

- Książd wziął drugie krzesło, obrócił je i usiadł na nim okrakiem,

krzyżując ręce na oparciu. Jego zachowanie na luzie robiło wrażenie wyreżyserowanego, wystudiowanego.

— Pan wie, co mnie interesuje, prawda?

— Nie.

— To znaczy, iż jest pan w tym mniej zaawansowany, niż przypuszczałem.

— Kim ksiądz jest? Czego ksiądz szuka?

— Czy mówi panu coś skrót KIK?

— Nie bardzo.

— Klub Inteligencji Katolickiej powstały po drugiej wojnie światowej. Należał do niego Jan Paweł II, kiedy jeszcze nazywał się Karol Wojtyła. W epoce „Solidarności” jego członkowie odegrali istotną rolę. Przynajmniej taką, jak Wałęsa i ludzie wokół niego skupieni.

— Czy ksiądz należy do tej grupy?

— Kieruję specjalną komórką, która powstała w latach sześćdziesiątych. Komórką... operacyjną.

— Mówił ksiądz, że jest nuncjuszem Watykanu.

— Pełnię również funkcje dyplomatyczne, które pozwalają mi podróżować i rozszerzać... moją siatkę.

Domyśliłem się reszty. Nowy front działań Kościoła zajmujący się sprawą Uratowanych Bez Światła i ich zbrodniami. Z pewnością jednak w sposób bardziej energiczny niż teoretyk van Dieterling. Kościelni gliniarze.

— Interesują księdza posiadane przeze mnie materiały?

— Tak, śledzimy pańskie dochodzenie z zainteresowaniem. Jak na policjanta przywykłego do przyziemnych spraw dał pan dowód wielkiej otwartości umysłu.

— Jestem katolikiem.

— Właśnie. Mógłby pan mieć uprzedzenia ludzi w pańskim wieku i traktować wypadki opętania jedynie jako objawy choroby umysłowej. Taka nowoczesna postawa lekceważy istotę problemu. Wróg jest tutaj. Brutalny, wszechobecny, ponadczasowy. Proszę mi wierzyć, że Bestia była na początku świata i będzie na jego końcu. Próbujemy jedynie ją okiełznać.

W moim umyśle wirowały słowa, obrazy — przepowiednie w Apokalipsie świętego Jana, kłębiące się piekło, otwierające się na dzień Sądu Ostatecznego, egzorcyci u wezłowią opętanych dzieci, zmagający się *mano a mano* z demonami w Brazylii, w Afryce... Mimo woli znalazłem się w centrum podziemnej

krucjaty. Odpowiedziałem głosem, któremu usiłowałem nadać beztroski ton:

— Nie można powiedzieć, żeby mi ksiądz bardzo pomógł.

— Są drogi, które trzeba przejść samodzielnie. Każdy krok zbliża nas do celu.

— Można by uratować niejedno życie.

— Niech pan w to nie wierzy. Zaszliśmy dalej niż pan, to prawda. Ale nie dalej niż „on”. Nie da się przewidzieć, kiedy i gdzie uderzy.

Zaczynałem mieć już dosyć traktowania diabła jako realną, wszechpotężną istotę. Odbiłem piłeczkę.

— Co ksiądz szczególnie interesuje z posiadanych przeze mnie informacji?

— Przede wszystkim nie wiemy, do czego pan dokładnie doszedł. Ponadto znalazł się pan na terytorium, które jest dla nas niedostępne.

Van Dieterling i jego archiwa. Te dwie grupy pewnie ze sobą rywalizują. Zamorski nie wiedział nic lub prawie nic o Agostinie Geddzie. Może będę miał sposobność „odprzedania” danych z mojego śledztwa tym dwóm konkurentom, niczym sługa dwóch panów Goldoniego. Polak, udając zmartwionego, potwierdził moje przypuszczenie.

— Współdziałanie w naszych szeregach nie jest satysfakcjonujące, zwłaszcza w dziedzinie demonologii. Włosi z Watykanu uważają, że ta domena do nich należy i odmawiają współpracy.

Bez trudu wyobrażałem sobie, jak te dwie frakcje toczą ze sobą boje. Van Dieterling miał w zanadrzu Agostinę. Zamorski na pewno posiadał własne archiwa.

— Jeśli chcecie uzyskać ode mnie informacje — powiedziałem — proponuję coś w zamian.

Ksiądz podniósł się z krzesła. Jego stalowy wzrok mówił: „Niech pan nie posuwa się za daleko”. Odrzekł jednak spokojnym tonem:

— Ma pan, Mathieu, niebywałe szczęście, że jeszcze pan żyje i nie postradał pan zmysłów. Znalazł się pan na terenie, gdzie toczy się prawdziwa wojna.

— Chodzi o wojnę między różnymi religijnymi ugrupowaniami?

— Nie. Rywalizacja między nami to tylko rzecz drugorzędna. Mam na myśli prawdziwy konflikt, wskutek którego naprzeciw siebie stanie Kościół i potężna sekta satanistyczna. Mówię o bliskim

niebezpieczeństwie, które zagraża nam, żołnierzom Boga, ale także wszystkim chrześcijanom na tej planecie. Nie byłem pewien, czy go dobrze zrozumiałem.

— Czy chodzi o Uratowanych Bez Światła?

Zamorski przeszedł się z rękami założonymi na plecach.

— Nie. Uratowani Bez Światła są raczej stawką w tej batalii.

— Nie rozumiem.

Nuncjusz wyjął gruby kawałek kartonu z pogiętej teczki stojącej za pulpitemi z nutami.

— Zna pan ten znak?

Narysował koło, przeciął je w dolnej partii poprzeczną linią, dorysował kilka ogniw. Tatuaż Cazeviela i rysunek na sygnecie Moraza. Tak więc był to symbol satanistycznej sekty.

— Widziałem go już dwa razy.

— Gdzie?

— Był wytatuowany na torsie pewnego mężczyzny, a wygrawerowany na sygnecie innego.

— Według moich informacji obaj nie żyją.

— Jeśli zna ksiądz odpowiedź, po co te pytania?

Zamorski uśmiechnął się i odwrócił karton.

— Patrick Cazeviel. Richard Moraz. Pierwszy zginął na schodach w Watykanie trzydziestego pierwszego października. Drugi, nazajutrz, w pobliżu domu doktora Bucholza, w okolicy Lourdes. Zabił pan obu. Jeśli chce pan zawrzeć ugodę, musi pan być ze mną szczery.

— Kto mówił o ugodzie?

Uderzył dłonią w karton.

— Nie chce pan wiedzieć, co oznacza ten rysunek?

— Dojdę do tego sam.

— Oczywiście. Ale możemy panu oszczędzić czasu. Przeszedł się po pokoju krokiem zamaszystym, spokojnym.

Miałem już dość tych wybiegów.

— Jak nazywa się ta sekta?

— Poskromieni. Uważają się za niewolników demona. Stąd ich symbol: żelazna obręcz. Mają również nazwę Skrybowie. Sekty satanistyczne to moja specjalność. Moim prawdziwym zajęciem jest ściganie tych grup po całym świecie. Ze wszystkich, z jakimi się zetknąłem, Poskromieni stanowią grupę najbardziej bezwzględna, najbardziej niebezpieczną.

— Jak wygląda ich kult?

— Dla większości grup satanistycznych — odrzekł Zamorski z gestem oznaczającym, iż będzie to dłuższe wyjaśnienie — diabeł jest tylko pretekstem, żeby oddawać się nierządowi, narkotykom, różnym mniej lub bardziej nielegalnym czynnościom. Niekiedy ich praktyki idą dalej: morderstwa, składanie ofiar, nakłanianie do samobójstwa... Najczęściej jednak ograniczają się do profanowania cmentarzy. Po prostu inna odmiana przestępczości. Nie ma w tym elementów transcendencji ani niczego nadprzyrodzonego. Kiedy ci zdeprawowani ludzie próbują wejść w kontakt z ich „mistrzem”, odbywa się to w trakcie śmiesznych, na — Przypuszczam, że Poskromieni nie należą do tej kategorii.

— Poskromieni to prawdziwi sataniści, którzy żyją dla zła. Prowadzą życie ascetyczne, surowe. To bezlitośni zabójcy, okrutnicy, gwałciciele. Popołniają zło na zimno, z wyrachowaniem. Są odpowiednikiem naszych mniczów. Potężni, liczni, niewidzialni. Nie stanowi dla nich problemu uprawianie nierządu pod ołtarzem w kościele czy stosunek z kozłem. To prawdziwi zbrodniarze, którzy dążą do transcendencji poprzez zło i destrukcję. Dla nich komunią świętą jest zbrodnia, cierpienie, deprawacja. Ponadto są niezwykle zintegrowani. Łączy ich sekretna misja.

Zapaliłem następnego papierosa, podsycając własne wewnętrzne piekło.

— A jest nią...

— Gromadzenie poleceń diabła. Poskromieni, jeśli nie zabijają to zbierają słowa diabła. — Zamorski przerwał i odetchnął głęboko. Przez cały czas nie przestawał chodzić. Jeszcze bardziej niż przedtem przypominał swym wyglądem generała w trakcie kampanii wojennej. — Musi pan wiedzieć — mówił dalej — że kult satanistyczny cierpi na brak rzeczy fundamentalnej. Nie ma własnej świętej księgi. Żadnego, choćby najmniejszego tekstu. W historii satanizmu znajdzie pan mnóstwo czarnych biblii, całe tomy dotyczące demonologii, różne piśmidła, świadectwa. Jednakże nie ma tam dzieła, które mogłoby uchodzić za przekaz nauk demona. Tłumaczy się to tym, że diabeł nie jest gadatliwy.

Jak błyskawica przemknął mi przez myśl obraz księdza w podniszczonej sutannie, z którym rozmawiałem w Lourdes. „Oni nie mają księgi, rozumie pan?”. Ten fanatyk mówił o Poskromionych.

— Gdzie więc znajduje się jego słowo? Gdzie zostało zapisane? — zapytałem.

W jego oczach pojawił się przebiegły błysk.

— Mnie pan o to pyta? — Rozłożył ręce. — Przecież mówimy właśnie o przedmiocie pańskiego dochodzenia!

Powinienem być o tym pomyśleć. Uratowani Bez Światła. Jedyne istoty na świecie, które podczas śpiączki miały realny kontakt z demonem.

— Poskromieni szukają Uratowanych Bez Światła?

— To kierunek ich poszukiwań. Ich zdaniem ci cudem uratowani ludzie są depozytariuszami tego jedyne w swoim rodzaju przekazu. Przekazu, który muszą zapisać w ich księdze. I dlatego określa się też ich mianem „Skrybów”. Piszą pod dyktando diabła.

— Przede wszystkim, jak sądzę, starają się odczytać Przysięgę Otchłani?

Zamorski przytaknął.

— Właśnie do tego celu sprowadza się ich misja: odczytać Przysięgę, słowa, które pozwolą dotrzeć do Złego i paktować z nim.

— Cazeviel i Moraz należeli do tej sekty?

— Od dawna.

— To znaczy przed utonięciem Manon?

— Oczywiście. To oni sprowadzili dziewczynkę na złą drogę. Uzależnili, nakłaniali do aktów satanistycznych, których się wtedy dopuszczała. Nie wiemy, do czego tak naprawdę dążyli. Z pewnością chcieli stworzyć z niej istotę niemoralną, która przyciągnęłaby uwagę samego Szatana.

— Kiedy zorientowali się, że Manon żyje?

— Z chwilą śmierci Sylvie Simonis.

— Czy wiadomo, jak się tego dowiedzieli?

— Od Stephane'a Sarrazina.

Na dźwięk nazwiska żandarma aż drgnąłem.

— Dlaczego ich uprzedził?

— Bo był ich współnikiem — uśmiechnął się nuncjusz. — Stephane Sarrazin, kiedy jeszcze nazywał się Thomas Longhini, był także jednym z Poskromionych. Razem z tamtymi dwoma deprawował dziewczynkę.

I znowu zaprzepaszczonego czasu. Przez cały czas, choć nie mogłem tego dowiedzieć, czułem, że tych trzech mężczyzn coś łączyło. Sławetna maksyma o trzydziestu procentach... Moraz, Cazeviel, Longhini... We trzech przyczynili się do śmierci Manon. Nadal jednak byłem sceptyczny.

W osiemdziesiątym ósmym roku Thomas Longhini miał

trzydzieści lat. Był uczniem. Moraz był zegarmistrzem. Cazeviel włamywaczem. W jaki sposób mogli się poznać?

— Nie prześledził pan dokładnie ich przeszłości. Richard Moraz był nie tylko zegarmistrzem. Był również kolekcjonerem, a także paserem. Tą drogą poznał Cazeviela, który odprzedawał mu skradzione przedmioty.

— A Thomas?

— Thomas był zbrojcem zdeprawowanym z natury. Podniecało go wchodzenie w nocy do domów obcych ludzi i podglądanie ich. Lub podkradanie bibelotów. Tak poznał Moraza, któremu potem te przedmioty sprzedawał.

Moraz, Cazeviel, Longhini — trzy nocne ptaszki, których połączyło złodziejstwo i nocne wypadki. Potem odkryli w sobie jeszcze coś wspólnego — kult diabła.

Wyobraziłem sobie cały przebieg zdarzeń. Thomas Longhini po kilku miesiącach zakochał się w Manon i nie chciał już, żeby sprowadzano ją na złą drogę. Przestraszył się. Powiedział o tym rodzicom, potem psychiatrze, Alemu Azounowi, ale nie mógł wyznać całej prawdy. Mówił aluzjami, w których kryła się istota sprawy. Chciał położyć kres zniewalaniu Manon. To, co na początku było perwersyjną zabawą — uwodzenie młodej dziewczynki — stawało się niebezpieczne. Manon naprawdę zachowywała się jak opętana. A jej matka, bezradna, gotowa była ją zabić.

— Jeśli dobrze zrozumiałem, trzech wspólnicy dopiero tego lata dowiedzieli się, że Manon żyje. Przyszło im na myśl, że może być Uratowaną Bez Światła. Istotą ocaloną w przeszłości przez demona. A tacy ludzie byli przedmiotem ich zainteresowań.

— Otóż to. Tymczasem Manon znikła. Albo wyczuła zagrożenie ze strony tych fanatyków, albo bała się zabójcy matki.

Mimochodem zanotowałem w myślach, że Zamorski nie brał pod uwagę winy Manon. Odczułem jakąś niepojętą ulgę. Wolałem, żeby Manon nie okazała się winną...

Co do reszty, moje własne informacje pasowały do tej łamigłówki. Tamci trzej szukali Manon tak jak i ja. Moraz i Cazeviel postanowili mnie usunąć, żebym nie odnalazł jej przed nimi. Natomiast Longhini, alias Sarrazin, zdecydował się współpracować ze mną. Dlaczego? Czy zamierzał mnie zabić, gdy już wypełnię swoją misję? A może liczył na to, że wypłoszę innych Uratowanych Bez Światła?



Wróciłem do podstawowego problemu. Czy Zamorski wiedział, gdzie ukryła się Manon? To pytanie parzyło mi usta, ale chciałem przedtem jeszcze wysondować ewentualnego partnera.

— Dlaczego ksiądz mi to wszystko opowiada?

— Już powiedziałem, że interesują mnie pańskie informacje.

— Wygląda na to, że ksiądz wie więcej niż ja.

— O sprawie Simonis. Ale są jeszcze inne aspekty w tym dochodzeniu.

— Agostina Gedda?

— Na przykład. Wiemy, że rozmawiał z nią pan w Malaspinie. Chcemy dostać jej zeznania.

— Van Dieterling nie współpracuje z wami?

— Powtarzam panu, że mamy inny pogląd na tę sprawę. Przyjął pana w siedzibie Kurii Rzymskiej. Ma dostęp do znajdujących się w Bibliotece Watykańskiej archiwów niezwyklej wagi. Do dokumentów, które pan przejrzał.

Postanowiłem zablokować.

— Rzeczywiście, mam notatki, które mogłyby wzbogacić wasze dossier. A wy? Co macie dla mnie? Opowieść o Poskromionych to za mało. Wcześniej czy później sam bym odkrył ich istnienie.

— To była część darmowa naszej umowy. Żeby pana przekonać, że nie działamy po omacku.

— Macie inną monetę przetargową?

— Nie do pogardzenia.

— Co takiego?

— Manon Simonis.

— Wiecie, gdzie przebywa?

— Jest pod naszą opieką.

Zatkało mnie, mimo to zdołałem wyksztusić:

— Gdzie?

Zamorski wziął mój płaszcz i podał mi go.

— Nie boi się pan podróży samolotem?

## 83

Lotnisko Le Bourget przypominało muzeum pod gołym niebem. Louve aeronautyki, którego rzeźbami były samoloty Mirage, Boeingi, rakiety Ariane. W deszczowym mroku można było się

domyślić samolotów stojących pod plandekami, hangarów z pierwszymi latającymi maszynami, połyskujących kadłubów, skrzydeł... Czarny mercedes Andrzeja Zamorskiego sunął po wilgotnym asfalcie. Po raz kolejny podziwiałem luksusowe wnętrze: przydymione szyby, skórzane fotele, wyściełany miękko sufit, drzwiczki zdobione różnym drewnem.

— Mój mały kraj ma pewne zasoby — skomentował emisariusz Watykanu. — Kiedy wysyłają mnie na teren wroga, otrzymuję wszystkie konieczne środki.

— Francja jest terenem wroga?

— Byłem tu tylko przejazdem. Dojechaliśmy.

Samochód stanął przed budynkiem z oświetlonym parterem. Wyjąłem torbę z bagażnika — Zamorski zgodził się podjechać do mojego mieszkania, żebym mógł zabrać rzeczy, a przede wszystkim teczkę z

W sali dwóch pilotów zapoznawało się z planem lotu, stewardzi o wyglądzie ochroniarzy zaproponowali nam szampana, kawę i słone paluszki. Choć była godzina pierwsza w nocy, starali się wyglądać świeżo niczym kwiaty.

Falcon 50EX kołował na pasach manewrowych, przebijając reflektorami ciemności nocy. Stojąc przed oszkloną ścianą, pomyślałem, że mam do czynienia z prałatem, którego stać na to, żeby wyczarterować prywatny samolot. Jak widać, Zamorski nie był zwykłym duchownym. Ale ja już przestałem dziwić się czemukolwiek. Dałem się nieść wydarzeniom, obserwując światła odbijające się na mokrym pasie sta— Chodźmy. Pilot już się niecierpliwi.

— Bez kontroli celnej?

— Mam paszport dyplomatyczny.

— Dokąd się udajemy?

— Wyjaśnię panu w czasie lotu.

Zbuntowałem się.

— Nie wejdę na pokład samolotu, jeśli nie dowiem się, dokąd lecimy.

Polak wziął moją torbę.

— Lecimy do Krakowa. Tam ukrywa się Manon. W klasztorze. To bardzo bezpieczne miejsce.

Poszedłem za nim po płycie lotniska. Jego czarna sutanna lśniła podobnie jak mokra nawierzchnia asfaltowa. Spoglądając na jego dłoń zaciśniętą na uchwycie mojej torby, pomyślałem, że równie

dobrze wyglądały z bronią w ręce. Chwilę później pomyślałem też o gloucku, którego miałem przy pasie. Ten potajemny wyjazd miał swoje dobre strony — nikt mnie nie przeszukał.

W kabinie falcona było sześć skórzanych foteli ze stolikami z lakierowanego drewna akacjowego. Małe lampki pod sufitem lśniły niczym drobinki złotego kruszcu. Czekwały na nas kosze z owocami i oszronione butelki szampana w wiaderkach z lodem. Sześć miejsc dla lej— Proszę usiąść, gdzie się panu podoba.

Wybrałem pierwszy fotel z lewej strony. Dwaj księża, którzy dołączyli do nas w polskim kościele, zajęli miejsca z tyłu za mną. Dwa olbrzymy, w koloratkach, nie odezwali się jak dotąd ani słowem. Zamorski usiadł naprzeciw mnie i zapiął pas. Szczęk klamry był jakby sygnałem, gdyż natychmiast rozległ się warkot silników.

Samolot wzbił się w górę. Wewnątrz cały czas panowała senna atmosfera. Przez okrągłe okienko przyglądałem się pierwszym obłoczkom. Pomiędzy srebrzystymi chmurami pojawiało się granatowe niebo. Nie była to już noc, to był świat od drugiej strony zwierciadła.

— Napije się pan czegoś?

Zamorski zanurzał już rękę w kostkach lodu. Odmówiłem gestem. Przede wszystkim chciałem zapalić papierosa. Mój gospodarz znowu odgadł moje myśli.

— Może pan palić. Ewidencja korzyść z prywatnych lotów: możemy się czuć jak u siebie w domu.

Zapaliłem camela, czując, jak powraca we mnie nieufność pod wpływem tak okazywanych mi względów. Kim był naprawdę ten prałat kryjący się za swymi grzecznymi manierami? Jakie były jego intencje? Dokąd mnie naprawdę zabierał? Może brnąłem w pułapkę, gdzie przynętą była Manon? Po długim sztachnięciu się powiedziałem stanowczo:

— Niech mi ksiądz opowie o Manon.

— Co chce pan wiedzieć?

— Jak ksiądz się dowiedział o jej wypadku?

— Najprościej w świecie. Przez proboszcza jej parafii, ojca Mariotte'a. Po próbie zabójstwa w osiemdziesiątym ósmym roku zwierzył się księdzu egzorcycie z Besancon. Informacja doszła aż do nas. Nasza siatka jest bardzo rozbudowana.

— Czy wiedzieliście już wtedy, że Manon żyje?

— Dowiedzieliśmy się tego po krótkim dochodzeniu. Od tej chwili czuwaliśmy nad nią cały czas.

— Czy uważaliście, że była opętana?

— Wydawało się to wysoce prawdopodobne.

— Dlaczego?

— Zebraliśmy wiele zeznań o jej zachowaniu przed zabójstwem. Oczywiście byli i podejrzani w tej sprawie: Cazeviel, Moraz, Longhini. Już wtedy znajdowali się na naszej liście. Ta sprawa miała związek z satanizmem.

— A co było potem?

Zamorski wzruszył ramionami.

— Mała dorastała bez żadnych objawów dewiacji. Bez najmniejszej oznaki opętania przez demona.

— Była pod opieką psychologów.

— Nie miało to nic wspólnego z diabłem. Po prostu nie mogła się otrząsnąć z szoku po całej tej historii. Co oczywiście jest zrozumiałe.

— Czy sądzicie, że zabiła swoją matkę? — Nie miałem już czasu, żeby dobierać słowa.

— Nie.

— Skąd ta pewność?

— Przebywa w naszym klasztorze od trzech miesięcy. Jest niewinna. Żadna kobieta nie mogłaby tak udawać. To prawdziwy... promyk światła.

Agostiną Gedda też była promykiem światła. A w końcu stała się potworem. Chciałem jednak wierzyć Zamorskiemu.

— Tak więc, waszym zdaniem, nie przeżyła negatywnego doświadczenia podczas śpiączki?

— Manon nie zachowała żadnego wspomnienia z tego okresu. W każdym razie, bez względu na to, co przeżyła w wodzie, nie zostawiło to najmniejszego śladu na jej osobowości.

Kiwnąłem potakująco głową, ale przypomniałem sobie, jak ostrzegano mnie w Katanii przed Agostiną Geddą. Słowa van Dieterlinga, że trzeba mieć się na baczności: „Niezliczone są sztuczki i podstępny diabeł, by oszukać ludzi...”. Komu więc można wierzyć w takim kontekście?

Przeszedłem do problemów natury ogólnej:

— Czy tak naprawdę wierzy ksiądz w istnienie Uratowanych Bez Światła?

— Doświadczenie negatywne istnieje. Może być ono traumatyczne.

— Do tego stopnia, żeby tego, kto je przeżył, zmienić w istotę agresywną, w zbrodniarza?

— W niektórych wypadkach tak.

— Ale czy rzeczywiście za tym wszystkim kryje się diabeł? Mam na myśli prawdziwą negatywną istotę, deprawatora dusz?

Zamorski uśmiechnął się. Lampy w kabinie przygasły. W przyćmionym świetle łagodnie połyskiwały skórzane fotele. Co jakiś czas płomień silników na końcach skrzydeł, rozdzierając chmury, oświetlał przez okienka nasze twarze.

— Badamy te zjawiska od wielu lat. Kiedy znajdzie się pan w Krakowie, lepiej pan zrozumie nasze stanowisko.

— Wróćmy do wypadków szczególnych. Czy Agostina Gedda jest rzeczywiście opętana?

— Van Dieterling nie ma żadnych wątpliwości. Z tego, co wiem, wszystko na to wskazuje.

— Słyszał pan nazwisko Raimo Rihimaki?

— Oczywiście.

— Uratowany Bez Światła?

— Z pewnością przeżył negatywne doświadczenie. Raimo zwierzył się psychiatrze. Opowiedział mu o swojej wizji. To doświadczenie zmieniło go w maszynę do zabijania.

— Agostina i Raimo są więc sprawcami morderstw, o które się ich oskarża?

— Mathieu, jest pan w gorącej wodzie kąpany. Proszę poczekać, aż będziemy w Krakowie. Tam...

— Czy ci cudownie ocaleni są zabójcami, czy nie? Czy byli w stanie użyć kwasów, wszczepić insekty, umieścić ten fosforyzujący porost w ciele swych ofiar, działać dokładnie w taki sam sposób, będąc od siebie oddaleni o tysiące kilometrów?

Zamorski trzymał kieliszek pieniacego się szampana. Upił łyk, po czym odrzekł:

— Po wielu latach nasza grupa wyrobiła sobie opinię w tej sprawie.

— Jaką?

— Obok doświadczenia negatywnego mógłby występować jeszcze inny czynnik. Jakaś szczególna okoliczność.

— To znaczy?

— Ktoś z zewnątrz, kto kontaktowałby się z tymi zabójcami i pomagał im.

Hipoteza, którą brałem pod uwagę od początku. Wspólnik

Uratowanych Bez Światła. Inspirator, człowiek z krwi i kości. Ten, który wyrwał na korze: CHRONIĘ URATOWANYCH BEZ ŚWIATŁA...

— A więc w zabijaniu miałby pomagać im jakiś człowiek?

— W każdym razie zachęcać do tego.

— Człowiek, który podawałby się za diabła?

— Tak, ktoś, kto uważałby, że działa w imieniu diabła.

— Czy macie dowody potwierdzające tę hipotezę?

— Tylko zbieżność pewnych elementów. Przede wszystkim sposób działania. Uratowani Bez Światła przedtem nigdy nie działali tą metodą. Można sobie wyobrazić, że jakiś człowiek, nie ujawniający się, podsuwa im taką technikę.

Van Dieterling mówił o „mutacji”, o przesłaniu zawartym w powtarzających się rytualnych mordach. Instynkt gliniarza skłaniał mnie raczej do przyjęcia wersji o udziale kogoś trzeciego, współnika ukrytego w Zamorski kontynuował.

— Poza tym wzrost liczby takich wypadków. W poprzednich wiekach Uratowani Bez Światła zdarzali się bardzo rzadko. Tymczasem teraz mamy trzy przykłady w ciągu paru lat: tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty dziewięć, dwa tysiące, dwa tysiące dwa... A z pewnością są i inne. Jaka jest tego przyczyna? Niewykluczone, że dzieje się tak za sprawą jakiegoś człowieka. Zbrodniarza, który sam nie zabija, ale inspiruje do tego ludzi po przeżytych szoku. Jest jakby emisariuszem diabła popychającym ich do czynienia zła.

Moje przypuszczenia, zawieszane dotąd w próżni, teraz znalazły wyraźne potwierdzenie w słowach nuncjusza. Przyszła pora, żeby wyjaśnić zagadkę, która bezpośrednio jego dotyczyła.

— Dwa tygodnie temu widziałem księdza w kaplicy Świętej Bernadetty. Była tam odprawiana uroczysta msza w intencji policjanta w

— Luca Soubeyrasa. Znam go dobrze. Prowadził to samo śledztwo co pan. A raczej, dla ścisłości, to pan robi to samo co on.

— Usiłował popełnić samobójstwo. Czy wie ksiądz dlaczego?

— Luc był bardzo egzaltowany. Istny kłębek nerwów. To śledztwo go zniszczyło.

— I to wszystko?

— W tej sprawie trzeba być przygotowanym na przekroczenie pewnych granic. Na wizytę poza krańcami naszego świata. Ale

przede wszystkim trzeba być zdolnym do powrotu stamtąd! Luc, mimo całej swojej pasji, nie był wystarczająco silny.

Nic na to nie powiedziałem. Pomyślałem o satanistycznych przedmiotach znalezionych przez Laure. Czy Luc przekroczył czerwoną linię? Wróciłem do Zamorskiego i jego rozmowy z Doudou w kaplicy. Wspominałem o pudełku, które widziałem w ich rękach. Piórniku z ciemnego drewna.

— To były dokumenty ze śledztwa prowadzonego przez Luca — wyjaśnił Polak. — W całości zapisane na pendrivie. Luc uprzedził mnie, że gdyby miał jakieś kłopoty, jego zastępca przekaże mi te dokumenty. W pewnym sensie byliśmy partnerami.

— Doudou zeznał, że waszym hasłem było: „Znalazłem przejście”. Jaki jest sens tego zdania?

— Luc interesował się obsesyjnie NDE. Przepaść, studnia, przejście...

— To samo zdanie powiedział żonie przed samobójstwem. Dlaczego?

— Z tego właśnie powodu. Luc myślał tylko o tym tunelu. To była jego idee fixe. Ale to słynne „przejście”, brama, wciąż było dla niego niedostępne. Sądzę, że jego samobójstwo jest przyznaniem się do klęski.

Zamorski mylił się. Luc nie popełnił samobójstwa dlatego, że stracił nadzieję. Byłem pewien, że nie tylko nie doznał niepowodzenia, ale przeciwnie — zaszedł dalej niż ja. Może za daleko?

— Na mszy w kaplicy Świętej Bernadetty widziałem, jak ksiądz robił znak krzyża w odwrotnym kierunku.

— Zwykła ostrożność. Żegnając się w ten sposób, chciałem ustrzec się przed złym wpływem przedmiotów znajdujących się w tym pudełku. Leczyć zło, przez zło. Rozumie pan?

— Nie.

— To nic ważnego. Drobiazg. — Nachylił się do okienka i spojrzął na zegarek. — Zaraz będziemy na miejscu.

W bębenkach uszu poczułem wzrost ciśnienia. Samolot podchodził do lądowania.

— W kościele powiedział mi ksiądz, że jego specjalnością są Poskromieni. Jaką oni odgrywają rolę w sprawie Uratowanych Bez Św — Już panu mówiłem, że ich szukają, tropią.

- A wy próbujecie zająć miejsce między tymi dwoma frontami.
- Tak, śledząc Uratowanych Bez Światła, spotykamy na tej drodze Poskromionych.
- Jaki jest ich stosunek do Uratowanych Bez Światła? Czy ich czczą?
- Do pewnego stopnia. Traktują ich jako wybranych. Ale przede wszystkim chcą wydobyć z nich zeznania. Żeby osiągnąć ten cel, nie wahają się ich porywać, oszalać narkotykami, torturować. Wszystkie sposoby są dobre, żeby odczytać słowa diabła.
- Co macie konkretnie na myśli, mówiąc, że Poskromieni to jedna z najbardziej niebezpiecznych sekt?
- Zamorski podniósł brwi, dając tym do zrozumienia, że to przecież oczywiste.
- Miał pan tego dowód, spotykając się z Morazem i Cazeviem. Poskromieni zabijają, gwałcą, niszczą. Oddychają złem, jak my oddychamy otaczającym nas powietrzem. Występek leży w ich naturze. Sami siebie również okaleczają, torturują. Sadyzm i masochizm to dwie twarze ich egzystencji.
- W jaki sposób zdobyliście tyle informacji o tak tajnej sekcje?
- Mamy świadectwa.
- Skruszonych?
- Wśród nich nie ma skruszonych. Ale są tacy, co przeżyli.
- Rzuciłem kątem oka na czarne chmury za oknem. W uszach nadal czułem szum.
- Czy Poskromieni są również w Krakowie?
- Niestety, tak. Od niedawna. W naszym mieście dzieją się rzeczy świadczące o ich obecności. Torturowani, poćwiartowani, spaleni żywcem bezdomni. Zamęczone zwierzęta złożone w ofierze. Ta krew jest ich znakiem.
- Czy wiedzą, że Manon jest w Krakowie?
- To z jej powodu tu są, Mathieu. Mimo całej naszej ostrożności zlokalizowali ją.
- A więc są przekonani, że jest ona jedną z Uratowanych Bez Światła?
- Zamorski obserwował światła iskrzące się na skrzydłach samolotu.
- Wylądowaliśmy.
- Proszę mi odpowiedzieć: czy dla Poskromionych Manon jest Uratowaną Bez Światła?



Spojrzał na mnie wzrokiem twardszym od lodu. — Uważają ją za wcielenie Antychrysta. Że wróciła z ciemności, by głosić słowo diabła.

## 84

Kraków pogrążony w ciemnościach. Porysowane mury, wyboiste ulice, wstęgi postrzępionej mgły nad wieżami i dzwonicami. Całość przywodziła na myśl *Noc Walpurgii*. Brakowało jedynie wilków i czarownic. Jechałem znowu limuzyną, w której czułem się jak na widmowym statku. Przez cały czas towarzyszyło mi dziwne wrażenie kojącego oderwania się od rzeczywistości.

Samochód zatrzymał się przed wysokim ciemnym budynkiem, okolonym parkiem, w pobliżu wąskich uliczek z przejściem dla pieszych. Przed wejściem czekali na nas duchowni. Wzięli nasze bagaże, otworzyli drzwi. Ich białe kołnierzyki przesuwają się w ciemności niczym błędne ogniki. Poszedłem za nimi.

Wewnątrz dostrzegłem patio z zadbanym ogrodem, kolumny, czarne sklepienia. Poszliśmy schodami na prawo. Stukanie sandałów księży przypominało przemarsz żołnierzy. Sama przez się nasuwała się myśl o wojskowej twierdzy.

Otworzono drzwi przeznaczonej dla mnie celi. Granitowe ściany ozdobione tylko krucyfiksem. Łóżko, biurko, stolik nocny czarny jak ściany. W kącie za płóciennym parawanem mała łazienka, której chłód wywoływał dreszcze na grzbiecie.

Moi przewodnicy zostawili mnie samego. Wymyłem zęby, unikając spojrzenia w lustro, po czym wsunąłem się pomiędzy wilgotne prześcieradła. Nie zdążyłem się jeszcze rozgrzać, a już zasnąłem jak kamień, o niczym nie śniąc.

Kiedy się obudziłem, pokój przecinała smuga nieruchomego światła. Poszukałem wzrokiem jego źródła — małe, zakratowane okienko, zalane ostrym blaskiem słońca. Szyby z przezroczystymi kulami powiększały tę jasność jak pod lupą.

Spojrzałem na zegarek: godzina jedenasta rano.

Wyskoczyłem z łóżka i wzdrygnąłem się od panującego w pokoju przenikliwego zimna. W jednej chwili przypomniałem sobie wszystko. Spotkanie z Zamorskim. Podróż prywatnym odrzutowcem. Przyjazd do tej czarnej cytadeli, gdzieś w nieznanym mieście.

Oplukałem twarz lodowatą wodą, ubrałem się w czyste rzeczy i wyszedłem. Korytarz z parkietem z szerokich deseczek. Ciemne, złotawo lśniące obrazy, drewniane figury świętych męczenników, dziewic wizjonerek z gładkiego marmuru. Doszedłem do wysokich drzwi z rzeźbionym obramowaniem. Anioły z rozłożonymi skrzydłami, męczennicy przebici strzałami lub trzymający własne głowy pod pachami, błogosławiący swoich katów. Przypomniało mi to *Bramę Piekieł* Rodina.

Nacisnąłem klamkę i ujrzałem dziedziniec.

Cztery budynki tworzyły patio podzielone regularnymi trawnikami i przyciętymi krzakami. Solidność. Bastion wiary, który przetrwał nazistowskie bombardowania i socjalistyczne szturmy. Każdy z dwupiętrowych budynków miał arkady z balustradami. Znajdowałem się w części środkowej, na pierwszym piętrze. Poszedłem galerią aż do

Wszędzie pusto. Żadnej sutanny w zasięgu wzroku. Ledwie wyszedłem na żyrowane podwórze, gdy rozbrzmiały dzwony. Uśmiechnąłem się w duchu, wdychając czyste, zimne powietrze. Napawałem się tą cudowną atmosferą.

Ogród utrzymany był w renesansowym stylu — trymowane krzewy tworzyły regularne prostopadłości, cyprysy zgrupowane były w centrum wokół okrągłego placu. Wzdłuż galerii stały ławki, a w głębi połyskiwały witraże w oknach. Przeszedłem przez dziedziniec. Usłyszałem głuchy szum. Skręciłem i pchnąłem kolejne drzwi.

W refektarzu zalanym jaskrawym światłem stały długie stoły. Połyskiwały konwie z wodą, zaroodporne półmiski dymiły niczym lokomotywy. Przy każdym stole jadło i piło ośmiu księży. Ich nieskazitelne sutanny, w kolorach bieli i czerni, kontrastowały z wybuchami śmiechu i odgłosami jedzenia. W sali panowała radosna atmosfera młodości. Wyglądało na to, że polscy księża w czasie zimnej wojny całkiem dobrze się odżywiali dzięki ich warzywnikowi.

Ktoś pomachał ręką ponad głowami innych. To Zamorski siedzący sam przy stole. Precisnąłem się pomiędzy stołami i podszedłem do niego. Pozostali nie zwracali na mnie żadnej uwagi.

— Spał pan dobrze?

Wskazał miejsce przed nim. Usiadłem, żałując w duchu, że nie wypaliłem papierosa w ogrodzie. Teraz było już za późno. Na stole nakrytym obrusem tkanym w deseń, z połyskującymi kryształami-

wymi kieliszkami zdobionymi srebrem, przygotowano śniadanie dla dwóch osób.

— Przepraszam — powiedziałem zmieszany. — Nie wiedziałem, która godzina...

— Ja także dopiero co wstałem. Ominęła nas msza. Częstuj się.

Zwrócił się do mnie na „ty”, co wydawało się zupełnie na miejscu tego rana. Nie wiedziałem, co wybrać. Na stole ujrzałem cienkie plasterki marynowanych ryb, kawior uformowany w stożki, czarny i biały chleb, małosolne ogórki, a także jeżyny, borówki, maliny. Zastanawiałem się w duchu, skąd księża wytrzasnęli je o tej porze roku.

— Wódki? A może za wcześnie na nią?

— Wolałbym kawę.

Nuncjusz kiwnął ręką. Z cienia wyłonił się ksiądz, który obsłużył mnie bez słowa.

— Gdzie się znajdujemy?

— W klasztorze Świętej Scholastyki na starym mieście. Należącym do benedyktynek.

— Benedyktynek?

Zamorski nachylił się do mnie. Jego nos błyszczał w słońcu.

— To godzina seksty — powiedział konfidencylnym tonem. — Kiedy siostry modlą się w kaplicy, my sobie jemy śniadanie.

— Czy ksiądz należy do tego zakonu?

Zamorski otworzył łyżeczką jajko na miękko.

— Tylko tu mieszkam.

— Chyba jest to niezgodne z regułą klasztoru?

Zanurzył łyżeczkę w białku.

— To prawda. Ale kto będzie szukał duchownych naszego pokroju w klasztorze benedyktynek?

— Waszego pokroju?

— Jedz. Co nie zabija, to tuczy, jak mówią u nas.

— Co znaczy waszego pokroju?

Nuncjusz westchnął.

— Faktycznie jesteś jansenistą. Nie umiesz korzystać z życia. -

Skończył jajko kilkoma ruchami łyżeczki, po czym odsunął krzesło. -

Wypij kawę. Zjesz później.

Wypiłem jednym haustem. Gorący płyn parzył gardło. Zamorski już był na progu.

W galerii promienie słońca i cienie kolumn tworzyły biało-czarny deseń, który podkreślał panujące zimno. Zamorski skierował się do schodów.

— Nasze biura mieszczą się w podziemiu.

Ukazał się tunel oświetlony ukrytymi lampami. Kamienne mury pokrywała patyna wieków. Mimo to zdecydowanie królowała tu nowoczesność i technika. Upewniłem się o tym, kiedy Zamorski przyłożył palec do czytnika biometrycznego. Widziałem tę fortecę od zewnątrz, teraz miałem odkryć jej serce.

Za stalową ścianą obszerne pomieszczenie ze sklepionym sufitem przypominało halę w redakcji codziennej gazety. Połyskiwały ekrany komputerów, szumiały drukarki ustawione pod kolumnami, zewsząd słychać było wibrujące dzwonki telefonów, faksów, dalekopisów. Krzątali się przy nich księża w koszulach z zakasnymi rękawami. Pomyślałem, że może jest to filia „Osservatore Romano”, oficjalnego organu Stolicy Apostolskiej, ale czuło się tutaj atmosferę wojskowej tajemnicy.

— To sala kontroli — potwierdził moje przypuszczenie Zamorski.

— Kontroli nad czym?

— Nad naszym światem. Świat katolicki stale narażony jest na niebezpieczeństwo, stale atakowany. My czuwamy, widzimy, reagujemy.

Ruszył środkowym przejściem. Czuło się ciepło idące od komputerów, powiew systemu wentylacyjnego. Dwóch mężczyzn w białych kołnierzykach rozmawiało przez telefon po arabsku.

— Nasz wiara — wyjaśnił Zamorski — ma do czynienia z wszelkiego rodzaju wrogami. Nie wszystkie problemy można rozwiązać za pomocą modlitwy i dyplomacji.

— Proszę mówić jaśniej.

— Na przykład ci księża są w stałym kontakcie z rebeliantami z Sudanu, animistami, którzy, jak sądzę, są jednocześnie trochę chrześcijanami. Udzielamy im pomocy. I nie tylko w postaci worków z ryżem. Najważniejsze, żeby powstrzymać islam.

— To chyba duże uproszczenie.

— Jesteśmy w stanie wojny. A wojna to uproszczone spojrzenie na świat.

Mówił o tym jako o czymś całkiem oczywistym. Taki był naturalny porządek rzeczy. Na prawo od nas czterej księża prowadził rozmowę po hiszpańsku.

— Ci tutaj zajmują się terytorium Ameryki Południowej, gdzie sytuacja jest dość skomplikowana. Nie możemy wchodzić tam w konflikt z ludźmi, którzy trzymają władzę, w rękach w których jest handel narkotykami, wojsko, gdzie kwitnie korupcja. Musimy z nimi prowadzić negocjacje, grać na zwłokę, a niekiedy nawet wchodzić w sojusze z najgorszymi bandytami. *Ad Majorem Dei Gloriam!*

Podszedł do grupy ludzi, którzy czytali gazetę w jakimś słowiańskim języku.

— Najbrudniejszą robotę wykonujemy w Chorwacji. Ochramiamy katów, wykonawców wyroków. Są chrześcijanami i zwrócili się do nas. Nasz Pan nigdy nie odmawiał pomocy, prawda?

Przypomniały mi się artykuły w gazetach, z których wynikało, iż sędziowie Trybunału Międzynarodowego podejrzewają, iż Watykan i chorwacki Kościół ukrywają w klasztorach franciszkanów generałów oskarżonych o zbrodnie przeciw ludzkości. Okazuje się, że to prawda.

— Nie rób takiej miny. Przecież obaj wykonujemy taką samą robotę, każdy w swojej dziedzinie. Nie jesteś jedynym, który ubrudził sobie ręce.

— Kto wam powiedział, że mam brudne ręce?

— Twój przyjaciel Luc opowiedział mi o waszej teorii na temat zawodu policjanta.

— To tylko teoria.

— Zgoda, podzielam ten punkt widzenia. Niektórzy muszą wykonywać brudną robotę, żeby wszyscy inni mogli żyć z czystym su— Czy mogę zapalić?

— Lepiej wyjdźmy stąd.

Stanęliśmy pod czarnym sklepieniem tuż obok ogrodu. Zapach żywicy, wilgotnych liści, nagrzanego słońcem żwiru na ścieżkach. Wyjąłem camela i zaciągnąłem się z rozkoszą. Pierwszy papieros tego dnia... Za każdym razem to samo uczucie odrodzenia.

— Wczoraj wspomniał ksiądz o Klubie Inteligencji Katolickiej i że należycie do jakiejś specjalnej grupy. Jaka jest jej nazwa?

- Nie ma nazwy. Najlepszym sposobem na zachowanie tajemnicy jest brak tajemnicy. Jesteśmy zakonnikami-rycerzami, spadkobiercami *milites Christi*, którzy bronili Ziemi Świętej, ale nie stworzyliśmy zakonu.

Znowu w pamięci przesunęły mi się obrazy. Hiszpańskie klasz-

tory-twierdze czasu rekonkwisty w dwunastym wieku, zamki wzniesione na pustyni palestyńskiej pełne krzyżowców przestrzegających klasztorne reguły. Klasztor, w którym się znalazłem, nasunął mi te skojarzenia.

— Zajmujecie się więc problem satanizmu?

— Liczni są nasi wrogowie, Mathieu, ale główny, najbardziej niebezpieczny, stale obecny, to ten, któremu udało się nas przekonać, że już nie istnieje.

Przypomniał mi się często cytowany fragment z wiersza *Paryski Spleen* Charles'a Baudelaire'a, w którym poeta mówi, że najpiękniejszym oszustwem diabła jest to, że przekonał ludzi, iż nie istnieje. Zamorski wyraził to samo w inny sposób:

— Zło nie jest zwykłą ułomnością, jest dziełem istoty żyjącej, mającej duszę, zepsutej, zdeprawowanej. To straszna, tajemnicza i groźna prawda. Czy wiesz, kto wypowiedział tę myśl?

— Paweł Szósty, na audiencji generalnej piętnastego listopada tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku. To zdanie wywołało wówczas ogromne wzburzenie.

— Właśnie. Watykan już wtedy traktował diabła poważnie, ale nasza pozycja znacznie się wzmocniła za Jana Pawła Drugiego. Czy wiesz, że Karol Wojtyła dokonywał sam egzorcyzmów? — Uśmiechnął się przelotnie. — Wszystko, co widziałeś tam na dole, on finansował. Większa część naszych wydatków jest przeznaczona na walkę z diabłem.

Stanąłem na progu galerii plecami do słońca. Zamorski przysiadł na kamiennym występie ze śladami mchu. Od momentu, kiedy zobaczyłem tutejsze podziemie, dręczyło mnie jedno pytanie:

— Czy Luc Soubeyras był tutaj?

— Tylko raz.

— Musiało mu się podobać to miejsce.

— Luc był prawdziwym żołnierzem. Ale powtarzam: brakowało mu obowiązkowości, dyscypliny. Za bardzo wierzył w demona, żeby z nim skutecznie walczyć.

Pomyślałem o znalezionych przez Laure przedmiotach kultu satanistycznego.

— Żeby walczyć z Szatanem — mówił dalej Zamorski — trzeba umieć zachować dystans. Nie wierzyć w niego, nie słuchać go. Brzmi to paradoksalnie, ale żeby mu się przeciwstawić, należy go traktować jak chimere, iluzję.

Rozgniotłem papierosa o ścianę, po czym schowałem niedopałek

do kieszeni. Zamorski opierał się o kolumnę. Z całej jego sylwetki, białej koloratki, siwych włosów, emanowała siła wojownika. Kontakt z nim fascynował, dawał dziwne poczucie bezpieczeństwa.

— A czy ksiądz wierzy w diabła? — zapytałem. — W jego fizyczną i duchową realność?

Roześmiał się.

— Żeby odpowiedzieć na to pytanie, potrzebowałbym całego dnia. A może i jeszcze nocy. Czytałeś *Cenę strachu*?

— Dawno temu.

— Pamiętasz motto powieści?

— Nie.

— Georges Arnaud napisał z grubsza tak: „Dokładność geograficzna jest zawsze oszustwem. Gwatemala, na przykład, nie istnieje. Wiem to, bo tam żyłem”. Mógłbym to samo odpowiedzieć na temat diabła. „Zły nie istnieje. Wiem to, bo walczę z nim już od czterdziestu lat”.

— To gra słów.

Zamorski podniósł się i wciągnął głęboko do płuc powietrze, zdradzając tym samym, jak bardzo jest zmęczony.

— Demon realnie jest wszędzie, Mathieu... We wszystkich sektach, gdzie w zdeprawowanych mężczyznach i kobietach objawiają się najgorsze cechy. W zamkniętych zakładach psychiatrycznych, gdzie przebywają schizofrenicy przekonani, iż są opętani. Ale przede wszystkim w każdym z nas, w takich momentach, kiedy pod wpływem żądy, pragnienia, nieświadomości dusza nasza wybiera otchłań. Czy nie można wnioskować z tego, że na nasze umysły działa jakaś realna, magnetyczna siła, rodzaj groźnej czarnej dziury?

— Wierzy więc ksiądz w złowróżbną postać, która istniała przed początkiem świata? W moc transcendentną, która jest źródłem zła we wszechświecie?

Zamorski uśmiechnął się nieznacznie. Zrobił kilka kroków, po czym wrócił do mnie.

— Przede wszystkim wierzę w to, że mamy dużo do zrobienia. Chodź. — Spojrzał na zegarek. — Niedługo masz spotkanie.

— Jakie spotkanie?

- O siedemnastej Manon będzie na ciebie czekać tutaj, w tym ogrodzie. Na ławce, którą tam widzisz.

Dzień nad Polską kończył się wcześniej. A może to nadchodziła burza? A może moja percepcja światła nie była taka sama? Kiedy o wyznaczonej godzinie wróciłem do ogrodu, odniosłem wrażenie, że drzewa, krzaki, witraże pogrążyły się już w mroku. Słaby poblask światła przezierał jeszcze wśród gałęzi cyprysu, krzewów, odbijał się od ołowianych ramek wokół postaci w witrażowych oknach.

Wszedłem na dziedziniec. Nagle u stóp kolumny z popiersiem świętego Stanisława zauważyłem białą plamę. Dostrzegłem jasne włosy kontrastujące z szarością kamiennej ławki. Siłą rzeczy nasuwało się wspomnienie opery Masseneta *Manon*, której wielokrotnie słuchałem w okresie studiów, tej sceny, gdy bohaterka spotyka po raz pierwszy kawalera Des Grieux: „Ktoś idzie! Szybko, na moją kamienną ławkę...”.

Jeszcze trzy kroki i przeszło mnie wzruszenie, niczym kula trafiająca w pierś.

To ona! Manon Simonis!

Zjawą, o którą ocierałem się od tyłu dni, nie wiedząc, że naprawdę istnieje. Oparta o postument, z głową pochyloną nad książką. Nie potrafiłem wyobrazić sobie, jak mogłaby wyglądać dzisiaj, mając w pamięci małą dziewczynkę z białymi brwiami, ale już w żadnym wypadku nie spodziewałem się tego, co ujrzałem.

Manon nadal była blondynką, a raczej jasną szatynką, ale z figury niczym nie przypominała wątłej dziewczynki z fotografii. Wyrosła na kobietę o pełnych kształtach, silnie zbudowaną. Pod białym pulowerem z deseniem z grubych warkoczy uwypuklały się duże piersi, a jej dłonie z daleka wydały mi się ogromne.

Podszedłem bliżej i zobaczyłem jej profil. Nadal miała rysy dziewczynki z Sartuis. Prosty, śliczny nosek o idealnych proporcjach, nad nim duże oczy. Manon czytała z uniesionymi do góry brwiami, z włosami rozczesanyymi na dwie strony jak u hipiski.

Odkaszlnąłem. Podniosła głowę i uśmiechnęła się. I wtedy zdarzyło się coś niezwykłego. Wrażenie było tak silne, tak gwałtowne, że doznałem olśnienia. Ale to już nie ja go doświadczałem. Ktoś z zewnątrz, odbicie mojej osoby, oceniający doniosłość wpływu tego zjawiska na mojego sobowtóra. Jednocześnie jakiś



wewnętrzny głos szeptał mi: „Byłeś przygotowany na to. Całe twoje dochodzenie prowadziło do tego spotkania”.

— Jest pan tym francuskim policjantem?

Uśmiechnęła się, odsłaniając nieco zęby. Przesunęła się na bok, robiąc mi miejsce na ławce. Jej pełne piersi zakolysały się. Anemiczna kiedyś dziewczynka przypominała teraz ślicznotki z kalendarzy „Playboya”. Machnęła książką w pożątkłej okładce:

— Mają tutaj trochę francuskich książek. Religijnych. Znam je na pamięć.

Wymieniła kilka tytułów, ale nic z tego do mnie nie dotarło. Moje zmysły przyćmił wstrząs, jakiego doznałem przy spotkaniu z nią. Jak wtedy, gdy od nagłego wybuchu pękają bębni w uszach albo jaskrawe światło oślepia wzrok. Zrobiłem ogromny wysiłek, żeby wrócić do rzeczywistości.

— Czy wie pani, dlaczego tu jestem?

— Andrzej mi to wyjaśnił. Przyjechał pan, żeby zadać mi parę pytań.

— Nie wydaje się pani zdziwiona moją wizytą.

— Ukrywam się od trzech miesięcy. Spodziewałam się, że mnie odnajdą. Policja uwielbia mnie przesłuchiwać.

Co ona wiedziała o przebiegu dochodzenia? Czy słyszała o samobójstwie Luca? O śmierci Stephane'a Sarrazina? Nie. Kto w tych ponurych murach miałby ją o tym informować? Na pewno nie Zamorski.

Usiadłem i z uczuciem suchości w gardle powiedziałem:

— Nie jestem śledczym. Nie w tym znaczeniu, jak pani myśli. Nie pełnię żadnej oficjalnej funkcji.

— To co pan tu robi?

— Jestem przyjacielem Luca. Luca Soubeyrasa.

Pokiwała z lekka głową. W półmroku przywodziła na myśl fotografie Davida Hamiltona lub wizerunki dzieci kwiatów z lat siedemdziesiątych. W wiankach z kłosów zbóż i kwiatów na głowach. Byłem za młody, żeby znać tę epokę, ale zawsze wyobrażałem ją sobie jako okres szczęśliwości. Erę idealizmu, buntu, eksplozji muzyki. Widziałem teraz przed sobą jedną z tych wróżek minionych dni.

- Jak on się ma? — zapytała z roztargnieniem.

- Świetnie — skłamałem. — Został przeniesiony do innej roboty.

Ja przejąłem jego śledztwo.

- No to odbył pan tę podróż na darmo.

— Dlaczego?

— Nic nie mogę panu powiedzieć. Tylko nie i nie. — Przechyliła głowę na bok i zaczęła wyciszać mechanicznym tonem: — Czy pamięta pani, co się wydarzyło dwunastego listopada osiemdziesiątego ósmego roku? Nie. Czy wie pani, kto próbował utopić panią w tej studni? Nie. Czy pamięta pani coś ze stanu śpiączki? Nie. Ma pani jakieś podejrzenia w sprawie morderstwa pani matki? Nie. Mogłabym tak kontynuować jeszcze długo... Na wszystkie pytania mam tylko jedną odpowiedź.

Przymknąłem oczy, wdychając zapach wilgoci i liści, coraz intensywniejszy wraz z zapadającym mrokiem. Zanosilo się na burzę, ale zimniejszą, dotkliwszą niż w Jurze. W polskim wydaniu. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów nie miałem ochoty na papierosa. Spojrzałem na okładkę książki: *Ciasna brama* Andre Gide'a.

— Podoba się to pani?

Zrobiła niezdecydowaną minę. Patrząc na jej pełne wargi, pomyślałem mimo woli o sutkach jej piersi. Jakie były? Delikatne i różowe jak te usta? Coś we mnie powoli narastało. Nie było to ostre, gwałtowne, wstydlive pożądanie, jakiego doświadczyłem przy dyrektorze w Malaspinie. Ale pragnienie pełne, ukształtowane, oderwane od jakiejkolwiek myśli.

— Nie podoba się pani ta historia? — dopytywałem się, koncentrując się na książce.

— Wydaje mi się... płytka.

— Nie zgadza się pani z poglądami bohaterki?

— Dla mnie religia jest jak szeroko otwarte okno. Z pewnością nie czymś tak ciasnym jak w tej powieści.

W młodości czytałem to dzieło Gide'a ze dwadzieścia razy. Opowieść o dziewczynie, która wołała Boga niż swego narzeczonego, miłość duchową niż związki cielesne. Dziś nic z tego nie pamiętałem poza tym, że dwoje młodych bohaterów wyrażało się w niezwykle górnolotny

— Gide mówi o poświęceniu siebie samego, bo tego wymaga złączenie z Bogiem. Trudności stąd wynikające są jak brama, przejście, filtr. A na końcu znajduje się czystość, która...

Skwitowała tę moją refleksję lekceważącym gestem. Znowu wyobraziłem sobie jej krągłości pod swetrem, niebieskie żyłki na białej skórze. Żar we mnie narastał. Byłem w stanie erekcji.

— Jakie poświęcenie? — zapytała twardszym tonem. — Czy

samozniszczenie ma prowadzić do Boga? Tak naprawdę jest zupełnie odwrotnie! Trzeba być sobą, wsłuchiwać się w siebie, żeby odnaleźć zbawienie. Takie jest przesłanie Chrystusa: Pan jest w nas!

— Pani jest katoliczką?

— Gdybym nią nie była, to bym się nią stała. Tu nie ma nic innego do roboty!

Machinalnie przewróciła kilka stron książki. Spoważniała. Teraz twarz jej była napięta. Twarda, ponura. Ta młoda dziewczyna kryła w sobie niczym tajemnicę inną osobę, poważną, surową, niespokojną, o mrocznej urodzie.

Uświadomiłem sobie, że coś do mnie mówi.

— Słucham? Przepraszam, trudno mi się skoncentrować...

Zaśmiała się chrypliwym, niemal męskim głosem. Jej twarz znowu była promienna. Między wargami błysnęły ząbki białe jak śnieg.

— Możemy sobie mówić na ty, prawda? Nie za często ktoś mnie tu odwiedza.

— Pani... nudzisz się tu?

— Szczerze mówiąc, zdycham z nudów.

Nasza rozmowa przypominała grzeczną wymianę zdań z jakiegoś filmu, tyle tylko, że nie było w tym żadnej logiki ani związku, jakby ktoś pomieszał strony scenariusza.

— Przedtem — podjęła Manon — byłam studentką na wydziale biologii. Miałam przyjaciół, egzaminy, kawiarnie, do których lubiłam chodzić. Wyleczyłam się z moich dawnych lęków, ze stanu wiecznego napięcia... — Podwinęła pod siebie nogę i poprawiła frędzle u dzinsów. — A potem przyszło ostatnie lato. Moja matka zniknęła. Znalazłam się sama naprzeciw policjantów, zagrożona nie wiem czym, nie wiem przez kogo. W jednej chwili powrócił koszmar. Pojawił się Andrzej i namówił mnie, żebym się tu schroniła. Był bardzo przekonujący. Teraz nie wiem, co o tym myśleć. Ale przynajmniej czuję się bezpieczna.

Deszcz. Świeży powiew rozszedł się po galerii. Milczałem. Musiałem mieć nietęgą minę. Manon znowu się roześmiała i pogłaskała mnie po policzku.

— Mam nadzieję, że zostaniesz i będziemy się nudzić we dwoje!

Dotyk jej palców podziałał na mnie jak prąd elektryczny. Nie czułem już pożądania, lecz coś bardziej uniwersalnego. Upojenie, które przypominało miłosne odrętwienie. Wpadłem w pułapkę.

Gdzie była ta Manon, której obraz stworzyłem sobie przedtem? Mała dziewczynka, która przeżyła śmierć? Kobieta podejrzana o morderstwo, o pakt z diabłem, o szerzenie złowróznej ideologii?

— Pora audycji Radia Watykan — zawołała, patrząc na zegarek. — To jedyna tutaj rozrywka. Nie ma nawet telewizji! Wyobrażasz sobie?

Wstała. Deszcz przybrał na sile.

— Chodź. Potem zjemy pyszny barszcz!

## 86

Tej nocy, w mniszej celi, musiałem stawić czoło mojemu najbardziej intymnemu wrogowi. Pustce swego życia uczuciowego.

Jeśli chodzi o to, miałem dwa różne okresy. Pierwszy to czas miłości do Boga. Bez skazy, czysty. Kiedy uczęszczałem do seminarium w Rzymie, kobiety w ogóle mnie nie interesowały. Nie cierpiałem z tego powodu, nie odczuwałem żadnego braku. Moje serce było zajęte. Po co zapalać zapałkę w kościele pełnym żyrandoli?

I ta iluzja trwała. Niekiedy, oczywiście, tętno biło mi szybciej, w podbrzuszu czułem płomień. Następował wtedy wyczerpujący cykl masturbacji, modlitw, pokuty. Swego rodzaju własna sala tortur...

Wszystko to uległo zmianie w Afryce.

Czekały tam na mnie krew, trupy. W wigilię rwandyjskiego ludobójstwa w baraku z falistej blachy przekroczyłem czerwoną linię. Nie wspominałem tego. Tak, jak niechętnie wspomina się krakę samochodową. Szok, wewnętrzny wstrząs który eliminował wszystkie zewnętrzne okoliczności. Nie odczułem najmniejszej przyjemności, najmniejszego wzruszenia. Jednego jednak byłem pewien, że ta kobieta, jej ciało, jej śmiech uratowały mi życie.

Czułem wobec niej podświadomą wdzięczność za to, że uwolniła mnie od tego ciężaru. Nie ulega wątpliwości, że gdybym jej nie spotkał, oszalałbym. Mimo to rankiem wynikałem się bez pożegnania. Zaciskając zęby, uciekałem przez miasto jak złodziej. A przez głośniki na ulicach Kigali Radio Tysiąca Wzgórz wzywało wciąż do aktów nienawiści...

Schroniłem się w kościele w Butamwa na południe od Kigali, gdzie przez trzy dni, nie kładąc się spać, modliłem się, błagałem niebo o przebaczenie, zdając sobie sprawę z tego, że w jakiś sposób moja modlitwa była bardziej szczerza, a miłość do Boga lepsza.

Odtąd byłem już wolny. W końcu pogodziłem się z moją naturą, że nie potrafię oprzeć się pokusom ciała, że pociąga mnie przemoc. I nie chodziło o pokusę zewnętrzną, ale wewnętrzną — nie miałem w sobie hamulca, tej zdolności tłumienia pożądania. Wreszcie byłem sam ze sobą szczerzy, dzięki czemu, choć to zaskakujące, osiągnąłem większą czystość duszy. Znajdowałem się w kościele, pogrążony w myślach, kiedy do mojej kryjówki przybyli pierwsi uciekinierzy.

Było to dziewiątego kwietnia.

Niedawno został zestrzelony samolot, na którego pokładzie leciał prezydent Juvenal Habyarimana.

Natychmiast pomyślałem o tej kobiecie, że zostawiłem ją bez jednego spojrzenia, bez pocałunku. Była z plemienia Tutsi. Wróciłem więc do Kigali, szukałem jej w kościołach, szkołach, budynkach biurowych. Myślałem tylko o jednym — ona uratowała mi życie, a mnie nie było przy niej, żeby uchronić ją przed śmiercią.

Kontynuowałem poszukiwania dniem i nocą, coraz częściej grzebiąc wśród trupów. Na ulicach, w rowach, obok baraków, potem w kostnicach, gdzie ciała zmarłych leżały stosami, okrwawione, poszarpane, okrutnie okaleczone. Podnosiłem głowy, odsłaniałem tuniki. Moje ręce, całe ciało cuchnęło śmiercią. Wewnętrznie sam czułem się jak trup. Nigdy nie odnalazłem tej kobiety.

Masakry, otwarte doły, stosy palonych żywcem ludzi, W tym piekle wciąż szukałem miłości. Miałem inne kochanki, w obozach humanitarnych w Kibuye, na granicy z Zairem. Nie przestawałem myśleć o tej, która zaginęła w Kigali. Dręczyły mnie wyrzuty sumienia, odraza do siebie samego. Ale mimo szerzącej się wokół cholery i gangreny, kiedy spychacze grzebały tysiące ciał, ja nadal uprawiałem miłość, na chybił trafił szukając partnerek w namiotach, w nocy, o każdej godzinie, wbrew poczuciu pustki i winy. Jak wszyscy inni byłem w jakimś transie, ogarnięty strachem, paniką, rozpaczą.

To seksualne szaleństwo skończyło się atakiem paraliżu. Powrót samolotem sanitarnym do Francji. Transport do szpitala Świętej

Anny w Paryżu, lam, dzięki lekom, pożądanie minęło. Bestia została uszpiona środkami odurzającymi.

Błogi spokój trwający całe lata.

Najmniejszego zainteresowania kobietami.

Potem górę wzięła chrześcijańska duma. Znowu ślubowałem wyłączną miłość Bogu. Nie było już mowy o dzieleniu się moim sercem czy ciałem, który przeznaczyłem wyłącznie dla Pana. Znalazłem się w nowym impasie.

Brakowało mi już sił, żeby nadal być księdzem.

Nie miałem też odwagi być mężczyzną.

Uratowała mnie praca policjanta. Jako kapitan BRP, „obyczajówki”, zacząłem spotykać się z jedynymi istotami, które mogły mi pomóc — prostytutkami. Miłość bez miłości — taka była moja droga. Ulga dla ciała bez angażowania umysłu. Znalazłem dla siebie pokrętne rozwiązanie.

Zachowałem upodobanie do czarnoskórych kobiet, takich jak pierwsza. Odwiedzałem spelunki Keur Samba i Ruby'ego, jak również agencje towarzyskie. Wietnamki, Chinki, Tajlandki...

Egzotyka, nieznane języki odgrywały rolę filtru, dodatkowej tamy. Nie można zakochać się w kobiecie, kiedy z trudem wymawiało się jej imię. Oddawałem się w ten sposób iluzji, upokarzałem moje partnerki, brałem je w posiadanie, dominując nad nimi siłą, raktując je po prostu jak obiekty seksualne. Możecie mieć moje ciało, ale nie duszę!

Ta iluzja nie trwała długo. Wyrzekłem się miłości, ale ona nie wyrzekła się mnie. Gdy po kolejnym brudnym akcie onanizmu odzyskałem jasność myśli, zawładnął mną ogromny smutek. Tej nocy znowu mi czegoś zabrakło. A to „coś” uciskało mnie w gardle. Może chroniła mnie wiara, egzotyka, samo ciało, ale wciąż odczuwałem głęboki, pełen goryczy niedosyt. W utrzymywanych przeze mnie pozorach było świętokradztwo. Zdeptałem miłość, a ona, zbrukana, wydrwiona, sprofanowana, wracała w całej swojej okazałości, pod postacią okrutnej rany...

*Godzina 22.00*

Po wysłuchaniu w bibliotece audycji radiowej uciekłem do mojej celi, rezygnując z obiadu i wspólnej wieczornej modlitwy, miałem trzydzieści pięć lat, a dręczył mnie głęboki, instynktowny

lęk przed Manon, która dwoma uśmiechami przyparła mnie do ściany. Ściągała niebezpieczeństwo na samą siebie, bo mogła zawalić się moja krucha, iluzoryczna strategia obrony przed kobietami.

Postanowiłem zająć się śledztwem.

W płaszczu, drżąc z zimna, zasiadłem przy niewielkim biurku, na którym, jako jedyne ustępstwo na rzecz nowoczesności, zainstalowano komputer. Za pośrednictwem Internetu zajrzałem na strony interesujących mnie gazet. W jednej z nich, „La Republique des Pyrenees”, na stronie czwartej, umieszczono artykuł o znalezieniu dwóch ciał w pobliżu miejscowości Mirel, w okolicy Lourdes. Doktor Pierre Bucholz przedstawiony został jako ważna postać dla życia tego maryjnego miasteczka, opisano także zabójcę, którym był Richard Moraz, obywatel szwajcarski, wiek — pięćdziesiąt trzy lata, zegarmistrz. W artykule omawiano następnie różne niejasne punkty tej sprawy, a zwłaszcza zastanawiano się, kto z kolei zabił Moraza, oraz jaki mógł być motyw zabójstwa Bucholza — dlaczego jakiś szwajcarski rzemieślnik, tysiąc kilometrów od swojego domu, zamordował lekarza na emeryturze,

Przeszedłem do „Courrier du Jura”, gdzie poświęcono długi artykuł Stephane'owi Sarrazinowi, kapitanowi żandarmerii, którego znaleziono zamordowanego w wannie w jego łazience. Żadnej wzmianki na temat napisu na kafelkach ani słowa o torturach. Ostrożność żandarmów? Przewoźność prokuratora? Do wyjaśnienia sprawy oddelegowano kapitana Bernarda Brugena ze służb śledczych w Besancon. Z ramienia sądu miała się tym zająć Corine Magnan, która prowadziła sprawę Simonis.

Autor artykułu nie spekulował na temat okoliczności wydarzenia, po prostu stwierdzał, że zbrodnia ta jest niewytłumaczalna. Brak motywu, brak świadków, brak podejrzanych. Dziennikarz przedstawiał także portret Sarrazina: wzorowy funkcjonariusz, wyróżniający się w zawodzie. Zanotowałem fakt, że nie odkryto jeszcze prawdziwego nazwiska tego żandarma, czyli Thomasa Longhiniego, uwikłanego w śledztwo w sprawie zabójstwa Manon Simonis w osiemdziesiątym ósmym roku.

Nie potrwa to jednak długo. Wyobrażałem sobie łańcuchową reakcję. Od Sarrazina dojdą do sprawy zabójstwa Sylvie Simonis. Potem do zabójstwa Manon Simonis. A stąd do odkrycia, że Manon żyje, będzie już tylko krok. Ile czasu może potrwać,

zanim na trop trafią media, zanim żandarmeria z Besancon zacznie szukać Manon?

Chwyciłem komórkę. Byłem w zasięgu sieci. Wysłuchałem wiadomości. Nic poza telefonem od matki, która dziękowała mi za duchowy „kontakt”, który jej dałem. Od rozmowy z ojcem Stephane'em czuła się „znacznie bardziej pogodzona z sobą samą”. Uśmiechnąłem się w duchu. Takie informacje robiły na mnie wrażenie, jakby pochodziły z innej planety, ale oczywiście wizyta u zakonnika nie mogła nikomu

Nie było natomiast żadnych wieści od Foucaulta, Malaspeya, Svendsena.

Trzeba znowu nimi potrząsnąć.

Gdy Foucault usłyszał mój głos, zawołał:

— Kurwa, Mat, gdzie ty jesteś?!

— W Polsce. Nie mam czasu ci tego wyjaśniać.

— Dumayet wścieka się na nas...

— Przedzwonię do niej.

— Już to mówiłeś. Mamy tutaj burdel.

— Nie mam od ciebie wiadomości. Posunąłeś się naprzód?

— W całej Jurze aż się gotuje. Wczoraj zabito żandarma i...

— Wiem.

— Jest to związane z twoją sprawą?

— Tak.

— Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej.

— Nie masz innych wiadomości?

— Dzwonił Svendsen. Nie udało mu się z tobą skontaktować. Faceci z Ogródu Botanicznego potwierdzili informacje Mathiasa Plinkha. Sakrabeusz może pochodzić z wielu krajów: Kongo, Benin, Gabon... Sprawdzono wszystkie hodowle w Jurze. Bez rezultatu.

Z wielkim trudem słuchałem tego, co mówił. Te stare tropy wydawały mi się odległe o lata świetlne od tego, z czym miałem do czynienia obecnie. Zmusiłem się do koncentracji.

— Przeszliśmy środowisko kolekcjonerów — kontynuował Foucault.

— Nie sposób prześledzić wszystkich dróg wymiany między nimi. Wysyłają jajeczka pocztą. Nie licząc ludzi, którzy wracają z Afryki, z owadami ukrytymi w szwach spodni. Twój skarabeusz mógł być przywieziony z każdego miejsca, w dowolny sposób.

Znowu byłem na właściwej fali.



- A czy Svendsen ma coś nowego w sprawie porostu?
  - Botanicy ustalili, że to gatunek afrykański. Rozwija się wewnątrz wielkich drzew tropikalnych, pod korą, gdy są w stanie rozkładu. Można też go znaleźć w skalnych grotach Europy, gdzie jest wystarczająco ciepło i wilgotno. Ale według specjalistów porost ten występuje przede wszystkim w centralnej Afryce.
  - W tych samych krajach co skarabeusz?
  - Tak. Gabon, Kongo, Afryka Centralna.
  - Gabon. Już ktoś mi o tym wspominał w trakcie tego dochodzenia, ale nie pamiętałem, kiedy i gdzie. Uznałem, że warto wziąć to pod uwagę.
  - Sprawdź — powiedziałem — czy w departamencie Jury nie ma jakiejś gminy gabońskiej albo w ogóle jakichś emigrantów ze środkowej Afryki. A może kogoś niedawno stamtąd deportowano?
  - To będzie raczej trudne.
  - Wykorzystaj urząd stanu cywilnego, policję, ANPE\*... Zajrzyj także do Internetu. — Foucault nie zdążył odpowiedzieć, bo zmieniłem temat: — Masz już dossier Raimo Rihimakięgo?
  - Jeszcze nie. Ale rozmawiałem z policją z Tallina. To historia jak z horroru. Rihimaki zamordował co najmniej pięć osób, w tym kobietę i jej siedmioletnią córeczkę w jakimś miasteczku na północy. Nie licząc dwóch gwałtów, trzech rozbojów itp. To jakiś szaleniec, w rodzaju Roberta Succa. Został nakryty w małej miejscowości, której nazwy nie jestem w stanie wymówić. Zatruli go na śmierć. Wylew krwi w oczodołach, pęknięta czaszka, liczne złamania, tak to wyglądało... Policjantom puściły hamulce. Facet przez miesiąc terroryzował okolicę.
  - A śpiączka?
  - Jaka śpiączka?
  - W którą zapadł po utopieniu się.
  - Mat, nikt nie widzi związku między tym wydarzeniem a jego zbrodniami. Tylko ty...
  - Czy możesz zdobyć historię jego choroby?
  - Po estońsku? Powodzenia, stary!
  - Możesz to zdobyć czy nie?
  - Zobaczę. Może uda się przetłumaczyć na rosyjski.
- Nie zareagowałem na ten dowcip.
- Informuj mnie na bieżąco.

\*ANPF (Agence Nationale pour l'Emploi) — biuro pośrednictwa pracy.

— Jak?

— Na telefon komórkowy.

— A co u ciebie? Może byś mi coś powiedział?

Trzeba było dać mu coś na pocieszenie.

— W Jurze zamordowano żandarma o nazwisku Stephane Sarrazin. Ale to fałszywe nazwisko. Naprawdę nazywał się Thomas Longhini.

— Ten chłopak, którego szukaliśmy?

— Ten sam. Został żandarmem, a w tamtym czasie był satanistą. Jego śmierć ma związek z moim dochodzeniem.

— To znaczy?

— Jeszcze nie wiem. Zadzwoń do SRPJ w Besancon i zapytaj, czy mają wyniki analizy z mieszkania Sarrazina. Na ścianie był napis zrobiony krwią.

— Byłeś tam?

— To ja znalazłem ciało.

— Nie można cię zostawić nawet na pięć minut.

— Dowiedz się, czy dokonali już analizy tej inskrypcji. Czy były odciski palców albo inne ślady. Nie wciągaj w to żandarmów, kapujesz? Nie mogą wiedzieć, że interesujemy się tą sprawą! Tak samo sędzia, niejaka Corine Magnan.

— Czy coś jeszcze?

— Skontaktuj się z wydziałem informacji ogólnej, z grupą zajmującą się sektami. Sprawdź, czy mają dane o grupie satanistycznej noszącej nazwę Poskromieni lub Skrybowie.

Cisza. Foucault notował. Na koniec powiedziałem:

— Popracuj nad tym. Wkrótce wracam. Wtedy opowiem ci o wszystkim szczegółowo.

Rozłączyłem się. Te kilka minut rozmowy nie posunęły sprawy naprzód, ale poczułem się raźniej. Nie traciłem wciąż nadziei, że wszystkie te wątki gdzieś się połączą. W punkcie, który wskaże jeśli nie nazwisko, to chociaż kierunek działania.

Zadzwoniłem do Svendsena. Mimo późnej pory jego głos brzmiał energicznie. Kiedy zorientował się, że to ja, ryknął:

— Co ty wyrabiasz?! Nie można się z tobą skontaktować! Nie masz nawet poczty głosowej!

— Jestem w Polsce.

— W Polsce?

— Nieważne. Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił.

— Mam sporo wieści.

— Słyszałem od Foucaulta.  
Szwed mruknął rozczarowany, że nie mógł osobiście poinformować mnie o swoich poszukiwaniach.  
— W Besancon miało miejsce morderstwo — mówiłem dalej. — Zabito żandarma.  
— Czytałem o tym wczoraj wieczorem w „Le Monde”.  
Jak widać, to zabójstwo przyciągnęło uwagę dzienników krajowych. Lada moment dokopią się do sprawy Simonis. Moja ekipa powinna unikać nie tylko żandarmów, ale również mediów.  
— Będzie sekcja zwłok — podjąłem. — Chciałbym, żebyś przedzwonił do Guillaume'a Vallereta, lekarza sądowego ze szpitala Jean-Minjoz w Besancon.  
— Nie znam go.  
— Znasz. Przypomnij sobie, prosiłem cię o informacje na jego temat.  
— To ten z depresją?  
— Właśnie. Poproś go o dokładne dane na temat stanu zwłok.  
— Dlaczego miałby mi to powiedzieć?  
— Rozmawiałem już z nim na temat Sylvie Simonis.  
— To ta sama sprawa?  
— Moim zdaniem ten sam zabójca. Bawi go rozkład ciała. Pogadaj z Valleretem, czy ten typ nie zrobił tego samego z ciałem żandarma.  
— Ciało było już w stanie rozkładu?  
Smród buchający w nos, roje much, krew na kafelkach.  
— Nie w takim stopniu, jak w wypadku Sylvie Simonis, ale morderca przyspieszył ten proces.  
— Widziałeś zwłoki?  
— Zadzwoń do Vallereta. Popytaj go i powiadom mnie.  
— Ten zabójca to facet, którego szukasz od początku?  
Napis w łazience: „Tylko ty i ja”. W drewnianym konfesjonale:  
»Czekałem na ciebie”. To raczej on mnie szukał. Oderwałem się od tych myśli i powtórzyłem:  
— Porozmawiaj z tym lekarzem sądowym.  
— Zaraz do niego zadzwonię.  
Wyłączyłem komórkę. Leżąc na łóżku, wpatrywałem się w otaczające mnie ściany. Czarne. Grube, niezniszczalne. Te same mury, które chroniły Manon...  
Nagle znowu znalazła się w centrum moich rozmyślań. Myśli niespokojnych, niepokojących... jak u młodzieniaszka.

— Nie — powiedziałem, potrząsając głową. Mówiłem głośno do samego siebie. Muszę się skupić na dochodzeniu, na niczym innym. Przepytać Manon Simonis. Wysondować jej pamięć i opuścić Polskę. Zanim stracę obiektywizm w jej sprawie.

## 87

*Środa 6 listopada*

Od dwóch dni krążyłem po Krakowie, unikając spotkania z Manon. Nie umiałem stawić czoła księżniczce. Nie miałem odwagi zgłębić własnych uczuć. Ogarniało mnie przerażenie na myśl, że może się jej nie spodobać, że spotka mnie niepowodzenie...

Zapomniałem o dochodzeniu, trwoniąc czas na błądzenie po mieście, nie odsłuchując nawet wiadomości w telefonie komórkowym. Jednak tego ranka postanowiłem się otrząsnąć. Wstałem, włączyłem komórkę. Foucault. Svendsen. Kilka razy, coraz bardziej zniecierpliwieni. Zadzwoiłem do nich, ale spotkało mnie to samo. Poczta głosowa. Była dopiero siódma rano.

Ubrałem się, nie wchodząc pod prysznic — za zimno. Włączyłem komputer. Sprawdziłem pocztę elektroniczną. W dalszym ciągu nie było akt Raimo Rihimäkiego w wersji angielskiej. Nie było też żadnych innych ważnych informacji. Zajrzałem znowu do interesujących mnie gazet. „Republique des Pyrenees”, „Courrier du Jura”, „Est Republicain”. Kolejne artykuły o zabójstwach Bucholza i Sarrazina. Nic ciekawego.

Wróciłem do chwili obecnej. Już w nocy nie mogłem opędzić się od myśli, żeby rozejrzeć się trochę po tym klasztorze, którego działalność zaczęła mi się wydawać coraz bardziej niejasna, mimo że zostałem oprowadzony przez Zamorskiego.

Chciałem wejść do głównej części w podziemiu. Nic z tego. Czujniki biometryczne, kamery, fotokomórki. Lepsza ochrona niż w strefie wojskowej. Inne pomieszczenia, na parterze, też miały swoje tajemnice. Poprzedniego dnia przejrzałem pobieżnie plan klasztoru. Budynki wokół centralnego dziedzińca ustawione były

na kształt litery „L”. Ten od strony północno-wschodniej zajmowały benedyktyнки, drugi, od strony południowo-zachodniej — księża. Każda strefa miała swoją kaplicę, żadnego wspólnego pomieszczenia, oprócz refektarza, gdzie mężczyźni i kobiety jedli posiłki na zmianę.

Skoncentrowałem się na części południowo-zachodniej. Zaznaczyłem ołówkiem na planie te miejsca, które już widziałem. Na parterze biura administracji. Następnie biblioteka. Seminarzyści przygotowywali tam swoje prace magisterskie na temat historii Kościoła w Polsce. Jeszcze dalej kaplica i sala wypoczynkowa. Zostały dwa nieznanne pomieszczenia w miejscu, gdzie łączą się dwa skrzydła budynku. Byłem niemal pewny, że znajduje się tam gabinet Zamorskiego i pokój tajnych spotkań...

Włożyłem kurtkę i postanowiłem odbyć poranny spacer. Benedyktyнки modliły się na Anioł Pański, księża byli na śniadaniu. Pora idealna.

Z wewnętrznego dziedzińca zszedłem schodami w dół. Zaczynało dopiero świtać. W miejscu, gdzie stykały się dwie galerie, zatrzymałem się przed drzwiami, które, jak wynikało z planu, prowadziły do największej sali — moim zdaniem sali spotkań. Wyjąłem komplet wytrychów. Chłód kamieni. Zapach bukszpanu i cyprysów. W porannym chłodziu silniejsze były wszystkie odczucia. Kiedy wsunąłem pierwszy klucz, zorientowałem się, że drzwi nie były wcale zamknięte.

Inna kaplica.

Dłuższa, węższa, bardziej tajemnicza.

Przez wąskie okna przedostawało się niebieskawe światło świtu. Aż pod sam chór stały rzędy krzeseł z opuszczonymi pokrywami pulpity. Nie było ołtarza, nie było krzyża.

Jedynie w głębi rozeta z białym witrażem, który robił wrażenie zrobionego z cynfolii.

Zrobiłem kilka kroków. Najbardziej uderzała w tym miejscu niezwykła cisza i lodowaty chłód. Moje oczy przyzwyczajały się do półmroku. Rozróżniałem już kolory. Kolumny były białe, terakotowa posadzka brunatnoczerwona, ściany jasnozielone. Nie było tu dla mnie nic ciekawego.

Nagle rozbłysło światło.

Biel, czerwień i zieleń. Barwy księcia Jabłonowskiego, fundatora klasztoru.

Odwróciłem się. Na progu sali stał Zamorski z ręką na kontakcie.

- Gdzie się znajdujemy? — zapytałem, udając, że zablądziłem.
- W bibliotece.
- Nie widzę książek.

Zamorski wszedł do głównej alejki i podniósł pokrywę jednego z pulpitów. Błysnęły skórzane oprawy ksiąg. Wziął do ręki jeden tom. Rozległ się szcęk — księga przymocowana była łańcuchem do żelaznego pręta biegnącego wzdłuż pulpitu. Słyszałem o takich bibliotekach z okresu renesansu, gdzie książki były więźniami.

— Ta sala istnieje od czternastego wieku — powiedział Zamorski. — Przetrwiała w tym stanie mimo wojen, nazizmu, komunizmu. To miejsce symboliczne, niezwykle dla nas ważne.

— Czy zamierzacie zrobić tu muzeum? — zapytałem ironicznym tonem.

Odstawił ciężkie tomisko, które wydało przy tym żalobny dźwięk.

— To miejsce jest symbolem naszej walki, Mathieu. Książę Jabłonowski zbudował ten klasztor w połowie piętnastego wieku, po długoletnim okresie wojen husyckich, kiedy uległy zniszczeniu liczne kościelne budowle. Sam przeżył szczególny wstrząs psychiczny i zapragnął potem stworzyć nową kongregację...

— Czy to znaczy...

— Tak, był jednym z Uratowanych Bez Światła. Po upadku z konia zapadł w śpiączkę. Kiedy się obudził, twierdził, iż widział diabła. Zapewne musiał być przekonujący, bo poszło za nim wielu zakonników i tak jak on zrzuciło sutanny. Klasztor postawił sobie za cel gromadzić słowo Złego. W tym sensie można uznać Jabłonowskiego za założyciela sekty Poskromionych.

Jeden Uratowany Bez Światła dał początek zakonowi Poskromionych. Dziś oni ruszyli na poszukiwanie Uratowanych Bez Światła... Zamorski stał kilka metrów ode mnie w tym zimnym kościele.

— Skoro ten klasztor ma tak posępną przeszłość, dlaczego zainstalowaliście się właśnie w nim?

— Upodobanie do paradoksu.

— Proszę przestać kpić. Dla Poskromionych klasztor Świętej Scholastyki musi mieć niezwykle znaczenie, prawda?

— To dla nich jakby Bazylika Świętego Piotra! Podobno Jabłonowski jest pochowany w podziemiach tego budynku.

— Nie próbują go odwiedzić?

Na twarzy Zamorskiego pojawił się wymowny uśmiech. W końcu pojąłem.

— Zamieniliście to miejsce w bunkier, bo oczekujecie ich wizyty.

— Nie można wykluczyć, że kiedyś spróbują się tu dostać.

— Ten klasztor to pułapka. Pułapka, w której umieściliście przynętę: Manon.

Polak wybuchnął śmiechem.

— Co ty sobie myślisz, że jesteś w forcie Alamo\*?

Udawał rozbawienie, ale ja wiedziałem, że mam rację. Ci duchowni zamierzali zwabić satanistów do tego bastionu. Zanosilo się na bitwę jak w średniowieczu. Postąpiłem kilka kroków w jego kierunku. Staliśmy teraz twarzą w twarz.

— Poskromieni mają dość innych zajęć — mruknął. — My zaś usiłujemy im przeszkodzić.

— W czym?

— W ślepym, nieokiełznanym pościgu za złem.

Podniósł pokrywę innego pulpitu. Znajdowały się w nim te czki spięte metalowymi klamrami. Otworzył jedną z nich na stronie z laminowaną fotografią.

— Znasz maksymę: „Nie ma idei. Są tylko czyny”.

Podał mi te czkę. Twarz trupa z otwartymi ustami, z hakiem wbitym w język. Pomyślałem o apokryfach Apokalipsy opisujących piekło: „Niektórzy z tych, którzy tam byli, zostali powieszani za języki”.

Polak przewrócił z szelestem stronę. Korpus mężczyzny, którego nogi i ręce rzucono na śmietnisko. Kolejna strona. Ciało dziecka, małeńkie, wysuszone niczym mumia, pokiereszowane, uwięzione w żelaznej obręczy — kunie. A potem koń z wyłupanymi oczami i odciętymi genitaliami w ogromnej czarnej kałuży.

Podniosłem wzrok niezbyt wstrząśnięty. Byłem już nieco uodpomiony na tego rodzaju horror.

— Takimi sprawami zajmuje się raczej policja, prawda?

— Oczywiście. My tylko jesteśmy żołnierzami na warcie. Obserwatorami. Wyszukujemy takie zbrodnie. Notujemy miejsca ich występowania na mapie Europy. Z naszych danych wynika, że Poskromieni działają w granicach Starego Kontynentu. Niczego takiego nie zaobserwowaliśmy w Stanach Zjednoczonych.

\*W roku 1836 w forcie Alamo około dwustu Teksaszczyków przez prawie *va* tygodnie powstrzymywało ataki trzech tysięcy Meksykanów.

- Co konkretnie robicie?
- Czuwamy. Przy pewnej dozie szczęścia udaje się nam przewidzieć z góry taki wypadek i uprzedzić lokalne władze. Ale nie traktują nas poważnie. Policja nie ma ochoty się tym zajmować i nie robi nic, żeby zapobiec zbrodniom.
- Jak możecie ich namierzyć, zanim coś zrobią?
- Poskromieni mają swoją piętę achillesową. Słaby punkt, który pozwala nam ich zlokalizować. Zażywają narkotyki.
- Jakiego rodzaju?
- To specyficzna substancja. Poskromieni nie zadowolają się tropieniem słowa diabła. Sami podejmują tę podróż.
- Nie rozumiem.
- Podróż na tamtą stronę. Zapadają dobrowolnie w śpiączkę, żeby móc zbliżyć się do demona.
- Istnieją takie narkotyki, które mogą wywołać taki stan?
- Iboga. Afrykańska roślina o silnym działaniu, bardzo niebezpieczna, której używa się w trakcie niektórych ceremonii. Jej dokładna nazwa brzmi *Tabernanthe iboga*. Zawiera ibogainę, stymulant psychodeliczny, który umożliwia przeżycie bliskości śmierci. Nazywa się ją także „afrykańską kokainą”.
- Mogę sobie wyobrazić narkotyk wywołujący NDE, ale skąd pewność, że to doświadczenie będzie negatywne?
- Zamorski uśmiechnął się.
- Lubię z tobą dyskutować, Mathieu. Dzięki twojej bystrości umysłu nie tracimy czasu. Masz rację. Istnieje jeszcze jeden narkotyk, silniejszy, który gwarantuje rezultat negatywny. Słusznie nazwany „ibogą czarną”. To bardzo rzadka odmiana tej rośliny. Niełatwo ją znaleźć. Poskromieni stale jej szukają. Również my jesteśmy na tym rynku. Śledzimy przemytników i za ich pośrednictwem satanistów.
- W głębi mego mózgu zabłysła iskra niczym gasnąca zapałka. Ten afrykański trop był zbieżny z innymi elementami mojego dochodzenia... A dokładnie ze sprawą, którą już dawno zaniechałem. Massine Larfaoui. Handlarz narkotykami. Związany ze środowiskiem afrykańskim. Zabity przez zawodowego mordercę pewnej nocy we wrześniu dwa tysiące drugiego roku.
- Czy to możliwe, żeby tamta sprawa łączyła się z moim obecnym dochodzeniem? Najpierw jednak musiałem zrozumieć istotę podróży „na tamtą stronę”.
- Czy ta „wycieczka” jest rzeczywiście ekwiwalentem doświadczenia Uratowanych Bez Światła?



— Oczywiście, że nie. Nic nie może zastąpić śmierci. Przekroczenia bram nicości. Ale Poskromieni mimo to próbują tam się zbliżyć, ryzykując utratą zmysłów albo życia. Iboga czarna jest produktem wyjątkowo niebezpiecznym.

— Jak działa ten narkotyk?

— Nie jestem specjalistą. Ibogaina to alkaloid, który blokuje pewne receptory neuronów. Co oznacza, że wywołuje wrażenia, jakich się doświadcza w sytuacji niedotlenienia. Jednak sztucznie wywołany trans nie ma nic wspólnego z prawdziwym NDE negatywnym. Żeby zobaczyć diabła, trzeba zaryzykować własną skórę. Wybrać podróż w śmierć.

— Skąd dokładnie pochodzi ta roślina?

— Z Gabonu, podobnie jak iboga zwykła, która odgrywa w tym kraju zasadniczą rolę w kulcie wtajemniczenia — *bwiti fang*.

Gabon, miejsce pochodzenia skarabeusza i porostu. Teraz przypominałem sobie, kiedy słyszałem po raz pierwszy o Gabonie. Spelunka w Saint-Denis. Tancerz w transie. Wesoła, poryta bruzdami twarz Claude'a: „Zażył lokalny produkt, narkotyk z jego kraju”. Ten człowiek był pod wpływem ibogi.

Teraz już nie miałem żadnych wątpliwości, wszystkie nici zbiegają się ze sobą. Moje poprzednie dochodzenie w sprawie Larfaouiego. Środowisko afrykańskie i jego specyficzne narkotyki. Poskromieni szukający ibogi...

Wyłożyłem karty na stół.

— Luc Soubeyras zajmował się również morderstwem pewnego dostawcy piwa.

— Massine'a Larfaouiego. Znamy tę sprawę.

— Larfaoui miał związek z czarną ibogą?

— Był dostawcą tej rośliny dla Poskromionych. Mieliśmy go na oku.

— Czy wiecie, kto go zabił?

— Nie. Jeszcze jedna zagadka. Może któryś z Poskromionych. A może klient na głodzie. Tego typu kontakty są zawsze bardzo

— Larfaoui nie został zabity przez amatora. Dokonał tego profesjonalista.

W tej sprawie znaleźliśmy się w impasie — odrzekł Zamorski wymijająco. — Również Luc nie dowiedział się niczego więcej. Zresztą nic nie przemawia za tym, że morderstwo to miało związek z ibogą.

Zamorski nie wspomniał o innej możliwości, że to członek jego grupy usunął dealera z takiego czy innego powodu. Giną, prostytutka, która była świadkiem morderstwa, mówiła o jakimś księdzu... Po raz kolejny wyobraziłem sobie nuncjusza z pistoletem w ręku. Ten obraz wydawał się coraz bliższy prawdy.

— A więc to wszystko stanowi tylko dodatkowy trop — podsumowałem. — Poskromieni przede wszystkim interesują się Uratowanymi Bez Światła, prawda?

— Tak. Ich zdaniem nic nie może zastąpić relacji tego, kto zobaczył diabła.

— Kogoś takiego jak Manon?

Stalowe oczy Zamorskiego spoczęły na mnie.

— Nadal nie wiemy, czy Manon rzeczywiście przeżyła negatywne doświadczenie.

— Żeby się tego dowiedzieć, musi odzyskać pamięć.

— Albo być z nami szczerą.

— Przypuszczacie, że kłamie? Że udaje amnezję?

— To ty masz się tego dowiedzieć.

Jego głos zabrzmiał twardo, autorytatywnie. Potwierdzało to moje podejrzania, że Zamorskiemu nie zależało na zebranych przez mnie danych. Sprowadził mnie do Polski tylko po to, abym wydobył prawdę z Manon. Miałem zyskać jej zaufanie, co jemu się nie udało.

— W co ty się bawisz z Manon? — zapytał nagle z irytacją. — Od dwóch dni jej unikasz.

— Śledzicie mnie?

— W tym klasztorze nie ma sekretów. Powtarzam pytanie: w co się bawisz? Klucz do rozwiązania tej sprawy znajduje się w głębi jej pamięci! — Przy ostatnim zdaniu już krzyczał.

Cofnąłem się i spojrzałem na rozetę nad chórem. Szare światło dnia przenikało przez srebrne szybki.

— To nie wasza sprawa. Mam własną strategię.

## 88

Co dotyczy strategii, to jeszcze nie pokonałem strachu.

I nie zanosilo się na zmianę.

Wróciłem do celu i zajrzałem do telefonu komórkowego.

Dwie wiadomości: Foucault i Svendsen. Zadzwoiłem do mojego zastępcy.

— Co masz? — zapytałem bez wstępów.

— Poszukiwania w Jurze nie dały nic. Żandarmi trzymają łapy na sprawie Sarrazina. Skarabeusze są nadal w ukryciu. Gabończycy nie pchają się do nas drzwiami i oknami. W całym departamencie Franche-Comte znalazłem ich siedmiu. Wszyscy nieszkodliwi.

— A deportowani?

— Trudno ich znaleźć. Pracujemy nad tym.

— Masz jakieś informacje o Poskromionych?

— Nic. Nikt nic nie wie. Jeśli to sekta, to jakaś bardzo tajna...

Przerwałem Foucaultowi i kazałem mu przestać zajmować się tym tematem. Wystarczą mi dane uzyskane od Zamorskiego.

— Czy masz jeszcze teczkę sprawy Larfaouiego? — zapytałem.

— Tę prowadzoną przez wydział do walki z narkotykami?

— Tak. Być może ma ona związek z naszą historią.

— Naszą? Jak do tej pory mam wrażenie, że dzielisz się nią w niewielkim stopniu.

— Poczekaj, aż wrócę. Przejrzyj jeszcze raz akta tego typu pod kątem jego zajęcia jako dealera. Spróbuj dowiedzieć się, czy faceci od narkotyków znają jego dostawców, a także stałych klientów. Sprawdź, gdzie dzwonił przed śmiercią. Rachunki. Wszystko. No i czy pojawił się na rynku ktoś na jego miejsce. Weź do pomocy Meyera i Malaspeya.

— Czego szukamy?

— Siatki zajmującej się przemytem afrykańskiego narkotyku iboga.

— Pochodzi z Gabonu?

— Nic się przed tobą nie ukryje. To jasne, że ten kraj odgrywa pewną rolę. Ale nie wiem jeszcze, do jakiego stopnia. Czekam na telefon dziś wieczór.

Następnie połączyłem się ze Svendsenem.

— Są nowe wieści — powiedział podekscytowanym tonem Szwed. — I to ciężkiego kalibru. Miałeś rację. Nad ciałem Sarrazina ktoś dobrze popracował.

— Mów.

— Organy wewnętrzne faceta były w stanie daleko posuniętego rozkładu. Jakby umarł przynajmniej miesiąc wcześniej. Tymczasem barki były ledwie tknięte przez *rigor mortis*.

Jakie jest wyjaśnienie?

— Zabójca zmusił go do wypicia kwasu. Po czym odczekał, aż w jego brzuchu zacznie się proces gnicia. Dopiero potem rozciął go z dołu do góry.

Zabójca Sarrazina także bawił się zabijaniem. Czy był także mordercą Sylvie Simonis? Jednym z Uratowanych Bez Światła? A może to on inspirował cudownie ocalałych od śmierci?

Znowu w wyobraźni ujrzałem napis wyryty na korze sosny: CHRONIĘ URATOWANYCH BEZ ŚWIATŁA. Jedno było pewne, a to już coś, że Manon nie zabiła Sarrazina, bowiem w tym czasie mieszkała już w klasztorze Świętej Scholastyki.

Svendsen kontynuował:

— Ten drań operował na żywca. Wydobywał wnętrzności ofiary w wannie, podczas gdy ten człowiek wciąż żył i nie tracił świadomości.

W żyłach poczułem znajomy lodowaty chłód. Przypomniałem sobie, że żandarm nie miał śladów więzów.

— Sarrazin nie był skrupowany.

— Nie. Ale analiza toksykologiczna wykazała ślady substancji paraliżujących. Nie był w stanie się ruszać, gdy tamten go krajał.

Wyobraziłem sobie scenę zbrodni. Ciało skulone, w pozycji embrionalnej. Wanna pełna wnętrzności. Brzęczące muchy w śmierdzącym powietrzu.

— A owady?

— Znalaziono jajeczka much *Sarcophagidae* i *Piophilidae*, które nie miały prawa tam być kilka godzin po śmierci. To ten sam szalenciec, jak w wypadku tamtej kobiety, Mat. Nie ulega najmniejszej wątpliwości.

— Dzięki. Przysłali ci raport?

— Valleret wysłał mi emailem. Sympatyczny facet.

— Przestudiuj raport dokładnie. To bardzo ważne.

— A może dowiem się od ciebie czegoś więcej?

— Później. Wszystkie te fakty wskazują na jedną metodę — zawałem się, po czym sprecyzowałem głośno moją myśl. — Taka... supermetoda, którą ten człowiek sprawdza poprzez innych zabójców...

— Nic nie kapuję — rzekł Svendsen — ale brzmi to fascynująco.

— Po powrocie do Paryża wszystko ci wyjaśnię.

— Trzymam cię za słowo, stary.

Zagłębiłem się ponownie w posiadane przez mnie dossier,

usiłując po raz kolejny znaleźć ukryte fakty, jakieś okoliczności wiążące te elementy.

Kiedy klasztorne dzwony wydzwoniły godzinę jedenastą, podniosłem oczy znad notatek. Nie zauważyłem, jak minął czas. Pora śniadania dla benedyktynek. Dobry moment, żeby się wymknąć, nie ryzykując spotkania z Manon, która jadła z nimi posiłki. Nałożyłem na siebie kilka swetrów, a na nie płaszcz.

Szedłem szybkim krokiem pod arkadami galerii, gdy zatrzymał mnie czyjś głos.

— Cześć.

Manon siedziała pod kolumną otulona w pikowaną kurtkę. Ten strój dopełniały szalik i czapka. Przełknąłem z trudem ślinę, w gardle czułem suchość.

— Może byś mi coś wyjaśnił?

— Co mam ci wyjaśniać?

— Dlaczego znikasz na całe dni?

Podszedłem bliżej. Twarz miała zaróżowioną od chłodu, policzki z lekka wilgotne od mgiełki.

— Muszę spowiadać się przed tobą?

Podniosła ręce do góry, jakby broniąc się przed moją agresją.

— Nie, ale nie miej złudzeń. Tutaj nikt nie porusza się swobodnie.

— Wierzysz w to, bo tak ci pasuje.

Odsunęła się od kolumny, przeciągnęła się. Już sama jej szyja była uosobieniem wdzięku.

— Mógłbyś rozwinąć tę myśl? — zapytała z uśmiechem.

Stałem przed nią napięty, na rozstawionych nogach. Karykatura gliniarza odgrywającego chojraka. Tymczasem gardło wciąż miałem suche i musiałem zdobyć się na wysiłek, żeby jej odpowiedzieć:

— Ta sytuacja ci odpowiada. Podczas gdy we Francji toczy się śledztwo w sprawie zamordowania twojej matki, ty siedzisz sobie tu spokojnie pod osłoną klasztoru.

— Chcesz powiedzieć, że uciekłam przed policją?

— Może uciekłaś przed prawdą.

— Nie wydaje mi się, żeby ta prawda była mi znana. W niczym nie mogłabym pomóc.

— Nie chcesz wiedzieć, kto zabił twoją matkę?

— Przecież ty się tym zajmujesz, prawda?

Im bardziej jej odpowiedzi były trafne, tym większa narastała

we mnie irytacja. Uśmiech nie zniknął z jej twarzy, ale teraz wydała mi się brzydka, niemiła, starsza.

— Jesteś naprawdę naiwną, głupiutką studentką.

— Urocze.

— Nie zdajesz sobie w ogóle sprawy z tego, co się dzieje!

— Dzięki tobie. Nie zdradziłeś mi nawet ćwierci tego, co sani wiesz.

— Dla twojego dobra! Wszyscy tutaj chronimy cię! — Popukałem się w czoło. — Co ty masz w tej swojej główce?

Manon przestała się uśmiechać. Jej twarz zrobiła się czerwona. Wstała i otworzyła usta, żeby odpowiedzieć mi w tym samym tonie. Nagle jednak zmieniła zdanie i zapytała słodkim głosem:

— Czy ty przypadkiem mnie nie podrywasz?

Tym pytaniem załatwiła mnie całkowicie. Po chwili milczenia wybuchnąłem śmiechem:

— Chyba mi się już to udało, czyż nie?

— Niezłe.

Kraków — miasto stanowiące świat sam w sobie, z jego barwami, światłami, budowlami. Świat tak spójny i specyficzny jak u wielkiego malarza. Kolory przesadne jak u Gauguina, półcienie jak u Rembrandta... Świat barw ziemi, błota, cegły, zwiędłych liści, współgrających z czerwienią dachów i poczerniałymi od brudu murami.

Manon wsunęła rękę pod moje ramię. Szliśmy bez słowa szybkim krokiem. Na rynku zwolniliśmy przed Sukiennicami, halą pod arkadami w stylu renesansowym, z czerwonymi i żółtymi markizami. Mnóstwo gołębi fruujących w zimnym powietrzu, i nad tym wszystkim jakaś szczególna, pełna oczekiwania atmosfera.

Ukradkiem obserwowałem profil Manon. Widoczny między pasmami włosów prosty, śliczny nosek zachował w sobie jeszcze ;oś z dzieciństwa. Przywodził na myśl mały, gładki kamyk, tolerowany od stuleci przez morskie fale. I te wysoko uniesione brwi, jakby w wyrazie zdziwienia.

Nie zwracałem żadnej uwagi na punkty orientacyjne, które zanotowałem w poprzednich dniach. Przemierzaliśmy na chybił trafił ulice, aleje, bulwary. Można nas było zaatakować w każdym momencie, ale nie denerwowałem się, bo Manon dostała zgodę na

wyjście z klasztoru, pod warunkiem że kilku aniołów stróżów stale będzie nam towarzyszyć. Nie oglądałem się na nich, ale wiedziałem, że są, że czuwają nad nami. Koloratki, szerokie bary.

Teraz mówiliśmy tak szybko, jak szliśmy. Jakbyśmy pragnęli nadrobić miniony czas, stracone z mojej winy dni. Ten pośpiech nie miał sensu, bo czas się dla nas zatrzymał. Nie miały już znaczenia biegnące minuty. Zawładnęło nami nieodparte wrażenie, że powraca wciąż ta sama chwila, tak samo silna, intensywna. Jak wtedy, gdy jakiś pyłek w strumieniu światła wydaje się rosnać, nabierać energii, ale nigdy nie przekracza pewnej granicy. Doszliśmy do takiego ostatecznego punktu, że podniecenie w nas wciąż nasilało się, nie przekraczając przy tym linii najwyższego uniesienia.

Manon bombardowała mnie pytaniami.

— Lubisz powieści kryminalne?

— Nie.

— Dlaczego?

— Słowa nigdy nie odpowiadają rzeczywistości.

— A gry wideo?

Mój kontakt z czymś takim ograniczał się do płyt znalezionych w pewnego zamordowanego homoseksualisty. Idąc tym śladem, udało się dotrzeć do jego współnika, który był jednocześnie jego kochankiem i jego mordercą. Wymyśliłem odpowiedź, która miała być zabawna.

— Palisz skręty?

Na wszystkie pytania Manon starałem się odpowiadać w tonie żartobliwym, lekkim. Próbowałem pozbyć się mojej wrodzonej powagi. Ale wiedziałem, że to daremny wysiłek. Nie byłem zdolny do bez troski. Za to Manon była wesoła za nas dwoje, a ten spacer wydawał się cieszyć bez względu na moją obecność i na wszystko to, co mógłbym powiedzieć.

Zatrzymaliśmy się na szczycie wzgórza, w pobliżu zamku na Wawelu. Popatrzyliśmy na Wisłę, czarną, nieruchomą, zastygłą rzekę. Mieliśmy wrażenie, jakbyśmy nagle odkryli pierwotną materię, z której wytoczono, wyrzeźbiono to miasto.

Zapadał zmrok. Dziwny, niepokojący moment, charakterystyczny dla wszystkich miast, gdy robi się już ciemno, ale latarnie uliczne jeszcze się nie palą. Tajemnicza godzina, kiedy noc upomina się o swoje prawa, zacierając wieki cywilizacji.

Za rzeką miasto pogrążało się w ciemnościach. Mury przybierały

odcień niebieskawy przechodzący w liliwoszary. Jezdnie, trotuary połyskiwały na różowo i fiołkowo, a w zamarzniętych kałużach odbijały się ostatnie czerwone promienie słońca.

— Wracamy? — zapytała Manon.

Spojrzałem na nią, nie odpowiadając. Światło dnia gasło i w półmroku jej twarz wydawała się przez kontrast jeszcze bledsza. Drżała z zimna w wilgotnej pikowanej kurtce. Siedzieliśmy na ławce. Ponieważ nie ruszałem się, wzięła moją rękę niczym dziewczynka, która przyciąga do siebie świat i urabia go wedle własnego pragnienia.

— Chodź.

Walczyłem z pokusą.

Myślałem o Manon Simonis zamordowanej przez matkę, ponieważ uważała ją za opętaną. O małej, zgwałconej dziewczynce, która mordowała zwierzęta i mówiła sprośności. O martwym dziecku zamartwychwstałym z łaski Boga lub diabła. Dusił mnie cała wiedza, jaką zdobyłem w ramach dochodzenia. I wtedy, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co robię, przyciągnąłem do siebie Manon i namiętnie pocałowałem.

## 89

Knajpka w złotawobrazowej tonacji, kanapy obite skajem, żyrandole z kolorowego szkła. Z estrady dochodziła żywiolowa cygańska muzyka skrzypiec i cymbałów. To jedyne schronienie, jakie udało nam się znaleźć wieczorem pośród tych uliczek. Mimo harmideru, dymu, woni tłuszczu i alkoholu czuliśmy się tak, jakbyśmy byli sami na świecie. Tylko my, odizolowani od innych naszą tajemnicą.

W każdym jej zdaniu, nawet sposobie, w jaki je formułowała, wyczuwałem wzajemne porozumienie, szczególną wspólnotę między nami. Uprzedzała moje słowa. W charakterystyczny dla niej sposób podnosiła podbródek, żeby wyrazić coś, co dokładnie w tej samej sekundzie zamierzałem powiedzieć. To zjednoczenie dawało nam niewypowiedziane uczucie szczęścia pokonujące różnicę wieku, przeżytych doświadczeń oraz fakt, że poznaliśmy się tak niedawno.

Mijały godziny. Na stolik podawano kolejne dania. Oczy łzawiły



nam od dymu. Dopiero przy deserze zapaliłem papierosa i w końcu zapytałem o jej przeszłość. W jednej chwili zeszytniała.

— Chcesz mnie zmusić do wyznań?

— Nie — odrzekłem, wydmuchując dym, od którego już i tak było gęsto pod sufitem. — Chciałbym po prostu wiedzieć, czy miałaś kogoś w swoim życiu.

Uśmiechnęła się i przeciągnęła w charakterystyczny dla niej sposób. Jakby sobie przypominała, że odtąd między nami nie ma miejsca na nieufność, grę. Zaczęła opowiadać. Nie zbaczając z tematu, niczego nie omijając. Opowiedziała o swoim dzieciństwie naznaczonym strasznym doświadczeniem, o latach spędzonych w internacie, kiedy nie mogła pozbyć się lęku przed mordercą, o dziwnych wizytach matki, która nie przestawała się modlić. Potem o młodości w Lozannie, o liceum, o okresie studiów, podczas których żyła jak w fortocy, spotykając się z grupą „pewnych” przyjaciół, w „bezpiecznych” miejscach, przez cały czas mając oparcie w rodzinie — w matce, która od chwili jej „wskrzeszenia” nie opuściła żadnego weekendu, żeby ją odwiedzić, w mieszkających w Vevey dziadkach ze strony ojca, jak również w doktorze Moritzu Beltremie, jej zbawcy, który stał się dla niej kimś w rodzaju ojca chrzestnego.

Skończyła osiemnaście lat.

Zaczęła podróżować, przestała się tak barykadować, nieustannie spoglądać za siebie, sprawdzając, czy nikt jej nie śledzi. To był początek nowego życia. Aż do śmierci matki. Wtedy wszystko się zawaliło. Spokój, ufność, nadzieja. Dawne lęki powróciły z jeszcze większą siłą. To morderstwo dowodziło, że wszystko było prawdą, że nad jej rodziną wisiało niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo, którego ofiarą padła sama w osiemdziesiątym ósmym roku i które zabrało jej matkę cztery lata

Kiedy Zamorski zaproponował jej, by pojechała do Polski i ukryła się tam do czasu, aż zabójca zostanie ujęty, zgodziła się bez najmniejszego wahania. Teraz liczyła dni w oczekiwaniu na rozwiązanie jej swojej tajemnicy.

To wszystko wiedziałem lub się domyślałem. Ona natomiast nie wiedziała, nie pamiętała tego, że została zdeprawowana i zgwałcona przez zbrojców, a potem zamordowana przez własną matkę. Nie miałem zamiaru jej o tym mówić ani tego wieczoru, ani kiedykolwiek. Oszołomiony nieco wódką pomyślałem, że nadal

nie dowiedziałem się tego, co w tej chwili najbardziej mnie interesowało.

— Czy miałaś kogoś w Lozannie?

Zaśmiała się. Zapach przypalonego tłuszczu, gorąco, głos piosenkarki. Wszystko to dla niej nie istniało. Ani dla mnie. Czuję się tak, jakbym był w głębi morza, ogłuszony ciśnieniem, ale niektóre dźwięki rozróżniałem z niezwykłą ostrością. Tak jak słyszy się w wodzie przenikliwy świst lub niskie tony.

— Miałam jeden romans — powiedziała. — Z profesorem z mojego wydziału, żonatym mężczyzną. Była to właściwie katorga przerywana przeblysłkami szczęścia. Zresztą ja sama nie byłam czysta.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Zawahała się, ale podjęła poważnym tonem:

— W głębi duszy lubiłam te schadzki, ból, wstyd. Poczucie... degradacji. Jak wtedy, kiedy wypije się za dużo wina, rozumiesz? Delektujesz się każdym tykiem i jednocześnie masz świadomość, że gubisz siebie samego, że z każdym kolejnym kieliszkiem upadasz coraz niżej. — Dopełniając słowa gestem, opróżniła kieliszek wódki i mówiła dalej: — W końcu smak tego, co zakazane, przypominał moje własne życie — powrót z nicości, tajemnicę. — Dotknęła mojej dłoni. — Nie jestem pewna, czy nadaję się do zwykłego związku. — Znowu się roześmiała, ale tym razem lekko, wesoło. — Mam upodobanie do zombi.

Jeśli szukała żywego trupa, to byłem właściwym człowiekiem. Od pobytu w Rwandzie należałem do świata zmarłych. Wspomnienia z tamtych czasów zatruwały każdą chwilę mojej egzystencji... Zgrzyt żelaza, skrzeczący głos w radiu, trupy pod kołami... I kobieta, której nie umiałem ocalić...

Napełniłem kieliszki i trąciłem się z nią. Ten epizod w niczym nie naruszał czystości Manon. Cokolwiek by powiedziała, nic nie brukało jej niewinności. Jeśli nawet ta niewinność wynikała ze złego dzieciństwa, z jednego strasznego doświadczenia. Jeśli nawet jej jedynym wspomnieniem miłosnym miałyby być cudzołóstwo.

Wyczuwałem u niej surowość, czystość, która nie miała nic wspólnego z dziewictwem, lecz przeciwnie — podkreślała siłę przykrych doświadczeń.

Nagle, chwytając swój płaszcz, powiedziała:

— Idziemy?

Maszerowaliśmy w gęstej, otulającej nas mgle. Całe miasto wydawało się niestabilne, nierealne. Budynki, pomniki, jezdnie były niczym ogromny pojazd kosmiczny startujący w chmurę dymu.

Nie miałem pojęcia, która była godzina. Może północ. Może później. Nie byłem jednak tak pijany, żeby zapomnieć o wciąż obecnym niebezpieczeństwie. O Poskromionych, którzy krążyli po mieście w poszukiwaniu Manon... Stale odwracałem się, badałem wzrokiem zaułki, podcienie. Wziąłem ze sobą glocka, ale moja czujność tego wieczoru była znacznie przytępiona. Miałem nadzieję, że ochroniarze Zamorskiego podążają cały czas naszym śladem i że wypili mniej niż ja.

Droga nie miała końca. Punktem orientacyjnym były Planty — duży park okalający stare miasto. Kiedy tam dotarliśmy, pozostawało już tylko iść zadrzewionymi alejami do centrum.

Znalazłszy się przed drzwiami klasztoru Świętej Scholastyki, Manon szarpnęła za dzwonek. Otworzył nam jakiś człowiek bez koloratki. Na jego widok roześmieliśmy się, chwiejąc się na nogach jak z waty.

Szliśmy przez galerię w milczeniu. Nie było mi już do śmiechu. Z niepokojem patrzyłem, jak zbliżamy się do miejsca zetknięcia się dwóch ramion litery „L”. Wkrótce trzeba się będzie rozejść, coś powiedzieć... Łamałem sobie głowę, usiłując znaleźć odpowiednią formułkę, właściwy gest.

Doszliśmy do drzwi, a ja nadal niczego nie wymyśliłem. Manon mieszkała w części przeznaczony dla benedyktynek. Już miałem wybąkać jakieś słowa, ale Manon objęła mnie za szyję, wsunęła język między moje wargi, uniemożliwiając wypowiedzenie czegokolwiek. Cofnąłem się pod ścianę. Na plecach poczułem chłód kamieni, podczas gdy Manon całowała mnie coraz namiętniej, aż zaparło mi dech.

Uwolniłem się z tego pocałunku, ale nadal trzymałem ją blisko siebie. Musiałem się szybko opanować, żeby nie stracić kontroli nad sobą. Manon nie przestawała na mnie patrzeć. W cieniu wyglądała na starszą o dziesięć lat. Podniecenie zmieniło jej rysy, dodało zmarszczek. Oczy zrobiły się czarne jak wulkaniczny kwarc. Z drżących ust wydobywały się obłoczki przyspieszonego oddechu.

Czułem ją w swych objęciach, odurzoną alkoholem, potarganą,

chętną, z jej twarzy wyczytałem, że nie miała ochoty odejść, zniknąć w nocy. Teraz to ja ją uprzedziłem i pocałowałem w usta.

Manon powstrzymała mnie i szepnęła:

— Chodź.

## 90

Chłód jej pokoju. Zamykające się drzwi, do których przyciskałem ją, całując. Zacząłem zdejmować z niej płaszcz, a ona ze mnie. Niezręcznie, ze skrzepowaniem. Z ustami na ustach. A wokół nas lodowate zimno...

Upadliśmy na łóżko. Ściągnąłem z niej sweter. Czułem na uchu jej oddech. Z półcienia wyłoniła się biel piersi ściśniętych stanikiem. Przeniknął mnie fizyczny ból pożądania. Jej twarz nigdy nie wydawała mi się tak czysta, tak anielska, podczas gdy ciało rozbudziło we mnie potężną siłę wiodącą do ukrytego świata, którego nigdy nie chciałem poznać. Poddałem się, czerpiąc rozkosz ze swego upadku.

Wciąż skrzepowani byliśmy ubraniem, opór stawiały mankiety, guziki. W końcu uwolnione z bielizny odsłoniło się białe, nieskazitelne ciało Manon. Jej nagość raniła mnie i pociągała, odpychała i oszałamiała. Byłem już gotów do eksplozji — napięcie nerwów, pulsowanie krwi...

Opadłem na plecy. Nad sobą miałem jej ciężkie, pełne piersi. Czułem, jak przenika mnie do głębi ich ciężar, ciepło, kołysanie. Uniosłem się. Ona zmusiła mnie, bym się z powrotem położył, wtuliła się w moje ramiona. Utraciłem całkowicie kontrolę. Wszystko inne przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Oprócz faktu, że trzymaliśmy się nawzajem w objęciach, przestraszeni rosnącym w nas pożądaniem.

Ona pieściła mnie, dotykała, naprowadzała. Jakby uwalniała z jakiegoś innego ubrania, warstw okrywających mnie przez wiele lat decyzji, które mnie uformowały, uspokajających kłamstw. Ta minuta była tak intensywna, że skupiła w sobie cały czas już przeżyty i lata, które pozostały mi jeszcze do przeżycia.

Poddałem się urokowi jej pełnych piersi, białych, swobodnych, z drżącymi ciemnymi sutkami muskającymi mi twarz. Rozpalony, a jednocześnie zimny, spróbowałem dosięgnąć ich ręką.

Ale nie była to chwila na takie pieszczoty. Manon, siadłszy na mnie okrakiem, podłożyła ręce pod mój kark. Przestałem pojmować, co się dzieje. Obejmując mnie mocno za szyję, pochylona nade mną, zaczęła kołysać silnie biodrami.

Szukała rozkoszy, zbliżała się, oddalała, zaczynała od nowa. Brutalnie i zarazem delikatnie, precyzyjnie i gwałtownie. Dostosowałem się do jej ruchów. Poddaliśmy się zgodnemu rytmowi, samotni w wysiłku, by odebrać tej drugiej osobie to, co miała do oddania.

Przyspieszyliśmy. Usta rozgniatyły usta, palce kurczowo się splatały. Moment kulminacji był już tuż, w zasięgu oddechu, czaił się gdzieś w naszych podbrzuszach. Manon nadal siedziała na mnie okrakiem, wbijając się stopami w prześcieradło, zapomniawszy o wszelkim wstydzie, o jakimkolwiek zahamowaniu. A wiedziałem, że była to jedyna droga, jedyny sposób, by osiągnąć cel. Nic się nie liczyło, tylko to, co się działo w naszym wnętrzu, tam, gdzie ocieraliśmy się wzajemnie o siebie...

Nagle Manon wygięła się i wydała z siebie głuchy jęk. Wtedy chwyciłem ją za włosy i przyciągnąłem do siebie. Jeszcze jeden raz, jeszcze milimetr i będę szczęśliwy. Jej piersi znowu muskały boleśnie moją twarz, przyprawiając o zawrót głowy. Nagle poczułem w sobie płomień. Niezmierna rozkosz przeszła moje ciało niczym prąd elektryczny. Jeszcze sekunda. Odepchnąłem ją, by po raz ostatni popatrzeć na nią — na uniesione ramiona, nagie piersi, napięty brzuch, czarne łoiŻar wybuchł w moim członku.

W tej sekundzie wszystko we mnie uległo oczyszczeniu.

Chwilę potem byłem już znowu sobą. Trans minął. Ale czułem się odnowiony, czysty. Żal, wstyd, zrozumienie. Pomyślałem o kłamstwie, w jakim żyłem przez ostatnie lata. O miłości skierowanej wyłącznie do Boga. O współczuciu dla innych. O seksie zarezerwowanym jedynie dla egzotycznych dziwek. Bezużyteczna iluzja... Męskie pożądanie źle tłumione przez miłość chrześcijanina. Odczuwałem niemal pretensję do Manon za to, że przez kilka chwil pieszczot objawiła mojemu ciału tyle prawd, tyle oczywistości. A potem zalała mnie fala ciepła. Znowu byłem szczęśliwy.

— W porządku?

W jej ochryplym głosie słychać było ulgę. Nie odpowiadając, obmacałem swoje ubranie w poszukiwaniu papierosa. Camel. Zapalniczka. Sztachnięcie się. Położyłem się w poprzek łóżka.

Manon zaczęła palcem wodzić po mojej twarzy, czole, nosie. Tak minęło kilka minut. Zimno w pokoju zmieniło się w żar. Para przestoniła szyby. Wyrzuciłem wszystkie papierosy na nocny stolik, żeby użyć pudełka jako popielniczki.

— Powiedz, co ci się we mnie podoba... — wymruczała.

Nie odpowiedziałem. Doznałem nagłego olśnienia. Jakby pod działaniem czystej heroiny. Nie czułem w sobie nic poza ociężałością, nieskończonym znużeniem.

— No, mów — nalegała — co lubisz we mnie...

Uniosłem się na łokciu i patrzyłem na nią. Miałem przed sobą nie tylko jej nagie ciało, ale całą istotę. Ciemność pozbawia twarzy, masek. Pozostaje jedynie głos. I dusza. Koniec ze sztuczkami, tawarzystkimi konwenansami, zwykłymi kłamstwami, za którymi się

Mógłbym jej powiedzieć, że ma do czynienia nie z kochankiem poruszonym tym, co się przed chwilą stało, lecz z nagim chrześcijaninem. Czuliśmy się jak po spowiedzi. Uwolnieni od jakiegokolwiek błędu, oczyszczeni z pozorów. Paradoks polegał na tym, że po tym grzechu ciała staliśmy się tak niewinni jak nigdy dotąd.

Oto co mógłbym jej wyszeptać... Aleja zdobyłem się tylko na kilka banałów na temat jej oczu, ust, rąk. Posłużyłem się słowami tak zużytymi, że straciły wszelkie znaczenie. Zaśmiała się cicho.

— Wykręcasz się, ale to nic.

Ułożyła się na brzuchu i oparła podbródek na rękach.

— Powiem ci, co ja kocham w tobie...

Jej głos nabrzmiała był wdzięcznością, nie dla mnie, lecz dla życia, jego niespodzianek, szczęśliwych chwil. Jej ton zdradzał, iż zawsze wierzyła, że to się kiedyś stanie, że przyjdzie taka noc, która to

— Kocham twoje kręcone włosy — zaczęła, okręcając je wokół palca.

— Zawsze pachną wilgotnym powietrzem, będąc jakby wspomnieniem po deszczu. — Powiodła palcem pod moimi oczami. — Kocham twoje podkrążone oczy, które są niczym cienie twoich myśli. Kocham twoją podłużną twarz, nadgarstki, obojczyki, biodra, które sprawiają ból, a jednocześnie są takie giętkie, słodkie, wspaniałe... — Dotykała po kolei każde wymienione miejsce, jakby upewniając się, że wszystko jest w porządku.

— Kocham twoje ciało, Mathieu, jego energię, ruchy. Sposób, w jaki poprzez gesty wyrażasz uczucia. Gwałtowne wzruszenie ramion oznaczające u ciebie niepewność. Sposób, w jaki podpierasz

podbródek dwoma palcami dla podkreślenia tego, co mówisz. I jak zapadasz się w fotel, jakbyś miał zaraz zasnąć, a jednocześnie cały drżysz z napięcia. Kocham sposób, w jaki zapalasz papierosa tą dużą zapalniczką, widok papierosa w twoich smukłych palcach... Wygląda to tak, jakby zapalało się wszystko: ręka, ramię, twarz... — Muskając moją twarz, mówiła dalej: — Kocham te wszystkie odgłosy, drżenia. Wydaje mi się, że masz zawsze trudności ze znalezieniem swego miejsca na świecie. Za każdym razem wchodzisz w nie gwałtownie, w ostatnim momencie, zbyt szybko, zbyt brutalnie. I nigdy nie jesteś pewny siebie... Nie zrozum mnie źle, Mathieu, ale jest w tobie coś kobiecego. I dlatego, jak przypuszczam, ten wieczór był dla mnie tak radosny. Instynktownie odgadywałeś moje małe sekrecki, moje czułe punkty... Dla ciebie był to znajomy teren, który stopniowo odsłaniał się pod twoimi palcami... — Roześmiała się głośno, głaszcząc moją dłoń. — Nie rób takiej miny! To są komplementy! — Po chwili znowu podjęła poufny tonem: — Czuję również pewien dystans, respekt wobec ciebie, niemal lęk, który sprawia mi nieodpartą przyjemność... Bez wątplenia jesteś prawdziwym mężczyzną, Mathieu. Ale jesteś jednocześnie taki skomplikowany, że wywołuje to we mnie dreszcze od stóp do głów. Łączysz w sobie tyle sprzeczności! Ciepło, zimno, solidność, niestałość, silną wolę, nieśmiałość, męskość, kobiecość...

Znowu zrobiło się zimno. Z trudem udawało mi się przekonywać samego siebie, że ten człowiek przez nią opisywany to ja. Otoczyła ramieniem moją szyję i pocałowała mnie.

— Ale przede wszystkim jest coś, co cię drażni, a jednocześnie masz w sobie siłę, jakiej nigdy przedtem u nikogo nie spotkałam.

— Nawet u Luca?

Pytanie to wymknęło mi się mimo woli.

— Dlaczego mnie o to pytasz?

— Nie wiem. Poznałeś go dobrze, prawda? Był tutaj?

— Kilka dni. Nie jest podobny do ciebie. Nie można było na nim polegać.

— Dlaczego?

— Wbrew pozorom nie miał żadnego punktu oparcia. Zjeżdżał Po równi pochyłej. Podczas gdy ty szukasz, czego tylko można się uczyć...

- Czy między wami coś było?

Znowu się zaśmiała.

— Też wymyśliłeś! W nim nie było miejsca na miłość! W każdym razie nie na taką.

— Nie o to cię pytam. Czy czułaś coś do Luca?

Potargała mi włosy.

— Jesteś zazdrosny? — Położyła głowę na moim ramieniu. — Nie. Nigdy nawet nie przyszłoby mi to do głowy. Luc żył na innej planecie. Mówił, że mnie kocha, ale brzmiało to fałszywie.

— Mówił, że cię kocha?

— Stale składał mi takie deklaracje. Ale ja mu nie wierzyłam.

W moim umyśle zapaliło się ostre światełko. Wyłoniła się możliwość, której w ogóle nie brałem pod uwagę. Samobójstwo z miłości. Luc zakochał się w Manon. I to był powód samobójstwa! Postanowił skończyć ze sobą, bo jakaś dziewczyna powiedziała mu „nie”. Luc zakochał się w Manon z całą swoją fanatyczną namiętnością, a ona go odepchnęła, odsyłając ze śmiechem do diabła.

— A może Luc naprawdę bardzo cię kochał? — powiedziałem oschłym tonem.

— Dlaczego mówisz o tym w czasie przeszłym?

Nie odpowiedziałem. Popełniłem błąd. Taki, jaki popełnia podejrzany w środku nocy podczas śledztwa.

— Co się stało? — Manon patrzyła na mnie z powagą. — Powiedziałeś przedtem, że Luc został przeniesiony służbowo.

— Okłamałem cię.

— Coś mu się przydarzyło?

— Próbował popełnić samobójstwo. Dwa tygodnie temu. Uratowano go, ale jest w śpiączce.

Manon uklękła zwrócona twarzą do mnie.

— Jak to? W jaki sposób do tego doszło?

Opowiedziałem dokładnie, jak chciał się utopić, o pasie z kamieniami, o akcji ratunkowej, o zastosowaniu urzędnika do transfuzji. Tak, jak to było w jej przypadku.

Przez długi czas milczeliśmy. Potem Manon podniosła się i stanąwszy nago przy oknie, z czołem opartym o szybę, zapatrzyła się w ciemność nocy. Odwróciła się do mnie plecami i mruknęła:

— Jesteś najgłupszym gliną, jakiego kiedykolwiek poznałam.

Już raz to samo powiedziała mi Agostina Gedda. Chyba w końcu będę musiał w to uwierzyć... Jednakże coś mi nie pasowało w tym stwierdzeniu. Spodziewałem się awantury za to, że nie powiedziałem prawdy. Nie oczekiwałem natomiast takiego tonu pełnego rozczarowania.



— Powinienem być ci o tym powiedzieć wcześniej, ale...

— Luc nie popełnił samobójstwa. On odtworzył punkt po punkcie moje utopienie się!

Nie zrozumiałem, o co jej chodzi. Chwyliła mnie oburącz za włosy i krzyknęła:

— Nie kapujesz? On dobrowolnie pogrążył się w śpiączce, żeby przekonać się, co ja wtedy jakoby widziałam! Dokonał próby wywołania NDE w nadziei, że będzie to doświadczenie negatywne!

W mojej głowie natychmiast wszystkie elementy ułożyły się na swoim miejscu. Wiedziałem, że Manon ma rację.

— I ty twierdzisz, że go znasz? — krzychała pochylona nade mną. — Że jest twoim najlepszym przyjacielem? Cholera, ty niczego nie pojmowałeś! Luc jest fanatykiem. Jest gotów na wszystko, żeby zdobyć odpowiedzi na swoje wątpliwości. W dochodzeniu dotarł aż na tamten świat! Zabił się, żeby ujrzeć na własne oczy diabła!

Każde jej słowo było jak wybuch lawy.

Każda myśl — gwoździł w serce.

Nie byłem w stanie odezwać się, zresztą nie miałem nic do powiedzenia. Manon w ułamku sekundy odgadła to, czego nie umiałem się domyślić od dwóch tygodni. „Znalazłem wyjście”, powiedział Luc do Laure. To znaczyło, że znalazł przejście, sposób nawiązania kontaktu z demonem. Chciał wywołać u siebie śpiączkę, żeby dotrzeć do otchłani!

Luc wyruszył na spotkanie z diabłem, w głąb ludzkiej nieświadomości.

## 91

Na dworze znowu padał deszcz. Spoglądałem przez okienko na smugi księżycy, które przenikały przez brudne szyby, prześlizgując się po nich niczym wata cukrowa. Kolejny papieros. Zmierzałem w myślach na skraj próżni, ale z każdą chwilą czułem pod nogami coraz twardszy grunt.

Elementy łamigłówek trafiały swoje miejsce.

Luc wszystko zorganizował, wszystko przewidział, żeby zapaść w śpiączkę. Odtworzył wszystkie okoliczności utonięcia Manon

i nie po to, by utonąć, ale żeby przeżyć. Znając swoją wagę, dodatkowo się obciążył, żeby jak najszybciej znaleźć się pod wodą i tam ulec wychłodzeniu. Sam otworzył śluzę, by woda porwała go i wyrzuciła na skały. Pozostawała jeszcze kwestia zimna. Ale pamiętał o tym, żeby zanurzyć się pięć minut przed przybyciem ogrodnika. Tyle właśnie czasu wystarczyło, żeby umrzeć.

W jego planie był jeszcze jeden szczegół. Lekarz z Chartres mówił mi, że szczęśliwym zbiegiem okoliczności karetka pogotowia znajdowała się właśnie w tym regionie. Ktoś wezwał ratowników. Telefonował do nich sam Luc. Zapewne po to, żeby jak najszybciej zostać przewieziony do szpitala. I to nie było jakiegoś, ale do Hôtel-Dieu w Chartres, gdzie mieli aparaturę *by-pass* zdolną ogrzać jego krew i uratować mu życie.

Tak się stało z Manon w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym roku.

No i były jeszcze inne szczegóły.

Luc nie miał żadnej pewności, że przeżyje NDE, a jeszcze mniej, że będzie to doświadczenie negatywne. Jednak zakładając, że uda mu się przekroczyć próg śmierci, chciał przejść przez etap strachu, ciemności. Oto dlaczego wzywał na pomoc diabła. Oto dlaczego Laure znalazła w Vernay przedmioty kultu satanistycznego. Luc zaklinał diabła bezpośrednio przed utonięciem, wyznaczając mu spotkanie w głębi

Jednak mimo całej determinacji musiał mieć pewne obawy. Chciał więc zaopatrzyć się w oręż, choćby symboliczny. To tłumaczyło obecność medalionu świętego Michała w jego zaciśniętej pięści. Luc nie bał się pójść do piekła, sam wybrał sobie taki los. Ale miał nadzieję, że wyjdzie z tego bez żadnych obrażeń, bez szwanku na umyśle, dzięki wizerunkowi Archanioła. Zakrawało to na kpinę, ale w wypadku Luca brzmiało baraku prawdopodobnie.

Zdecydował się na niezwykle ryzyko. Oczywiście fizyczne, ale i psychiczne. To, co było możliwe dla małej dziewczynki, nie było w przypadku dorosłego. Moritz Beltrein uważał, że Manon wyszła z tego bez powikłań dzięki swemu wiekowi i mobilności mózgu. Czy Luc, mający trzydzieści pięć lat, wyzdrowieje? Czy obudzi się któregoś dnia?

Jego fanatyzm był zdumiewający. Ale miał ścisły związek z jego przeznaczeniem, co mnie jeszcze bardziej zadziwiało. Zawsze pragnął zobaczyć i dowieść istnienia diabła. Poświęcił własne

życie w zamian za to doświadczenie: dobrowolne wejście w otchłań, a potem wyjście stamtąd z dowodem w ręku.

Zapaliłem kolejnego papierosa.

Godzina piąta rano.

Manon w końcu zasnęła. Mimo złości na mnie. Mimo smutku z powodu Luca. Mimo rosnącego niepokoju o siebie samą.

Bo Luc, który teraz leżał w szpitalnej sali, dorzucił prochu do ognia. Jeśli ten człowiek był zdolny do takiego poświęcenia, czyż nie dowodziło to tego, iż istniała jakaś rzeczywistość do odkrycia? Że Manon zobaczyła coś w głębi „przejścia”?

Poczekalem do szóstej, żeby zadzwonić do Laure. Godzina rewizji. Stare przyzwyczajenie gliniarza. Nie telefonowałem do niej od czterech dni. Teraz odczuwałem nieodpartą potrzebę, żeby się czegoś dowiedzieć. Trudno spodziewać się, że sytuacja się zmieniła, ale inaczej teraz widziałem śpiączkę Luca. Czekały mnie rozmowy z Laure, z lekarzami, z ekspertami...

Wpatrywałem się w zegarek, licząc każdą minutę.

Godzina szósta.

Po pięciu sygnałach usłyszałem jej zaspany głos.

— Laure? Tu Mathieu.

— Gdzie jesteś? —jęknęła. — Dzwonię do ciebie od trzech dni.

— Przepraszam. Problemy z komórką. Jestem za granicą...

— Mat... to nieprawdopodobne... — powiedziała jednym tchem. —

On się obudził!

Minęła sekunda, zanim ta wiadomość do mnie dotarła. Ani Foucault, ani Svendsen nic o tym nie wiedzieli. Wydarzenia nabierały tempa. Ale zamiast cieszyć się, zeszywniałem, przewidując najgorsze. Nieodwracalne uszkodzenia. Luc sprowadzony do postaci warzywa.

— Jak on się czuje? — zapytałem bezbarwnym głosem.

— Doskonale.

— Nie ma powikłań?

— Żadnych.

Z jej tonu można było wywnioskować, że coś przemilczała.

— Jest jakiś problem?

— On mówi... Mówi, że widział coś w czasie śpiączki.

Czułem, że krew tężeje mi w żyłach. Znałem dalszy ciąg, ale zapytałem:

— Co widział?

— Wracaj. On chce powiedzieć to tylko tobie.

— Będę dziś wieczorem.

Skończyłem rozmowę i delikatnie obudziłem Manon. Wyjaśniłem jej, jaka jest sytuacja. Teraz pojawiło się nowe zagrożenie — diabeł w umyśle Luca. Jeśli uważał, że ujrzał piekło, wyciągnie z tego wniosek, że Manon widziała to samo w osiemdziesiątym ósmym roku. Od razu zostanie uznana za Uratowaną Bez Światła.

Podjeżdżaną numer jeden w sprawie zabójstwa matki.

Manon zapaliła lampę i chwyciła swoje ubranie. Zauważyłem jeden szczegół: ślady ukłuciu igłą na ramieniu.

— Co to takiego?

— Nieważne.

Włożyła majteczki, stanik. Złapałem ją za rękę i przyjrzałem się tym ukłuciom bliżej.

— To lekarze — powiedziała, uwalniając się. — Pobierają mi krew.

— Tutaj są lekarze?

— Nie. Przychodzą z zewnątrz. Codziennie mnie badają.

— Czy robią ci jakieś inne analizy?

— Biopsje, skanowanie. Nie bardzo rozumiem, po co. — Uśmiechnęła się. — Chcą, żebym była w superformie...

Zawsze trzeba spodziewać się najgorszego, żeby uniknąć przykrych niespodzianek. To, co przeczuwałem od początku, potwierdzało się w całej rozciągłości. Zamorski mnie okłamał. On i jego klika nie chronili Manon. Traktowali ją jak królika doświadczalnego. Absolutnie przekonani, że jest istotą opętaną, złą, różniącą się fizycznie od reszty

Zbierało mi się na wymioty. Nuncjusz ze swymi tyradami godnymi dawnego rycerza oszukał mnie. Był taki sam jak van Dieterling. Wierzył w istnienie Uratowanych Bez Światła i obecność demona w głębi ludzkiej duszy. Był pewien, że Manon jest *sine luce*. A może nawet samym Antychrystem!

Podniosłem słuchawkę i znalazłem w niej mikrofon podsłuchu. Sprawdziłem nocną lampkę — kolejna pluskwa. Omal nie roześmiałem się w głos. To była absolutna satyra. Skierowałem strumień światła na sufit. W jednym z rogów bez trudu zauważyłem oko kamery na podczerwień. Pomyślałem o nocy miłosnej, jaką spędziliśmy pod badawczym wzrokiem księży. Rozwścieczony rzuciłem lampę na podłogę.

— Co ty wyrabiasz?

Nie byłem w stanie odpowiedzieć. Zaszło mi w gardle. Włożyłem koszulę, spodnie, sweter, sportowe buty. Pobiegłem do mojej celi.

Na dziedzińcu padał deszcz, bębnił o kamienną posadzkę, dachówki, mury. Nawet ulewa nie zdołałaby zmyć tego całego gówna.

W pokoju chwyciłem moją czterdziestkępiątkę i ponownie wybiegłem. Domyślałem się, gdzie znajduje się gabinet nuncjusza. Bardzo możliwe, że już pracuje o tej godzinie.

Schodząc po schodach, dosłyszałem poprzez szum ulewy jakiś ruch w przeciwnym skrzydle. To benedyktyнки wstały na Anioł Pański...

Wszedłem bez pukania. Zamorski siedział przy biurku, wpatrując się w komputer, w okularach na nosie. Wokół niego na półkach leżały relikwiarze: skrzyneczki z kutego srebra, miedziane misy.

— Co wy kombinujecie z Manon?

Nuncjusz zdjął wolno okulary, nie okazując najmniejszego zaskoczenia.

— Chronimy ją.

— Za pomocą skanerów, mikroskopów?

— Chronimy ją przed nią samą.

Zatrzasnąłem drzwi kopnięciem i zrobiłem krok do przodu.

— Zawsze uważaliście, że jest opętana.

— To chyba rozumie się samo przez się.

— Zrobiliście z niej królika doświadczalnego!

— Manon to przypadek wyjątkowy. — Zamorski zachowywał absolutny spokój. — Siadaj. Muszę ci coś jeszcze wyjaśnić.

Nie ruszyłem się z miejsca.

— Mamy obowiązek czuwać nad...

Roześmiałem się ponuro.

— Czego wy szukacie? Jakiegoś wytatuowanego „666”?

— Wygląda na to, że nic nie rozumiesz. Manon jest znakiem diabła. Każde bicie jej serca to akt demona. Każda sekunda jej życia to dar od Szatana. W świecie Boga Manon powinna była umrzeć! Wedle prawa naszego Pana jest ona zaprzeczeniem normy.

Słowa Bucholza o Agostynie: „To dowód fizyczny na istnienie diabła”. Zamorski potwierdził.

— Manon jest osobą cudownie uzdrowioną przez diabła. Spotkała się z nim podczas śpiączki. Została przez niego uratowana, i to on dał jej rozkazy.

— Przypuszczacie więc, że zabiła matkę?

— Z całą pewnością. I to bez niczyjej pomocy.

— Ty draniu! Mówiłeś przedtem o inspiratorze, o człowieku z cienia!

— Żeby cię nie przestraszyć. Ale jest tylko jeden inspirator: diabeł.

Poczułem ogromne zmęczenie. Opadłem na krzesło naprzeciw biurka.

— Bardzo dobrze znam akta sprawy. Manon nie ma predyspozycji do popełnienia takiej zbrodni. Zabójca jest chemikiem, entomologiem, botanikiem. Również Agostina nie pasuje do tego profilu, choć się przyznała. A Manon to jeszcze większy absurd!

Polak znowu się uśmiechał, co doprowadzało mnie do białej gorączki. Zaciśnąłem rękę na kolbie glocka. To uspokoiło nieco moje nerwy.

Nuncjusz wstał, obszedł biurko i rzekł współczującym tonem:

— Nie znasz dobrze akt tej sprawy. Biologia, chemia, botanika to przedmioty, które Manon studiuje na uniwersytecie w Lozannie. Można przypuszczać, że podjęła studia z myślą o morderstwie.

Te nowe fakty powinny były zainteresować mnie jako policjanta. Ale zmęczenie rozmiękczyło mi mózg. Słyszałem purpurata tak, jakbym miał watę w uszach, który na pocieszenie dodał:

— Nie mamy żadnej pewności. Ale musimy jej pilnować.

— Wierzy ksiądz w diabła? W to, że rzeczywiście, fizycznie, istnieje?

— Oczywiście. To antysiła, Mathieu. Negatywna strona wszechświata. Uważasz się za nowoczesnego katolika, a hołdujesz przesądom ubiegłego wieku. Wieku rozwoju nauk! Sądzisz, że można rozwiązać tego rodzaju problemy odwołując się do psychiatrii lub chemii. Patrzysz na to powierzchownie. Przypomnij sobie słowa Pawła Szóstego: „Zło jest nie tylko brakiem, jest istotą żywą, duchową, zdeprawowaną i deprawującą”. Tak, Mathieu, diabeł istnieje. I to on zdecydował o życiu Manon. O życiu, które odebrał jej Bóg.

— No to jaki cel mają te badania, analizy, pobieranie krwi?

— Jeśli diabeł jest tym, o czym uczy nas wiara: zarazą, to Manon nosi w sobie chorobę. Jest zarażona.

— Czego więc szukacie? Szczepionki?

Oparł rękę na moim ramieniu.

— Nie kpj. Manon, Agostina, Raimo są na styku dwóch

światów: fizycznego i duchowego. Duch przyszedł z pomocą ich ciałom. I ich ciała noszą teraz w sobie znak tego ducha. Czarnego ducha Bestii. Manon nosi w sobie załączek Złego!

Podniosłem się z krzesła. Miałem dość słuchania tych bredni. Skierowałem się do drzwi.

— To ksiądz pomylił stulecia. Narobiłby ksiądz dużo zła w czasach inkwizycji.

Z zaskakującą szybkością nuncjusz zastąpił mi drogę.

— Co zamierzasz zrobić?

— Wyjeżdżam z Manon. Wracamy do Francji. I proszę nie próbować nas zatrzymać.

— Manon coś wie — rzekł Polak, blednąc. — Musi nam to powiedzieć.

— Nic nie wie. Niczego nie pamięta.

— To przesłanie tkwi gdzieś w głębi jej duszy.

— Jakie przesłanie?

— Przysięga Otchłani.

— A więc o to wam chodzi? Szukacie tego samego co Poskromieni?

— Pakt istnieje! — podniósł głos. — Musimy poznać jego treść. Za wszelką cenę!

— To dlatego sprowadziliście mnie tutaj?

Uśmiechnął się.

— Manon nam nie ufała. Pomyśleliśmy, że młody człowiek z Francji... — urwał. — Mieliśmy rację. Po tej nocy...

Mimo woli zaczerwieniłem się. Wyobraziłem sobie księży w sutannach napawających się sceną nagrywaną przez kamerę.

— Manon mi ufa, to prawda. Ale wykorzystam jej zaufanie po to, żeby wyrwać ją z waszych szponów!

— Kiedy stąd wyjdiesz, nie będę już mógł nic zrobić dla ciebie.

— Jestem na tyle dorosły, że sam sobie poradzę.

— Nie masz pojęcia o niebezpieczeństwie, które czyha na was poza obrębem klasztoru.

— Spędziliśmy cały dzień i wieczór w mieście. I nic się nam nie przydarzyło.

Zamorski wrócił do biurka i wziął polską gazetę — ostatnie Wydanie „Gazety Wyborczej”. Pokazał mi zdjęcie zwłok leżących w kałuży krwi na trotuarze.

— Nie znam polskiego.

— „Znowu rytualne morderstwo w Krakowie. Piąty bezdomny

zabity w ostatnim miesiącu. Rozszarpany przez psy. Na chodniku widniał pentagram ułożony z jego kiszek. W ubiegłym tygodniu znaleziono w Wiśle ciała dzieci z chorobą Downa. Sekcja zwłok wykazała, że zmuszono je do wzajemnego gwałtu".

— Mam to rozumieć jako groźbę?

— Oni są tutaj, Mathieu. Przybyli, żeby szukać Manon. Może są to bezdomni, może modlący się w kościele obok. Są wszędzie. Czekają na swoją godzinę.

— Zaryzykuję. Ze względu na nas oboje.

— Nie są w niczym podobni do morderców, jakich zwykle ścigasz. To żołnierze, rozumiesz? Spadkobiercy okrutnych wieków. Współczesna wersja demonów, które towarzyszą Szatanowi w katedralnych nawach.

Pokazałem mu swój pistolet.

— Ja także mam nowoczesne argumenty.

— Błagam cię, nie wychodź stąd.

— Wracam do Paryża. Z Manon. I nie próbujcie nam w tym przeszkodzić. Mógłbym udać się do ambasady i opowiedzieć o porwaniu, uwięzieniu, o nadużyciu uprawnień. Podejmę na nowo dochodzenie. Przecież chcieliście tego, prawda?

— A co z nią?

— Będzie mieszkać u mnie.

Zamorski pokiwał z wolną głową.

— Znalazłeś się w niezłych tarapatach, Mathieu... W walce z diabłem przewidziałeś wszystko. Oprócz tego, że się zakochasz.

Otworzyłem drzwi i rzucając mu twarde spojrzenie, odrzekłem:

— Nie pozwolę, żebyście ją wykorzystali. Zrobiliście z niej przedmiot badań. Przynętę dla Poskromionych. A może nawet dla samego demona... Wasza logika każe wam mieć nadzieję, że Szatan obudzi się w jej ciele. Jesteście gotowi na wszystko, żeby sprowokować jego przybycie. Znałem policjantów w waszym rodzaju. Zdolni byli do najgorszych rzeczy dla dobra sprawy. Wydawało im się, że są ponad prawem. A w jakiś sposób i ponad Bogiem.

— Nie bluźnij.

— Będę dalej robił swoje. Bez kłamstwa i manipulacji.

Nuncjusz niechętnie usunął się.

— Gdybym trzymał się takich zasad, to musiałbym się zadowolić modlitwą za ciebie i Manon. Będziemy jednak was chronić, choćby wbrew waszej woli.



- Niepotrzebna mi niczyja pomoc.
- W czasach pokoju, być może, ale teraz zaczyna się wojna.

## 92

Dochodziło południe, ale nadal było ciemno.

Gęsta mgła spowiła miasto. Nie było widać ulic. Domy przypominały niekształtne bryły, góry wystające z chmur jak na chińskim malowidle. Niższe gałęzie drzew lśniły wilgocią, ale ich kontury ginęły w opalizującej mgiele. Było pusto. Pojedyncze samochody przemykały z zapalonymi reflektorami, po czym znikwały niczym statki widma.

Czegoś takiego nie przewidziałem. Wyszliśmy z jednej opresji, żeby znaleźć się w drugiej. Brama klasztoru Świętej Scholastyki zatrzasnęła się ciężko za nami. Wziąłem Manon za rękę. Jej torba ważyła prawie tyle co moja. Spojrzałem na lewo, potem na prawo. Nic nie było widać dalej niż na trzy metry. Zrobiłem kilka niepewnych kroków. Nie tylko zniknął cały świat, otuleni oparami mgły my również stawaliśmy się niewidocznymi...

Sądziłem, że jeśli pójdziemy na lewo, ulicą Sienną, dotrzemy do alei Św. Gertrudy. Powinniśmy tam złapać jakąś taksówkę. Nasze kroki odbijały się echem na chodniku, rozbrzmiewając głucho w wilgotnym powietrzu.

Szliśmy w milczeniu, jakby najmniejsze słowo mogło wyzwolić nasz strach. Teraz domy robiły takie wrażenie, jakby unosiły się do góry i podążały razem z nami. Dogonił nas samochód. Zdążyliśmy uskoczyć na bok. Okazało się, że szliśmy jezdnią. Gdy powoli nas mijał, usłyszałem odgłos wycieraczek na przedniej szybie.

Szliśmy dalej. Mgła ustępowała przed nami z wahaniem i natychmiast się od nowa zamykała. Już nie byłem pewny, czy rzeczywiście idziemy ulicą Sienną. Nie dało się odczytać żadnej tablicy. Jedynym punktem orientacyjnym była linia palących się jeszcze latarni. Palilo się też światło w niektórych oknach. Wyobraziłem sobie ciepłe mieszkania, atmosferę przygotowań do obiadu. Ten widok dodał nam otuchy.

Wyteżyłem pamięć. Powinniśmy minąć po lewej ulicę Mikołajską, która tworzyła tu wielki zakręt. Miałem nadzieję, że zauważę światła skracających latarni, co potwierdziłoby, że jesteśmy na

dobrej drodze. Ale nic z tego, bo nie dawało się śledzić więcej niż dwie latarnie naraz...

Nagle przestałem w ogóle widzieć cokolwiek. Czy opuściliśmy ulicę? Mgła stała się gęstsza, zimniejsza. Poczułem zapach wilgotnej ziemi, zwiędłych liści. Do licha, to nie była ulica Sienna. Może nigdy tu nie byliśmy? Wysiliłem pamięć, wyobrażając sobie w myślach mapę tej dzielnicy. Wreszcie zrozumiałem.

To Planty.

Park otaczający krakowskie stare miasto.

Od początku obrałem zły kierunek. Na potwierdzenie tego pod naszymi nogami zachrzęścił żwir. Pojawiły się drzewa rysujące konarami upiorne wzory. Głowy, ręce — czarne rzeźby ogrodowe. Miałem ochotę krzyknąć. Byliśmy sami, zagubieni, całkowicie bezbronni.

— Co się dzieje?

Głos Manon zabrzmiał tuż przy moim uchu. Nie miałem odwagi jej okłamywać.

— Jesteśmy na Plantach, w parku.

— Ale gdzie dokładnie?

— Nie wiem. Jak go przetniemy, to powinniśmy dojść do alei św. Gertrudy.

— Ale tak naprawdę nie wiemy, gdzie jesteśmy?

W odpowiedzi ścisnąłem jej palce. Z mgły wyłoniły się nowe latarnie. Jakaś aleja. Starałem się iść pewnym krokiem, żeby uspokoić Manon, która drżała w swojej kurteczce.

Odnosiłem wrażenie, że raczej płyniemy, niż idziemy... Wyciągałem bez przerwy szyję, mrużyłem oczy. Na próżno. Natomiast słuch jakby mi się wyostrzył. Wydawało mi się, że słyszę krople spadające z gałęzi drzew, skrzyp pokrytych lodem posągów, a nawet głuchy trzask pękającej pod stopami zmrożonej ziemi.

Nagle doszedł mnie inny hałas, znacznie bardziej realny.

Odgłos kroków na żwirze. Znieruchomiałem i zasłoniłem dłonią usta Manon. Szmer ustał. Odczekałem chwilę. Dwa kroki i cisza. Hałas powtórzył się i znowu szybko ucichł. Te kroki były stanowczo za blisko.

Wyciągnąłem z kabury pistolet. Istniały tylko dwie możliwości: ludzie Zamorskiego lub Poskromieni. Bardzo powoli odciągnąłem zamek glocka, stawiając raczej na to, iż byli to sataniści. Pilnowali wchodzących i wychodzących z „ich” klasztoru, a teraz trafił im

się szczęśliwy los na loterii: Manon, zdobycz, na którą czyhali od tygodni. Manon bez ochrony, błakająca się w towarzystwie jakiegoś cudzoziemca w parku tonącym we mgle.

Broń drżała mi w dłoni. Brakowało mi tej zimnej krwi, dzięki której wychodziłem cało z najgorszych sytuacji. Może to efekt zmęczenia, a może obecności Manon. Albo zagubienia w tym obcym, niewidocznym mieście... Myślałem chaotycznie. Strzelać na oślep, w kierunku kroków? Nie byłem nawet pewny, skąd pochodziły. Strzelać w latarnie, żeby zapadły kompletne ciemności? Absurd. Stracimy wtedy naszą jedyną szansę, żeby stąd wyjść.

Znowu usłyszałem chrzęst. Zbliżali się. Wyobraziłem sobie jakieś nadnaturalne stwory z płonącymi oczami. Źrenice z siarki zdolne widzieć we mgle. Ruszyłem w kierunku przeciwnym do tych kroków. Teraz już niczego nie byłem pewien. Czy idziemy nadal aleją? Z daleka błysnęło jakieś światło.

Przyspieszyłem. Wyciągnąłem przed siebie rękę, próbując coś wymacać. Zimny kamień, metal balustrady. Nie pamiętałem, żeby w tym parku była jakaś barierka. Złapałem się jej i szedłem wzdłuż niej. Światło latarni wydawało mi się wciąż tak samo dalekie.

Żelazna poręcz skończyła się. Stanąłem. Sekundę potem usłyszałem kroki tamtych. O wiele bliżej. Odwróciłem się, jakby można było cokolwiek dostrzec. Jednak wszystko nadal tonęło we mgle. Nagle w mlecznej zasłonie pojawiła się dziura i wtedy ich ujrzałem.

Cienie idące ramię w ramię.

Cienie bez twarzy, rozmywające się we mgle.

Serce zamarło mi ze strachu. Przez moment wydało mi się, że wszystko jest stracone. Podałem się panice. Czułem się bezbronny. W tym momencie nasi napastnicy mogli wygrać, ale za wolno działali.

Otrząsnąłem się i zacząłem obmyślać plan ataku. Zapewne nie widzieli lepiej niż my. Kierowali się odgłosem naszych kroków. Mogli mieć jednak przewagę liczebną i znać ten park. Brak widoczności im też dawał się we znaki.

Trzeba więc było pozbawić ich jedynej możliwości orientacji — dźwięków. Chwyciłem mocniej Manon i uskoczyliśmy na bok. Po trzech krokach wyczułem pod nogami stos liści, a potem miękkie, tłumiący odgłosy grunt. Może trawnik, może mokra ziemia.

Wtedy przyszedł mi do głowy inny pomysł. Korzystając z ciszy, pójść naprzeciw naszym wrogom. Pomyślałem, że schowaliśmy się za jakimś drzewem, a tego na pewno się nie spodziewają.

Poszedłem przez trawnik, wolną ręką wymacując zarośla, pnie drzew. Znowu kroki. Byli już nie dalej niż kilka metrów na lewo od nas. Ręką dotknąłem kory drzewa. Przyciągnąłem Manon, ustawiając ją między mną i pnem. Stała bez ruchu, nie oddychając, czułem, jak jej włosy muskają mnie po twarzy.

I wówczas coś się wydarzyło.

Strzępy mgły rozdarły się, ukazując wyraźnie naszych wrogów. Mogłem im się przypatrzeć przez sekundę, która wydała mi się wiecznością. Nosili skórzane płaszcze jak żołnierze Wehrmachtu. Z rękawów wystawały im haki, noże, szpikulce. Biała broń była jakby

Przywodzili na myśl inwalidów, którzy stali się maszynami do zabijania. Wyobraziłem sobie amputowane nogi, ręce ucięte do połowy, zastąpione groźnymi protezami, zdolnymi ciąć, odzierać ze skóry, rozłupywać...

Tworzyli koszmarny korowód karnawałowy. Jeden nosił maskę przeciwigazową, inny maskę lekarzy z siedemnastego wieku, którzy leczyli zadżumionych — długi czarny dziób z dwoma otworami. Trzeci miał odkrytą, zdeformowaną twarz. Skóra na niej, biała niczym porcelana, nosiła ślady zadrapań. Nie miałem najmniejszej wątpliwości, że sam się poranił. Życie dla zła. Cierpienie zadawane innym i sobie samemu.

Manon zaczęła tak głośno szczekać zębami, że musiałem przesłonić dłonią jej usta. Zrezygnowałem z całej strategii. Uciekać. Nieważne gdzie, byle dalej od tego koszmaru. Wychyliłem się z naszej kryjówki i, rozejrzawszy się dokoła, złapałem Manon za rękę. Zatrzymała mnie i pogłaskała po policzku. Odwróciłem się, żeby podnieść ją na duchu... ale to nie ona mnie dotykała.

To jeden z morderców ścisnął moje palce i wodził powoli po mojej twarzy metalowym hakiem, jakby czerpiąc z tego szczególną przyjemność.

W ciągu sekundy ujrzałem wszystko. Jego długie włosy, blizny, respirator w miejscu, gdzie była dziura po nosie. Zobaczyłem, jak podnosi ramię. Na końcu miał hak umocowany kablem.

W oparach mgły rozległ się świst metalu. Uskoczyłem, żeby uniknąć uderzenia. Przeszył mnie ból od ramienia aż po żebra. Wpuściłem z ręki pistolet. Usta wypełnił mi metaliczny smak.

Hak uniósł się ponownie, ale nie trafił we mnie, wchodząc między liście. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robię, oszalały z bólu, rzuciłem się na hak, powodując to, iż morderca upadł wraz ze mną na ziemię. Nie zważając na płynącą ze mnie krew, chwyciłem oburącz jego nadgarstek, przycisnąłem kolanem i przekręciłem, aż chrupnęła kość.

Natychmiast się cofnąłem, opadając na plecy. Zabójca obrócił się ku mnie. Poły jego płaszczka rozchyliły się, ukazując nagi tors. Skóra na jego piersi była tak cienka, że niemal przezroczysta. Wyraźnie widziałem, jak pod rybią skórą pulsuje serce. Sięgnąłem ręką między zarośla i znalazłem porzucony hak. Skaleczyłem się przy tym w dłoń. Tymczasem potwór zamierzał się do kolejnego uderzenia, wymachując drugim hakiem trzymanym w lewej ręce.

Kiedy rzucił się na mnie, kopnąłem go między nogi. Zachwiał się. Podniosłem hak. Wymierzyłem w bijące serce i zamknąłem oczy. Żelazo wbiło się w ciało. Poczułem, jak chlusnęła na mnie krew. Otworzyłem oczy i zobaczyłem jego straszliwą, pokiereszowaną twarz kilka centymetrów od mojej. Przez opary mgły widać było tryskającą brunatną krew. Zagryzłem wargi, żeby nie krzyknąć, przetoczyłem się na bok.

Potwór skręcił się, podrygując w agonii. Uniósłszy się na łokciach, zobaczyłem Manon, która przywarła do drzewa z przerażeniem w oczach. Czym prędzej do niej podszedłem i objąłem z całych sił, czując potworny ból rozchodzący się we mnie niczym ogień. Mimo pulsującej w skroniach krwi usłyszałem oddalający się na żwirze chrzęst. Inni Poskromieni niczego nie zauważyli, nic nie usłyszeli. Kontynuowali swój marsz!

Wymacałem w trawie mojego glocka. Schowałem do kieszeni i rozejrzałem się dokoła. Nikogo. Wygraliśmy. Nie miałem jednak czasu, żeby się nacieszyć zwycięstwem. Na żwirowanej ścieżce znowu rozległy się kroki. Dostrzegłem białe kołnierzyki przesuwające się we mgle niczym błędne ogniki.

Księża.

Ludzie Zamorskiego, którzy szukali nas w parku.

W tej samej sekundzie strumień światła omiół nam nogi. Reflektory samochodu. Znajdowaliśmy się zaledwie kilka metrów od jakiejś ulicy. Prawdziwej ulicy z prawdziwymi pojazdami!

Złapałem Manon za ramię i przecisnęliśmy się przez krzaki, które oddzielały nas od zwykłego świata ludzi. Wyobraziłem sobie walkę, jaka miała stoczyć się na Plantach.

Sataniści przeciw żołnierzom Boga.  
Apokalipsa według Zamorskiego.

## 93

Życ z umarłymi.

Choć powtarzałem sobie słowa Zamorskiego: „Czeka pana prawdziwa wojna”, słabe było pocieszenie. Kto wybaczy mi tyle przelanej krwi? Kiedy skończy się ta masakra?

Znajdowaliśmy się w „salonie dla VIP-ów” na lotnisku w Krakowie. Nazwa nie pasująca do tego ponurego pomieszczenia. Podniszczone fotele, popękana płyta lotniska widoczna za brudnymi szybami... Mimo to czuliśmy się tu bezpieczni po tym wszystkim, co przeszliśmy.

Samolot do Frankfurtu odlatywał o piętnastej. Przesiadkę do Paryża na lotnisko Charles-de-Gaulle mieliśmy o dziewiętnastej. Kiedy hostessa udzieliła mi tych informacji, miałem ochotę ją uściskać. Jej słowa oznaczały, że chyba uda nam się uciec.

Manon, wyczerpana, wtuliła się w moje objęcia. Jej ubranie, podobnie jak moje, wciąż było wilgotne od mgły. Ta wilgoć, która nie chciała nas opuścić, materializowała nasze zagrożenie. Zamknąłem oczy, poddając się dziwnemu uczuciu odprężenia wynikającemu z działania środka znieczulającego.

W drodze na lotnisko taksówkarz zawiózł nas do lekarza, który opatrzył moje ramię. Ostrze haka doszło aż do obojczyka, ale go nie załamało ani nie przecięło żadnego nerwu. Po zastrzyku przeciw tężcowi — opowiedziałem historyjkę o tym, że nadziałem się na maszynę rolniczą — doktor zszył ranę, po czym mocno owinął bandażem. Jego zdaniem można się było nie obawiać żadnych komplikacji. Jedyne zalecenie to absolutny odpoczynek. Przyjąłem to do wiadomości, myśląc o Paryżu i nowym rozdaniu kart.

Uspokajało mnie również przekonanie, że problem Poskromionych został załatwiony. Oczywiście mogą nas nadal ścigać, ale stracili najlepszą szansę. Manon była odtąd pod moją opieką i wkrótce znajdzie się na moim terytorium. W Paryżu będzie strzeżona przez dwadzieścia cztery godziny na dobę przez moich ludzi, gliniarzy zaprawionych do walki, umiejących poradzić sobie z szaleńcami z morderczymi protezami.

Myślami stale jednak wracałem do Luca. Jego planu. Jego przewrotności, szaleństwa. Byłem, nie wiedząc o tym, pionkiem w tej grze. Godnym zaufania policjantem, który zbierał dowody i odtwarzał jego czyny. Wiedział, że nie uwierzę w samobójstwo, że przejmę dochodzenie i krok po kroku podążę drogą, która doprowadziła go do tego desperackiego czynu. Byłem jego apostołem, świętym Mateuszem, piszącym ewangelię o walce z diabłem.

Dokładna analiza wydarzeń skłoniła mnie do zmiany opinii w pewnych szczegółach. Pomyliłem się na przykład w ocenie roli medalionu z wizerunkiem św. Michała Archanioła. Luc nie użył go dla ochrony siebie, lecz jedynie po to, żebym poszedł tropem demona. Chciał, żebym możliwie jak najszybciej pojął sens jego gry. Luc nie prowadził śledztwa jak inni, ale stanął osobiście twarzą w twarz z aniołem ciemności!

Teraz istotna była odpowiedź na pytanie, co wyprowadziło go ze śpiączki. Czy wrócił do życia bez żadnych wspomnień, czy, przeciwnie, przeżył rozstrzygające doświadczenie? Właściwie znałem tę odpowiedź. Słowa Laure: „On coś widział”.

— Proszę pana, zapowiedziano pański lot.

Poszliśmy za hostessą aż do sali odlotów. Paszporty, karty pokładowe. W końcu zajęliśmy miejsca w kabinie. Kiedy stewardesa objaśniała zasady bezpieczeństwa, zapadliśmy w głęboki sen. Niczym dwoje podróżników, którzy od tygodni nie spali w hotelu.

We Frankfurcie kolejny tranzyt. Tym razem salon First Class był olśniewająco nowy, wypełniony ludźmi zatopionymi w lekturze „Herald Tribune”. Zlekceważyłem ich nieufne, nieprzyjazne spojrzenia pod naszym adresem. Usadawiłem Manon w fotelu i poszedłem poszukać coca-coli, kawy, czegoś do przegryzienia. Nie tknęliśmy jedzenia ani kawy. W tym momencie wystarczyła nam cola, która podziałała jak środek oczyszczający po przeżytym horrorze.

Kilka godzin potem ujrzeliśmy światła Paryża. Wyrzałem przez okienko — ciemno, zimno, zanieczyszczone powietrze nad stolicą. Wiedziałem jednak, że nie jest tam aż tak zimno jak w Krakowie. W Polsce czuło się ustawiczne kąsanie przenikliwego chłodu nadającego wszystkiemu szczególny charakter. W Paryżu był on posępny, obojętny. Okrywał ulice jednostajną szarością. Mimo to byłem szczęśliwy, odnajdując na nowo tę monotonię. Ta chroniczna nuda była moim naturalnym ekosystemem.

*Godzina 19.00, piątek*

Tłok na autostradzie. Ulewny deszcz. Otworzyłem okno taksówki i wdychałem powietrze pełną piersią. Zapach mokrego betonu, spalin, szum rozpryskiwanych kałuż. I kierowcy w skupieniu wpatrujący się w jezdnię.

Kiedy samochód dotarł wreszcie na ulicę Debelleyme, poczułem niepokój świeżo upieczonego małżonka. Jak Manon zareaguje na to nowe życie? Czy spodoba się jej moje mieszkanie? Nigdy dotąd nie była w Paryżu.

Pokazałem jej moją osławioną klatkę schodową na wolnym powietrzu. Spojrzała na nią z grzecznym, roztargnionym uśmiechem. Wciąż jeszcze była w szoku. Brutalna scena w Krakowie wskrzesiła w niej wspomnienia z przeszłości. Trudno się dziwić. Ja także nie mogłem zapomnieć o tych chwilach strachu.

Manon usiadła na kanapie w salonie. Zaproponowałem jej herbatę, ale odmówiła. Nie chciała też pić żadnego alkoholu. Jak sparaliżowana wpatrywała się w swoją pikowaną kurtkę. Pozostała mi do zrobienia rzecz najtrudniejsza — wyjaśnić jej, że muszę natychmiast udać się do szpitala Hôtel-Dieu. Jej reakcja nie zaskoczyła mnie.

— Pójdę tam z tobą.

Pierwszy raz od wyjazdu z Krakowa wypowiedziała więcej niż trzy słowa.

— To niemożliwe — odrzekłem. — Muszę wydać pewne dyspozycje, żeby zapewnić ci ochronę w Paryżu.

— Nawet nie wiem, gdzie jestem.

Zrobiło mi się jej żal. Smutek Manon był moim smutkiem. Jej poczucie zagubienia — moim. Uklęknąłem przed nią i ująłem jej ręce.

— Musisz mi zaufać.

Uśmiechnęła się. Ogarnęła mnie fala ciepła. Szepnąłem:

— Pozwól, że się tobą zaopiekuję. Pozwól...

Nie dokończyłem zdania. Podniosła moją twarz i pocałowała w usta. Przysty resztki silnej woli. W całym ciele poczułem gorąco. Opuściły mnie siły, zawładnęło mną niesamowite uczucie, jakiego nigdy przedtem nie doznałem...

Po dwóch godzinach jechałem w kierunku szpitala, wciąż jeszcze czując dotyk dłoni Manon na moim ciele. Pulsowanie mojej krwi. Ostatnie sekundy. Poruszyła we mnie nieznanne punkty, czułe miejsca. Delikatna, niewypowiedziana akupunktura miłości...



Luca Soubeyrasa przeniesiono na inny oddział.

Nie było już zielonych lamp, papierowych fartuchów. Z szerokiego, białego korytarza oszklone drzwi prowadziły do przestronnych sal. Pacjenci podłączeni byli tu do różnych aparatów, ale już w zwykłym świetle jarzeniówek.

Idąc korytarzem, wróciłem w końcu do rzeczywistości. Szedłem, żeby ujrzeć Luca żywego, w pełni świadomego. Kiedy go zobaczyłem przez szybę, omal nie krzyknąłem. Miał nadal przewody w nosie, elektrody na szyi i skroniach i był bardzo wychudzony. Ale jego oczy były otwarte.

Przyspieszyłem kroku. W przyptywie radości uściśnąłem mu rękę.

— Stary, jestem tak...

— Widziałem go.

Zamarłem. Jego głos był ledwie słyszalny. Szepnął ponownie:

— Ja go widziałem, Mathieu. Widziałem diabła.

**V**  
**LUC**

— Teraz proszę zamknąć oczy.

Luc siedział z nagim torsem na odchylonym do tyłu fotelu. Setka elektrod opasywała jego ogoloną czaszkę, śledząc rytm fal mózgowych. Niewiele mniej elektrod umieszczonych na piersi mierzyło rytm serca, napięcie mięśni, reakcje skóry na GSR — Galvanic Skin Response, czyli mikroprądy emitowane przez naskórek.

— Odręź się pan. Odzyskuje pan powoli świadomość całego pańskiego ciała.

Opaska na lewym ramieniu Luca służyła do mierzenia ciśnienia tętniczego. Klips z czujnikiem na podczerwień, założony na jeden z palców, służył do mierzenia nasycenia krwi tlenem. Wszystkie te urządzenia miały nie tylko uchwycić zmiany fizjologiczne podczas trwania eksperymentu, ale również ochronić Luca przed niebezpieczeństwem, bo dopiero co wyszedł ze śpiączki i jego stan ogólny był niestabilny.

— Pańskie nogi i ręce rozluźniają się. Mięśnie wiotczeją. Znikło już wszelkie napięcie.

Kilka dni po mojej wizycie Luc stanowczo oświadczył, że po raz drugi, pod hipnozą, chce przeżyć swoją psychiczną podróż. W dodatku przy świadkach. Chciał powtórnie, na podstawie tego, co pamiętał, dojść do „drugiego brzegu”. I żeby każdy szczegół Jego doznań został zarejestrowany na piśmie.

Erie Thuillier, neurolog, który zajmował się nim w szpitalu Hotel-Dieu, nie chciał się zgodzić na taki eksperyment, uważając,

ze jest zbyt ryzykowny. Ale Luc nastawał i wtedy psychiatra Pascal Zucca, dyrektor szpitala w Villejuif, wydał pozytywną opinię. Jego zdaniem taki seans mógł być nawet zbawienny, bo tego rodzaju katharsis pozwoliłoby Lucowi wyjść z szoku. Thuillier skapitulował. Pod warunkiem, że eksperyment zostanie przeprowadzony w szpitalu Hôtel-Dieu, na jego oddziale i pod jego kontrolą.

— Teraz pańskie ręce, nogi robią się ociążałe...

Był czwartek, czternasty listopada. W kabinie kontrolnej obserwowałem przez szybę mojego najlepszego przyjaciela, bladego jak prześcieradło, ginącego pod kablami i elektrodami. Jeszcze jedna

Fotel, na którym ułożono Luca, stał pośrodku dużej sali z metalowymi ścianami i tłumiącą dźwięki podłogą pokrytą jasnym linoleum. Na stoliku na kółkach leżały ampułki, strzykawki, elektryczny defibrylator. Twarzą do stolika, a plecami do nas, siedział barczysty Pascal Zucca ubrany w biały kitel. Zgarbiony na krześle, przypominał trenera bokserskiego, który cicho daje ostatnie rady swojemu zawodnikowi. Scenę filmowało wiele kamer.

Odwrociłem się do moich sąsiadów tworzących nieruchomy rząd w kabinie. Sędzia Corine Magnan została tu specjalnie ściągnięta z Besancon. Siedzący obok niej Erie Thuillier obserwował ekrany kontrolne. Dalej był jakiś psychiatra, którego nazwiska nie zapamiętałem, przysłany jako ekspert przez władze miasta. Ekspert od czego? Ten seans to maskarada.

Za tą trójką siedział Levain-Pahut, komisarz z wydziału do walki z narkotykami, który przybył tu, aby przekonać się, czy nie torturują jednego z jego najlepszych ludzi.

Siedzący w cieniu asystent sędzi Magnan robił odręczne notatki, podczas gdy pielęgniarki krzątały się przy ekranach kontrolnych i klawiaturach komputerów.

Najbardziej jednak zaciekawił mnie człowiek na ostatnim miejscu po prawej stronie. Przedstawił się jako ojciec Katz, ksiądz egzorcysta z arcybiskupstwa Paryża, przedstawiciel Rzymskiego Kościoła Katolickiego. Ubrany na czarno trzymał w rękach małą czerwoną książeczkę *Rytuał rzymski*. Aż trudno było uwierzyć, że Lucowi udało się zgromadzić nas wszystkich z powodu jego szaleństwa.

— Ma pan wrażenie, że nogi wrastają panu w ziemię. Palce drętwieją...

Miałem ochotę roześmiać się w głos, ale nie mogłem sobie na to pozwolić. Obecność Magnan, wyznawczyni buddyzmu, i jej asystenta dowodziła, iż traktowała sytuację bardzo poważnie. Sprawa Simonis dostała się w ręce jedynej sędzi śledczej o skłonnościach ezoterycznych. Jedynej, która mogła uwierzyć w halucynacje Luca Soubeyrasa...

Wcześniej upewniłem się, że we Francji zeznanie złożone pod hipnozą nigdy nie było brane pod uwagę. Według francuskiego prawa świadek musi zeznawać „całkowicie świadomie, pouczony”, co wykluczało posługiwanie się metodą sugestii lub wykrywacza kłamstw. Mimo to Corine Magnan była tu obecna, a jej sekretarz spisywał wszystko bardzo szczegółowo.

Zucca mówił cicho — jego głos transmitowany był do kabiny przez niewidzialne przewody.

— Czuje pan ten ciężar w całym ciele... We wszystkich członkach, w każdym mięśniu...

Luc, unieruchomiony na fotelu, robił wrażenie bezbronno bardziej niż zwykle. Jego upstrzona rudymi plamkami skóra była niemal przezroczysta, wydawało się, że widać pod nią pulsujące wewnętrzne organy. Przypomniał mi się potwór z Plant i jego widoczne serce, ale zaraz odsunąłem od siebie ten obraz.

— Ciężar zmienia się w światło... Światło, które wypełnia pański umysł i ciało... Nic innego już pan nie czuje... Ciężar, światło całkowicie pana wypełniają...

Luc oddychał powoli, z zamkniętymi oczami. Wyglądał na spokojnego.

— To światło jest niebieskie. Widzi je pan?

— Tak.

— Niebieskie światło jest ekranem, na którym mogą pojawić się obrazy, pańskie wspomnienia... Kiedy dotrze tam mój głos, obrazy zaczną się wyłaniać. Zgadza się pan na to?

— Tak.

Psychiatra odczekał kilka sekund i powiedział:

— Widzi pan obrazy?

Luc nie odpowiedział. Psychiatra odwrócił się do szyby i spojrzał pytająco na Thuilliera, który z kolei zwrócił się do pielęgniarek. Potem neurolog mruknął coś do mikrofonu wbudowanego w konsolę.

— Wszystko w porządku.

Psychiatra dał znak, że usłyszał, i ponownie zapytał:

- Luc, czy są tam obrazy?
- Luc powoli kiwnął głową potakująco.
- Proszę iść za moim głosem i opisać te obrazy. Zgoda? Znowu potakujące kiwnięcie.
- Co pan widzi?
- Wodę.
- Wodę?

W kabinie wszyscy spojrzeli po sobie niepewnie, ale po sekundzie zrozumieli. Rzeka. Zaczynała się podróż.

## 95

- Proszę opisać to dokładniej.
- Jestem nad brzegiem rzeki.
- Wchodzę do rzeki. Czuję ciężar.
- Jaki ciężar?
- Ciężar kamieni. Przy pasie. Wchodzę do wody. Doznawałem różnych wrażeń. Zimno przeniknęło mnie do szpiku kości. Najbardziej jednak przybijający był fanatyzm Luca. Przypomniałem sobie, jak po mojej nieudanej akcji w Lilas w grudniu dwutysięcznego roku Luc zacytował świętego Jana od Krzyża: „Umieram, żeby nie umrzeć”. Luc żył tylko tym dochodzeniem. Zdecydował się na ostateczne poświęcenie. Na spotkanie z diabłem.
- Co pan czuje?
- Nic.
- Jak to?
- Zimno pozbawia wszelkich wrażeń.
- Proszę mówić dalej.
- Moje ciało roztapia się w rzece. Umieram.
- Niech pan idzie za moim głosem, Luc. Proszę opisać tę scenę. Po krótkiej ciszy Luc mruknął:
- Nic już... nie czuję.
- Proszę mówić głośniej.
- Rzeka zabiera mnie. Zalewa mi usta. Ja...
- Luc zacisnął usta, jakby chciał nie dopuścić do tego, żeby woda

wlala mu się do gardła. Znowu cisza. Napięcie w kabinie rosnęło. Każdy z nas pogrążył się w wodzie razem z nim.

— Luc, czy pan jest z nami? Cisza.

— Luc?

Nie ruszał się. Rysy jego twarzy stały się bardziej wyraziste, jakby zastygły w gipsie. Zucca zwrócił się do Thuilliera przez słuchawkę:

— Jaki jest rytm serca?

Neurolog spojrzął na fizjograf, który wydawał dźwięki podobne do sonaru mierzącego głębokość morza.

— Trzydzieści osiem. Jeśli nie wróci do normy, przerywamy wszystko.

Zucca zrobił jeszcze jedną próbę.

— Luc, niech się pan odezwie!

Thuillier nachylił się do mikrofonu na konsoli.

— Rytm serca wynosi trzydzieści dwa. Przerywamy. A niech to!

Neurolog rzucił się do drzwi i wszedł do sali. Wszystkie spojrzenia skierowały się na ekran kontrolny — linia falista zmieniła się w całkowicie płaską, wydającą ciągły dźwięk.

Pielęgniarki przybiegły tuż za Thuillierem. Wszyscy krzatali się przy stoliku na kółkach.

— Adrenalina. Dwieście miligramów — wydał polecenie neurolog.

Zucca, pochylając się nad Lukiem, powtarzał:

— Niech pan odpowie, Luc! Proszę iść za moim głosem!

Elektrokardiograf syczał niczym czajnik. Słyszeliśmy szelest kitli wzmocniony przez mikrofony. Kręciliśmy się na krzesłach, nie wiedząc, co robić. Zucca krzyknął:

— Luc! Proszę odpowiedzieć!

Thuillier odepchnął go ramieniem.

— Odsuń się. Mój Boże, on umiera! Zastryk, szybko! Pielęgniarka podała mu strzykawkę, po czym razem ułożyli na płask Luca, którego ciało wydawało się sztywne jak kłoda. Druga z pielęgniarek trzymała elektrody defibrylatora. Thuillier zaklął Pod nosem:

— Cholera! On zaraz umrze na naszych oczach!

Zucca nadal nachylony nad Lukiem, trzymając jego nadgarstki, wołał:

— Luc! Proszę się odezwać!

— Jestem.

Wszyscy zdrętwieli. Zucca pochylony nad pacjentem, Thuillier ze strzykawką w ręce, pielęgniarki w pół ruchu. W kabinie słysząc było pikanie elektrokardiografu bardzo powoli wracającego do normy.

— Luc, czy pan mnie słyszy? — zapytał hipnozyter.

Nie odpowiedzieli od razu. Odchylił głowę do tyłu. Nie widzieliśmy go, ale mogliśmy się tylko domyślać, że ma zamknięte powieki, śmiertelnie bladą twarz. Pozostała już tylko ziemską powłoka Luca. Prawdziwa istota ludzka była gdzie indziej.

— Słyszę pana — powiedział tępym głosem.

Zucca dał znak Thuillierowi, by wrócił do kabiny. Neurolog wyszedł niechętnie. Pielęgniarki odłożyły instrumenty i w milczeniu poszły za nim. Wszyscy w kabinie zajęli na powrót swoje miejsca. Seans hipnotyczny został wznowiony.

Psychiatra, z aktami Luca w rękę, usiadł i przeszedł do kolejnych pytań:

— Gdzie pan jest, Luc! Gdzie pan jest... teraz?

— Opuściłem moje ciało.

Głos był daleki, niewyraźny. Zucca zamilkł. Pewnie zastanawiał się nad sytuacją i wyciągnął te same wnioski co my. Zaczynało się doświadczenie bliskiej śmierci.

— Co pan widzi?

— Widzę siebie. Głęboko w wodzie. Płynę ku jakiejś skale.

— Co pan czuje? Jakie są pańskie wrażenia po opuszczeniu ciała?

— Płynę. Jestem w stanie nieważkości. Widzę światło.

— Proszę je opisać.

— Białe. Rozległe. Ogromne.

W kabinie dało się słyszeć westchnienie ulgi. Światło — objaw klasycznej halucynacji. Udało się chyba uniknąć tego, co najgorsze. Ale Luc podniósł się na fotelu.

— Światło znika... — odezwał się ponownie już cichym głosem: — To już tylko punkt... Jak główka szpilki... Na końcu tunelu... Wydaje mi się, że to ja się oddalam z ogromną szybkością...

Luc zacharczał. Jego głos zrobił się skrzypiący.

— Oddalam się... Dokoła wszędzie ciemność... Nie, czekajcie... Z trudem przełknął ślinę. Kręcąc głową, usiłował złapać oddech.

— Światło wraca... Jest czerwone...

— Proszę przyjrzeć mu się lepiej... Proszę je opisać.



- Dziwne... niepewne... Ono żyje.
- W jaki sposób?
- Pulsuje...
- Jak sygnał latarni morskiej?
- Nie... Ono bije... Jak serce...

W kabinie panowała coraz głębsza cisza. Wszyscy byliśmy zafascynowani. W pomieszczeniu czuć było intensywne napięcie, którego wybuch byłby w stanie rozbić szybę. Spojrzałem na czerwone światelko na palcu Luca. Materializowało światło, o którym on mówił.

- Ono mnie przyzywa... To światło wzywa mnie...
- Co pan robi?
- Idę ku niemu. Płynę korytarzem.
- Proszę opisać ten korytarz.
- Jego ściany są żywe.
- To znaczy?

Luc roześmiał się drwiąco, a potem skulił, jakby zaboląły go plecy.

— Ściany... Zbudowane są z twarzy... Twarze umieszczone w cieniu, gotowe wyskoczyć... Widać, że cierpią...

- Czy słyszy pan ich krzyki?
- Jęcza... Coś je boli... Nie mają ust. Tylko rany w tym miejscu...

Przypomniałem sobie wiersze Dantego: „Owej bolesnej, piekielnej doliny, co nieskończonych echa jęków chłonie”\*. A potem świadectwa, które czytałem w Watykanie. Luc dopiął swego — przeżył NDE, piekielne doświadczenie. Stał się Uratowanym Bez Światła.

- Czy nadal widzi pan czerwone światło? — pytał z naciskiem Zucca.
- Zbliża się.
- A teraz?

Luc nie odpowiedział. Na jego czole pojawiły się krople potu.

- Luc, co pan widzi?

Odniosłem wrażenie, że po kabinie rozszedł się smród, ostry zapach leków, kamfory i ekskrementów. Rozpoznałem go natychmiast — taki smród wydała Agostina w Malaspinie. Luc wybuchnął śmiechem.

\* Dante Alighieri, *Boska Komedia, Pieśń IV*, 8-9.

— Co pan widzi? — psychiatra podniósł głos.  
Luc wyciągnął rękę, jakby chciał czegoś dotknąć. Jego głos zrobił się ledwie słyszalny.  
— Czerwone światło... To ściana. To szron... A może lawa... Nie wiem. Z tyłu poruszają się jakieś kształty...  
— Jakie kształty?  
— Przychodzą i odchodzą, tuż obok ściany. Można by powiedzieć... Można by powiedzieć, że pływają w lodowatej wodzie. Jednocześnie czuję to, co płonie pod spodem, jak w kraterze...  
Lodowa skorupa, która chroni przed bólem. Czerwona magma osłaniająca agonię dusz. Luc opisywał krater jako drzwi otwarte na świat rozrastający się, nieskończony, ponadczasowy. Czyżby piekło?  
— Proszę mówić, co pan widzi. Wszystkie fragmenty, szczegóły.  
— Widzę... twarz... Ona pali się. Czuję jej ciepło...  
— Niech pan opisz tę twarz, Luc. Proszę się skoncentrować.  
— Nie mogę. Czuję gorąco i zimno.  
— Proszę mnie słuchać i powiedzieć dokładnie, co pan widzi...  
Luc skrzywił się na fotelu. Przewody na jego czaszce zakołysały się. Po twarzy przebiegły nerwowe tiki, wstrząsy wywołane przerażeniem.  
— Niech pan słucha mojego głosu, Luc!  
— Oczy... przekrwione oczy za pokrywą szronu... — Luc był blisko łez. — Twarz... poraniona... Widzę krew... rozerwane wargi... pokiereszowane policzki...  
— Niech pan mówi, kierując się moim głosem.  
Głowa opadła bezwładnie Lucowi na piersi.  
— Luc?  
Miał otwarte oczy. Łzy spływały po policzkach. A jednocześnie uśmiechał się. Zdawało się, że już nie cierpi, niczego się nie boi. Twarz mu się wypogodziła. Przywodził na myśl renesansowe portrety świętych w aureoli niebiańskiego światła.  
— Co się dzieje?  
Teraz uśmiech Luca stał się złośliwy.  
— On tam jest.  
Coś nie dającego się wyrazić przeniknęło do kabiny. Miałem wrażenie, że smród zgnilizny robi się coraz bardziej intensywny. Spojrzałem na pozostałych. Corine Magnan drżała. Levain-Pahut

pocierał kark. Katz, egzorcysta, obracał w rękę *Rytuał rzymski* gotów otworzyć książkę w każdej chwili.

— Luc, kto tam jest? O kim pan mówi?

— Nie odpowiem na takie pytania — odburknął Luc.

Psychiatra nie ustępował.

— Niech pan opisz tego, kogo pan widzi.

Luc zarechotał. Patrzył na Zucca z nienawiścią w oczach.

— Już powiedziałem, że nie odpowiem na tego rodzaju pytanie.

Zucca pochylił się nad nim. Zaczynała się prawdziwa potyczka.

— Nie ma pan wyboru, Luc. Proszę mnie posłuchać i opisać tego, kto jest za osłoną szronu, a może lawy.

Luc zachmurzył się. Miał teraz szkaradny, zimny, złośliwy, niechętny wszystkim wyraz twarzy.

— Nie ma już szronu — syknął.

— A co jest?

— Korytarz. Tylko korytarz. Czarny. Nagi.

— Czy jest coś wewnątrz?

— Człowiek.

— Jak wygląda?

Luc zachichotał.

— To starzec.

Zucca zerknął w stronę oszklonej kabiny. Jego twarz wyrażała zdziwienie. My również niczego nie rozumieliśmy. Każdy z nas oczekiwał wizerunku diabła: rogów, koziej brody, rozwidłonego ogona...

— Jak jest ubrany?

— Na czarno. Trudno go dostrzec w ciemnościach. Widzę jedynie jakieś rozżarzone druciki.

— Rozżarzone druciki?

— Świecą nad jego głową. Ma fosforyzujące włosy.

W kabinie robiło się coraz bardziej nieswojo. Smród ekskrementów przynoszony jakby przez lodowaty prąd powietrza był coraz bardziej dokuczliwy.

— Proszę opisać jego twarz.

— Biała skóra. Trupio blada. To albinos.

— A co przypominają rysy jego twarzy?

— Ma na twarzy grymas. Rozchylone wargi... odsłaniają białe dziąsła.

Ciało nie zaznało światła.

Luc mówił teraz tonem mechanicznym, chłodnym, obojętnym, jakby zdawał raport.

— A oczy? Jakie są jego oczy?  
 — Lodowate. Okrutne. Może jest w nich krew, może palące się węgle.  
 Nie wiem.  
 — Co robi? Jest nieruchomy?  
 Luc skrzywił się. Wyraz jego twarzy był niczym odbicie tego człowieka z korytarza.  
 — Tańczy... Tańczy w ciemnościach. A na głowie błyszczą mu włosy...  
 — Czy widzi pan jego ręce?  
 — Ma szponiaste palce. Pasują do jego złej twarzy, wykrzywionych ust. Wszystko u niego jest obumarłe. — Luc uśmiechnął się. — Mimo to tańczy... Tak, tańczy w milczeniu... To Zły tak się porusza... We krwi całego świata...  
 — Czy mówi coś do pana?  
 Luc nie odpowiedział. Wygięty, z wysuniętą szyją, jakby nastawiał ucha. Nie zważał na to, co mówi do niego Zucca, lecz słuchał starca w głębi wyjścia.  
 — Co mówi do pana? Proszę powtórzyć, co mówi do pana?  
 Luc mruknął coś niewyraźnie. Zucca krzyknął:  
 — Co on mówi? Rozkazuję, żeby pan odpowiedział!  
 Luc podniósł głowę, jakby go nagle coś mocno zabolalo. Konwulsje wykrzywiły mu twarz. Wychrypiał:  
 — *Dina hou be 'ovaddna.* — Po czym powtórzył głośniej: *Dina hou be'ovaddna!*  
 W kabinie wszyscy zamarli. Smród. Zimno. Nikt się nie ruszał.  
 — Co to znaczy? — spytał Zucca. — Co znaczy to zdanie?  
 Luc wybuchnął przytłumionym śmiechem. Potem jego głowa opadła. Hipnotyzer jeszcze raz go wezwał, ale nie doczekał się żadnej odpowiedzi. Seans dobiegł końca — „wizja” Luca zamknęła się na tych niezrozumiałych słowach. Zucca zdjął słuchawki.  
 — Zemdlął. Likwidujemy aparaturę i przenosimy go do sali intensywnej opieki.  
 Thuillier i pielęgniarki bez słowa przystąpili do działania. Pozostali nadal siedzieli bez ruchu. Miałem wrażenie, że smród i zimno zniknęły. Rozległy się szmery rozmów. Wymienialiśmy jakieś uwagi, żeby odzyskać pewność siebie, podzielić się ciepłem, a przede wszystkim, żeby jak najszybciej wrócić do rzeczywistości.  
 Wśród tych głosów usłyszałem jakieś mruczenie. Odwróciłem głowę. Ojciec Katz, z nieruchomym wzrokiem, z rękami zaciś-

niętymi na *Mszale rzymskim*, odmawiał szeptem modlitwę: *Deus et Pater Domini nostri Jesu Christi invoco nomen sanctum tuum et clementiam tuam supplex exposco...*

Pokropił wodą konsolę i aparaturę znajdujące się w kabinie.

Woda święcona na wszystkie nieszczęścia.

Ojciec egzorcysta sprzątał po wizycie diabła.

## 96

— To śmieszne.

— Opowiadam ci po prostu to, co się tam wydarzyło.

— Jesteście błaznami.

Manon wyglądała na przeziębioną, mówiła przez nos. Zrelacjonowałem jej scenę, która miała miejsce w szpitalu Hôtel-Dieu. Siedziała po turecku, z gołymi nogami, na łóżku. Pięknie wysprzątała sypialnię. W ciągu paru dni poczuła się w moim mieszkaniu jak u siebie i nie przestawała go pucować.

— Wszyscy mieli bardzo poważne miny.

— Spędziłam życie wśród szaleńców. Moja matka i jej modlitwy, Beltrein i jego aparatura... A tymczasem wy, policjanci, jesteście jeszcze gorsi!

Puściłem to mimo uszu. Manon kołysała się na łóżku, z dłońmi opartymi na skrzyżowanych nogach. W półmroku ukazywał się fragment jej twarzy, po czym znikał: wypukłość policzka, opaska na czole, czarne oczy. Na dworze padał bezszelestnie deszcz.

— W każdym razie — odezwała się ponownie — majaczenia Luca nie dowodzą, że ja przeżyłam to samo.

— Oczywiście. Ale zabójstwo twojej matki doprowadza nas ciągle do takiego negatywnego doświadczenia. Zabójca działał być może pod wpływem podobnego wstrząsu psychicznego...

— Ja?

Nie odpowiedziałem. Nogą odsunąłem od ściany tekturowe pudło i usiadłem na nim naprzeciw Manon.

— Sędzia weźmie pod uwagę wszystkie możliwości—powiedziałem uspokajającym tonem. Takie sprawy interesują ją szczególnie...

— Wszyscy jesteście stuknięci.

— Ona nie ma nic, rozumiesz? Najmniejszej wskazówki, żadnego motywu...

— Pozostała wam więc tylko biedna sierota.  
— Nie masz się czym martwić. Magnan już cię przesłuchiwała. Sarrazin sporządził raport. Wszyscy są przekonani o twojej dobrej wierze. Skinęła głową bez przekonania. Jej gładkie włosy przedzielał idealny przedziałek. Przypominała obrazek z bajki.  
— A Luc? Dlaczego on to zrobił?  
— Chce dojść do celu w swoim śledztwie. Jest przekonany, że zabójstwa twojej matki dokonał ktoś z Uratowanych Bez Światła.  
— I przypuszcza, że ja należę do tej bandy fiksatów. Wierzy w to, że jestem zabójczynią. Żeby przekonać wszystkich, powinnam poddać się temu samemu eksperymentowi, tak? Mam pod wpływem hipnozy zacząć grzebać w mojej pamięci?  
— Jest za wcześnie, żeby o czymś takim myśleć.  
Po sekundzie uświadomiłem sobie, że Manon zastawiła na mnie pułapkę. Chciała wiedzieć, czy jestem przygotowany na taką możliwość. Wpadłem jak śliwka w kompot.  
— Zostawcie mnie w spokoju — mruknęła. — Nigdy nie zgodzę się na te wasze wariactwa.  
Upadła na łóżko na plecy i zakryła twarz poduszką. Spod zadartego sweterka ukazał się jej pępek. Zadrzałem. Mimo takiego napięcia ogarnęło mnie znowu wszechpotężne pożądanie. Ale teraz stałem się w jej mniemaniu wrogiem jak inni.  
Nagle zerwała się i ze łzami w oczach krzyknęła:  
— Zostaw mnie w spokoju!

Kierunek na Quai des Orfevres 36.

Jadąc nowym wynajętym samochodem, zbierałem do kupy w myślach to wszystko, czego zdołałem się dowiedzieć. Po przyjeździe do Paryża zasięgnąłem informacji na uczelni Manon w sprawie jej alibi na dzień morderstwa matki. Zamorski mówił prawdę. Nikt jej tam nie widział mniej więcej przez tydzień w okresie, kiedy doszło do morderstwa. Przez telefon skontaktowałem się ze szwajcarskim policjantem, który przesłuchiwał ją, zanim została wezwana przez Magnan. Manon zastano w jej mieszkaniu dwudziestego dziewiątego czerwca, dwa dni po znalezieniu zwłok. Nie potrafiła przekonująco wyjaśnić, co w tym czasie robiła.

Polak przekazał także prawdziwą informację co do przedmiotów,

jakie studiowała. Faksem przesłano mi dokładny przebieg jej studiów. Miała za sobą rok studiów podyplomowych w dziedzinie biologii, ewolucji i zachowania gatunków, a ponadto studia uzupełniające z toksykologii, botaniki i entomologii. Uzyskała również dyplom z nauk farmaceutycznych. Nie dowodziło to niczego poza tym, że Manon nie brakowało odpowiedniej wiedzy, żeby doprowadzić ciało ludzkie do takiego stanu, w jakim były zwłoki jej matki...

Corine Magnan zapewne o tym wszystkim wiedziała, ale ponieważ nie istniał żaden bezpośredni dowód przeciw Manon, musiała porzucić ten trop, a może nawet przygotowywać się na umorzenie śledztwa. Jednak teraz, po seansie Luca, ożyły na nowo wszystkie wątpliwości. Czy Manon podczas swojego NDE w osiemdziesiątym ósmym roku zobaczyła to „coś”? Czy to doświadczenie zmieniło ją tak, jak to się stało z Agostiną? Czy wywołało u niej schizofrenię, przez co mogła ukrywać swoją drugą osobowość — okrutną, agresywną, mściwą?

Wszedłem do mojego pokoju i położyłem na biurku plik papierzysek, które wyjąłem z szafki. Na sekretarce miałem nagrane kilka wiadomości, w tym dwie od komisarz Nathalie Dumayet. Czekala na informacje o rannym seansie. Kiedy pokazałem się w pracy, nie kryła swego niezadowolenia. Nie aprobowała mojego zniknięcia ani lakonicznych wyjaśnień, jakich udzieliłem po powrocie.

Udałem się więc teraz natychmiast do niej, żeby jak najprędzej mieć to już za sobą.

Pokrótko opowiedziałem, jak wyglądał seans. Na zakończenie zasugerowałem, żeby zadzwoniła do Levain-Pahuta dla uzupełnienia moich informacji. Zbierałem się już do wyjścia, kiedy zaproponowała mi herbatę. A gdy odmówiłem, powiedziała z miłym uśmiechem, ale tonem wykluczającym dyskusję:

— Niech pan zamknie drzwi. Proszę usiąść.

Zająłem krzesło naprzeciw niej. Obrzuciła mnie spojrzeniem swych jasnych oczu.

— A co pan o tym myśli?

— To przede wszystkim problem psychiatrów. Trzeba się przekonać, czy Luc wyjdzie z tego bez powikłań...

— A co pan osobiście sądzi?

Zrobiłem niewyraźny gest ręką. Po powrocie przedstawiłem jej moje śledztwo w ogólnym zarysie. Dane o sprawach Simonis, Geddy, Rihimackiego zredukowałem do punktów wspólnych.

Wspomniałem o morderstwach dokonywanych przez satanistów, ale pominąłem kwestię Uratowanych Bez Światła i Poskromionych. Mimo to powiedziała:

— Nie wierzę w diabła. Jeszcze mniej niż pan, bo nie wierzę nawet w Boga. Można jednak sobie wyobrazić, że tego rodzaju wizja zmienia ludzi i może skłania do popełnienia zbrodni...

Nic na to nie odrzekłem.

— Wypowiadał tylko na głos pańskie wnioski.

— Nie przekazywałem pani takich wniosków.

— Można było się ich domyślić. Wydobył pan na światło dzienne trzy morderstwa dokonane w czterech częściach Europy według identycznej metody. W dwóch przynajmniej wypadkach mordercy są nam znani. To ludzie, którzy przeżyli NDE negatywne. Tak czy nie? — Po krótkiej przerwie mówiła dalej: — Dziś w tej sytuacji znalazł się Luc. Również w nim... zachodzi zmiana.

— Nic nie świadczy o tym, że ulegnie takiej transformacji.

— Wydaje mi się, że jest na dobrej drodze.

— Nie wyciągałbym takich wniosków.

— Ma pan inną hipotezę?

— Jest za wcześnie, żeby o tym mówić.

— Za wcześnie? Sądzę, że jest raczej nieco za późno. Mamy tu inne naglące sprawy. Powinien pan wrócić do swoich codziennych zajęć.

— Mówiła pani...

— Dałam panu tydzień urlopu. A pan wrócił po dziesięciu dniach i tak naprawdę nie podjął jeszcze pracy. Chciał pan znaleźć powód samobójstwa Luca. Teraz wiemy, co się z nim dzieje. Sprawa jest za — Proszę o jeszcze kilka dni. Ja... — nie poddawałem się.

— Jak się ma pańska protegowana?

— Moja protegowana?

— Manon Simonis. Podejrzana numer jeden w sprawie morderstwa matki.

— Nie zna pani wszystkich akt — odpowiedziałem, sztywniejąc. — Manon nie jest podejrzana. Brak dowodów, motywów.

— A jeśli ona ma za sobą doświadczenie negatywne podobnie jak ta Włoszka lub ten Estończyk? W takiej sytuacji motyw ogranicza się do psychicznego wstrząsu.

Milczałem.

— Nie chcę jej pognać, Mathieu. Chcę tylko pana po prostu



uprzedzić. Corine Magnan porozumiała się z funkcjonariuszami z pierwszego wydziału policji sądowej. Dzwonili do mnie. Ona zmierza jeszcze raz przesłuchać Manon Simonis.

— Z jakiego powodu?

— Seansu z Lukiem.

— Dlaczego Manon Simonis miałyby zeznać coś innego niż za pierwszym razem?

— Proszę zapytać o to Magnan.

— Czy zamierzają poddać ją hipnozie? Wstrzyknąć jakiś środek?

— Nic o tym nie wiem. Ale Magnan mówiła o ekspertyzie psychiatrycznej.

Zacisnąłem usta.

Dumayet dodała:

— Niech się ma pan przed nią na baczności, Mathieu.

— Czy pani coś jeszcze wie?

— Skontaktowała się z prokuraturą w Colmar. Prosiła o teczkę Davida Oberdorfa.

— Kto to taki?

— Typ, który zabił księdza w dziewięćdziesiątym szóstym roku. Jakiś nawiedzony.

Zerwałem się z krzesła i ruszyłem do drzwi.

— To absurd. Ta sędzia jest pomyłona.

— Mathieu, niech pan poczeka.

Zatrzymałem się na progu.

— Mam jeszcze dobrą wiadomość. Condenceau, ten z IGS, zamknął sprawę Soubeyrasa.

— Co stwierdzono?

— Próbę samobójstwa. To upraszcza sprawę, prawda? Luc jakoś z tego wyjdzie po kilku wizytach u psychiatry.

— A co z Doudou i z pozostałymi?

— Nie postawiono im żadnych zarzutów. Levain-Pahut zatuszował sprawę.

Położyłem już rękę na klamce, kiedy Dumayet odezwała się ponownie:

— A tak przy okazji, szperał pan w sprawie zabójstwa Massine'a

Larfaouiego, prawda?

— Tak.

— Niczego pan nie znalazł?

— Niczego więcej niż Luc i jego ludzie.

— Naprawdę?

Albo Dumayet miała swoje źródła, albo czytała w moich myślach. Nie mówiłem przecież nic o ibodze ani roli tego narkotyku w tej sprawie.

— Jest, być może, pewien związek z zabójstwem Simonis — przyznałem. — Może nawet z serią zabójstw.

— Jaki związek?

— Potrzebuję jeszcze czasu.

— Tak czy siak, Magnan będzie działać. Niech pan uzupełni luki w pańskim dochodzeniu, zanim ona to zrobi. Proszę skłonić do mówienia pańską milczącą ukochaną.

## 97

*Godzina 13.00*

Zamknąłem na klucz drzwi mojej klitki. Zamierzałem załatwić teraz pewną rzecz, która dręczyła mnie od tego ranka. Wybrałem bezpośredni numer do prefekta Rutherforda w Watykanie. Mimo iż dzień był szary, nie włączyłem światła.

Chwilę potem rozmawiałem z kierownikiem biblioteki. Odniosłem wrażenie, że nie miał ochoty połączyć mnie z kardynałem van Dieterlingiem. Musiałem powiedzieć, że mam „informacje o kapitalnym znaczeniu”, żeby wreszcie uzyskać połączenie z biurem Jego Eminencji.

— O co chodzi, Mathieu? — zapytał Flamand chrypliwym głosem, bez wstępów, wybiegów, zbędnych uprzejmości. Odpowiadało mi to.

— Prowadzę dalej dochodzenie, Eminencjo. Chciałbym księdza kardynała o coś zapytać.

— A nie powinien pan przedtem przekazać mi swoich informacji? — Od czasu wizyty w Watykanie nie dałem żadnego znaku życia. — Może pan przeszedł na drugą stronę? — spytał ironicznie kardynał. — Może zawarł pan przymierze z tantymi?

Była to przejrzysta aluzja do mojego pobytu w Polsce.

— Z nikim nie zawarłem przymierza—odparłem stanowczo. — Po prostu robię swoje. Kiedy poznam prawdę, przekażę ją wszystkim.

— Czego się pan już dowiedział?

— Proszę mi dać jeszcze kilka dni.

— Dlaczego mam panu po raz drugi zaufać?

— Eminencjo, jestem bliski bardzo istotnego odkrycia. Nowy przypadek Uratowanego Bez Światła.

— Jego nazwisko?

— Za kilka dni odpowiem.

Kardynał coś mruknął, jakby się zaśmiał, i rzekł:

— Jeszcze raz dam panu dowód mego zaufania, Mathieu. Nie wiem, dlaczego to robię. Czego chce się pan dowiedzieć?

— Czy Agostinę pytano o jej doświadczenie bliskości śmierci?

— Oczywiście. Moi specjaliści odbyli z nią wiele rozmów.

— Czy mówiła o tym, którego ujrzała w głębi „korytarza”?

Wyczułem, że się zawahał.

— O co panu chodzi? Proszę mówić wprost.

— Do kogo był podobny ten, którego widziała Agostina?

— Mówiła o młodym, bladym, wysokim mężczyźnie. Według jej relacji pływał w tunelu. Niczym anioł. — Powtórzył jakby z pewnym zażenowaniem: — „Anioł” — to jej własne określenie.

— Nie wspominała o starcu?

— Nie.

— Ani o świecących, fosforujących włosach?

— Nie. Czy to opis pańskiego Uratowanego Bez Światła?

Uchyliłem się od odpowiedzi i sam zadałem kolejne pytanie:

— Czy ten anioł był przerażający? Czy miał w sobie coś złowieszczonego?

— Według Agostiny pozbawiony był powiek i miał w ustach rozwieracz dentystyczny odsłaniający ostre niczym brzytwa zęby. Aha, przypominam sobie, że miał jeszcze coś... Ogromny sztuczny penis z aluminium... Albo monstualnych rozmiarów prezerwatywę na penisie. Widział pan Agostinę i sam się przekonał, jak źle tkwią w niej żądze.

— To wszystko? Żadnych innych odrażających szczegółów?

— To panu nie wystarcza? Jej opis był bardzo precyzyjny. Już samo to stanowiło nowość.

— Nowość?

— Proszę sobie przypomnieć, że do niedawna Uratowani Bez Światła nie potrafili opisać widzianego przez nich demona. A teraz ich wspomnienia są bardzo dokładne. Nastąpiła jakaś zmiana.

Wciąż ta jego teoria ewolucji. Uratowani Bez Światła charakteryzowali się teraz tym, że w swoim rytuale używali kwasów i owadów. I mieli dokładniejsze wspomnienie ich NDE.

— Dlaczego jednak ci wszyscy nawiedzeni — wyraziłem na głos moje wątpliwości — widzieli tak różnego diabła? Istotę, która nie ma nic wspólnego z ogólnie przyjętym wizerunkiem demona z rogami i rozcapierzonym ogonem?

— „Nazywam się Legion, bo jest nas wielu”... Szatan lubi przybierać różne postacie. Ale zawsze jest to ta sama moc.

— Każdy z Uratowanych Bez Światła widzi inną istotę, jakby... odpowiadającą jego osobie.

— Co pan przez to rozumie?

— Może to być zainspirowane wspomnieniem kogoś z ich przeszłości.

— Zastanawialiśmy się nad tym. Szukaliśmy w życiu Agostiny jakiegoś bladego mężczyzny o wyglądzie anioła. Ale nikogo takiego nie znaleźliśmy. Nie mówiąc już o zębach wampira. Do czego zmierzają te pytania, Mathieu? Jest pan policjantem. To pan powinien znaleźć na nie odpowiedź.

— Właśnie do tego zmierzamy, Eminencjo. Wkrótce znowu zadzwonię.

Zajrzałem do notatek. Foucault dał mi namiary psychiatry, który zajmował się Raimo Rihimäkim. Nazywał się Juha Valtonen. To on rozmawiał z nim po przebudzeniu ze śpiączki. Wystukałem dziesięciocyfrowy numer, dodając na początku numer kierunkowy kraju. Był to numer telefonu komórkowego, a więc miałem szansę złapać lekarza, gdziekolwiek by się w tym momencie znajdował.

Rozległ się sygnał. Czy w Tallinie o tej porze roku padał śnieg? Nie wiedziałem o tym kraju nic poza tym, że był położony najdalej na północ ze wszystkich krajów nadbałtyckich. Wyobrażałem sobie jego szare brzegi, czarne skały, lodowate, ciemne morze.

— Halo?

Kiedy przedstawiłem się po angielsku, natychmiast przeszedł na ten język. Rozmawiał już Foucaultem. Wiedział o naszym śledztwie i był gotów mi pomóc. Zapytałem o przeżyte przez Raimo NDE.

— Coś niecoś z tego zapamiętał — potwierdził psychiatra.

— Czy opisał osobę, którą zobaczył w swej wizji?

— Raimo mówił o chłopcu.

— O chłopcu?

— Raczej o młodzieńcu. O kimś dość młodym, otyłym, który pływał w ciemnościach.

— Czy opisał jego twarz?

— Tak. Pamiętam, że mówił o zmiażdżonej twarzy, odartej ze skóry i o wiszących z niej strzępach ciała. O zakrwawionym pysku buldoga...

Jeszcze jeden przerażający wizerunek. Ale niepodobny do starca u Luca ani do anioła Agostyny. Każdy Uratowany Bez Światła ma własnego demona.

— Czy nie sądzi pan — wróciłem do mojego pomysłu — że ta istota mogła mieć coś wspólnego z kimś z jego bliskich?

— W jaki sposób?

— Że jakaś osoba z jego przeszłości w postaci zdeformowanej ożyła w tej wizji?

— Nie. Raimo mówił, że nikt z jego bliskich nie przypominał kogoś takiego.

Trop psychoanalityczny kończył się impasem.

— Ma pan inne świadectwa tego rodzaju? — zapytał Valtonen.

— Tak, kilka.

— Chętnie bym to przeczytał. Czy istnieje tłumaczenie angielskie?

— Tak, ale teraz jesteśmy bardzo zajęci. Jak tylko będę miał więcej czasu, prześlę panu tę dokumentację. Obiecuję.

— Dziękuję. Mam jeszcze jedno pytanie.

— Słucham.

— Czy ci inni świadkowie stali się mordercami?

Pomyślałem o Lucu. I mimo woli o Manon.

— Nie wszyscy — odpowiedziałem.

— Całe szczęście. Bo inaczej przypominałoby to epidemię wściekliczny.

Zakończyłem rozmowę, podziękowawszy mu jeszcze raz.

*Godzina 14.00*

Nadszedł czas na odtworzenie dochodzenia, które było prowadzone przede mną. Nadeszła pora, by przesłuchać Luca.

## 98

Luc przebywał teraz w Ośrodku Specjalistycznym Paula-Guirauda w Villejuif. Określenie „specjalistyczna” było eufemizmem

oznaczającym zakład dla umysłowo chorych. Luc podpisał osobiście zgodę na przeniesienie do tego ośrodka na zasadach „dobrowolnej hospitalizacji”. Mógł więc go opuścić, kiedy tylko zechce.

*Godzina 15.00*

Dojechałem do zakładu, kiedy zaczynało się zmierzchać. Pas ciemnego nieba nad willową dzielnicą. Pascal Zucca, psychiatra hipnotyzer, wskazał mi pawilon, gdzie umieszczono Luca. Minałem bramę, skręciłem na lewo i poszedłem aleją z dwupiętrowymi budynkami po obu jej stronach. Każdy pawilon przypominał hangar na samoloty — szare ściany, wypukły dach.

Odnalazłem pawilon numer 21. Dyżurna pielęgniarka wzięła do ręki pęk kluczy i poprowadziła mnie do budynku. Pomieszczenia, przez które szliśmy, miały drzwi z okrągłymi okienkami, co przypominało wnętrze okrętu podwodnego. Sala jadalna, sala telewizyjna, sala terapii przez pracę... Wszystko było nowe: żółte ściany, czerwone drzwi, białe sufity. Dobrze oświetlone. Szliśmy bezszmerowo po szarym linoleum.

Przy każdym drzwiach kobieta wyjmowała odpowiedni klucz. Mijali nas pacjenci tworzący kontrast z nowoczesną architekturą tego miejsca. Ich nikt nie odnawiał. Większość wpatrywała się we mnie z otwartymi ustami. Twarze bez wyrazu, pusty wzrok.

Jeden mężczyzna miał twarz wykrzywioną jakby po wypadku. Inny, zgięty wpół, obserwował mnie z ukosa, jednym okiem skierowanym do góry, drugim ku ziemi. Przyspieszyłem kroku, żeby na nich nie patrzeć. Najgorsze wrażenie robili ci, których nic nie wyróżniało. Z szarymi, zgaszonymi twarzami, jakby uciekli we własne wnętrza. Niezauważalni.

Jeden z nich pozdrowił mnie gestem ręki znad stosu pozaginanych małych kartek papieru. Moja przewodniczka, otwierając kolejne drzwi, wyjaśniła:

— To dentysta. Jest tu od sześciu miesięcy. Całymi dniami składa te kartki. Nazywamy go „Origami”. Zabił żonę i trójkę swoich dzieci.

W następnym korytarzu powiedziałem:

— Nigdzie nie widzę dzwonek. Czy nie ma tutaj systemu alarmowego?

Kobieta potrząsnęła pękiem kluczy.

— Wystarczy dotknąć jednym z kluczy jakikolwiek przedmiot metalowy, by uruchomić alarm.

Dotarliśmy do części z pokojami, gdzie pacjenci spali. Naliczyłem sześć okienek nad sześcioma celami, zanim pielęgniarka zatrzymała się przed kolejnymi drzwiami.

— To tutaj.

I tym razem włożyła klucz do zamka.

— On jest zamknięty?

— Sam o to prosił.

Wszedłem do środka. Drzwi za mną zostały zamknięte na klucz. Białe, nagie ściany. Pięć metrów kwadratowych, jasna podłoga, okno z widokiem na ogród, sznurowe łóżko. Pokój ten niczym się nie różnił od szpitalnej sali. Zauważyłem tylko, że okno nie miało klamki.

Luc, w polarowej bluzie i dresowych jasnoniebieskich spodniach, zajęty pisaniem, siedział przy niewielkim blacie przymocowanym do ściany w kącie.

— Pracujesz nad czymś? — zapytałem.

Nie podnosząc się z krzesła, spojrzał na mnie przez ramię. Jego ogolona czaszka przypominała gwiazdę zagubioną wśród słonecznych wi — Wszystko zapisuję — odparł. — To bardzo ważne.

Wziąłem jedyny stojący tam fotel i usiadłem w odległości metra od niego. Do pokoju przedostawało się wieczorne światło.

— Jak się czujesz?

— Zdechły, pusty w środku.

— Dostajesz leki?

Uraczył mnie słabym uśmiechem.

— Tak, trochę.

Zakręcił powoli nasadkę długopisu. Machinalnie poklepałem się po kieszeni. Luc, domyśliwszy się, czego szukam, powiedział:

— Możesz zapalić, ale otwórz okno. Dali mi coś takiego do rygła.

Podał mi kawałek pręta, którym otwierało się rygiel okna. Włożyłem camela w usta i podsunąłem paczkę Lucowi. Pokręcił przecząco głową.

— Nie dotknąłem papierosa od czasu przebudzenia.

— Brawo — odrzekłem niezbyt szczerze.

Szczęknąłem zapalniczką. Wdychałem dym pełną piersią, odchylając głowę do tyłu, a potem wypuściłem gorący obłoczek w lodowate powietrze.

— Dzięki, Mat — powiedział cicho Luc za moim plecami.

— Za co?

— Za to, co zrobiłeś. Dla Laure, dla mnie, dla dochodzenia.

— Przecież tego ode mnie oczekiwałeś, prawda?

— Tak — zaśmiał się. — Byłem pewien, że nie pogodzisz się z moim samobójstwem. Mogłem spokojnie umrzeć... Wyjaśniłbyś prawdę całemu światu.

— Czy nie byłoby prościej, gdybyś dostarczył mi całą dokumentację, tak jak Zamorskiemu?

— Nie. Musiałeś prowadzić dochodzenie samodzielnie, bo inaczej nie uwierzyłbyś w nic. Nikt by nie uwierzył.

— W dalszym ciągu nie wierzę do końca.

— Dojdiesz do tego.

Spojrzałem na niego, opierając się o parapet okna.

— Luc, przyszedłem, żeby się z tobą rozmówić. Muszę ułożyć wszystkie elementy tej łamigłówki.

— Już to zrobiłeś.

— Chcę wiedzieć, jak ty do tego doszedłeś. We dwóch będzie nam łatwiej to wyjaśnić.

Zamknął zeszyt i zrelacjonował pokrótce swoją historię. Nie powiedział niczego poza tym, czego się już wcześniej domyśliłem. Wszystko się zaczęło w minionym czerwcu, wraz z morderstwem Sylvie Simonis. Luc badał ten region, znany z działalności satanistów. Prowadził śledztwo identycznie jak ja, tyle tylko, że z Sarrazinem porozumiał się od samego początku. Stopniowo wpadł na trop Uratowanych Bez Światła, Agostiny Geddy, potem Zamorskiego i Manon...

— A sprawa zabójstwa Massine'a Larfaouiego?

— Bułka z masłem. Zabito go we wrześniu, kiedy wiedziałem już o Poskromionych, wiedziałem o ibodze. Łatwo poskładałem to wszystko do kupy.

— Wiesz, kto go zabił?

— Nie. To jedna z zagadek w tej sprawie.

— A co to jest unital6?

Uśmiechnął się, ale zaraz spoważniał.

— To zwykli oszuści. Nic ciekawego.

— Dlaczego się z nimi kontaktowałeś bezpośrednio przed swoim zniknięciem?

— To jedna z moich sztuczek, którą przeznaczyłem dla ciebie.

— Podobne jak medalion ze świętym Michałem?

— Tak, między innymi.



Nie wiedziałem, czy mam współczuć mojemu przyjacielowi, czy się na niego gniewać.

— A do czego doszedłeś w sprawie Poskromionych?

— Zwykli sataniści, tyle tylko, że okrutniej si od innych. Jedyne ważny element to iboga.

— W jakim sensie?

— Musiałem spróbować.

— Chcesz powiedzieć, że...

— Tak odbyłem tę podróż. Wiele razy. Wstrzykiwałem ją sobie. Korzystałem z pomocy farmakologów.

Przypomniałem sobie tajemnicze ślady ukłuć na rękach Luca. Próbował tego doświadczenia na wiele tygodni przed dokonaniem wielkiego skoku.

— No i co? — zapytałem obojętnym tonem.

— Nic. Chorowałem po tym, ale nie zobaczyłem tego, o co mi chodziło.

— Gdzie zdobyłeś to ziele?

— U Massine'a Larfaouiego. Miał u siebie dużo czarnej ibogi. Jego zabójca nie tknął tego.

Nadal pozostawał nierozstrzygnięty problem, dlaczego zabójca nie splądował domu dealera. Czy nie szukał narkotyku? Nie miał żadnego powiązania z Poskromionymi? A może przeszkodziła mu obecność prostytutki?

— Iboga miała jedną zaletę — podjął Luc. — Przyspieszyła moją decyzję. Zrozumiałem, że aby zobaczyć diabła, trzeba naprawdę zaryzykować własną skórę. Demon nie lubi półśrodków, Mat. Chce sam decydować, czy ma kogoś ratować, czy się komuś pojawić.

Nie skomentowałem tych opinii człowieka nawiedzonego.

— Ale dlaczego podejmowałeś takie ryzyko?

— To było jedyne wyjście. Doświadczenie negatywne jest kluczem do rozwiązania śledztwa. Czarne źródło, które daje życie mordercom. Uratowanym Bez Światła.

— Uważasz więc, że Manon jest Uratowaną Bez Światła?

— Nie mam żadnych wątpliwości.

— Sądzisz, że zemściła się na matce za to, że chciała ją zamordować?

— Ja to po prostu wiem. — Luc spojrział mi w oczy: — "osłuchaj, Mat. Nie będę ukrywał. Zszedłem do krainy ciemności z miłości do Manon. Wstąpiłem do piekła jak Orfeusz. Zaryzyko-

wałem życie. I duszę. Wszystko to zrobiłem dla niej. I wbrew temu, co mógłbyś przypuszczać, modliłem się, żeby niczego nie odkryć w głębi tunelu. Chciałem dowodu na jej niewinność. Ale przydarzyło się najgorsze. Ujrzałem diabła i teraz znam prawdę. Manon przeżyła to samo co ja i jest morderczynią. Wyrzuciłem peta przez okno.

— Tak więc i ty także jesteś Uratowanym Bez Światła?

— Zapewne.

— Wzywałeś diabła za pomocą symbolicznych przedmiotów, topiłeś się w lodowatej wodzie i robiłeś to wszystko?

— Nie zamierzam cię przekonywać.

— Czy słyszałeś o czymś takim jak Przysięga Otchłani?

— Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

Mimo woli podniosłem głos.

— Na kim się mścisz? Na sobie samym? A może po prostu szykujesz się do serii bezsensownych zabójstw?

— Rozumiem twoje wątpliwości. Towarzyszyłeś mi do pewnego punktu. Nie spodziewałem się, że zajdziesz tak daleko. — Westchnął i wskazał na swój zeszyt: — Opisuję to tak, jak potrafię. Przedstawiam wszystkie szczegóły mojej przemiany. Wkrótce już nic nie da się zrobić. Przejdę na drugą stronę. Wtedy nie wolno będzie już mnie słuchać ani ze mną rozmawiać. Trzeba będzie mnie po prostu... zamknąć.

Miałem już dość jak na jeden dzień. Klepnałem go po ramieniu.

— Powinieneś odpocząć. Przyjdę jutro.

Przytrzymał mnie za rękę.

— Poczekaj. Chcę ci coś powiedzieć. Nie zastanawiałeś się nigdy, dlaczego mam taką obsesję na punkcie diabła?

— Codziennie się zastanawiam. Odkąd cię poznałem.

— Zaczęło się to w dzieciństwie.

Westchnąłem. Co on znowu zamierza mi wciskać? Pomyślałem nagle, że opowie o jakimś starcu, z którym zetknął się w najmłodszych latach. O starcu, który pasowałby do jego wizji, ale on powiedział:

— Pamiętasz mojego ojca?

Przypomniałem sobie fotografię na jego biurku — Nicolas Soubeyras, zdobywca podziemnych grot, w kombinezonie, z latarką na czole.

Nie czekając na moją odpowiedź, dodał:

— To najgorszy drań, jakiego kiedykolwiek znałem.

— Sądziłem, że go uwielbiałeś.  
— Jak się ma jedenaście lat, zawsze podziwia się swego ojca. Nawet jeśli jest to drań.

Czekałem na dalszy ciąg.

— Drań, który bił moją matkę, który narzucał nam żelazną dyscyplinę, dumny ze swoich rekordów i wyników. W tamtym czasie cierpiałem na uszkodzenie nerwu trójdzielnego. U dzieci zdarza się to bardzo rzadko, lecz powoduje silne bóle. Ojciec chował przede mną środki znieczulające i przeciwzapalne, które miały mi pomóc. Teraz widzisz,

Nie wiedziałem jednak, jaki to ma związek z jego obsesją na punkcie diabła. Czy Luc uznał w końcu swego ojca za demona?

— Czy wiesz, jak on umarł?

— Mówiłeś, że zginął w trakcie ekspedycji speleologicznej.

— W jaskini Genderer w Pirenejach, w kwietniu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku. Niedaleko od Saint-Michel-de-Seze. Zszedł na głębokość co najmniej tysiąca metrów. Zamierzał pozostać pod ziemią przez sześćdziesiąt dni bez żadnego kontaktu ze światem, aby sprawdzić własny zegar biologiczny. Nigdy stamtąd nie wyszedł. Ziemia się obsunęła. Umarł wskutek uduszenia, gdyż wyjście z groty zostało odcięte przez skały.

Milczałem, nie widząc nadal związku z Szatanem.

— Ratownicy znaleźli przy zwłokach notes z rysunkami. Kiedy je zobaczyłem, wiedziałem, że odtąd moje życie nie będzie już takie samo.

— Co przestawiały?

— Ciemności.

— Nie rozumiem.

— Ojciec, uwięziony w grocie, rysował codziennie przy świetle lampy to, co go otaczało. Stalaktyty, kontury wnęk, cienie.

— Rysował zawsze to samo?

— Z upływem dni skały zmieniały kształty. Stalaktyty deformowały się. Wyglądały jak szpony, które chciały go porwać.

Wyobraziłem sobie Nicolasa Soubeyrasa zamurowanego żywcem, konającego, mającego wizje. Wytrwale rysując przy świetle gasnącej lampy, widział, jak stopniowo zmienia się jego otoczenie. Ostatnie chwile przerażenia przed ostatecznym odejściem.

Luc mówił cicho, jakby jego głos dochodził z otchłani.

— Na ostatnich rysunkach sklepienie groty zmieniło się

w skrzydła nietoperza, a stalaktyty w czarne ścięgna. W głębi cienia ukazana była jego twarz.

— Czyja twarz?

— Tego, kogo ojciec ujrzał przed samą śmiercią.

Przeszedł mnie dreszcz. Luc szepnął, obracając nerwowo skuwkę długopisu.

— Diabła. Ojciec ujrzał Szatana, zanim wydał ostatnie tchnienie. Anioł ciemności wynurzył się z głębi ziemi, żeby go zabrać. Nigdy nie zapomnę tej twarzy. Ten notes z rysunkami stał się moją czarną biblią...

Luc opowiadał mi, że w trakcie wycieczki z ojcem widział Boga wyłaniającego się na połyskującym skalnym zboczu. Teraz pojąłem, że we wnętrzu tych samych gór ujrzał diabła narysowanego przez Nicolasa Soubeyrasa.

— Potrzebny jest ci odpoczynek.

— Nie mów do mnie jak do chorego! Nie oszalałem. Jeszcze nie. Zadzwoń do Corine Magnan. Chcę się z nią zobaczyć.

— Co zamierzasz jej powiedzieć?

— Powinna mnie obserwować. Moja transformacja będzie stanowić zasadniczy element dokumentacji. Trzeba analizować moją metamorfozę, żeby właściwie ocenić osobowość Manon. — Zadrzałem. On mówił dalej: — Ona jest opętana, Mat. Wiem, bo przeszedłem przez to samo co ona. W imię zła stale kłamie, uwodzi, manipuluje. Ja też będę już wkrótce to robił...

Wstałem z przerzuconym przez ramię płaszczem. Uświadomiłem sobie w końcu całą sytuację. Doszło między nami do ostatecznego rozłamu. Odtąd musiałem wybierać między nim a Manon.

Ścisnąłem mu dłoń i wycedziłem przez zęby:

— Nie jesteś jeszcze gotów, żeby stąd wyjść.

## 99

— Czy zastałem profesora Zuccę?

Chciałem skorzystać z wizyty w instytucie i porozmawiać z tym psychiatrą. Sekretarka odpowiedziała mi z uśmiechem:

— To pora jego joggingu.

— Wyszedł już?

— Nie, biega w parku.

Opuściłem czerwonożółty hol, a potem okrążyłem pawilon numer 21. Było już prawie zupełnie ciemno. Usiadłem na ganku przy bocznych drzwiach, które wychodziły na główną aleję kampusu. Zucca z pewnością robił kilka okrążeń wokoło budynków, powinienem więc go tu zobaczyć, zanim skończy trening.

Wyjąłem camela i postukałem nim o stopień. Zadzwoiłem do Corine Magnan na jej telefon komórkowy. Odezwała się poczta głosowa. Zostawiłem wiadomość, prosząc ją, by jak najszybciej skontaktowała się ze mną. Potem zadzwoniłem na komórkę Manon. Powitała mnie już nie tak wrogo, jak się obawiałem. Obudziłem ją tym telefonem. Od przyjazdu do Paryża Manon miała poważne kłopoty ze snem. Zapadała w sen ciężki, głęboki, niemal letargiczny. Słyszałem dudniący za jej plecami telewizor. Obiecałem, że wrócę na obiad. Pożegnała mnie bezbarwnym „całuję cię”, które nic nie znaczyło.

Zapaliłem papierosa, poddając się atmosferze spokoju roztaczającego się przede mną pejzażu. Łyse trawniki, zwiędłe liście, kępy grabów. Ani żywej duszy na ścieżce, nikogo na terenach sportowych naprzeciw pawilonu, ani jednego samochodu. Myślałem o Manon zamkniętej w moim mieszkaniu od prawie tygodnia. Dokąd tak zajdziemy oboje?

Po paru minutach pojawił się Zucca biegnący drobnym krokiem. Od stóp do głów ubrany był na sportowo. Wstałem i odrzuciłem papierosa. Kiedy psychiatra zauważył mnie, pobiegł w moim kierunku, z półotwartymi ustami, czym przypominał zziąjanego psa myśliwskiego. Twarz miał czerwona od wysiłku.

— Przyszedł pan odwiedzić kolegę? — zapytał, łapiąc oddech.

— Chciałem porozmawiać również z panem.

Gestem głowy wskazał na camela rzuconego przeze mnie na ziemię.

— Może mnie pan poczęstować?

— Biega pan i pali papierosy?

— Lubię robić kilka rzeczy naraz. — Wyciągając z paczki papierosa, nie przestawał biegać w miejscu. Nachylił się do mojej zapalniczki. Czerwone plamy na twarzy odbierały jej wszelki wyraz. Skrzywił się przy pierwszym sztachnięciu. — Co pan chce wiedzieć?

— Jaka jest pańska opinia na temat Luca. Jego stanu psychicznego. Czy się pogarsza?

— Za wcześnie, żeby o tym mówić.

— Proszę pana, Luc Soubeyras jest moim najlepszym przyjacielem i...

Przerwał mi ruchem ręki:

— Umówmy się co do jednego. Pan oszczędzi mi takich sentymentalnych kawałków, a ja ze swej strony pominię naukowe mądrzenie się. W ten sposób obaj oszczędzimy na czasie. Jestem pewien, że ma pan przygotowane konkretne pytania. Własną małą teorię... — Zszedł na ścieżkę asfaltową, cały czas biegając w miejscu. Rano przypominał mi trenera od boksu. Wieczorem zaś samego boksera.

— Nie wierzę w negatywne przeżycie Luca — zacząłem. — Jestem przekonany, że padł ofiarą swoich idei. Dobrowolnie się topił, żeby zobaczyć demona. A teraz jest pewien, że mu się udało. Może ponosi go jedynie własna fantazja?

— Nie zgadzam się z panem. — Zucca popatrzył na żarzącego się camela. — Poddaliśmy obserwacji wiele parametrów fizycznych i psychicznych podczas seansu. Parametrów, które zbliżone są do wykrywacza kłamstw. Luc Soubeyras nie kłamał. On to pamiętał. Aparatura wykazała to wyraźnie.

— Być może był szczery. Wierzył, że przeżył...

— Nie. Elektrody pozwoliły nam wyróżnić fale emitowane przez jego mózg. To dość skomplikowane do wyjaśnienia, ale Luc rzeczywiście przypominał to sobie w trakcie seansu. Nie mam żadnych wątpliwości. Nie mówiąc już o tym, że technika hipnozy jest niezawodna. Nie da się jej oszukać. Luc uwolnił swoją pamięć. Przeżywał na nowo NDE.

Myślałem, że znajdę w nim sojusznika, ale pomyliłem się. Wyjąłem drugiego papierosa.

— Tak więc widział diabła?

— W każdym razie widział jakąś postać, starca.

— Jak wyjaśni pan tego rodzaju wizję z punktu widzenia psychiatrii?

Lekarz stanął, zmarszczył brwi.

— Czy naprawdę te informacje są ważne dla pańskiego dochodzenia? Czy nie powinien pan raczej zająć się konkretnymi faktami?

— W tej sprawie nie da się postawić granicy między tym, co konkretne, racjonalne, i tym, co irracjonalne, transcendentne. Pragnę zrozumieć, co zaszło w umyśle Luca.

Zucca szedł teraz w normalnym tempie. Oddychał już znacznie wolniej.

- Z psychicznego punktu widzenia NDE to rzecz banalna.
- Negatywne doświadczenia występują znacznie rzadziej.
- Oczywiście. Ale czy są negatywne, czy pozytywne, znamy ich przebieg.

Przypomniałem sobie komentarz techniczny Beltreina. Zucca powtórzył mniej więcej to samo: przeciążenie neuronów i wydzielin chemicznych. Prawdę mówiąc, nie interesowało mnie wyjaśnienie mechanizmu tego zjawiska.

— Ale wizje... — nie ustępowałem. — Jak pan wytłumaczy tego rodzaju... fantazje? Dlaczego w przeżyciu negatywnym zawsze widzi się... demona?

— Może przeciążenie, o którym panu mówiłem, sprzyja wynurzeniu się obrazów należących do naszej zbiorowej podświadomości. Obrazu przodków z odległej przeszłości.

— I tu pojawia się pewien problem. Postać, jaką widzą ci ludzie, powinna odpowiadać jakiemuś archetypowi. Mieć, na przykład, tradycyjny wygląd diabła. Rogi, postać kozła, rozcapierzony ogon...

— Ma pan rację.

— Ale tak nie jest. Stwierdziliśmy to dziś rano. Z tego, czego zdołałem się dowiedzieć, wynika, że każdy z przywróconych do życia widział inną istotę. Każdy z uratowanych przedstawia swojego własnego diabła. Jak pan wyjaśni tę osobliwość?

— Nie wyjaśnię. Ale mrozi mi to krew w żyłach.

— Dlaczego?

— Wygląda na to, że Luc Soubeyras przypomniał sobie to, co mu się naprawdę przydarzyło. To nie była ułuda, stereotypowa iluzja, ale prawdziwe spotkanie. Z istotą niezwykłą, wcieleniem zła, której nikt nie umiałby sobie wyobrazić, a która wyszła mu na spotkanie z głębi otchłani.

Nadszedł moment na moją psychoanalityczną teorię.

— Wymyśliłem wyjaśnienie dla tych „spotkań”.

— Proszę mi je zdradzić — uśmiechnął się. — Jestem pewien, że przyszedł pan w tym właśnie celu.

— Może ci ludzie nadają tej istocie wygląd kogoś ze swojej przeszłości. Kogoś, kogo nienawidzą lub się boją.

— Ciekawe.

— Byłaby ona wówczas jakby powracającym wspomnieniem. Deformacją kogoś bliskiego, kto wyrządził im krzywdę w dzieciństwie. NDE wywołuje obraz będący na pół wspomnieniem, na pół halucynacją.

Zucca przytaknął z ironiczną miną.

— Ma pan myśli postać ojca?

— Tak. Ale wiem też o takich wypadkach, gdzie ani ojciec, ani nikt z otoczenia opisujących to przeżycie nie był podobny do ich „diabła”.

— Ma pan jeszcze papierosa?

W ciemnościach zabłysnął płomień mojej zapalniczki. Zucca zaciągnął się, wydmuchał dym, odczekał chwilę, po czym rzekł:

— Sądzę, że prawda jest o wiele prostsza. Prostsza i o wiele bardziej przerażająca. — Papierosem wskazał na pawilon dwadzieścia jeden — robiliśmy kolejne okrążenie wokół budynków. — Zgadzam się z panem do pewnego stopnia. Wygląd diabła w tych wizjach ma związek z przeszłością uratowanych. To oczywiste, że jest w tym coś ukrytego, tajemniczego. Indywidualne wyobrażenie zła. Osobiste przedstawienie osoby z przeszłości. Nie zgadzam się jednak z panem co do natury reż— Co ma pan na myśli?

— Według pana wszystko to jest jedynie wytworem podświadomości. Iluzją psychiki, zamykającą klamrą. A moim zdaniem dochodzi tu do interwencji czynnika zewnętrznego.

Zadrzałem. Z zimna, a może ze strachu.

— Myśli pan o interwencji nadprzyrodzonej?

— Tak.

— To raczej zaskakujące u psychiatry.

— Psychiatra nie jest inżynierem, który rekapitułuje funkcje mózgu poprzez jego strukturę. Nasz mózg jest jak odbiornik radiowy. Wychwytuje sygnały.

Przyszedłem do niego, szukając racjonalnego wsparcia. Zdecydowanie obrałem złą drogę. Zucca mówił dalej zmienionym głosem:

— Uważam, że przeciążenie neuronów reaktywuje pierwotną percepcję. Otwiera drzwi, jeśli pan tak woli, na paralelną rzeczywistość, ściślej mówiąc, na świat po tamtej stronie.

Czułem się coraz bardziej nieswojo. Ja także, oczywiście, wierzyłem w te drzwi. Był to przecież jeden z dogmatów wiary chrześcijańskiej. Ekstaza świętego Pawła na drodze do Damaszku, wizje świętej Teresy z Avila były niczym innym jak transcendentnym przebłyskiem, który przedostał się zza tych drzwi.

Zucca kontynuował:



— Luc był bardzo bliski końca, prawda? Dlaczego więc nie wyobrazić sobie, że jego mózg znajdował się w stanie „hiperwrażliwości” i że mógł ujrzeć drugi brzeg?

Gdy jego słowa dotarły do mnie, pojąłem cały ich sens. Odkryłem prawdę straszniejszą od innych.

— Jeśli dobrze pana rozumiem — odparłem — istnieje demon czekający na nas po drugiej stronie życia. A raczej osoby znienawidzone przez nas w naszym ziemskim życiu, które czyhają na nas, żeby zadać nam cierpienia... po wieczne czasy.

— Do takiego wniosku skłania poranny seans.

— Czy pan zdaje sobie sprawę, o czym pan mówi?

Spojrzał na mnie zimnym wzrokiem.

— Oczywiście.

— Mówi pan o piekle.

— Od samego początku nikt nie mówi o niczym innym.

## 100

Statek szaleńców.

Żeglowałem na pokładzie okrętu z pomyleńcami i nie było żadnej możliwości, by z niego zejść. Od sędzi — wyznawczynie buddyzmu, do psychiatry — wizjonera, a między nimi nawiedzony policjant. Czułem się samotny w tym kręgu wariatów i rozpaczliwie czepiałem się rozumu niczym nadburcia w czasie burzy.

Jednakże coraz silniejsza była pokusa, by uznać udział sił nadprzyrodzonych. Zucca miał rację. W pewnym sensie było to najprostsze rozwiązanie. Starzec z elektryzującymi się włosami. Anioł ze straszliwymi kłami. Opływające krwią dziecko. Tak, w obliczu takich stworów diabeł i jego zbrojny zastęp stanowili wyjaśnienie, które było najwygodniejsze do przyjęcia.

Ja jednak wciąż się temu opierałem. Musiałem znaleźć racjonalne wyjście z tego zamętu. Pędziłem do centrum Paryża z wyjącą syreną, z rękami zaciśniętymi na kierownicy. Na lewym brzegu, w okolicach Notre Dame, skręciłem na most Saint-Michel w kierunku Quai des Orfèvres, kiedy przyszła mi do głowy pewna myśl. Tego rana ojciec Katz dał mi swoją wizytówkę. Jego biuro<sup>w</sup> paryskiej siedzibie diecezjalnej znajdowało się pięćdziesiąt metrów dalej na ulicy Git-le-Coeur.

Znowu skręciłem kierownicą. Jechałem lewym brzegiem, pod podany adres.

Przypominałem sobie, jak ten niewysoki mężczyzna w czarnym stroju skrapiał wszystkich nabraną w palce wodą święconą.

Tym sposobem zamknę dziś listę nawiedzonych.

— Diabeł to wróg — powtarzał ojciec Katz, wskazując palcem na sufit. — Przeszkoda. Słowo „szatan” pochodzi od hebrajskiego słowa *stn* — „przeciwstawiający się”, ten, który „przeszkadza”. Na język grecki przetłumaczono to jako *diabolo*, od czasownika *diabellein* — „przeszkadzać”...

Pokiwałem grzecznie głową, rozglądając się po pokoiku egzorzysty. Wąski, długi, w głębi półokrągłe okno — niczym kabina na galeonie piratów. Mimo to nie ulegało wątpliwości, że jest się u wojownika Boga. Nie brakowało tu niczego: stare księgi ezoteryczne, poźółkle papierzyska, krucyfiks na ścianie, a nad biurkiem niewielki obraz przedstawiający *Zdjęcie z Krzyża*.

Katz kontynuował swój wykład:

— W Starym Testamencie diabeł jakby nie istniał. Jest tam nieobecny dlatego, że Jahwe bierze na siebie zło, które robi tamten. Nie szuka odpowiedzialnego za podłe czyny. Pamięta pan słowa Izajasza: „Bóg czyni dobro, tworzy również zło...”. Szatan pojawia się dopiero w Nowym Testamencie. Jest w nim nawet wszechobecny. Mówi się o nim w stu osiemdziesięciu ośmiu miejscach! Bóg jest teraz doskonały i trzeba znaleźć winnego złu panującemu na ziemi. Jest jeszcze inny powód. Dziś powiedzielibyśmy, że to problem castingu. Skoro Syn Boży zszedł na ziemię, to przecież nie po to, aby stawić czoło komuś mało znaczącemu. Konieczny był przeciwnik tego samego kalibru. Istota nadprzyrodzona, potężna, zdeprawowana, która usiłuje narzucić swoje prawo. Stał się nim Książę Ciemności! Jezus był egzorzystą, nie zapominajmy o tym! Na wielu stronach Ewangelii wypędza złe duchy z ciała opętanych, których spotykał na swej drodze...

Niczego nowego się nie dowiedziałem, ale ten wstępny wykład był ceną, jaką gotów byłem zapłacić, żeby uzyskać potem dokładniejsze odpowiedzi. W każdym razie, siedząc w wytartym skórzanym fotelu, zmieniłem moje zdanie o tym ojczulku. Rano wydawał mi się egzaltowanym, niebezpiecznym maniakiem. Teraz, wieczorem, był uśmiechnięty, dobrotliwy. Pasjonat, który przemawiał do Szatana jak Don Camillo do Jezusa.

Twarz tego starego człowieka ograniczała się właściwie do ogromnego nosa. Wokół niego grupowały się wszystkie rysy niczym domki wioski wokół parafialnego kościoła. Zakrzywiony nochał zaczynał się od samego czoła i kończył nad wyschłymi wargami.

Przyszła pora, bym poruszył interesujący mnie temat.

— Co ksiądz myśli o porannym seansie?

Spojrzał na mnie w milczeniu swymi błyszczącymi źrenicami, z nieznacznym uśmiechem w kącikach ust.

— Dane nam było ujrzeć oczywisty dowód na istnienie...

— Diabła?

Nachylił się nad biurkiem.

— Dziś uważa się, że Lucyfer nigdy nie istniał. W świecie, w którym Bóg z trudem może przeżyć, diabeł został sprowadzony do roli zabobonu. Banalu z innej epoki. A nawiedzonych traktuje się jak chorych na umyśle.

— Jest w tym chyba jakiś postęp, prawda?

— Nie. Wylano dziecko z kąpielą. Rozpowszechnia się przekonanie, iż diabeł już nie istnieje, ale jednocześnie wielu wierzących sądzi, że w dwudziestym wieku zatriumfował Antychryst. Udało mu się sprawić, że zapomnieliśmy o jego obecności. Wśliznął się w mechanizmy kierujące naszymi społeczeństwami. Jest wszędzie, to znaczy nigdzie. Rozdrobniony, rozwodniony, niewidoczny. Nie robi hałasu, nie ma twarzy, ale nigdy nie był tak potężny jak teraz!

Katz jakby upajał się własnymi słowami. Wróciłem do mojego tematu.

— Doświadczenie Luca było więc czymś w rodzaju okna na realny byt?

— Było oknem na podwórze — zaśmiał się. — Tak, tego rana ukazał się nam prawdziwy diabeł. Istota zła, wroga, okrutna, mistrz odstępstwa od wiary, który uaktywnia się w głębi każdego umysłu. Nieczysta bestia, która przyczała się w naszych trzewiach. Luc Soubeyras, umierając, zbliżył się do niego. Ujrzał go i usłyszał. Teraz jest przesiąknięty tą obecnością. Opetany w najbardziej dosłownym znaczeniu tego słowa.

— A co ksiądz myśli o istocie, która mu się ukazała? O starcu z elektryzującymi włosami? Skąd taki właśnie wygląd?

— Diabeł jest kłamstwem, mirażem, iluzją. Zmienia oblicza, by nas lepiej zmylić. Nie wolno nam opierać się na tym, co widzą nasze oczy, co słyszą nasze uszy. Święty Paweł zachęca nas:

„Obleczcie pełną zbroję Bożą, byście mogli się ostać wobec podstępnych zakusów diabła”\*

Nie sposób było zahamować tego strumienia cytatów. Zadałem jednak ostatnie pytanie, które było w tym momencie dla mnie bardzo ważne:

— Pod koniec seansu Luc krzyknął po aramejsku, prawda?

Katz znowu się uśmiechnął. Uśmiechem, który promieniował młodością.

— Oczywiście. Aramejskim biblijnym. Aramejskim z manuskryptów znad Morza Martwego. Językiem Szatana, gdy kusił Jezusa na pustyni. Użycie tego języka przez pańskiego przyjaciela może być oficjalnie uznane za symptom opętania, jeśli nie znał go przedtem...

— Znał. Luc Soubeyras studiował ten język w Instytucie Katolickim w Paryżu. Uczył się wielu języków starożytnych.

— No to mamy do czynienia z jeszcze gorszym przypadkiem. Opętanie niewidoczne, bez symptomu, bez zewnętrznych znaków, bezdyskusyjne...

— Czy ksiądz zrozumiał, co on chciał powiedzieć?

— *Dina hou be 'ovaddna*. W tłumaczeniu literackim brzmiałoby to: „Prawo jest w naszych czynach”.

— „Prawem jest to, co czynimy” — też by pasowało?

— Tak. Ale w języku aramejskim nie ma czasu terażniejszego. Tak więc nazwijmy to czasem terażniejszym historycznym.

Zdanie wypowiedziane przez Agostinę. Zdanie z Przysięgi Otchłani. PRAWEM JEST TO, CO ROBIMY. Całkowita swoboda w czynieniu zła zapisana w prawie. Dlaczego Luc powtórzył te słowa? Skąd je znał? Czy naprawdę usłyszał je w głębi otchłani? Każdy element wzmacniał logikę tego, co niemożliwe.

— Ostatnie pytanie — uważnie dobieierałem słów — czy ksiądz rozmawiał z Lukiem przed seansem?

— Tak, zadzwonił do mnie.

— Czy prosił, by ksiądz go egzorcyzmował?

— Nie. Przeciwnie.

— Przeciwnie?

— Wydawał się zadowolony ze swego stanu. On sam siebie obserwuje. Traktuje to jak teatr eksperymentalny. Jako własne potępienie. *Lux aeterna luceat eis, Domine!*

\* List świętego Pawła do Efezjan, 6, 11.

Na ulicy sprawdziłem komórkę. Żadnych wiadomości. Cholera! Odnalazłem samochód i postanowiłem wrócić do mieszkania. W drodze zgrzytała mi dźwignia biegów. Przy każdym skręceniu kierownicą, przy hamowaniu i ruszaniu, odzywał się ból w ramieniu. Powinienem odpocząć. Potrzebna mi była dobrze przespana noc.

W domu kolejne rozczarowanie. Manon znów spała. Odpiąłem pas z kaburą i poszedłem do kuchni. Przygotowała takie jedzenie, jakie lubiłem. Kielki bambusa, fasolka szparagowa, olej sojowy, biały ryż i ziarna sezamu. Przygotowała również pełny termos z herbatą. Popatrzyłem na starannie ustawione na blacie talerze, drewnianą miskę, pałeczki z laki, czarki, filiżankę... Mimo woli doczytałem się w tym ukrytego sensu. Ciągłe tego samego: „Zostaw mnie w spokoju”.

Przystąpiłem do jedzenia, na stojąco, zupełnie bez apetytu. Ponure myśli nie opuszczały mnie. Cały dzień obracałem się wśród stukniętych, ale ja sam nie byłem lepszy. Po co było tracić dwanaście godzin w imię jakichś dziwnych hipotez? Stracić tyle czasu nad wizjami Luca, zwykłymi psychicznymi mirażami? Powinienem być raczej skoncentrować się na konkretnym dochodzeniu, znalezieniu zabójcy Sylvie Simonis, bo to w tej chwili było najważniejsze.

Mogło uniewinnić Manon.

Od powrotu do Paryża nie posunąłem się do przodu ani na krok. Nie mogłem moim ludziom wskazać konkretnych tropów. Jura nic nie dała. Gabon też nie. A w tym czasie brygada kryminalna pracowała już nad kolejnymi sprawami. Chłopcy z mojej ekipy Wracali do bieżących dochodzeń. Dumayet miała rację — byłem poza tym wszystkim.

Skończyłem ten niby-posiłek, włożyłem resztę jedzenia do lodówki, a talerze, miski i pałeczki do zmywarki. Wyjąłem butelkę Schłodzonej wódki i napełniłem kieliszek. Wypiłem jednym duszkiem. Pałała jak ogniem. Zabrałem butelkę i usadowiłem się na kanapie.

Nie zapaliłem światła. Siedziałem w mroku, obserwując czarne belki na suficie. Zza okna dochodził szum deszczu i ruchu ulicznego. Trzeba znaleźć nowe tropy dla śledztwa. Przestać zawracać

sobie głowę wizjami Luca, jakoby rzeczywistą egzystencją diabła. Dogrzebać się do czegoś, co pomoże rozwiązać problem insektów, mchu, kwasów... Powinienem ograniczyć zasięg śledztwa. Zresztą miałem winną we Włoszech, drugiego w Estonii. Muszę się skoncentrować na szukaniu winnego z Sartuis. Kiedy będę miał w rękę zabójców, znajdzie się czas na metafizykę.

Podniosłem filiżankę do ust i zatrzymałem się w połowie drogi. Nagle błysnęła mi w głowie pewna myśl. Odkąd dowiedziałem się o istnieniu Uratowanych Bez Światła, podejrzewałem, że sprawcą zbrodni jest jeden człowiek, pozostający na uboczu, który pomagał, wspierał tych „wizjonerów”. W głębi duszy nigdy nie wierzyłem w całkowitą winę Agostyny czy Raimo. Ani jedno, ani drugie nie miało odpowiednich umiejętności, żeby posłużyć się owadami.

Ale nie poszedłem wystarczająco daleko w tym moim rozumowaniu.

Człowiek chowający się za innymi... tak, ale to nie wszystko.

Tu chodzi o rzeczywistego zabójcę.

Mordercę, który potrafi przekonać Uratowanych Bez Światła, że to oni dokonali zabójstw.

Van Dietrling nazwał go „supermordercą”.

Zamorski „inspiratorem”.

Obaj mówili o diable.

A prawda jest inna: jeden człowiek, zwykły śmiertelnik, zabijał w cieniu Uratowanych Bez Światła. Szaleniec, który wyszukiwał ocalałych od śmierci w całej Europie i mścił się w ich imieniu. Przecież napis na korze drzewa w Bienfaisance głosił: CHRONIĘ URATOWANYCH BEZ ŚWIATŁA.

Muszę szukać winnego zabójstwa Sylvie Simonis, który jest również sprawcą tamtych trzech zabójstw, a z pewnością jeszcze innych!

Należy szukać zabójcy, który, byłem tego pewien, mieszka w Jurze i działa w całej Europie. Nie tylko człowieka znajdującego się na kwasach i hodującego owady, ale również zdolnego przeniknąć do mózgu Uratowanych Bez Światła, żeby uwierzyli, iż to oni dokonali zabójstw...

Nowa myśl pojawiła się w mojej głowie. A jeśli po prostu to ten człowiek tworzy każdego Uratowanego Bez Światła? Może potrafił zakraść się do ich podświadomości i narzucić im te negatywne wizje?

Nie demon, lecz demiurg.

Człowiek, który w tych trzech morderstwach pociągał za sznurki.

Człowiek, który rozpętywał te wizje poprzedzające morderstwa.

Mojego superpodejrzanego ochrzciłem mianem Gościa z Otchłani.

Tak, należało sprowadzić na ziemię ten cały złowrogi teatr. Starzec o świecących włosach, mięsożerny anioł, odarte ze skóry dziecko — te wizje składały się na obraz jednego człowieka. Szaleńca, który charakteryzował się, przebierał i urabiał świadomość. Zbrodniarza, który torturował, zostawiał liczne znaki diabła. Wariata, który uważał się za Szatana i produkował swoich Uratowanych Bez Światła!

Wychyliłem kolejny kieliszek wódki.

Znowu palenie w gardle.

W jaki sposób sugerował cudem uratowanym od śmierci ich wizje? Jak im się ukazywał? Nie znałem na to odpowiedzi. Mimo to poddałem się przynoszącej ulgę pewności, że to Gość z Otchłani.

Ten łajdak gdzieś żył i ja go znajdę.

To on napisał mi: CZEKAŁEM NA CIEBIE, a potem TERAZ TYLKO TY I JA. Ten diabeł czekał na swego świętego Michała, by odbyć z nim wielki pojedynek!

Zaserwowałem sobie jeszcze jedną wódeczkę na cześć mojej hipotezy.

Podskoczyłem, poczuwszy drgania mojej komórki.

Myślałem że to Corine Magnan. Ale dzwonił Svendsen.

— Mam chyba coś nowego.

— Na temat?

— Ukąszeń.

Opróżniłem połowę butelki z wódką i miałem głowę pełną jeszcze moich teorii, toteż nie od razu zrozumiałem, o czym mówi. Doszło to do mnie po kilku sekundach. Już całe wieki nikt nie wspominał w rozmowie ze mną o tym specyficznym aspekcie morderstw — o śladach po zębach. Z mojej winy, bo cały czas odrzucałem tę wskazówkę z obawy, że odkryte zostaną dowody fizycznej egzystencji Pazuzu, diabła z głową nietoperza.

Svendsen mówił dalej:

— Chyba już wiem, jak on to robił.

— Jesteś w kostnicy?

A gdzie według ciebie miałbym być?

— Jadę tam.

Z trudem podniosłem się z kanapy, odstawiłem butelkę do lodówki, złapałem płaszcz i przypiąłem do pasa kaburę. Spojrzałem na drzwi do sypialni. Napisałem kilka słów, wyjaśniając, że musiałem wyjść z powodu śledztwa. Położyłem kartkę na niskim stoliku w salonie i bezszelestnie wymknąłem się z mieszkania.

Przeszedłem przez ulicę i zapukałem w okno samochodu, w którym siedzieli moi chłopcy. Po przyjeździe do Paryża poprosiłem o ekipę, która miała pilnować mojego mieszkania i śledzić Manon. Szyba opadła. Uderzył mnie w nos zapach z McDonalda i zimnej kawy.

— Wracam za jakieś dwie godziny. Miejcie oczy otwarte na wszystko.

Policjant z twarzą w kolorze szarego papieru skinął głową bez słowa.

Podszedłem do swojego wozu. Machinalnie spojrzałem do góry na moje okna. Nagle wydało mi się, że dostrzegam szybko poruszającą się sylwetkę za zasłonami w sypialni. Wpatrywałem się w okna ze zmarszczonymi brwiami. Czy Manon się obudziła, czy był to tylko jakiś refleks od latarni?

Odczekałem dłuższą chwilę. Nic się nie działo. Ruszyłem w drogę, nie będąc pewny tego, co widziałem.

#### *Godzina 22.00*

Po błyszczącej jezdni sunęły płynnie samochody. Zapaliłem papierosa. Zniknął smak wódki, wróciła jasność umysłu. To niespodziewane wyjście z domu miało posmak święta.

Kiedy jednak wszedłem do kostnicy, znowu poczułem się nie najlepiej. Svendsen czekał na mnie, a na sekcyjnym stole przed nim leżały dwie maczety. Przypomniałem sobie Rwandę, w gardle mnie paliło od wódki i strachu. Oparłem się o stół na kółkach.

— Co to jest? — zapytałem zmienionym głosem.

Svendsen uśmiechnął się.

— Twoje rozwiązanie, które zaraz zademonstrujemy. Wziął pojemnik z klejem i posmarował nim ostrze jednej maczety. Posypał je potłuczonym szkłem. Następnie położył na to drugą maczetę, niczym jeden kawałek chleba na drugi, z plastrem szynki pośrodku.

— No i masz.

— Co mam?



Rękojeści maczet owinał przylepcem, łącząc je ze sobą. Potem odwrócił się do czegoś przykrytego prześcieradłem. Bez wahania odsłonił zwłoki jakiegoś starca z obrzękłą twarzą. Podniósł trzymaną w ręku broń i opuścił gwałtownie na jego tors. Osłupiałem. Svendsen bywał niekiedy nieobliczalny.

Z trudem oderwał od ciała kawałki szkła i powiedział do mnie:

— Podejdź bliżej.

Nawet nie drgnąłem.

— Podejdź, nie bój się. Te zwłoki leżą tu już od tygodnia. Jakiś bezdomny. Nikt nie przyjdzie się o niego upominać.

Niechętnie zrobiłem kilka kroków i spojrzałem na ranę. Doskonale udawała ślady po ukąszeniach. Jak na ciele Sylvie Simonis.

— Zrozumiałeś?

Potrząsał z dumą swoim podwójnym orężem. W metalowych ścianach wokół nas odbijało się słabe światło lamp.

— Gdybym miał czas poszukać prawdziwych zębów drapieżnika, okazałyby się, że świetnie pasują.

Szklane zęby połyskiwały srebrzystym światłem. Rwandę zastąpił jeszcze gorszy horror. Podwójne ostrze, które spadło na ciało Sylvie Simonis. Głuchy odgłos uderzeń. Krzyk zabójcy. Zmaltretowane, pocięte ciało Sylvie.

— Jak wpadłeś na ten pomysł?

Pomyślałem o porachunkach między czarnymi u nas. Postanowiłem zadzwonić do kilku lekarzy, którzy pracowali w Rwandzie, Sierra Leone, Sudanie...

— W Rwandzie nikt nie stosował takiej techniki.

— To prawda, byłeś tam. Ale ja mówię o Sierra Leone. Indormowałem się. Lata dziewięćdziesiąte. Niektóre oddziały stosowały tę metodę, aby ludność uwierzyła, że pomagają im dzikie zwierzęta z lasu. Byłeś w tamtych stronach, nie muszę ci tego opisywać.

Nie wiedziałem nic o Sierra Leone, ale zapamiętałem opowieści ludzi, że policja nosiła straszliwe maski. Opasani taśmami z nabojami, wymachujący kałasznikowami, z przerażającymi twarzami,

Spojrzałem ponownie na podwójną maczetę Svendsena. Potwierdziła moją pragmatyczną hipotezę.

Jeden i ten sam zabójca.

W Estonii, we Włoszech, we Francji, używający za każdym razem tej samej broni własnej konstrukcji.

Był to kolejny sygnał wskazujący na Afrykę. Mój gość musiał

tam mieszkać. Wykonał swoją broń na czarnym kontynencie. Widział zamieszki, poznał owady, rośliny tego kraju.

Coraz bliżej był realny człowiek.

A Pazuzu wychodził z kadru.

Podziękowałem Svendsenowi i szybkim krokiem wyszedłem. Musiałem podjąć śledztwo na konkretnych podstawach. Gość zadał sobie wiele trudu, żeby upodobnić się do diabła i narzucić wiarę w nadprzyrodzoną istotę. Ale teraz każdy szczegół jego techniki odsłonił się, a ja zamierzałem dojść do źródła tego koszmaru.

## 102

Sprawdziłem wiadomości w komórce. Dzwoniła Corine Magnan. Wreszcie. Wybrałem jej numer na dziedzińcu kostnicy, nie zważając na

— Oddzwoniłam do pana dopiero teraz. Proszę mi wybaczyć — powiedziała. — W Paryżu mam zajęte całe dni. Co mogę dla pana zrobić? Obawiam się, że niewiele. Właściwie nie powinnam w ogóle z panem rozmawiać.

Narzuciła ton naszej rozmowie. Wywiesiłem więc białą flagę.

— Chciałem zaproponować pani moją pomoc.

— Durey, niech się pan trzyma z dala od tej sprawy. Już raz przymknęłam oczy na pańską działalność w Jurze. Przypominam, że nie ma pan żadnego upoważnienia do prowadzenia tego śledztwa!

Jej głos był oschły, ale wyczułem w nim obronną postawę. Corine Magnan, sama w Paryżu, bez wsparcia i znajomości, otoczona cerberami z pierwszego wydziału DPJ, pokazywała pazury, żeby udowodnić samej sobie, że coś znaczy.

— W porządku — odrzekłem pojednawczo. — Ale proszę mi tylko powiedzieć, co pani robiła dziś rano w szpitalu? Prowadzi pani sprawę morderstwa Sylvie Simonis. Jaki ma to związek z szaleństwem Luca?

Magnan milczała przez chwilę. Zastanawiała się najwyraźniej, jakie informacje może mi przekazać. W końcu powiedziała:

— Przeżycia, jakich doświadczył Soubeyras, wyjaśniają pewne sprawy w moim dochodzeniu.

— Wierzy pani w te historie z wizjami, z opętaniem?

— Nieważne, w co wierzę. Interesuje mnie wpływ tego rodzaju traumatycznych doświadczeń na osoby objęte prowadzonym przeze mnie śledztwem.

— Proszę mówić jaśniej. O jakie osoby chodzi?

— Moją główną podejrzaną jest Manon Simonis. Ta młoda kobieta w stanie śpiączki w osiemdziesiątym ósmym roku mogła doświadczyć tego samego co Soubeyras.

— Manon nie ma tego rodzaju wspomnień.

— Co nie wyklucza, że mogła przeżyć negatywne NDE.

— Jeśli nawet przeżyła coś takiego i to doświadczenie zmieniło ją w morderczynię — co zresztą trudno mi sobie wyobrazić — to czym się sugerowała?

— Chciała się zemścić.

— Za co? — dalej odgrywałem imbecyla.

— Durey, niech pan zostawi swoje gierki. Wie pan tak samo dobrze jak ja, że to matka próbowała ją zamordować. Manon, wbrew temu, co twierdzi, może coś pamiętać.

Poczułem, jak przenika mnie lodowaty chłód. Corine Magnan wiedziała znacznie więcej o sprawie, niż przypuszczałem.

— No to zreasumujmy — powiedziałem. — Manon, topiąc się, przeżyła negatywne NDE. I to doświadczenie miałyby zmieniać ją w potwora, który mści się dopiero po czterdziestu latach?

— To tylko hipoteza.

— A jedynym dowodem na to ma być traumatyczne przeżycie Luca Soubeyrasa?

— Tak, jego przemiana.

— Żeby kogoś aresztować, trzeba konkretnych dowodów.

— Właśnie dlatego na razie nikogo nie aresztowałam.

— Chce pani przesłuchać Manon jeszcze raz?

— Tak, zanim wrócę do Besancon.

— Ona tego nie wytrzyma.

— Nie jest z cukru. — Znowu mówiła twardym głosem. — Durey, jest pan w tej historii sędzią i zarazem stroną. Moim zdaniem zbyt się pan zaangażował. Jeśli chce pan naprawdę pomóc Manon, niech się pan usunie na bok. Inaczej może pan tylko wszystko zepsuć.

— Jak może pani opierać się na świadectwie człowieka, który wyszedł dopiero co ze stanu śpiączki? — Czułem, jak narasta we mnie złość. — Znam Luca od dwudziestu lat. To nie jest jego stan normalny.

— Wygląda na to, że nic pan nie rozumie. Właśnie to mnie interesuje. Wpływ NDE na psychikę. Chciałabym przekonać się, czy taka trauma rzeczywiście może popchnąć do zbrodni. I czy Manon w czasie swej klinicznej śmierci przeżyła coś podobnego...

Mój najlepszy przyjaciel jako ten, który dostarcza obciążającego dowodu przeciw kobiecie, którą kocham. Prawdziwy dylemat, jak z dramatu Corneille'a. Magnan dodała, jakby chciała mnie dobić:

— Wiem więcej, niż pan sądzi. Agostina Gedda. Raimo Rihimäki. Byłby to nie pierwszy raz, że wizja piekielna poprzedza tego typu zabójstwo.

— Kto pani o tym powiedział?

— Luc Soubeyras nie tylko zeznawał, ale dał mi również akta prowadzonej przez niego sprawy.

To mnie kompletnie zaskoczyło. Musiałem wszystko przemyśleć. Wyjąkałem:

— Jego dossier oparte jest na przypuszczeniach. Nie ma pani nic przeciw Manon!

— Nie ma więc pan powodu do niepokoju — odparowała ironicznym tonem. — Jest już późno. Proszę więcej do mnie nie dzwonić.

Rozszłoszczony na dobre krzyknąłem, wyciągając ostatnią kartę:

— Zeznanie złożone pod hipnozą z prawnego punktu widzenia nie ma żadnego znaczenia! Zapomina pani, że zeznanie świadka musi być złożone dobrowolnie, w pełni władz umysłowych? Przy sprawie karnej dowód musi być wolny od wszelkich wątpliwości!

— Widzę, że studiował pan prawo — odrzekła złośliwie. — Ale kto mówi o zeznaniu świadka? Zarejestrowałam przesłuchanie Luca Soubeyrasa w ramach ekspertyzy psychiatrycznej. Luc poddał się temu dobrowolnie. Muszę najpierw sprawdzić, jaki jest stan jego umysłu. W tym kontekście hipnoza nie stanowi żadnego problemu. Niech pan przyjmie do wiadomości, że podobne precedensy miały już miejsce.

Magnan triumfowała. Odrzekłem bez przekonania:

— Pani śledztwo to domek z kart.

— Dobranoc, panie komendancie.

Nie miałem wątpliwości, że przegrałem tę partię, i byłem pewny, że Magnan nie powiedziała mi wszystkiego. Wybrałem numer Foucaulta.

Choć było pół godziny po północy, odezwał się przytomnym głosem:

— Ledwie zakończyłem dzień.

— Nad czym pracujesz?

— Jakaś historia na L'Isle-Adam. Topielec. Z tych, co to nie mają wody w płucach. A u ciebie co nowego? Od tygodnia nie...

— Zrobisz coś dla mnie wbrew przepisom?

— Co takiego?

— Nie przez telefon. Jesteś w biurze?

— Wybierałem się do domu.

— Spotkajmy się na skwerze Jana Dwudziestego Trzeciego. Wskoczyłem do samochodu i przejechałem przez most Austerlitz. Potem bulwarem w kierunku Notre Dame. Zaparkowałem na lewym brzegu w pobliżu kościoła Saint-Julien-le-Pauvre i wróciłem pieszo na prawy brzeg Sekwany mostem Archeveche.

Foucault już na mnie czekał, siedząc na oparciu jednej z ławek. Jego czupryna rysowała się wyraziście na tle szarego muru katedry w głębi skweru.

— Co to, spisek? — zaśmiał się.

— Przysługa.

— Słucham.

— Chodzi o sędzię z Besancon, która aktualnie jest w Paryżu.

— Tę z twojej sprawy?

— Tak, Corine Magnan.

— Gdzie się zatrzymała?

— To właśnie masz ustalić. Widziałem ją dziś rano. Wzięła do współpracy chłopaków z pierwszej DPJ, ale nie jestem pewny, czy mieszka w ich lokalu.

— Dobra, znajdę ją. Co mam zrobić?

— Chcę wiedzieć, co ma na córkę Sylvie Simonis, Manon.

— Tę, która mieszka u ciebie?

Wieści rozchodzą się szybko. Żadnej dyskrecji. Żeby zorganizować ekipę czuwającą, skontaktowałem się z brygadą antykriminalną. Ale w policji nie ma tajemnic. Zignorowałem pytanie i mówiłem dalej:

— Potrzebne mi są dokumenty, które zebrała.

— Tylko tyle? Pewnie ma je stale przy sobie. Dzień i noc.

— Chyba że ważą tonę.

— Jeśli ważą tonę, to nie dam rady tego wynieść. Ani skopiować.

— Dasz radę. Zeskanujesz strony dotyczące Manon. Chcę wiedzieć, co ma przeciw niej.

houcault zeskoczył z oparcia ławki.

— Zabieram się do roboty natychmiast. Przedzwonię do ciebie jutro rano.

— Nie. Jak tylko będziesz coś wiedział.

— Możesz na mnie liczyć.

Chwyciłem go za ramię.

— Doceniam to. Dzięki.

Patrzyłem za nim, jak znika pod wierzbami płaczącymi. Owionął mnie znowu zapach wilgotnego asfaltu. Drżałem z zimna, a jednocześnie czułem jakieś przyjazne, wewnętrzne ciepło. Paryż wracał do mnie dobrym wspomnieniem.

Teraz ja przysiadłem na ławce. Deszcz przeszedł w drobną mżawkę, przesłaniając noc mgiełką. Powróciłem do hipotezy o jednym zabójcy umiejącym szybko doprowadzić ciało do rozkładu, opanować świadomość innych. Gość z Otchłani...

Nie brakowało niewiadomych. W jaki sposób przenikał do ich umysłów? Czy to on doprowadzał do zjawiska Doświadczenia Bliskości Śmierci? Dlaczego jego ofiary były przekonane, że przeżyły „podróż” zaraz po okresie utraty świadomości? Czy udawało mu się również siać zamieszanie w ich wspomnieniach?

W każdym przypadku trzeba zbadać sprawę od strony technicznej — produkty chemiczne, narkotyki, metody sugestii, które pozwalały wywoływać takie halucynacje.

Nagle przyszła mi do głowy jeszcze inna myśl.

Wiedziałem przecież, że jedyną substancją, która dawała takie objawy, była iboga czarna. Może właśnie za jej pomocą Gość tworzył własną otchłań, żeby „ukazać” się cudownie ocalonym. Doprowadzał ich na skraj śmierci, a potem wyłaniał się przed nimi, gdy byli już w śmiertelnym transie.

Kolejne ogniwo w moim dochodzeniu.

Iboga, roślina, od której zaczęła się dla mnie cała ta sprawa...

W końcu jakieś powiązanie między morderstwem Massine'a Larfaouiego, dealera ibogi, i zabójstwami Sylvie Simonis, Arturasa Rihimackiego, Salvatore Geddy... Niewykluczone, że Gość z Otchłani kupował czarną ibogę u Massine'a Larfaouiego. A stąd już tylko krok do założenia, iż był zabójcą dealera.

Wstałem i głęboko odetchnąłem.

Trzeba jeszcze raz zajrzeć do akt Algierczyka.

Pójść śladem ibogi.

Ale najpierw musiałem sprawdzić, czy moja hipoteza ma podstawy od strony medycznej.

## 103

Natychmiast przyszło mi do głowy jedno nazwisko: Eric Thuillier. Neurolog, który miał pod opieką Luca od momentu, gdy przewieziono go do szpitala Hôtel-Dieu.

Spojrzałem na zegarek — pierwsza trzydzieści. Wybrałem numer szpitala i poprosiłem do telefonu doktora Erica Thuilliera. Jedna szansa na dziesięć, że ma tej nocy dyżur.

Był tam, ale nie mogłem z nim rozmawiać, ponieważ wezwano go do pacjenta. Nie zostawiłem żadnej wiadomości i udałem się w kierunku Hôtel-Dieu oddalonego o pięćdziesiąt metrów.

Znowu oddział reanimacji.

Zatrzymałem się przed oszklonymi drzwiami korytarza. Zielonkawe światło, odbłaski jak w akwarium. Zapach dziegciu i środków dezynfekujących. Wolałem zostać na zewnątrz, obserwować, co dzieje się w środku, i wypatrywać lekarza, który powinien wyjść z jednej z sal.

W końcu korytarzu pojawiła się czyjaś sylwetka. Rozpoznałem doktora pomimo bluzy, maski i ochraniaczy na butach. Kiedy go pozdrowiłem, zdjął maskę. Nie wydawał się zaskoczony moim widokiem. O tej godzinie i na tym oddziale nic nie mogło zaskakiwać. Stojąc jeszcze w holu, ściągnął bluzę.

— Coś pilnego? — zapytał, zwijając w kulę swój papierowy strój.

— Dla mnie tak.

Wrzucił papierową kulę do pojemnika na śmieci przymocowanego do ściany.

— Chciałbym z panem porozmawiać o jednej z moich teorii — powiedziałem.

— I nie może to poczekać do jutra?

Uśmiechnąłem się w odpowiedzi. Miałem przed sobą prymusa klasowego. Oksfordzki kołnierzyk, małe okulary, przykrótkie sztruksowe spodnie.

— Czy można tu palić?

— Nie — odrzekł Thuillier. — Ale chętnie zapalę.

Podałem mu paczkę papierosów. Gwizdnął z uznaniem.

— Bez filtra? Kupowane z przemytu? — Wyjął jednego. — Nie wiedziałem, że można jeszcze takie znaleźć.

Wyjąłem również papierosa dla siebie. Jako policjant wiedziałem dobrze, jak ważne jest właściwe przejście do sprawy. Często sukces przesłuchania zależał od pierwszej minuty. Tej nocy byliśmy na tej samej fali. Thuillier wskazał mi uchylone drzwi za moimi plecami.

— Chodźmy tamtędy.

Poszedłem za nim. Znaleźliśmy się w sali bez okien, bez mebli. Jakieś niedokończone pomieszczenie albo sala dla palaczy.

Thuillier usiadł na jedynej tam ławce i wyjął z kieszeni metalowe pudełko z cukierkami Vosges doskonałymi do usuwania zapachu tytoniu.

— A więc jaka jest ta pańska teoria?

— Chciałbym pomówić z panem o doświadczeniu Luca Soubeyrasa, o którym opowiadał nam dziś rano.

— To smutne. Ale już zdarzało się coś takiego, może mi pan wierzyć.

— Najpierw pytanie dotyczące chronologii. Luc mówił o swojej psychicznej podróży, jakby ją przeżył w momencie topienia się. Czy pana zdaniem mógł ją przeżyć w chwili przebudzenia?

— Niewykluczone. Mógł pomylić dwa okresy: utraty świadomości i reanimacji. To dość częste zjawisko. Zachodzi w nieznanym nam regionach umysłu stanowiących czarną dziurę.

— Czy mógłby doświadczyć takich wizji w dniach następnych, kiedy jego umysł był jeszcze... niezbyt sprawny?

— Nie bardzo pana rozumiem.

— Zastanawiam się, czy jego NDE nie zostało sprowokowane przez osobę postronną — powiedziałem z naciskiem.

— Jak to?

— Czy można sobie wyobrazić, że ktoś celowo wywołał u niego taką mentalną iluzję.

— W jaki sposób?

— Proszę mi odpowiedzieć, czy jest to możliwe.

Neurolog zaciągnął się papierosem, by zyskać czas do namysłu.

— Zawsze można komuś podać narkotyk. Zastosować technikę sugestii. Zucca dał nam tego rana świetny na to przykład. On naprawdę kierował umysłem Luca.

— Czy świadomość człowieka, który wychodzi ze śpiączki, jest bardziej podatna na wpływy zewnętrzne?



— Naturalnie. Przez kilka dni pacjent przywrócony do życia nie dostrzega żadnej granicy między rzeczywistością a swoim snem. Jego pamięć działa bardzo opornie.

— Tak więc Luc był łatwym obiektem do tego rodzaju manipulacji?

— Uważa pan, że ktoś wszedł do jego sali i podał mu jakiś halucynogeny środek?

— Tak.

Thuillier zrobił sceptyczną minę.

— Wydaje mi się to trudne z praktycznego punktu widzenia. Nasz oddział jest oddzielony od reszty szpitala i strzeżony przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nikt nie może zbliżyć się do pacjenta bez wypełnienia formularza, niezauważony przez pielęgniarkę.

— Nikt oprócz lekarzy.

— Pan mówi to poważnie?

— Myślę na głos.

Neurolog zgasił papierosa w swoim metalowym pudełku.

— Powiedzmy. Ale jaki byłby tego cel? Podawać narkotyk lub poddawać narkozie kogoś, kto wyszedł ze śpiączki, to tak, jakby ofiarę wypadku drogowego po opatrzeniu jej ran zepchnąć do przepaści. Trzeba być prawdziwym sadystą, by to zrobić.

— Ale w teorii jest to możliwe.

Spojrzał na mnie z ukosa.

— Ma pan podejrzanych?

— Myślę, że ten człowiek mógł użyć pewnej afrykańskiej rośliny. Ibogi.

— Posuwa się pan za daleko. Iboga to silny środek psychotropowy. Pański doktor Mabuse miałby podać taką substancję Lucowi po przebudzeniu, żeby uwierzył, że przeżył NDE?

— Czy jest to możliwe, tak czy nie?

— Nie sądzę. Iboga wywołuje gwałtowne skutki. Wymioty, konwulsje. Luc pamiętałby o takich objawach. Pozostaje jeszcze problem pokarmu. Ten narkotyk podaje się raczej w formie napoju i...

— Mówiono mi o preparacie nadającym się do wstrzykiwania.

— Żeby spreparować taki napój, trzeba być specjalistą. Odizolować czynnik aktywny. Wzbogacić cząsteczki. Poza tym iboga jest niebezpieczną rośliną, to prawdziwa trucizna. W Afryce aż trudno zliczyć jej ofiary.

— Nasz problem trzeba potraktować w innych kategoriach. Ten hipotetyczny podejrzany, o którym mówię, jest bez wątpienia psychopata. Człowiekiem, który uważa się za diabła i obce mu jest poczucie moralności.

— Zaczyna pan zabierać mi argumenty.

— Puśćmy dalej wodze wyobraźni. Czy jest możliwe połączenie ibogi z innymi środkami znieczulającymi?

— Możliwe, jeśli zrobi to ekspert.

Chemik. Botanik. Entomolog. A teraz farmakolog lub anestezjolog. No i także lekarz, który miałby prawo wchodzić na oddział intensywnej opieki w Hôpital-Dieu. Mój pomysł nabierał coraz bardziej konkretnych kształtów.

— Tak więc zgadza się pan z moją hipotezą?

— Wydaje mi się bardzo naciągana. I niezwykle skomplikowana. Trzeba by wymieszać wiele składników. Jeden, żeby otepić pacjenta, drugi, żeby uprzedzić pośrednie skutki ibogi, potem samą ibogę rozpuszczoną w mieszance...

— I coś dla wzmocnienia siły sugestii.

— To znaczy?

— W czasie tej całej operacji mój manipulator objawia się uratowanemu od śmierci ucharakteryzowany, przebrany za diabła. Włącza się w trans, podczas tego biochemicznego rytuału sam się integruje z halucynacją.

— Jak starzec, o którym mówił Luc?

— Właśnie. Kiedy taki człowiek odnosi wrażenie, że wychodzi ze swego ciała i że widzi tunel, wtedy nagle wyłania się zabójca, w makijażu, w przebraniu...

— A jeśli człowiek poddany temu doświadczeniu stracił świadomość?

— Nigdy jej nie straci do końca. To kwestia wstrzykniętej mu dawki. Może nasz czarownik wywołuje stan półświadomości...

Thuillier zaśmiał się nerwowo.

— Nie sądzi pan, że to już gruba przesada? Po co robić taki cyrk?

— Myślę, że mamy do czynienia z genialnym zbrodniarzem, mordercą, który wykorzystuje choroby ofiar. To człowiek, który tworzy własny zły świat, daleki od świata ludzi. Rodzaj zabójcy metafizycznego.

— Luc Soubeyras był pod wpływem narkotyków, kiedy się obudził?

— Tak przypuszczam.  
— Na moim oddziale?  
— Rozumiem, że może to być dla pana szokiem. Zresztą nie mam na to cienia dowodu. Jedynie to, że w innym moim dochodzeniu występuje iboga.

Thuillier jakby się zastanawiał.

— Czy ma pan jeszcze papierosa?

Podałem mu zmiętą paczkę, a potem wyjąłem z niej papierosa dla siebie. Zadymiona sala zaczynała przypominać turecką łaźnię. Gdy wypuścił pierwszy niebieski obłoczek, mruknął:

— Obraca się pan w strasznym świecie.

— To świat tego, którego szukam. Nie mój.

Przez kilka sekund paliliśmy w milczeniu. W moich myślach stopniowo pojawiał się porządek.

— Jeśli mam rację — odezwałem się ponownie — oznaczałoby to, że ten ktoś wchodził na pański oddział pod jakimś pretekstem. A może jest jednym ze specjalistów, którzy leczą Luca. Czy mógłbym dostać listę lekarzy, którzy mają do niego dostęp?

— Oczywiście. Ale nich mi pan wierzy, znam wszystkich...

— Nie ulega wątpliwości, że ten człowiek został poinformowany o przebudzeniu Luca. Kto o tym wiedział?

Thuillier przeciągnął ręką po włosach.

— Na tej liście znaleźliby się nie tylko lekarze, ale również pielęgniarki, farmakolodzy, pracownicy administracji... Sporo ludzi. Ta wiadomość mogła się rozejść na wiele sposobów, nawet przez Internet.

Notowałem wszystko w myślach. Thuillier podniósł głowę.

— Jeśli dobrze zrozumiałem, Luc byłby kolejną ofiarą?

— Podejrzewam, że jest już ich niemało.

— Ten pański człowiek za każdym razem stałby u wezłowania reanimowanego?

— Nie, nie zawsze. Sądzę, że uzależniał od siebie uratowanych zaraz po ich przebudzeniu. Wykorzystuje niepełnosprawność ich umysłu w tym momencie. A oni później wierzą, że to NDE wyrwało ich ze stanu śpiączki.

Wypowiadając na głos moje przypuszczenia, czułem jak serce bije mi coraz mocniej. Miałem wrażenie, że krew rozsadzi mi żyły. Gość z Otchłani stawał się realną postacią.

Twórcą Uratowanych Bez Światła.

Diabłem wcielonym, żyjącym na ziemi, formującym cierpliwie swe legiony.

Neurolog podniósł się z ławki i klepnął mnie przyjaźnie po ramieniu:

— Chodźmy, napijemy się kawy. Wygląda pan na bardzo wyczerpanego. Sporządę panu tę listę. Dam też panu dokumentację na temat ibogi. Jeden z moich studentów zajmował się ibogą w ubiegłym roku. Zawsze są amatorzy takich psychodelicznych historii!

## 104

W piątek wieczorem ulica Myrrha wyglądała tak, jak można było tego oczekiwać.

Podrzedne bary, potajemne spotkania na chodnikach, narkomani przemykający się pod ścianami, przemarznięte dziwki w podcieniach i wszędzie patrole policji. Deszcz potęgował ciemności, ale ja nigdy jeszcze nie widziałem tak wyraźnie. Miałem w ręku moją czerwoną nić — ibogę. Podobnie jak Poskromieni mój Gość potrzebował tej rośliny.

Powrót do punktu wyjścia.

U czarownicy Foxy.

Klatka schodowa świeciła tysiącem ogników. Z każdego mieszkania przez prowizorycznie zatkanie dziury, popękane drzwi, szpary w parkiecie przebłyskiwały światła jaskrawych żarówek, lamp gazowych, świec, tworząc czarowny świat nędzy. Wspinałem się po krętych schodach, na których rozchodziły się już wonie manioku, podsmażanej oliwy i uryny.

Byczysko na piętrze Foxy rozpoznał mnie. Odsunął się, by wpuścić mnie do środka, po czym poszedł za mną. Idąc przez labirynty pokoi, widziałem szykujące się na przybycie gości dziewczęta, klęczące na matach jak do modlitwy, oglądające się w lusterkach lub malujące paznokcie ze starannością artysty.

Kolejny cerber z twarzą ukrytą w cieniu. Mój towarzysz dał mu znak, by mnie przepuścił. Podniosłem płócienną zasłonę. Bibeloty, kufry, butelki — wszystko na swoim zwykłym miejscu. Świat magiczny, w którym odgrywały swoją rolę łapki zwierzęce, bukiety ziół, różańce z muszelek...

Foxy była sama. Siedząc na podłodze, w rozpiętej tunice, obracała w rękach kawałki pszczelego wosku, które potrzaskiwały niczym suchary. Powitała mnie po angielsku, zanim jeszcze do niej podszedłem:

- *Honey*, znowu znalazłeś drogę do mnie.
- Wiele dróg prowadzi do ciebie, Foxy.
- Czego pragniesz, mój książę?
- Tego samego, co przedtem. Informacji o Massine Larfaouim.
- Stara historia!

— Poprzednim razem nie powiedziałaś mi wszystkiego. Nie wspomniałaś o czarnej ibodze.

Przełamała plaster z miodem, który spłynął po jej palcach. Przykleknąłem na ziemi przed nią na jedno kolano.

— Nic mnie nie obchodzi, czym handlujesz, Foxy. Sprzedawaj, co chcesz i komu chcesz.

— Nie handluję czarną ibogą. To przeklęta roślina. Niebezpieczna dla umysłu. Nie znajdziesz nikogo, kto by ci ją sprzedał.

Mówiła prawdę — czarna iboga z pewnością była tabu. Mimo to narkotyki krążyły po Paryżu. Zamorski zapewniał mnie o tym, a ja miałem zaufanie do jego źródeł informacji.

- Larfaoui jakoś ją zdobywał. W jaki sposób?
- Skomplikowana sprawa. Nie chcę o tym mówić.
- Pozostanie to między nami.

Odłożyła złotawy plaster i chwyciła moją rękę. Palce miała lepkie od miodu.

— Pamiętasz o naszej umowie? — mruknęła.

Skinąłem głową, twierdząco. Jej blizny błyszczały w blasku świece. Cmoknęła różowym językiem.

- To z powodu moich dziewcząt.
- Twoich dziewcząt?

Pokiwała głową.

- Larfaoui prosił, aby ją dla niego przynosiły.
- Od ciebie?

— Powtarzam ci, że ja się tego nie dotykam! Zresztą ta roślina me rośnie w moim kraju. One miały inne kontakty.

— Z Gabonkami?

— Tak, z dziewczętami, które znały jakiegoś muzułmańskiego Pustelnika. Jak to między Murzynkami.

— Kiedy to odkryłaś?

Niedługo przed śmiercią Algierczyka.

- Jak to było?
- Przyszedł do mnie. Potrzebował rady.
- Jakiej?
- Szukał czarnej ibogi. Myślał, że mogłabym mu pomóc. Źle trafił.
- Dlaczego przyszedł z tym do ciebie? Mówił ci o tym, że twoje dziewczęta handlują?
- Larfaoui wszystko mi wyznał. Był wykończony. Potrzebował tej rośliny dla jakiegoś specjalnego klienta.
- Zrobiło mi się gorąco. Może miałem rację, może nie, ale czułem, że zbliżam się do Gościa z Otchłani.
- A co powiedział o tym klientcie?
- Nic. Tylko tyle, że chciał tego coraz więcej. Larfaoui przstraszył się.
- Kiedy to było dokładnie?
- Dwa albo trzy tygodnie przed jego śmiercią.
- Larfaoui bał się o swoje życie?
- Podniosła na mnie swoje wielkie oczy. Znowu zaczęła obracać w rękach pszczeli plaster. Powtórzyłem z naciskiem:
- Odpowiedz. Czy myślisz, że ten klient mógł go zamordować?
- Mogę powiedzieć tylko tyle, że ci, którzy szukają czarnej ibogi, są niebezpieczni. To opętani. Sataniści. A Larfaoui nie znalazł tej rośliny. Tego jestem pewna...
- Foxy myliła się. Luc miał zapas czarnej ibogi. Wyobraziłem sobie inny scenariusz: Gość z Otchłani i zabójca to była jedna i ta sama osoba. Larfaoui dostarczył zamówiony towar, ale z niewiadomej przyczyny Gość zabił go i nie wziął ibogi.
- Czy Larfaoui rozmawiał o tym klientcie z twoimi dziewczynami? Czy nie powiedział im czegoś, co pozwoliłoby mi go zidentyfikować?
- Przeląła lepki płyn do czerwonej podgrzanej miski, następnie wzięła do ręki brązowy tłuczek.
- Tak, Larfaoui mówił o nim dziewczętom — odpowiedziała swoim grobowym głosem. — Umierał ze strachu. Powiedział, że ten człowiek jest... jakiś inny.
- Inny w jakim sensie?
- Jej głowa kołysała się na długiej czarnej szyi. Ta rozmowa irytowała ją, a może wywoływała w niej niepokój.
- Larfaoui uważał, że ten człowiek dąży do jakiegoś celu.
- Co to był za cel?

— *Honey*, nie nalegaj. Lepiej o tym zapomnieć.  
— Poprzednim razem powiedziałaś, że zabójcą Algierczyka był ksiądz. Czy myślisz, że mógł to być ten klient?  
— Daj mi spokój. Muszę przygotować środki ochronne dla moich dziewcząt...

Ociekałem potem. Od dymu kadzidła piekły oczy. Wszystko wokół wydawało się czerwone, jakby przed moimi przekrwionymi oczami przesuwiała się moja własna wizja. Za tą niewyraźną zasłoną materializował się Gość z Otchłani. Wyobrażałem go sobie bez twarzy, kupującego czarną ibogę do zrobienia wywarów, które potem miał podać przyszłym Uratowanym Bez Światła.

Podniosłem się z podłogi. Foxy mieszała powoli, z oczyma utkwionymi w misie. Szepnęła:

— On nie spuszcza z nas oka. Czyha na nas.

— Kto?

— Ten, który zabił moją dziewczynę. Ten, który zabił Larfaouięgo.

W gardle czułem gorącą suchość, jakbym wypalił skręta.

— To ja na niego poluję — odparłem.

Czarownica zarechotała śmiechem.

— Nie doceniasz mnie! Nikt jeszcze nie wygrał tej partii! — krzyknąłem.

— Nie wiesz, z kim masz do czynienia. — Zrobiła kpiąco litościwą minę. — *Honey*, nic nie skapowałeś w tej całej historii!

## 105

*Godzina 4.00 rano*

Dzwonek telefonu.

Głos Foucaulta:

— Zlokalizowałem tę twoją Magnan. Ulica des Trois-Fontanots w Nanterre.

Adres budynku przy Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, w którym mieści się wiele centralnych urzędów.

— Wybierasz się tam?

— Wracam stamtąd. Wszystko załatwione.

— Masz to, o co cię prosiłem?

— Całe zeskanowane dossier. Część dotyczącą Manon.  
— Gdzie jesteś?  
— Dochodzę do domu. Chciałbym przespać się choć kilka godzin, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Foucault mieszkał w Piętnastej Dzielnicy, za Beaugrenelle.

— Jestem na placu de la Republique — powiedziałem, przekręcając kluczyk w stacyjce. Spotkajmy się za dziesięć minut, na dole przed twoim domem, dobrze?

— Czekam.

Pojechałem bulwarami na lewym brzegu. Deszcz przestał padać. Nad lśniącem od wilgoci Paryżem unosiła się atmosfera dalekiego jeszcze świtu. Na ulicach nikogo. Lubiłem takie chwile. Czułem się niczym włamywacz, samotny i swobodny. Śmiałek, który żyje na odwrót niż wszyscy inni ludzie, na krawędzi przestrzeni i czasu.

Minąłem Beaugrenelle i skręciłem na lewo w avenue Emil-Zola, przeciąłem ulicę du Theatre. Odnalazłem daewoo Foucaulta, który stał ze zgaszonymi reflektorami. Jak tylko mnie zauważył, wyskoczył z samochodu i dosiadł się do mnie.

Podał mi pendrive'a.

— Jest tu wszystko. Przegrałem na nim protokoły z przesłuchań.

— Czy jest kompatybilny z macintoshem?

— Oczywiście. Dołączyłem ci przejściówkę. Popatrzyłem na srebrzysty przedmiot leżący na mojej dłoni.

— Jak udało ci się wejść do biura Magnan?

— Pokazałem legitymację. Grunt to stosować najprostsze sposoby — ty mnie tego nauczyłeś. Wartownik nie do końca się obudził. Powiedziałem, że mamy aresztanta i że potrzebujemy jego akt. Pokazałem nawet klucze, zapewniając, że dał mi je sam sędzia.

Należały mu się gratulacje, ale nie było to przewidziane w naszych relacjach.

— Rzuciłem okiem na te raporty — mówił dalej Foucault. — Nie ma w nich nic przeciw Manon.

— Dzięki.

Foucault już otworzył drzwiczki samochodu, ale go zatrzymałem.

— Chcę was widzieć jutro rano: ciebie, Meyera i Malaspeya. O dziewiątej.

— W biurze?

— W herbaciarni Apsara.

— Narada wojenna? — zapytał, uśmiechając się.



W odpowiedzi mrugnąłem okiem.

— Przekaż to pozostałym.

Skinął potakująco i zatrzasnął za sobą drzwiczki. Przeciąłem Sekwanę i wjechałem na drogę szybkiego ruchu. Po dziesięciu minutach byłem na ulicy de Turenne. Wykończony, nieprzytomny ze zmęczenia chciałem jednak jak najszybciej przeczytać, co Magnan miała w tych aktach.

Ustawiłem się na miejscu wyznaczonym do parkowania na rogu mojej ulicy. Wystukałem numer kodu na drzwiach wejściowych, kiedy dostrzegłem samochód moich ludzi z BAC. Szósty zmysł ostrzegł mnie, że się zdrzemnęli. Nad wozem z zaporowanymi szybami unosiła się atmosfera absolutnej beczynności. Zastukałem w okno. Facet w środku podskoczył, uderzając głową w sufit.

— To tak pilnujecie domu?

— Przepraszam, ja...

Nie czekałem na wyjaśnienia. Przeskakiwałem po cztery stopnie naraz ogarnięty nagłym niepokojem. Otworzyłem drzwi kluczem, przebiegłem przez salon. Wpadłem do sypialni, wstrzymując oddech — Manon spała.

Uspokojony oparłem się o framugę. Spoglądałem na jej rysującą się pod kołdrą sylwetkę. Znowu ogarnęła mnie dziwna mieszanina uczuć, która towarzyszyła mi od pobytu w Polsce. Podniecenie, a zarazem odrętwienie. Gorączkowe drżenie, które mnie elektryzowało i zarazem znieczulało.

Wróciłem do korytarza. Zdjąłem płaszcz i odłożyłem broń. Ulewny deszcz bębnił w dach, okna, ściany domu — wszystko pogrążone było w strumieniach głośno szumiącej wody.

Usiadłem przy biurku i wsunąłem pendrive'a do mojego macintosha. Pojawiła się ikonka dossier. Zintegrowałem program dostarczony mi przez Foucaulta, po czym odnalazłem potrzebne mi strony.

Foucault mówił prawdę. Corine Magnan nie miała nic.

Ani przeciw Manon, ani przeciw komukolwiek.

Przeczytałem zeznania, które Manon złożyła w Lozannie dwa dni po odnalezieniu zwłok matki, dwudziestego dziewiątego czerwca dwa tysiące drugiego roku. A także inne zeznania zebrane przez panią sędzię w tym szwajcarskim mieście. Rektora uniwersytetu, sąsiadów Manon, sklepikarzy z dzielnicy... Manon nie miała alibi, ale nie znaczyło to, że jest winna. Jeśli zaś chodzi o przedmioty, które studiowała na uniwersytecie, to pozwalały one jedynie na jakieś domniemanie.

Zadowolony wyłączyłem komputer. Nawet jeśli sędzia zechce jeszcze raz przesłuchać Manon w Paryżu, nie uzyska nic więcej niż w Lozannie. I niczego nie zmieni świadectwo Luca.

*Godzina 5.30 rano*

Przeciągnąłem się i wstałem, zamierzając pójść do łazienki. W tym momencie z sypialni doszedł jakiś szmer. Zajrzałem tam i uśmiechnąłem się do siebie. Poprzez szum deszczu słyhać było, że Manon mówi coś przez sen. Cichutki szept, szczebiot uśpionej księżniczki...

Nadstawiłem ucha i nagle jakby kleszcze ścisnęły mi serce.

Manon nie mówiła po francusku.

Mówiła po łacinie.

Musiąłem oprzeć się o framugę, żeby nie krzyknąć.

Jej szept świdrował mi mózg:

— *Lex est quod facimus... lex est quod facimus... lex est quod facimus...  
lex est quod facimus...*

Manon powtarzała słowa z Przysięgi Otchłani.

Jak Agostina.

Jak Luc.

Jak wszyscy Uratowani Bez Światła!

Moja budowla zawałiła się po raz kolejny. Moje teorie, hipotezy, próby niewinnienia Manon i znalezienia za wszelką cenę innego zabójcy runęły w gruzy.

Opierając się o ścianę, osunąłem się na podłogę. Z głową w ramionach rozplakałem się jak dziecko. Zalała mnie rozpacz. Luc miał rację. Manon rzeczywiście przeżyła NDE negatywne. Ukrywała w głębi duszy to złowrózbné wspomnienie niczym zalążek zarazy. A stąd było już bardzo blisko do stwierdzenia, że zabiła matkę...

Poderwałem się na nogi. Nie. To zbyt proste. Jeszcze mogę obronić moją teorię. To on, demiurg-zabójca z cienia, poświęcił Sylvie Simonis i zindoktrynował Manon bez jej wiedzy!

Otarłem oczy.

Muszę go zidentyfikować.

To jedyny sposób, żeby uratować Manon.

Przed nią samą i przed innymi.

*Piątek, 15 listopada, godzina 8.30*

Nie zmrużyłem już oka.

Manon wstała o siódmej rano. Przygotowałem śniadanie — rogaliki i bułeczki z czekoladą kupione u piekarza. Przez pół godziny relacjonowałem jej przebieg wydarzeń, usiłując ją uspokoić. Manon nie dała się przekonać. Nie mówiąc już o tym, że zamknięta w moim mieszkaniu czuła się źle. Przed wyjściem pocałowałem ją, nie wspominając o tym, co szeptała we śnie, i obiecałem wrócić w porze

Byłem teraz na ulicy Dantego, na lewym brzegu, naprzeciwko katedry Notre Dame. Kilka metrów od skweru, gdzie siedziałem poprzedniego wieczoru. Zaparkowałem przed wyznaczonym przeze mnie lokalem.

Aspara to herbaciarnia, na pół hinduska, na pół indonezyjska. Spotykałem się tu z moimi ludźmi, gdy chciałem uniknąć świadków. Nikomu nie przyszłoby do głowy szukać policjantów z brygady kryminalnej w miejscu, gdzie można było wypić jedynie herbatę z

Herbaciarnia o tej porze była jeszcze zamknięta, ale dzięki uprzejmości właściciela mogliśmy tam wejść. Szmaragdowe tapety, obrusy w stylu Veronesego, papierowe serwetki w kolorze zielonkawej wody. Wszystkie meble z wikliny.

Doskonała kryjówka.

Jedyny problem — obowiązywał zakaz palenia papierosów.

Przyszedłem pierwszy. Wyłączyłem komórkę i zamówiłem czarną herbatę. Popijając herbatę Keemun, układałem w pośpiechu strategię działania. Przyszła pora, żeby poinformować moich ludzi szczegółowo o wszystkim. Już i tak straciłem dużo czasu — cały tydzień od powrotu z Polski. Trzeba im było teraz wyjaśnić sprawę i wyznaczyć zadania na dwa najbliższe dni. To niemożliwe, żeby nie dało się znaleźć jakiegoś śladu, choćby jednej tylko wskazówki o Gościu z Otchłani!

Przyszli: Foucault, Meyer i Malaspey i samą swoją obecnością uwypuklili delikatność wystroju herbaciarni. Patrząc na ich bary, ciepłe kurtki ze skóry, można było obawiać się o całość porcelanowych figurek i innych delikatnych bibelotów stojących wszędzie tutaj.

Jak tylko usiedli, przystąpiłem do mojej opowieści.

Rozdział pierwszy: zabójstwo Massine'a Larfaouiego. Rozdział drugi: morderstwo Sylvie Simonis w Jurze. Rozdział trzeci: pozostałe morderstwa dokonane według tego samego rytuału. Potem opowiedziałem im o Near Death Experience, o Uratowanych Bez Światła... Objaśniałem im metafizyczną stronę sprawy: doświadczenie negatywne, interwencja diabła, Przysięga Otchłani.

Moi chłopcy otwierali oczy szeroko ze zdumienia.

Na koniec przedstawiłem racjonalną hipotezę. Za tym całym koszmarem stoi jeden, jedyny człowiek. Szaleniec, który uważa się za Szatana, tworzy własnych Uratowanych Bez Światła i mści się na nich z pomocą kwasów i owadów.

Począłem, aż te informacje ułożą im się w głowach, i mówiłem dalej:

— Szukam zabójcy wyjątkowego. I jestem pewien, że mieszka w departamencie Jury. To on zamordował Sylvie Simonis, męża Agostiny Geddy i ojca Raimo Rihimackiego. To on zniewala psychicznie cudem uratowanych od śmierci, wtłaczając im w mózgi satanistyczne wspomnienia. Coraz bardziej jestem przekonany, że chodzi tu o lekarza dysponującego solidną wiedzą w takich dziedzinach, jak: chemia, botanika, entomologia, anestezjologia. Moim zdaniem mieszkał kiedyś w Afryce Środkowej. W jakiś sposób dowiaduje się o spektakularnych przypadkach reanimowanych ludzi i znajduje drogę, by stanąć przy ich łóżku. Potrafi dostać się do szpitala incognito.

Po dłuższej chwili dodałem:

— Wydaje mi się, że manipulował również pamięcią Luca, gdy przebudził się on ze śpiączki.

Zapadło milczenie. Nikt nie tknął nawet swojej terakotowej filiżanki. Była to najbardziej niesamowita sprawa, z jaką mieliśmy kiedykolwiek do czynienia. W końcu odezwał się Foucault, wierząc się na krześle:

— Co możemy zrobić?

— Zaczynamy śledztwo od punktu zero, koncentrując się na konkretnych faktach.

— Zrobiłem, o co prosiłeś, Mat. Te historie ze skarabeuszami i...

— Trzeba wrócić do tego jeszcze raz. Ten facet ciągle tam jest — zwróciłem się do Meyera. — Poszperasz znowu w sprawie insektów, porostu, Afrykańczyków mieszkających w Jurze. Święcie

wierzę, że w trakcie zbierania danych wyłoni się jakiś fakt, czyjeś nazwisko. Nie może być inaczej. Przyszła kolej na Malaspeya.

— Ty zajmiesz się tropem Algierczyka — powiedziałem. — Weźmiesz pod lupę afrykański narkotyk, czarną ibogę, bardzo trudną do zdobycia. Larfaoui sprzedawał ją kilku wtajemniczonym. Przyniosłem ci odpowiednie akta tej sprawy. Sprawdź, czy istnieje inna sieć dostawców tego narkotyku wprawiającego w stan euforii. Jestem pewien, że mojemu zabójcy jest on potrzebny do eksperymentów. Będzie szukał kontaktu z innymi dealerami.

Malaspey notował moje polecenia z fajką w zębach. Mogłem mu zaufać, bo pracował wiele lat w wydziale do walki z narkotykami.

— A ja? — zapytał Foucault.

— Według mojej teorii zabójca jakimś cudem dowiaduje się o przypadkach reanimacji, mających miejsce w Europie, i udaje mu się zidentyfikować tych pacjentów. To nasz najważniejszy trop. W taki czy inny sposób odnajduje cudem ocalałych, a my musimy dowiedzieć się, jak on to robi.

— Z kim mam się konkretnie skontaktować?

— Zwróć się do stowarzyszeń, które spisują wypadki NDE albo tylko zjawisko oderwania się od ciała. Na przykład nawiąż kontakt z Międzynarodowym Stowarzyszeniem do Badania Negatywnego Doświadczenia Bliskości Śmierci.

— Amerykańskim?

— Mają centralę w USA, ale także biura we Francji i w wielu krajach Europy. Popytaj wszędzie. Może zapamiętali kogoś, kto interesował się przypadkami NDE. Może ktoś wydał im się podejrzany. Ponieważ znasz świetnie języki obce, nie będziesz miał z tym większego problemu.

Foucault skrzywił się na ten dowcip.

— Rozszerz swoje poszukiwania — mówiłem dalej — na wszystkie spektakularne przypadki uratowanych, jeśli nawet nie mieli wizji. Chociaż, jeśli się nie mylę, nasz zabójca stawia sobie za zadanie omamić ich mózgi. Na pewno istnieją stowarzyszenia zajmujące się przypadkami wyjścia ze śpiączki. — Zapaliłem camela, lekceważąc sterylnie czystą atmosferę lokalu. — Ja jeszcze raz przejrzę dokumentację medyczną Raimo Rihimäkiego, Agostiny Geddy i Manon Simonis. Być może powtórzy się jakieś nazwisko.

— Mat, możemy się tym zająć, ale mamy jeszcze inne pilne sprawy  
— powiedział z wahaniem Meyer.  
— Odlóżcie wszystko.  
— A co na to Dumayet? — zapytał Foucault.  
— Zostawcie to mnie. To śledztwo jest dla nas absolutnym priorytetem. Musicie dać z siebie wszystko.  
Zawiesiłem głos, po czym roześmiałem się i dałem znak kelnerowi.  
— Przejdźmy do rzeczy poważnych. Na pewno znajdzie się tutaj jakaś butelka.

## 107

Bomba czekała na mnie na zewnątrz.

Wiadomość od Manon nagrana dziesięć po dziewiątej.

— Gdzie jesteś? Przyjechali po mnie! Chcą zabierać do aresztu na dwadzieścia cztery godziny. Nie wiem gdzie. Ratuj mnie!

Komunikat skończył się krótkim, przyspieszonym oddechem jak u przerażonego zwierzęcia. Magnan zadziałała szybciej, niż sądziłem. I stało się to najgorsze: dwadzieścia cztery godziny aresztu, które można powtórzyć, z osobistą rewizją i konfiskatą wszystkich znalezionych przy aresztowanym przedmiotów. Kto będzie ją przesłuchiwał? Faceci z pierwszego wydziału DPJ są szczególnie bezwzględni.

Zadzwoiłem na numer Manon. Poczta głosowa. Wybrałem numer Magnan. To samo. A niech to szlag! Odbylem jeszcze dwie rozmowy telefoniczne i uzyskałem potwierdzenie, że przesłuchanie odbywa się w Nanterre, na ulicy des Trois-Fontanots.

Włączyłem syrenę, ustawiłem koguta na dachu mojego wozu i popędziłem w kierunku La Defense. Do wnętrza auta dostawało się zimne niebieskawe światło lampy na dachu. Nie zdejmując nogi z pedału gazu, przekonywałem sam siebie, że nie wolno mi zapominać o śledztwie. Staralem się wyrzucić z myśli obraz Manon zalanej łzami, zagubionej, i wrócić do sprawy najważniejszej, do cudem ocalałych akt.

Zadzwoiłem do Valtonena, psychiatry Raimo Rhiimakiego. Wyjaśniłem mu, że pilnie potrzebuję dokumentacji medycznej dotyczącej Estończyka, łącznie z nazwiskami wszystkich lekarzy i specjalistów, którzy mieli do niego dostęp.

Valtonen już sporządził taką listę w swoim komputerze i powiedział, że może mi ją natychmiast przesłać emailem. Niestety, nie miał wersji angielskiej, jedynie estońską. Dla mnie to bez znaczenia, bo interesują mnie jedynie nazwiska, a nie naukowy komentarz.

W dalszym ciągu przy wtórze głośniejszej syreny skontaktowałem się z centrum medycznym w Lourdes, żeby dowiedzieć się nazwisk ekspertów, którzy potwierdzili cudowne wyleczenie Agostiny Geddy. Poinformowano mnie, że dokumenty zawierające te dane są aktualnie niedostępne z powodu dochodzenia w sprawie morderstwa Pierre'a Bucholza, lekarza, który opiekował się Agostiną.

Wyłączyłem się, nie podając ani mojego nazwiska, ani żadnych innych wyjaśnień. A niech to jasna cholera! Przypomniałem sobie, że van Dieterling także posiadał takie dokumenty. Musiałbym jednak prosić go o tę przysługę, a nie miałem ochoty wdawać się w pertraktacje z tym purpuratem.

Pozostawała jeszcze diecezja w Katanii. Zadzwońnię do monsignora Corsiego. Odbyłem rozmowy z dwoma duchownymi, zanim połączono mnie z arcybiskupem. Pamiętał mnie i nie widział żadnych trudności w przesłaniu mi raportu z ekspertyzy Stolicy Apostolskiej. Chciał jednak przesłać mi fotokopie, co mogło trwać minimum tydzień. Zachowując zimną krew wyjaśniłem, że to bardzo pilna sprawa, i uzyskałem zapewnienie, że jeden z jego diakonów przefaksuje dokumenty jeszcze tego rana. Nie szczędziłem słów podziękowania.

Idąc za ciosem, zadzwoniłem do szpitala w Lozannie. Potrzebna mi była dokumentacja dotycząca ocalenia i leczenia Manon Simonis. Usłyszałem, że doktor Moritz Belfrem jest na seminarium i wróci dopiero wieczorem. A tylko on wiedział, gdzie znajduje się to dossier. Zaproponowano mi, bym zostawił dla niego wiadomość.

Poprosiłem o umożliwienie rozmowy ze stażystką, którą spotkałem tam za pierwszym razem. Zapamiętałem jej nazwisko: Julie Deleuze. Okazało się, że pracuje tylko w weekendy i zaczyna dyżur w piątki wieczorem, a więc za kilka godzin. Postanowiłem, że zadzwonię później, pod koniec dnia.

Porte Maillot.

Podsumowałem w myślach, co mi się udało załatwić. Jeszcze dziś otrzymam dokumentację Raimo i Agostiny. Ponadto Erie Thuillier dostarczy mi listę wszystkich tych, którzy mieli dostęp do Luca Soubeyrasa od momentu, gdy się przebudził. Brakować

będzie tylko dokumentacji dotyczącej Manon, żeby móc porównać z pozostałymi i sprawdzić, czy nie powtarza się jakieś nazwisko.

Ominąwszy tunel w kierunku Saint-Germain-en-Laye, pojechałem okrężnym bulwarem, który zaprowadził mnie do wylotu na Nanterre-Parc, najszybszej drogi do głównego budynku siedziby policji w Nanterre.

Wartownicy nie wpuścili mnie do środka. Nie byłem umówiony i nie dostałem wezwania. Miałem mniej szczęścia niż Foucault, który bez trudu wszedł tutaj poprzedniego dnia. Poprosiłem, żeby powiadomiono Corine Magnan o mojej obecności.

Pięć minut potem pojawiła się rudowłosa pani sędzia. Jej policzki pałały ognistym rumieńcem. Nie powiedziała mi nawet dzień dobry.

— Co pan tu robi? — rzuciła ze złością, przekraczając bramkę do wykrywania metali.

— Chcę rozmawiać z Manon.

Zaśmiała się z przymusem. Postąpiłem krok w jej kierunku.

— Zamierza mi pani w tym przeszkodzić?

— Niczego nie zamierzam — odrzekła. — Wie pan dobrze, że nie może się pan z nią widzieć.

— Jestem komendantem w brygadzie kryminalnej! — krzyknąłem z wściekłością.

— Niech się pan uspokoi!

Hol budynku pełen był policjantów. Wszystkie spojrzenia spoczęły na mnie. Potarłem twarz dłonią mokrą od potu. Palce mi drżały. Magnan wzięła mnie za ramię i cichszym już tonem zaproponowała:

— Wejźmy do środka.

Stanowisko kontroli, potem na prawo korytarz z szeregiem drzwi. Sala konferencyjna. Biały stół, krzesła w rzędach, beżowe ściany. Teren neutralny.

— Zna pan prawo tak samo dobrze jak ja — powiedziała, zamykając drzwi. — Niech się pan nie ośmiesza.

— Nic nie macie przeciw niej!

— Chcę ją po prostu przesłuchać. Nie wydaje mi się, żeby zgodziła się tu przyjść bez zastosowania środka przymusu.

— O czym, do licha, miałyby zeznawać?

— O swoim doświadczeniu. Chcę jeszcze raz sprawdzić, co pamięta.

Zdenerwowany przeszedłem wzdłuż krzesel i nie siadając na żadnym, powiedziałem:



— Ona nic nie pamięta. Powtarzała to już wielokrotnie. Jasna cholera, czy pani tego nie rozumie?

— Niech się pan uspokoi. Muszę zdobyć pewność, że nie przeżyła doświadczenia podobnego do tego, jakie przeżył Luc. Zaszło coś nowego.

— Co takiego?

— Wczoraj wieczorem widziałam Luca Soubeyrasa. Jego stan się pogorszył.

Zbladłem.

— Co się znowu stało?

— Jakiś kryzys. Chciał pilnie ze mną rozmawiać.

— Jak wyglądał?

— Proszę pójść do niego. Nie potrafię opisać tego, co widziałam.

Walnąłem w stół rękami.

— I pani mówi, że stało się coś nowego? Przecież on oszalał!

— Luc uważa, że Manon Simonis przeżyła taką samą traumę. Jego zdaniem dawne doświadczenie musiało mieć na nią wpływ. Mogło wyzwolić mordercze instynkty.

— I pani wierzy w te brednie?

— Mam trupa, Mathieu. Chcę przesłuchać Manon.

— Myśli pani, że ona zwariowała?

— Muszę się upewnić, czy jest całkowicie przy zdrowych zmysłach.

Podniosłem oczy na sufit.

— Czy tam na górze jest psychiatra?

— Tak, sprowadziłam eksperta. Manon zobaczy się z nim po przesłuchaniu.

Opadłem na krzesło.

— Ona tego nie przetrzyma. Czy nie zdaje sobie pani sprawy...

Corine Magnan podeszła bliżej.

— Staramy się być delikatni. Nie mogę wykluczyć, że klucz do rozwiązania tej sprawy znajduje się w ciemnych zakamarkach jej umysłu.

Nic na to nie odpowiedziałem. Pomyślałem o słowach, jakie kilka godzin wcześniej wypowiedziała po łacinie: *Lex est, quod facimus...* Ja sam nie byłem niczego pewien.

Corine Magnan usiadła naprzeciw mnie.

— Powiem panu coś w zaufaniu, Mathieu. W tej sprawie posuwam się na oślep. Każdy następny krok wynika z bieżącej sytuacji. Nie mogę lekceważyć żadnej hipotezy.

— Pomysł, że Manon jest opętana, to hipoteza bez żadnych realnych podstaw.

— Sprawa Simonis wykracza poza normę: metoda morderstwa, osobowość Sylvie, jej fanatyczna wiara w Boga, podejrzenie o zabójstwo córki. Także jej córka, ofiara zamachu, która przeżyła śmierć i nic nie pamięta. Fakt, że morderstwo, którym się zajmujemy, jest wierną kopią innych morderstw, równie wymyślnych. I wreszcie Luc Soubeyras, który dobrowolnie zapada w śpiączkę i traci rozum!

— Jest z nim aż tak źle?

— Niech pan idzie i sam się przekona.

Przyjrzałem się jej twarzy z bliska. Biała, sucha, niemal przezroczysta cera, pod którą kryła się jakaś delikatność. Magnan nie była aż tak antypatyczna, tylko zagubiona. Zmieniłem ton.

— Ile czasu potrwa to przesłuchanie?

— Dwie, trzy godziny, nie dłużej. Potem spotka się z psychiatrą. Będzie wolna późnym popołudniem.

— Nie zamierza pani zastosować hipnozy czy czegoś takiego?

— Sprawa jest już wystarczająco dziwna. Nie komplikujmy jej więcej.

Wstałem i z opuszczonymi ramionami skierowałem się do drzwi. Magnan odprowadziła mnie do holu. Tam uściśliła mi rękę i powiedziała przyjaznym tonem:

— Zadzwoń do pana, jak tylko skończymy.

Gdy pchnąłem oszklone drzwi i znalazłem się na dworze, strumień światła przeszył mi serce. Opuściłem tę, którą kochałem. I nawet nie wiedziałem, kim jest naprawdę.

Ze ściśniętym gardłem podjąłem decyzję.

Musiałem działać bardzo szybko.

Znaleźć za wszelką cenę Gościa z Otchłani.

Ale najpierw musiałem odbyć pewną małą wizytę.

Był kwadrans po godzinie dwunastej w południe.

Dałem sobie na to godzinę i ani sekundy dłużej.

## 108

— Mamy pewien problem.

— Jaki problem?

— Luc jest teraz poddany przymusowemu leczeniu. Stał się niebezpieczny.

— Dla kogo?

— Dla siebie samego. Dla innych. Trzymamy go w izolatce.

Pascal Zucca nie miał już swoich rumieńców, był niezwykle blady. I daleko mu było do beztroski, jaką okazywał podczas naszego spotkania poprzedniego dnia. Na jego twarzy malowało się ogromne napięcie.

— Co się stało? — powtórzyłem pytanie.

— Luc jest w stanie bardzo silnego kryzysu.

— Uderzył kogoś?

— Nikogo. Ale zniszczył urządzenia sanitarne. Zerwał umywalkę.

Wyjął z kieszeni marlboro light. Podsunąłem mu zapalniczkę. Zaciągnął się dymem i szepnął:

— Nie spodziewałem się tak gwałtownego postępu...

— Nie może to być symulacja?

— Jeśli nawet, to świetnie udawana.

— Mogę go zobaczyć?

— Oczywiście.

— Dlaczego „oczywiście”?

— Bo to on chciał się z panem widzieć. Z tego powodu zniszczył wszystko w swojej izolatce. Najpierw rozmawiał z panią sędzią, a potem zażądał, aby to pan przyszedł do niego. Nie chciałem się zgodzić na ten nowy szantaż. Rezultat — wszystko poniszczył.

Ruszyliśmy w milczeniu korytarzem, przechodząc przez kolejne drzwi z okrągłymi okienkami. Zucca szedł sztywnym krokiem, w którym nie było nic z jego zwykłej energii. Wpuścił mnie do sali konsultacji medycznych. Biurko, łóżko, szafki z lekami. Podniósł zasłonę na wewnętrznym oknie, które otwierało się na jeszcze inne pomieszczenie.

— On jest tam.

Spojrzałem przez okno. Luc, nagi, siedział na podłodze, owinięty białym, grubym prześcieradłem przypominającym kimono do judo. Izolatka była całkowicie pusta. Bez mebli, bez okna. Drzwi bez klamki. Białe ściany, sufit, podłoga nie dawały żadnego oparcia oczom.

— Na razie jest spokojny — powiedział Zucca. — Podano mu haldol, lek neuroleptyczny, który pozwala odróżniać rzeczywistość od majaczeń. Wstrzyknęliśmy również środek uspokajający. Cyfry

panu nic nie powiedzą, ale doszliśmy do niezwykle dużych dawek. Nie pojmuję, takie pogorszenie, w tak krótkim czasie...

Przyglądałem się przez szybę memu najlepszemu przyjacielowi. Nieruchomy, owinięty prześcieradłem robił wrażenie skrajnie wyczerpanego. Bezwłosa skóra, ogolona czaszka, nieobecna twarz w całkowicie pustym otoczeniu. Wyglądał niczym okaz sztuki współczesnej. Nihilistyczne dzieło.

— Zrozumie mnie?

— Myślę, że tak. Od rana nic nie mówi. Otworzę panu. Wyszliśmy z sali porad. Gdy wkładał klucz do zamka, zapytałem:

— Jest naprawdę niebezpieczny?

— Teraz już nie. W każdym razie pańska obecność go uspokoi.

— Dlaczego nie skontaktował się pan ze mną wcześniej?

— Zostawiliśmy wiadomość w pańskim biurze, w nocy. Nie miałem numeru pańskiej komórki. A Luc nie mógł go sobie przypomnieć.

Z ręką na kłamce odwrócił się do mnie.

— Pamięta pan naszą wczorajszą rozmowę? O tym, co Luc zobaczył w głębi swojej nieświadomości?

— Tego się nie da zapomnieć. Mówił pan o piekle.

— Te wizje nawiedzają go teraz. Starzec. Ściany z twarzy. Jęki w tunelu. Luc jest przerażony. Gwałtowność i siła, jaką okazał dziś w nocy, tłumaczy się tym strachem. Nie może sobie z nim poradzić.

— A więc ten kryzys wynika z paniki?

— Nie tylko. Luc jest agresywny, okrutny, sprośny. Tak to wygląda.

— Chce pan powiedzieć, że robi wrażenie... opętanego?

— W innej epoce spalono by go na stosie.

— Sądzi pan, że jego stan się pogorszy?

— Zastanawiamy się nad przewiezieniem go do Henri-Colin. To nasz zakład dla ciężko chorych. Ale moim zdaniem jest na to za wcześnie. Wszystko się jeszcze może ułożyć.

Wszedłem do izolatki i drzwi za mną zostały zamknięte. Każdy szczegół w tym pomieszczeniu robił na mnie wstrząsające wrażenie.

Jaskrawe światło w suficie. Czerwone wiadro ustawione w kącie przeznaczone do załatwiania potrzeb naturalnych. Materac, na którym siedział Luc, przypominający materac w sali gimnastycznej.

— Jak się masz? — zapytałem swobodnym tonem.

— Doskonale.

Zaśmiał się krótko, po czym owinął szczelniej prześcieradłem,

jakby było mu zimno. W rzeczywistości było tu straszliwie gorąco. Rozluźniłem krawat.

— Chciałeś się ze mną widzieć?

Luc, z opuszczoną głową, drgnął. Z fałd prześcieradła wysunęła się jego noga, którą gwałtownie podrapał. Ukłęknałem przy nim na podłodze i ponownie zapytałem:

— Dlaczego chciałeś się ze mną widzieć? Czy mogę ci pomóc?

Podniósł wzrok. Jego źrenice pod rudymi brwiami miały żółtawy, gorączkowy blask.

— Chcę, żebyś mi wyświadczył pewną przysługę.

— Mów.

— Pamiętasz przypowieść o aresztowaniu Chrystusa?

Z oczyma utkwionymi w suficie zaczął recytować: „Do arcykapłanów zaś, dowódcy straży świątynnej i starszych, którzy wyszli przeciw Niemu, Jezus rzekł: »Wyszliście z mieczami i kijami jak na zbójcę? Gdy codziennie bywałem u was w świątyni, nie podnieśliście rąk na Mnie, lecz to jest wasza godzina i panowanie ciemności«"\*

— Nie rozumiem.

— To godzina ciemności, Mat. Zło zatriumfowało. Nie można się już cofnąć.

— O czym ty mówisz?

— O mnie.

Drżał. Wydawało się, że zimno ogarnęło go aż do szpiku kości.

— Poświęciłem się, Mat. Umarłem dla siebie samego jak wtedy, gdy chwyciłem za broń w Vukovarze, ale tym razem nie będzie odkupienia ani zmartwychwstania. Wielkim zwycięzcą jest Szatan. Bierze mnie pod swoją władzę. Tracę wszelką kontrolę nad sobą.

Usiłowałem uśmiechnąć się, ale nic mi z tego nie wyszło. Luc był prawdziwym męczennikiem. Poświęcił nie tylko własne życie, ale i duszę. Nie zazna zbawienia w niebie, ponieważ jego męczeństwo polega właśnie na odrzuceniu zabawienia.

— W głębi duszy czuję się wolny — powiedział z dziwnym uśmiechem na twarzy. — Nie odczuwam już tego wiecznego lęku przed dobrem. Przekroczyłem zaporę i czuję, że odrywam się...

— Nie powinienes się temu poddawać.

— Nic nie pojąłeś, Mat. Jestem Uratowanym Bez Światła. I jedyne, co mogę zrobić, to dać świadectwo. — Położył palec na

\* Ewangelia według świętego Łukasza, 22, 52-53.

skroni. — Opisać to, co dzieje się tu, w mojej głowie. — Przerwał na moment, jakby uważnie badał pod mikroskopem zakamarki swego umysłu. — Jest jeszcze we mnie jakaś cząstka, która widzi mój upadek i jest nim przerażona. Ale reszta mojego jestestwa, coraz bardziej powiększająca się, cieszy się z tego wyzwolenia. Tak jakby w moim mózgu rozlewał się atrament. — Zachichotał. — Jestem nim przesiąknięty, Mat. Wciągnięty między potępionych. W niedługim czasie będę zgubiony

Poczułem, jak rośnie we mnie irytacja. Wszystkie moje starania na nic. Chciałem skierować dochodzenie ku racjonalności, konkretno, a Luc opowiada mi o jakichś historiach z diabłem.

— Wspominałeś o przysłudze — powiedziałem cierpliwie. — O co chodzi?

— Chroń moją rodzinę.

— Przed kim?

— Przede mną. Za dwa, trzy dni będę miał przemoc i terror. I zacznę od moich najbliższych.

Położyłem dłoń na jego ramieniu.

— Luc, zostaniesz tu wyleczony. Nie masz się czego bać...

— Zamknij się. Nic nie wiesz. Już wkrótce nawet ta izolatka nie zdoła mnie powstrzymać. Już wkrótce wszyscy ponownie mi zaufacie. Pozornie będę zdrow na umyśle. Ale właśnie wtedy stanę się naprawdę niebezpieczny...

Westchnąłem.

— Konkretnie, co chcesz, żebym zrobił?

— Postaw straż przed moim domem. Ochroń Laure. Ochroń dziewczynki.

— To absurd.

Rzucił mi ostre spojrzenie, jakby chciał przeniknąć do mojego umysłu.

— Nie jestem jedynym zagrożeniem, Mat.

— A kto jeszcze?

— Manon. Będzie chciała się zemścić.

Miałem już dość tego szaleństwa. Podniosłem się z podłogi.

— Musisz się leczyć.

— Wysłuchaj mnie!

Przez krótką chwilę jego twarz wykrzywiła nienawiść i w tym momencie odniosłem wrażenie, że znalazłem się w świecie Szatana.

— Myślisz, że ona mi wybaczy to, iż świadczyłem przeciw niej? Nie znasz jej. Nic nie wiesz o jej umyśle. Nie wiesz, kto w nim mieszka. Jak tylko będzie mogła, przystąpi do działania. Zniszczy to, co mam najdroższego. Jej niewinny wygląd to tylko maska. Jest nasycona diabłem. I nie może mi wybaczyć. Właśnie zdradzam jej sekret, kapujesz? Będzie chciała mnie powstrzymać. I zemścić się na mojej rodzinie!

— Kompletnie zwariowałeś.

— Zrób to. W imię naszej przyjaźni.

Cofnąłem się o krok. Wiedziałem, że Zucca obserwuje nas przez zasłonę. Przyjdzie otworzyć mi drzwi. Zamierzałem zapytać Luca o jego wspomnienia po przebudzeniu. Chciałem się dowiedzieć, czy pamięta, aby któryś z lekarzy przychodził do niego częściej niż inni. Zapytać o ewentualnego Gościa z Otchłani.

Zrezygnowałem jednak z wszystkich pytań.

Czy Luc był, czy nie pod wpływem haldolu, nie widział już żadnej różnicy między rzeczywistością i swoimi chorobliwymi majakami.

W drzwiach za moimi plecami zazgrzytał klucz. Luc stanął na materacu.

— Poślij tam swoich chłopaków. Błagam cię. Możesz to zrobić?

— Nie ma problemu. Licz na mnie.

## 109

Powrót do biura.

Doszły już faksem i emailem zamówione przeze mnie dokumenty.

Raport międzynarodowej komisji ekspertów dotyczący Agostiny Geddy.

Dokumentacja medyczna i psychiatryczna Raimo Riihimakiego.

Lista tych wszystkich, którzy mieli dostęp do Luca w Hôtel-Dieu.

Nie zdejmując płaszcza, wydrukowałem dwa ostatnie dokumenty przesłane emailem i zacząłem lekturę od faksu z listą ekspertów wydających opinię o cudownym uzdrowieniu Agostiny. Słynny Międzynarodowy Komitet Medyczny:

— Prof. Andreas Schmidt  
Universität zu Köln  
Albertus-Magnus-Platz — 50923 KOLN —  
DEUTSCHLAND

— Dr.ssa Maria Spinelli  
Policlinico Universitario  
Viale A. Doria — 95125 CATANIA — ITALIA

— Dr Giovanni Ponteviaggio  
Ospedale dei bambini G. Di Cristina  
Piazza Porta Montalto — 8 90134 — PALERMO — ITALIA

— Prof. Chris Hartley  
King's College London  
Strand, London WC2R — ENGLAND, UNITED KING-  
DOM

— Dr Martin Gens  
Centre Hospitalier Psychiatrique de Liege  
Site du Petit Bourgogne  
Rue Professeur-Mahaim 84 — 4000 LIEGE — BELGOUE

— Prof. Moritz Beltrein  
Centre Hospitalier Universitaire Vaudois  
Rue du Bugnon 46 — 1011 LAUSANNE — SUISSE

— Mgr Filippo de Luca  
Caritas Diocesana di Livorno  
Via del seminario, 59 — 57 122 LIVORNO — ITALIA

— Pierre Bucholz  
Bureau des Constatations Medicales Les  
Sanctuaires  
1, avenue Monseigneur-Theas — 65 108 LOURDES  
CEDEX — FRANCE

Jedno nazwisko rzuciło mi się w oczy: Moritz Beltrein. Co on robił na tej listie? Ponieważ był znanym w świecie specjalistą od śpiączki, nie mogło dziwić, że Kuria Rzymska poprosiła go



o zbadanie przypadku Agostiny. Pamiętałem jednak, że kiedy wymieniałem przy nim imię tej cudownie uzdrowionej dziewczynki z Katanii, stwierdził, że o niej nie słyszał. Dlaczego skłamał?

Wziąłem do ręki świeżo wydrukowane kartki dotyczące Raimo Rihimäkiego. Chwyciłem mazak i podkreśliłem na kolorowo w estońskim tekście wszystkie nazwiska. Były estońskie i nic mi nie

Na końcu raportu znalazłem fragment zredagowany w języku angielskim. Podpisał go cudzoziemski ekspert wezwany na pomoc dla potwierdzenia uleczenia Raimo.

Omal nie krzyknąłem.

Tym, który podpisał raport, był Moritz Beltrein.

Linijki tekstu zmały się przed moimi oczami. Czy Szwajcar mógł być Gościem z Otchłani? Albo przynajmniej mieć jakiś związek z serią morderstw? Ten trzymający się mocno ziemi profesor, który roześmiał mi się w nos, gdy mówiłem o cudzie i o diable?

Wyciągnąłem z drukarki przesłaną przez Erica Thuilliera listę lekarzy, specjalistów i pielęgniarek, którzy stykali się z Lukiem po jego przebudzeniu. W sumie trzydzieści nazwisk.

Wiodłem piórem po nazwiskach. Na widok czterech sylab na górze drugiej strony wydałem jęk. Moritz Beltrein. Był na oddziale reanimacyjnym w Hôpital-Dieu piątego, siódmego i ósmego listopada!

Obecny od pierwszego dnia, gdy Luc Soubeyras się obudził.

Myśli przechodziły mi przez głowę w rytm bicia mego serca.

Moritz Beltrein jako Gość z Otchłani.

Facet nie do rozszyfrowania. Sobowtór Eltona Johna. Czy naprawdę był twórcą Uratowanych Bez Światła? Manipulatorem, który wślizgiwał się w podświadomość uratowanych od śmierci i zabijał według diabelskiego rytuału?

Chwyciłem za telefon i zadzwoniłem do Thuilliera. Powiedziałem bez żadnych wstępów:

— Chciałbym porozmawiać o pewnym szwajcarskim lekarzu. Nazywa się Moritz Beltrein.

— A o co chodzi?

— Zna go pan?

— Oczywiście. To znakomity lekarz.

— Na przesłanej przez pana liście zobaczyłem, że przybył do Hôpital-Dieu, kiedy Luc się obudził.

— Przypadek. Był przejazdem w Paryżu. Rozmawiał z Lukiem, gdyż pisze książkę o śpiączce. A może artykuł, nie jestem pewien.

— Co pan o nim sądzi?

— To geniusz. Zrewolucjonizował techniki reanimacji. Nic nie może się wydarzyć w tej dziedzinie, żeby on o tym nie wiedział.

Na twarzy czułem na przemian fale gorąca i zimna. Belfrem doskonale pasował do profilu Gościa. Wiedział o wszystkich spektakularnych przypadkach reanimacji na świecie. Dysponował szeroką siecią międzynarodową. Jego uwaga była stale skierowana na zakamarki ludzkiego umysłu. Śpiączka. Śmierć. Przebudzenie. Człowiek, który, będąc na pozór lekarzem hołdującym filozofii kartezjańskiej, musiał być zafascynowany niezgłębioną otchłanią stanu nieświadomości...

— Czy odwiedzał Luca kilka razy?

— Dlaczego pan o to pyta?

— Proszę sobie przypomnieć.

— Tak, był parokrotnie u niego. Jest przyjacielem ordynatora oddziału. Już mówiłem, że pisze książkę.

Specjalista od reanimacji. Ekspert w anestezjologii. Lekarz, który bada granice ludzkiego umysłu. W jednej sekundzie wyobraziłem go sobie, jak wstrzykuje Lucowi mieszankę na bazie ibogi, a potem pojawia się znowu, przebrany, świecący, tańczący w ciemności...

Diabeł albinos z tunelu.

— Przy naszej pierwszej rozmowie — powiedziałem cicho — wspominał pan o śladach po zastrzykach na ramieniu Luca.

— I co z tego?

— Czy w ostatnim czasie zauważył pan nowe ślady?

Thuillier zrozumiał wreszcie, do czego zmierzam.

— Przypuszcza pan, że Beltrein to pański doktor Mabuse?

— Czy były świeże ślady?

— Trudno powiedzieć. Pacjent po reanimacji to prawdziwe sito. Kroplówki, pobieranie krwi do analizy...

— Dziękuję panu, doktorze.

— Proszę poczekać. Znam Beltreina od dawna i...

— Oddzwonię.

Odłożyłem słuchawkę. Nie pozbyłem się podejrzeń. Tak czy inaczej Beltrein był powiązany z Uratowanymi Bez Światła. Spojrzałem na zegarek: za dwadzieścia trzecia. I nadal żadnych wieści od Manon.

W rozgorączkowanym umyśle układałem już plan działania. Złapać pierwszy pociąg do Lozanny, żeby porozmawiać z Beltreinem, gdy wróci z seminarium. A jeszcze lepiej będzie wcześniej przeszukać jego mieszkanie.

Zadzwoiłem do Foucaulta i poprosiłem go, aby odebrał Manon z aresztu i został przy niej. Wiedziałem, że będzie umiał zdobyć jej zaufanie. Jeszcze nie zdążył odłożyć słuchawki, gdy wybierałem już numer dworca Gare de Lyon.

## 110

TGV. Pierwsza klasa.

Długi kadłub z komfortowym wnętrzem zagłębiający się w lasy, równiny, wzgórza. Gdy wyglądałem przez okno, z czołem przy szybie, przyszła mi na myśl monstrualna piła, która przecina krajobraz, otwiera jakby jego brzuch. Szum wiatru, głuchy zgrzyt szyn powiększały jeszcze wrażenie, że znajduję się w kufrze czy bunkrze pędzącym z ogromną

Wokół mnie mężczyźni w krawatach, z oczyma utkwionymi w laptopach, z twarzami pochylonymi nad komórkami. Rozmowy telefoniczne. Stale ten sam poważny, zdecydowany ton, te same handlowe sprawy, ten sam materializm. A wszystko to na tle mojego własnego

Kto z nich mógłby przypuszczać, że jadę na spotkanie z okrutnym zabójcą?

Moritzem Beltreinem — Gościem z Otchłani.

Po raz setny rozważałem wszystkie za i przeciw.

Za: jego obecność przy czterech podejrzanych w tej sprawie; kłamstwo na temat Agostiny i Raimo przy naszym pierwszym spotkaniu; jego wiedza dotycząca śpiączki, reanimacji, farmakologii; i wreszcie miejsce zamieszkania, niedaleko dolin Jury, regionu, który od początku uważałem za siedzibę zabójcy...

Przeciw: Beltrein, jako specjalista od reanimacji o światowej renomie, mógł zetknąć się z ocalonymi z czysto zawodowych powodów; jego wygląd fizyczny kazał zastanawiać się, jak ten niewysoki mężczyzna w grubych okularach mógłby zmienić się w drobnego anioła, starca z elektryzującymi włosami, chłopca z pokiereszowanym ciałem?

Znowu ogarnęły mnie wątpliwości. W gruncie rzeczy cała moja hipoteza o Gościu z Otchłani nie opiera się na niczym. To wszystko może być tylko ułudą... moim własnym majakiem...

Wyjąłem z teczki dokumentację na temat Beltreina, którą wydrukowałem przed wyjazdem. Biografia uzupełniona fragmentami znalezionymi na stronie internetowej akademickiego szpitala w Lozannie i artykułami ze szwajcarskich dzienników.

Urodzony w 1942 roku w kantonie Lucerny. Do roku 1969 studia w Zurychu, na wydziale medycznym, specjalność kardiochirurgia. Potem Harvard (PBBH), od 1970 do 1972 roku. Następnie Francja, gdzie dołączył do grupy chirurgów w szpitalu w Bordeaux (1973—1978). Wreszcie powrót do Szwajcarii, praca w l'Hôpital Universitaire w Lozannie, gdzie w 1981 roku został ordynatorem oddziału kardiochirurgii.

Rzuciłem okiem na cały szereg wyróżnień, wykaz konferencji i seminariów, w których brał udział na całym świecie. Szukałem czegoś w artykułach, między linijkami. Nie znalazłem niczego. Najmniejszego śladu poglądów ezoterycznych. Najmniejszych problemów w instytucjach, w których pracował. Najmniejszego podejrzenia, skazy, w żadnej dziedzinie.

Kawaler, bezdzietny, człowiek całkowicie oddany swojemu zawodowi. Genialny naukowiec, duma swego kraju, lekarz, który uratował niejedno życie.

Obejrzałem fotografie zamieszczone w gazetach. Twarz okrągła, opadająca na czoło grzywka, kwadratowe ramiona. Głowa pudła, z nieprzeniknionym, jakby nieobecnym, skrytym wyrazem twarzy. Gość z

Niezmiernie trudno przechylić szalę wagi na jedną czy na drugą stronę.

Lozanna.

W pierwszej z brzegu agencji wynajmu samochodów wybrałem auto klasy E, żeby wtopić się między szwajcarskie berlinki. Zajrzałem do miejscowej komendy policji. Nie było dla mnie żadnej wiadomości ani od Manon, ani od moich ludzi.

Ruszyłem, tłumiąc w sobie złość.

Jeśli Corine Magnan zatrzyma Manon na tę noc, udam się osobiście, żeby ją stamtąd wydostać.

Jechałem drogą do CHUV\*, mijając aleje, nad którymi wisiały kable trakcji tramwajowej. Pojawił się budynek Champs-Pierres. Biała fasada, park w stylu zen, kuliste lampy, niskie sosny.

Wszedłem na górę, na oddział kardiochirurgii, gdzie zastałem moją studentkę siedzącą na posterunku. Oczywiście z pudełkiem tic-taców.

— Witam! — zawołała. — A miał pan już tu nie wracać!

— Tak się jakoś złożyło — odpowiedziałem niezbyt mądrze. — Muszę się koniecznie widzieć z doktorem Beltreinem.

— Wyminał się pan z nim. Przyszedł i prawie natychmiast wyszedł.

— Czy zna pani jego adres domowy?

Wstała, posyłając mi uroczy uśmiech.

— Wiem wszystko. Nie pojechał do swojego mieszkania w Lozannie, ale do domku w Riederalp.

Wyjąłem z kieszeni mapę, którą dano mi w agencji wynajmu samochodów, i położyłem na blacie recepcji.

— Gdzie to jest?

Dziewczyna zauważyła, że drżały mi ręce, ale powstrzymała się od komentarza. Wskazała palcem na mapie:

— To tutaj, za Bulle.

Chwyciłem pióro i zakreśliłem kółkiem nazwę miasteczka.

— Jak poznam ten domek?

— Bardzo łatwo. — Wzięła ode mnie pióro i narysowała trasę. — Pojedzie pan w kierunku Spiez. W Wessenburgu skręci pan na lewo. Villa Parcossola — zaznaczona na zboczu góry Gantrish. Parcossola to nazwisko architekta, który zaprojektował ten dom. Jest znany w tym

Wydawała się dobrze poinformowana. Przez sekundę pomyślałem się, czy nie spotyka się z Beltreinem w weekendy... Świeżość jej oddechu, który zawdzięczała pastylkom tic-taca, podziałała na moje zmysły.

— Przyjedzie pan jeszcze raz?

A w moim mózgu szalki wagi wciąż przechylały się to na jedną, to na drugą stronę.

Czy Beltrein jest, czy nie jest zabójcą?

— Tym razem to naprawdę mała szansa.

\*Centre Hospitalier Universitaire Vaudois — szpital akademicki uniwersytetu Yvertois.

— Ostatnim razem też tak pan mówił.

— To prawda. *Insz Allah!*

Opuściłem szpital szybkim krokiem. Zlany zimnym potem, ciężko oddychając.

Jechałem ponownie wzdłuż jeziora, odnajdując ten sam pejzaż jak przy pierwszej mojej bytności. Dalekie światła na zboczach wzgórz pobłyskiwały łagodnie niczym rozsypane iskry.

W Vevey skręciłem na Bulle, na autostradę E27, potem zjechałem z tej drogi szybkiego ruchu i zacząłem jechać w górę w kierunku Spiez. Po drodze minąłem przełęcz Simplon. Wydawało się, że pościg w tunelach miał miejsce całe wieki temu.

Wessenburg.

Julie Deleuze mówiła prawdę — kierunkowskaz pokazywał drogę do Villa Parcossola. Zostawiłem za sobą czysty asfalt i wjechałem na ośnieżoną drogę. Pejzaż zmienił się. Coraz gęściej rosnące sosny, coraz czarniejsze. Niebieskawe zaspy śnieżne, szare zachmurzone niebo ponad drzewami.

Kolejna tablica wskazywała drogę pokrytą jasnym żwirem. Biała smuga przecinająca ciemny las. Wjechałem między iglaste drzewa. Minąłem transformator. Szare ściany wynurzające się z leśnej gęstwiny.

Za zakrętem drzewa przeredziły się, odsłaniając widok na wille.

Zbudowana na kilku betonowych tarasach stała okraciem nad wodospadem. Wyłączyłem reflektory. W świetle księżyca przypominała słynną budowlę Franka Lloyda Wrighta, Kaskadę, zaprojektowaną według tego samego pomysłu.

Zatrzymałem się w wyznaczonym dla samochodów miejscu. Na parkingu było pusto. Wziąłem latarkę, gumowe rękawiczki i wysiadłem z auta.

Ruszyłem w kierunku rezydencji, nie wychodząc z cienia. Szum potoku głuszył odgłos moich kroków na żwirze.

Przyjrzałem się dobrze teraz widocznej willi. Betonowe balkony na każdym poziomie pięły się coraz wyżej nad potokiem, będąc wyzwaniem dla praw fizyki. Front domu tworzył przeciwwagę dla jego masywnego tyłu. We wszystkich oknach było ciemno. Na lewo dwie kanciaste kolumny pod wąskim, oszklonym holem. Odbijające się w szybach srebrzyste strumienie i czarne sosny tworzyły wrażenie, że znajdują się

Gdy podszedłem trochę bliżej, dostrzegłem przez oszklone drzwi palące się światło przesłonięte przez rolety. Czy był tam Beltrein?

pod tarasami znalazłem wąskie przejście nad potokiem. Rozbryzgi wody siekły mnie po twarzy.

Szedłem pod głównym korpusem budynku. Na końcu kładki były betonowe schody prowadzące na parter. Gdy je pokonałem, ujrzałem przed sobą fasadę rezydencji. Drzwi wejściowe, dzwonek, kamera wideo. Żwir połyskiwał w blasku księżyca. Wszystko przypominało piękną

Poszedłem wzdłuż muru, szukając drzwi dla służby albo okienka, przez które mógłbym się dostać do środka. Dostrzegłem drugie schody, które prowadziły znowu do podziemia. Wiedziony instynktem ruszyłem nimi i odkryłem w połowie drogi metalowe drzwi.

Wejście do piwnicy lub garażu.

Czując szum krwi w uszach, wyciągnąłem glocka, odbezpieczyłem. Wilgotny, zimny płaszcz przyklejał się do mojego ciała. Machinalnie dotknąłem skrzyżowanych sztab na drzwiach. Nie da się sforsować takiej przeszkody. Na wszelki wypadek nacisnąłem klamkę. Drzwi powoli obróciły się na zawiasach. Po prostu się otworzyły!

Wprowadziłem nabój do lufy i wśliznąłem się w cień.

## 111

Korytarz. Ciemności absolutne.

Szedłem po omacku, o niczym nie myśląc, zostawiwszy za sobą uchylone drzwi, zza których dochodził szum potoku. Nagle zorientowałem się, że nie było to zwykle miejsce na rupiecie, garaż czy hangar. Znalazłem się w przedsiönku do sanktuarium, miejsca, gdzie ukrywa się największe sekrety.

Gdy moje oczy przywykły do ciemności, zobaczyłem inne drzwi w głębi. Z każdym krokiem serce biło mi coraz mocniej. Poczulem powiew ciepła i wilgoć, które nie mogły mieć nic wspólnego z tą porą roku, z zimnem panującym na dworze. Był też zapach, który natychmiast rozpoznałem.

Surowe, zepsute mięso.

Wreszcie tu dotarłem. Do jaskini Gościa z Otchłani. Szedłem dalej. Żadnych dźwięków oprócz szumu centralnego ogrzewania lub systemu wentylacyjnego. Robiło się coraz goręcej. Drzwi przede mną. Za nimi czekał na mnie koszmar. Gdy to sobie

uświadomiłem, natychmiast się uspokoiłem. Jakby oderwany od rzeczywistości, z niezwykłym opanowaniem chwyciłem za klamkę.

Drzwi otworzyły się bez oporu. Wszystko okazało się bardzo łatwe. Gdzieś głęboko, bardzo głęboko w moim umyśle odezwał się dzwonek alarmowy — to wyglądało na pułapkę, w którą zaraz wpadnę. Beltrein był tam i czekał na mnie. TYLKO TY I JA.

Pomieszczenie pogrążone było w ciemnościach. Wyjąłem z kieszeni latarkę i zapaliłem ją. Spodziewałem się pojemników z insektami, szklarni z porostami. A było to zwykłe laboratorium fotograficzne. Pudełka, obiektywy, skanery, drukarki.

Podszedłem do rozstawionej na krzyżakach planszy z przyczepionymi na niej odbitkami. Postawiłem latarkę, schowałem glocka, naciągnąłem na dłonie gumowe rękawiczki. Skierowałem strumień latarki na zdjęcia. I co zobaczyłem? Zdeformowaną twarz Sylvie Simonis. Jej ciało jedzone przez robaki i muchy. Tyle tylko, że na tych fotografiach ta kobieta jeszcze żyła...

Opanowując drżenie, przeszedłem do innych zdjęć. Mężczyzna w stanie rozkładu, z ustami wykrzywionymi z bólu. Salvatore Gedda. Kolejne odbitki. Konający starzec, zielonkawe zwłoki, pękające pod ciśnieniem gazów. Bez wątplenia ojciec Raima.

Inne twarze, inne ciała. Wszystkie będące potwierdzeniem tego, że Beltrein od wielu lat we wszystkich zakątkach Europy, korzystając ze swej wiedzy, uzależniając reanimowanych, torturując, doprowadzając ciała do szybkiego rozkładu, mordował ofiary uznane przez niego za winne, mszcząc się w imieniu diabła na Uratowanych Bez Światła.

Chciałbym, aby ten moment stał się historycznym.

Żeby cały świat się dowiedział.

„W piątek, 15 listopada 2002 roku, o godzinie dwudziestej, komendant Mathieu Durey zidentyfikował w okolicy góry Gantrish seryjnego zabójcę, jednego z najbardziej przebiegłych i perfidnych w rozpoczynającym się stuleciu”.

Ale nie.

Nikt nie wiedział, że tu byłem.

Nikt nawet nie podejrzewał istnienia takiego niezwykłego zabójcy.

Podniosłem wzrok. Przede mną znowu drzwi wymalowane na czarno. Dalszy ciąg piekła. Obszedłem stół. Zgniłe mięso śmierdziało coraz bardziej. Przesiąknięte potem ubranie przyklejało się do mojego ciała. Jądra mi się skurczyły, a płuca nie były większe



od pięści. I cały czas ten dzwonek alarmowy w mózgu: Beltrein jest blisko.

Drzwi były ogniotrwałe, dobrze uszczelnione. Nie miałem wątpliwości, że zmierzam do pułapki. Za późno jednak, żeby się wycofać. Byłem zahipnotyzowany bliskim odkryciem prawdy, ostatecznym

Smród zgniłego mięsa stawał się nie do wytrzymania. Musiałem oddychać przez usta. Było to obszerne, prostokątne pomieszczenie, słabo oświetlone. Pod dwiema ścianami stały klatki przykryte gazą — zupełnie jak u Plinkha. Sufit i górne części ścian osłonięte były papierem pakowym, pod którym leżała szklana wata. Wyziewy rozkładającego się mięsa wprost zatykały. W czterech kątach na podłodze stały nawilżacze powietrza.

Na ścianie naprzeciw wejścia wisiły zdjęcia pochodzące z kolekcji, którą widziałem w poprzedniej sali. Podeszedłem bliżej. Przeżarte twarze, ciała rojące się od robaków, gnijące rany. Ale także ilustracje wycięte z podręczników medycyny sądowej, książek o anatomii. Grawiury, plansze z mięsożernymi owadami szczegółowo opisanymi. Wszystko było tak jak u Plinkha, tyle że w wersji barbarzyńskiej, zbrodniczej.

Na środku, na betonowym podwyższeniu, stały słoiki, akwaria, wszystkie nakryte szmatkami lub workami na śmieci. Nie śmiałem wyobrazić sobie, co się w nich znajduje, pewnie pożywienie dla legionów Beltrei'na.

Skupiłem myśli na tym, że przybyłem tu jako policjant. Miałem wykonać konkretne zadanie. Najpierw należało przeprowadzić rewizję. Nic nie miało prawa mi się zdarzyć.

Podniosłem płótna i obejrzałem zawartość pojemników. W formalinie pływały oderwany penis, wylupione oczy, a także, ledwie widoczne we włóknistym płynie, brunatnobrązowe serce i wątroba.

Wiedziałem, że te szczątki ludzkie nie należały do ofiar. Ten lekarz okazał się również złodziejem trupów, rabusiem grobów. Dzięki swym pełnionym oficjalnie funkcjom miał dostęp do list zmarłych nie tylko w jego szpitalu, ale także w Lozannie i w całym regionie. Czy sam wydobywał trupy z grobów, aby wykarmić swoje wojska? Pomyślałem o szwajcarskich rodzinach, które przychodzą się pomodlić nad pustymi — Mógłbym dawać im mięso zwierzęce, ale nie byłoby to zgodne z duchem tego miejsca.

Odwrociłem się. Na progu stał Moritz Beltrein. Miał na sobie

ochronny kitel, pod którym widać było polarową bluzę. Ręce wsunął w kieszenie dżinsowych spodni. Wciąż ten sam wygląd doktoranta przygotowującego pracę dyplomową. Był jeszcze bardziej śmieszny niż zazwyczaj z tą opadającą grzywką i grubymi okularami. Wyciągnąłem glocka i spokojnie powiedziałem:

— Niech pan powoli wyjmie ręce z kieszeni.

Wykonał moje polecenie z ostentacyjną nonszalancją. Wtedy niespodzianie dla samego siebie krzyknąłem:

— Dlaczego? — Powiodłem wzrokiem dokoła. — Po co to wszystko? Ci zmarli, tortury, owady?

— Prowadziłeś wyjątkowe śledztwo, Mathieu. Jedyne w swoim rodzaju, dotyczące rzeczy podstawowej.

— Diabła?

— Śmierci. Policjanci, sędziowie, adwokaci nie mówią nigdy o zmarłych. Co oni myśleli o mordercach, których stali się ofiarami? Co zrobiliby sami, gdyby mogli się zemścić?

Nie sposób było dostrzec jego oczu za grubymi przydymionymi szklami, w których odbijały się szklane klatki. Zwracał się do mnie na ty. Prawdę mówiąc, staliśmy się bliskimi sobie wrogami.

— Po raz pierwszy — kontynuował — zmarli dostali prawo głosu. Drugą szansę. Pomagam im wrócić i zemścić się za okrucieństwo żywych.

Chciało mi się wyć. Belfrem mówił tak, jakby Uratowani Bez Światła dokonywali świadomie swoich zbrodni. Nie wolno mi było dać się mu oмотać. Odetchnąłem głęboko i powiedziałem ze spokojem:

— To pan zabił Sylvie Simonis, Salvatore Geddę, Arturasa Rihimackiego. I wielu innych!

— Nic nie rozumiałeś, Mathieu. Nie zabiłem nikogo. — Rozłożył ręce z miną niewiniątka. — Jestem tylko dostawcą. Pośrednikiem, jeśli wolisz. Dostarczam jedynie... podstawowe składniki.

Nie wierzyłem własnym uszom. Odnalazłem w końcu zabójcę, szaleńca, Gościa z Otchłani, a ten pomylenieć wciska mi znowu brednie o winie Uratowanych Bez Światła.

— Wiem wszystko — wycodziłem przez zaciśnięte zęby. — O pańskiej interwencji w umysły tych cudem ocalonych od śmierci ludzi. O pańskiej metodzie wywoływania NDE. O stosowaniu przez pana sugestii, ibogi i nie wiem jakich jeszcze substancji. Uzależniał pan tych ludzi. Doprowadzał pan do tego, że wierzyli, iż widzieli diabła. Manipulował pan ich wspomnieniami. Wmawiał

im pan ich winę. Ale to pan, nie kto inny, torturował i zabijał. To pan tworzy Uratowanych Bez Światła. Pan organizuje ich zemstę. Sieje pan zło i śmierć!

— Jestem rozczarowany, Mathieu. Dotarłeś aż do mnie, a mimo to większa część prawdy wciąż ci się wymyka. Bo i dziś nawet nie chcesz uznać tego, co oczywiste. Mocy Szatana. To on ich ocalił, a oni potem się mścili. Kiedyś w przyszłości ktoś napisze książkę o Uratowanych Bez Światła.

To ja byłem rozczarowany. Nie usłyszałem niczego racjonalnego od tego mordercy. Beltrein był więźniem własnego szaleństwa. Powinien znaleźć się w zakładzie psychiatrycznym. Pomyślałem o skręconych bólem ciałach, o wykastrowanych zwłokach Sarrazina, o bezpowrotnym szaleństwie Luca i odbliznąłem glocka.

— To się skończyło, Beltrein. Koniec całej historii.

— Nic się nie skończyło, Mathieu. Łańcuch zbrodni będzie się dalej rozwijał. Ze mną lub beze mnie.

Poczułem na ciele wibrację mojego telefonu komórkowego. Stałem jak sparaliżowany. Lekarz uśmiechnął się.

— Odbierz. Jestem pewien, że cię to zainteresuje.

Jego poufny ton przeraził mnie. Wyglądało na to, że ten dzwonek telefonu ma swoje miejsce w jego istniejącym od dawna planie. Pomyślałem o Manon. Wydobyłem z kieszeni komórkę. Dzwonił Fc— Gdzie jesteś?

— W Szwajcarii.

— W Szwajcarii? A co ty tam robisz? — Głos mojego zastępcy był wyraźnie zmieniony. Musiało stać się poważnego.

— Co się dzieje?

Foucault nie odpowiadał, słyszałem jego przyspieszony oddech, jakby powstrzymywał łkanie. Nie spuszczałem wzroku z Beltreina, mając go cały czas na muszce.

— No, co się dzieje, mów!

— Laure nie żyje. Laure i jej dwie córki.

Pokój zakołysał się pod moimi nogami. Beltrein już się nie uśmiechał spod swojej grzywki. Oparłem się o podmurówkę i przytrzymałem za jeden ze stoików. Szybko jednak cofnąłem rękę.

— Co ty... co ty opowiadasz?

— Wszystkie trzy mają poderżnięte gardła. Jestem w ich mieszkaniu. Wszyscy nasi tu są.

— Kiedy to się stało?

— Według pierwszych ustaleń przed godziną.

Łzy napłynęły mi do oczu. Prawie nic widziałem. Nic nie pojmowałem. Jednak w głowie tłukła mi się jedna oczywista myśl. Sprawcą tej masakry nie mógł być Beltrein. Z trudem wykrztusiłem z siebie pytanie:

— Jesteście pewni?

— Całkowicie. Ciała są jeszcze ciepłe.

Żadnego podejrzanego o tę nową zbrodnię. Żadnego wyjaśnienia dla tego ostatniego horroru. A potem jadowity głos Luca: „Manon będzie chciała się zemścić”. Nagle przypomniałem sobie, że Luc prosił mnie, bym ochraniał jego rodzinę, a ja to zbagatelizowałem. W ogóle nie myślałem o jego prośbie.

— Gdzie jest Manon? — zapytałem drżącym głosem.

— Na wolności. Została wypuszczona pięć godzin temu.

— Cholera, mówiłem ci...

— Słuchaj, kiedy zadzwoniłeś do mnie, ona już wyszła z aresztu.

— Nie wiesz, gdzie jest?

— Nikt nie wie. Szuka jej cała policja.

— Dlaczego?

— Mat, oprzytomniej! W areszcie Manon zachowywała się jak szalona. Wpadła w histerię. Krzyczała, że zemści się na Lucu. Że zabije jego rodzinę. W mieszkaniu znaleziono wszędzie jej ślady.

— Co takiego?

— Boże, obudź się! To ona je zabiła! Wszystkie trzy! To potwór! Groźny potwór na wolności!

Byłem zdruzgotany. A przede sobą wciąż miałem Beltreina z drwiącym uśmiechem. Poprzez łzy widziałem jego kręłą sylwetkę. W głowie mi zawirowało. Czułem, jak zło wchłania mnie niczym gigantyczna czarna dziura...

Na sekundę straciłem przytomność, ale natychmiast się otrząsnąłem. Beltrein znikł z mego pola widzenia. Machinalnie schowałem komórkę do kieszeni i wycelowałem pistolet, kiedy za sobą usłyszałem jego głos:

— Teraz jesteś przekonany?

Odwrociłem się. Beltrein stał pod ścianą w głębi, między straszliwymi fotografiami. W rękę trzymał wielkiego colta 44.

To nic ważnego.

Od tej chwili nie ma rzeczy ważnych.

Zginiemy razem.

— Manon je zabiła, tak? — zapytał słodkim głosem. — Zemściła się. Czekalem na taką wiadomość.

— Niemożliwe. Była w areszcie...

— Nie. Dobrze o tym wiesz. Czas, żebyś spojrział prawdzie w oczy.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Moja zdolność myślenia była zablokowana, unicestwiona.

— Manon jest Jego tworem — mówił dalej. — Teraz nic już jej nie powstrzyma. Jest wolna. Absolutnie wolna. „Prawem jest to, co robimy”.

Wydałem z siebie chrypliwy dźwięk, coś pośredniego między śmiechem i łkaniem.

— Co pan jej zrobił? Co jej wstrzyknął?

— Nic jej nie zrobiłem. Nawet nie uratowałem jej życia.

— A pańska aparatura?

— Przestałeś myśleć logicznie, Mat. Widziałeś tylko to, co ukazywał ci rozum. Manon została uratowana przez diabła. Jeśli powiedziano ci, że ocalił ją Bóg, powinieneś zamknąć oczy i odmówić *Ojczy nasz*.

Chciałem krzyknąć: „Nie!”, ale żaden dźwięk nie wyszedł z mego gardła. Uświadomiłem sobie grożący nam obu bliski koniec — staliśmy naprzeciw siebie z wycelowaną bronią, zaraz się pozabijamy nawzajem. Ale ja już pozbierałem się wewnętrznie i wiedziałem, że nie wolno mi teraz umrzeć. Śledztwo jeszcze się nie skończyło. Musiałem wyrwać Manon z tego koszmaru. Dowieść jej niewinności. Zneutralizować łajdaka.

— Szukasz zbrodniarza wśród ludzi — ciągnął Beltrein. — Cały czas w dochodzeniu uciekałeś przed prawdą. Twoim jedynym wrogiem jest nasz Mistrz. Jest tu, w nas. Nieważne, kto zabił albo kogo zabito. Liczy się tylko potęga jego dzieła, która odsłania tajniki wszechświata. Ja tylko pomagam Uratowanym Bez Światła. Czekam na nich na końcu tunelu. Ale oni sami mnie nie interesują. Interesuje mnie jedynie czarne światło, które przebłyskuje w ich duszach. Interesuje mnie Szatan stojący za ich czynami!

Nie słuchałem już tych jego halucynacji. Jeśli Beltrein jest w Szwajcarii, to kto zabił Laure i jej córki? Historia jeszcze się nie skończyła. Śledztwo nie zostało zamknięte...

— Nie zapominaj, Mathieu, tej prawdy: Manon Simonis jest z nich wszystkich najgorsza.

— Nie chcę tego słuchać! — powiedziałem, idąc w jego

kierunku. — Ty jesteś jedynym zbrodniarzem w tej sprawie! Ty ich pozabijałeś. Wszystkich!

W odpowiedzi podniósł rękę i nacisnął spust. Byłem tuż przy nim. Zrobiłem unik. Jeden słów rozprysł się za moimi plecami. Zawartość słoja wylała się pod moje nogi. Teraz ja wystrzeliłem. Beltrein z przenikliwym krzykiem zdążył podbić mi rękę. Pocisk trafił między klatki. Przytknąłem kolbę do jego gardła, chwytając równocześnie za rękę, w której trzymał pistolet. Odezwiał się ból z zadanej mi wcześniej rany. Wpadliśmy obaj na podmurówkę. Stojące tam dwa pojemniki runęły na podłogę. Brnęliśmy w formalinie i martwych organach. Beltrein odskoczył, ale trzymałem go mocno, uniemożliwiając oddanie strzału. Mocowaliśmy się, wpadając na klatki i na pojemniki.

Beltrein pośliznął się i upadł na podłogę, a ja wraz z nim. Obaj nurzaliśmy się w formalinie, organach, kawałkach szkła. Dwa razy wystrzelił do mnie. Bezskutecznie. Spadał na nas deszcz szkła, szczątków ludzkich, zimnego płynu. Gdy poczułem coś prześlizgującego się po moim karku, aż krzyknąłem, ale nie zwolniłem uścisku. Beltrein nie przestawał pisać. Kolejne strzały. Nie wiedziałem już, który z nas strzela. Spleceni ramionami, nogami, obaj umazani ohydną cieczą.

Przewróciłem się na plecy. Beltrein runął na mnie z wyszczerzonymi zębami, z okularami zaczepionymi na grzywce. Odepchnąłem go. Jakaś klatka rozpadła się między nami. Beltrein, nie zważając na smród i muchy, celował we mnie.

Złożonymi razem nogami uderzyłem z całej siły w klatkę. Szaleniec nacisnął spust, ale drewniana rama trąciła jego dłoń i kolejny pocisk znowu chybił. Beltrein wygrzebywał się spomiędzy rojących się insektów. Potoczyłem się na bok. Setki robactwa chodziły po moich rękach, wpełzając w rękawy.

Ustyszałem tuż obok chrapliwy oddech Beltreina. Z dzikim śmiechem nachylił się, żeby mnie dosięgnąć. Leżąc pod stołem, widziałem tylko jego nogi. Zgubiłem pistolet. Zobaczyłem ostry kawałek stłuczonej butelki. Chwyciłem go i wbiliśmy w nogę zabójcy. Wydał ostry krzyk bólu. Zostawiłem szkło w jego nodze i przeczołgałem się na drugą stronę kamiennego stołu.

Salę wypełniły wrzaski Beltreina. Straciłem wszelkie poczucie kierunku. Nie widziałem nic oprócz ludzkich organów, robaków. Mój przeciwnik, ciągle wrzeszcząc, obszedł stół, powłóczył za-

krwawioną nogą. Uniosłem się wsparty rękoma o posadzkę. Beltrein był dwa metry ode mnie. Już nie rozglądał się, gdzie jestem. Walczył z robakami, waląc je kolbą colta niczym packą na muchy.

Ominąłem kłębiące się rojowisko, obszedłem stół i chwyciłem go za głowę. Uderzyłem nią silnie kilka razy o kamienny kontuar. Okulary zsunęły się na podłogę. Muchy wciskały się już pod jego powieki, ale i mnie również atakowały. Nic nie widziałem. Miałem w rękach głowę tego łajdaka, a jego pisk przenikał mi przez skórę.

Beltrein wciąż jeszcze walczył. Znowu upadliśmy. Teraz on był na mnie, z zakrwawioną, oblepioną owadami twarzą. Jakim cudem wciąż trzymał w dłoni broń. Po omacku znalazłem kawałek drewnianej ramy z rozbitej klatki. Zamknąłem oczy, do których cisnęły się muchy, i wymacawszy jego głowę, odnalazłem skroń, gdzie kości czaszki są miękkie jak u noworodka. Wbiłem drzewce dokładnie w to miejsce, głęboko aż po moje palce. Odtoczyłem się na bok i otworzyłem powieki. Muchy odstały już ode mnie, rzuciwszy się na różowy mózg, który wypłynął z czaszki Beltreina.

## 112

Zbiegałem ze zbocza, przewracając się i podnosząc. Ani razu nie spojrzałam za siebie. Nie chciałem widzieć już tego budynku — grobu demona. Chowając odnalezionego glocka do kieszeni, dotarłem do samochodu. Czuję lodowaty powiew wiatru przenikającego przez przemoczone formaliną i krwią ubranie. Miałem wrażenie, jakby przykładano mi do ciała metalowe klisze, używane przy zdjęciach rentgenowskich, tak zimne, że aż parzące. Byłem z tego zadowolony, bo wiatr wywiewał z ubrania muchy, robaki i cząstki organiczne. Ślady

Gdy znalazłem się za kierownicą, zacząłem, kołyszając się do przodu i do tyłu, mamrotać modlitwy niczym mantrę, próbując uczynić coś niemożliwego — przebaczyć Beltreinowi. Modliłem się z zamkniętym oczami, w ogromnym napięciu całego ciała, ale bez przekonania. Nie czułem ani śladu chrześcijańskiego współczucia ani dla niego, ani dla mnie samego.

Ruszyłem. Kiedy uświadomiłem sobie, że zostaną tu odciski moich opon, pomyślałem o śladach, jakie mogłem zostawić w willi.

Spojrzałem na swoje dłonie. Nadal miałem na rękach gumowe rękawiczki. Z ulgą ściągnąłem je i schowałem do kieszeni.

Nacisnąłem gaz do dechy, zjeżdżając serpentynami do doliny. Światła. Zapomniałem włączyć reflektory. Gdy rozbłyły na drodze, wydało mi się, że sosny odsunęły się na bok, jakby przerażone moją obecnością. Mimo stanu, w jakim się znajdowałem, jedna myśl nie dawała mi spokoju.

Morderca wciąż jest na wolności.

Ten, który zabił Laure i jej dzieci.

To jeszcze nie koniec.

A za nią przyszła myśl następna, nie mniej paląca — o Manon. Musiałem ją odszukać, zanim trafi w ręce policji. Znaleźć wyjaśnienie, skąd wzięły się odciski jej palców na miejscu zbrodni, oczyścić ją z wszelkich podejrzeń.

Skręciłem w leśną ścieżkę. Wsiadłem z auta i zacząłem trzeć twarz aż do krwi liśćmi i sosnowym igliwem. Zdjąłem płaszcz i wytrzeptałem go. Ściągnąłem koszulę, odwróciłem ją na lewą stronę, wydłubałem kryjące się w szwach robaki. W końcu, wstrząsany dreszczami, upadłem na kolana. Modliłem się, żeby deszcz i wiatr oczyściły moją duszę...

Otepiały, straciwszy poczucie czasu, przemarznięty, z nagim torsem wystawionym na wiatr, czekałem, ale żadna siła nie przyszła mi z pomocą. Wreszcie w moim umyśle pojawił się obraz dziewczynek. Camille i Amandine, we flanelowych piżamkach, obudzone, ale jeszcze zaspane, z pluszakami w rączkach, wysypujące sobie do miseczek płatki kukurydziane. Z twarzą przy ziemi wybuchnąłem szlochem.

Jak długo tak leżałem? Nie potrafię powiedzieć. Podniosłem się z trudem i szcękając zębami, wczłogałem do samochodu. Zapaliłem silnik i nastawiłem ogrzewanie. Gdy wreszcie ciepło powróciło do mojego ciała, zadzwoniłem do Foucaulta.

— To ja — wychrypiałem. — Znaleźliście Manon?

— Nie.

— Byłeś u mnie w mieszkaniu?

— Nie ma jej tam. Wszędzie pełno glin. Kto tylko nosi mundur, szuka jej po całym Paryżu!

Poczułem ból, wyobrażając sobie Manon zagubioną w mieście, kryjącą się w cieniu bram, wtapiającą w tłum. Dlaczego do mnie nie zadzwoniła? Ciepłe powietrze wypełniało auto, ale ja wciąż drżałem z zimna.



— A co z Lukiem?  
— Trzeba będzie dodatkowo zabarykadować jego celę, kiedy się o tym dowie.

— Kto ma mu to powiedzieć?  
— Pewnie lekarze. Albo Levain-Pahut

Poczułem ulgę, że nie spadnie to na mnie. Znowu pomyślałem o dziewczynkach. Dwie wdzięczne istotki opuściły ten ziemski padół. Znowu powróciły do mnie rozpacz i beznadzieja, które poznałem w Rwandzie.

Rozpaczliwe przekonanie o nieobecności Boga.

— A ty gdzie jesteś? — spytał Foucault.

— Mam kolejnego trupa.

— W Szwajcarii?

— Podaję ci adres. Przekaż go policji w Lozannie.

— Kto to jest?

— Moritz Beltrein. Lekarz.

— Co się stało?

— Masz czym notować?

Podyktowałem mu namiary na willę Parcossola i powiedziałem:

— Zadzwoń z budki telefonicznej. Nie podawaj swojego nazwiska. —

Przed oczami pojawił mi się obraz lekarza zjadanego przez muchy. — I powiedz, żeby się pospieszyli, jeśli chcą zobaczyć coś z tego trupa.

— Dlaczego?

— Sami się przekonają.

— Kiedy wracasz?

— Dziś w nocy, samochodem. Foucault, musisz odnaleźć Manon przed innymi.

Westchnął. Słysząc było w tym westchnieniu zmęczenie i rezygnację.

— Jeśli ją odnajdę, puszczę wolno.

— Nie. Pilnuj jej do mojego powrotu! Razem zaprowadzimy ją do sędziego.

Foucault wymamrotał jakieś słowa na pożegnanie. Ruszyłem znowu w stronę Lozanny. Z wolna uspokajałem się. Ogarniał mnie spokój bliski całkowitego ośpienia, stan jak po szoku. Skoncentrowałem się na światłach autostrady.

Gdy byłem w pobliżu Vevey, rozległ się sygnał mojej komórki.

— To ja.

Serce podskoczyło mi w piersi. Usłyszałem głos Manon.

— Gdzie jesteś?

— U mamy.

— Gdzie?

— U mamy, w Sartuis.

Szukałem w jej słowach jakiejś logiki.

— Pojechałeś pociągiem?

— Z dworca Gare de l'Este.

— O której godzinie?

— Nie wiem. Zaraz kiedy wyszłam z biura sędziego śledczego.

— Udałeś się prosto na dworzec?

— Tak.

— Nie poszłaś do Luca?

— Nie. W jakim celu?

Pomyślałem o odciskach jej palców w mieszkaniu na ulicy Changarnier.

— Nigdzie nie chodziłaś?

— Mówię ci przecież, że nie!

Z jej odpowiedzi wynikało, że nic nie wiedziała o morderstwie.

Zrobiłem w myślach szybki rachunek. Była godzina dwudziesta druga. Żeby dojechać do Besancon, potrzeba było pięciu godzin, a potem jeszcze godzina drogi do Sartuis. Manon została wypuszczona z aresztu około godziny piętnastej, zanim zadzwoniłem do Foucaulta z prośbą, żeby ją stamtąd odebrał. To znaczyło, że od razu wsiadła do pociągu i że teraz dojechała właśnie do Sartuis. Dawało jej to bezdyskusyjne alibi w sprawie rzezi rodziny Soubeyras. Fala gorąca rozlała się po moim ciele.

— Czy ktoś cię widział?

— Nie.

— A jak dojechałaś z Besancon do Sartuis?

— Taksówką.

Kierowca będzie mógł zaświadczyć, że wziął ją w Besancon. A było to o tej samej porze, kiedy popełniono morderstwo w Paryżu. Jeszcze tej nocy musiałem odnaleźć tego taksówkarza. A potem wyjaśnić obecność odcisków palców Manon na miejscu zbrodni. Kryła się w tym czyjaś machinacja.

Najpierw jednak trzeba było ratować Manon.

— Dlaczego pojechałaś do Sartuis?

— Bałam się. Przesłuchiwali mnie przez wiele godzin, Mat.

— Dlaczego nie zadzwoniłaś do mnie?

— Myślałam, że ty maczasz w tym palce. Nie chciałam wracać do twojego mieszkania. Ani do mojego w Lozannie.

Manon mówiła bardzo szybko, jak mała dziewczynka szepcząca coś przez sen. Z odzyskaną już energią w głosie powiedziałam:

— Nie ruszaj się stamtąd. Jadę do ciebie.

## 113

Dwie godziny potem przekraczałem granicę w Vallorbe. Autostrada E23 aż do Pontarlier, potem kierunek na Morteau, wzdłuż rzeki Doubs. Jeszcze godzina i dotarłem do Sartuis. W tym całym nieszczęściu zabłysło światło nadziei: zaraz zobaczę się z Manon i zabiorę ją gdzieś w bezpieczne miejsce.

Kiedy zjeżdżałem w dolinę, dostrzegłem furgonetkę żandarmerii, która pędziła w kierunku willowej dzielnicy Sartuis, z lampą na dachu i z włączoną syreną. Chwyciłem komórkę.

— Foucault?

— Nie możemy jej odnaleźć, Mat.

— Żadnego śladu?

— Nie.

— A inni?

— Też nie. Prawdopodobnie pojechała do Jury.

— Dlaczego?

— To pomyśl Luca.

— Luca?

— Corine Magnan poinformowała go o tym, co się wydarzyło. Wysłuchał tego całkiem spokojnie. Coraz bardziej traci zmysły. Powiedział tylko, że sprawcą tego morderstwa jest Manon i trzeba jej szukać w Sartuis. Powiedział, że wróciła do źródła. Do domu matki.

Luc był prawdziwym jasnowidzem. Skończyłem rozmowę i dodałem jeszcze gazu. Światło niebieskiej lampy furgonetki żandarmów przesunęło się po zboczach gór. Muszę przyjechać przed mmi. Ocalić Manon. Jeszcze bardziej docisnąłem pedał gazu.

Przy wjeździe do miasta skręciłem na lewo. Przypomniałem sobie drogę wiodącą wzdłuż linii kolejowej, bez skrzyżowań, bez czerwonych świateł. Włączyłem czwarty bieg, pędząc sto trzydzieści kilometrów na godzinę. Drzewa rosnące na skraju drogi umykały przed światłem reflektorów.

Cztery minuty później przejechałem przez dzielnicę bogaczy w Sartuis. Światła furgonetki przecinały równinę w tyle za mną. Wyprowadziłem ich. Miałem tylko dwie minuty, żeby zabrać Manon.

Odnalazłem dom w kształcie piramidy z białą tynkowanym frontonem, wielkimi oszklonymi drzwiami. Ciemno. Podjechałem od tyłu domu i zadzwoniłem do Manon na komórkę.

— Przyjechałem. Gdzie jesteś?

— W garażu.

Pobiegłem do pawilonu przylegającego do budynku. Niebieskie światło lampy na wozie żandarmów stawało się coraz wyraźniejsze i oświetlało już całą dzielnicę. Zapukałem do obrotowych drzwi. Otworzyły się bardzo wolno.

Z ciemności wyłoniła się Manon. Z bladą twarzą, z drżącymi wargami. Szepnęła:

— Nie wiem, dlaczego tu przyjechałam. Ten dom napawa mnie przerażeniem. Ja...

— Chodź.

Manon wyszła na próg. Jej pełne lęku ruchy przypominały człowieka uratowanego przed chwilą z katastrofy. Zamarła na widok światła furgonetki.

— Kto to? Policja?

— Pospiesz się, potem ci powiem.

— Wiedzą, że tu jestem?

— Wydarzyło się coś nowego.

— Co takiego?

Żandarmi byli już nie dalej niż kilkaset metrów.

— Została zamordowana Laure, żona Luca, i ich dwie córeczki.

Manon jęknęła. Ze wzrokiem utkwionym w furgonetkę zapytała:

— Czy oni myślą, że ja to zrobiłam?

Nie odpowiadając, chwyciłem ją za rękę i zrobiłem krok w kierunku samochodu. Manon nie ruszyła się z miejsca. Odwróciłem się do niej i krzyknąłem:

— Chodź!

Było już za późno. Furgonetka wyskoczyła zza zakrętu alejki. Pociągnąłem Manon, otworzyłem drzwiczki i wepchnąłem ją do wozu na siedzenie kierowcy. Wcisnąłem jej do ręki kluczyki. Nie było mowy, żeby miała spędzić kolejną noc w towarzystwie mundurowych. Ukryje się do jutra, do czasu, aż odnajdę kierowcę taksówki, który oczyści ją z winy.

— Jedź beze mnie. Ruszaj!

— A ty?  
— Zostaję. Zatrzymam ich.  
— Nie...  
Zacisnąłem jej palce na kluczykach.  
— Jedź do Szwajcarii. Zadzwoń, jak przekroczysz granicę.  
Niechętnie włożyła kluczyk do stacyjki. Krzyknąłem:  
— Ruszaj! I zadzwoń do mnie!  
Popatrzyła na mnie przez szybę, jakby chciała wyryć w pamięci najmniejszy szczegół mojej twarzy. Sekundą potem wrzuciła wsteczny bieg i ruszyła.  
Zawróciłem i wyszedłem na drogę. Furgonetka stanęła. Wskoczyli z niej żandarmi i pobiegli w moim kierunku z bronią w rękach. Jeden z nich krzyknął:  
— A pan co tu robi?  
Chciałem wyjąć moją legitymację.  
— Nie ruszaj się!  
Ja jednak zdążyłem wydobyć legitymację i pomachałem nią w świetle reflektorów ich wozu.  
— Jestem z policji.  
Żandarmi zwolnili kroku, a na ich czele szedł oficer w czarnej, ciepłej kurtce.  
— Nazwisko?  
— Mathieu Durey, brygada kryminalna z Paryża.  
Oficer sprawdził moją legitymację.  
— Co tu robisz?  
— Prowadzę dochodzenie...  
— Osiemset kilometrów od swojego rewiru?  
— Zaraz panu to wyjaśnię.  
— Byłoby nieźle — schował legitymację do kieszeni, po czym ponad moim ramieniem rzucił spojrzenie w kierunku otwartego garażu. — Bo wygląda mi to na najście domu. — Odwrócił się do swoich ludzi: — Przeszukajcie teren! — I znowu wrócił do mnie: — Gdzie twój samochód?  
— Zepsuł się po drodze. Przyszedłem tu piechotą.  
Oficer przyglądał mi się w milczeniu. Mojemu przesiąkniętemu formaliną płaszczowi, zakrwawionej twarzy, rozdartemu kołnierzykowi. Na tle reflektorów nie widziałem dobrze jego twarzy. W ciemnościach połyskiwało sztuczne futro na kołnierzu jego kurtki.  
— Coś kręcisz, stary — mruknął w końcu. — Będziesz musiał opowiedzieć to nam szczegółowo.

— Bardzo chętnie.  
Przybiegł jeden z żandarmów.  
— Panie kapitanie, nie ma jej tam.  
Oficer cofnął się o krok, jakby chciał mnie lepiej obejrzeć. Nie spuszczając ze mnie wzroku, zapytał podwładnego:  
— A w garażu?  
— Pusto, panie kapitanie.  
— No dobra. Wracamy na posterunek żandarmerii. I zabieramy ze sobą tego pana. Ma nam dużo rzeczy do powiedzenia. Rzeczy dotyczących Manon Simonis.  
Odwrócił się i ruszył do granatowego auta, którego wcześniej nie zauważyłem. Otworzył drzwiczki od strony pasażera i nachylił się do — Mówi Brugen. Wracamy... Nie, nie ma jej tutaj. — Znowu spojrzał na mnie — Ale coś mi mówi, że nie jest zbyt daleko...  
Brugen. Przypomniałem sobie to nazwisko. Kapitan żandarmerii, który przejął sprawy po Sarrazinie i kierował śledztwem w sprawie jego morderstwa. Nie wiedziałem, czy to była zła, czy dobra wiadomość.  
Dwóch żandarmów zaprowadziło mnie do furgonetki. Nie zasłużyłem na podróż samochodem osobowym. Otworzyli podwójne drzwi z tyłu. W nos uderzył mnie zapach tytoniu i towotu. Słyszałem głos oficera wydającego rozkazy przez radio:  
— Ustawcie zapory na wszystkich drogach. Besancon, Pontarlier, granica... Zatrzymajcie każdy samochód. Tak jest... I nie zapominajcie, że ona może być uzbrojona!  
Jakie Manon miała szanse wymknąć się? Modliłem się w duchu, żeby była już za granicą. Zadzwoni wtedy do mnie, prześpi się kilka godzin w samochodzie, a ja dojadę do niej, zanim się obudzi, i załatwię wszystko, co trzeba.

## 114

— Co robiłeś w domu Sylvie Simonis?  
Tykanie kogoś to pierwszy krok, żeby upokorzyć.  
— Prowadzę śledztwo.  
— Jakie śledztwo?

— Zabójstwo Sylvie Simonis ma powiązania z innymi sprawami, nad którymi pracuję w Paryżu.

— Masz mnie za idiotę? Myślisz, że nie zapoznałem się z aktami?

— No więc wie pan, o czym mówię.

Dalej zwracałem się do niego na pan. Znałem reguły: lekceważenie po jego stronie, obojętność po mojej. Biuro Brugena było małe i zimne. Ściany ze sklejki, metalowe meble, stęchły zapach papierosów. To wręcz komiczne znaleźć się po drugiej stronie stołu. Zapytałem bez przekonania:

— Czy mogę zapalić?

— Nie.

Wyciągnął papierosa dla siebie. Gitane bez filtra. Zapalił go, nie spiesząc się, zaciągnął się, po czym wydmuchał dym w moją twarz. Mój debiut w charakterze podejrzanego zakrawał na parodię.

— Ta sprawa, tak czy siak, nie powinna cię obchodzić. Ale wiem, z kim mam do czynienia. Sędzia Magnan dzwoniła dziś do mnie. Dowiedziałem się o tobie i twoich stosunkach z Manon Simonis...

W kącikach ust kapitana Brugena pojawiła się ślina. Papieros przykleił się do nich niczym muszla do skały. Nie zdjął swej kurtki z futrzanym kołnierzem.

— Do tej pory Sarrazin krył twoje kręactwa. Zastanawiam się dlaczego.

— Ufał mi.

— Najwyraźniej nie wyszło mu to na zdrowie.

Pomyślałem o Manon. Mój telefon komórkowy ciągle milczał. Powinna była już dojeżdżać do Le Locle w kantonie Neuchatel. Nachyliłem się nad biurkiem i zmieniłem ton, używając mojego odwiecznego argumentu.

— To skomplikowana sprawa. Obecność jeszcze jednego funkcjonariusza policji nie może zaszkodzić. Znam jej akta lepiej niż...

Żandarm roześmiał się.

— Odkąd pojawiłeś się w naszym regionie, stale siedzisz w jakimś gównie. Przybywa trupów, a ty nie masz żadnych wyników.

Pomyślałem o Moritzu Beltreinie. Policja szwajcarska powinna już dotrzeć do willi Parcossola. Ale nie było żadnego powodu, dla którego mieliby powiadamiać o tym francuską żandarmerię. Brugen mówił dalej:

— Teraz już nikt cię nie osłania, stary. Nie damy się więcej ogłupiać jakimś glinie z Paryża.

— Dochodzenie jest prowadzone w Paryżu.

— Gdzie jest Manon Simonis?

— Nie mam zielonego pojęcia.

— Co robiłeś w domu jej matki?

— Powtarzam: prowadzę dochodzenie.

— Czego tam szukałeś? — Ponieważ nie odpowiedziałem, kontynuował: — Włamałeś się do domu ofiary. To nie twój rejon i nie masz żadnego uprawnienia do działania na tym terenie. Nie mówiąc już o twoim wyglądzie, który pozostawia wiele do życzenia. Moglibyśmy oddać do analizy twoje ubranie. Jestem pewien, że spotkałaby nas niezła niespodzianka. Źle zagrałeś, chłopie. — Z rękami skrzyżowanymi na piersi kiwał się na krześle, aż oparł się o ścianę. — Puszczę to jednak w niepamięć, jeśli mi powiesz, czego szukałeś u Sylvie Simonis.

Zmieniłem taktykę. Nieważne było przecież, co stanie się ze mną, pod warunkiem że Manon znajdzie się w bezpiecznym miejscu, w Szwajcarii.

— Nie mogę niczego powiedzieć — powiedziałem przeproszającym tonem. — Niech pan zadzwoni do komisarz Nathalie Dumayet z brygady kryminalnej...

— Przede wszystkim zapakuję cię do celi.

— Niech pan tego nie robi.

Zdjął okruch tytoniu z warg, zaciągnął się ponownie papierosem i wydmuchując dym, zapytał:

— A to niby dlaczego?

Nie panując już nad sobą, wyjąłem z kieszeni komórkę. Spojrzałem na jej ekran. Żadnych wiadomości.

— Czekasz na telefon?

Jego złośliwy ton działał mi na nerwy. Brugen kiwnął się znowu na krześle i oparł na biurku. Czułem jego oddech — najmniejszego śladu alkoholu. Przy tym zimnie był to bohaterски wyczyn.

— Gdzie twój samochód?

— Już mówiłem. Miałem awarię.

— Gdzie?

— Na drodze.

— Skąd jechałeś?

— Z Besancon.

— Moi ludzie przeszukali okolicę i nie znaleźli twojej bryki.



— Nie wiem, co się z nią stało.  
— A te plamy na twoim płaszczu?  
— Przewróciłem się.  
— W kałużę formaliny? — Zarechotał. — Śmierdzisz kostnicą, stary...  
Przerwał mu dzwonek telefonu. Brugen jakby dopiero teraz przypomniał sobie o papierosie. Rozgniół go powolnym ruchem w metalowej popielniczce i podniósł bez pośpiechu słuchawkę.  
— No, co tam?  
Nagle przestał się uśmiechać. Jego twarz z czerwonej zrobiła się bladoróżowa. Minęło kilka sekund. Rysy mu twardniały. Burknął:  
— Gdzie dokładnie?  
Teraz krew całkiem odpłynęła z jego twarzy, mroczny cień przesłonił oczy. Zakończył, ciężko dysząc:  
— Zaraz tam będę.  
Odłożył słuchawkę i wpatrywał się przez chwilę w blat biurka.  
— Złe wieści.  
Głuchy lęk ścisnął mi serce.  
Opuszczając powieki, cicho powiedział:  
— Manon Simonis nie żyje. — Rozłożył ręce, dając wyraz swemu zaskoczeniu i bezsilności. Potem podsunął mi paczkę papierosów.  
W końcu jego słowa dotarły do mnie. Otworzyła się przede mną przepaść. Z sekundy na sekundę stałem się skamieliną.  
— Chciała sforsować zaporę na D437, w pobliżu Morteau. Wóz rozbił się o modrzew. Uderzyła głową w tablicę rozdzielczą. Moi ludzie ją wyciągnęli. Ja... — Znowu rozłożył ręce. — Wszystko skończone... Za Nie słyszałem dalszego ciągu. Zemdlałem.

## 115

Święty Tomasz z Akwinu napisał, że Bóg jest wtedy dobrze znany, gdy jest znany jako nieznan. Modlitwa jest tym żarliwsza, im Bóg jest dalszy, niezrozumiały, niedostępny. Wierzący nie modli się po to, by zrozumieć Pana. Modli się po to, żeby zagłębić się w Jego tajemnicy, Jego wielkości. Nieważne, że został prze-

kroczony próg cierpienia, że straszliwie przytłaczające jest uczucie opuszczenia. Przeciwnie, im mniej rozumiemy ścieżki Pana, tym żarliwiej się do Niego modlimy. To niezrozumienie jest wręcz pomostem ku Jego tajemnicy. Prowadzi do rezygnacji z buntu, dumy, wolnej woli. Nawet w Rwandzie, gdy z zewsząd dochodził szczęk i świst maczet, modliłem się intensywnie. Nie mając żadnej nadziei. Jak dziś...

O świcie w sobotę przypomniałem sobie te słowa.

Odzyskałem pamięć o wierze.

W rzeczywistości to credo było powierzchowną postawą. Próbą otepienia, żeby wrócić do pokory, którą gdzieś zagubiłem.

W rzeczywistości nie byłem już chrześcijaninem ani nawet ludzką istotą. Byłem jednym krzykiem. Otwartą raną, która nie mogła się zabliznić. Egzystencją zanikającą, zatrutą, z każdym dniem coraz bardziej gnijącą. Zgnilizna była w mojej modlitwie i moich słowach.

Manon.

Chociaż wmawiałem sobie, że zaczęło się dla niej prawdziwe życie — wieczność — i że odnajdę ją, gdy wybije moja godzina, nie potrafiłem pogodzić się tym, że mi ją skradziono. Że pozbawiono nas naszej szansy na ziemi. Kiedy wyobrażałem sobie szczęśliwe lata, jakie moglibyśmy razem przeżyć, doznawałem fizycznego uczucia, że zabrano mi tę łaskę. Jakby wyrwano bez znieczulenia jakiś nerw, organ, kawałek ciała.

Rana miała swoje różne odmiany. Czasami myślałem o dwóch małych dziewczynkach — Camille i Amandine. Albo o Laure, której nigdy nie szanowałem, a o której wspomnienie torturowało mnie w bezsenne noce.

O świcie w sobotę żandarmi wypuścili mnie z aresztu. Powiedziałem, że Manon ukradła wynajęty przeze mnie samochód. Miałem wyrzuty sumienia, że ją zdradziłem, ale musiałem dać żandarmom odpowiadające im wyjaśnienie.

Prawdę mówiąc, oni sami chcieli już mnie wypuścić. *Vanitas vanitatum et omnia vanitas...* Żandarmi nie znali ani Eklezjasty ani Bossueta, ale zapewne czuli, jak całkowicie bezsensowne okazało się przesłuchiwanie mnie, całe ich śledztwo, jak nadwerężony został ich au O ósmej rano byłem wolny.

Tego samego dnia udałem się do szpitala Jean-Minjoz, żeby zidentyfikować zwłoki. Nie zapamiętałem z tego nic. Zanotowałem

głęboko w mojej podświadomości tylko dwa fakty, odległe od siebie. Zająłem się pogrzebem Manon, a to oznaczało, że nie wezmę udziału w pogrzebie rodziny Luca.

Przed wyjściem z kostnicy zapytałem Guillaume'a Vallereta, lekarza sądowego w tym szpitalu, czy mógłby mi przepisać leki przeciwłękowe i antydepresyjne. Nie kazał się długo prosić. Obaj świetnie się rozumieliśmy. Lekarz od trupów ratujący mięczaka.

Natychmiast potem pojechałem szukać schronienia w Notre-Dame-de-Bienfaisance, pustelni Marilyne Rosarias. Idealne miejsce dla mnie, gdzie mogłem zagłębić się w sobie, pogrążyć w medytacji i modlitwie, opłakiwać moich zmarłych.

W czasie tego pobytu nie czytałem żadnych gazet. Nie interesowałem się ani śledztwem w sprawie śmierci Beltreina, ani tym, jak zakończyło się — czy jak próbowano zakończyć — dochodzenie dotyczące zabójstwa Simonis. Za pośrednictwem Foucaulta śledziłem jedynie przebieg śledztwa w sprawie rodziny Soubeyras. Sprawca masakry pozostawał nieznanym. I nie było w tym nic zaskakującego.

Wszystko to przyjmowałem umysłem zamglonym przez środki chemiczne i ustawiczne modły. Byłem niczym pusta muszla, która bieleje na morskim piasku. Ktoś inny, nie ja sam, wydawał mi polecenia. Jakby jakiś automatyczny pilot, żarliwy, religijny. A ja bezwolny, pozwalałem mu działać.

Któregoś ranka naszła mnie pewna myśl. Powinienem pójść do klasztoru. Porzucić świat grzechu i bluźnierstwa, który okazał się silniejszy ode mnie. Żyć w skrusze, pokorze, poddaniu, w rytm mszy. Wrócić do samotności i poznania najgłębszych zakamarków duszy, aby odnowić przymierze z Bogiem. I znowu myśl świętego Augustyna, że nie należy wychodzić do świata zewnętrznego, ale powracać do siebie. Od tej chwili tylko to trzymało mnie przy życiu.

Pogrzeb Manon odbył się w Sartuis dziewiętnastego listopada na opustoszałym cmentarzu. Obecnych przy tym było tylko kilku dziennikarzy. Przybył również Chopard, stary reporter. Ojciec Mariotte zgodził się odprawić nabożeństwo nad trumną i wygłosić mowę pogrzebową. Przynajmniej tyle był winien Manon.

Marilyn Rosarias towarzyszyła mi na cmentarzu. Gdy grobowiec został zamknięty, szepnęła:

— Nic się nie skończyło.

Spojrzałem na nią bez słowa. Mój mózg pracował na zwolnionych obrotach.

— Diabeł nadal żyje — dodała.  
— Nie rozumiem.  
— Ta rzeź, chaos, to jego dzieło. Nie pozwól mu triumfować. Jej głos docierał do mnie z trudem. Wszystkie moje myśli zajmowała Manon. Los naznaczony czarną gwiazdą. Marilyne mówiła, wskazując na grób:  
— Walcz, żeby demon nie zabrał dobrej pamięci o niej. Udowodnij, że była gdzie indziej i że to on zabił dzieci. Odnajdź go i zniszcz.  
Nie czekając na moją odpowiedź, zawróciła, a ja patrzyłem, jak oddala się, powiewając szarą peleryną. Powiedziała głośno to, co szeptał mi słabutki wewnętrzny głos mimo moich klasztornych planów.  
Żniwo strachu nie zostało ukończone.  
Przed usunięciem się z życia świeckiego mam jeszcze coś do zrobienia. Nie mogę pozwolić, aby ostatnie słowo należało do diabła. Muszę go odnaleźć i stanąć z nim do walki.

## 116

*Piątek 22 listopada. Powrót do Paryża*

Miasto przybierało już odświętny wygląd przed Bożym Narodzeniem. Girlandy, bombki, gwiazdy — wielki kontrast z ciemnościami panującymi w mojej duszy. Te światła przebijające się z trudem przez szarość dnia przywodziły mi na myśl ledwie widoczną galaktykę na niebie zasnutym popiołem. Jechałem saabem, kolejnym wynajętym samochodem.

W drodze do Villejuif zatrzymałem się najpierw przy Porte Doree. Chciałem pomodlić się nad grobem Laure i jej córeczek pochowanych na cmentarzu na południe od Saint-Mande.

Odnalazłem łatwo granitowy pomnik, ze stojącą na nim jasną płytą, na której umieszczono w trójkącie trzy portrety podpisane tymi słowami:

*Nie opłakuj zmarłych.*

*Są jedynie klatkami, z których wyfrunęły ptaki.*

Poznałem ten cytat. Al-Din Saadi, poeta perski z trzynastego wieku. Dlaczego znalazł się tu fragment dzieła człowieka innej wiary? Dlaczego nie było żadnego symbolu katolickiego? Kto wybrał to zdanie? Czy Luc był w stanie decydować o czymkolwiek?

Przyklęknałem i zacząłem się modlić. Byłem przybity, w takim stanie umysłu, że nawet nie pojmowałem, co znaczyły te portrety na kamieniu, ale szeptałem słowa modlitwy:

*Ty, Panie, dajesz nam nadzieję, kiedy nasze życie*

*przestaje mieć sens i ogarnia nas czarna rozpacz.*

Ruszyłem ponownie w drogę do Villejuif. Luc Soubeyras. Od czasu potwornego zabójstwa jego rodziny nie rozmawiałem z nim bezpośrednio. Zostawiłem mu w szpitalu jedynie dwie wiadomości, ale nie otrzymałem odpowiedzi. Bardziej niż rozpacz obawiałem się jego gniewu, szaleństwa.

O godzinie jedenastej ujrzałem ślepy mur instytutu Paul-Gui-rauda, tereny sportowe, pawilony w kształcie lotniczych hangarów. Zatrzymałem się przed pawilonem dwadzieścia jeden, obawiając się, że Luc został przewieziony do zakładu dla nieuleczalnie chorych, Henri-Colin. Ale nie. Znowu umieszczono go w tym pawilonie, w zwykłym pokoju, z prawem swobodnego poruszania się. Prawdę mówiąc, znajdował się tu dopiero od kilku godzin.

— Bardzo mi przykro, że nie byłem na pogrzebie.

— Nie byłeś na pogrzebie?

Luc wydawał się szczerze zdziwiony. Ubrany w jasnoniebieski dres leżał na łóżku z beztroską miną. Pograżony w myślach przesuwiał w palcach węzełki sznura zrobionego pewnie w pracowni zajęć praktycznych.

— Musiałem się zająć pogrzebem Manon.

— Oczywiście.

Nie podnosił oczu znad węzełków. Mówił wprawdzie tonem łagodnym, ale tym razem z pewnym dystansem, ironią. Przygotowałem całą przemowę, chrześcijańską tyradę o ukrytym sensie wydarzeń, ale uznałem, że lepiej się od tego powstrzymać. Nie uchroniłem jego rodziny. Nie przejąłem się w ogóle prośbą przyjaciela.

— Luc, bardzo żałuję. Powinienem być szybciej zareagować. Postawić ludzi i...

— Nie mówmy o tym.

Podniósł się i wzdychając, usiadł na brzegu łóżka. Nie mogłem się powstrzymać i przeszedłem od razu do sprawy dla mnie najważniejszej.

— To nie ona, Luc. Nie było jej w Paryżu, kiedy Laure i dziewczynki zostały zamordowane.

Odwrócił się i spojrzał na mnie nieobecny wzrokiem. Jego powieki drżały.

Wobec jego milczenia dodałem gwałtownie:

— To nie ona i to nie moja wina!

Luc znowu się położył i zamknął oczy.

— Zostaw mnie w spokoju. Muszę odpocząć.

Rozejrzałem się wokoło — białe ściany, łóżko, stolik. Nigdzie nie widać czarnego zeszytu ani żadnej książki. Nie było też telewizora.

Zapytałem raczej głupio:

— Czy czegoś potrzebujesz?

— Potrzebny mi odpoczynek. Zanim wypełnię moją misję.

— Jaka to misja?

Luc podniósł powieki i spojrzał na mnie twardym wzrokiem.

— Zabić ciebie.

## 117

Po powrocie do biura na Quai des Orfevres 36 zamknąłem drzwi mojego pokoju na klucz i uporządkowałem dokumenty ze śledztwa. Wszystko, co zebrałem od dwudziestego pierwszego października, od notatek na temat śmierci Larafaouiego aż do przedrukowanych informacji o Moritzu Beltremie, przez artykuły Choparda, raport z sekcji zwłok przesłany przez Yallereta, notatki zrobione w Watykanie, artykuły i zdjęcia z Katanii, bilans wydarzeń sporządzony przez Callacciurę, dokumenty medyczne dotyczące Uratowanych Bez Światła, raporty Foucaulta, Sv W tych papierach kryło się rozwiązanie.

Czarna trucizna tej historii nie wyczerpała się jeszcze do końca.

*Godzina 13.00*

Przysięgłem sobie, że nie wyjdę stąd, dopóki nie znajdę jakiegoś znaku, elementu, który naprowadzi mnie na trop, który pozwoli mi

wyjaśnić, jak doszło do zamordowania rodziny Luca, podczas gdy główny zabójca, Moritz Beltrein, przebywał tysiąc kilometrów od miejsca zbrodni.

Zanim wsiadłem do pociągu w Besancon, odwiedziłem Corine Magnan. Wróciła do swego biura dwa dni po śmierci Manon. Natychmiast udała się na granicę, aby tam przesłuchać funkcjonariuszy policji federalnej, którzy byli w willi Moritza Beltreina. Sprawa zabójstwa Sylvie Simonis została umorzona. Winny został zidentyfikowany. Znalezione u niego wszystkie dowody: fotografie, owady, porost, zapas

Sędzia przedstawiła te fakty podczas konferencji prasowej w Besancon dziewiętnastego listopada. Nie poszedłem na nią, ale Magnan streściła mi najważniejsze punkty. Moritz Beltrein, specjalista od reanimacji, mścił swoich „podopiecznych”, zabijając odpowiedzialnych za ich śpiączkę. Jednocześnie uzależniał uratowanych od śmierci całym arsenałem środków chemicznych, wmawiając im, że to oni sami mordowali ofiary. Szaleniec usunął także Stephane'a Sarrazina, który mógł go zdemaskować.

Corine Magnan nie używała terminu Uratowani Bez Światła. Wykluczyła ze śledztwa jakiegokolwiek elementy metafizyczne — cudowne ocalenia uczynione przez diabła, złowroga przemiana „żołnierzy” Beltreina, ich opętanie... Ta wyznawczyni buddyzmu trzymała się racjonalnej wersji faktów.

W trakcie naszego spotkania nie wspomniała także o Poskromionych. Ze zwykłego powodu: nie wiedziała o istnieniu tej sekty. Dlatego zniknięcie Cazeviela i Moraza nie weszło w zakres jej śledztwa. Dwie ofiary skazane na zapomnienie, na marginesie nierozwikłanej sprawy.

Pozostawało bowiem pytanie: kto zabił Moritza Beltreina?

Magnan nie miała na to odpowiedzi. Przynajmniej oficjalnej. Stan zwłok do połowy zjedzonych przez owady nie pozwolił na dokładne określenie okoliczności śmierci lekarza. Dała mi jednak do zrozumienia, że ma pewną hipotezę dotyczącą winnego. Prawdę mówiąc, tylko jedna osoba mogła wskazać pewne powiązanie między zamordowanym i mną: Julie Deleuze, stażystka Beltreina. A jak widać, panna tic-tac, nic nie powiedziała.

Była jeszcze jedna zagadka.

Kto zabił Laure i jej dwie córki?

Magnan nie interesowała się tym, przynajmniej od strony zawodowej. Ta sprawa jej nie dotyczyła, dochodzenie prowadziła

prokuratura paryska, z którą skontaktowałem się jeszcze w czasie pobytu w Bienfaisance. Podałem namiary na odnalezionego przeze mnie taksówkarza, który wioził Manon do Sartuis około godziny dwudziestej piętnastego listopada. Tak więc oficjalnie stwierdzono, że Manon Simonis była niewinna.

Rozstaliśmy się z Magnan, oboje świadomi tego, że z pewnością wymknął się nam najistotniejszy element w tej całej sprawie. Zabójca, działający w cieniu Moritza Beltreina, wciąż był na wolności. Może mi się tylko wydawało, ale chyba z ulgą przekazała mi pałeczkę.

Do mnie należało znaleźć zabójcę.

Ja miałem go osądzić w taki czy inny sposób.

Teraz siedziałem przed zgromadzonymi materiałami. Niby wszystko spójne, ale ta spójność była iluzją. Między tymi stronami, w tych zdjęciach, krył się jakiś sekret, drugie dno.

Ułożyłem dokumenty według chronologii wydarzeń. Notowałem wszystko, rysowałem diagramy, zestawiałem każdy fakt, każdą datę, każde miejsce.

Potem spisałem oddzielnie nie pasujące do całości szczegóły.

O godzinie szesnastej miałem już ich niemało.

Ziarnka piasku powodujące zgrzyt w trybach całej maszyny.

Pierwsze ziarnko: zabójstwo Massine'a Larfaouiego.

Według mojej teorii zabił go Moritz Beltrein, tajemniczy klient, z którym doszło do zatargu z niewiadomego dla mnie powodu. Może Larfaoui szantażował Beltreina, sądząc, że stosuje on ibogę na swoich pacjentach? A może nawet odkrył jego zbrodniczą działalność? Tego rodzaju motyw był możliwy, ale pozostawały pewne niewyjaśnione kwestie. Dlaczego prostytutka Giną uznała, że zabójcą był ksiądz? Mówiła o bardzo wysokim facecie... Nie pasowało to do wyglądu

Drugie ziarnko piasku: postacie ukazujące się Uratowanym Bez Światła.

Według mojej teorii Beltrein wprawiał swoje ofiary w stan narkotyczny, a potem ukazywał się im w różnych przebraniach jako demon. Jak jednak — nawet ucharakteryzowany, widziany w transie narkotycznym — ten krępy, niewysoki lekarz mógł być brany za starca z fosforyzującymi włosami, bardzo wysokiego anioła czy poranione dzi Trzecie ziarnko: motyw, którym kierował się zabójca.

Zanotowałem datę i miejsce wszystkich zabójstw — nie tylko



tych ze zwłokami w stanie przyspieszonego rozkładu, ale również Larfaouiego i Sarrazina. Od zabójstwa Arturasa Rihimackiego w dziewięćdziesiątym dziewiątym roku do usunięcia kapitana zandarmerii. To zbyt dużo morderstw jak na jednego człowieka. Nie mówiąc już o tym, że były i inne ofiary, o czym świadczyły zdjęcia, które widziałem u Beltreina. Czy wszystko można mu przypisać? Ten profesor medycyny musiałby mieć dar bycia jednocześnie w wielu miejscach.

Czwarte ziarnko piasku: koncentracja wydarzeń.

Według mojej wiedzy zbrodni Gościa z Otchłani zaczęły się w dziewięćdziesiątym dziewiątym roku. Oznaczałoby to, że Beltrein popełnił pierwszą zbrodnię w wieku czterdziestu siedmiu lat. Dlaczego tak późno? Seryjny zabójca ujawnia zawsze swoją morderczą naturę między dwudziestym piątym a trzydziestym rokiem życia. Nigdy po pięćdziesiątce. Czy może Beltrein działał już wcześniej, w latach osiemdziesiątych? A może nie działał sam?

Piąte ziarnko: Beltrein nie przyznał się do tych zbrodni.

Kiedy już zamierzał mnie zabić, mówił o sobie jak o „pośredniku”. Dawał do zrozumienia, że jedynie pomagał Uratowanym Bez Światła w ich zemście. Kłamał. Ani Agostina, ani Raimo nie byliby zdolni tak się znęcać nad swymi ofiarami. Co do Manon, wiedziałem, że nie zabiła swojej matki. Jeśli to nie był Beltrein ani cudem uratowani od śmierci, to kto?

Idea, że musiał istnieć wspólnik, przybierała coraz bardziej konkretne kształty. Więcej niż wspólnik — prawdziwy morderca. Niewykluczone, że Beltrein odegrał jedynie rolę pomocnika. Pomagał temu, który przebierał się za anioła lub starca. Temu, który całymi dniami torturował swoje ofiary. Który miał pod koniec lat dziewięćdziesiątych około trzydziestki...

*Godzina 18.00*

Zrobiło się już ciemno. Zapaliłem lampę na biurku, której światło padało na leżące na nim notatki, raporty, zdjęcia. Popadłem w głęboką zadumę. Czułem instynktownie, że jestem już bardzo blisko zasadniczego odkrycia, ale musiałem wykonać jeszcze jeden wysiłek umysłowy.

Myśląc o tym ostatnim ziarnku piasku, podniosłem słuchawkę telefonu.

— Svendsen? To ja, Mathieu.

— Gdzie byłeś? Znowu zniknąłeś.  
— Wróciłem dziś rano.  
— Wszyscy się dziwili twojej nieobecności na pogrzebie...  
— Miałem swoje powody. Dzwonię do ciebie nie w tej sprawie.  
— Słucham.  
— Czy to ty zrobiłeś sekcję zwłok Laure i dziewczynek?  
— Nie, odmówiłem. Te małe bawiły się na moich kolanach, rozumiesz?

Nie poznawałem Svendsena. To nie w jego stylu. Ale bez względu na to, w jakim był stanie ducha, potrzebowałem jego pomocy.

— Dochodzenie jeszcze się nie zakończyło. Czy mógłbyś...  
— Odpowiedź brzmi: „nie”.  
— Posłuchaj. W tej całej sprawie coś śmierdzi.  
— Nie.  
— Rozumiem cię. Ale typ, który zabił dziewczynki, jest na wolności. Nie mogę się z tym pogodzić. I chyba ty również.

Po krótkim milczeniu Szwed zapytał:

— Czego ode mnie oczekujesz?  
— Z tego, co wiem, podejrzą im gardła. Jeśli jest to morderstwo z tej samej serii, jak twierdzi Luc, musiał tam zostać jakiś symbol satanistyczny. Albo jakiś charakterystyczny szczegół.

— Widzisz związek z innymi zabójstwami?  
— Sądzę, że chodzi o tego samego zabójcę.  
— A Beltrein?  
— Nie mógł być zabójcą. Albo nie działał sam. Hodował te insekty, przygotowywał preparaty dla tego, który poderżnął gardła rodzinie Luca i który musiał zostawić swój podpis.

Ponownie zapadła cisza. Svendsen zastanawiał się, więc skorzystałem z tego i mówiłem dalej:

— Jeśli się nie mylę, morderca rodziny Soubeyras jest tym, który zabija według rytuału z owadami, a w takim razie umieścił w ich ciałach jakiś szczegół przyspieszający gnicie. Coś, co charakteryzuje jego metodę.

— Kiedy policja weszła do mieszkania, ciała były jeszcze ciepłe. Leżały we krwi. Nie słyszałem o niczym, co by...

— Sprawdź. Może lekarz sądowy przeoczył jakiś szczegół.  
— Pogrzeb był już parę dni temu. Jeśli myślisz o ekshumacji...  
— Zajrzyj do raportów. Tylko o to cię proszę. Przystuduj je pod kątem gnicia. Wszystkie analizy, najmniejszą wzmiankę

o stanie zwłok w chwili ich znalezienia. Sprawdź, czy nie ma czegoś, co byłoby wspólne z tamtymi morderstwami.

Po minucie milczenia Svendsen w końcu ustąpił.

— Zadzwoń do ciebie.

Wyszedłem z pokoju po kawę z automatu, przemykając się pod ścianami, żeby uniknąć spotkania z kolegami. Wróciłem do papierzyk. Kolejny rozdział do przeanalizowania — Moritz Beltrein. Jego życie, upodobania, towarzystwo. Zrobiłem to już przedtem, ale teraz szukałem czegoś innego. Kogoś z jego otoczenia. Człowieka z cienia.

Ponownie zagłębiłem się w jego biografii. Spędził całe życie na reanimowaniu zmarłych. Wynalazł wyjątkową aparaturę, żeby wydobywać ich z nicości. Zawsze był u ich wezgłowia, wyciągając rękę do tych, których można było ocalić. Uratował kilkanaście istnień ludzkich, dokonywał cudów przez trzydzieści lat, służył swą wiedzą w Stanach Zjednoczonych, we Francji, w Szwajcarii. Życiorys bez skazy.

Ja jednak wczytywałem się uparcie, aż zaczęły mnie piec oczy, szukając nazwiska, jakiegoś istotnego wydarzenia. Czegoś, co mogłoby wytłumaczyć jego psychozę i wskazać na zbrodniczego partnera. Zatrzymywałem się nad każdym słowem.

Niczego nie znalazłem.

A przecież czułem, że coś było między wierszami. Jakiś szczegół, jakaś luka, których nie zdołałem rozpoznać.

*Godzina 20.00*

Druga kawa. Korytarze siedziby brygady kryminalnej opustoszały. Tutaj, jak wszędzie w piątkowe popołudnia, wychodziło się do domu wcześniej.

Po raz trzeci zabrałem się do przeglądania dokumentów. Przystudiowałem szczegółowo okoliczności pierwszej akcji ratunkowej przeprowadzonej przez Beltreina w osiemdziesiątym trzecim roku. Przeczytałem jego zawiły artykuł w języku angielskim opublikowany dwa lata później w naukowym piśmie „Nature”. Przejrzałem listę konferencji prasowych, w jakich uczestniczył w wielu krajach.

Tak minęła jeszcze jedna godzina.

Nie znalazłem nic.

Zapaliłem następnego camela, przetrarłem powieki i znowu wróciłem do lektury.

Daty. Nazwiska. Miejsca.

I nagle olśnienie.

W każdej biografii mówiono o pierwszym wypadku użycia aparatury *by-pass* dla uratowania dziewczyny, która utonęła w jeziorze Leman w osiemdziesiątym trzecim roku. W tym momencie coś sobie przypominałem. Gdy spotkaliśmy się w szpitalu, Beltrein powiedział mi, że po raz pierwszy spróbował tej metody już w siedemdziesiątym ósmym roku na „chłopcu, który zmarł wskutek niedotlenienia krwi”.

*1978 rok*

Dlaczego w artykułach nie było na ten temat żadnej wzmianki? Dlaczego autorzy biografii wymieniali zawsze rok osiemdziesiąty trzeci jako ten, w którym Beltrein użył po raz pierwszy swej aparatury? Dlaczego on sam w udzielanych wywiadach pomijał tę informację? I dlaczego powiedział mi o tym, skoro miał coś do ukrycia?

Włączyłem Internet i odnalazłem archiwum „Tribune de Gene-ve”. Hasła na rok 1978: „Beltrein”, „ocalenie”, „niedotlenienie krwi”. Żadnego rezultatu. Spróbowałem tego samego eksperymentu z „L'Illustré Suisse”, „Le Temps”, „Le Matin”. Nic. Żadnej wzmianki o spektakularnej operacji.

Przypomniałem sobie, że siedemdziesiąty ósmy rok Beltrein spędził we Francji, w Bordeaux. Zajrzałem więc do archiwum „Sud-Ouest”.

Od razu w oczy rzucił mi się tytuł: „Cudowne ocalenie przez szwajcarskiego lekarza”. W artykule opowiedziano szczegółowo, jak Moritz Beltrein użył po raz pierwszy aparatury do przetaczania krwi, aby przywrócić do życia małego chłopca zmarłego w wyniku niedotlenienia krwi. Zrobiło mi się gorąco.

Chłopca znaleziono w jaskini Genderer w Pirenejach. Został przewieziony do szpitala akademickiego w Bordeaux, gdzie Beltrein zaproponował zastosowanie jego metody. Linijki artykułu migąły mi przed oczyma. Przestałem cokolwiek rozumieć.

Ogarnęła mnie fala przerażenia na widok nazwiska uratowanego chłopca.

Luc Soubeyras.

Potrząsałem głową, szepcząc do siebie: „Nie, to niemożliwe”.

ale przecież sam przeczytałem, że w kwietniu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku Moritz Beltrein wyrwał jedenastoletniego wówczas Luca ze szponów śmierci. Drogi tych dwóch ludzi skrzyżowały się dwadzieścia cztery lata wcześniej, niż się wszystko zaczęło!

Zmusiłem się do tego, żeby przeczytać artykuł jeszcze raz na chłodno, starając się nie myśleć o licznych znakach zapytania wynikających z tego odkrycia. Najpierw fakt, o którym nie wiedziałem: Luc towarzyszył swojemu ojcu, znanemu speleologowi, gdy zszedł on do jaskini Genderer w siedemdziesiątym ósmym roku. Bez wątpienia Nicolas Soubeyras chciał wprowadzić syna w tajniki swego zawodu. I po raz kolejny poddać go próbie.

Ale wyprawa w głąb gór skończyła się tragicznie.

Obsunięcie się kamieni zablokowało przejście, którym ojciec i syn zeszli na dół. Kamienie zabiły Nicolasa Soubeyrasa od razu. Luc przeżył, ale stopniowo ulegał zatruciu wyziewami z gnijących zwłok ojca. Kiedy ich odkopano, obaj byli martwi. Wtedy Beltrein spróbował po raz pierwszy w szpitalu w Bordeaux zastosować swoją aparaturę do schładzania krwi. Udało mu się wskrzesić chłopca, którego serce przestało pracować przed co najmniej dwiema godzinami. Był to pierwszy, najbardziej spektakularny sukces Beltreina, o którym jednak nie pisano w jeę Jakie wyływały z tego wnioski?

Luc podczas śmierci klinicznej przeżył negatywne NDE. W wieku jedenastu lat zobaczył diabła. Nie o takim „objawieniu” metafizycznym opowiadał mi nieraz, że jakoby na zboczach Pirenejów ujrział światło Boga. W rzeczywistości objawienie to miało miejsce w jaskini, gdzie otaczały go grobowe ciemności, a ciało leżącego obok ojca ulegało ro: Luc był Uratowanym Bez Światła.

Jedynym naprawdę opętany w tej historii.

Nie ujrział diabła kilka tygodni temu, gdy utonął w rzece. To wszystko było wykalkulowane, fałszywe. Utopienie się, wizje, przebudzenie ze śpiączki — to jedno wielkie kłamstwo. W trakcie hipnotycznego seansu Luc opowiedział swoje wspomnienia z tego, co przeżył jako chłopiec w jaskini Genderer!

Od tego pierwszego doświadczenia Luc pociągał za sznurki. Potępione dziecko stało się mentorem Beltreina. To Luc wszystko montował, planował. Beltrein mówił prawdę, że jest jedynie pośrednikiem. Od samego początku był na usługach tego chłopca,

którego poznałem trzy lata potem w Saint-Michel-de-Seze. Luc nigdy nie krył swego zainteresowania diabłem, dowodząc, że trzeba poznać wroga, żeby skuteczniej z nim walczyć.

Ale Luc miał tylko jednego wroga: Boga.

To Luc, i tylko Luc zabijał swoje ofiary według koszmarnego rytuału. To on tworzył Uratowanych Bez Światła, którym ukazywał się w różnych maskach, wstrzykawszy im wcześniej czarną ibogę. Naznaczony na zawsze podwójną traumą — jaskini i śpiączki — nieustannie tworzył ludzi na swoje podobieństwo, robiąc z nich Uratowanych Bez Światła. Zabijał, odtwarzając męki, jakie sam przeżył w głębi jaskini, gdy przyglądał się etapom rozkładu ciała ojca. Luc uważał się za Księcia Ciemności lub jednego z jego emisariuszy. Był opętany obrazem śmierci związanym z procesem butwienia, rozpadu zwłok.

Dlaczego jednak zdecydował się na utonięcie i przeżycie po raz drugi negatywnego NDE? Dlaczego naprowadził mnie na swój trop? Żeby wyszły na światło dzienne jego manipulacje? Żeby mnie sprowokować? Zdeptać Boga na moich oczach? TYLKO TY I JA...

Domyślałem się motywu Luca. Widziałem w tym jego upodobanie do teatralnych gestów. Jeśli miał być emisariuszem Szatana, śmiertelni musieli zobaczyć jego królestwo, zasięg jego niszczącej mocy. Potrzebny mu był świadek, ktoś, kto doceni jego dzieło. Dlaczego nie miałby nim być katolik, przyjaciel, którym nie przestawał manipulować? Ktoś niewinny, naiwny, kto wbrew swej woli stanie się jego apostołem?

Złapałem za telefon, żeby dzwonić do szpitala Villejuif. W tym samym momencie odezwała się moja komórka, dzwonił Svendsen.

— Miałeś rację. Jest coś nienormalnego w stanie zwłok. Poczulem się tak, jakby wewnątrz mnie otworzyła się rana.

— Mów.

— Lekarz sądowy się pomylił. Ofiary zmarły w innym czasie, niż sądzono.

— Na czym opierasz ten wniosek?

— Organy wewnętrzne są rozszerzone. Naczynia krwionośne popękały. Uszkodzenia tkanek mogą wynikać z obecności kryształków lodu — Co to znaczy?

— To kompletne szaleństwo.

— Wyduś to z siebie do cholery!

— Ciała zostały zamrożone.  
Głuche dudnienie w moim mózgu. Svendsen mówił dalej:  
— Najpierw zamrożone, potem podgrzane. Laure i dziewczynki zostały zabite znacznie wcześniej, niż przypuszczaliśmy.  
— Kiedy?  
— Trudno orzec. Zamrożenie zmyliło lekarza. Uznałbym jednak, że były zamrożone przez przynajmniej dwadzieścia cztery godziny.  
— To znaczy, że zamordowano je o tej samej porze, w czwartek?  
— Mniej więcej.  
W myślach zrobiłem szybki bilans. W czwartek, czternastego listopada późnym popołudniem Manon była w moim mieszkaniu. Dzwoniłem do niej kilka razy, a dwaj policjanci pilnowali jej na zmianę. W żaden sposób nie mogła udać się na ulicę Changarnier, a tym bardziej nie potrafiłaby zamrozić zwłok, żeby następnego dnia przenieść je z chłodni do mieszkania. Wstrzymując oddech, zapytałem:  
— Jesteś tego pewien?  
— Trzeba by ekshumować zwłoki. Zrobić dodatkowe analizy. Można by się zwrócić do sędziego śledczego i...  
Już go nie słuchałem.  
Moje myśli krążyły wokół innego podejrzanego o te morderstwa.  
To Luc!  
W czwartek czternastego listopada nie był jeszcze w izolatce. A to znaczy, że mógł pojechać do Paryża, zamordować żonę i córki, zamrozić ich ciała metodą, którą trzeba jeszcze wyjaśnić. Potem wrócił do szpitala, udał atak szału i został zamknięty, ale tylko na kilka godzin.  
W piątek po południu był już w zwykłym pokoju. Udał się więc dyskretnie na ulicę Changarnier, przygotował ciała i ponownie wrócił do szpitala. Gorąco panujące w mieszkaniu przyspieszyło proces odmrażania.  
Podziękowałem Svendsonowi, a może tylko mi się wydawało, że to zrobiłem.  
Luc przygotował sobie doskonałe alibi, po raz kolejny manipulując chronologią śmierci.  
Jaki był następny etap jego planu?  
Zabić mnie, jak to zapowiedział?

Zadzwońnię do szpitala Paul-Guiraud i poprosiłem do telefonu doktora Zuccę. Chciałem sprawdzić rozkład zajęć Luca od czwartku do piątku. Psychiatra potwierdził moje przypuszczenia. Jego pacjent wyszedł z izolatki w piątek o godzinie szesnastej. Dano mu środki uspokajające, potem umieszczono go w zwykłym pokoju, gdzie miał spać do

Luc oczywiście nie połknął tabletek. Pojechał ponownie do swego mieszkania, aby dokończyć przedstawienie. Droga tam i z powrotem nie zajęła mu więcej niż trzy godziny.

Pozostało jedno pytanie: jak zamroził ciała?

Ale to potem.

Uświadomiłem sobie, że Zucca coś jeszcze do mnie mówi.

— Słucham?

— Ciekaw jestem, dlaczego pan o to pyta.

— Gdzie Luc jest teraz? W swoim pokoju?

— Nie. W południe opuścił szpital.

— Pozwolił mu pan wyjść?

— To nie więzienie. Podpisał dokument, że wychodzi na własną odpowiedzialność.

— Czy powiedział, gdzie się wybiera?

— Nie. Zdążyłem tylko uścisnąć mu rękę na pożegnanie. Moim zdaniem pojechał pomodlić się nad grobem swoich bliskich.

Nie mogłem się pogodzić z tą sytuacją: dochodzenie prowadzone w złym kierunku, mnóstwo błędów, mój podejrzany na wolności.

— Jak pan mógł go wypuścić? — powiedziałem podniesionym tonem. — Sam pan mówił, że jego stan się pogarszał!

— Od czasu naszej rozmowy Luc uspokoił się. Wróciła mu jasność umysłu. Wygląda na to, że haldol poskutkował...

Moje myśli biegły własnym torem. Luc ani przez moment nie był wariatem. W każdym razie nie takim, za jakiego go uważano. I oczywiście w ogóle nie brał żadnych pigułek.

Przyszła mi do głowy pewna myśl.

— Każdego pacjenta pyta, jaki psychiatra nim się zajmował, prawda?

— Tak.

— Dowiadywaliście się w sprawie Luca?



— Właśnie otrzymałem raport z siedemdziesiątego ósmego roku, ze szpitala w Pirenejach, w pobliżu Pau.

— Co jest w tym raporcie?

— Luc Soubeyras miał wypadek w kwietniu tamtego roku. Śpiączka. Szok. Pozostały skutki uboczne.

— Jakiego rodzaju?

— Kłopoty z psychiką. Raport nie wyjaśnia szczegółowo. — Zucca zamyślił się. — To dziwne, prawda? Luc przeżył coś takiego po raz pierwszy... Dziwne — to za słabe określenie. Luc wszystko opisał, zorganizował, wyreżyserował, żeby odtworzyć swoją apokalipsę. Zucca dodał:

— W pewnym sensie zmienia to moją diagnozę. Mamy do czynienia z rodzajem... recydywy. Niewykluczone, że Luc jest bardziej niebezpieczny, niż sądziłem.

Omam nie zaśmiałem w głos.

— Rzeczywiście, to niewykluczone.

Lampa błyskająca na dachu, zapalone reflektory, włączona syrena. Wstrząsały mną przeróżne doznania. Strach. Podniecenie. Mdłości. Pędziłem w kierunku ulicy Changaraier z nadzieją, że zaskoczę Luca w jego mieszkaniu w trakcie przygotowań do ostatniego aktu.

W ciągu siedmiu minut dotarłem na Cours de Vincennes. Wjechałem w bulwar Soult, skręciłem w lewo na ulicę Luca. Po obu stronach domy z cegły niczym kleszcze z zastygłą krwią.

Wystukałem machinalnie kod do pierwszej bramy. Betonowe podwórze, okrągłe fontanny, trawniki. Kolejny kod przy drzwiach samego budynku, potem żelazna klatka windy. Wyjąłem moją czterdziestkępiątkę, wprowadziłem nabój do lufy. W miarę, jak migały piętra, czułem się tak, jakby zalewał mnie czarny atrament.

Korytarz, półmrok. Nie zapaliłem światła. Drzwi mieszkania zaplombowane taśmą. Wydawało się, że nikt nie wchodził tu po ekipie z policyjnego laboratorium. Przyłożyłem ucho do drzwi. Żadnego hałasu.

Zerwałem żółtą taśmę. Pomacałem u góry, u dołu. Nie było zasuw tylko zamek centralny. Wyjąłem pęk wytrychów. Dobry okazał się trzeci z kolei. Wszedłem do środka, ściskając w rękę glocka.

Zapaliły się we mnie wszystkie światła alarmowe.

Tanie meble, błyszczący parkiet, szkaradne bibeloty. Wszystko

było fałszywe. Luc Soubeyras udawał, że tu mieszka, tak jak udawał, że jest policjantem, chrześcijaninem, moim przyjacielem.

Salon — nic szczególnego. Skierowałem się do biurka. Podświadomie unikałem sypialni Laure, gdzie znaleziono trzy trupy. Szuflady biurka były puste. Podobnie jak szafki z teczkami oznaczonymi literą „D”. W szybach odbijały się fasady budynków z czerwonej cegły. Cały pokój wyglądał ponuro. Wydawało mi się, że czuję mdły zapach krwi.

Cofnąłem się na korytarz.

Wstrzymałem oddech i wszedłem do sypialni, miejsca zbrodni. Czarny parkiet, białe meble. Widoczne w mroku niczym nie przykryte łóżko przywodziło na myśl pełną napięcia filmową scenę. Na prawo od łóżka, na ścianie, ślady krwi. Trzy ciała, usadzone pod ścianą, osunęły się na podłogę... Drżałem na całym ciele. Wyobraziłem sobie Laure i jej córeczki, przytulone ciasno do siebie, przerażone. Zapytałem na głos:

— Luc, dlaczego? DLACZEGO?

Odpowiedzi nie było. Po lewej stronie coś jakby mi mignęło. Kiedy moje oczy przywykły do ciemności i odwróciłem się w tamtą stronę, przeszył mnie lodowaty dreszcz.

Na przeciwległej ścianie za łóżkiem widniał zrobiony fosforyzującym porostem napis:

TAM, GDZIE SIĘ WSZYSTKO ZACZEŁO.

W jednej sekundzie rozumiałem dwie prawdy.

Pierwsza, że Luc przez cały czas śledził przebieg mojego dochodzenia. To samo nerwowe pismo, które widziałem w konfesjonale, na drzewie w Bienfaisance, w łazience Sarrazina. Luc jest zabójcą — jedynym, wyjątkowym.

Jakim cudem, będąc w śpiączce, mógł do mnie pisać?

Czy robił to za pośrednictwem Beltreina?

Druga prawda była bardziej oczywista.

Luc wyznaczył mi spotkanie TAM, GDZIE WSZYSTKO SIĘ ZACZEŁO...

Saint-Michel-de-Seze.

Internat, w którym poznaliśmy się.

Gdzie wspólnie wielbiliśmy Boga.

A w rzeczywistości miejsce, gdzie zaczął się nasz pojedynek.

Bóg przeciw diabłu.

Bulwar poza miastem. Gaz do dechy.

Mogłem dojechać do Pau w sześć, siedem godzin.

Do szkoły dotrę około godziny trzeciej w nocy. Autostrada A6, potem A10, kierunek Bordeaux.

Ustawiłem tempomat na szybkość dwustu kilometrów na godzinę. Droga była zupełnie pusta, czerń tunelu przerywana odblaskowymi pasami na jezdni.

Pałiłem papierosa za papierosem, usiłując nie myśleć o niczym. Jechałem, by odbyć ostateczną walkę. Przed oczami pojawiały mi się różne wizje. Krwawe smugi na ścianie sypialni. Zmiażdżone ciało Manon w wynajętym przeze mnie aucie. Sarrazin w wannie wypełnionej jego wnętrznościami. Zjawy te, moi jedyni towarzysze podróży, mknęły wraz ze mną w samochodzie.

#### *Godzina 23.00*

Poczułem zmęczenie. Włączyłem radio, żeby zająć czymś uwagę. France Info. Ani słowa więcej o potrójnym morderstwie na ulicy Changamier. Dziwne uczucie przypominające o zawrót głowy. Byłem jedynym na świecie człowiekiem posiadającym klucz do tej zagadki.

#### *Północ*

Opuściłem szybę, żeby zimne powietrze owiało mi twarz. Powieki opadały same, drętwiały ręce i nogi. Sen otulał mnie czarnym woalem.

Zjechałem na miejsce wyznaczone do parkowania.

Zgasilem silnik i natychmiast zasnalem.

Kiedy się obudziłem, zegar na tablicy rozdzielczej pokazywał godzinę drugą czterdzieści pięć. Spałem prawie trzy godziny. Ruszyłem w dalszą drogę. Stacja benzynowa. Bak do pełna. Kawa. Pokonałem sześćset kilometrów w cztery godziny. Byłem już w pobliżu Bordeaux. Od mostu Arcin pozostanie jeszcze dwieście kilometrów do Pau. O świcie będę w Saint-Michel-de-Seze.

Czy Luc naprawdę tam na mnie czeka? W jednej sekundzie ujrzałem nas jako czternastolatków siedzących u stóp posągów apostołów. Najlepsi przyjaciele na świecie, połączeni żarliwą

wiarą... Wrzuciłem kubek do kosza na śmieci — kawa miała smak rzygowin — i odjechałem.

Ostatnie dwieście kilometrów przejechałem z mniejszą szybkością. Wytrzeszczając oczy. Około godziny szóstej ukazał się na prawo zjazd na Pau. Najpierw jechałem w kierunku do Tarbes, drogą A64-E80, potem D940 na Lourdes, na południe.

Jeszcze piętnaście kilometrów i ukazały się znajome pagórki. Nic się nie zmieniło. Jasne mury klasztoru na szczycie. Dzwonnica w kształcie ołówka. Na zboczu rozrzucone nowoczesne budynki. Jeżeli spotkanie ma się odbyć tutaj, to domyślam się, gdzie dokładnie.

Żwirowaną górską drogą wzdłuż kampusu dojechałem do parkingu przed opactwem. Pieszko doszedłem do bramy w murze. Kilkaset metrów niżej, u podnóża pagórka, stał uśpiony internat. Księżycowy pejzaż. Nie czułem zimna. Byłem tak zimny od wewnątrz, że lodowaty wiatr nie robił na mnie wrażenia.

Przeszedłem górą przez żelazną bramę i skierowałem się kamienistą ścieżką w stronę dzwonnicy. Nie myślałem o zachowaniu ostrożności. Znowu mur. Żaden problem. Znałem drogę. Poszedłem na prawo, aż zobaczyłem pierwszy otwór strzelniczy, sto pięćdziesiąt metrów nad ziemią. Prześliznąłem się bokiem i przeskoczyłem po drugiej stronie na oszroniony trawnik.

Znalazłem się teraz pod osłoną muru. Długi czas obserwowałem klasztor. Żadnego dźwięku. Pomaszerowałem dalej. Słyszałem chrzęst zmrożonej trawy pod moimi stopami. Z moich ust szła gęsta para. Serce biło mocno. Czy byłem sam na tym wzgórzu, między niebem a ziemią.

Czy on także przyszedł tutaj?

Czy obaj wstrzymujemy teraz oddechy?

Za węglem klasztoru zatrzymałem się. Odbezpieczyłem pistolet. Żadnego dźwięku, żadnego ruchu. Przez galerię doszedłem do wewnętrznego patio. Nad kwadratem niebieskawej trawy zalegała cisza. Z obu stron pogrążone w mroku podcienie. A na wprost posągi. Święty Mateusz z toporkiem, święty Jakub Starszy z kijem pielgrzyma, święty Jan z kielichem...

Ci święci byli dla nas wzorem. Chcieliśmy zostać pielgrzymami, apostołami, żołnierzami. Spełniliśmy tylko to ostatnie postanowienie. Na swój sposób zostaliśmy wojownikami. Nie sprzymierzeńcami, jak wierzyłem, ale wrogami.

Zaczęło przenikać mnie zimno. Postanowiłem zostać tu jeszcze

przez pięć minut, żeby się przekonać, czy wróg czeka na mnie. Już nie drżałem, bo zimno podziałało niczym środek znieczulający.

Musiałem się ruszyć, żeby nie przemarznąć tak, jak to było na przełęczy Simplon. Stałem pod sklepieniem galerii. Nie zachowywałem specjalnej ostrożności, bo wiedziałem, że Luc, zanim mnie zabije, będzie chciał ze mną porozmawiać. Ta rozmowa, wyjaśnienia, to obowiązkowy epilog. Logiczne zakończenie jego planu. Prawdziwe zwycięstwo Zła nad Dobrem, kiedy Szatan pokonuje swoją ofiarę słowem.

Minęły jeszcze cztery minuty.

Pomyliłem się. Luca tu nie było. Opuściłem rękę z bronią, palec wskazujący zdjąłem ze spustu. Luc zniknął, a ja nie miałem żadnego tropu. Nie zrozumiałem jego słów.

W tej sekundzie uświadomiłem sobie mój błąd. TAM, GDZIE WSZYSTKO SIĘ ZACZĘŁO.

Cała historia zaczęła się nie tu, w klasztorze, ale znacznie wcześniej. Luc wyznaczył mi spotkanie nie w kolebce naszej przyjaźni-rywalizacji, ale tam, gdzie przeżył fundamentalne dla niego doświadczenie.

W jaskini Genderer.

Tam, gdzie ujrzał diabła.

## 120

Z artykułu o ocaleniu Luca wynikało, że jaskinia Genderer znajduje się trzydzieści kilometrów na południe od Lourdes, w parku narodowym Pirenejów zachodnich. Ominąłem to maryjne miasto i pojechałem drogą krajową N21. Argeles-Gazost. Perrefitte-Nestalas. Wyłoniły się góry bardziej ciemne niż same ciemności. Cauterets. Drogowskaz w centrum miasta wskazał kierunek na Genderer. Droga pięła się pod górę. Trzeba wejść na szczyt, żeby stamtąd stoczyć się do przepaści.

Po pięciu kilometrach ujrzałem jezioro Gaube. Na prawo droga zniknęła pod nagimi drzewami. Cofnąłem się, żeby móc podjechać pod górę. Za zakrętem, za nikłymi światłami kilku domów, nie było już nic, jedynie wieżyczka Genderer.

Droga kończyła się na parkingu.

Zatrzasnąłem drzwiczki samochodu i skierowałem się do budyn-

ku. Szereg stalowych, futurystycznych łuków wbitych w wysokie urwisko. Ostre ukąszenia zimna — kolejny szczebel do pokonania. Silne powiewy wiatru szarpały połami mojego płaszcza. Czułem się jak anioł odkupiciel idący na ostateczną bitwę.

Pod sklepieniem okna wystawowe: kasa biletowa, sklepik z pamiątkami, bar-restauracja. Zamknięte kratą. Jednak obok okienka kasy biletowej zauważyłem smugę światła pod drzwiami. A gdy nadstawiłem uszu, usłyszałem radio nadające poranny program. Potrząsnąłem kratą, robiąc przy tym piekielny harmider.

Pojawił się mężczyzna, rozczochrany, źle ogolony, z wyrazem zdziwienia na twarzy — ten sam model co strażnik w merostwie w Sa — Co jest?

Przez kratę podsunąłem mu pod nos moją legitymację. Kiedy się nachylił, z jego ust zaśmierdziało kawą.

- Czego pan chce?
- Chcę zejść na dół.
- O tej porze?
- Proszę otworzyć.

Zrzędcząc, nogą uruchomił system. Krata podniosła się. Przeszedłem pod nią i stanąłem przed nim. Jego brodę porastała ostra szczecina.

- Proszę wziąć latarkę i zaprowadzić mnie na dół.
- Ma pan jakiś dokument, nakaz czy coś w tym rodzaju?

Popchnąłem go przed sobą.

- Niech się pan ubierze. I nie zapomni o latarce.

Okręcił się na pięcie i ruszył żółtym krokiem. Szedłem za nim, pilnując, żeby nie zadzwonił na posterunek żandarmerii albo gdzie indziej. Zniknął w swojej komórce i wrócił z latarką zawieszoną na ramieniu. Ubrany w pelerynę przeciwdeszczową w kolorze khaki podał mi drugą, taką samą.

- To chyba pański rozmiar. Tam na dole jest raczej wilgotno.

Narzuciłem na siebie pelerynę, w której wyglądałem jak w śmiertelnym całunie.

- Włączyłem światła na dole. Iluminacja jak na Boże Narodzenie!

Wyminał mnie i poszedł korytarzem prowadzącym do jaskini. Ma końcu korytarza kolejna kratka. Winda towarowa, jak dawniej w kopalniach. Mój przewodnik wyjął pęk kluczy i jednym z nich stworzył żelazną kratę, która uniosła się do góry na prowadnicy.

- Zwiedzający zjeżdżają tą windą — zaprosił mnie gestem.

Wszedłem do kabiny, a on za mną, opuszczając ponownie kratę. Włożył inny klucz do tablicy rozdzielczej. Już tutaj czuć było wilgotne powietrze zdradzające obecność jaskini pod naszymi nogami. Platforma zakołysała się, a potem zaczęła wolno opadać w dół. Za metalową przegrodą przesuwawa się przed nami skalna ściana. Miałem wrażenie, że zanurzam się w zapomniane pokłady czasu z epoki lodowcowej.

Strażnik odezwał się tonem znawcy:

— Zjeżdżamy z szybkością dwudziestu kilometrów na godzinę. Przy takim tempie w trzy minuty znajdziemy się na głębokości tysiąca metrów...

Nie słuchałem go. Moje ciało samo informowało mnie o tym. Brakowało mi powietrza w płucach, szumiało w uszach. Ciśnienie. Czarna, ociekająca wodą skalna ściana uciekała z zawrotną prędkością. Mój przewodnik dodał:

- Niech pan nie wyciąga ręki. Mieliliśmy tu już wypadki. Siła ssąca...
- Czy słyszał pan coś tej nocy?
- Niby co?
- Jakiegoś intruza.

Spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczami. Platforma osiągnęła największą szybkość opadania. Czułem się tak, jakbym był pijany, bliski stanu nieważkości. Wreszcie winda zwolniła ze zgrzytem kabli. Wnętrznosci podeszły mi do gardła, po czym cofnęły się, zostawiając uczucie mdłości. Strażnik podniósł kratę.

— Niecałe tysiąc metrów. Wychodzimy...

Na progu windy zachwiałem się. Dziwny ciężar hamował pulsowanie krwi w moich żyłach. Przed sobą ujrzałem skrzyżowanie wielu galerii. Na skalnej ścianie przymocowane lampy neonowe. Nad jedną z galerii napis: „Kierunek zwiedzania”. Zdałem sobie sprawę, że nie znam dokładnie miejsca wyznaczonego mi spotkania. TAM, GDZIE SIĘ WSZYSTKO ZACZĘŁO.

— Czy nazwisko Nicolas Soubeyras coś panu mówi? — zapytałem strażnika.

— Jakie?

— Nicolas Soubeyras. Speleolog. Zginął w tej jaskini w siedemdziesiątym ósmym roku.

— Tak, już wtedy tutaj pracowałem — skrzywił się. — Unikamy rozmowy o tym wydarzeniu. To nie najlepsza reklama.

— Czy wie pan, gdzie to się stało?

Uderzył obcasem w ziemię.

— Bezpośrednio pod nami. W sali balowej. Co najmniej jeszcze pięćset metrów w dół.

— Można tam dojść?

— Nie. To tylko dla profesjonalistów.

— Jest przejście?

Pokiwał głową.

— Prowadzi stąd trasa oznaczona strzałkami. Co najmniej dwieście metrów w dół. W połowie drogi są schody dla ludzi z obsługi, którzy schodzą jeszcze sto metrów niżej. A dalej to już tylko dla speleologów. Trzeba przechodzić przez syfony, kominy. Prawdziwy burdel.

— Mam szansę tam dojść?

— A ma pan jakieś doświadczenie w speleologii?

— Żadnego.

— No to niech pan nawet nie próbuje. Zawodowcy mają kłopoty. Taki facet jak pan utknie w pierwszym syfonie.

Były dwie możliwości. Albo się pomyliłem, albo Luc jakimś sposobem znalazł przejście i czeka na mnie tam na dole. Czuję intensywną wilgoć i słyszałem szum systemu wentylacyjnego.

— Niech mi pan opisz drogę.

— Jaką drogę?

— Do sali balowej.

Strażnik westchnął.

— Na końcu galerii są schody; niech pan idzie według znaków. Są oświetlone. Potem na lewo zobaczy pan żelazne drzwi. To przejście, o którym mówiłem. Jeśli nadal będzie pan zdecydowany iść dalej, trzeba przejść tymi drzwiami i zapalić światło. Jest tam kontakt, a nieco dalej studnia.

— Można do niej zejść?

— Nie jest to łatwe. Są tam drabiny, coś w rodzaju *via fetrata*. Na dole będzie duża sala i pierwszy syfon, gdzie zewsząd leje się woda. Potem następna studnia, bardzo wąska, z której przechodzi się do drugiej sali. Nie jestem tego całkiem pewien, bo nigdy tam nie schodziłem. Jeśli jakimś cudem przeżyje pan to wszystko, niech pan zaraz wraca. Z powodu porostu.

— Jakiego porostu?

— To taki gatunek, który wydziela trujące opary. Fosforyzujący mech, jakim zatruli się egipcjolodzy...

— Wiem. I co dalej?

— Nie ma żadnego dalej. Nigdy pan tam nie dojdzie.



— Przypuśćmy, że mi się uda.  
— Obsunięcie się skał odcięło tam drogę powrotu Soubeyrasowi i jego synowi. Obaj zginęli. Potem wydrążono przejście do sali balowej — jest przepiękna, widziałem na zdjęciu.

Moim ciałem pod peleryną wstrząsały dreszcze. Może ze strachu, a może z niecierpliwości. Porost był wskazówką. Ostatnim, zamykającym krąg elementem. Luc czekał na mnie w tej sali, w miejscu swojej pierwszej śmierci.

— Wspominał pan o żelaznych drzwiach. Czy są zamknięte na klucz?

— Oczywiście.

— Niech mi go pan da.

Strażnik zawahał się. Niechętnie zdjął klucz z trzymanego w ręku pęku. Wyrwawszy mu go z ręki i zabrawszy także latarkę, popchnąłem strażnika do windy. Próbował protestować:

— Nie mogę panu na to pozwolić. Nie ma pan ubezpieczenia!

— Mam stałe ubezpieczenie — powiedziałem, opuszczając kratę. — Jeśli nie wrócę za dwie godziny, proszę zadzwonić pod ten numer.

Nabazgrałem numer telefonu Foucaulta na kwicie z bramki na autostradzie i wcisnąłem go przez kratę.

— Niech mu pan powie, że Durey ma kłopoty. Durey, zrozumiał pan?

Strażnik nie przestawał kiwać głową.

— Jeśli dotrze pan do syfonu, proszę uważać na ten porost. Albo się pan przepchnie w dziesięć minut, albo zostanie pan tam na zawsze.

— Będę o tym pamiętał.

— Musi się pan tak narażać?

— Proszę czekać na mnie na górze.

Jeszcze się wahał, w końcu jednak uruchomił dźwignię na tablicy rozdzielczej.

— Odeślę panu windę! Powodzenia!

Kabina znikła ze zgrzytem żelastwa. Znalazłem się w próżni, do której przenikał szum wentylacji i szmer kapiącej wody. Zawiesiłem lampę na ramieniu i ruszyłem w drogę.

Po pięćdziesięciu metrach pojawiły się bardzo strome schody. Kilkaset stopni w dół przyprawiających o zawrót głowy. Chwyciłem się poręczy. Skalne ściany błyszcząły od spływających po nich potokach wody, na suficie połyskiwały mokre plamy. Powietrze niczym gąbka przesiąknięte było wszechobecną wilgocią.

Na dole znowu tablica: „Kierunek zwiedzania”. Umieszczone wysoko, w regularnych odstępach, neonówki przypominały tunel metra. Po stu metrach zauważyłem na lewo drzwi. Przekręciłem klucz i nacisnąłem kontakt. Zapaliły się słabym światłem żarówki połączone jednym kablem. Czarny korytarz opadał lekko w dół, atmosfera była coraz bardziej posępna. Odepchnąłem od siebie lęki i szedłem dalej, nie widząc tak naprawdę, gdzie stawiam nogi. Ramionami zaczepiałem o migoczące w przejściu kaganki.

Nagle pochyły korytarz skończył się studnią. Oświetliłem latarką jej wnętrze i zobaczyłem szczeble żelaznej drabiny na przeciwległej ścianie. Wymacałem stopą pierwszy szczebel, zgasilem latarkę, wcisnąłem ją za pas i zacząłem schodzić tyłem.

Pokonawszy sto szczebli, dotknąłem twardego gruntu. Nic nie widziałem, ale powiew świeżego powietrza oznaczał, że gdzieś blisko jest większe pomieszczenie. „Pierwsza sala”. Zapaliłem znowu latarkę. Stałem w wąskim przejściu, a u moich stóp rozciągała się ogromna, półokrągła grotta podobna do rzymskiego amfiteatru.

Zgrubienia w skale tworzyły miriady ornamentów. Szczyty gór, urwiska, frędzle, kolumny, koronki. Przypomniała mi się lekcja w szkole w Seze: „Stalaktyty to nacieki krystaliczne, które tworzą się pod wapiennym sklepieniem jaskiń wskutek wyparowywania wody, a stalagmity to nacieki krystaliczne powstające na dnie jaskiń i tworzące kolumny wznoszące się ku górze...”.

Plecami do ściany przesunąłem się na lewo, trzymając latarkę przed sobą, starając się nie oświetlać tego, co było pode mną.

Kolejna galeria. Szedłem pochylony, niekiedy wręcz zgięty wpół. Spod butów wypryskiwały kamienie. Kostki u nóg wykręcały mi się na ostrych skałach albo grzęzłem w kałużach. Moje pole widzenia ograniczało się do zasięgu promienia latarki. Szum spadającej wody upewniał mnie, że jestem na dobrej drodze, przewodnik mówił przecież o syfonie...

Wreszcie wezbrany strumień. Zawahałem się na moment, potem zawiesiłem latarkę na ramieniu i wparłszy się mocno stopami w skalne podłoże pod samą ścianą, zacząłem iść w dół tuż nad wodą. Zresztą woda była tu wszędzie. Woda to krew jaskini, a galerie można porównać do arterii. Znalazłem się w samym centrum tego krwiobiegu.

Wreszcie wymacałem płaską powierzchnię. Kiedy zaświeciłem latarką, zobaczyłem rumowisko czarnych skał. Wszędzie kamienie albo stalaktyty. Żadnego wyjścia. Zrobiłem jeszcze kilka kroków.

Pojawiła druga studnia, o której mówił strażnik. Ale rym razem nie było drabiny, żadnego uchwytu. Bez sprzętu nie sposób zejść.

Nagle coś błysnęło. Karabińczyk. Skierowałem tam światło latarki i ujrzałem linę z uprzężą. Potwierdzenie tego, że Luc przygotował mi drogę. Był tu, gdzieś bardzo blisko, czekając na ostateczną konfrontację.

Założyłem uprzęż, zaciskając ją na wilgotnym ubraniu. Nie miałem żadnego doświadczenia w górskiej wspinaczce. Kiedy już przypiąłem się do liny, zdałem się na łaskę losu odwrócony plecami do przepaści. Początkowo urządzenie nie zadziało. Wisiałem tak, trzymając się oburącz liny, która okręcała się wokół własnej osi. Potem zacząłem sunąć w dół, w ciemność. Nie zastanawiałem się już nad niczym. Z zamkniętymi oczyma zagłębiałem się w piekło Luca.

Moje stopy dotknęły twardego gruntu. Uwolniłem się z uprzęży, chwyciłem latarkę. Druga sala. Takie same łukowate sklepienie, takie same stalaktyty. Ale światło latarki zrobiło się zielonkawe. Zgasilem ją, lecz światło nie znikło. W nos uderzył mnie smród fosforu. Dokoła pełno porostu.

Tyle tygodni analiz, poszukiwań, domysłów, żeby dowiedzieć się czegoś o pochodzeniu tego mchu. A okazuje się, że był tutaj. Znalazłem się u źródła tajemnicy, jak egipciolodzy w grobowcu Tutanchamona, którzy w nim ginęli.

Przeszedłem jeszcze kilka kroków. Nie zapalałem latarki. Ciemność nie była już tak gęsta. Dostrzegłem czerwoną poświatę. Pomyślałem o Uratowanych Bez Światła. Lśniący bielą szron. Migające światło... Czy ukáže mi się diabeł?

Światło dochodziło z jednej z galerii. Nadal nie zapalając latarki, na czworakach, wczołgałem się do jej wnętrza. Dłonie odebrały nowy sygnał: kamienne podłoże było ciepłe. Zachowało się w nim gorąco nieśmiertelnej magmy. Miałem wrażenie, że zbliżam się do rozżarzonego serca ziemi.

Znowu nisza.

Okrągła, bardzo niska jaskinia o powierzchni kilku metrów kwadratowych.

Zbudowano tu ołtarz, na którym stały lampy sztormowe.

Zafascynowała mnie jednak nie sama sceneria, ale rysunki na ścianach.

Liczne piktogramy jakby z czasów prehistorycznych.

Domyśliłem się, że były to szkice, o których opowiadał mi Luc — jakieś figury, które Nicolas Soubeyras rysował jakoby

przed śmiercią. Teraz wiedziałem, że to dzieło samego Luca. Jedenastoletni chłopiec, umierający z przerażenia, zamurowany żywcem, wykonał te rysunki, dusząc się przy zwłokach ojca.

Podszedłem bliżej. Motywy przypominały rysunki naskalne z Lascaux lub Cosquer. Chłopiec użył mazaków, od których ułamał końcówki. Linie czerwone, brązowe, czarne. Barwy użyte przez pierwszych artystów w historii ludzkości.

Freski przedstawiały tę samą scenę. Sylwetka w kształcie litery Y. To chłopiec. Przy nim inna postać, leżąca. To ojciec. Nad nimi strop najeżony stalaktytami. Na wszystkich rysunkach wciąż to samo: chłopiec, ojciec, stalaktyty pod stropem.

Tylko jeden element się zmieniał. Stalaktyty pomału wydłużały się, skręcały, przekształcały w szpony. Na ostatnich szkicach kamienne pazury utworzyły twarz z rysami starca narysowaną w bieli i czerwieni. Bezpośrednio przed tym, zanim Luc zapadł w śpiączkę, ujrzał Księcia Ciemności, który przybył go zabrać...

— To tutaj umarliśmy, ojciec i ja — usłyszałem za sobą głos.

## 121

Odwrociłem się. Zobaczyłem Luca w niebieskim kombinezonie speleologa. Takim samym, jaki ma na sobie jego ojciec na portrecie stojącym w biurze Luca. Siedział na podłodze otoczony lampami sztormowymi. Nie był uzbrojony. Nasza walka miała się odbyć bez broni, bez krwi, bez przemocy.

Miała to być walka eschatologiczna.

Obaj byliśmy już martwi.

Martwi i pogrzebani.

— Co myślisz o moich freskach? — zapytał. — Pasja według świętego Luca!

W jego głosie wyczuwało się sarkazm i zarazem rozpacz. Rozpoznałem w nim sprzecznego wewnętrznie nastolatka z Saint-Michel-de-Seze. Wrażliwego i dominującego, rozgorączkowanego i

— Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, gdzie jesteśmy. Kiedyś w przyszłości będzie się mówić o tej jaskini tak, jak się mówi o ogrodzie w Mediolanie w związku ze świętym Augustynem czy o Notre Dame w odniesieniu do Claudela. Sceneria, w której

miało miejsce nawrócenie. To jakby przedsionek do tajemnicy. Ta nisza odegrała rolę korytarza do prawdziwych ciemności. Tutaj zapadłem w śpiączkę i tutaj On przyszedł po mnie. — Luc spojrzął rozmarzonym wzrokiem na freski za moimi plecami, po czym mówił dalej: — Najpierw spróbuj wyobrazić sobie, jak się bałem, kiedy się tu znalazłem. — Zaśmiał się nerwowo. — Cierpiałem na klaustrofobię. Ojciec o tym wiedział i mimo to sprowadził mnie do tej jaskini. Żebym stał się mężczyzną! Wyobrażasz sobie mój strach, uczucie zagrożenia? Byłem od tego chory. Ale prawdziwa próba czekała mnie po osunięciu się skał. Kiedy pojąłem, że zostałem zamurowany ze zwłokami ojca.

Nie dochodziły tutaj żadne dźwięki. Nie słyszałem nawet szumu wody. Inny ekosystem, w którym panuje miłe ciepło, przedziwna suchość.

— Chodź — powiedział, wstając. — Pójdziemy do wielkiej sali.

Poszedłem za nim, pochylając się pod niskim stropem. Znaleźliśmy się w olbrzymiej jaskini. Sala balowa. Oświetlona rzędem lamp. Z ciemności wyłoniły się gigantyczne kolumny podtrzymujące sklepienie. Ze stropu zwisały się stalaktyty udające kryształowe żyrandole. Ściany były czarne, chropowate, pokryte sadzą. Miałem wrażenie, że podziwiam złowrogą katedrę doskonale pasującą do kultu wyznawanego przez Luca.

Weszliśmy na kładkę. W dole przedmioty zdradzające obecność człowieka. Namiot, plecak, grzejnik. Sprzęt dla speleologa na krótki pobyt tutaj. Luc musiał tu wracać od czasu do czasu jak do źródła.

— Usiądź. Stąd jest niezwykle widok.

Usadowiłem się na skalnym parapecie, starając się nie patrzeć w dół.

— Czujesz ciepło? To oddech ziemi. Ciało mojego ojca zaczęło bardzo szybko gnić. Wydęte, rozsadzane od wewnątrz... Ten obraz nie opuszczał mnie nigdy. Kiedy lampa się wypaliła, zostałem sam ze smrodem, gazem, śmiercią. Zapadłem w ciemność z uczuciem ulgi. I to tam, w głębi podświadomości, nastąpiło wtajemniczenie.

— Co ujrzałeś?

— Znowu wracasz do swojej hipotezy?

— Ujrzałeś to, o czym mówiłeś pod hipnozą?

— Tak, zainspirowały mnie moje własne wspomnienia.

— Ten starzec, te fosforyzujące włosy, co to znaczy?

— Dotarliśmy do końca drogi, Mat, a ty nic nie zrozumiałeś.

— Odpowiedz na moje pytanie. Kim jest ten starzec?

— Nie ma na to odpowiedzi. Trzeba się pochylić przed tajemnicą. Pomyśl o swojej wierze. Czy potrafiłbyś opisać ją racjonalnymi słowami? Czy umiałbyś ją objaśnić? A jednak nigdy nie wątpiłeś w istnienie Boga.

— A Przysięga Otchłani?

— Tego nie da się zinterpretować. Ani w słowach, ani w myślach. Wyobrażasz ją sobie pewnie jako pakt, układ czy inne bzdury w rodzaju Fausta. Tymczasem Przysięga Otchłani jest niewypowiedzianym doświadczeniem. Kiedy Szatan mnie uratował, nie byłem już taki jak przedtem. Dał życie nowej istocie.

— Nie jesteś więc Uratowanym Bez Światła jak inni? — zapytałem z ironią.

— Kimś o wiele ważniejszym, dobrze o tym wiesz. Posłańcem. Emisariuszem. Wślizguję się w podświadomość i przekazuję Jego słowo. Tworzę moich własnych opętanych. Organizuję mój legion!

Pytania cisnęły mi się na usta. Musiałem dowiedzieć się wszystkiego. Ale to Luc zapytał z rozbawieniem w głosie:

— Pamiętasz Kurzefa?

— Naszego profesora historii?

— Kurzef mówił: „Pierwsze bitwy toczy się dla ojczyzny lub wolności. Ostatnie dla legendy”. To nasza ostatnia bitwa, Mat. Bitwa naszej czarnej legendy. Kiedy poznasz prawdę, zrozumiesz, że to ja cię stworzyłem. Egzystujesz tylko dzięki mnie.

— Opowiedz mi wszystko i pozwól, że sam to ocenię.

Luc odchylił głowę do tyłu.

Tonem obojętnym, prawie nieobecny, zrelacjonował swoją odyseję.

#### *Kwiecień 1978 rok*

Kiedy się obudził ze śpiączki, stał przy nim podekscytowany Moritz Beltrein. Przywrócenie do życia po śmierci klinicznej jedenastoletniego Luca było jego zwycięstwem. Osiągnięciem, które zostanie zapisane w podręcznikach historii medycyny.

Beltrein wziął Luca do swego domu w Lozannie i tam opiekował się nim przez dwa lata, dając pieniądze matce pijaczce za to, żeby zapomniała o swym synu. Zapisał Luca do szkoły, żywił, utrzymywał. Ale przede wszystkim wypytywał go.

Chciał wiedzieć, co chłopiec zobaczył po tamtej stronie.

Beltrein od wielu już lat ukrywał swoje prawdziwe zaintereso-

wania. Kawaler, bez życia osobistego, bez innej pasji poza swoim zawodem, uchodził za wybitnego uczonego. W rzeczywistości był maniakiem, człowiekiem zdeprawowanym, obsesyjnie interesującym się złem i jego transcendencją. Uważał, że stan śpiączki jest czymś w rodzaju *camera obscura*, w której ujawniają się obrazy pochodzące z innego świata, pozytywnego i negatywnego. Beltrein w sposób obsesyjny zastanawiał się nad czarną stroną tamtego świata. Chciał odkryć siły zła oddziałujące na ludzką świadomość. Chciał być pionierem na terenach

Choć Luc niczego nie pamiętał, jego czyny mówiły same za siebie. Torturowanie zwierząt. Niezdrowe zainteresowanie seksem. Upodobanie do samotności. Luc był potencjalnym zabójcą. Wrzodem bliskim pęknięcia. Beltrein chciwie śledził jego transformację i ją podsycił, widząc w nim piętno krainy ciemności, czarną siłę, która pojawiła się na ziemi, żeby on sam mógł ją poznać.

Aż wreszcie któregoś dnia Luc odzyskał pamięć. Przypomnił sobie tunel, czerwone światło, parzący szron, starca albinosa. Beltrein notował wszystko skrupulatnie. Nagrywał opowieści chłopca. Studiował je ze wszystkich stron.

Luc stał się jego królikiem doświadczalnym. Ale także jego narratorem, nawigatorem, Homerem.

A wkrótce jego mistrzem.

Mając dwanaście lat, Luc dla zabawy, prowokacyjnie, zabił psa Beltreina. Lekarz nie miał już żadnych wątpliwości, że chłopiec jest posłańcem diabła. Był gotów wykonywać jego rozkazy, w których widział wolę władcy piekieł.

#### *1981 rok*

Beltrein postanowił oficjalnie zaadoptować Luca. Matka chłopca przebywała już wówczas w zakładzie zamkniętym z powodu chronicznego alkoholizmu. Potem zmienił zdanie, uznał bowiem, że chłopcu potrzebna była dyskretna, anonimowa opieka. Trzeba było chronić go przed prawem, sprawiedliwością, stworzonym przez ludzi nieLuc był potworem.

Posłańcem diabła.

Beltrein miał być jego cieniem, apostołem, protektorem.

Zapisał chłopca do szkoły z internatem w Saint-Michel-de-Seze.

Luc poznał tam wychowanie religijne, katolickie. Poznał świat

wroga i dobrze się w nim poczuł. Spotkał w szkole naiwnie wierzącego idealistę, którym byłem ja. „Stałeś się dla mnie przedmiotem obserwacji—podkreślił Luc.—Przedmiotem moich doświadczeń”.

Zło rozwijało się w nim coraz silniej. Przestało już mu wystarczać zabijanie zwierząt. Potrzebował ofiary z człowieka. Jak tylko nadarzała się sposobność, wymykał się ze szkoły i włóczył po okolicznych wioskach, szukając ofiary. Któregoś dnia poznał dziewięcioletnią dziewczynkę, Cecylię Bloch. Zwabił ją do lasu i spalił żywcem, opryskując przedtem łatwopalnym aerozolem.

Cecylia Bloch.

Dziewczynka, o której tyle myślałem.

Ta zbrodnia nie dawała mi spać od dwudziestu lat. Luc Soubeyras okazał się więc sprawcą zabójstwa, które odegrało tak istotną rolę w moim życiu. Poczulem się tak, jakbym ugrzązł w błocie. Straciłem ochotę do dalszej rozmowy. Musiałem zrobić nadludzki wysiłek, żeby znowu skupić się na tym, co mówił.

Tej nocy po spaleniu żywcem dziewczynki Luc zniknął. Dyrektor szkoły powiadomił Beltreina. Zaniepokojony lekarz przyjechał i przeczesał okoliczne lasy. Znał przecież upodobanie Luca do miejsc bezludnych, ciemności, samotności. Kiedy jego poszukiwania nie dały rezultatu, udał się do Genderer i znalazł wyczerpanego chłopca w jaskini z rysunkami. Wygłodniały, zagubiony Luc przyznał się do popełnionego morderstwa, było jednak za późno, żeby zatrzeć ślady, bo ciało dziewczynki już odnaleziono. Na szczęście podejrzenia ominęły Luca. Kto mógłby posądzać o takie morderstwo młodego chłopca?

Mijały lata. Luc zabił wiele osób. Za każdym razem Beltrein zajmował się zwłokami, oczyszczając miejsce zbrodni. Luc stał się jego mistrzem i zarazem jego tworem.

Dla chłopca natomiast każde kolejne zabójstwo było rytuałem stanu przejściowego, niczym zrzucanie skóry przez węża.

*1986 rok*

Kiedy Luc skończył osiemnaście lat, zamieszkał w Paryżu. Zabijał nadal, ale sporadycznie. Nie było w tym żadnej myśli przewodniej. Jeszcze nie uświadomił sobie do końca wewnętrznej logiki swego przeznaczenia.

W dzień jego urodzin Beltrein ujawnił mu straszną rzecz. Powiedział, że nie jest on jedynym, który ma za sobą takie



doświadczenie. Opowiedział o Uratowanych Bez Światła, którzy byli przedmiotem jego badań. Luc uznał wówczas, że ma ważną misję do spełnienia.

Że ma nie tylko sam czynić zło, ale nakłaniać innych do zbrodni...

Tworzyć Uratowanych Bez Światła.

Stać się biegunem negatywnego światła.

#### *1988 rok*

Beltrein, jako ordynator oddziału reanimacji w akademickim szpitalu w Lozannie, uratował kolejne dziecko — Manon Simonis. Następnego dnia zdenerwowana matka oznajmiła mu, że dziewczynka jest opętana. Beltreinowi przyszło na myśl, że Manon jest Uratowaną Bez Światła. Przekonał Sylvie, aby nikomu nie mówiła, że jej córka żyje. Umieściwszy Manon w szwajcarskim pensjonacie pod fałszywym nazwiskiem, próbował zrobić z nią to, co udało mu się z Lukiem.

Dziewczynka jednak nie okazywała żadnych objawów opętania, żadnych negatywnych skłonności. Beltrein nie chciał pogodzić się z tym, że się pomylił. Jego zdaniem Manon powróciła ze świata umarłych i została naznaczona przez diabła. Trzeba tylko cierpliwie poczekać. Złe skłonności mogą objawić się później.

A wtedy w imieniu Złego doprowadzi do zaręczyn Luca i Manon.

W tym czasie Luc kontynuował studia.

#### *1991 rok*

Najpierw Sudan, potem Vukovar.

W obleżonym mieście przemoc była wszędzie. Kobiety ciężarne palone żywcem, noworodki wyszarpywane z brzuchów rozciętych nożem, dzieci z wylupionymi oczami. Litania potworności, w których Luc znajdował ogromną radość. Uczestniczył w tych krwawych orgiach, upojony nimi, uszczęśliwiony. Szatan był naprawdę władcą świata!

Luc ponownie pojechał do Afryki. Spędził kilka miesięcy w Liberii po zamordowaniu Samuela K. Doego. Zasmakował tam w czymś nowym — w przebieraniu się. Dołączał do zabójców w maskach. Przebierał się za starą kobietę lub zjawę, zabijał, gwałcił, rabował...

„Nazywam się Legion, bo jest nas wielu”.

*1992 rok*

Kolejna metamorfoza. Luc został policjantem. Całkowicie bezkarnie szerzył strach, korupcję, przemoc. Czasami prowadził śledztwo w sprawie własnych zbrodni. Kiedy indziej ścigał zabójców — swoich konkurentów. Jeśli byli przeciwni, aresztował ich. Jeśli odznaczali się szczególną, oryginalną pomysłowością w swych zbrodniach, pozwalał im uciec. Był to wspinały okres w życiu Luca. Pociągał za sznurki, psuł system sprawiedliwości od wewnątrz. Miał dobre miejsce, żeby oszukiwać, kraść, zabijać, niszczyć ludzką społeczność.

Był umysłem Złego i zarazem jego narzędziem.

Luc ożenił się, miał dzieci. To była jego nowa, niezawodna maska. Kto podejrzewałby poczciwego ojca rodziny, policjanta o nieposzlakowanej opinii, praktykującego katolika?

Nie zapomniał jednak, że ma tworzyć własnych Uratowanych Bez Światła.

W połowie lat dziewięćdziesiątych Beltrein usłyszał o czarnej ibodze. Pracował nad substancjami chemicznymi, które mogą wywołać stan bliski śmierci, ale nie znał właściwości tej afrykańskiej rośliny. Luc zaczął szukać informacji w Paryżu. Dostał się do afrykańskiego środowiska. Poznał Massine'a Larfaouiego, który dostarczył mu ten groźny narkotyk.

Luc bez wahania wstrzyknął sobie truciznę, ale spotkało go rozczarowanie. Nie doznał niczego podobnego do tego, co przeżył w jaskini. Doszedł jednak do wniosku, że przy pewnych modyfikacjach iboga może mu pomóc w tworzeniu Uratowanych Bez Światła.

*Kwiecień 1999 rok*

Beltrein został wezwany do cudem uratowanego Estończyka Raimo Rihimäkiego. To była doskonała okazja. Młody muzyk, wielbiciel rocka satanicznego, niezłe stuknięty. Ojciec pijak próbował go zabić na swojej rybackiej łodzi.

Luc pojechał do Beltreina, do Tallina. Raimo przebywał jeszcze w szpitalu. Już pierwszej nocy lekarz wstrzyknął mu afrykański produkt wymieszany z innymi psychotropowymi substancjami. Estończyk zaczął swą podróż. Opuścił ciało, zobaczył korytarz, żarzące się na czerwono ciemności, ale zachował stan półświadomości.

Wtedy w sali pojawił się Luc przebrany za chłopca. Z, poranioną, pociętą, broczącą krwią twarzą. Raimo przeraził się, ale uwierzył zjawie. Kiedy Luc do niego przemówił, słuchał z uwagą jego słów. Luc Soubeyras narzucił mu Przysięgę Otchłani.

Wychodząc ze szpitala, muzyk był przekonany, że ma działać w imieniu diabła. Ma siał zło i destrukcję. Luc i Beltrein zajęli się także ojcem Raima. Luc sporządził protokół. Nawiedzany wciąż wspomnieniami rozkładających się zwłok ojca zapragnął wywołać szybszy rozkład ciała swojej ofiary. Z pomocą ojca chrzestnego wprowadził do brzucha starca kwasy i owady, po czym z radością obserwował wywołaną przez siebie degenerację w fosforyzującym świetle porostu. Rozdzierał jego mięśnie zębami niczym jakiś drapieznik, odciął mu język.

Luc poczuł się Szatanem, Belzebubem, Lucyferem.

W końcu znalazł własną metodę.

*Modus operandi*, który czynił go szczęśliwym, przyprawiał o cudowny zawrót głowy.

#### *Kwiecień 2000 rok*

Beltrein podsuwał Lucowi innych uratowanych, wśród nich była Agostina. Objawienia mnożyły się, morderstwa stawały się coraz bardziej wyrafinowane. Luc rozszerzał swój terror na ziemi. Był Pazuzu, tym, który straszyl ludzi...

Nadszedł czas, aby połączyć go z jego „narzeczoną”.

#### *2002 rok*

Aby uczcić to wydarzenie, Luc i Beltrein postanowili najpierw pomścić Manon. Luc dokonał tej ofiary w jakiejś stodole w Jurze. Męczeństwo Sylvie trwało tydzień. Potem Luc ukazał się Manon tak, jakby był odarty żywcem ze skóry. Wszystko jednak działo się inaczej, niż przewidywali. Pomimo zastrzyków z narkotykiem, pomimo całej reżyserii przygotowanej przez Luca Manon nie pamiętała nic z tych „odwiedzin”.

Manon zdecydowanie nie nadawała się na służebnicę diabła.

Nie było mowy, żeby została jedną z Uratowanych Bez Światła.

W tym jej oporze Luc ujrzał znak. Nadeszła pora skończyć pierwszy cykl jego dzieła. Czas wyeliminować Manon. A także przyszedł czas, żeby pozbył się swej skóry wzorowego policjanta,

człowieka żonatego, ojca dwóch córek. Postanowił zamordować swoją rodzinę, obarczyć tym zabójstwem Manon i ujawnić swojemu „apostołowi” wielkość swego królestwa...

— Zawsze byłeś moim świętym Michałem — szepnął Luc. — Ja, anioł Zła, musiałem znaleźć archanioła Dobra.

— Nie przydałem ci się na nic.

— Mylisz się. Zło w całej swej wielkości istnieje tylko wtedy, gdy triumfuje nad dobrem. Chciałem, żeby doszło do konfrontacji między tobą a diabłem. Byłeś doskonały. Postępowałeś zgodnie z moim planem, krok po kroku, i doceniłeś zasięg mojej siły. Ja byłem twoją apokalipsą, a ty stałeś się moim zwycięstwem nad Bogiem.

Wyznania Luca tylko utwierdziły mnie w przekonaniu, że Luc Soubeyras i Moritz Beltrein to dwaj szaleńcy, idący drogą przemocy, więźniowie własnych fantasmagorii.

Ale były jeszcze szczegóły, które nie dawały mi spokoju.

Cokolwiek miało nastąpić po tej spowiedzi, musiałem wszystko uporządkować.

— A twoje samobójstwo nie było zbyt ryzykowne?

— Ja nie popełniłem samobójstwa. Beltrein był ze mną w Vernay. Zrobił mi zastrzyk z penthotalu, żebym zapadł w sztuczną śpiączkę. A potem, w Hôtel-Dieu, sprawował kontrolę nad tym, co mi wstrzykiwano. I to on w odpowiednim momencie mnie obudził.

Było to oczywiste, a ja nawet o tym nie pomyślałem. Taki specjalista jak Beltrein potrafił wszystko sfalszować, wszystko zorganizować. Fałszywe samobójstwo i sztuczną śpiączkę.

— A skąd wiedziałeś, że nadszedł czas na twoje przebudzenie?

— To ty dałeś sygnał. Tego dnia, kiedy zadzwoniłeś do drzwi Beltreina. Bo to znaczyło, że zrozumiałeś, iż Manon żyje. Przebyłeś już prawie całą drogę. Mogłem wrócić do życia, żeby odegrać ostatni akt Udać opętanie i skierować na Manon podejrzenia, że zabiła własną matkę. Ona należała do nas! Była winna! Wiedziałem, że Manon zostanie w końcu aresztowana. Że da wyraz swej nienawiści do mnie. Musiałem więc wymordować moją rodzinę i zrzucić na nią to potrójne morderstwo. Sprawa potoczyła się swoim torem.

— Jak zamroziłeś ciała?

— Jesteś dobrym policjantem, Mat. Myślałem, że sam dojdiesz do tego. W mojej piwnicy stoi ogromna zamrażarka. Trzeba było w niej umieścić ciała. To wszystko. Pomyślałem również i o tym, żeby zebrać ich krew i ją także zamrozić. Sceneria bardzo na tym zyskała. Ale najbardziej jestem dumny z odcisków palców. Beltrein

przygotował formę z odciskami palców Manon. Mnie pozostało jedynie rozmieścić je, gdzie się dało. Tej techniki użyłem już dla Agostiny na dawnym placu budowy.

— Nie należysz do świata ludzi.

— Tyle nauczyłeś się ze swego śledztwa, Mat. Zaczynasz doceniać ciemne moce dopiero wtedy, gdy stajesz z nimi twarzą w twarz! Nie pasuję do waszej godnej pożałowania logiki! — Nagle opanował się i mówił dalej: — Zamrożenie zwłok dało mi dwie korzyści: moje alibi oraz mój podpis. Szatan zawsze respektuje własne zasady. Jak wówczas, gdy Beltrein zabił Sarrazina. Trzeba było podfałszować, zmienić naturalną chronologię rozkładu jego ciała.

W tym momencie dostrzegłem, że Luc trzyma pistolet. Przeszliśmy więc do bardziej banalnych metod. Nie miałem żadnej szansy, żeby odbezpieczyć moją broń, zanim on naciśnie spust. Kiedy już dowiem się wszystkiego, kiedy docenię całą wielkość jego „dzieła”, zabije mnie.

Jeszcze jedno pytanie — nie po to, by zyskać na czasie, ale żeby wszystko wyjaśnić do końca.

— A Larfaoui?

— To sprawa uboczna. Beltrein kupował u niego coraz więcej ibogi. Zaintrygowany Larfaoui zaczął śledzić Beltreina. Odkrył, iż mieszka w Lozannie i jest lekarzem. Pomyślał, że używa ibogi do zakazanych eksperymentów na swoich pacjentach. Chciał go szantażować i musieliśmy się pozbyć tego wścibskiego faceta. Usunąłem go bez

— Tej nocy, kiedy Larfaoui zginął, nie był sam. Była u niego prostytutka. Twierdziła, że widziała księdza.

— Spodobał mi się ten pomysł: włożyć koloratkę i przelać krew. Musiałem ją potem zabić.

Luc odbezpieczył broń. Ostatnia moja próba.

— Jeśli mam być twoim świadkiem, to dlaczego chcesz mnie zabić? Nie zdołam rozpropagować twojego słowa.

— Kiedy obraz w lustrze jest doskonały, trzeba je rozbić.

— Ale nikt nie pozna twojej historii!

— Arena naszych działań ma różne wymiary, Mat. Ty jesteś przedstawicielem Boga, ja zaś diabła. To nasi jedyni widzowie.

— Co zrobisz... potem?

— Będę nadal robił to co dotychczas. Wnikał w umysły, powiększał szeregi opętanych... Czekają mnie inne postacie, inne metody. A liczy się tylko podróż do otchłani.

Luc wstał i wycelował. Dopiero w tej chwili zobaczyłem, że trzyma moją czterdziestkępiątkę. Kiedy mi ją wyciągnął? Przyłożył lufę do mojej skroni. Mathieu Durey popełnił samobójstwo ze swojej służbowej broni. Po fiasku śledztwa, po śmierci Manon i zamordowaniu rodziny Soubeyras coś mogło być w tym dziwnego?

— Adios, święty Michale.

Odgłos strzału przeszył mnie na wylot. Gwałtowny ból, a potem pustka. Ale nic się nie stało. Nie było krwi. Nie było zapachu prochu. Glock w odległości kilku centymetrów od mojej twarzy nie dymił.

Zanim zdołałem wykonać jakikolwiek gest, Luc wyciągnął ku mnie rękę z wyrazem osłupienia na twarzy, a potem runął do tyłu w przepaść.

Zza jego pleców kilka metrów dalej wyłoniła się czarna postać.

Nawet pod światło rozpoznałem mojego wybawiciela.

Zamorski, wymierzający sprawiedliwość nuncjusz z Krakowa.

Czarny garnitur, biała koloratka. Gotowy do udzielenia ostatniego namaszczenia.

Moje pierwsze intuicyjne wrażenie jest zawsze słuszne.

Dymiący w jego dłoni dziewięćmilimetrowy pistolet pasował do niej jak rękawiczka.

## 122

Pewny grunt pod nogami, niebo, góry.

Na wschodzie ponad szczytami linia światła.

Rozlewała się niczym ciemnoróżowa aureola. Na parkingu stały dwa czarne mercedesy pilnowane przez kilku duchownych. Czekali na swojego mistrza, swojego generała.

Odwróciłem się. Zamorski szedł tuż za mną. Jego kwadratowa twarz wyraźnie rysowała się w półcieniu. Wąski nos, krótko ostrzyżone srebrzyste włosy, ten sam jak zawsze wyraz twarzy. Któż mógłby podejrzewać, że przed chwilą, tysiąc metrów pod ziemią, zabił człowieka. Choć na ubraniu został mu na pewno jakiś ślad prochu.

— Jak mnie ksiądz odnalazł? — zapytałem.

— Nie straciliśmy nigdy z oczu ani ciebie, ani Manon. Chcieliśmy was chronić.

— Nie za bardzo skutecznie.

— A czyja to wina? Nie przejąłeś się moimi ostrzeżeniami. Można było uniknąć tego wszystkiego.

— Nie jestem taki pewny — odrzekłem. — A i ksiądz również.

Polak odwrócił wzrok. Za nami widniało czarne wejście do jaskini pod metalowymi łukami. Pomyślałem o Lucu Soubeyrasie. Leżał tam gdzieś martwy, w ciszy i w ciemnościach. Nawet nie próbowaliśmy odnaleźć jego ciała ani odmówić w jego intencji modlitwy. Chcieliśmy po prostu jak najszybciej z tym skończyć, a przede wszystkim wyjść na zewnątrz.

— Jak się udało z Poskromionymi?

— Jedna grupa została zlikwidowana w Jurze dzięki tobie. Inna w Krakowie, częściowo również dzięki tobie. Jednak nadal istnieją w Francji, w Niemczech, we Włoszech. Idziemy śladem ibogi, trop prowadzi

Podniosłem wzrok. Na horyzoncie jasna linia rozlewała się w różowofioletową plamę świtu. Przymknąłem powieki, rozkoszując się lodowatym powiewem wiatru na twarzy. Czulem, jak rośnie we mnie, jak rozchodzi się po całym moim ciele intensywne uczucie, że żyję.

— Jestem rozczarowany — westchnął Zamorski. — Cała sprawa wynikła z szaleństwa jednego człowieka. Oszusta, który odgrywał demona. W tej historii nie było ani cienia czyjejs nad przyrodzonej obecności wyższej siły. Nie zbliżyliśmy się nawet na krok do naszego

Otworzyłem oczy. Polak, w obliczu wschodzącego słońca, oskarżał swoje stulecie.

— Zapomniał ksiądz o głównej postaci, o tym, który inspirował Luca.

— O Beltreinie? — W głosie nuncjusza słychać było zmęczenie.

— Belfrem był jedynie pionkiem. Ja mówię o Szatanie. O tym, kogo Luc ujrzał w głębi tunelu. O starcu z fosforyzującymi włosami.

— A więc wierzysz w niego?

— Jeśli w tej całej historii można wskazać choć jednego prawdziwego Uratowanego Bez Światła, to był nim Luc. On niczego nie zmyślił. Wykonywał tylko rozkazy jakiejś wyższej istoty. Nie poznaliśmy diabła, ale rzucił on cień na Luca.

Zamorski klepnął mnie po plecach.

— Brawo. Nie wyraziłbym tego lepiej. Dojrzałeś, żeby dołączyć

do naszej grupy! Spodziewałem się, że wyrazisz chęć wstąpienia do jakiegoś zakonu. Dlaczego nie do naszego? Wskazałem na żołnierzy w czarnych garniturach.

— Szukać Boga to szukać pokoju. Nie wojny.

— Jesteś stworzony do walki — odrzekł, ściskając moje ramię. — A my jesteśmy ostatnimi rycerzami wiary.

Nic na to nie odpowiedziałem. Ponad górami niebo robiło się coraz jaśniejsze, ze złotawymi smugami na tle ciemnego błękitu. Za chwilę na nieboskłonie miał pojawić się złoty dysk słońca.

Zamorski nie ustępował.

— Zastanów się nad tym dobrze. Twoją naturą jest walka. Nie kontemplacja i nie samotność.

— Ma ksiądz rację — szepnąłem.

— Dołączysz do nas?

— Nie.

Czułem na biodrze ucisk kolby pistoletu. Twardy, dający uczucie pewności.

— No to co będziesz robił?

Uśmiechnąłem się.

— Po prostu dalej to samo.

Żeby być silnym, trzeba słuchać rad wrogów. Zamierzałem iść za jedyną trafiającą mi do przekonania sugestią Luca, jaką wypowiedział przy okazji sprawy w Lilas: „Trzeba jeszcze raz umrzeć, Mat. Zabić w sobie chrześcijanina, żeby zostać policjantem”.

Tak, zamierzałem znowu przemierzać ulice, walczyć ze złem, brudzić sobie ręce.

Aż do końca.

Mathieu Durey, komendant z brygady kryminalnej, bez iluzji, bez litości.

Ten, który powrócił po swej trzeciej śmierci.



# Spis treści

I MATHIEU.....	7
II SYLVIE .....	139
III AGOSTINA .....	261
IV MANON.....	369
V LUC .....	471